

Luanne Rice

Barwy lata

(Summer Ltght)

PROLOG

Jeziro było głębokie, wydawało się nie mieć dna. Gdy zamarzało, grubość lodu osiągała dziewięć metrów. Na północy, wschodzie i zachodzie wznosiły się góry; imponująca warstwa śniegu okrywała każde urwisko i każdą sosnę. Tuż przed wschodem słońca na północnym niebie zajaśniała zorza polarna. Nie podnosząc wzroku, chłopiec przypiął łyżwy i chwycił łopatę.

Temperatura spadła pięć stopni poniżej zera. Wcześniej napełnił kuchenny piec węglem i drewnem. Płomień zamigotał, lecz nie był wystarczająco silny, by ogrzać dom. Martinowi zawsze było zimno – mimo grzanek podawanych przez matkę na śniadanie, mimo grubych skarpet i swetrów, jakie robiła mu na drutach.

Ostry wiatr boleśnie szczypał go w policzki, palił płuca i odmrażał palce. Cięcia na piersi – świeże, zszyte czarną nicią – rwały, jakby niedźwiedź chwycił go w pazury. Lekcje zaczynały się za kilka godzin; najpierw miał się spotkać z Rayem na jeziorze.

Słońce zajaśniało nad wschodnimi górami, przebijając drzewa sztyletami pomarańczowego blasku. Martin sunął po lodzie i pchając przed sobą łopatę odgarniał śnieg, który spadł ostatniej nocy. Nasypało kilka centymetrów...

Usłyszawszy zgrzyt ostrza, podniósł wzrok, pomachał ręką. Ray szuflował ze swego końca szybciej i mocniej.

Chłopcy spotkali się i minęli. Nim słońce uniosło się wyżej, oczyścili większą część tafl. Martin czuł się jak Zamboni w hali Maple Leaf Gardens przygotowujący ojcu lód do gry. Tłum wiwatował, wokół rozlegały się okrzyki...

A teraz wielki Martin Cartier ma się spotkać z wielkim Rayem Gardnerem...

Odłożyli na bok szufle i sięgnęli po kije i krążki, schowane pod starym pniem. Martinowi burczało w brzuchu. Wieczorem nie najadł się do syta, a tego ranka chleb nie wyrósł matce jak należy. Ogień przygasł o świcie i kuchenny piec nie był wystarczająco nagrany do pieczenia. Przełknął pół kromki, żeby zrobić jej przyjemność, próbując równocześnie nie zważać na to, co mówiła o ojcu.

Burczało coraz głośniejsze, nawet przez ciężką kurtkę. Wiedział, że Ray to słyszy – odgłos przypominał pomruk niedźwiedzia albo warczenie wilka – krępowało go, iż Ray gotów pomyśleć, że nie starcza im pieniędzy na opał i jedzenie.

– Gotowy? – zapytał Ray, udając, że nie słyszy.

– *Bien sûr* – odparł Martin z wdzięcznością, ale rzucił Rayowi tak groźne spojrzenie, jakby zobaczył środkowych w natarciu.

Szczęknęły kije, Martin przejął krążek i gra toczyła się dalej.

Mknąc po lodzie, słyszał prędko zgrzyt ich łyżew. Śniegowe czapy opadały cicho z sosnowych konarów na zamrażnięte jezioro. Rodzina jeleni skubała koniuszki wysokich traw wystających spod białej okrywy. Jakaś sowa przeleciała nisko nad lodem polując na pełną mysz.

Martin widział to wszystko nawet wtedy, gdy koncentrował się na grze. Dookoła świat

wirował tysiącem obrazów jednocześnie, a on całą uwagę skupiał na krążku. Walcząc wpadali na siebie, objęli sobie kostki i wrzeszczeli z radości. Martin był dziś w formie, czuł się najwspanialszym hokeistą na świecie.

Oczy z tyłu głowy, tego ci trzeba, co? Właśnie to mają prawdziwi mistrzowie – słyszał głos swego ojca, tak wyraźny, jakby ojciec stał tuż za nim na jeziorze Lac Vert, a nie tkwił gdzieś w Kalifornii. Zmierzając do bramki, wyobrażał sobie, że ojciec teraz na niego patrzy, że obserwuje go z dumą. Zostawił Raya w tumanie śniegu, uniósł ramię, wycelował w siatkę, strzelił...

– Martin, co jest? – zapytał Ray.

– Jak to co?! – odparł ze śmiechem Martin i chwytając przyjaciela w niedźwiedzi uścisk, stuknął go głową. – Pokonałem cię, ot co! Nie kapujesz?

– Ja nie o tym, spójrz! – Ray, odsuwając go, wskazał na lód. Krople czerwieni prowadziły do szkarłatnej kałuży. Krew spływała po nogach Martina na łyżwy i lód, przesączając się przez cienką warstwę śniegu usianą śladami łyżew. – Co się stało?

– Nic – rzekł Martin.

– *Merde!*

Niezdarnie borykając się z zamkiem błyskawicznym, Ray rozpiął mu kurtkę. Martin próbował się opierać, ale dreszcze wstrząsały nim za mocno. Ray zdjął rękawiczki i rozpiął Martinowi koszulę.

Rany były głębokie i w twardej grze szwy się rozeszły. Z krzyżujących się cięć płynęła krew. Tamten mężczyzna jedną ręką trzymał go za gardło, w drugiej zaś ścisnął nóż. Płać, nie przestawał powtarzać, płać albo wbiję go głębiej!

A ojciec patrzył na to i milczał.

– Co, u diabła...?! – Ray spojrzał Martinowi w oczy. Było zimno, krew zaczęła zamarzać. Ray zdjął kurtkę i przycisnął ją do piersi przyjaciela. Martin nie mógł, nie chciał rozmawiać. Nie zdradziłby nikomu, ani matce, ani najlepszemu kumplowi, co mu zrobiono.

I nigdy nikomu tego nie wyjawiał... dopóki nie spotkał May.

May, jego jedyna miłość. Jej opowiedział całą tę historię.

Widział tamten jasny, rześki poranek na Lac Vert. Jakby wszystko miał tuż przed oczami: każdy kryształek lodu, każdą sosnową igłę, wyraz rywalizacji w oczach przyjaciela. Widział to jak na dłoni. Dopóki nie otworzył oczu.

Leżał w łóżku, spocony i zaplątany w prześcieradła.

– Martin, krzyczałeś przez sen – szepnęła leżąca obok May.

– Śniło mi się... – zaczął, lecz umilkł.

– Opowiedz – odparła.

Słyszał w jej głosie ból, lecz i najgłębszą miłość, jaką kiedykolwiek poznał. Spotkali się w dziwnym, trudnym dla obojga momencie życia. Powiedziała mu, że mają sobie do zaoferowania coś wyjątkowego, coś czego nie mógłby im dać nikt inny. A on się bał, tak bardzo się bał, że stracił siłę ofiarowania jej czegokolwiek.

– ... jezioro – powiedział.

– Co się stało?

– Widziałem.

May przycisnęła twarz do jego piersi. Rany nie bolały już tak jak niegdyś, ale blizny były twarde i napięte niczym druciane kable. Martin nie widział dłoni May, którą wyciągnęła, by dotknąć jego twarzy. Nie widział ich pokoju, okna, widoków Lac Vert na ścianie ani swej jedynej miłości leżącej obok niego. Tracił wzrok i nie widział niczego prócz swoich snów.

ROZDZIAŁ 1

Samolot był zatłoczony. Gdy pasażerowie znaleźli się na pokładzie, stewardesa poprosiła o zajęcie miejsc i umieszczenie podręcznych bagaży na górnych półkach bądź pod fotelami. May Taylor upewniła się, czy jej torby nikomu nie zawadzają. Szepnęła Kylie, że ma siedzieć na swoim miejscu i nie naprzykrzać się biznesmenowi, który zajmował fotel obok przejścia.

Start był gładki i samolot wspiął się poprzez szare obłoki w jaśniejące niebo. Aż do tego roku May nie latała zbyt często samolotem; po prostu nie miała powodu. Bostoński lekarz Kylie zalecił jednak, by mała wzięła udział w pewnym badaniu w Twigg University w Toronto. Prowadziła je grupa psychologów zajmujących się jasnowidztwem i zaburzeniami osobowości.

May i Kylie mieszkały z leciwą babcią w starym domu na wybrzeżu Connecticut. May kochała swą córeczkę nad życie, ale rozejrzawszy się wokół nie mogła nie zauważyć siedzących w pobliżu par. Siwowłosych małżonków dzielących się gazetą małżeństwa młodych dyplomatów w doskonale zharmonizowanych strojach, którzy rozmawiali właśnie przez telefony komórkowe, i rodziców dwóch nastoletnich chłopców zajmujących miejsca po drugiej stronie za środkowym przejściem.

Przez kilka minut wpatrywała się w tych rodziców, zastanawiając się, jak by to było, gdyby miała kogoś, kto dzieliłby z nią troskę o Kylie; kto by z nią podróżował, śmiał się i martwił. Matka chłopców pochyliła się ku mężowi, szepcząc mu coś z uśmiechem. Jej włosy opadły na jego ramię. Mężczyzna pochylił głowę, kiwając nią z aprobatą.

May poczuła, że coś dławi ją w gardle, i szybko spuściła wzrok. Miała do przeczytania plik dokumentów od doktora Whitpena z Wydziału Psychologii Twigg University: zaświadczeń, wyników badań i zaleceń odnoszących się do Kylie. Gdy wylądują w Logan, pokaże wszystko doktorowi Kylie przy Barkman Street, a potem czeka je długa droga do Connecticut. Wpatrywała się w nagłówek, w zlewające się bałamutne, dokuczliwe słowa, i ucisk w gardle stał się jeszcze bardziej bolesny.

– Mamusiu...? – szepnęła Kylie.

– O co chodzi, kochanie?

– Wielkoludy.

Sądząc, że ma na myśli pasażera siedzącego obok niej, May natychmiast pochyliła się do ucha Kylie. Czasami ludzie się irytowali, gdy mała zwracała się do nich. Widząc drogi garnitur tego mężczyzny, jego ciężki złoty zegarek i teczkę, którą postawił przed fotelem Kylie, zamiast przed własnym miejscem, May powiedziała, że jest jednym z tych, którzy mogą się zirytować.

– Ten pan pracuje – cicho napomniała córeczkę. – Nie przeszkadzaj mu.

– Nie – odpowiedziała szeptem Kylie, potrząsając głową. – W przedziale specjalnym... jacy wielcy! Czy to giganci?

Siedziały w pierwszym rzędzie foteli i Kylie spoglądała przez na wpół rozsuniętą zasłonę dzielącą klasę ekonomiczną od klasy biznes. Istotnie, siedziało tam kilku potężnych

młodzieńców, otoczonych wianuszkami ślicznych stewardes. Z ich umięśnionych torsów, rąk, szerokich ramion emanowała siła. Niektórzy mieli znaki klubowe na rękawach koszul – pewnie należeli do jakiejś drużyny. Stewardesy się śmiały, jedna mówiła, że uwielbia hokej, i prosiła o autograf. May, nie znając się na hokeju, ponownie skierowała uwagę ku Kylie.

– To zwykli ludzie – powiedziała. – Nie giganci.

– Jednak wielcy – rzekła Kylie.

– Tak – odparła May. – Wielcy.

Myślała o słowie „wielki”, o tym, jak wiele może oznaczać. Ojciec Kylie miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Był adwokatem w Bostonie, w jednej z owych renomowanych firm posiadających biura w drapaczu chmur spoglądającym na zatokę, wielkim adwokatem... Wydawało się, że kocha May, dopóki nie powiedziała mu, że jest w ciąży, a wtedy on oświadczył, że jest żonaty. Co miesiąc przysyłał jej pieniądze na utrzymanie dziecka, ale nie chciał poznać córki. To uczyniło go małym.

Za ten przelot płacił Wydział Psychologii, pokrywając też wszystkie dodatkowe wydatki. Nawet z pomocą Fundacji życie z dala od domu drogo kosztowało. Samoloty, hotele, restauracje były dla innych – dla podróżnych udających się na wakacje lub dla tych, którzy mieli partnerów służbowych wojaży. May nagle poczuła się samotna.

Opuściła wzrok, wsłuchując się w szept siedzącej obok Kylie. Nie planowała macierzyństwa, nie liczyła, że coś tak cudownego jak Kylie zrodzi się z najgorszego doświadczenia jej życia. Kylie była dzieckiem wyjątkowym, osobliwym i – jeśli wierzyć doktorowi Whitpenowi – posiadającym szczególny dar, a nie „zaburzenia”. Polecono May, by prowadziła dziennik wizji małej. Wypełniała więc niebieski zeszyt opowieściami Kylie i szczegółami, które sama zaobserwowała.

Kylie miała sześć lat. Była mała jak na swój wiek. Wijące się ciemne włosy opadały jej na ramiona, a z twarzy o śmietankowej cerze spoglądały aksamitne orzechowe oczy, promieniejące tak, jakby rozświetlał je od środka blask świateł.

Właśnie teraz wpatrywała się w sportowców coraz intensywniej, a w jej oczach pojawiło się to, co May nazywała „lśnieniem”. Miała wizję. Przygryzła wargę, aby powstrzymać się od wykrzyknienia jej na głos. Jej wzrok przesunął się z May na przedział klasy biznesowej i z powrotem.

– Kylie, nie... – powiedziała May.

– Ale... – zaczęła Kylie.

– Jestem zmęczona – odparła May. – Spoglądaj gdzie indziej. Albo narysuj coś. Zamienię się z tobą miejscami i będziesz siedzieć przy oknie.

Kylie potrząsnęła głową i zadrżała, unosząc się w fotelu. Wpatrywała się w rosnących mężczyzn, a jej brwi zbiegły się w wyrazie nieugiętego skupienia.

– To jeszcze dziecko... – powiedziała, zaciskając dłonie na kolanach.

Jakby czując uparty wzrok Kylie, jeden z hokeistów spojrzął przez ramię. Zajmował fotel obok przejścia i gdy się odwrócił, May dostrzegła w jego szaroniebieskich oczach figlarny błysk. Stewardesa ruszyła do przodu, by zaciągnąć zasłonę, lecz rozmowy i śmiechy brzmiały równie donośnie. Kylie nawet nie drgnęła – jakby miała w oczach promienie Roentgena,

jakby tamten przedział wciąż był w zasięgu wzroku.

– Wspaniale! – zabrzmiał czyjś poirytowany głos z rzędu za nimi. – Wystarczy umieścić na pokładzie drużynę Boston Bruins, by zobaczyć znikające stewardesy!

– I tak przegrają w playoffach – dodał ktoś inny.

– Mapie Leafs pokonają ich dziś wieczorem.

– Do diabła z hokejem – powiedziała ze śmiechem jakaś kobieta. – Dajcie mi tylko Martina Cartiera.

– Do diabła z Martinem Cartierem – odwarknął mężczyzna – Przynieście mi tylko coś do picia.

Kylie zdawała się nie zważać na tę rozmowę. Siedząc między matką a nieznanym zajmującym miejsce obok przejścia, robiła się coraz bledsza. May wsunęła wszystkie papiery i swój dziennik do przeznaczonej na nie teczki, po czym zatrzasnęła rozkładany blat. Z bólem serca obserwowała, jak Kylie wpatruje się w zasłonę, bezgłośnie poruszając ustami.

– Zamieśmy się miejscami, kochanie – powiedziała, odpinając pas sobie i małej. – Przyszła wiosna i w dole widać nowe liście. Widzisz tamte pola i drzewa? Jesteśmy już chyba nad Massachusetts. Sprawdźmy, czy potrafisz liczyć...

– Uniosła Kylie z miejsca i posadziła ją przy oknie. Skóra dziewczynki była wilgotna, a serce May biło jak szalone. Nieznajomy wydał z siebie gniewne westchnienie, gdy May potrafiła nogą jego teczkę.

– Ona chce do tatusia, mamó – wyszeptła Kylie, ściskając rękę May. – Chce dać mu buzi.

– Policzmy domy – poprosiła May, wskazując za okno i próbując znaleźć cokolwiek, co zajęłoby Kylie, położyłoby kres halucynacji.

– Ale ona odejdzie... – Kylie spojrzała jej w oczy, przełykając łzy. Niemal widać było, jak pragnie być posłuszna, powstrzymać wizje i zachowywać się niczym każde normalne dziecko, które liczy domy, śpiewa piosenki, ogląda telewizję albo prosi, by zaprowadzić je do łazienki.

Kylie zaczęła widywać anioły, kiedy miała cztery lata. Poszła do przedszkola i zrozumiała, że jest tam jedynym dzieckiem, które nie ma ojca. Miesiąc później jej ukochana prababcia – babcia May, Emily – umarła na atak serca. Potem, pewnego jesiennego dnia, podczas wspólnej wycieczki do rezerwatu przyrody obie natknęły się na wiszące na drzewie ciało. Kości w łachmanach i czaszka wyszczerzona niczym rozkładająca się czarownica. Policja zidentyfikowała później to ciało jako zwłoki włóczęgi, Richarda Perry’ego, który popełnił samobójstwo.

Kylie nagle zaczęła mówić do siebie. Krzyczała przez sen, a w przedszkolu wciąż płakała. W nieznanym językach rozmawiała z niewidzialnymi dla innych ludźmi.

Psycholog, do którego May w końcu ją zaprowadziła, zwrócił uwagę na chronologię zdarzeń: Kylie zaczęła mieć wizje tuż po śmierci Emily Dunne, swojej prababci stanowiącej opokę rodziny. W tym samym czasie uświadomiła sobie, że nie ma ojca. Poczuli się opuszczona przez większość dorosłych na świecie, powiedzieli lekarze. Ujrzenie zwłok było dla niej punktem krytycznym; od tej chwili zaczęła widywać duchy. Pragnęła rodziny, wizje

tego dowodziły.

May potrafiła to zrozumieć. Wychowana w licznej, kochającej się rodzinie, i ona jej pragnęła. Także jej zawód wiązał się z miłością i rodziną: podobnie jak przed nią babcia i jej siostra, May organizowała śluby.

A jeśli Kylie była schizofreniczką, nie zaś jasnowidzącą?

– Odejdzie – wyszeptła Kylie, trzymając rękę matki – zanim zdoła dać buzi tatusiowi. Odejdzie, jeśli nie zwrócę mu uwagi...

– Kylie – szepnęła May łamiącym się głosem. – Pozwól jej odejść.

Gdyby nie była tak wyczerpana, zawiedziona, przestraszona i samotna, mówiła sobie, okazałaby więcej stanowczości i powiedziała Kylie, że nie ma tu nikogo, że nikt nie chce dać buzi tatusiowi i żaden aniołek nie unosi się nad fotelami za zasłoną, w części przeznaczony dla biznesmenów.

Martin Cartier wyciągnął nogi aż na przejście między rzędami i gdy mijala go któraś ze stewardes, wciskał je pod fotel, by mogła przejść. Przez dwie godziny lotu wciąż się wiercił, blokując im drogę, ale nic nie mógł na to poradzić. Próbował siedzieć zgięty, wyprostowany i ułożony bokiem – żaden sposób nie zdawał egzaminu. Samolot był po prostu za mały. Zarówno z powodu skądinąd słusznego wzrostu Martina, jak i rozpierającej go energii. Matka zwykła była mawiać, że kłębi się w nim huragan. Chyba miała rację. Wydawało mu się, że dusi w sobie morderczy tajfun o sile wystarczającej do równania z ziemią miast i miasteczek i że gdyby użył go na łodzie, zniszczyłby drużynę przeciwnika. Energia Martina biła z jego łokci i bioder, ciskając zawodników na bandę, zbryzgując lód krwią i posyłając ludzi do szpitala.

Teraz ta energia kazała mu się wic w fotelu. Poczł klucie z tyłu głowy i jeszcze raz rozejrzał się wokół. Stewardesa zaciągnęła zasłonę, ale zerkając przez szczelinę zobaczył wpatrzoną w niego dziewczynkę. Jej urodziwa matka, pochylona, szepnęła małej coś do ucha.

Martin grał w obronie drużyny hokejowej Boston Bruins i nazywano go Złotym Młotem. Złotym z powodu „jubilerskiego” nazwiska Cartier, a Młotem ze względów oczywistych: zawsze wygrywał starcia. Dziesięciokrotnie wybierano go do „drużyny marzeń”, dwukrotnie zdobywał tytuł najlepszego zawodnika NHL, dwukrotnie też zwyciężył w klasyfikacji punktowej. Ten twardy i nieustępliwy zawodnik przez dwa kolejne lata wygrywał Puchar Norrisa jako najlepszy boczny obrońca ligi. Nie był złym człowiekiem, lecz gdy narosła w nim agresja, nie żałował ani kija, ani pięści. Lekceważąc możliwość kontuzji, błyskawicznie odparowywał każdy atak. Potrafił wciągnąć najlepszego zawodnika drużyny przeciwnej w bójkę, pobić go do krwi i sprawić, że to tamten wędrował na ławkę kar. Gdziekolwiek grał, stadami podążali za nim kibice.

– Przepraszam... – zabrzmiał kobiecy głos.

Martin podniósł wzrok. Stała nad nim atrakcyjna pasażerka w eleganckim kostiumie z czarnej wełny i w czarnej koronkowej bluzce. Doskonałe nogi w cieniutkich pończochach. Wysokie obcasy. Platynowe włosy wijące się nad zielonymi oczami o długich rzęsach. Purpurowa szminka na wilgotnych wargach...

– Pan Martin Cartier? – zapytała.

– *Oui* – odparł. – To ja.

Dopiero kwiecień, a ona już była opalona. Nosiła duże brylantowe kolczyki, a w każdym ogniwie grubego złotego łańcuszka, który oplatał jej szyję, także tkwił mały brylant. Mówiła o ostatnim meczu, który oglądała w telewizji, w swym hotelowym pokoju w Toronto. Martin uprzejmie udawał, że słucha, lecz jego uwagę przyciągała kobieta z córką, siedząca kilka rzędów za nim.

Opalona blondynka mówiła, jakie to niesprawiedliwe, że przegrali w dogrywce. Z zapartym tchem śledziła jego walkę. W ogóle uwielbia fizyczność hokeja. Jej palce przesunęły się po ramieniu Martina, poczuł jej perfumy. „Fizyczność”! Nagle stanął mu przed oczami własny łokieć trafiający w oko Jeffa Greena. Kobieta mówiła dalej, lecz prawie jej nie słyszał. Platynowe blondynki z bujnymi włosami i kwietniową opalenizną lgnęły do niego jak muchy. Lecz z jakiegoś powodu brzmienie jej głosu sprawiało, że czuł w sobie Arktykę: rozległą, lodowatą i pustą.

Zapisała mu numer swego prywatnego telefonu na odwrocie służbowej wizytówki, powtarzając, że uwielbia hokej, nigdy nie opuszcza żadnego meczu Bruinsów, kiedy jest w mieście, i zawsze z przyjemnością ogląda, jak Martin strzela bramki i pokonuje przeciwników. Wysłuchał tego z wystudiowaną obojętnością, z jaką zwykle przyjmował komplementy, i wiedząc, że koledzy uważnie obserwują tę scenę, wziął wizytówkę i wsunął ją do kieszeni.

Musnąwszy dłoń Martina, kobieta powiedziała, by zatelefonował. Podziękował i znów zagłębił się w fotelu. Gdy splótł ramiona na piersi, poczuł żebra, w które poprzedniego wieczoru trafił krążek. Myślał o ojcu ciekawie, czy oglądał ten mecz w telewizji. Czy widział, jak Martin spóźnił się z tak łatwym podejściem...

Ktoś dotknął jego głowy. Obejrzał się: stewardesa rozmawiająca z Brunonem Piochelle opierała się o jego fotel, ale Martin minął ją wzrokiem, ponownie spoglądając przez szparę w zasłonie. Dziewczynka wciąż go obserwowała. Siedziała przy oknie, nie zwracała uwagi na matkę, która pochylała się nad nią, żeby pokazać jej coś na ziemi. Kiedy kobieta podniosła wzrok i zobaczyła, że Martin im się przygląda, westchnęła.

Z jakiegoś powodu właśnie to sprawiło, że Martin się uśmiechnął. Matka dziewczynki nachmurzyła się. To, iż Martin jest znanym hokeistą, najwyraźniej nie robiło na niej wrażenia. Bez makijażu, z ciemnymi włosami w nieładzie ledwie ściągniętymi do tyłu w koński ogon, sprawiała wrażenie drobnej i zmęczonej. Jedną ręką obejmowała córkę i z wyrazu jej twarzy jasno wynikało, że wcale nie ma ochoty na niego patrzeć. Martin uśmiechnął się do niej, a gdy jeszcze bardziej zmarszczyła brwi, poczuł, że uśmiecha się szerzej.

Pola przypominały zielone pldy, a rzeki były błękitnymi wstążkami. Świeże liście spryskały zielenią nagie gałęzie. Małe miasteczka sprawiały wrażenie zabawek – stały w nich domki dla lalek, fabryki z klocków i miniatutki kościołów – duże miasta zaś przypominały ilustracje w książkach. Mama chciała, żeby Kylie spoglądała za okno. Unosiły się i szybowały wysoko jak ptaki, w powietrzu, tam gdzie pobyt istot ludzkich w ogóle nie ma

sensu.

Uparcie patrzyła na tamtego mężczyznę. Był gigantem, bez względu na to, co powiedziała mama. Miał byczy kark, a dłonie wielkości bochnów chleba. Kiedy mówił, jego głos niósł się przez cały samolot niczym przemówienia dyrektora szkoły rozlegające się z głośnika. Kylie chodziła do pierwszej klasy, lecz nie lubiła szkoły. Tymczasem głos tego wielkoluda jej nie przerażał. Przecież gdyby był zły albo straszny, co robiłaby tuż obok niego ta mała dziewczynka? Była blada i przezroczysta, jak wszystkie anioły, które widywała Kylie. Jej skrzydła miały jedwabisty połysk. Unosiła się nad głową mężczyzny niczym koliber krążący nad kwiatem pełnym nektaru. Miała stulone wargi i wyciągnięte ramiona. Ilekroć mogła, obracała się ku Kylie, przywołując ją gestem, by podeszła i powiedziała jej ojcu, żeby siedział spokojnie, bo chce go ucałować.

– Nie mogę. Mama mnie nie puści – wargi Kylie poruszały się bezgłośnie.

– Jesteś mi potrzebna – rzekł aniołek. – Wiesz, jak to jest, kiedy chcesz dać buzi tatusiowi i nie możesz tego zrobić.

– Mój mnie nie kocha – odparła Kylie. – Twój cię kocha, ale ty nie żyjesz. Wcale nie jest nam tak samo.

– Ależ tak, to wszystko jedno – upierał się aniołek.

– Mój ojciec mnie nie kocha – powtórzyła Kylie. Nie pamiętała ojca. Mama powiedziała, że odszedł, zanim Kylie przyszła na świat. Kylie jednak była pewna, że niegdyś bawili się razem i karmił ją czekoladowymi lodami. Śnił jej się duży i silny, śpiewał głębokim głosem i wszystko potrafił. Nie umiała sobie wyobrazić, jak mógł przestać ją kochać i po prostu odejść. Na tę myśl brzuch zabolął ją tak bardzo, że musiała wstrzymać oddech.

Wpatrywała się w olbrzymoajca. Mimo że taki ogromny, był bardzo przystojny. Miał gęste, szarawe ciemnoblonde włosy i niebieskie oczy, które wydawały się Kylie bardzo smutne. Dziwiło ją, dlaczego ludzie się śmieją, ilekroć otwiera usta. Stewardesa się śmiała, śmiali się inni hokeiści i ta śliczna złotowłosa dama w lśniących czarnych pończochach też się śmiała.

– Jeśli mi nie pomożesz – powiedział aniołek – zniknę i już nigdy się do ciebie nie odezwę.

– Sa jeszcze inne anioły – odparła Kylie.

– Ale ja mam ci do powiedzenia coś ważnego. Pomóż mi albo odejdę. Naprawdę odejdę...

– Nawet nie wiem, co mam zrobić – rzekła Kylie.

– Przestań mówić – rozległ się głos mamy. – Kylie, kochanie, tam nikogo nie ma.

– Jest, mamusiu... – wyszeptała Kylie, ale kiedy spojrzała ponownie, anioł zniknął. Mężczyzna natomiast zerkał ku nim przez szparę w zasłonie. Kylie niemal podskoczyła na fotelu – jego oczy były tak podobne do oczu aniołka. Podnosząc wzrok, zobaczyła zmarszczone brwi mamy. Z jakiegoś niepojętego powodu mężczyzna zaczął się uśmiechać.

Kylie wyjrzała za okno. Ziemię okrywały smugi mgły, zrozumiała więc, że są nad morzem, coraz bliżej domu. Właśnie wtedy usłyszała ten dźwięk. Przypominał odgłos, jaki wydawali szkolni koledzy, gdy wsuwając palce do ust i rozciągając od środka policzki naśladowali wystrzał. Gwar na chwilę ucichł, ale nic się nie stało, ludzie podjęli przerwane

rozmowy. Zamigotały światła. Nikt nie zwrócił na to uwagi i maszyna z szumem silników kontynuowała lot.

– Będą ranni, prawda, mamó? – zapytała Kylie. Mama zamrugła oczami. Wpatrywała się w Kylie przez chwilę i pochyliwszy nieco głowę, jeszcze bardziej ściągnęła brwi. Zarysowała się między nimi wąska bruzda strapienia.

– Katastrofa lotnicza – wyjaśniła dziewczynka.

– Kylie, przestań.

Kylie widywała katastrofy w telewizji. Płomienie, dym i krzyczący ludzie... Zamknawszy oczy, widziała to właśnie teraz: wszyscy będą się chwytac jedni drugich, pragnąc by samolot znów wzbił się w niebo.

– Szkoda, że tatuś... – zaczęła Kylie, ale mama przerwała jej, stanowczo ściskając za ramię.

– Proszę – szepnęła drżącym głosem. Z jej rzęs spływały łzy. Kylie chciała je zetrzeć i scałować, ale nie pozwalał na to pas, którym była przypięta do fotela. – Nie mogę tego znieść – mówiła dalej mama. – Jestem zmęczona. Nie chcę już słyszeć ani słowa o aniołach, katastrofach i twoim tacie. Rozumiesz?

Kylie widziała, że krtań mamy się porusza, jakby w gardle utknął jej kamień i próbowała go przełknąć. Im bardziej mama ocierała łzy, tym szybciej płynęły. Kylie wyciągnęła szyję, szukając dziewczynkianiolka, ale już jej nie zobaczyła.

– Muszę iść do toalety.

Mama westchnęła, a potem cierpliwie odpięła najpierw własny pas, a następnie pas Kylie.

– Mogę pójść sama – oświadczyła Kylie.

– Zaprowadzę cię – rzekła mama.

– Jestem już duża – zaoponowała Kylie. Może gdyby zrobiła to, o co prosił ją aniołek; gdyby pomogła tej dziewczynce dać buziaka jej ojcu, może ocaliłaby cały samolot. – Mogę iść sama.

– Dobrze – zgodziła się mama.

May obserwowała, jak Kylie ogląda się za siebie, a potem – oceniwszy wzrokiem drogę, jaką musiałyby pokonać, aby skorzystać z toalety w tyle samolotu – rusza do przodu i rozsuwa zasłonę, kierując się do toalety w klasie biznes. May, skinąwszy głową, nie spuszczała jej z oka. Zobaczyła, że Kylie prosi stewardesę, by otworzyła jej drzwi, i odetchnęła. Potrzebowała tej chwili, żeby się opanować.

Rozmawia z aniołami, pomyślała. Jest schizofreniczką, choć ma dopiero sześć lat. Rozmawia z umarłymi, sądzi, że samolot ulegnie katastrofie. To obłąd, nie jasnovidzenie. Zaświadczenia i wyniki badań upadły jej na kolana; gdyby mogła otworzyć okna samolotu, wszystkie by wyrzuciła. Niechby spadły niczym ulotki na północne wybrzeże Bostonu. Po co pokazywać je lekarzowi; zmieni cały plan i zawiezie Kylie prosto do domu, do Black Hall. Usłyszała swój własny nagły szloch. Miała uczucie, że rozrywa się jej serce.

Przez łzy zerknęła w okno. Pod cienką warstwą mgły coraz wyraźniej widać było ziemię. Zaczęli podchodzić do lądowania. Stewardesa pospiesznie przebiegła do przodu. Pilot przez

głośniki dziękował pasażerom, że wybrali samolot tych linii, i informował, że w Bostonie jest chłodno i dżdżysto.

Przypomniała sobie, jak pewnego razu przyleciała tu wraz z Kylie z Kanady. Babcia sprawiła jej niespodziankę, przyjeżdżając do Bostonu, by towarzyszyć im w czasie wizyty u lekarza. Przepchnąwszy się do wyjścia z dwiema walizkami i wózkiem z Kylie, May zastała tam czekającą babcię. Emily zawsze czuła, kiedy wnuczka potrzebuje jej najbardziej. Wprost zmiatała ludzi z drogi, pomagając May nieść bagaże. May zamknęła oczy, próbując sobie wyobrazić, że dziś także na nie czeka. Próbowwała i próbowała, ale przecież nie mogła się oszukiwać, że tak będzie. W przeciwieństwie do Kylie nie widywała duchów tam, gdzie ich nie było.

Wyciągając szyję, ujrzała bostońskie lotnisko i brzeg otulony grubą nowoangielską mgłą. Gdy zaczęli lądować, mgła ich wchłonęła i May nie zobaczyła już nic więcej. Nagle samolot zadygotał. Światła zgasły i zapaliły się ponownie. Głosy przycichły, zamilkły, a potem znów się podniosły.

– Proszę wrócić na miejsca – zawołała stewardesa, przebiegając pomiędzy rzędami foteli.

Samolot kołysał się i chwiały, nabierając prędkości. May miała wrażenie, że ściąga go w lewo. Czy jej się wydawało, czy naprawdę poczuła dym? Serce zaczęło jej walić. Wreszcie dostrzegła Kylie wychodzącą z toalety. Zobaczyła, jak idzie między fotelami i usłyszała, że stewardesa każe jej szybko wrócić na miejsce. Kylie skinęła głową i natychmiast ruszyła w przeciwnym kierunku.

Zatrzymała się przed hokeistą o błyszczących szaroniebieskich oczach; tym największym, którego nazwała gigantem. Stała w przejściu obok niego i mówiąc coś szybko, rękami wskazywała ku niebu. May pochyliła się do przodu, próbując usłyszeć, co mówi jej córka.

W samolocie powiało paniką; fala zimnego strachu odbiła się na twarzach pasażerów. Jednak hokeista uśmiechał się do Kylie, najwyraźniej wsłuchując się w każde słowo, a potem odwrócił się i spojrzał na nią, z uśmiechem unosząc rękę w geście pozdrowienia. May odpowiedziała mu bezwiednie, machając ręką. Stewardesa odprowadziła Kylie na miejsce i May w końcu posadziła ją obok siebie.

Samolot przechylił się gwałtownie. To nie była turbulencja. May nagle zrozumiała, że spadają. Światła zgasły, potem znów się włączyły. Stewardesa krzyknęła, by się pochylili. May położyła rękę na plecach Kylie i przygięła ją ku dołowi. Wcisnąwszy jej głowę między kolana, mocno trzymała dłoń córki.

Ludzie krzyczeli i płakali. Serce May biło tak mocno, że nie mogła oddychać. Gryzący ciemny dym wypełniał kabinę. Gwałtownie obniżyli lot. Uderzenie było mocne, choć nie znacznie gorsze niż przy twardym lądowaniu. Samolot toczył się jeszcze przez chwilę i wreszcie zatrzymał. Kiedy jednak May spróbowała odpiąć pas Kylie, okazało się, że klamra się zablokowała. Szarpała ją przerażona – na próżno.

– Mamusiu...

May pociągnęła jeszcze mocniej, lecz zatrask pozostawał zamknięty. Spróbowała rozluźnić pas; walczyła z nim wszystkimi siłami, czując, że przegrywa. Nagle ktoś przedarł się przez czarny dym i przykucnął obok. To ów rosły hokeista.

– Nie mogę rozpiąć jej pasa – płakała May.

– Ja to zrobię – rzekł.

Spokojnymi dłońmi rozpiął metalowe klamry. Kylie zarzuciła mu ręce na szyję. Mężczyzna ujął dłoń May, a Kylie wziął na ramię i przepychając się do wyjścia, pociągnął je ku otwartym drzwiom. Za nimi, krzycząc, tłoczyli się inni.

Z piekącymi od dymu oczami May wyjrzała na zewnątrz. Rozwinięto rękaw ratunkowy. Stewardesa, poleciwszy pasażerom zdjęcie butów, kierowała ich do skoku.

– Skaczcie – powiedział hokeista, próbując oddać Kylie w ręce May.

– Nie, nie! – krzyknęła przerażona dziewczynka, jeszcze mocniej zaciskając ręce i nie pozwalając zdjąć się z ramion hokeisty.

Mężczyzna już się nie wahał. Mocno trzymając Kylie, drugim ramieniem objął May i wszyscy troje wskoczyli do żółtego rękawa. Zjazd trwał zaledwie sekundę, lecz May brakło tchu, gdy wylądowała na lotniskowym pasie.

Mężczyzna postawił ją na nogach i odciągnął na bok. Stali teraz twarzą w twarz i patrzyli sobie w oczy. Byli daleko od terminalu. Karetki z wyciem syren pędziły po pasach. Pasażerowie zsuwali się z ratunkowej zjeżdżalni i znalazłszy się na twardym gruncie, gorączkowo rozglądali się za przyjaciółmi i członkami rodziny.

– Dziękuję – wykrztusiła wreszcie May.

– Och, proszę mi nie dziękować – odparł. W jego szarobłękitnych oczach pojawiły się te same wesole błyski, jakie zauważyła przez szparę w zasłonie. – Musiałem...

– Odejźmy od samolotu – powiedziała.

– Jak pani na imię?

– May. May Taylor – odparła May. – A to moja córka, Kylie.

– Skąd wiedziałaś, Kylie? – zagadnął dziewczynkę. Miał francuski kanadyjski akcent.

– O czym wiedziała? – spytała May.

– O tym, co się stanie z samolotem. Stała przy moim fotelu i poprosiła, bym wam pomógł, kiedy przyjdzie pora.

– Kiedy przyjdzie pora...? – May spojrzała na Kylie, która wpatrywała się w oczy hokeisty.

– Ona mi powiedziała – odparła Kylie.

– Jaka ona? – spytał.

– Twoja mała córeczka.

Mężczyzna opadł na kolana, spoglądając jej głębiej w oczy.

– Moja córeczka nie żyje – powiedział. Nadjechały samochody policyjne oraz wozy strażackie i załogi ratunkowe przystąpiły do wyprowadzania ludzi z samolotu. Młody oficer policji pospiesznie gromadził wszystkich w jednym miejscu.

– Martin Cartier! – wykrzyknął, podbiegając z uśmiechem, by ucisnąć dłoń hokeisty. W pięciosekundowym wybuchu wylewności zdołał omówić dogrywki w Pucharze Stanleya, decydujący gol strzelony przez Martina i prawdopodobieństwo pokonania drużyny Mapie Leafs.

– A zatem jest pan hokeistą – powiedziała May.

- Gram w drużynie Boston Bruins. Pochodzi pani z Bostonu?
- Z Black Hall w stanie Connecticut.
- I wysiada pani na lotnisku Logan, zamiast Providence lub Hartford? To dłuższa droga.
- Cóż, Providence jest bliżej – przyznała May. – Ale droga do Bostonu nie jest taka zła.

Mamy tu zresztą coś do załatwienia.

Czując nagle wyczerpanie, zdecydowała, że odwoła wizytę. Doktor Henry będzie musiał poczekać na ocenę Kylie. Zamierzała pojechać prosto do domu, położyć córkę do łóżka i wziąć gorącą kąpiel. Najpierw jednak sięgnęła do kieszeni i zacisnęła palce na małym szklanym flakoniku z kruchym korkiem. Ten niewielki talizman wypełniony był płatkami białych róż. Zastanawiała się teraz, jak mogła kiedykolwiek wątpić w dar Kylie. May wierzyła w czary, tkwiące w najmniej spodziewanych miejscach. Przygotowała ten flakonik i wiozła go ze sobą na szczęście, by dopisało im podczas trudnego pobytu Kylie w Toronto.

– Dziękuję za to, co pan zrobił – wręczyła flakonik Martinowi. – Mam nadzieję, że ten talizman przyniesie panu szczęście w play-offach.

Skinął głową, patrząc na flakonik, który spoczywał w jego dłoni. Pozostali hokeiści także wydostali się już z samolotu i teraz otaczali go wraz z policjantami, strażakami i kilkoma pasażerkami klasy biznes. Martin Cartier podniósł wzrok na May, lecz w tej samej chwili jeden z policjantów poprosił ją, by przeszła dalej. Spostrzegła jeszcze tylko, że ma błyszczące jasne oczy, wydaje się tak nedorzecznie przystojny. Jakaś kobieta podbiegła, by znaleźć się bliżej niego. Była smukła i elegancka, doskonale ubrana i połyskiwała od biżuterii.

Martin olbrzymim ramieniem odsunął ją na bok. Zastanawiając się, dlaczego to uczynił, May zobaczyła, że uśmiecha się do niej. Wydawało się to niemożliwe, szalone i nie licowało z powagą niedawnej wizyty w instytucie psychiatrii, ale May pomyślała, że słynny hokeista odsunął tę piękną kobietę, by móc lepiej widzieć ją...

ROZDZIAŁ 2

Informacje o trudnym lądowaniu samolotu znalazły się we wszystkich gazetach. Ktoś unieruchomił detektor dymu, chcąc wypalić papierosa w toalecie, a potem wrzucił niedopałek do pojemnika na śmieci. Ogień najpierw się tlił, później ‘wybuchnął płomieniem. Automatyczna gaśnica nie zadziałała – złośliwość przedmiotów martwych. Nim ktokolwiek zorientował się w sytuacji, gęsty dym zasnuł kabinę i kokpit, gdy pilot podchodził doładowania.

Całe wydarzenie zyskało tym większy rozgłos, że na pokładzie było kilku zawodników Boston Bruins, łącznie z największą gwiazdą drużyny, Martinem Cartierem. Spadający neseser uderzył go w głowę, a kiedy Złoty Młot ratował jakąś kobietę z dzieckiem, nawdychał się dymu.

Cartierem zajął się lekarz drużyny. Trener chciał zatrzymać go na ławce, ale Martin stanowczo się temu sprzeciwił. Hokejowe kije i krążki przysporzyły mu już gorszych kontuzji i znacznie poważniejszych urazów na lodowej tafli niż to, czego doznał podczas owego trudnego lądowania na lotnisku Logan.

Jadąc swym porsche z Beacon Hill do Fleet Center, Martin usłyszał, jak jakiś komentator sportowy mówi o „kłątwie Cartiera”. Wspomniał, iż zona Cartiera, Trisha, porzuciła go dla młodego bejsbolisty z Teksasu; jego ojciec, Serge Cartier – wielka gwiazda, a potem trener Mapie Leafs – siedzi w więzieniu za oszustwa finansowe... nie mówiąc już o tym, że mimo talentu i pracowitości Martin Cartier, w przeciwieństwie do swego ojca, nie poprowadził żadnej drużyny do zwycięstwa w Pucharze Stanleya. I najgorsze ze wszystkiego: tragedia związana z jego córką, Natalie. Teraz zaś ów pechowy lot z Toronto. Kłątwa Cartiera...

Na myśl o Natalie Martinowi zatrzęśły się ręce. Wcisnął pedał gazu i omal nie zderzył się z ciężarówką przy zjeździe na parking dla zawodników. Przebierając się w szatni, znalazł miniaturowy flakonik, który May Taylor podarowała mu po tym nieszczęsnym lądowaniu. Zastanawiał się, jak to możliwe, iż jej córka wiedziała o Natalie, i zamiast odstawić ów flakonik na bok, wsunął go do kieszeni.

Wpadł na taflę hali Fleet Center, witany owacją i głośnymi gwizdami, i przez następne trzy tercje bronił bramki swego zespołu przed atakiem. Agresywnie nękał zawodników Mapie Leafs, drużyny z Toronto, wielokrotnie przejmując krążek. Zawsze szybki, tego wieczoru prześcigał samego siebie.

Ray Gardner i Bruno Piochelle przyłączyli się do niego na skrzydłach, siejąc wspólnie postrach wśród zawodników Toronto. W ataku Martin był wściekle twardy. Już w pierwszej tercji dwukrotnie wbił krążek do siatki przeciwnika. Zapomniał o kontuzjach, zapomniał o kłątwie, zapomniał o wygranej czy przegranej – jakaś siła, której nigdy przedtem nie czuł, powiodła go do siatki po raz trzeci, miał więc swój pierwszy hat trick.

Boston Bruins wygrali 3:0.

Po meczu, w którym wszyscy wróżyli im przegraną, Martin wszedł pod prysznic i pozwolił gorącej wodzie spływać po swoim ciele. Smakował zwycięstwo, zapominając o

niemiłej gadaninie i rozkoszując się wygraną. Gdyby Serge Cartier oglądał dziś ten mecz, nie by nie zarzucił grze Martina. Może to różane płatki May przyniosły mu szczęście.

Ray Gardner, najbliższy przyjaciel i kolega z drużyny, dogonił go w szatni. Grali razem od dawna; najpierw w Vancouver, potem w Toronto, a przez ostatnie dwa sezony w Bostonie. Obydwaj wyrosli w kanadyjskim LaSalle jako jedynacy zwykle nieobecnych ojców-hokeistów wychowywani przez matki na wiejskich farmach. Ich miłość do hokeja narodziła się na cichych górskich jeziorach pod bezkresnym niebem. Tam też raz na zawsze związała ich przyjaźń.

– Nieźle im dzisiaj dołożyłeś, Martin.

– *Mercie Ray.*

– Krążek tylko fruwał! – dodał Ray i obaj zachichotali na myśl o trzech strzałach Martina przelatujących ze świstem obok głowy bramkarza przeciwników.

– Myślałem, że ten trzeci gol wymiecie gościa z siatki! – śmiał się Martin, wciąż rozgrzany zwycięstwem. Widział białka oczu tamtego bramkarza, słyszał dźwięk krążka uderzającego w prawy bok jego kasku.

– Jak jeleń schwyty w światła reflektorów – chichotał Ray. – Nie zdążył zejść z drogi! Zjesz dziś kolację ze mną i z Genny?

– Chcę się trochę przespać – odparł Martin. – Starzeję się. Trzydzieści osiem lat to nie przelewki. Powinienem już się wycofać. Chcę wygrać w tym roku. Najwyższa pora, co?

Ray skinął głową. Wiedział, jak bardzo Martin chce wygrać Puchar Stanleya. Wszystkie inne zdobycze wydawały się drugorzędne, gdy Puchar wciąż mu się wymykał.

Uściskawszy dłoń Raya, Martin ruszył do samochodu, wsuwając szklany flakonik do kieszeni dzinsów.

Długo nie mógł zasnąć. Myślał o Natalie, wciąż żywej w jego pamięci. Jednakże przed oczami miał małą dziewczynkę z samolotu, jej wilgotne oczy i natarczywy szept: „Pomożesz nam? Bez względu na to, co się stanie po wylądowaniu samolotu, pomożesz mnie i mojej mamie?”

Skąd wiedziała?

Przedzierając się przez dym czuł, że kieruje nim wewnętrzny przymus. Minął otwarte drzwi, by chwycić dłoń matki i unieść w ramionach dziecko. Nie zastanawiał się, działał tak, jakby nie miał wyboru.

Potem spędził piętnaście minut w ich towarzystwie.

Nie mógł przestać o nich myśleć. Czy nękało go podobieństwo tego dziecka do Natalie, czy to, że domyśliła się, iż miał córkę? A może uroda matki? Martin zdecydowanie pokręcił głową. Nie wiedział, dlaczego w ogóle się nad tym zastanawia.

Już dawno wziął rozbrat z ludźmi, szczególnie zaś unikał porządnych kobiet z dziećmi. Wokół pełno było entuzjastek hokeja; umawiał się z nimi. Nie był z siebie dumny, po prostu tak się rzeczy miały. Cóż mogła mu dać zwykła miła kobieta?

Życie to ryzyko, a w jego świecie jedynym miejscem, gdzie czuł się bezpieczny, była lodowa tafla.

Ale potem zobaczył Raya z Genny, a może zmęczył się opowiadaniem kolejnym

dziewczynom tych samych bezsensownych bzdur, i wyobraził sobie inny rodzaj związku. Wyobraził sobie prawdziwą troskę o kobietę, pragnienie, by było jej jak najlepiej, i takie zaufanie, by móc jej opowiadać o nadziejach i snach. Ona również dbałaby o niego, obejmowała go w nocy i mówiła, że nie jest sam.

Zrzucił kołdrę, obrócił się na plecy i wpatrzył w sufit. Miał w życiu wiele kobiet – piękne modelki i sławne aktorki, lecz oto ogarniała go obsesja na punkcie nieznajomej. Wciąż widział jej twarz... te baczne oczy, olśniewający uśmiech, niedbale związane rudawe włosy. Zastanowił się przelotnie, jak daleko od Bostonu leży Black Hall w Connecticut. A potem zapadł w sen.

Gospoda stała w środku sadu, trzy mile od Trumbull Cove, skąpana w świetle wybrzeża, które od stu lat przyciągało artystów do tej części Connecticut. Ziemia była tu jasna od górskiego wawrzynu i ciemna od granitowych skał.

Pod jabłoniemi zaparkowano cztery samochody, a wewnątrz panna młoda z matką i druhnami dreptały w kółko i rozmawiając, oglądały fotografie.

Babcia May, Emily, zbudowała ten dom wraz ze swym mężem, Lorenzem Dunne, ale w rodzinnej agencji organizowania wesel – Weselnej Gospodzie – pomagała jej córka jedynaczka, Abigail, matka May. Ich księgi, dzienniki i albumy z fotografiami wypełniały półki wbudowane w pobielone drewniane ściany. Żółty kot czał się na podłodze, strzegąc domu przed myszami.

Stojąc w oknie, May rozmawiała cicho z Tobin Chadwick, swą najdawniejszą i wciąż najlepszą przyjaciółką. Tobin po ślubie pozostała w Black Hall, a gdy jej najmłodszy syn poszedł do szkoły, zaczęła pracować w Weselnej Gospodzie. Niewysoka i silna, miała ciemne włosy, a na jej twarzy zawsze jaśniał czarujący uśmiech. Obie lubiły jeździć na rowerach po stromych górskich drogach, chętnie wyprawiały się też na wędrowki na płaskim terenie.

– Zacznij od Toronto – powiedziała Tobin – albo od katastrofy samolotu. Aż trudno uwierzyć, jaki dzień miałyście wczoraj.

– Był pełen wydarzeń – May potarła siniak na łokciu.

– Co powiedzieli lekarze?

– Zbadali Kylie – odparła May. – Pokazali jej dwie karty, jedną czerwoną i jedną niebieską, a potem przemierzali je wielokrotnie, odwrócone położyli na stole i kazali odgadywać, która jest która. Kilka razy z rzędu.

– Jak w kasynie. – Tobin zmarszczyła brwi.

– Tak to wyglądało – przyznała May. – Kazali jej też odgadywać liczby. Ani razu się nie pomyliła, ani razu! Potem wręczyli jej pióro i polecili pisać lewą ręką...

– Kylie jest praworęczna.

– Wiem. Nazwali to „pisanem duchowym”.

– Czyżby kontaktowała się z duchami? – zapytała Tobin z lekkim uśmiechem. Czasami nie wiedziała, co o tym myśleć. Większości ludzi wydawało się dziwne, że renomowany uniwersytet ma wydział zajmujący się fenomenami psychicznymi. Uważali też za niezwykle, iż córka May miałaby być obiektem jakichś prowadzonych tam badań. Dla May, z jej ziołami,

różami i miłosnymi zaklęciami, było to mniej osobliwe.

– No cóż, na uniwersytecie nie – powiedziała – ale w samolocie...

– Co się stało?

– Wcześniej niż wszyscy inni wyczuła, że coś złego dzieje się z samolotem. Twierdzi, że widziała jakiegoś aniołka. Podeszła prosto do pewnego człowieka... – May wpatrując się w dal przypominała sobie wyraz oczu hokeisty – i poprosiła, żeby nam pomógł, gdy nadejdzie pora. Potem oświadczyła, że zrobiła to na polecenie jego córki...

– Jego córki?

– Jego nieżyjącej córki.

Rzuciwszy okiem na weselne towarzystwo, May zorientowała się, że klientki podjęły już decyzję i znalazły w albumach zdjęcia, które im się spodobały. Panna młoda skinęła ku May, która odpowiedziała jej gestem. Żołądek skurczył jej się boleśnie na myśl o Kylie. A jeśli to nie magia, ale schizofrenia?

– Twoja córka ma bujną wyobraźnię, May, to wszystko – powiedziała łagodnie Tobin.

– Rozmawia z ludźmi, których już nie ma.

– Twoja babcia także mówiła do siebie. A pamiętasz, jak byliśmy dziećmi? Ileż to razy czytałyśmy książki o dzieciach, które miały wymaganych przyjaciół... Też chciałyśmy ich mieć.

– Miałyśmy siebie – powiedziała May.

– Wiesz przecież, że jej miejsce jest w domu, a nie w gabinetach lekarskich. – Tobin objęła przyjaciółkę. – Fantazjuje od czasu znalezienia tego ciała...

– Wiem.

– Mnie też dręczyłyby koszmary, gdybym przeżyła coś takiego, a Kylie miała wtedy zaledwie cztery lata – rzekła wzdrygając się Tobin. – Jestem zaskoczona, że nie badają ciebie. Też tam byłaś i również to widziałaś.

– Tak – przyznała May. Zamknawszy oczy, zobaczyła szczerzącą się czaszkę, której otwarte usta wydawały się błagać, by coś zrobiła. Kylie śniła koszmary o martwych głowach proszących ją o pomoc. May otworzyła oczy i spojrzała na przyjaciółkę.

– Jest tu trochę samotna – mówiła dalej Tobin. – W okolicy nie ma żadnych dziewczynek, z którymi mogłaby się bawić. Powinnam była urodzić córki, a nie synów.

– Wiedziałam, że to twój błąd! – May starała się żartować. – Ci lekarze chcą zobaczyć ją ponownie. W czerwcu. Chcą też, żebym nadal prowadziła dziennik jej widzeń.

– Wyrośnie z tego, zobaczysz.

– A może zostanie aktorką lub pisarką... Kiedy one wykorzystują swoje wizje, nikt nic nie mówi.

– To prawda – przyznała Tobin.

Klientki ruszyły w ich stronę i czas był wrócić do pracy. Dora Wilson, przyszła panna młoda, przedstawiła May swoją matkę, najlepszą przyjaciółkę, Elizabeth Nichols, i dwie dawne koleżanki z college'u.

– May, zechcesz, proszę, przemówić jej do rozumu? – zawołała matka Dory. – Dora chce urządzić wesele w piątkowy wieczór, ja zaś powtarzam, że to niemożliwe. Jedna połowa

rodziny przyleci tu z Cleveland, druga zaś przyjedzie z Baltimore. Miła ceremonia popołudniowa...

– Mamo – drżącym głosem przerwała panna młoda. – Wiesz przecież, że chcę, by ceremonia odbyła się w blasku świateł. Zawsze chciałam. Ja...

– Takie ceremonie są już niemodne. – Pani Wilson lekceważąco machnęła ręką. – Ludzie organizowali je w latach siedemdziesiątych. Były okropnie nużące... Boisz się dziennego światła? Obiecuję, że nikt się nie domyśli twojego wieku. May ma wspaniałą wizażystkę; widziałam, co zrobiła dla Shelley Masters. Ty też widziałas, a przecież obie wiemy, że Shelley jest od ciebie starsza!

May posłała Tobin jedno spojrzenie i niczym zgrana para gliniarzy rozdzieliły obie panie. Tobin wzięła pod rękę panią Wilson, a May zajęła się Dorą.

Rozpoczynając pracę, May sądziła, że będzie angażowana głównie przez młode kobiety niepewne własnego gustu. Przekonała się jednak, że wiele jej klientek to panie trzydziestopięcioletnie lub starsze, które zrobiły już karierę zawodową. Przychodziły z teczkami i telefonami komórkowymi. Dzisiejsza klientka, Dora Wilson, miała czterdzieści jeden lat i była kobietą interesu. Nosiła kostium od Armaniego, eleganckie pantofle Prądy, staranną fryzurę wykonaną przez Jasona z Silver Bay i szczyliła się doskonałą, mozolnie ukształtowaną sylwetką i zadbanym ciałem. Jednakże, jak większość nowych klientek, ilekroć zadawano najważniejsze pytania – o liczbę uczestników, porę i miejsce uroczystości – oglądała się na matkę.

– Chyba ma rację – powiedziała Dora, gdy May podeszła bliżej. – Sobotnie popołudnie będzie lepsze. Bardziej praktyczne.

– Nie – May spojrzała Dorze prosto w oczy. – Myli się.

– Krewni przyjeżdżają z daleka...

– Myli się – powtórzyła May. Nie spuszczała z Dory wzroku i nie pozwoliła uciec jej spojrzeniu. Dora mrugała powiekami, jakby próbowała oprzeć się hipnozie. – To jest twoje wesele. Ty będziesz panną młodą. Twoja matka miała już tę okazję. Przez całe życie marzyłaś o ceremonii w blasku świateł.

– Ale może popełniam błąd. Im więcej myślę... – zaczęła Dora.

May spojrzała na nią uważnie. Dziś Dora miała na sobie dżinsy i sportowy granatowy sweter. Wyglądała w nich znacznie mniej pewnie niż zwykle.

– Wiesz co w takich chwilach mawiała moja matka?

– Co?

– Nie myśl więcej. Myśl mniej.

– Mniej? Mój Boże, jest tyle rzeczy, które trzeba przemyśleć, tyle szczegółów! Kiedy sprzedaję jakiś dom, wierz mi, nie mówię nabywcy, by myślał mniej; trzeba wszystko obejrzeć, dokonać wyceny, zawrzeć umowę... a wesele jest jeszcze bardziej skomplikowane!

– Mniej, Doro – rzekła spokojnie May. Głowę pełną miała obaw o Kylie, koszmarnych obrazów wisielca i uwag, jakie czynili psychologowie. Kiedy jednak pomyślała o własnej matce, poczuła, że część tego napięcia znika. Po drugiej stronie sali Tobin spokojnym głosem stanowczo rozmawiała z panią Wilson.

– Musimy wszystko zaplanować, sporządzić listy! – Dora była bliska hysterii. – Jak mam, pani zdaniem, planować cokolwiek bez namysłu?

May usiadła. Współczuła tej pannie młodej w średnim wieku. Chciała znaleźć jakiś sposób, by jej pomóc. Nagle złapała się na tym, że myśli o hokeiście. Kiedy podnosił Kylie, musnęli się dłońmi, a jego niebieskie oczy wydawały się patrzeć prosto w jej serce. Żaden mężczyzna od dawna nie pomógł jej tak jak on. Chcąc wesprzeć teraz Dorę, May pomyślała o oczach Martina Cartiera i odchrząknęła.

– Całą duszą – odparła. – Całym sercem. Wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Dory. Czowała, jak z czubków palców jej spokojnej dłoni serdeczna siła przepływa w drżącą narzeczoną. Dora była śmiała, szorstka i całe czterdzieści jeden lat uwidoczniło się w zmarszczkach wokół jej wąskich ust, ale ów gest w jednej chwili przemienił ją w bezbronną szesnastolatkę.

– Zawsze marzyłaś o ceremonii w blasku świateł – powiedziała May.

Dora podniosła wzrok i nagle jej oczy napęcznieły się łzami.

– To prawda... – wyszeptwała.

– Więc będziesz ją miała.

– Ale moja matka...

– Weź głęboki oddech – poleciła jej May, słysząc głos pani Wilson.

– Ale ona...

– Weź głęboki oddech – powtórzyła z naciskiem May – a potem powiedz jej: „nie”.

– Są rozwiedzeni – mówiła szybko Dora, pozwalając płynąć łzom. – Mój ojciec mieszka z drugą żoną w Watch Hall. Nie mam rodzeństwa. Jestem jej jedyną córką. Pragnie dla mnie szczęścia. Ona także ma marzenia. Nie chcę jej rozczarować...

– Wiem – odparła cicho May.

Dora uściśnęła ją, lecz May ledwie to poczuła. Odwróciwszy się, przemierzyła całą weselną salę, po czym zamknęła się w toalecie i odkręciła kran. Woda płynęła mocno, szybko i wystarczająco donośnie, by utonęły w niej głosy klientek. May pochyliła się nad gorącym strumieniem, wdychając parę. Wyobrażała sobie, że ciepła mgła zmywa wszystkie jej problemy. Matka zawsze kazała jej wierzyć we własną siłę, w magię codzienności.

Nie próbujcie się wymykać, mówiła zwykle jej matka wszystkim narzeczoną. Nie uciekajcie w towarzystwo, zakupy, ćwiczenia, pracę. Pozostańcie roztropne, obecne i bliskie. Podniósłszy głowę, May zobaczyła, że lustro zasnuło się mgłą. Przecierając je dłonią, spojrzała w oczy wypalonej organizatorce wesel. Żałowała, że nie może wyczarować ducha swojej matki, znaleźć ukojenia w wizjach, jakie miewała Kylie.

Poprzez grube drewno dochodziły do May głosy osób rozmawiających za drzwiami toalety. Dora i jej matka podejmowały decyzję: wesele odbędzie się w piątkowy wieczór.

May zamknęła oczy. Na co liczyło tak wiele narzeczoną – że wspaniała suknią, wspaniałe wesele i wspaniały mężczyzna dadzą w sumie wspaniałe życie? Niegdyś sama o tym marzyła. Zakochała się, miała nadzieję, że wyjdzie za mąż. Magia miłości! Czasami bała się, że zadławi ją własna gorycz.

Pomyślała o Kylie. A jednak miłość jej nie ominęła, tylko pojawiła się w innym

opakowaniu.

Osuszyła twarz i wyszła z toalety. Tobin niosła naręcze różowych róż; tuż za nią dreptała ciocia Enid.

– Dla Dory? – zapytała May. Niektórzy mężczyźni przysyłali do Weselnej Gospody kwiaty dla swoich oblubienic. Jakież to było romantyczne!

– Właściwie nie – odpowiedziała ciocia Enid, najmłodsza i jedyna pozostała przy życiu siostra babci May. Podobnie jak babcia, miała srebrzysto-siwe włosy, jasnobłękitne oczy i szlachetne maniery, które skrywały głęboką ciekawość wszystkiego, co działo się w życiu innych ludzi.

– Przysłano je dla ciebie – dodała Tobin. Otoczyły je druhny Dory, ciekawe, od kogo May dostała kwiaty.

May przeczytała wizytówkę.

– *Dziękuję. Wygraliśmy. Martin Cartier.*

– Facet z samolotu? – zapytała Tobin.

– Tak – odparła May.

– Martin Cartier? – dopytywała się jedna z zaciekawionych druhen. – Ten Martin Cartier?

– Jest hokeistą – rzekła May.

– Wiem, kim on jest – odpowiedziała druhna. – To najprzystojniejszy sportowiec na świecie.

Czarny kot otarł się o kostki May, przyprawiając ją o dreszcz.

– Jak to się stało, że dostajesz róże od najprzystojniejszego sportowca na świecie? – zapytała pani Wilson.

– I oczywiście będzie je dostawać – mruknęła ciocia Enid z oczami półprzymkniętymi niczym znający się na rzeczy kot.

May trzymała bukiet, pozwalając, by otulił ją głęboki, piżmowy zapach róż. Już dawno, bardzo dawno nikt nie przysyłał jej kwiatów. Ich woń, zmieszana z jakimś zatartym wspomnieniem, ścisnęła ją za gardło.

– Chyba musimy się udać na długą rowerową przejażdżkę – powiedziała znacząco Tobin.

– Gdy tylko wszyscy wyjdą. – May uśmiechnęła się, wachając róże.

ROZDZIAŁ 3

Boston kochał sport i gazety pełne były artykułów poświęconych awansowi Boston Bruins w play-offach. May w istocie nigdy nie kibicowała hokeistom, ale teraz łapała się na kupowaniu gazet, lekturze tekstów o Martinie i sprawdzaniu wyników. Tydzień później, w sobotnie popołudnie, obsługując klientów wypełniających szczelnie Weselną Gospodę, słuchała razem z Tobin cicho nastawionego radia transmitującego kolejny mecz.

– Co to za odgłosy? – zapytała matka panny młodej, marszcząc brwi. Pani Randall była zacną matroną w szytym na miarę kostiumie i eleganckich butach, a przede wszystkim z poczuciem dobrego smaku, w którego granicach nie mieściły się radiowe transmisje rozgrywek sportowych w sali weselnej.

– Grają Boston Bruins – odparła Tobin.

– Kiedy byliśmy tu ostatnio, rozbrzmiewała taka śliczna muzyka. No, wicie, ta młoda Irlandka.

– Loreena McKennit – podpowiedziała ciocia Enid. – Włączę płytę. – Ruszyła do gramofonu, ale May chwyciła ją za rękę.

– Zostały jeszcze dwie lub trzy minuty. Chcę wysłuchać do końca.

– Kochanie, to jest Weselna Gospoda. Twoja mama zawsze mówiła, że sprzedajemy nastrój, a nie tylko oprawę. Jeśli chcą słuchać Loreeny McKennit...

– Jej matce nie uratował życia Martin Cartier – stwierdziła Tobin. – To są decydujące mecze.

– Tobin ma rację, ciociu – bąknęła May.

– W tej firmie najważniejsza jest atmosfera – oświadczyła ponuro ciocia Enid i odeszła.

Państwo Randallowie podpisali jednak poważną umowę na stroje, kwiaty, ceremonię zaślubin i weselne przyjęcie, a Boston Bruins wygrali, wszyscy więc byli zadowoleni. *Boston Bruins pokonali Toronto Maple Leafs* – obwieścił sprawozdawca. – *Zwycięską bramkę strzelił Martin Cartier i bostończycy są o krok bliżej spotkania z drużyną Edmonton Oilers w walce o Puchar Stanleya.*

– Martin, Martin – skandowała Kylie wraz z tłumem kibiców, których słyszać było w radiu.

– Martin? – May uśmiechnęła się słysząc, jak Kylie wymawia jego imię z akcentem francusko-kanadyjskim, tak iż brzmi ono „Marten”.

Zadzwoił telefon.

– Tu Weselna Gospoda... – Ciocia Enid słuchała przez chwilę, po czym z zadowoleniem oddała słuchawkę May.

– Halo?

– Wygraliśmy – w słuchawce zabrzmiał francuski akcent Martina. – Twoje różane płatki przyniosły mi szczęście.

– Wiem, słyszałam.

– Naprawdę? Lubisz hokej?

– Od niedawna – przyznała. – Dzwonisz z lodowiska? Mecz skończył się ledwie przed chwilą!

– Jestem w szatni.

– Ojej! – May wyobraziła go sobie w stroju hokeisty, otoczonego przez pozostałych zawodników. Słyszała ich śmiech i nawoływania. Jej partnerki, Kylie, Tobin i ciocia Enid, stały w milczącym półkolu, nawet nie udając, że nie podsłuchują.

– Dostałaś róże? – zapytał.

– Tak – odparła. – Są piękne. Chciałam ci podziękować, ale nie wiedziałam, gdzie telefonować. Jak mnie znalazłeś?

– May Taylor w Black Hall, stan Connecticut – powiedział. – To nie było trudne.

– Zapomniałam, że ci mówiłam. Tyle działo się w samolocie... Ja także chciałam ci podziękować.

– Jak się miewa twoja córka?

– Doskonale. A co u ciebie?

– Od tego czasu latałem już czterokrotnie – odparł.

– Ale nęka mnie to co noc, gdy zasypiam.

– Mnie również – przyznała May. Od czasu lotu z Kanady miała koszmary senne. Oczy ją piekły i gardło paliło, dym spowijał ją i Kylie, a ona nie znajdowała wyjścia... Kylie śnił się aniołek, którego widziała w samolocie; poważna, białoskrzydła istota unosząca się nad głową swego ojca. May solennie zapisała ten incydent w dzienniku, teraz zaś myśląc o nim spojrziała na Kylie.

– Czy moglibyśmy kiedyś o tym porozmawiać? – spytał.

– Zadzwoń do ciebie. A może zjedlibyśmy razem kolację?

– Nie wiem – odparła z ociąganiem May. – To pora ślubów. Mam dużo zajęć.

– *Bien...* – wydawał się rozczarowany. – Teraz muszę zdążyć na następny samolot. Lecimy do Nowego Jorku na kolejną serię rozgrywek. Życz mi szczęścia.

– Szczęśliwego lotu! – rzekła May.

– Miałem na myśli hokej.

– Wygranej też ci życzę – odparła i poczuła zawód, właściwie nie wiedząc dlaczego.

Nie spodziewały się już tego dnia klientów, May poprosiła więc ciocię Enid, by przez godzinę zaopiekowała się Kylie, i pojechała z Tobin na rowerową przejażdżkę. Dęby i klony pokryły się już młodymi liśćmi, a kasztany właśnie zaczynały kwitnąć. Na kręte drogi kładły się fiołkowe cienie.

Ruszyły doliną ku Crawford Hill, powoli pokonując długie wzniesienie. May jechała za Tobin. Utrzymując stałą prędkość, minęły porzucony młyn, sad Childe'a i kotlinę zarośniętą sosnowym lasem. Przez całe ich życie okolica niemal się nie zmieniła; May usiłowała zliczyć, ile razy przejechały na rowerach tę samą trasę. Kiedy skręciły na drogę wiodącą do starej farmy, gdzie nigdy nie było ruchu, Tobin zwolniła, by May mogła się z nią zrównać.

– Co powiedział? – zapytała. Po tylu latach przyjaciółki potrafiły praktycznie czytać sobie w myślach.

– Zaprosił mnie na kolację.

– W tej części rozmowy, gdy powiedziałaś, że jesteś tak niewiarygodnie zajęta?

– Nie ujęłam sprawy w ten sposób...

– Chciałaś się wykręcić – stwierdziła Tobin. – Czułam to od początku.

– Ja przynajmniej nie podsłuchuję – burknęła May i zaczęła zawzięcie pedałować. Wyprzedzając przyjaciółkę, czuła na plecach krople potu. W piersiach ją paliło nie tylko z wysiłku. Chciało jej się płakać, nie wiedzieć czemu.

– Przepraszam – powiedziała Tobin, doganiając ją – ale nie każdego dnia moja najlepsza przyjaciółka puszcza w Weselnej Gospodzie mecz hokeja zamiast nastrojowej muzyki. Zdumiewasz mnie.

– Co cię zdumiewa?

– Przecież wiesz.

– Chodźmy na lody – powiedziała May.

Zjechały ze stoku, mijając po drodze białe kościoły miasteczka. Tym razem Tobin, choć pedałowiała bardzo szybko, nie zdołała dogonić May, która zahamowała dopiero na piaszczystym podejździe rozklekotanej budki z lodami.

Zamówiły swoje ulubione lody: May orzechowo-klonowe z czekoladowymi wiórkami, Tobin zaś waniliowe.

– Dlaczego nie chcesz się przyznać? – indagowała Tobin liżąc swoją porcję. – Przecież ci się podoba.

– Za mało orzechów. – May przymknęła oczy.

– Przecież nie byłoby w tym nic złego. Zjadłby cię, gdybyś poszła z nim na kolację?

– Przeszliśmy razem przez coś bardzo poważnego – odparła May, zlizując lodowy sopel, zanim spadł jej na bluzkę. – Pomógł nam wyjść z samolotu.

– I polubiłaś go.

– Ledwie go znam.

– No dobrze, ujmijmy to inaczej: zwrócił twoją uwagę.

– To nie byłby dobry pomysł – powiedziała May i ponownie zamknawszy oczy, nadal lizała lody.

– W ostatnich latach miałaś aż za dobre pomysły – odparowała Tobin. – Nauczyłaś się myśleć, zamiast czuć. To jest twój problem.

Oczy May w jednej chwili napełniły się łzami: Tobin mówiła prawdę. Pomyślała o Gordonie Rhodesie, ojcu Kylie. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, a kiedy poczęli dziecko, poszybowała ku szczęściu, o jakim nigdy przedtem nie śniła. Była otwarta na życie, miłość, związek z drugą osobą, ale wtedy Gordon powiedział, że jest żonaty. Żyje w separacji, ale jest żonaty.

– Umawiam się – bąknęła. – Bardzo często...

– Nie bujaj – przerwała jej Tobin. – Z Melem Norrisem i Howardem Droginem, dwoma sąsiadami, którzy z pewnością nie przyprawiają cię o drżenie serca. Od czasu Gordona unikasz wszelkiego ryzyka.

– Z drugim lekarzem Kylie – powiedziała May – Cyrusem Baxterem, tym psychiatrą z Bostonu... Zjadłam z nim kiedyś kolację.

- Ale gdy zaprosił cię ponownie, przeniosłaś ją do lekarzy w Toronto.
- Doktor Henry twierdzi, że w Toronto są lepsi specjaliści. – Po policzkach May spływały łzy. – Dlatego ją przeniosłam. Doktor Baxter nie miał z tym nic wspólnego.
- Och, May...
- Wiesz, że nie kierowałabym się tego rodzaju uczuciami, gdy chodzi o zdrowie Kylie.
- Wiem.
- A poza tym Martin Cartier może być żonaty.
- Nie jest – oświadczyła Tobin.
- Skąd wiesz?
- Sprawdziłam.

Oczy May rozszerzyły się ze zdumienia, a przyjaciółka przepraszająco wzruszyła ramionami. Tobin miała ciemne włosy i duże jasne oczy; patrzyła teraz spod grzywki tak, jakby sądziła, że May się na nią rozgniewa.

– Co zrobiłaś?

– Zatelefonowałam do rzecznika prasowego drużyny Boston Bruins i powiedziałam, że jestem redaktorką działu ślubów, piszę artykuł o żonatyh hokeistach i myślę o włączeniu do grona jego bohaterów Martina Cartiera. Facet wybuchnął śmiechem, a potem powiedział, że mam pecha, gdyż Martin Cartier, kawaler, wciąż uważany jest za najlepszą partię w NHL.

– Po co więc zaprasza na kolację właśnie mnie?

– Wie, co dobre – odparła Tobin.

May utkwiała wzrok w czubkach swoich butów. Była samotną matką, która popełniła kilka błędów, a teraz chciała tylko dobrze wychować Kylie i pomóc innym kobietom w spełnieniu marzeń o weselach z ich snów. Minęło wiele czasu, odkąd sama pieściła podobne marzenia. Dawno przestała wierzyć, że rodzinna magia i miłosne zaklęcia na nią działać będą tak, jak na inne kobiety.

– Masz na brodzie kawałek orzecha. – Tobin oblizwała kciuk i starła kroplę lodu z twarzy May.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

– Najpierw „sprawdzasz” mojego hokeistę, teraz wycierasz mi twarz...

– Cóż, robię to, gdyż tego spodziewałby się po mnie twój ojciec – odparła Tobin.

May podniosła wzrok, by spojrzeć na przyjaciółkę. Wychowywały się jak siostry, często zostawały u siebie na noc, jeździły razem na wakacyjne obozy, chodziły do kina i urządzały wypadki na plażę z rodzicami. Tobin żartobliwie nazywała czasem rodziców May mamą i tatą, a May tak samo zwracała się do rodziców Tobin.

– Mój ojciec...? – May zamrużyła oczami.

– Nie ma go tutaj, by sam mógł się o ciebie zatroszczyć, a ja jestem przekonana, że chciałby dowiedzieć się absolutnie wszystkiego o zawodniku Boston Bruins, który ugania się za jego córką.

– Postanowiłaś więc zasięgnąć tych informacji za niego?

– Twoi rodzice – odparła Tobin, skinąwszy głową – nie chcieliby także, abyś jeździła po

Black Hall z lodami na twarzy, więc zrobiłam to, co musiałam. Po tych lodach prawdopodobnie nie będziemy mogli zjeść kolacji.

– Nie powiem o tym twoim synkom, jeśli ty nie powiesz Kylie.

Zaśmiewając się, wskoczyły na rowery i krętymi drogami pojechały do domów.

Pięć dni później Martin zadzwonił ponownie. Tym razem May złapała się na tym, że czeka na jego telefon. Zarwała noc, by obejrzeć mecz. Bostończycy wygrali i w finale czekało ich spotkanie z Edmonton. Sprawozdawca był w ekstazie; May także ogarnął entuzjazm. Czekala jeszcze przez chwilę i gdy już niemal zasypiała, usłyszała dzwonek telefonu.

– Obudziłem cię? – zapytał.

– Nie, właściwie nie – odparła. – Gratuluję dojścia do finałów.

– Słyszałaś? – Był wyraźnie zadowolony.

– Tak. Ja i większość Nowej Anglii. Z pewnością jesteś bohaterem dnia.

Martin się roześmiał. W tle rozbrzmiewały jakieś głosy.

– Czy tam ktoś jest? – zapytała.

– Tak, jestem z kolegami. Idziemy uczcić zwycięstwo. Wyobraziła sobie przystojnych sportowców otoczonych urodziwymi kobietami, jak ta w samolocie, i przypomniała sobie słowa Tobin, że Martin jest najlepszą partią w NHL. To szaleństwo myśleć o nim. Żyli w różnych światach. On był bogaty, sławny i mógł mieć każdą kobietę na jedno skinienie ręki.

– Co robisz? – zapytał.

– Zamierzam właśnie pójść spać.

– Dlaczego nie przyjedziesz do Nowego Jorku? To tylko dwie godziny. Gdybyś wskoczyła do najbliższego pociągu, byłabyś tu przed północą.

May roześmiała się nerwowo. Wydawał się mówić poważnie, ale była przekonana, że żartuje.

– Chciałbym tego – dodał.

– Moja wieczorowa sukienka jest niewyprasowana – zażartowała – a córka wcześniej kładzie się spać.

– Jak się miewa Kylie?

– Doskonale.

May usłyszała, że ktoś go woła. Przykrył dłonią słuchawkę, dotarły jednak do niej strzępy rozmowy o limuzynie, przyjaciołach i jakiejś restauracji przy Dwudziestej Wschodniej.

– Musisz już iść – powiedziała, gdy wrócił do rozmowy.

– Czekają na mnie.

– W porządku. – Serce waliło jej jak młotem.

– Czy doznałaś kiedyś uczucia, że pewne rzeczy, jakieś sprawy, musiały się wydarzyć? – zapytał.

– Na przykład jakie?

– Nie potrafię tego wyjaśnić – odpowiedział. – Odkąd zobaczyłem cię w samolocie...

– Masz na myśli te chwile po wypadku, gdy przyszedłeś, by nam pomóc?

– Nie, wcześniej – rzekł. – Kiedy się obejrzałem i zobaczyłem cię z tyłu. Wiedziałem, że muszę z tobą porozmawiać, ale nie wiedziałem dlaczego.

– Brzmi tajemniczo. – Próbowała pokryć zdenerwowanie śmiechem.

– Jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór, wiem, powiesz, że jesteś zajęta – mówił dalej – ale może jutro zjesz ze mną kolację? Wracam do Bostonu. Będę tam o siódmej.

– Dobrze – zgodziła się, mając w pamięci słowa Tobin. – Chętnie.

Odkładając słuchawkę zauważyła, że ręce jej się trzęsą. Już miała dzwonić do Tobin, żeby opowiedzieć o tej rozmowie i zażartować, że Martin Cartier wciąż jest do wzięcia – czego dowodem zaproszenie May na kolację i romantyczna gadka o przeznaczeniu – ale zamiast tego usiadła na łóżku, słuchając nocnych ptaków i świerszczy. Skąd wiadomo, co komu przeznaczone i czy w ogóle można to odgadnąć...

Zmierzch następnego dnia był chłodny i spokojny; w powietrzu rozbrzmiewała muzyka tysiąca żab. Na lawendowym niebie pokazało się już kilka gwiazd. Kylie siedziała na poprzeczce starego ogrodu, wypatrując samochodu Martina. Mama powiedziała, że Martin przyjedzie, ale ona w to nie uwierzy, dopóki go nie zobaczy na własne oczy. Lecący nad jej głową samolot zostawił biały ślad niczym magiczny, zrobiony kredą znak. Kylie podążyła za nim wzrokiem, obserwując, jak znika. Jej wielkie natchnienie także dokonało się w powietrzu.

Usłyszała silnik samochodu. Odgłos dobiegający z szosy brzmiał donośnie i potężnie. Wynurzywszy się zza drzew, czarny kabriolet wjechał na polną drogę i zatrzymał się tuż przed Kylie. Balansując na płocie, pochyliła się i ujrzała Martina.

– Witaj – rzekł. – Czy jesteś tą młodą damą, która rozmawiała ze mną w samolocie?

– Poprosiłam cię o pomoc i pomogłeś – odparła Kylie.

– Przyjeżdżasz, żeby porwać moją mamę?

– Tak. Czy trafiłem w pobliże waszego domu?

– Nasz dom jest tam – Kylie wskazała drugi kraniec łąki.

– Jeśli mnie podwieziesz, to ci pokażę.

– *Bień sur.* Wskakuj – powiedział, przechylając się, by otworzyć jej drzwiczki. Kylie wdrapała się do środka. Serce biło jej bardzo szybko. Musiała powiedzieć to, co miała do powiedzenia, by sprawić, że wszystko potoczy się tak, jak powinno.

– Moja mama wygląda dziś bardzo ładnie – zagaiła.

– Tak, tak sobie wyobrażam.

Czasami Kylie widywała coś, czego inni ludzie nie widzieli. Tej nocy, przysięgłaby, zobaczyła prababcię przechodzącą przez dom i oświetlającą sobie drogę świecą. Widziała też uskrzydłonego ducha swego pieska, Tally’ego, który zginął uderzony przez samochód. W samolocie ujrzała aniołka, a czasami czuła duchy zmarłych dzieci. Ale głównie widziała różne rzeczy i znaki, które mógł dostrzec każdy – takie jak głębię czyichś oczu, cień uśmiechu w kąciu ust lub pragnienie skrzące się w powietrzu nad czyjąś głową. Od dłuższego czasu widywała je nad głową mamy i, dziwna rzecz, takie samo marzenie jaśniało niczym tęcza nad Martinem. To musiało mieć coś wspólnego z samotnością, z chęcią

znalezienia kogoś. Kylie sama to czuła.

- Wierzysz w złe duchy i dobre anioły? – zapytała.
- No cóż, nie jestem pewien...
- Są wszędzie.
- W bajkach?
- Nie – powiedziała Kylie. – W prawdziwym życiu. Roześmiał się, jakby zrozumiał.
- Chyba wierzę. Spotykam złe duchy na lodzie – rzekł.
- Moich rywali z przeciwnej drużyny.

Skinęła głową. Chociaż nie rozumiała słowa „rywale”, była zadowolona. Na świecie było dobro i zło, a jeśli chodzi o zajęcie, które Kylie przewidziała dla Martina, poszukiwała kogoś, kto rozpoznaje przychylną i wrogą aurę na pierwszy rzut oka.

- Podoba mi się twój samochód. Podobny do tego, jakim jeździ James Bond.
- To porsche.

Kylie czuła, że wiatr rozwiewa jej włosy. Jeszcze nigdy nie siedziała w samochodzie z odsuwającym dachem i musiała przyznać: był wspaniały. Jak wieczory pod gwiazdami z mamą, ciocią Enid i świerszczami śpiewającymi w wysokich trawach – Lubię to auto.

- Cieszę się – powiedział z szerokim uśmiechem.
- Moja mama jest ładniejsza niż wszystkie panny młode...

Spojrzał na nią, ale nie powiedział ani słowa.

- ... na całym świecie – dokończyła.

Romantyczna restauracja leżała w połowie drogi do starego opactwa. Przez otwarte okna wpadała słona bryza, a ciepłe powietrze nocy owiewało ich niczym jedwabny szal. Najwyraźniej nikt nie rozpoznał Martina. Może dlatego, że byli daleko od Bostonu, a może z powodu miejsca, jakie wybrali: zbyt odludnego i staromodnego, aby bywali tu zagorzali kibice hokeja. Martin znalazł je w przewodniku po restauracjach wybrzeża.

Zjedli filet z soli z drobnym wiosennym groszkiem i pastą z trufli; pili wodę zamiast wina, bo trwał jeszcze okres treningów. Oboje byli zdenerwowani. Żadne nie wspomniało o nocnej rozmowie telefonicznej. May powiedziała sobie, że Martin z pewnością żartował, jego słowa nie miały żadnego znaczenia. Dzisiejsza randka była pierwsza i może jedyna, nic nadzwyczajnego...

Jednak jej ciało mówiło coś innego: serce biło jak oszalałe, policzki płonęły, dłonie nie chciały zachować spokoju, a ilekroć spojrzała Martinowi w oczy, czuła skurecz żołądka.

- Cieszę się, że masz wolny wieczór – powiedział.
- Ja też. Dobrze się wczoraj bawiłeś?
- Chyba trochę za dobrze – wydawał się zakłopotany. – Mój zespół czcił zwycięstwo.
- To brzmi nieźle.

Wyjawili sobie najważniejsze fakty ze swoich życiorysów: że May jest samotna, a Martin rozwiedziony, że ona mieszka w Black Hall, a on ma dom w Bostonie; że ona zajmuje się organizacją ślubów i wesel, on zaś od dzieciństwa gra w hokeja.

- Wychowałaś się na tej farmie? – zapytał.

– Tak i nie – odparła. – Tak, gdyż tu dorastałam, a nie, ponieważ to nigdy nie była farma. Moja babcia zbudowała gospodę, by prowadzić w niej swoją firmę. Była organizatorką wesel. Jedną z pierwszych, jak mawiała. Uważała się za artystkę i przypuszczam, że ja też tak o sobie myślę. Zawsze mówiła, że zorganizowanie doskonałego wesela wymaga twórczego myślenia; bardziej twórczego niż stworzenie trwałego małżeństwa.

– Zatem jesteś ślubną artystką?

– Zdaniem babci... Zresztą nie ja jedna w Black Hall.

– Po co ci gospoda? Wyobrażałem sobie raczej magazyn albo biuro.

May, sącząc wodę, uśmiechnęła się.

– Wydaje ci się, że my tylko pomagamy weselnikom wybrać stroje.

– Nie wiem... – powiedział, a potem uśmiechnął się, jakby go przyłapała. – Tak, chyba rzeczywiście tak sądziłem. Pomoc w wyborze strojów, tortu i wszystkich innych rzeczy. Przypuszczam, że myślę tak, jak inni myślą o hokeju: że jest tylko grą.

– A nie jest? – zapytała niewinnie.

Potrząsnął przecząco głową, gotów wszystko jej wyjaśnić i wtedy zobaczył, że May się z niego śmieje. Podobały jej się te słowne gierki – jakby rozmawiając, jedynie krążyli wokół prawdziwego powodu, dla którego jedzą dziś razem kolację. Sytuacja na poły przypominała mecz, na poły zaś zagadkę, której jeszcze nie byli gotowi rozwiązać.

– Opowiedz mi o swoim weselnym przedsiębiorstwie.

– Uprawiamy własne zioła. Mamy własne róże.

– Wiem.

– I właśnie dlatego wybraliśmy się dzisiaj na kolację, czyż nie? – zaśmiała się. – Ponieważ moje róże przyniosły ci szczęście i chcesz, żebym dała ci więcej.

– Być może – odparł. – Może właśnie dlatego, ale mów dalej. Opowiedz mi coś jeszcze.

Opowiedziała mu o hodowli pszczół i wyrobie świec z pszczelego wosku, o suszeniu ziół i napełnianiu nimi wonnych saszetek, o produkcji perfumowanych olejków oraz różnych sprzyjających miłości talizmanów. Pochwaliła się też, że przechowuje wystrzępioną babciną księgę z przepisami kulinarnymi i recepturami nalewek.

– Potrzebujemy miejsca, żeby zaprojektować ceremonie, odbyć próby przejścia ślubnych orszaków i przymiarki ubiorów. Moja matka kolekcjonowała dawne stroje ślubne. Raz w roku zdejmujemy je z krokwi, na których wiszą. Każdy z nich... – May bardzo lubiła tę tradycję. Martin słuchał uważnie, jakby interesowało go każde jej słowo, lecz nagle poczuła się zakłopotana. – Lubisz wieść? – zapytała.

– Tak, wychowałem się na farmie w Kanadzie. Mój dziadek zalał kiedyś wodą stodołę i mieliśmy pierwsze kryte lodowisko w naszej części prowincji. Oboje jesteśmy więc wnukami nowatorów.

– Mieszkałeś z dziadkiem?

– Tak, z mamą i rodzicami ojca. Po jego odejściu.

– Odszedł?

– Aby grać w hokeja – odparł Martin. – Był wspaniałym hokeistą. Moim ideałem. Nauczył mnie jeździć na łyżwach, zanim umiałem chodzić. Ale to było dawno...

– Żyje?

– Tak, lecz nie rozmawiamy ze sobą. Mniejsza o niego. A ty? Mieszkałaś z babcią?

– Tak – powiedziała May. – Rodzice zginęli, gdy miałam dwanaście lat. Zderzenie z ciężarówką. Jadąc zbyt szybko, nie zauważyli, że wyłania się zza zakrętu. Przynajmniej tak opowiadała mi babcia, a ja zawsze chciałam w to wierzyć.

– Wszystko dzieje się szybko – Martin, widząc łzy w oczach May, przykrył jej dłoń swoją ręką. Na twarzy tak wyraźnie malowały mu się emocje, jakby każdy jej mięsień miał bezpośrednią łączność z sercem. Wciąż trzymając jej rękę, dodał:

– Nie zobaczyli więc, jaka wspaniała dziewczyna z ciebie wyrosła.

– Dziękuję. To samo mówi moja przyjaciółka, Tobin Chadwick. Byłyśmy nierozłączne i nadal jest moją jedyną powiernicą. Dobrze znała moich rodziców. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tyle dla mnie znaczy.

– Nie musisz. Ja również mam takiego przyjaciela, Raya Gardnera. Jest mi bliski jak brat. Zawsze tak było. Wie o mnie wszystko. Nie muszę mu nawet nic mówić... on wszystko rozumie. Teraz jesteśmy w tej samej drużynie.

Dotknąwszy szklanki z wodą, May poczuła na dłoni lodowate krople. Zobaczyła też cień w oczach Martina; mrok, którego nie widziała wcześniej.

– Straciłem córkę, tak jak ty straciłaś rodziców – rzekł.

– Żałuję wielu rzeczy.

– Opowiesz mi? – May patrzyła mu w oczy.

– Tak, chyba tak... – Czekwała.

– Pewne rzeczy musiały się wydarzyć – powiedział wreszcie spokojnie, używając tych samych słów co w czasie ostatniej rozmowy telefonicznej.

May zatrzęsły się ręce, lecz milczała.

– To było coś, czego nie potrafię wyjaśnić, jakieś odczucie, kontakt... – podjął. – Obejrzałem się i zobaczyłem ciebie. A potem twoja córka podeszła, żeby ze mną porozmawiać. Wiedziała o Natalie.

– O Natalie?

– O mojej córce.

– Kylie ma bujną wyobraźnię – odparła ostrożnie May.

– Jest bardzo wrażliwa, wyławia drobne informacje. Może usłyszała, jak rozmawiasz o Natalie.

– Nigdy o niej nie mówię.

– Może widziała, jak oglądasz fotografię.

Martin wyjął portfel i położył na stoliku kolorowe zdjęcie uśmiechniętej dziewczynki z kręconymi włosami i śmieszoną szczerbą po mlecznym zębie.

– Wyjąłeś tę fotografię w samolocie? – zapytała May.

– Choćby na sekundę?

– Ktoś wręczył mi wizytówkę – odparł Martin, marszcząc brwi. – Może włożyłem ją do portfela.

– A zatem Kylie prawdopodobnie zobaczyła fotografię Natalie – May oglądała twarz

dziewczynki. – Jest śliczna.

– *Merci bien.*

– Nie chcę cię rozczarować, jeśli sądziłeś, że Kylie ma jakiś kontakt z twoją córką. Jest szalenie wyczulona... widzi rzeczy, których inni nie dostrzegają. Byłam z nią u kilku psychologów w Toronto. Widzisz, kiedyś obie przeżyłyśmy silny szok. Podczas wycieczki natknęłyśmy się na ciało.

– Ciało?

– Ciało mężczyzny, który się powiesił. Stąd zainteresowanie Kylie śmiercią – dodała May.

– Wiedziała, że z samolotem dzieje się coś złego. Poprosiła mnie, abym wam pomógł.

Podeszła kelnerka, by zabrać ich talerze. Serce biło May tak głośno, że bała się, iż kelnerka i Martin to usłyszą. Z niezrozumiałych dla nikogo powodów jej córka widywała duchy. Inne wytłumaczenie – że Kylie nie wiedziała o katastrofie, że po prostu szuka postaci odpowiadającej jej wizji ojca, bo pragnie go mieć, a May nie zdołała spełnić jej życzenia – także nie chciało jej przejść przez gardło.

– Myślę, że spodobał jej się twój wygląd – powiedziała.

– Prawdopodobnie chciała, żebyś pomógł nam uporać się z bagażami.

Martin się roześmiał. Przez chwilę wpatrywał się w zdjęcie córki, po czym schował je do portfela.

– Wyniesienie bagaży byłoby łatwiejsze – rzekł. – Czy zechcesz dać mi jeszcze trochę tych różanych płatków?

– Tak, chyba tak – odparła May zadowolona, że przestaną rozmawiać o Kylie.

– Przyniosły mi szczęście. Chcę ci podziękować, ale też prosić cię o przysługę – roześmiał się, jakby pragnął, aby myślała, że żartuje. Mówił jednak poważnie.

Podekscytowana tym spotkaniem May zdołała wszakże zachować spokój. Targały nią dziwne emocje, była rozedrgana, nie wiedziała, co się stanie.

– O co chciałeś prosić? – zapytała.

– Nie mów moim kolegom, że wierzę w gusa; natychmiast posłaliby mnie na ławkę rezerwowych. Jestem już dość leciwym zawodnikiem i bramka w Pucharze Stanleya może być moim ostatnim prawdziwym strzałem. Toteż imam się wariackich środków.

– Wariackich? – roześmiała się May. – Obracam się w świecie, gdzie podstawową regułą jest „coś starego, coś nowego, coś pożyczonego i coś niebieskiego”, a ponadto spotykam się z lekarzami, którzy badają zjawiska nadprzyrodzone, więc garstka różanych płatków wcale nie wydaje mi się znamieniem obłędu.

– Zatem dasz mi ich trochę?

– Oczywiście – odparła. – Mam je w stodole. Dam ci je, gdy mnie odwiedzisz.

– *D'accord* – powiedział. – Załatwione.

Godzinę później, po odbyciu długiej drogi powrotnej, Martin szedł za May do starej stodoły. Czuł się odurzony wonią siana, lawendy, kapryfolium i róż. Wcześniej sądził, że ten zapach dochodzi z okolicy, ale kiedy May przystanąła, zrozumiał, że tak pachnie jej szyja.

Prowadziła go przez ciemność pełną sów pohukujących z wysokich krokwi.

– Czy te sowy nie płoszą oblubienic? – spytał.

– Sowy w ciągu dnia nie wydają z siebie głosu – powiedziała May – oblubienice zaś niemal nigdy nie podnoszą wzroku. Czasami znajduję na podłodze kłęбки piór, muszelki lub kostki. Robię z nich niewielkie ślubne amulety, by przynosiły pannom młodym szczęście.

– Sowie piórko – rzekł Martin. – Bardzo romantyczne, czyż nie?

– Dam ci jedno – May otworzyła ciężkie drzwi i wprowadziła go do dusznej, parnej szklarni, w której nad szeregami młodych sadzonek paliły się specjalne lampy. – Na szczęście.

Martin próbował zapanować nad swoim oddechem. Nie był znany z wrażliwości demonstrowanej ludziom, szczególnie kobietom, lecz gdy wcześniej opowiadał o matce i ojcu, poczuł, że budzi się w nim coś dawnego, co kiedyś znał i chciał odczuwać tak jak inni. Wtedy jednak rozmowa zahaczyła o Natalie i duszę Martina znów ściał lód.

May jednak różniła się od innych kobiet. Chciał opowiedzieć jej więcej. Czuł, że może jej ufać, że chce jej wyjawic wszystkie dawne sprawy. Idąc obok niej zastanawiał się, czy potrafi czytać w myślach. Może jasnowidzenie – jakkolwiek chciała je nazywać – było u nich rodzinne...

– Oto nasze róże – powiedziała May, stając między donicami. – Mamy też piękny ogród różany na zewnątrz, ale zakwita on dopiero w czerwcu. Moja babcia była wspaniałą ogrodniczką. Eksperymentowała z różnymi gatunkami i każda z nas ma tu swoje ulubione odmiany. – Pochylając się, sięgnęła po nożyce i ucięła piękny, pełny pąk.

– Każda z was? – zapytał Martin.

– Babcia, mama, ciocia, Kylie i ja.

– A kto najbardziej lubi tę?

– Kylie.

Skinął głową, ale May nie patrzyła na niego. Obrywała kolejne płatki z pąka. Ułożyła je na prostym drewnianym stole, a potem zdjęła z wysokiej półki dwie małe srebrne tacki. Następnie zaś, otworzywszy błękitny flakonik, naląła na jedną z tac niewielką ilość olejku, którego zapach przeniósł Martina w głęboki las. Przyszło mu na myśl dzieciństwo, wędrówki górskimi szlakami, zmierzwiome liście, świeża trawa, życie i śmierć. Bolały go kości wokół oczodołów, artretyczny ból pulsował w kostkach, ale słyszał oddech May.

Pracowała w mroku rozjaśnionym jedynie purpurowym światłem stosowanych w szklarniach lamp i blaskiem gwiazd dochodzącym przez szklany dach. Posunął się o krok, stając bliżej, ale rzuciła mu ostre spojrzenie przez ramię.

– *Pardon* – powiedział.

– Muszę się skoncentrować. Gdy pracuję, ręce muszą mieć spokojne.

Za pomocą narzędzia, które przypominało zrobione z kości słoniowej kleszcze, unosiła każdy różany płatek, ostrożnie zanurzała go w olejku, a potem odkładała na drugą tackę, żeby wysechł. Matka Martina była dobrą fotografką; obserwując May przypominał sobie jej ciemnię i sposób, w jaki matka używała szczypiec, przenosząc negatywy z kuwety na suszarkę.

Ścienny zegar wybił dziesiątą. Martin spojrzął na zegarek: za dziewięć godzin będzie w samolocie do Edmonton. Porsche dowiezie go do Bostonu w niespełna dwie godziny, ale już powinien być w domu, a nawet w łóżku i oglądać taśmy z treningu Oilersów. Co zatem robi w szklarni tej kobiety, patrząc jak zanurza różane płatki w wonnym olejku? Co to wszystko ma wspólnego z hokejem i Pucharem Stanleya?

– Na czym to polega? – zapytał. – Powiedziałaś, że dajesz je ludziom na szczęście. Jak działają?

– Po prostu działają – odparła, nie przerywając rytuału.

– Późno już. – Czuł narastające zdenerwowanie i zastanawiał się, w co się wdał. – Wierzę, że działają. Już zadziałały, choć...

– Choć nie wiadomo jak?

– No właśnie. Właśnie to chciałem wiedzieć. Powinienem już iść... Rano mam samolot.

May otworzyła skrzypiącą szufladę i wyjęła mały skórzany mieszek. Umieściła w nim białe różane płatki oraz małą kulkę z puchu, ptasich pazurków i cieniutkich kostek.

– Na szczęście – powiedziała.

– *Merci*. – Serce biło mu tak szybko, jakby już był spóźniony.

– Jak działa... No cóż, to proste: tę różę wyhodowała moja babcia, ja ją zerwałam, a Kylie ją właśnie najbardziej lubi. Sowa kulka ma ci przypominać, że życie jest bardzo krótkie i musisz zmierzać ku gwiazdom, ilekroć masz okazję. Skórzany mieszek jest... bardziej męski niż koronkowa saszetka, więc koledzy nie będą się z ciebie śmiać – powiedziała z uśmiechem. Martin także próbował się roześmiać.

Stali blisko siebie, nisko umieszczone lampy rzucały cienie na ich twarze. Serce Martina waliło jak młotem. Zapomniał o różach, jutrzejszym meczu i kumplach z drużyny. Wziął May w ramiona i pocałował. Oddała mu pocałunek. Przyciągając ją bliżej spojrzął w gwiazdy, widoczne przez szklany dach.

– Co mówiłaś? – zapytał po chwili. May obejmowała go wpatrując się w niego oczami, których wyraz przyprawiał go o zawrót głowy. Czuł się jak żółtodziób, jak ktoś, kto nie całował się z tysiącem kobiet i jeszcze nigdy się nie zakochał.

– Nie mam pojęcia.

– A masz coś przeciwko temu, bym pocałował cię ponownie?

– Nic a nic.

Tym razem oparł się o twardą drewnianą ławę, tuląc May do siebie. Czuł namiętność, jakiej nie doświadczył nigdy przedtem. Usłyszał własne słowa:

– Pamiętasz, jak zapytałem, czy wierzysz, że pewne rzeczy muszą się zdarzyć?

– Tak.

– Wierzysz?

– Nie jestem pewna – odparła. – Skąd można to wiedzieć?

– Bo mam na to dowód.

– Dowód?

– Tak – rzekł, obejmując ją ciaśniej. – Dzieje się tak właśnie teraz. Z nami.

– Tak miało być?

– Nasze spotkanie było zapisane w górze. Spotkanie i... zauroczenie. Musimy się zastanowić, co mamy wspólnego.

– Patrząc w taki sposób... Chyba nie – powiedziała May. – Ja prawie wcale nie znam się na hokeju, a ty chyba nie lubisz ogrodów kwiatowych. Ja wychowuję córkę na farmie w Connecticut, a ty jesteś bostońską gwiazdą sportu podróżującą odrzutowcami.

Martin przyciągnął ją jeszcze mocniej i potrząsnął głową.

– Żadna z tych rzeczy nie ma znaczenia – powiedział.

– Jak możesz tak mówić?

– Bo wystarczyło mi jedno spojrzenie na ciebie w samolocie i zrozumiałem...

– Co zrozumiałeś? – zapytała słabo, jakby nazbyt zaschło jej w ustach, żeby zapytać zdecydowanie.

– Że jesteś tą jedyną.

– Skąd masz tę pewność?

– Ty również to wiesz – odparł. – Ponieważ to prawda.

ROZDZIAŁ 4

Pierwszy mecz finałów Pucharu Stanleya miał być rozegrany na szybkim lodowisku w Edmonton. Martin siedział w szatni Northlands Coliseum. Asystent trenera właśnie kończył owijać mu kostki, kolana i nadgarstki, Martin zaś myślał o May i o tym, kiedy znów ją zobaczy. Do szatni wszedł trener Dafoe i z rękami w kieszeniach stanął obok ławki.

Miał pogodne usposobienie, nazywał zawodników „swymi chłopcami” i zapraszał niektórych do domu na niedzielne obiady z jego żoną i dziećmi, ale był też najbardziej wymagającym szkoleniowcem NHL. Znał rodziców Martina, grał bowiem z Serge’em Cartierem w zespole Montreal Canadiens, gdy obaj byli młodymi ludźmi. Teraz łysiejący i brzuchaty, trener Dafoe wciąż miał oczy rekina; oczy, którymi patrzył bez mrugnięcia i którym nic nie umykało.

– No jesteśmy w finałach – rzekł.

– Zdaję sobie z tego sprawę – mruknął Martin.

– Przez cały sezon wiele od ciebie żądaliśmy i dziś jest tak samo.

Martin skinął głową, ale nic nie powiedział. Od dawna grał w hokeja, a dojście do finałów było marzeniem każdego hokeisty. W tym roku on i Boston Bruins spełnili swe sny. Wiedział, że jest „gwiazdą”, że oczekują od niego więcej niż od innych. Czuł skurcz żołądka i gdyby zamknął oczy, bez trudu wyobraziłby sobie, że zamiast trenera stoi przed nim ojciec.

– Miałeś kilka wolnych dni – dodał Dafoe.

– To była szansa, żeby odpocząć – przyznał Martin. I żeby zakochać się w May, pomyślał, nie dopuszczając jednak do siebie innej myśli: i żeby się denerwować o kolejne mecze.

– Dobrze – mruknął trener, wciąż patrząc mu w oczy. Potem zaczął mówić o nadzwyczajnym strzale Martina, o tym, że nie ma na taflি innego gracza, który umiałby zdobywać bramki tak jak on, i że dziś wieczorem powinien zwalczyć w sobie nawyk podawania krążka kolegom.

– Jeśli Ray będzie na czystej pozycji...

Dafoe pokręcił głową. Wczesne nauki matki Martina miały jedną wadę; kładła ona nacisk na solidarność w drużynie i wpoila synowi, by nie odbierał innym szansy zdobycia gola. Podawał więc nieskazitelnie, bez unoszenia kija, zwodząc przeciwników, a czasem także kolegów z własnego zespołu.

– W razie wątpliwości, strzelaj – rzekł.

– Ale Ray i Bruno...

– Ten sezon może być wasz – przypomniał mu Dafoe.

– To może być rok Boston Bruins. Jeszcze nie wiemy, ile jesteśmy warci. Dowiemy się dziś wieczorem. W czasie play-offów obserwowałem cię uważnie. Wiesz o tym. Nie podobał mi się ten krytyczny moment, kiedy opuściłeś trening...

– Mówiłem... – zaczął Martin, ale trener przerwał:

– Bez względu na to, co mówiłeś, faktem jest, że opuściłeś trening i na trzy mecze z rzędu

straciłeś koncentrację. Do wygranej potrzeba nam połączenia twoich umiejętności obrony, ataku i przewodzenia zespołowi. To proste: jesteś czynnikiem dominującym, a kiedy się rozpraszasz, rozpraszają się wszyscy inni. Gdziekolwiek byłeś, oderwało cię to od gry.

Martin spuścił wzrok. W czasie serii rozgrywek w Nowym Jorku wynajął samochód i wyjechał. Wiosenna zawierucha sprawiła, że okolica była biała, ukwiecone gałęzie jabłoni pokrywał śnieg. Zwoje kolczastego drutu lśniły srebrem w blasku słońca, a ceglane mury więzienia zdawały się czarne pod warstwą lodu. Za nimi w głębi siedział ojciec Martina – człowiek, który jeździł na łyżwach jak wicher, który trzykrotnie zdobył Puchar Stanleya i z którym Martin nie rozmawiał od siedmiu lat.

Martin siedział w samochodzie, wpatrując się w więzienie. Pojechał z Manhattanu na północ, chcąc wchłonąć poprzez grubego mur trochę wielkości ojca. Czekał na jakąś szczególną iskrę, która podsycał płonący w nim bez ustanku ogień rywalizacji. Ale tego dnia po raz pierwszy nie czuł nic.

Rangersi od początku zyskali przewagę. Przez cały mecz Martin czuł się martwy: ogień nie zapłonął. Po przegranej 0:3 pojechał z powrotem do więzienia. Tym razem zamierzał wejść do środka, spotkać się ze starym i spokojnie poukładać myśli. Śnieg i lód już stopniał, a on znów siedział w tym samym miejscu pod murem, który teraz czerwieniał w słońcu, zamiast lśnić śliską czernią.

– Boston musi odrobić straty – mówił trener. – Cokolwiek wydarzyło się w Nowym Jorku i w Toronto, zostaw to w domu.

Martin skinął głową, ale jego twarz pozostała niewzruszona. Poznał May, oto co się wydarzyło. Ocalił ją w samolocie, a teraz się w niej zakochał. Trzymał w dłoni skórzany miś. Nie wiedział, czy to, jaki jest, zawdzięcza ojcu czy czemuś nieznanemu. Natchnieniu, więzi, boskiej interwencji, miłości od pierwszego wejrzenia... Krew uderzała mu do głowy na samą myśl.

– Cztery dni odpoczynku – powiedział trener z ręką na ramieniu Martina – i czternaście lat niepokoju. Chcesz wygrać Puchar Stanleya. Najwyższy czas.

– Tak... – odparł Martin przez ściśnięte gardło, czując, że narasta w nim burza, której nie powstrzyma nawet miłość do May.

– Nils Jorgensen zamierza ci się dobrać do skóry.

– Wiem. – Martin wyobraził sobie bramkarza Oilersów, jednego ze swych nielicznych prawdziwych przeciwników w NHL; człowieka, który trzy lata temu rozbił mu czaszkę i kość jarzmową pod lewym okiem.

– Pragnie tego z powodów osobistych – rzekł trener.

– To jest sprawa osobista – mruknął Martin.

– Wiesz, że twój ojciec będzie oglądać ten mecz.

– Tak sądzę.

– Matka z pewnością także.

Martin pochylił głowę. Nie chciał przyznać, jak bardzo pragnie tego zwycięstwa. Żył i oddychał hokejem od najwcześniejszego dzieciństwa. Ten sport był częścią jego samego, tak jak rytm serca. Do tej pory towarzyszyli mu rodzice, ale ojciec był w więzieniu, a matka nie

żyła. Hokej stanowił dla niego wartość, której May może nigdy nie docenić i Martin nawet nie był pewien, czyby tego pragnął.

– Wierzę w niebiosy – powiedział trener Dafoe. – One tam są.

– One? – Martin podniósł wzrok.

– Są tam obie: moja matka i twoja. Dopingują nas. Skandują i tupią nogami. Twoja matka wszczyniała zawsze straszną wrzawę, oglądając mecz.

Martin skinął głową. Jeśli w niebie znalazła się jego matka, to była tam również Natalie. Dotknął skórzanego siedzenia. Nagle słowa trenera zaczęły nabierać sensu. Może May była kimś w rodzaju anioła, posłańcem od matki. *Cztery dni odpoczynku i czternaście lat niepokoju*. Czternaście lat uprawiania hokeja bez zwycięstwa w Pucharze. Zdobył niezliczone trofea, dwukrotnie zyskał tytuł najlepszego zawodnika. Dziesięć razy grał w play-offach, nigdy nie docierając do finału.

– Pamiętaj, co ci powiedziałem. – Trener Dafoe błysnął rekinimi oczami.

– W razie wątpliwości, strzelaj – powtórzył Martin. – I nie pozwól wygrać Jorgensenowi.

– No właśnie. I nie spraw zawodów naszym matkom.

Tego wieczoru, gdy Boston grał pierwszy mecz w Edmonton, mąż i synowie Tobin zajęci byli przygotowywaniem samochodu do udziału w kawalkadzie mającej przejechać ulicami miasteczka i pozostawili ją samej sobie. Pojechała więc do Taylorów, żeby obejrzeć mecz w towarzystwie May i Kylie.

– Widzisz krążek? – zapytała Tobin – Jest tam – odparła Kylie, wskazując na ekran.

– Wszystko dzieje się tak szybko – westchnęła May.

– Nie tylko na ekranie! – roześmiała się Tobin, robiąc aluzję do kolacji May z Martinem. Mąż i synowie Tobin pasjonowali się wędkarstwem i wyścigami samochodowymi, a nie hokejem, wszystkie trzy więc dopiero uczyły się hokejowego żargonu: ławka kar, prawoskrzydłowi, niebieska linia, dośrodkowanie...

May z dreszczem emocji utkwiała wzrok w numerze 21, numerze Martina Cartiera. Dwa, trzy ślizgi i był w pełnym pędzie, torując sobie drogę przez strefę neutralną na pole Oilersów. Zgrzyt i błysk łyżew, głucho uderzenia ciał o bandę.

– Chciałabym tam być – powiedziała May.

– Wierzę! Spójrz... spogląda prosto w kamerę!

– Patrzy na nas – mruknęła sennie Kylie.

– Ciekawa jestem, czy jego ojciec ogląda ten mecz – zastanawiała się półgłosem May.

– Ojciec? – spytała Tobin.

– Zdaje się, że ich stosunki są bardzo skomplikowane. Kylie walczyła z sennością, chcąc zobaczyć, kto wygra.

Jednakże powieki bardzo jej ciążyły i zamknęły się szybko.

– W jakim sensie? – zapytała Tobin.

– Nie rozmawiają ze sobą.

– Zatem rzecz jest jednoznaczna, a nie skomplikowana – orzekła Tobin.

– Ale to przecież jego ojciec – powiedziała May, wpatrując się w ekran telewizora.

Tobin się roześmiała.

– Powinien zważać na to, co ci opowiada. Nie wie, jak czuła jesteś na punkcie ojców.

– Teraz ty jesteś moim psychoanalitykiem?

– Jestem nim od zawsze – Tobin znów się zaśmiała, ale tłum kibiców zaczął szaleć i obie skupiły całą uwagę na meczu.

– Co się stało?

– Coś z Martinem – odparła szybko Tobin. Martin sunął po lodzie z pięściami uniesionymi nad głową. Strzelił właśnie pierwszego gola w tym meczu.

Jak błyskawica! – wykrzyknął jeden ze sprawozdawców. *Złoty Młot* – dodał drugi, gdy Martin wpadł na zawodnika Oilersów, przewracając go na lód i wybijając krążek swym opatentowanym strzałem. *Cartier ma sylwetkę boksera wagi ciężkiej i odpowiadający jej instynkt zabójcy* – stwierdził pierwszy.

– Złoty Młot – powiedziała z podziwem Tobin.

– Instynkt zabójcy – szepnęła May, obserwując, jak Martin mierzy się wzrokiem z Nilsem Jorgensenem, bramkarzem Oilersów.

Sprawozdawcy wspominali dzieje ich rywalizacji. W jednej z najstłynniejszych hokejowych walk ci dwaj zawodnicy zwarli się tak ostro, że Jorgensen miał złamany nos, a jego twarz wymagała zasadniczej rekonstrukcji. W odwecie trzy lata temu poturbował Cartiera, łamiąc mu kość jarzmową, co również wymagało interwencji chirurgicznej, by ratować uszkodzoną siatkówkę. Taki właśnie był hokej, ale kiedy May zobaczyła blizny na policzkach i podbródku bramkarza, zmroziła ją myśl, że są dziełem Martina.

Nagle kamera ukazała twarz Martina i May pomyślała, że nigdy nie widziała w ludzkich oczach takiego napięcia.

– Oni się nienawidzą – stwierdziła Tobin.

– Tak... – May zadrzała.

– May...

– Wiem.

– Takich spojrzeń nie widuje się codziennie. Czy powinnam się o ciebie niepokoić?

May wpatrywała się w obydwie twarze na ekranie telewizora, myśląc, jak są podobne: Martin nienawidzi Jorgensena, lecz jest to uczucie odwzajemnione.

– Niepokoić? O mnie? – spytała zaskoczona pytaniem przyjaciółki.

– Facet, który potrafi spoglądać w taki sposób – powiedziała Tobin – bić drugiego człowieka i doprowadzić się do takiej furii...

– Dla mnie jest bardzo delikatny. – May przypomniała sobie jego pocałunek.

– Ale ma w sobie całe pokłady agresji. – Tobin wpatrywała się w ekran. – Widzisz to, prawda? On jest gwałtowny.

– Nie dla mnie – uparcie stwierdziła May.

– Zastanawiam się, czy potrafi nad sobą panować, kiedy coś naprawdę go rozzłości.

May pomyślała o sowach w stodole, o tym, jak mrużyły oczy i pikowały, polując na swe ofiary. Właśnie tak patrzył na nią Martin. Obdarowywanie go różnymi płatkami wydało jej się wówczas niedorzeczne i krępujące, ale gdy wślizgiwała się później do łóżka, myślała: tak

miało być...

– Nic nie mówisz – przerwała ciszę Tobin.

– Gordon był prawnikiem – powiedziała cicho May. – Studiował na Harvardzie. Jest udziałowcem firmy Swopes i Bray, czyli dobrej kancelarii adwokackiej, i należy do University Club. Nie ma człowieka bardziej opanowanego niż Gordon, prawda?

– Prawda.

– A przecież nikt nie skrzywdził mnie bardziej niż on.

– Wiem – przyznała Tobin.

– Martin mnie nie skrzywdzi.

– Wygrywają? – zapytała Kylie, budząc się nagle.

– Tak, dwa do jednego – odparła May.

– Gdzie jest Martin?

– Tutaj – May pochyliła się do przodu, by musnąć palcem sylwetkę na ekranie.

– Szybko jeździ – stwierdziła Kylie – i potrafi jeździć do tyłu.

– Potrafi – przyznała May, nie odrywając od niego wzroku.

– I to jak! – podkreśliła Tobin, dając May do zrozumienia, że jest po jej stronie.

May i Tobin nigdy nie pasjonowały się hokejem. Nie uprawiały sportów zespołowych. Jako dziewczęta grały w tenisa, chodziły na pływanie i jeździły na rowerach. Każdego lata odbywały wyprawy rowerowe wokół Selden Castle, zimą zaś na nartach biegowych przemierzały łąki Black Hall. Teraz jednak, oglądając Martina Cartiera wbijającego krążek wysoko w siatkę hokejowej bramki, May zastanawiała się, co straciła.

Już pędził dalej, to przodem, to tyłem, jakby upajał go sam ruch; wyrywał się naprzód i padał na plecy, zwodził przeciwników jednym płynnym ruchem odbierając krążek i prowadząc go wprost do bramki. Za chwilę robił to samo po drugiej stronie tafla. Przypominało to jednocześnie taniec i walkę. May była wręcz zahipnotyzowana, ale bała się zderzenia. Te blizny na twarzy bramkarza drużyny Edmonton...

– Jedź, jedź! – krzyknęła Tobin.

Tłum krzyczał, głośne okrzyki wznosili też sprawozdawcy. May spojrzała na tykający zegar i z paznokciami wbitymi w dłonie słuchała dobiegającej końca relacji.

– ... Cartier przecina drogę, odbiera krążek, skręca, strzela...

– Wygrali! – zawołała.

– O rany! – jęknęła Kylie.

– Boston Bruins – informował sprawozdawca – wygrali pierwszy mecz, pokonując Edmonton Oilers 3:1 w wyniku akcji zdumiewającego Martina Cartiera; nieprzewidywalnego, zmiennego, zaskakującego Martina Cartiera. Jak myślisz, Ralph? – zwrócił się do drugiego. – Czy przestała działać „klątwa” Cartiera? Czy nadchodzi rok Cartiera i jego zwycięstwo w Pucharze Stanleya?

– Mam nadzieję, że tak, i jestem przekonany, że wszyscy bostońscy kibice powiedzą to samo. Po mniej olśniewającym występie w play-offach, dziś wieczór Martin Cartier dowiódł...

– Co to jest „klątwa Cartiera”? – zapytała Tobin.

– Myślę, że chodzi o to, iż bardzo długo starał się wygrać Puchar Stanleya.

May wyłączyła dźwięk, zastanawiając się nad tą „kłatwą”, i w milczeniu objąwszy Kylie wpatrywała się w ekran telewizora. Kamera pokazywała wybuchy entuzjazmu kibiców, pokonanych Oilersów, ich rozwścieczonego bramkarza Nilsa Jorgensena i triumfujących zawodników drużyny Boston Bruins.

– To było niewiarygodne – stwierdziła Tobin, podnosząc się z miejsca.

– Fajnie, że oglądałaś razem z nami.

– Lepsze to niż słuchanie, jak John i chłopcy co dziesięć sekund zwiększają obroty silnika. Jeśli sądzisz, że hokej jest twardy, to pozwól dziecku zmienić twój garaż w doświadczalną fabrykę samochodów!

Wieczór był ciepły, białe firanki w otwartych oknach powiewały w lekkiej bryzie. Powietrze pachniało sianem i polnymi kwiatami, a cały świat wydawał się daleki od lodowej tafli i brutalności meczu hokejowego. May spoglądała na starą weselną stodołę, iluminowaną srebrzystym blaskiem półksiężyca, i prawie nie mogła uwierzyć, że on tu był, w jej stodole, zaledwie przedwczoraj...

Zadzwonił telefon.

– Ja odbiorę – Tobin przechyliła się do przodu obok May. – Halo?

May nastawiła uszu, podtrzymując śpiącą córeczkę.

– Gratulacje z okazji zwycięstwa – powiedziała Tobin i May domyśliła się, zrozumiała, że to Martin. – No, no Złoty Młot we własnej osobie! Wiele o panu słyszałam. Tak, mam na imię Tobin. Jak pan... Doprawdy, ona to sprawiła? – zaśmiała się, przenosząc wzrok na przyjaciółkę.

– Pozwól mi z nim porozmawiać – wtrąciła May, wyciągając wolną rękę.

– Znamy się od dzieciństwa – powiedziała Tobin, a potem słuchała w milczeniu, jakby Martin opowiadał jej coś szczegółowo. Puls May przyspieszył gwałtownie: o czym mógł tak długo mówić? Wyraz twarzy Tobin był początkowo złośliwie rozbawiony, ale później złagodniał. – Och, miło mi to słyszeć – powiedziała. – Bardzo się cieszę – stwierdziła na zakończenie i wręczając słuchawkę May, szepnęła: – Położę Kylie do łóżka, dobrze?

– Dzięki – rzekła May, sięgając po słuchawkę.

– Masz dobrą przyjaciółkę – powiedział Martin.

– Wiem – przyznała May. – Wpadła do mnie, więc razem oglądałyśmy twój mecz. Byłeś wspaniały.

– Dziękuję.

– Wygrałeś!

– W rzeczywistości to my wygramy – powiedział.

– No tak, drużyna Boston Bruins... wy wszyscy – poprawiła się.

Głos Martina brzmiał niezbyt wyraźnie i wydawał się rwać, jakby dzwonił z telefonu komórkowego. W tle słyszała śmiechy i nawoływania. Wyobraziła sobie szatnię pełną zwycięskich, triumfujących hokeistów.

– Nie mam na myśli drużyny – powiedział – tylko ciebie i siebie, May. Byłaś ze mną na tafli. Nie wiem jak i dlaczego. Wiem tylko, że to prawda.

Serce jej waliło. Pomyślała o swojej obecności przy Martinie w tym meczu. Wyobrażała sobie, jak frunie z nim po lodzie, pomagając mu wygrać i strzegąc jego bezpieczeństwa.

– To dzięki różnym płatkom – powiedziała. – Właśnie temu służą.

– Cóż, sprawdziły się.

To nie była May. Ta wstrzymująca oddech kobieta, która wycęzała słuch, by dosłyszeć kogoś po drugiej stronie, to nie była ona. Od tak wielu lat była sama. Przestała wierzyć w miłość. To mogło się zdarzyć innym, jej klientkom, ale nie jej.

– Muszę już iść – powiedział. – Zadzwoń ponownie, kiedy wrócimy do Bostonu, dobrze?

– Będę oglądać twoje mecze – obiecała May.

– Przekaż swojej przyjaciółce i Kylie, że mówię im *bonne nuit*.

– Przekażę.

– *Bonne nuit*, May.

– Dobranoc, Martin.

May stanęła przy oknie. Trzymając słuchawkę, wpatrywała się w upiornie wyglądające koty, które harcowały wokół oświetlonej księżycem stodoły. Potem zamknawszy oczy, starała się zachować w pamięci jego głos.

Bostończycy w pięknym stylu wygrali mecz otwierający pucharowe rozgrywki. Kolejne spotkanie rozstrzygnął dopiero gol strzelony w dogrywce przez Raya Gardnera. Trzecie – również w dogrywce – wygrali Oilersi 2:0, gdyż Nils Jorgensen olśniewająco blokował każdy strzał Martina.

Po powrocie do Bostonu Martina bolała kostka, odnowiła się też stara kontuzja kolana. Poddano go więc różnym zabiegom stosując wszelkie środki znane od Nowej Anglii po starożytne Chiny. Krioterapia, laser, masaże, akupunktura... Oilersi wygrali mecz czwarty i piąty, a drużyna Boston Bruins – szósty, remisując serię. Martin myślał o ojcu obserwującym w więzieniu z czerwonej cegły wszystkie błędy, jakie popełnił. Pochyliwszy głowę, skurczył się, zamykając w sobie tę myśl.

Trener Dafoe znalazł fotografię matki Martina w starym hokejowym roczniku i wraz ze zdjęciem własnej matki przykleił w szafce Martina. Żona Raya Gardnera każdego ranka chodziła na mszę, by modlić się o zwycięstwo, a córka Jacka Delaneya, straciwszy ząb, zostawiła „zębowej wróżce” list z prośbą o zwycięstwo dla Bruinsów zamiast zwyczajowego dolara.

Martin telefonował do May po każdym meczu. Miał ochotę zaprosić ją do Fleet Center, by oglądała rozgrywki osobiście, ale powstrzymała go przed tym ostrożność. Musiał być w pełni skoncentrowany, żeby się skupić na grze, absorbującej wszystkie siły ciała i ducha.

Kiedy był młodszy, często zapraszał kobiety, by oglądały go na tafli, i ekscytował się demonstrowaniem im swoich umiejętności. Ale May była inna, przed nią nie musiał się popisywać. Zresztą nie ufał sam sobie, że zdoła myśleć jednocześnie o May i o zwycięstwie.

Po północy, nie mogąc zasnąć z powodu przegranej z Oilersami, Martin zważył w trafność swojego osądu. Myślał o kolegach i o ich modlitwach, dziecięcych mlecznych

zębach i zdjęciach zmarłych matek. On sam nie czuł siły płynącej z różanych płatków i zastanawiał się, czy nie ogranicza sobie szans, trzymając May z daleka. Zatelefonował.

– Wiesz, że chciałbym, abyś tu była, prawda? – zapytał. – Ale boję się, że twoja obecność mnie rozproszy.

– Dlaczego? – zapytała rozczarowana.

– Widzisz, nie wolno mi odrywać wzroku od krążka.

– Siedziałabym daleko.

– Mimo to. Wiedziałbym, że tu jesteś.

– W porządku, rozumiem – powiedziała, ale w jej głosie brzmiała nuta przykrości.

– Nie rozumiesz – rzekł.

– Obiecuję, że zrozumie – odparła spokojnie.

W przerwie na lunch May i Tobin, zostawiwszy ciocię Enid z klientkami, zabrały kanapki pod drzewo za Weselną Gospodą. Tu, w cieniu, jadły i słuchały chóru ptaków śpiewających w gałęziach.

– Jesteś zdenerwowana – powiedziała Tobin.

– Tak. Nie potrafię temu zaradzić.

– Bo wrócił do Bostonu i nie zaprosił cię na swój mecz?

May skinęła głową, wpatrując się w kanapkę.

– Mówi, że chciałby, abym tam była, ale sądzi, że mogłabym go rozpraszać. Przypomina mi to wyjazdy Gordona w służbowe podróże, w które nigdy nie chciał mnie zabierać.

– Gordon nie wyjeżdżał w służbowe podróże – przypomniała jej Tobin. – Jeździł do żony.

– Wiem – odparła May. – Mówił, że ma mnóstwo spraw w Hongkongu albo w Londynie, a w rzeczywistości godził się z żoną.

– Martin cię nie okłamuje – stwierdziła Tobin.

– Skąd wiesz?

– Bo możesz oglądać go w telewizji. Wiesz, że jest tam, gdzie mówi, że jest.

– To dlaczego nie chce, żebym i ja tam była?

– Może z powodu, o jakim ci powiedział; boi się, że będziesz go rozpraszać.

– Chyba wie, iż było mi przykro w czasie naszej ostatniej rozmowy telefonicznej – May pokręciła głową. – To bardzo skomplikowane. Ledwie coś się zaczęło, a ja nie mogę się opanować.

– Gordon bardzo cię skrzywdził.

– To nie jest wina Martina.

– Więc powiedz mu to, kiedy zadzwoni. I szczerze życ mu szczęścia.

– Naprawdę życzę mu szczęścia – powiedziała przygnębiona May.

Ale tego dnia Martin nie zadzwonił, a ona uświadomiła sobie, że nie zna numeru jego telefonu. Obejrzała mecz w telewizji i zobaczyła, jak Martin wygrywa szóste spotkanie potężnym strzałem umieszczonym wysoko w siatce. Cała publiczność Fleet Center poderwała się na równe nogi w donośnej owacji. Nils Jorgensen rzucił się na Martina, lecz powstrzymali go koledzy. May patrzyła w oczy bramkarza Oilersów i widziała kipiącą w nich nienawiść.

Czekała na telefon, ale aparat milczał.

W nagiej, pomalowanej na niebiesko świetlicy cuchnęło potem, stęchłym papierosowym dymem i przeszmuglowanym do cel alkoholem. Tłum mężczyzn tłoczył się wokół telewizora, wrzeszcząc i gwizdząc w równym stopniu z uciechy i złości. Boston Bruins właśnie wygrali szósty mecz. Blok cel zbudowany był z betonu i stali, głucho brzmiące głosy budziły liczne echa. Krążki dźwięku, pomyślał stary człowiek, odbijają się od ścian.

– Pieprzony *killer* – mruknął jeden z mężczyzn, obserwując Martina Cartiera. – Powinien tu siedzieć z nami, to pewne jak w banku!

– Bruinsi są do kitu, Rangersi powinni przejąć od nich...

– Ostry, człowieku... Ależ ten młody Cartier jest ostry!

– Następnym razem ja użyję hokejowego kija, z większą szkodą...

– Niezły zabijaka z tego twojego syna – powiedział ktoś ze śmiechem, zaglądając w twarz Serge'a Cartiera. – Podoba ci się to, prawda?

– Bardzo – mruknął Serge.

– To bohater, stary – powiedział ktoś inny. – Pieprzony bohater narodowy.

– Żaden Kanadyjczyk nie będzie tu bohaterem. Jesteśmy w USA!

– On wygrywa Puchar Stanleya!

– Jeszcze nie wygrywa – wtrącił twardo Serge, wpatrując się w twarz swego syna na ekranie telewizyjnym. Niemal czuł rzeński chłód unoszący się z lodu. Odetchnął nim i pomyślał o lasach północy. – Nie dzielcie skóry na niedźwiedziu. Pogadamy jutro.

Właśnie miał się zacząć siódmy mecz i wszyscy kibice hokeja w Bostonie zasiedli przed telewizorami. Sto mil na południe, w Black Hall, May i Kylie znów oglądały transmisję w sypialni May. Violetta, czarna domowa kotka, leżała zwinięta u ich stóp. W sobotę czekało May wielkie wesele, obłożona więc była rysunkami, fotografiami, spisami i kartami dań.

– Dlaczego nie możemy pojechać? – pytała Kylie z zachmurzoną miną. – Chcę pojechać na ten mecz. Przecież jesteśmy dla niego wyjątkowe.

– Lepiej się ogląda w domu – odparła May, w głębi ducha zastanawiając się, czy w ogóle coś znaczą dla Martina. Nie dzwonił od dwóch dni. May zajęta była pracą i Kylie, która ostatniej nocy znów miała złe sny o drobnych niemych istotach usiłujących jej coś powiedzieć i unoszących się nad jej głową niczym tysiąc białych motyli. Szczegółowo zapisała to w dzienniku.

Zadzwoił telefon. May podniosła słuchawkę, spodziewając się, że usłyszy głos panny młodej, jej matki albo dostawcy dań.

– Halo?

– Co teraz robisz? – odezwał się głos Martina.

– Oglądam was – odpowiedziała, przenosząc aparat bliżej telewizora, gdyż zawodnicy Boston Bruins właśnie wjeżdżali na taflę. – Dlaczego nie ma cię na lodzie?

– Wzywają mnie – odparł – mam tylko chwilę.

– Och... – oniemiała, jakby wiatr zaparł jej dech.

– Dziś wieczorem – rzekł, biorąc głęboki oddech.

– Tak.

– Wygramy? – zapytał. – Wygramy, prawda?

May roześmiała się nerwowo, zastanawiając się, dlaczego zadaje jej to pytanie.

– Tak – odparła, bo właśnie to pragnął usłyszeć. Ale nie miała na myśli Pucharu Stanleya.

– To nie zabrzmiało pewnie.

– Powiem ci coś, co zawsze mówiła moja mama: rzecz nie w tym, czy wygrasz, czy przegrasz, ale jak rozegrasz grę.

Słowa matki padły z jej ust, nim zdołała się powstrzymać. Cóż za absurd: adresować to stare porzekadło do hokeisty, który zaraz rozpocznie mecz o mistrzostwo kraju.

– Już to słyszałem – roześmiał się Martin – ale nie stosuję tej zasady bardzo gorliwie.

– Ani ja – przyznała May. – Wczoraj byłam niemiła.

– Dlaczego? Bo chciałaś przyjechać? Też żałuję, że cię tu nie ma.

– Naprawdę?

– *Oui.*

– Martin wygra – zanuciła Kylie. – Martin wygra.

– Chyba powinieneś już wyjechać na lód. – May patrzyła na rozgrzewających się zawodników.

– Wciąż mam ten flakonik od ciebie.

– Ten z różanymi płatkami?

– Ciii... – roześmiał się Martin – bo ktoś usłyszy.

– Wstydzisz się, co? – odparowała ze śmiechem May.

– Kocham cię, May. Serce w niej zamarło.

– Martin...

– ... i jeszcze jedno – zaśmiał się sucho, skrępowany. – Jeśli wygramy, poproszę, żebyś za mnie wyszła.

– Teraz już wiem, że mnie oszukujesz.

– Sądzisz, że chciałbym cię oszukać?

– Nie wiem, co myśleć – bąknęła oszołomiona.

– Wiesz, May, wiesz – rzekł. – Tylko nie chcesz w to uwierzyć.

– Grasz w hokeja, jesteś teraz tam... – wyszeptała.

– Co za różnica, gdzie jestem?

May pomyślała o różanych płatkach, owych talizmanach miłości, a kiedy spojrzała na Kylie i napotkała skupiony, pełen napięcia wzrok córki, zadała sobie pytanie, czy nie śni.

Kamera pokazała tłum widzów. May dostrzegła łaciną blondynkę z transparentem „CARTIER GÓRA!” oraz dwie dziewczyny w obcisłych podkoszulkach stojące przy lodowisku i skandujące jego imię.

– Okay – powiedział. – Dosyć na dzisiaj. Nie przez telefon. Zobaczymy się później.

– Dobrze – odparła May nadal, lecz już bez uśmiechu, wpatrując się w ekran.

Na tafli rozległ się dzwonek. Martin przerwał połączenie i nagle zobaczyła go na ekranie. Przystojnego, niebieskookiego, doskonale zbudowanego Martina Cartiera. Wszyscy zgromadzeni we Fleet Center ujrzeni go także i radośnie zerwali się z miejsc. May objęła córkę, przyglądając się mężczyźnie, który przed chwilą jej się oświadczył. Dwa metry potężnych mięśni bez grama tłuszczu. Przyłapała się, że myśli o tym, gdzie włożył jej różane

płatki.

– On mówił poważnie, mamusiu – mruknęła sennie Kylie.

– To znaczy? – May zerknęła na nią spłoszona.

– Naprawdę chce, żebyśmy byli rodziną.

May wpatrywała się w córkę. Dziecko nie mogło słyszeć ostatnich słów Martina. Byłby to więc inny rodzaj wizji? Sięgnęła po dziennik, aby zanotować słowa Kylie, ale zaraz go odłożyła. Niektóre wizje były zbyt głębokie, by poddawać je drobiazgowej analizie.

Stary człowiek sam kiedyś wygrał Puchar Stanley a – trzykrotnie, dla dwóch różnych drużyn – obserwował więc mecz z pewną nostalgią, lecz na tyle uważnie, by prędko wyrobić sobie pewne zdecydowane opinie. Dafoe to dupa nie trener. Stary czytał z ruchu jego warg; jedyne, co Dafoe wydawał się mówić, to: „skoncentrujcie się” i „pracujcie”. A gdzie: „strzelaj!”, gdzie: „podaj do Martina!”?

– Strzelaj! – mruknął Serge pod nosem. – Strzelaj, do cholery!

Martin podniósł prawe ramię i strzelił prosto w siatkę. Jorgensen zablokował strzał. Ray Gardner przejął krążek, hamując Martina.

– Podaj mu go, idioto – mruczał Serge. Boże, jakże on nienawidził trenerskiego stylu Dafoe! Sam był niegdyś trenerem w NHL i gotów był się założyć, że Dafoe jednym kącikiem ust kazał Martinowi strzelać, drugim zaś polecił zespołowi nie spieszyć się z wysunięciem Martina do pozycji strzeleckiej. A przecież Martin nie potrzebował wysunięcia, potrzebny mu był jedynie krążek.

– Postawiłeś jakąś forszę w tej grze? – zapytał jeden z więźniów pamiętających dawne czasy.

– Zamknij się – warknął Serge.

– Twój chłopak jest za stary – dodał ktoś inny. – Za stary, żeby wygrać Puchar Stanleya. Skopią mu tyłek.

– Gdybym ja był Nilsem Jorgensenem, obciąłbym mu jaja.

– Jakie jaja?

– No, chłopie, nie możesz powiedzieć, że Młot nie ma jaj! Tego nie możesz powiedzieć!

– Ale jest za stary, chłopie.

– Pytam poważnie, Serge, postawiłeś jakąś forszę? Serge nie słuchał. Pochylony, wpatrywał się w ekran.

Głosy rozbrzmiewały wokół, odbijając się od betonowych ścian. Strażnicy też stali w pobliżu, zainteresowani grą tak jak wszyscy. Jeden z nich zapytał Serge'a, czy Martin telefonował po wskazówki. Serge zacisnął usta.

– Słyszysz? – strażnik zapytał głośniejszym głosem. – Czy Martin dzwonił do tatusia?

Serge zmrużył oczy, koncentrując spojrzenie na ekranie. Miał wrażenie, że jego serce zrobiło się małe i twarde niczym kulka smoły. Martin nie przyjeżdżał ani nie telefonował od bardzo, bardzo dawna, ale to była jego prywatna sprawa i nikt nie musiał o tym wiedzieć. W bloku rozbrzmiewała wrzawa niczym w gwarnej szatni, a okrzyki odbijały się od ścian. Strażnik mocno trącił go w ramię, ale Serge jeszcze uporczywiej patrzył w ekran. Zastanawiał się, czy Martin słyszy trenera.

– Skup się – zdawały się mówić wargi Dafoe. – Pracuj.

Serge odciął się od całego świata, skupił na grze. Boston Bruins i Edmonton Oilers remisowali 1:1.

Martin grał o życie; właśnie tak się czuł. Zdobył jednego gola, ale Jorgensenowi udało się zablokować wszystkie inne jego strzały. Kiedy Oilersom udało się poprawić wynik na 2:1, Martin odczytał triumf w oczach swego wroga; wszystkie blizny Jorgensena ułożyły się w szeroki uśmiech.

Kibice Bostonu głośno domagali się gola, ciskając na taflę różne rzeczy. Pojawiła się policja. Na trybunach widniały transparenty: „KLĄTWA CARTIERA”, „WSZYSTKO ALBO NIC”, „CARTIER PRZEGRYWA”. Martin pomyślał o ojcu, zastanawiając się, czy ogląda ten mecz w więzieniu.

Boże, pozwól mi wygrać. Modlitwa pojawiła się znikąd, nieoczekiwanie. Chciał tego dokonać dla May, dla siebie. Słyszał okrzyki kibiców. Przypomnił sobie głośne artykuły w prasie: jak jego ojciec sprzedawał *mecze*, zdradził własną drużynę i sport. Serge Cartier, wspaniały napastnik NHL, trzykrotny zwycięzca Pucharu Stanleya. „Cartier zamienia złoto na więzienie”, głosił jeden z tytułów.

Martin chciał odzyskać dobre imię. Chciał udowodnić ojcu, że potrafi tego dokonać, chciał dowieść świata, że nazwisko Cartier wciąż ma w hokeju jakąś wartość. Nawet u schyłku kariery chciał, aby ojciec był z niego dumny. I wtedy pomyślał o Natalie, o tym jak hazardowy nałóg ojca odebrał jej życie, i usłyszał własny jęk.

Jęk wydobył się z jego wnętrza – tak głośny, że usłyszał go cały stadion. Brzmiał niczym ryk dzikiego zwierzęcia. Próbując się skupić, przejął krążek od Raya. Zegar tykał. Martin sunął po lodzie i wchodząc z prawego skrzydła, zbliżał się do bramki przeciwnika.

– Strzelaj! – ryczał tłum.

Strzelaj, powiedział sobie Martin. Jorgensen stał przed nim z nienawiścią w oczach. Strzelaj, myślał Martin. Wyobraził sobie, że patrzy na niego matka. Zobaczył twarz Natalie. Usłyszał szept ojca: strzelaj! Nie mógł. Podał do Raya, jeszcze raz objechał dookoła.

Tłum dostrzegł jego wahanie i zaczął gwizdać. W krzykach kibiców słyszał rozgoryczenie i furję, a lodowisko odbijało niezgodę i wrogię echa. Zegar tykał coraz szybciej. Opanował się, widząc spojrzenie Raya. Zespół go wspierał.

– Skoncentruj się! – zabrzmiał głos trenera Dafoe. Martin zobaczył siwego człowieka o więziennej bladości;

usłyszał dziewczynkę płaczącą ze strachu na balkonie w Toronto. Pomyślał o zmarłej matce, ale zamiast w niebie ujrzał ją zimną na ziemi. Zobaczył May, promienną i żywą. Wciąż nie mógł się skoncentrować. Przejął podanie Raya i wycelował.

Nils Jorgensen obronił.

Rozległa się syrena kończąca mecz.

2:1 dla Edmonton Oilers.

Martin Cartier osiągnął na łyżwach prędkość 29, 9 mili na godzinę, a krążkowi nadawał prędkość 118, 2 mili na godzinę. Oto jakie rekordy odnotowano by w księgach, gdyby Martin Cartier wygrał Puchar Stanleya dla drużyny Boston Bruins.

Ale Boston Bruins przegrali.

May ochrypla od krzyku, lecz nagle zamilkła. Kylie, która wcześniej jak szalona podskakiwała na swoim łóżku, teraz opadła na kolana, jakby ktoś przeciął sprężynę podrzucającą ją w górę.

– Mamusiu, on nie trafił w siatkę.

– Nie, nie trafił – rzekła May.

– Czy oni przegrali?

– Tak, kochanie.

Kylie z poważną twarzą wpatrzyła się w ekran.

Razem oglądały zbliżenia twarzy wściekłych kibiców Boston Bruins ciskających na taflę papierowe kubki i programy. Kamera pokazywała triumfujących Oilersów, jak spadają w uściskach na Nilsa Jorgensena, a potem podrzucają go w górę i niosą na ramionach. Prześlizgując się po twarzach Bruinsów, pokazała malujący się na nich gniew połączony z niedowierzaniem.

Kiedy kamera odszukała Martina, jego spojrzenie było nieprzeniknione, a twarz ściągnięta i znieruchomiła, jakby grał w śniegu i wietrze, a nie pod światłami krytego stadionu. W niebieskich oczach malowała się pustka. May pomyślała o widzianym kiedyś psie, którego trzymano w klatce.

– Jaka szkoda, mamusiu – westchnęła Kylie.

– Biedny Martin – wyszeptła May ze łzami napływającymi do oczu.

– Dlaczego on tak wygląda?

– Chyba dlatego, że tak bardzo chciał wygrać.

– Ale ty zawsze mówisz, że chodzi o to, jak się gra.

– Wiem. Rzecz w tym... – zaczęła May i urwała. Nie rozumiała sportu; czasem zdawało jej się, że nie rozumie mężczyzn. Ożywiało ich pragnienie wygranej, którego ona w istocie nigdy nie czuła. Kylie była zmęczona i chciała iść spać. May przeczytała jej bajkę, przez cały czas nasłuchując telefonu.

Zadzwoń, myślała. Opowie mi, co się stało, wyżali się, a ja go wysłucham. Szukała słów przynoszących spokój oraz ukojenie, by dać mu nadzieję. Gdzieś w głębi serca May, głębiej niż rozczarowanie z powodu porażki Bruinsów, tkwiły słowa Martina: że poprosi, by za niego wyszła.

Dopiero godzinę później, gdy Kylie była już w łóżku, a księżyc okrążył żółtą stodołę, malując łąki i szklarnię srebrną poświatą, rozległ się dzwonek telefonu.

– Przegrali – powiedziała Tobin. – Musi być zdruzgotany.

– Nie zadzwonił.

– Faceci muszą lizać swoje rany w samotności – odparła Tobin. – Tak już jest na tym świecie.

– Poprosił mnie... – zaczęła May, chcąc podzielić się z Tobin obietnicą Martina. Ugryzła się jednak w język. Była to sprawa zbyt osobista, by opowiadać o niej nawet najlepszej przyjaciółce.

– On wróci – ciągnęła Tobin. – Tylko daj mu czas. Kiedy John przegrał sprawę swojego

awansu, zabrał wędkę i wyjechał. Sam. Na cały tydzień. Nie mógł spojrzeć mi w oczy, dopóki nie uporał się z samym sobą.

– Co ja robię najlepszego, wdając się w taki układ? – May pomyślała o Howardzie Droginie, który zawsze tefonował, gdy powiedział, że zadzwoni, i nigdy nie okazywał rozczarowania, ilekroć May miała inne plany.

– Zaslugujesz, by wypełnić życie czymś więcej niż tylko planowaniem wesel innych kobiet i wożeniem córki do psychologów – orzekła Tobin.

– Miała tylko jeden zły sen od czasu tamtego lądowania. Tylko raz widziała aniołki, ale dziś wieczorem nawiązała do czegoś, co powiedział Martin... a czego ona nie mogła usłyszeć.

– Czyta z twoich oczu, z wyrazu twarzy – stwierdziła Tobin. – Robi to cały czas. Wszelka posiadana przez Kylie wyjątkowa moc, jeśli tak chcesz to nazwać, bierze się z jej związku z tobą.

– Jesteśmy sobie bardzo bliskie – przyznała May.

– Nie wątpię. Jesteś zarówno jej matką, jak i ojcem. Kylie cię uwielbia. Czyta w twoich myślach, bo zna cię tak dobrze.

– Zapiszę to w dzienniku – powiedziała May. – Kiedy w czerwcu pojedziemy do Toronto, opowiem lekarzom o twojej teorii.

– Jasne!

May się roześmiała.

– Mój notes nie zappełnił się ostatnio. Mogą być rozczarowani. Psychiczna aktywność Kylie znacznie osłabła.

– Może nie potrzebuje już żadnych wyimaginowanych przyjaciół.

– Dlaczego?

– Na przykład dlatego, że jej mama jest szczęśliwsza. Jednakże May, odłożywszy słuchawkę, wcale nie czuła się szczęśliwa. Różane płatki zawiodły. Było jej przykro, że Martin nie zatelefonował – nie tylko za względu na siebie: tak bardzo pragnęła dodać mu otuchy.

ROZDZIAŁ 5

– Boston Bruins przegrali – syknął Mickey Agnelli prosto w twarz Kylie.

– Tak... – dodał Eddie Draper – a ty powiedziałaś, że na pewno wygrają.

– Nie powiedziałam, że na pewno – wyszeptała Kylie, stojąc przy automacie z napojami w holu szkoły podstawowej w Black Hall. Rozglądała się na boki w nadziei, że pojawi się nauczycielka albo jakaś większa dziewczynka. Chodziła do pierwszej klasy i teraz, otoczona przez starszych chłopców, czuła się zupełnie bezbronna.

– Powiedziałaś, że Martin Cartier ma specjalne zdolności – rzekł Mickey – Tak, zdolności do przegrywania – zawtórował mu Eddie.

– Mówiłaś też, że Martin Cartier przyjdzie do naszej szkoły – poparła ich Nancy Nelson.

– No i gdzie on jest?

Kylie skurczyła się ze strachu. Chociaż Martin nie powiedział, że przyjdzie do szkoły, była pewna, że to zrobi. Był przyjacielem, a ona miała pewność, że jej życzenie... że wszystkie ich życzenia się spełnią. Od pierwszej chwili, kiedy ujrzała Martina w samolocie, coś w jego oczach kazało Kylie myśleć, że potrzebował ich tak, jak one potrzebowały jego. Wybrała go na swego tatusia i poprosiła, aby im pomógł, gdy nadejdzie czas. A teraz minęły cztery dni i on nawet nie zadzwonił do mamy. Zniknął z ich życia, jakby nigdy go nie było. Na samą myśl o tym bolał ją brzuch.

– Właśnie, gdzie on jest? – Mickey żądał wyjaśnień.

– Do diabła z nim! – parsknął Eddie. – Bruinsi powinni go wymienić na Nilsa Jorgensena.

Kylie skuliła się, splatając ramiona z przodu, jakby otulała się parą skrzydeł. Nie podobało jej się, że mówią o Martinie w taki sposób, nawet jeśli przestał telefonować i nawet jeśli jej życzenie miało się nie spełnić.

– Martin Cartier to oferma – szydził Mickey.

– Przegrał Puchar Stanleya – dodał Eddie. – Wiesz, jakim trzeba być fajtlapą, żeby przegrać Puchar Stanleya?

– Nie nazywaj go tak! – krzyknęła Kylie.

– Fajtlapą! – wrzasnął Mickey.

– Wielki, głupi głupiec – skandował Eddie.

– Głupi i głupiec oznaczają to samo – odpowiedziała Kylie – więc może mówisz o sobie.

– A ty jesteś kłamczucha – powiedział Mickey. – Wcale nie znasz Martina Cartiera, a on nigdy nie wybierał się do naszej szkoły. W każdym razie przegrał Puchar Stanleya. Chodźcie, chłopaki, nie będziemy gadać ze smarkulą.

Oczy Kylie napelniły się łzami, gdy zacisnąwszy pięści spoglądała na starszych chłopców biegnących korytarzem. Wszyscy mieli ojców. Wiedziała, bo widywała ich na nadmorskiej promenadzie. To, co mówili, było przykre, ale jedno dotknęło Kylie szczególnie boleśnie i sprawiło, że skuliła się jeszcze bardziej. Pragnęła, by pojawiły się anioły. Żeby osłoniły ją miękkimi skrzydłami i były jej przyjaciółmi.

– Nie skłamałam – powiedziała w pustkę szkolnego korytarza. – Znam Martina Cartiera.

Naprawdę go znam.

Martin uciekł w głąb siebie. Był w domu, w samym centrum Bostonu, ale równie dobrze mógł być w głębokiej jaskini. Zaciągnięte zasłony, wyłączony telefon, niegolony zarost. Znowu przegrali Puchar Stanleya i nic nie mogło tego zmienić. Spał dwa dni bez przerwy.

Pierwszego dnia śniło mu się jezioro. Lód był gładki i ciemny; pod powierzchnią widać było zamrożone ryby. Pstrągi, okonie, szczupaki. Martin ślizgał się niczym duch, srebrne ostrza ledwie muskały taflę. Był wolny, lekki, nieskrępowany, a jednak musiał gdzieś dotrzeć. Wiatr pchał go ku jakiejś osobie, której nie mógł zobaczyć.

Drugiego dnia śnił, że ślizga się jeszcze szybciej. Rozciągało się przed nim Lac Vert wijące się w wężowych skrętach przez góry Kanady. Ciemny lód ocieniały wysokie sosny i Martin wiedział, że osoba, której szuka, czeka tuż za następnym zakrętem. Kto to był? W miarę jak się zbliżał, nieznajoma postać wydawała się oddalać. Matka? Ojciec? Natalie? Lód wokół jego stóp zaczął topnieć.

Obudził się w płataninie pościeli, z szybko bijącym sercem. Boże, kto to był? Leżąc, spojrzał prawdzie w oczy: znowu przegrał Puchar Stanleya. Zawiodł wszystkich. Był sam na świecie. Nawet w snach. Lód się topił i jezioro byłoby go pochłoneło, gdyby do niej nie dotarł.

– Do niej? – zapytał na głos.

I wtedy zrozumiał.

To May czekała na niego. Niósł jej puste ręce, puste kieszenie – tylko siebie.

Ale May niczego więcej nie pragnęła. Była dobra i miła; od pierwszej chwili czuł, że łączy go z tą kobietą szczególna więź.

Śnił, że tonie. Lód topniał mu wokół kostek. May stała tuż za zakrętem – gdyby zdołał do niej dotrzeć, może by się uratował. Na myśl o jej córeczce poczuł ucisk w gardle.

Może wszystkich da się ocalić. Unosząc się na łokciu, spojrzał w przestrzeń zaciemnionego pokoju i pomyślał, że trzeba stawić czoło światłu dnia.

Maj był cudownym miesiącem dla narzeczonych, którzy chcieli zawrzeć ślub pod gałęziami wisterii, w powodzi świeżych fiołków i konwalii, ale porą mozolnej pracy dla organizatorek weselnych uroczystości. May spędzała większość czasu w ogrodzie i nierzadko witała kolejnych klientów z kolanami ubrudzonymi trawą i ziemią pod paznokciami. Jednakże ostatnimi czasy nie miała serca do pracy.

Cztery dni po porażce Bruinsów, po ostatnim telefonie Martina, klęczała w różanym ogrodzie wysypując kawowe fusy wokół korzeni starego krzewu różanego. Każdy krzew miał swoją historię opowiedzianą May przez matkę, babkę albo ciotkę. Ten zasadzono w 1946 roku, gdy Emily Dunne zbudowała stodołę. Omal wtedy nie zginął z nadejściem pierwszych mrozów, ale Emily i Enid utrzymały go przy życiu, owijając starymi koszulami ojca. Abigail także doglądała go czule.

– Podsyp więcej kawy – poinstruowała May ciocia Enid, uważnie wszystko nadzorując.

– Tyle? – May rozsypała jeszcze pół filiżanki.

– Dwa razy więcej – rzekła ciocia Enid. Jej dłoń drżała bezwładnie i musiała oprzeć się

na ramieniu May, aby utrzymać równowagę.

Babcia May twierdziła, że róże lubią kawę i że rosną wyżej, pełniej i barwniej, gdy nawozi się je porannymi fusami. Zapach ziemi i francuskiej kawy mieszał się w ciepłym powietrzu, sprawiając, iż May zatęskniła za matką bardziej niż kiedykolwiek. Musiała głęboko westchnąć, bo ciocia Enid spojrzała na nią uważnie.

– Co się stało, kochanie?

– Nic, ciociu.

– Nie wierzę. – Enid zwróciła się do nadchodzącej Tobin: – Może ty się dowiesz?

– Spróbuję – uśmiechnęła się Tobin, obejmując ramieniem starszkę.

Ciocia Enid była niegdyś średniego wzrostu, ale wiek zgiął jej plecy. Miała krótko ostrzyżone siwe włosy i jasne, niebieskie oczy. Ubrana zaś była w swój ulubiony strój ogrodniczy: różową podomkę oraz starą brezentową kurtkę i sięgające kolan zielone gumowe buty, które niegdyś należały do jej siostry.

– Kochanie – powiedziała ciocia Enid – czy to ten hokeista?

– Jaki hokeista? – zapytała May.

– Strzał w dziesiątkę – oznajmiła Tobin.

– Kylie mówiła, że telefonował, a potem... – ciocia Enid ugryzła się w język.

– Kylie go polubiła – mruknęła May.

– I to jest właśnie ów powód – powiedziała Tobin. Ciocia Enid sięgnęła do garnka z fusami i przesiała je przez swoje zdeformowane palce. Zrobiła to kilkakrotnie, a potem starannie rozsypała fusy wokół korzeni białej róży.

– Tęsknota za kimś to dziwna rzecz – powiedziała ciocia Enid. – To ona cię gnębi, prawda? I nie można sobie wyobrazić, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy...

– Ona nie może – rzekła Tobin.

– Możecie przestać? – zapytała May, czując na sobie jej wzrok. – Za chwilę przyjdzie tu Page Greenleigh z matką. Lepiej pójde się umyć.

– Mogłabyś do niego zatelefonować – zasugerowała ciocia Enid.

– Świetny pomysł – podchwyciła Tobin.

May spojrzała przez różany krzew na ciotkę. Jej pomysł trącił herezją: Emily Dunne zawsze twierdziła, że mężczyzna najbardziej boi się, że znajdzie się w pułapce, zostanie schwytyany na łące. Na jej słynnej liście nakazów i zakazów telefonowanie do mężczyzny zajmowało pierwsze miejsce wśród zakazów.

Jakby czytając w myślach May, ciocia Enid mówiła dalej:

– Mężczyźni także czują ból. Przegrał mistrzostwa, może potrzebuje kogoś, kto by z nim porozmawiał.

– Moim zdaniem to brzmi rozsądnie – poparła ją Tobin.

– A co z męską potrzebą lizania ran w samotności?

– Co za dużo, to niezdrowo.

– Przecież wie, że może zadzwonić – fuknęła May.

– Nigdy nie przypuszczałam, że jesteś tak wyniosła. – Ciocia Enid zdjęła japońskiego chrząszcza z błyszczącego liścia i trzymała go w dłoni, by za chwilę wypuścić z dala od róż. –

Zdaje się, że przedkładasz własne uczucia nad uczucia kogoś, kto właśnie teraz może cię najbardziej potrzebować.

– Enid ma rację – powiedziała Tobin.

May nie odezwała się ani słowem. Zauważyła drugiego chrząszcza, lśniącego jak ciemna tęcza. Zdejmując go z różanej łodygi, lekko zapukała paznokciem w twarde pancerzyk wielkości pestki wiśni. W porannym słońcu własny pancerz May wydał się gorący i twardy. Pomyślała o tym, jak długo z nim żyje, i jak by się poczuła, mogąc go zrzucić.

Tobin już od lat próbowała ją swatać – a to z bratem Johna, a to z jego kuzynem lub którymś z kolegów z pracy. Barbara Elis zabrała May na narciarski weekend, żeby poznała tam jakiegoś znajomego z Yermontu, który jak sądziła, byłby dla niej doskonałą partią. Carol Nicols zorganizowała nawet „randkę w ciemno” z facetem, którego знаła ze szkoły, oceanografem w Wood Hole. May posłusznie chodziła na te spotkania. Dziś miała trzydzieści sześć lat i jeszcze nikt nigdy nie wzbudził w niej takich uczuć, jakie wzbudzał Martin.

Wyprostowała się bardzo powoli i weszła do szklarni, kierując się w stronę telefonu wiszącego na północnej ścianie. Martin nie dał jej swojego numeru. Zadzwoiła do biura drużyny Boston Bruins. Rozmawiała najpierw z recepcjonistką, potem z kierownikiem biura, a w końcu z rzecznikiem prasowym. W głosie mężczyzny brzmiał sceptycyzm.

– Pamięta pan wypadek lotniczy? – tłumaczyła się May.

– Uratował mnie i moją córkę. Naprawdę to zrobił. Kylie, moja córka, poprosiła, żeby nam pomógł. Tak go poznałam. Spotkaliśmy się przed rozpoczęciem finałów i dałam mu...

– przerwała, zaschło jej w gardle.

– Przykro mi, proszę pani – odparł głos – ale nie wolno nam podawać numerów telefonów naszych zawodników.

– Ale my jesteśmy znajomymi – przekonywała May.

– Naprawdę. Jestem pewna, że wiele osób tak mówi, ale w tym wypadku to szczerą prawdą.

– Cóż, nawet jeśli tak, nie wolno mi...

May oparła głowę o chłodną szklaną ścianę. Para jaskółek przecięła powietrze nad jej głową. Budowały gniazdo pod dachem szklarni. May poczuła, że umyka jej szansa.

– Proszę... – błagała. Nagle zrozumiała, że musi dotrzeć do Martina. Gdyby mogła wleźć po drucie do centrali, by zdobyć jego numer, z pewnością by to zrobiła. – Musi mi pan powiedzieć.

Mężczyzna odłożył jednak słuchawkę. May powoli wróciła do różanego ogrodu i swojej pracy. Ciocia Enid spojrzała na nią, ale o nic nie zapytała.

– Dodzwoniłaś się? – zagadnęła Tobin.

– Nie.

– A niech to! Może ja spróbuję? Mogłabym...

– Nic nie mów, dobrze? – odparła May, wbijając szpadel w ziemię. – Bardzo cię proszę...

Tobin odeszła.

Kiedy Enid udała się do stodoły po trochę mączki kostnej, by uzupełnić nią fusy, May pochyliła się i przyłożyła twarz do ziemi. Czując unoszące się falami wilgotne ciepło,

zamknęła oczy.

– Nie mogę uwierzyć, że zdarza się to mnie. Zakochała się. Ona, boleśnie oszukana w miłości i od tamtej chwili ostrożna do przesady, oddała serce – niemal tego nie zauważając – mężczyźnie, który zniknął. Ostatniej nocy, zapisując w dzienniku sen Kylie, ze zdumieniem stwierdziła, iż pisze o Martinie.

Przyszła Page Greenleigh z matką i siostrą. Kiedy się pożegnały, May wróciła do ogrodu. Było coraz goręcej, pszczoły roiły się wokół róż. Nagle odgłos silnika kazał jej podnieść wzrok. Droga pędził samochód. Im głośniejsz brzmiał silnik, tym szybciej biło serce May.

Miała na sobie stary słomkowy kapelusz i spłowiła żółtą sukienkę, dłonie pokryte ziemią, a pod paznokciami kawowe fusy. Przejrzała się w oknie szklarni, po czym wstała, otrzepując ręce. Próbowwała się uśmiechać, ale nie mogła powstrzymać drżenia brody.

Wysoki i smukły, zmierzał wprost ku niej. Miał na sobie białą koszulę wciśniętą w dżinsy, niebieską bejsbolową czapkę i sportowe buty. Jego prawy policzek był posiniaczony, a nad lewym okiem widniało kilka szwów. Gdy podszedł bliżej, zdjął czapkę.

– Witaj – powiedziała.

– Wybrałem się na przejażdżkę – powiedział.

– Przyjechałeś wprost tutaj? – zapytała.

– Lubię słońce powietrze – rzekł. – Tutejsze, w Black Hall.

May złapała się na tym, iż wpatruje się w stopy Martina. Poczula jego ręce na ramionach i nagle już patrzyła mu prosto w oczy. Nieśmiało sięgnął po nią, cisnąwszy na ziemię swoją czapkę.

Pocałunek pozbawił ją tchu. Martin objął ją mocno, a ona odwzajemniła uścisk. Dzień był balsamiczny, choć gorący; otaczał ich aromat wysokich traw i białych róż. May poczuła, że odtąd każda wiosna kojarzyć jej się będzie z Martinem.

– Nie sądziłam, że cię znów zobaczę – powiedziała.

– Szczerze?

Wzruszyła ramionami, cofając się.

– Przegrałem – rzekł.

– To nie miało dla mnie znaczenia.

– Sfuszerowałem. Ja...

– Byłeś wspaniały – wpadła mu w słowo. – Jak tygrys. Nigdy nie widziałam, by ktoś jeździł tak szybko, a potem rzucał się... – May nie wiedziała, jak opisać swoje wrażenia, ale mówiąc, czuła, że opuszcza go napięcie. Nie powiedział ani słowa, słuchał jednak uważnie. – Widziałam twoją twarz – powiedziała. – Kamera pokazała cię z bliska. Czułam się tak, jakbym tam była.

– Cieszę się, że nie byłaś... że nie widziałas, jak przegrywam.

– Prawie wygraliście.

Odsunął ją lekko. Sińce na jego twarzy były purpurowe i żółte, a szwy tworzyły gniewną ciemną linię.

– W hokeju nie liczy się „prawie”. May nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

– Zawahałem się. Miałem czystą pozycję i nie wykorzystałem jej. Przekazałem krążek

Rayowi... Rayowi Gardnerowi. Miałem gonitwę myśli. Grałem o Puchar Stanleya, być może po raz ostatni. Pomyślałem o ojcu. On... – twarz Martina skrzywiła się na tę myśl.

– Nie chciałeś go zawieść? – May czytała gazety. Wiedziała, że jego ojciec jest w więzieniu.

Martin się zachnął.

– Nie chciałem, żeby zobaczył moją porażkę. Sprawienie mu zawodu to kwestia drugorzędna.

May zmarszczyła brwi.

– Jest stary – Martin mówił dalej. – Jest... Mówiłem ci. Nie widzieliśmy się od lat.

– Mimo to jest twoim ojcem.

– Jestem inny niż ty. Między mną a ojcem nie ma przyjaznych uczuć. – Kanadyjski akcent Martina był teraz silniej szy niż zwykle. Mówiąc o ojcu i o przegranej wydawał się skrepowany. May przypomniała sobie ostatnie cztery dni i zastanawiając się, gdzie był, nie zdołała się uśmiechnąć.

– Nie przyjechałem tutaj, żeby rozmawiać o moim ojcu – rzekł, biorąc ją za rękę.

– Nie? – zapytała May.

– To nasza pierwsza kłótnia – roześmiał się i spojrzał tak rozbrajająco, że zaczęła się uśmiechać. – Wybaczysz mi?

Śmiejąc się, skinęła głową.

– Miałem w kieszeni te różane płatki – powiedział – i wciąż słyszałem: „Ważne, jak rozegrasz grę”.

– Myślałeś o tym w czasie meczu? – zdziwiła się May.

– Tak – odparł ze śmiechem. – Nie pomogło.

– Różane płatki nie mają magicznej mocy.

– Przez chwilę miały – pogłaskał jej dłoń. – Naprawdę. May spuściła wzrok. Wiele panien młodych przyjmowało jej różane płatki, spodziewając się, że ich małżeństwa będą szczęśliwe, zawsze kochające, zgodne i dogonnie trwałe. Nie chciała mu mówić, że niektóre z nich były już rozwiedzione, nienawidziły mężczyzn, których niegdyś kochały nad życie, i żyły z innymi.

– Kylie ucieszy się, że wróciłeś – powiedziała zamiast tego.

– Naprawdę?

– Tak – potwierdziła May. – Wczoraj witała klientów lemoniadą, tuż przy ogrodzeniu. Podchodziła do każdego, kto wjeżdżał, ale wiem, że miała nadzieję, że to ty. Tęskniła za tobą...

Nie powiedziała, że Kylie znów ma koszmary senne i że ostatniej nocy krzyczała przez sen o aniołku w samolocie, który chciał jej coś powiedzieć.

– A jej mama? – zapytał Martin, podchodząc bliżej.

– Ja też.

– Chcę się z tobą ożenić.

– Martin – wyszeptała May, rumieniąc się.

– May... – powiedział miękko.

– Poznaliśmy się zaledwie kilka tygodni temu.

– Powiedziałem ci. Tak miało być.

Tak miało być... co to oznaczało? Serce biło jej jak szalone, ale myślała spokojnie. Byli tacy różni: ona miała dziecko, on wciąż podróżował. W ostatnich czterech dniach jej uczucia zostały dotkliwie zranione jego milczeniem. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nad wyraz mi to pochlebia, naprawdę. Nigdy wcześniej mnie to nie spotkało – powiedziała. – Rzecz jednak w tym, że ja mam córkę. Ty jesteś bardzo romantyczny, a moja mama i babcia z pewnością odegrałyby fanfary, lecz mówiąc szczerze, nie potrafię tak igrać...

– Igrać? – przerwał jej, marszcząc brwi.

– Właśnie.

– Sądzisz, że igram z twymi uczuciami?

– Może nie rozmyślnie – powiedziała – ale nie znasz mnie... nas... zbyt dobrze. Miałbyś nagle „gotową” rodzinę, i to jedną z najbardziej niezwykłych w całej okolicy.

– Jak niezwykłą?

– Cóż, długo byłam samotna, właściwie przez całe życie, a Kylie jest... – szukała właściwego słowa – czarodziejką.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – roześmiał się nagle, jakby cały problem był rozwiązany.

– Ma to po mamie. Flakonik z różanymi płatkami... to też jest niezwykle. Inspirujesz ją.

– Dziękuję – powiedziała May.

– Jesteś największą czarodziejką na świecie.

– Szkoda, że nie znałeś mojej mamy i babci – odparła ze śmiechem.

– Ale opowiesz mi o nich, prawda? Poznam je poprzez ciebie. Wiem, ile dla ciebie znaczą, May. Słyszę, jak o nich mówisz. Twoja rodzina będzie moją rodziną.

– Zawsze tego chciałam – szepnęła.

– I masz to wraz ze mną – powiedział. – Na co czekamy?

– Na to, żeby się poznać!

Uśmiechając się, ujął jej twarz w swoje dłonie.

– Myślę, że już się znamy. Tutaj... – dotknął swego serca.

Nagle May pomyślała o wszystkich porządnych dziewczętach z Black Hall, które po długich zalotach poślubiały kolegów ze szkoły, z college’u, z klubów żeglarskich lub z pracy. Te dziewczęta robiły wszystko jak należy – poprawnie, przyzwoicie, a przy tym okropnie nudno. Musiała się uśmiechnąć.

– To byłoby szaleństwem – powiedziała.

– Tak. Prawdopodobnie tak. – Oboje się roześmiali. – Ale taki właśnie jestem. To straszne, jakimi drogami chodzą moje myśli. Myślałem tylko o tobie. Przez całe rozgrywki. Jak to się nazywa... Opętanie? Ale w pozytywnym sensie.

– Pozytywnie opętany? – uśmiechnęła się May.

– *Mais oui* – musnął twarz May, tuląc w dłoni jej policzek. – Nie mogę wyrzucić cię z pamięci.

– I sądzisz, że to oznacza, iż jesteśmy sobie przeznaczeni.

– A ty nie? – zapytał, podchodząc o krok bliżej.

- Chciałabym tak myśleć – nagle poczuła, że serce zaczyna jej mocno bić.
- A zatem myśl tak – rzekł – a ja z biegiem czasu dowiodę ci, że to prawda.
- Jak? – wyszeptała.
- Kochając cię, May.

Pocałowała go. Oczy Martina rozszerzyły się ze zdumienia, ale potem otulił ją ramionami i przycisnął mocno, aż oboje zdołali się uspokoić. Odsunęła się od niego z bólem w sercu.

- Wciąż sobie powtarzałam, by nie żywić nadziei – powiedziała.
- Naprawdę?
- Takie rzeczy mi się nie zdarzają.
- Dziwne, że tak mówisz – rzekł – bo właśnie się zdarzyło.
- Zauważyłam.

– Przywiozłem coś dla ciebie. – Z lekko zmarszczonymi brwiami zaczął przetrząsać kieszenie, a gdy przejrzał wszystkie, bruzda między brwiami zrobiła się głębsza. W końcu znalazł to, czego szukał, i wspaniały uśmiech rozjaśnił mu całą twarz. Wyciągnął pierścionek z przedniej kieszeni i zaczął wsuwać go May na palec. Robił to bardzo gładko i romantycznie, ale May była tak zdenerwowana, że drgnęła i pierścionek wpadł w świeżo skopaną ziemię.

– Och, kochanie, pozwól, że go podniosę. – Ukłękawszy, zaczęła przeczesywać ziemię, ale Martin delikatnie ujął jej nadgarstek.

- Ja to zrobię. – Znalazł pierścionek, lecz pozostał na kolanach i wsunął go na palec May.
- May, wyjdiesz za mnie?

Zamarła, unosząc rękę do ust. Minęło kilka sekund, nim zdołała odpowiedzieć.

- Potrzebuję trochę czasu – usłyszała własny głos. – Nie tylko dla siebie, lecz dla Kylie.

Był zaskoczony; pomyślała, że go straciła. To koniec: weźmie swój pierścionek i odejdzie. Wydawał się tak bezbronny, klęcząc przed nią; zrobiło jej się przykro, że go zraniła. Ale musiała troszczyć się o siebie i o Kylie; tak było przecież od dawna.

- Martin, przykro mi – powiedziała.
- Cóż – rzekł z wymuszonym uśmiechem na twarzy i wstał, otrzepując ziemię z rąk – będę musiał starać się o ciebie.
- Nie to miałam na myśli.
- Zrobię to tak jak trzeba, May. Nie pozwolę, byś znów powiedziała „nie”.
- Nie powiedziałam tego również teraz – odparła cicho.
- Ale nie jesteś gotowa powiedzieć „tak”.
- Chcę tylko poznać cię lepiej. Nie proszę o zaloty. Sprawileś, iż zabrzmiało to tak, jakbym oczekiwała czekoladek, kwiatów i tych wszystkich rzeczy...

– Cóż, oczekujesz ich czy nie, mam zamiar ci je dawać. Przegrałem już tej wiosny Puchar Stanleya. Nie zamierzam przegrać również ciebie, May Taylor.

Bukiety zaczęły nadchodzić następnego ranka. Jakby nie dość było ogrodu pełnego kwiatów i okiennych skrzynek z petuniami, Weselna Gospoda zaczęła się wypełniać pękami białych róż.

– Musiał złożyć zamówienia we wszystkich kwiaciarniach w Connecticut – stwierdziła ciocia Enid.

– Jak je wszystkie znalazł! – śmiała się Kylie, widząc firmowe opakowania różnych salonów kwiaciarskich. – Mamo, on cię musi bardzo lubić.

– Tak, kochanie – wyjaśniła jej ciocia Enid. – Wiem, że żadna cena nie jest miarą uczuć, ale te róże kosztowały majątek.

– Nie chodziło mi o to, żeby przysyłał kwiaty – broniła się May, skrycie wzruszona tymi dowodami miłości. Dotychczas dostarczono dwanaście bukietów z tuzina róż każdy, a drogą nadjeżdżała właśnie furgonetka z kolejnej kwiaciarni.

– May, organizujesz w tym tygodniu kilka wesel – rzekł dostawca, który bywał tu często, wynosząc z samochodu następne dwa białe pudła – czy jakaś szczęśliwa narzeczona popadła w obłęd i wykupuje wszystkie białe róże?

– Nie, wszystkie są dla mamy! – wykrzyknęła Kylie.

– Każda, każdziuteńka!

Tego wieczoru Martin przyjechał po May o szóstej i pojechali nad Silver Bay. Dziękując mu za róże, czuła się zdumiewająco onieśmielona, jakby była na pierwszej randce. Zadała mu uprzejme pytanie, a on udzielił jej uprzejmej odpowiedzi:

– Miałeś dobry dzień?

– Tak, dziękuję. A ty?

Łapiąc się na tym, oboje wybuchnęli śmiechem.

– Rozmawiamy jak ludzie na kursach języków obcych – powiedział.

– Tak... Tam uczą mówić inaczej, znacznie sztywniej niż w prawdziwym życiu – roześmiała się May, przypominając sobie szkolne lekcje francuskiego. – „O której godzinie zamykany jest wieczorem ten duży sklep z artykułami spożywczymi?”

– „Właśnie go zamknięto, madame – podchwycił Martin. – Z powodu inwazji komarów!”

– *Quelle horreur!* – powiedziała.

– A zatem mówisz po francusku! – wykrzyknął, chwytając rękę May, by ją pocałować.

– Niezbyt dobrze – odparła rozpromieniona, nie starając się uwolnić dłoni.

Przechadzali się wzdłuż wybrzeża, mijając kutry rybackie i łodzie poławiaczy muszli oraz zniszczone chaty o dachach ze zwietrzałych gontów, gdzie pod okapami wisiały stare boje. Wstąpili do kilku sklepików, przywitani się z koleżanką May, Hathaway Lambert w Cowgirl Rodeo, a potem zjedli pieczone ślimaki w restauracji rybnej, przy stoliku nakrytym ceratowym obrusem w biało-czerwona kratkę.

Ludzie poznawali Martina i podchodzili prosząc o autografy na papierowych serwetkach. Rozdał kilka, a potem poprosił, by pozwolono jemu i May spokojnie zjeść kolację.

– Czy tak jest zawsze? – zapytała.

– Dość często – odparł. – Czasami mówią, co schrzaniłem w ostatnim meczu. Jesteśmy dość daleko od Bostonu, by nie wyrażano zbyt głębokiego żalu z powodu Pucharu, ale przyjdzie i to, wierz mi.

May słuchała, a on opowiadał o Pucharze Stanleya. Jego ojciec był jednym z największych kanadyjskich hokeistów; to on nauczył grać Martina i Raya. Czekwała, aż opowie, co czuje do ojca i jak dziś ocenia przeszłe wydarzenia, ale Martin zręcznie zmieniał

temat.

– Uczyliśmy się grać na Lac Vert.

– Co to jest?

– Och, to jedno z najpiękniejszych miejsc na ziemi. Sama zobaczysz! – zaczął opisywać głębie wód odbijających wysokie góry i zielone lasy. – Jest niewiarygodne. Nazywamy je Lac Vert, czyli Zielone Jezioro. Z powodu koloru. Jakby mieściło inny świat, pełen sosen, dębów, klonów we wszelkich odcieniach zieleni. Zimą, nim zamrznie, kolory ciemnieją i woda robi się prawie czarna.

Uderzył ją wyraz jego twarzy.

– Kochasz to miejsce – powiedziała cicho.

– Bardziej niż wszystkie inne – rzekł. – To mój dom. Zabiorę cię tam. Też je pokochasz.

Siedząc w małej restauracji, ujrzała je oczyma duszy. Jakby Martin wziął ją za rękę i zaprowadził na brzeg... Zobaczyła góry, czyste północne niebo i przejrzystą zieloną wodę.

– Jestem pewna, że je pokocham.

– To kiedy jedziemy? – zapytał.

Ale nim zdołała odpowiedzieć, kelnerka przyniosła rachunek. Martin zapłacił i nadeszła pora, by wyjść. Zjedli jeszcze lody w barku na plaży, a potem wsiedli do samochodu i udali się na przejażdżkę przez wzgórza za Silver Bay, obok starego opactwa, wzdłuż Old Farm Road i rzeki Connecticut i dalej, do Black Hall.

Trzymając Martina za rękę, May niemal bezwiednie zaczęła opowiadać o sobie. Gdy jechali przez miasto, wskazała podstawówkę, do której niegdyś chodziła ona, a teraz Kylie, dalej zaś szkołę średnią i biały kościół słynący z malowideł tutejszych artystów i zawieranych w nim ślubów, którym zwykle patronowała rodzina May.

– To długa tradycja – rzekł Martin.

– Kościół niegdyś spłonął i został odbudowany mniej więcej sto lat temu...

– Nie, mówiłem o Weselnej Gospodzie – odparł. – Waszej rodzinnej firmie. Wywodzisz się z długiej linii silnych kobiet, prawda?

– Prawda – przyznała. – Moja babcia była prawdziwą wizjonerką. Niełatwo było skłonić ludzi, by płacili za organizację wesel. Miała jednak talent i mawiała, że jeśli nie wykorzystamy tego, czym nas obdarzono, dar zaniknie i przepadnie. – May przerwała, myśląc o mężczyznach, których знаła wcześniej. – Czy niepokoi cię wizja silnych kobiet?

– Ani trochę – roześmiał się Martin – i zapewniam cię, że wiem, co mówię. Szkoda, że nie znałaś mojej matki. Lac Vert jest piękne, ale zimy mamy tam surowe. Matka radziła sobie bez pieniędzy, znosząc drewno na opał, bym miał ciepło, i odprowadzając do szkoły bez względu na pogodę. Byliśmy biedni, ale nigdy nie powstrzymało jej to od kupienia mi nowych butów czy kurtki...

– Jednak twój ojciec... – May pomyślała, iż Serge zawodowo grający w hokeja z pewnością zapewnił rodzinie dobrobyt.

– Jedną rzeczą, jakiej zapewne się o mnie dowiesz – rzekł Martin – jest to, iż więcej mam po matce niż po ojcu... dzięki Bogu. Nie ma potrzeby, żeby o nim rozmawiać. Ten dzień jest zbyt piękny.

May miała ochotę o nim porozmawiać, ale zgodziła się zmienić temat. Nadeszła pora, by Martin odwiózł ją do domu. Ciocia Enid nie lubiła czekać do późna i May chciała już wracać do Kylie. Po drodze zatrzymali się jednak pod mostem Holden Bridge.

Wielkie pręśło spinało brzegi rzeki Connecticut, a jego światła lśniły w wolno płynącej wodzie. May wyciągnęła rękę, aby pokazać Martinowi wąski roboczy pomost na wysokości sześćdziesięciu metrów, którym razem z Tobin przeszła w dniu ukończenia liceum.

– Silna i odważna – powiedział.

– I głupia – dodała. – Umarłabym, gdyby Kylie kiedykolwiek zrobiła coś takiego.

– Pewnie przychodziłaś tu z chłopcami? – Martin objął ją ramieniem i pocałował w cieniu mostu. Topniejąc w uścisku, pozwoliła mu całować się długo i czule. Kiedy przestali, cieszyła się, iż zapomniiał o tym pytaniu i nie musiała mówić mu, że nigdy przedtem tego nie robiła. Nie całowała się w zaparkowanym samochodzie z nikim oprócz niego.

Wjechali w dziką drogę za Firefly Beach, usiedli na piasku i wsłuchiwali się w drobne fale. May wskazała ręką na wschód w stronę labiryntu moczarów opowiadając, jak wraz z Kylie znalazły ciało Richarda Perry'ego, który – zdesperowany – powiesił się na drzewie.

– Wtedy zaczęły się jej objawienia?

– Wkrótce po tym przeżyciu.

– Czy to właściwe słowo? Objawienia?

Ilekoć rozmawiali o Kylie, czuła jakiś dodatkowy niepokój. Córka była dla niej najcenniejsza, a inni, łącznie z własnym ojcem, już ją zranili.

– Tak – odparła ostrożnie. – To są objawienia. Martin skinął głową.

– Rozumiem.

– Większość ludzi tego nie rozumie – mówiła dalej May.

– Nauczycielka Kylie nazwała je halucynacjami. Ale Kylie nie jest schizofreniczką.

– Oczywiście, że nie. Zresztą cóż wiedzą nauczyciele...

– Gdyby wtedy, w samolocie, Kylie nie miała jednej ze swoich wizji, gdybyś o tym nie wiedział, to nie jestem pewna, czy rozmawiałabym o nich teraz. Staramy się zachowywać je w tajemnicy...

– Jeśli tak sobie życzysz, nie powiem ani słowa, ale ja, May, byłbym z nich dumny.

– Dlaczego? – zapytała, obracając się ku niemu.

– Bo to wspinała dziewczynka. Równie wrażliwa jak jej matka i babka oraz cała reszta silnych czarodziejek z waszego rodu. Jest po prostu kolejną w długiej linii.

May zmusiła się do uśmiechu. W torebce miała swój niebieski notes. Czasami pisząc w nim czuła się przepelniona dziwną trwogą. Ludzie boją się tego, czego nie pojmują, a Kylie miała wiele cech niepojętych dla niej samej. To, że może z kimś porozmawiać; że ten ktoś widzi Kylie w takim samym cudownym świetle jak ona, sprawiało, że czuła się szczęśliwa i wdzięczna.

– Dziękuję ci – szepnęła.

Martin wpatrywał się w wodę porysowaną prądami i drobnymi falami. Zachodzące słońce rzucało fioletowe cienie na falochron i wielkie głązy.

– Słuchaj – odezwał się nagle – czy to jest morze? Tak dużo czasu spędzam na łyżwach, że nie znam geografii. Kanada to co innego, ale Nowa Anglia jest mi zupełnie obca. Co to jest, Ocean Atlantycki?

– Nie, to Long Island Sound.

– Ale woda jest słona?

– Tak – uśmiechnęła się. – To jakby odnoga morza. Atlantyk jest tam, naprawo... – Wyjaśniała, iż są to łagodniejsze wody niż otwarty ocean znajdujący się kilka mil na wschód. Właśnie tu ojciec uczył ją pływać i żeglować, gdy była małą dziewczynką. Ciskając do wody kamyki, opowiadała, jak przytrzymał miniaturową żaglówkę, dopóki May nie wdrapała się do kokpitu. Wtedy odpychał łódź, przechodził na rufę, by pokazać jej, jak się steruje. Potem wręczał jej rumpel i rozpoczynał lekcję stawiania żagli.

– Krok po kroku... – wpatrywała się w gwiazdy na horyzoncie. – Zawsze miał dla mnie tyle cierpliwości...

– To znaczy, że był dobrym ojcem.

– Tak. Przestraszyłam się kiedyś, gdy zerwał się wiatr i łódź omal się nie przewróciła. Rzuciłam mu liny i zaczęłam krzyczeć, żeby przejął ster. Zrobił to spokojnie jak zawsze. Nigdy mnie nie beształ i nie onieśmielał.

– Mam nadzieję, że ja również tego nie robię – głos Martina brzmiał poważnie i spokojnie.

Podniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy. Nie rozumiała, co robi, prosząc go, by zaczekał. Ojciec był jej wzorem; mężczyzną, z którym zawsze porównywała wszystkich innych.

– Kocham cię – usłyszała własny głos i te słowa skierowała do niego po raz pierwszy.

Porwał ją w ramiona i przyciągając bliżej, pocałował. Lekka bryza rozwiewała jej włosy, poruszając też wysokimi trawami. May czuła dotyk ciała Martina i wyobrażała sobie, iż żegluje z nim po spokojnym morzu. To byłaby idealna pora, niezbyt burzliwie i niezbyt wietrznie. Czułaby się równie bezpiecznie jak na suchym lądzie.

Czułaby się wystarczająco bezpiecznie, by zabrać ze sobą Kylie: to był najważniejszy test dla każdej sytuacji. Potrafiła to sobie wyobrazić: ona, Martin i Kylie na łodzi. Wyruszają na Long Island Sound – czy gdziekolwiek zechce zabrać ich życie.

Następnego popołudnia wybrali się na długą przejażdżkę rowerową. May zabrała ze sobą kanapki, które zjedli na rozległej łące opadającej ku rzece Connecticut. Jeździli wiejskimi drogami, mijając wielkie farmy usiane granitowymi otoczakami i kamienne murki oddzielające jedną posiadłość od drugiej. Wszędzie widać było czerwone stodoły i mleczone krowy. Domy w stylu kolonialnym, georgiańskim i federalnym malowano głównie na biało lub żółto.

– Ładnie tutaj – stwierdził. – Kochasz to miejsce, prawda?

– Tak.

– Mogłabyś się stąd wyprowadzić? – zapytał.

Przez kilka chwil jechała w milczeniu. Całą poprzednią noc spędziła bez snu, zadając sobie to samo pytanie. Była tutaj głęboko zakorzeniona. Historia i legenda tego miejsca stała

się częścią jej życia. May czuła silną więź z ciocią Enid; pragnęła też, by Kylie wiedziała, skąd pochodzi i kim byli jej przodkowie.

– To by było trudne – przyznała. – Ale myślę, że mogłabym.

– Wątpię, bym mógł tego od ciebie żądać.

May rzuciła mu szybkie spojrzenie. Czyżby cofał propozycję małżeństwa? Nie wspominał o nim od chwili, gdy się oświadczył i choć czuła ulgę, że nie wywiera na nią nacisku, zaczęła się już zastanawiać, czy sobie tych oświadczyn nie wyobraziła.

– Mógłbym dojeżdżać – rzekł.

– Dojeżdżać?

– Gdybyśmy tylko mogli spędzać lato w Lac Vert – mówił dalej – rzuciłbym Boston w jednej chwili. Mieszkalibyśmy tutaj, w Black Hall, a ja dojeżdżałbym do pracy autostradą do Mass Pike, a potem...

– Czy wciąż myślisz o... – zaczęła.

– Och, tak. Oczywiście.

Martin nie przypominał nikogo, kogo znała dotychczas. Był tak zdecydowany, a jednak bardzo delikatny. Jechali spokojną drogą ramię w ramię, aż dotarli do skrzyżowania z ruchliwą szosą. May chwyciła kierownicę, stopami opierając się o ziemię. Obok ciągnął sznur samochodów.

– Jesteś pewna, że chcesz jechać tą drogą? – zapytał.

– Tylko przez chwilę. Chcę ci coś pokazać. Skinąwszy głową, Martin ruszył pierwszy. Zerkał przez ramię, czy May jedzie tuż za nim. Serce May z każdym obrotem koła biło coraz szybciej.

Właściwie nie była pewna, dlaczego to robi. Ciocia Enid by nie zrozumiała. Tobin rozumiałaby bez wątpienia, ale May nie zamierzała jej tego opowiadać. Zaszło w niej coś, co kazało jej jechać szybciej, uporać się z tym wspomnieniem, wyjawić Martinowi największą tajemnicę swego życia.

Obok przesuwiał się rytmiczny strumień pojazdów, których kierowcami byli głównie robotnicy i okoliczni mieszkańcy. Samochody osobowe, furgonetki, ciężarówki. Kiedy tuż-tuż zazgrzytał wielki samochód dostawczy, May poczuła wewnętrzne drżenie. Minęli staw po lewej stronie i farmę po prawej. Łuk skracającej szosy ujęty był granitowym murkiem.

– Tutaj – przystanąła z oczami utkwionymi w drodze.

– Co to za miejsce? – Martin rozejrzył się ciekawie. May pokazała mu wiele pięknych miejsc, punktów widokowych i ogrodów swego ukochanego Black Hall, ale tu nie było nawet ładnie.

Zeskoczyła z roweru. Podążył jej śladem i oparłszy rowery o rozpadający się mur, położył na ziemi plecak. May stanęła na skraju drogi, poszedł więc za nią. Sznur samochodów pędził tak blisko, że czuł na twarzy ich gorący podmuch.

– To po prostu ruchliwa droga – stwierdził.

– To nie jest tylko jakaś droga – odparła cicho.

– Co mówisz, May?

– Tu zginęli moi rodzice.

– Tutaj?

Skinęła głową, wpatrując się w to miejsce. Ciężarówka uderzyła czołowo w ich samochód, zmiatając go z drogi i wciskając w kamienną krawędź. Zginęli na miejscu i May przez lata przejeżdżając tędy w szkolnym autobusie wciąż była przekonana, że słyszy, jak wołają jej imię.

– Na tej drodze była ich krew.

– Kiedy to się stało?

– Dwadzieścia cztery lata temu.

Może ona i Kylie wcale się nie różniły. Widywanie duchów i aniołów, głosy... magia róż i ziół. Jednakowo nadśluchiwały umarłych i otwierały duchom swoje serca.

– Byłaś wtedy bardzo młoda.

– O wiele za młoda! – powiedziała z bólem. Złościło ją, że musi to tłumaczyć. To, co stało się na tym zakręcie z jej rodzicami, uczyniło ją taką, jaką była; podzieliło na części, których nie mogła pogodzić ani się pozbyć.

Próbował ją przytulić, ale się odsunęła.

– Wydaje się, że wszystko jest w porządku, ale to nieprawda – powiedziała. – Jestem silna, jak zauważyłeś. Żyję dla córki. Prowadzę rodzinną firmę, pomagam kobietom spełnić ich sny o weselach... Ale jest też nieco inna May. – Wpatrywała się w nawierzchnię drogi.

Wciąż niemal widziała tę ciemną plamę, krwi albo oleju, nigdy nie była pewna, która pozostawała tu przez kilka miesięcy po wypadku. Jakże modliła się wtedy, by śnieg i deszcz zostawiły ją w spokoju, by nigdy jej nie zmyły...

– Jaka?

– Część mnie została tutaj – odpowiedziała.

– To zrozumiałe, że myślisz w ten sposób. Byliście zżytą rodziną. Tracąc matkę i ojca... oczywiście, że czujesz się tak, jakbyś straciła tutaj część samej siebie.

May potrząsnęła przecząco głową.

– Nie, Martin, to nie tak. Wcale nie tak... Czekał, patrząc jak podnosi oczy.

Ale ona nie widziała teraz Martina, lecz swojego ojca. Jego twarz równie urodziwą jak zwykle, z wydatnymi kośćmi policzkowymi, prostym nosem i śmiejącymi się orzechowymi oczami.

Wędrując wzdłuż rzeki Connecticut do Selden's Castle nosił swoją małą córeczkę na plecach. Uczył ją żeglarstwa, spoglądania w niebo i przepowiadania pogody. Chociaż lubiła przebywać w Weselnej Gospodzie z mamą i babcią, wyprawy z ojcem były czymś nadzwyczajnym.

Tobin też go lubiła i była z May owego ostatniego dnia. Obie dwunastolatki miały wielką ochotę pojechać z rodzicami May do sklepu po słodycze. Ojciec się spieszył; powiedział, że nie pojedą.

May wzięła głęboki oddech.

– Kiedy mój ojciec zginął, byłam na niego wściekła. Wiesz; taka głupia wojna domowa, jaką rodzice i dzieci toczą ze sobą każdego dnia... Nie pozwolił mi jechać z nimi do sklepu.

– Ocalił ci życie.

– Teraz to wiem – powiedziała – ale kiedy tamtego dnia wyszedł z domu, nienawidziłam go. Naprawdę, Martin. Byłam wściekła. Ogarnięta głupią, dwunastoletnią wściekłością. Wychodząc, powiedział: „kocham cię”, a ja nawet się nie odwróciłam. Chciał mnie pocałować, ale ja nie chciałam...

– Nie miałaś nic złego na myśli.

– Nie – przyznała. – Wiem, że mi wybaczył. Martin nie odpowiedział. Czy myślał, że jest głupia nosząc to w sobie przez cały czas? May poczuła się zakłopotana, jakby nie była pewna, dlaczego go tutaj przyprowadziła, dlaczego mu to wszystko opowiada. Mogła tylko nadal próbować mu wyjaśniać.

– To jest dla mnie... wszystkim.

– Co? – Przyciągnął ją bliżej murka; z piskiem opon minął ich samochód ciągnący łódź żaglową.

– Czasami myślę, że tracę kontakt, zdolność kojarzenia...

– Ty? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak. Jakbym straciła je tamtego dnia... tutaj, wraz z nimi.

– May – rzekł poważnie, przygarniając ją do siebie. – Myślę, że kontaktujesz i kojarzysz lepiej niż ktokolwiek, kogo znam.

– Łączę ze sobą innych ludzi, pomagam im zawierać małżeństwa – łzy napłynęły jej do oczu, gdy przycisnęła głowę do jego piersi – ale czasami myślę, że najlepiej znam się na straconych szansach.

Myślała o ojcu wychodzącym z domu, o mężczyznach, których wybierała, oraz o rozczarowaniach, jakich przysporzyła sobie i Kylie. Chociaż Martin powiedział, że jest silna, w głębi ducha czuła strach. Strach i pustkę, jakby cała jej odwaga wyciekła na ten mały odcinek drogi przed dwudziestoma czterema laty.

W milczeniu wrócili do rowerów. Kamienne mury rzucały na drogę długie cienie; jechali teraz ostrożniej niż przedtem. May ruszyła przodem, lecz gdy tylko znaleźli się na prostej, Martin zrównał się z nią. Mijali rozległe pola przecięte wstęgą rzeki. Promienie słońca padały ukośnie przez wysokie drzewa. Piękno i emocje tego dnia przyprawiły May o bolesny ucisk gardła. Przy Weselnej Gospodzie skręcili z wiejskiej drogi i wrócili do domu przez ogrody.

Zeskoczywszy z roweru, May chciała pokazać Martinowi, gdzie ma postawić swój. On jednak wziął ją w ramiona. Rower z hałasem upadł na ziemię.

– Myślisz o straconych szansach – rzekł Martin. Objęła go, nic nie mówiąc. – Cóż, nie pozwolę, byś straciła i tę szansę – przytulił ją jeszcze mocniej.

Cofnęła się o krok, by spojrzeć mu w oczy. Nim zdążyła zaprotestować, otworzył pudełeczko z pierścionkiem. Stali w tym samym miejscu gdzie przedtem, zaledwie tydzień wcześniej.

– Spróbujmy jeszcze raz. May, wyjdiesz za mnie? Spojrzała znad pierścionka w jego niebieskie oczy. Nos i policzki Martina pokrywały drobinki kurzu, a do koszuli przyczepiły się żółta trawa z łąki, na której urządzili sobie piknik. Tym razem się nie wahała.

– Tak – odparła.

Martin znów objął ją ramieniem. Oczy miał oszalałe z emocji. May nagle uświadomiła

sobie, że w całym swoim życiu nikogo i niczego nie pragnęła tak bardzo. Stała na czubkach palców i pocałowała go mocno. Pragnienie przesywające ją od stóp do głów przyprawiło May o zawrót głowy.

– Uczynię cię szczęśliwą – zapewnił, kiedy przestali się całować.

– Wierzę ci – powiedziała – i obiecuję to samo.

– Będziemy mieć wspaniałe życie. Tutaj, w Bostonie, w Kanadzie... Kylie polubi Lac Vert. Przekonasz się, gdy je zobaczysz.

– Nie mogę się doczekać.

– Nigdy nie porzucimy Black Hall. Będziemy mieszkać wszędzie po trosze.

– Przecież możemy – odpowiedziała ze śmiechem.

– Co możemy? – zapytała ciocia Enid i wtedy uświadomili sobie, że mają publiczność. W otwartych drzwiach żółtej stodoły stała Tobin, ciocia Enid zaś kryła się za nią.

– Ty zapewne jesteś Tobin – rzekł Martin – A ty pewnie jesteś Martin.

– Ciociu – wtrąciła May – to jest Martin Cartier.

– Właśnie rozmawialiśmy o tobie. – Enid uściśnęła jego dłoń.

– *Enchante* – odparł Martin. – Miło mi poznać obie panie.

– Gdzie leży Lac Vert? – zapytała Tobin.

– W Kanadzie – powiedział. – W moim kraju.

– Chyba nie zabierasz jej do Kanady, prawda? – Tobin objęła May ramieniem.

– Trochę tu – odparła May – trochę tam...

– Gdzie jest Kylie? – Martin rozejrzał się dokoła. – Muszę ją o coś poprosić.

– Nie wróciła jeszcze ze szkoły. – Ciocia złapała się za głowę. – Mówcie: gdzie, kiedy, ilu gości... o Boże, nie wiem od czego zacząć!

– Zachowajmy spokój – zaproponowała Tobin. – May wygląda tak, jakby była bliska lewitacji.

– Och, jaka szkoda, że nie ma tu twojej mamy i babci – powiedziała Enid do May, ocierając oczy. – Najbardziej na świecie chciałyby organizować to wesele.

ROZDZIAŁ 6

Wesele mamy miało być niezwykle; w każdym razie nie takie, jakie ona sama, ciocia Enid i babcia planowały dla innych narzeczonych.

Kiedy tamtego dnia Kylie wróciła ze szkoły, mama i Martin powiedzieli jej, że zamierzają się pobrać. Czekali na nią przy autobusie i razem poszli przez pole, a kiedy Martin powiedział: „Mam wrażenie, że powinienem poprosić kogoś o rękę twojej mamy, więc proszę ciebie”, Kylie objęła go i zawołała „TAK!”.

Później, gdy była sama, wykonała mały taniec do skomponowanej przez siebie piosenki: *Będę miała tatusia, będę miała tatusia, my go bardzo lubimy i on też nas lubi*. Kylie często tańczyła, znajdując w tym nieco szybszy od zwykłego chodzenia sposób docierania do różnych miejsc; jej podskoki wyglądały wówczas, jakby wywijając obiema rękami nadeptywała na robaka. Nie pozwolono jej wszakże opowiadać o planowanym ślubie w szkole, ponieważ mama i Martin nie byli jeszcze gotowi, by wyjawić to całemu światu.

Kylie zwierzała się więc innym przyjaciółom; tym, którzy przychodzili do niej nocą. Jej sny pełne były aniołów i duchów. Opowiedziała im, że mama wychodzi za męża, a ona będzie mieć tatusia.

Wieczorami mama albo wychodziła gdzieś z Martinem, albo zostawała w domu i szkicowała ślubne suknie. Kylie zawsze lubiła się temu przyglądać i teraz była bardzo podekscytowana, widząc jak mama robi to dla siebie. Tobin wydawała się uradowana, jednakże nie tak bardzo jak ciocia Enid, która wciąż zostawiała na biurku mamy rysunkowe propozycje przepięknych sukien i welonów, pasujących wprost idealnie do twarzy mamusi.

Kylie zauważyła jednak, że wszystkie szkice mamy lądowały w koszu na śmieci. „Nie podoba ci się ta suknia?”

– pytała wtedy. „Zbyt oficjalna” albo „Zbyt wyszukana”

– odpowiadała mama, marszcząc brwi. Kylie zaczynała się obawiać, że mamie nie podoba się żadna suknia i może wcale nie chce wyjść za męża.

Po miesiącu, pewnego sobotniego wieczoru w połowie czerwca, gdy czekali na wizytę państwa Chadwicków, Kylie dowiedziała się prawdy. Siedziała na werandzie między mamą a Martinem, obserwując robaczki świętojańskie.

– Jeszcze jeden! – wołała, licząc lśniące punkciki.

– I jeszcze jeden! Jedenasty, dwunasty... nadlatują znad Firefly Beach!

– Poczekaj, aż zobaczysz świetliki w Kanadzie – powiedział Martin. – Moja mama mówiła mi, że to gwiazdy, które spadają na ziemię. Pokażę ci je, kiedy tam pojedziemy.

– A kiedy tam pojedziemy? – zapytała mama.

– Kiedy tylko zechcesz – Martin próbował przyciągnąć mamę bliżej. Trzymał jej dłoń za plecami Kylie i dobrze było opierać się na ich ramionach.

– W każdej chwili? – zapytała mama, spoglądając nad głową Kylie oczami lśniącymi jak owe spadające na ziemię gwiazdy, o których opowiadał Martin.

– Tak – odparł. – Jeśli Tobin nie będzie miała zbyt wiele przeciwko temu.

– Myślę, że zrozumie – powiedziała mama. – W końcu przecież wrócimy, prawda?

– W końcu – roześmiał się.

– Zbiegnijmy razem – powiedziała mama.

– Zbiegnijmy? – zapytała Kylie. – Co to takiego?

– Zbiec to znaczy pobrać się bez organizatorki wesela – odpowiedziała mama i Martin znów się roześmiał. Mama obróciła się tak, że plecami oparta była o poręcz werandy i podekscytowana patrzyła prosto na Martina. – To uczynienie tego co najważniejsze z pominięciem całej reszty.

– ... reszty? – zapytał Martin. – Przecież tym właśnie się zajmujesz, czyż nie?

– To prawda – przyznała mama – i czasami właśnie to wydaje się nieznośne. Pomoc w inauguracji wspólnego życia ludziom, którzy się kochają, jest... wspaniała. Ale uzgadnianie terminów w kościelnych kancelariach, redagowanie, drukowanie i rozsyłanie zaproszeń, kupno księgi gości...

– Księga gości? – roześmiał się Martin. – Co jeszcze robisz jako mistrzyni weselnych ceremonii?

– Dobieram suknię dla siebie, odbywam przymiarki. Nie znoszę przymiarek. – Mama wstała, ominęła Kylie, żeby usiąść Martinowi na kolanach, po czym pocałowała go lekko w oba policzki. – Wczoraj spędziłam dwie godziny z pewną panną młodą, próbując ustalić, czy owinąć łądygi kwiatów w jej bukiecie, czy ich nie owijać. I czy użyć do tego wstążki różowej czy kremowej. A może zostawić je nie osłonięte? Dwie godziny! – śmiała się mama, jeszcze raz całując Martina. – Zwykle jestem cierpliwa i mogę słuchać narzeczonych cały dzień, ale wczoraj potrafiłam myśleć tylko o tobie.

– Owinesz wstążką łądygi swego bukietu? – zapytał Martin. Kylie lubiła jego uśmiech, gdy przekomarzał się z mamą.

– Nie obchodzi mnie bukiet – odparła mama. – Obchodzisz mnie tylko ty i Kylie.

– Możemy zbiec. – Martin chwycił mamę, jakby była najlżejszą i najcenniejszą rzeczą na świecie. Kylie też chciała się wdrapać na jego kolana, ale była wprost zahipnotyzowana. – Mógłbym zabrać was do Kanady, do LaSalle i pokazać wam góry i jezioro, nad którym dorastałem...

Właśnie wtedy starą furgonetką przyjechali państwo Chadwickowie. Michael i Jack wyskoczyli szybko i wbiegli na werandę, rodzice szli za nimi. Mama i Tobin uściśniły się, a potem przedstawiły Martinowi Johna i chłopców.

– Mój kolega jeździ na wszystkie mecze Bruinsów – Jack wpatrywał się w Martina wielkimi oczami.

– Grasz w hokeja? – zapytał Martin.

– Tak, czasami – odparł Jack.

– Ja też – wtrącił Michael.

– Cóż, będziemy musieli spotkać się kiedyś na lodowisku – rzekł Martin. – A ty grasz, John?

– Grałem kiedyś, w szkole... – John Chadwick miał oczy niemal równie ogromne jak oczy Michaela. Kylie już wcześniej zauważyła, że ludzie zachowują się jakoś dziwnie w obecności

Martina. Tylko dlatego, że jest sławny, znany z telewizji. Był przecież normalnym człowiekiem. Kylie podobało się, że jest szczęśliwy z jej mamą. Stracił ową aurę samomosci, którą miał, kiedy spotkały go pierwszy raz.

– Mój mąż uprawia wędkarstwo – oznajmiła Tobin, sadowiąc się na najwyższym stopniu werandy. – Każdego letniego wieczoru przywozi mi ryby. O ile oczywiście nie buduje wyścigowego samochodu.

– Łowię pstragi – powiedział John. – Na ogół...

– Będziesz więc musiał przyjechać nad Lac Vert.

– Lac Vert?

– To jezioro, nad którym się wychowałem – wyjaśnił Martin. – Mam tam dom. Właśnie o nim rozmawialiśmy...

– Wybieramy się tam – powiedziała mama z błyszczącymi oczami, patrząc prosto na Tobin.

– Kiedy?

– Na lato – odparł Martin.

– Myśleliśmy nawet o ucieczce – mama musnęła ramię Martina. – Tobie pierwszej chciałam o tym powiedzieć.

– Gratulacje! – John uściskał Martinowi rękę.

– Naprawdę chcieliście uciec? Żadnych gości? – Tobin wyglądała tak, jakby miała się rozpłakać.

– Tylko ja, Martin i Kylie – głos mamy brzmiał cicho i Kylie zobaczyła, że Tobin odwraca wzrok.

– To jest pomysł! – rzekł John.

– Nasze wesele bardzo mi się podobało – wyszeptwała Tobin.

– Ale nie podobało ci się, jak nasze mamy walczyły nad listą gości, zestawem dań i wyborem kościoła. Nie podobało ci się także, gdy mój wujek najpierw się upił, a potem wszczął bójkę z przyjacielem twojego ojca.

– Podobało mi się, że May była moją pierwszą druhną – oczy Tobin zalśniły łzami.

– Sprawilo mi to wielką przyjemność – zapewniła ją mama.

– Nie chcecie mieć żadnego orszaku? Mama zawahała się.

– A zatem nie chcecie – stwierdziła Tobin, jakby czytała w jej myślach.

– Mam trzydzieści sześć lat – powiedziała mama. – Nie chcę wielkiego wesela.

– Trzydzieści sześć lat to żaden wiek! – zaprotestował John. – Kazesz nam czuć się staro.

Martin trzymał mamę w ramionach, ale Kylie zobaczyła jej oczy biegnące ku Tobin.

– Wiecie przecież, że gdybym chciała, by ktokolwiek był na naszym weselu, to owymi gośćmi bylibyście właśnie wy – powiedziała mama miękko.

– Nie chodzi o to, że chcę być na twoim weselu – Tobin płakała już całkiem otwarcie. – Nawet nie jestem zaproszona.

– Och, Tobin...

– Może powinniśmy zmienić decyzję – Martin wydawał się zaniepokojony. – Gdybyśmy wiedzieli, że to was zrani...

– Powinam była ci to powiedzieć w cztery oczy – powiedziała mama – omówić to z tobą...

– O Boże – westchnął John, podając żonie chusteczkę.

– Zastanawiam się, co też Martin sobie o nas pomyśli. Spotykamy się pierwszy raz, a tu się leją fontanny łez.

– Nie chcę, żebyście zmieniali decyzję – mruknęła Tobin, wycierając nos. – I nie jestem fontanną łez!

– Ja już zmieniłam decyzję – oświadczyła mama. – Jeśli Martin się zgodzi, odbędziemy normalne wesele. Czy zechcesz być moją mistrzynią ceremonii?

– Nie – odparła Tobin, wycierając nos jeszcze głośniejszym głosem.

– Co?!

– Powiedziałam: nie. Uciekajcie. Dostaniesz ode mnie coś pożyczonego, żebyś przypięła sobie do sukienki i to wszystko.

– Tobin...

– Kochanie – rzekł Martin, przyciągając mamę do siebie. – Tobin daje ci to, czego chciałaś.

Teraz mama zmieniła się w fontannę łez. Wybuchając płaczem jeszcze głośniejszym niż Tobin, wtuliła twarz w ramię swej najlepszej przyjaciółki. Przywarły do siebie, szlochając głęboko. Synowie państwa Chadwicków stali z boku, zakłopotani. Kylie siedziała z Martinem i nagle stało się coś dziwnego: zobaczyła mamę i Tobin, gdy jako dziewczynki mające tyle lat, ile ona miała ich teraz, siedziały na tych samych stopniach werandy.

– Właśnie tego chcesz, nieprawdaż? – zapytała Tobin, całując mamę w policzek. – Zbiec z ukochanym?

– Tak.

– Zatem zrób to.

– Naprawdę?

– Daję ci moje błogosławieństwo – Tobin ponownie pocałowała mamę, a potem nachyliła się, żeby pocałować Martina.

– To dla mnie znaczy bardzo wiele.

– May nie ma już rodziców – powiedziała Tobin – więc uważaj mnie za ich zastępczynię.

– Zatem twoje błogosławieństwo dla mnie znaczy jeszcze więcej – rzekł Martin.

– Dbaj o nią – szepnęła Tobin, a Kylie zobaczyła w jej oczach spojrzenie równie srogie, jak spojrzenie matki-niedźwiedzicy.

– *Toujours...* zawsze – obiecał Martin. – O obydwie.

Przez kilka następnych dni Tobin rozwiewała obawy May co do „ucieczki z ukochanym”. Nie tylko wybaczyła jej ów zamiar, ale doszła do przekonania, że to dobry pomysł. Lato było w Weselnej Gospodzie okresem spokoju, bo choć ludzie nadal się zaręczali, śluby i wesela planowano we wrześniu. Tobin i ciocia Enid mogły więc zamknąć weselną instytucję na czas pobytu May w Kanadzie.

– Nie rozmawiałaś jeszcze z ciocią Enid, prawda? – zapytała Tobin.

– Nie – przyznała May. – Powiedzenie tego tobie przyszło mi z wielkim trudem, a

rozmowy z ciocią nawet nie potrafię sobie wyobrazić.

– Będzie zdruzgotana – przyznała Tobin.

– To jej spojrzenie... już je widzę. – May potrząsnęła głową, by rozwiać tę wizję. – Teraz już wiem, dlaczego dziewczęta uciekały po drabinach: żeby uniknąć rozmów z rodzicami.

– Zamierzasz uciec po drabinie?

– Pomożesz mi porozmawiać z ciocią, Tobin? – May niepewnie spojrzała w stronę domu.

– Chcesz, żebym odbyła tę rozmowę za ciebie? May potrząsnęła przecząco głową.

– Nie, wiem, że nie możesz tego zrobić. I wiem, że ciocia będzie próbowała mnie przekonać, by wszystko odbyło się zgodnie z tradycją.

– To prawda. Na razie zyskałaś zawieszenie wykonania wyroku: ciocia odbywa poobiednią drzemkę. Pozwól, że tymczasem zobaczę pierścionek – Tobin ujęła dłoń May. – Umieram z ciekawości, muszę go dokładnie obejrzeć.

May nie mogła się oprzeć uczuciu dumy. Po latach prowadzenia firmy organizującej wesela miała już wyćwiczone oko i potrafiła ocenić zaręczynowe pierścionki. Martin obdarował ją prawdziwym cudem: platyna z dużym diamentem o szmaragdowym szlifie otoczonym wianuszkami małych, skrzących się brylancików.

– Ale cacko! – wykrzyknęła Tobin. – Ładny kamyk.

– Dzięki.

– Sprawy przyjmują nowy obrót! – roześmiała się Tobin. – Rozkapryszone panny młode, pęknięcie z zazdrości!

– Co masz na myśli?

– Och, May, dobrze wiesz. Przez te wszystkie lata pokornie obsługiwałaś zamożne oblubienice z okolicy jako organizatorka ich ślubów i wesel. Rzecz nie w tym, iżby patrzyły na ciebie z góry, ale to ty stwarzałaś im możliwość, by czuły się jedyne i wspaniałe.

– Wiem – powiedziała May, przypominając sobie potępiające spojrzenia i komentarze, wspaniałe pierścionki i olbrzymie budżety, a także opowieści o wielkich miłościach.

– Wspaniały – roześmiała się Tobin, oglądając pierścionek. – Wyobrażam sobie minę Page Greenleigh. Czy możesz zostać choćby tylko do jej ostatniej przymiarki?

– Nie kuś mnie – zaśmiała się May.

Jednakże Tobin znowu miała poważny wyraz twarzy.

– Może po prostu nie chcę, byś w ogóle wyjeżdżała.

– Chodzi ci o moje małżeństwo z Martinem?

– Nie, chcę go dla ciebie, May, naprawdę. Jestem trochę zaniepokojona, że stało się to tak szybko, ale myślę też, że to najlepsza love story, o jakiej kiedykolwiek słyszałam. Będzie fantastyczną reklamą dla firmy. Gdy tylko rozejdzie się wieść, że poślubiłaś najlepszą partię NHL, narzeczone będą się ustawiać w milowych kolejkach. Będziemy musiały otworzyć sklep z twoimi różanymi płatkami. Nie, nie o to chodzi...

– A o co?

– Nie chcę cię stracić. – Pod powiekami zalśniły łzy Tobin i po chwili spłynęły jej po policzkach. – Małżeństwo wszystko zmienia.

– Ale nas nie zmieni – powiedziała May.

– Jestem pewna, że zmieni.

– Twoje tego nie uczyniło.

– Bo byliśmy bardzo młodzi. Należeliśmy do jednej paczki. Teraz to co innego: ja i John zakorzeniliśmy się w Black Hall, a ty wychodzisz za faceta, który może postanović, że będzie grał w Oregonie.

– Nie sędę, by Oregon miał drużynę hokejową.

– No to w Kalifornii, Manitobie albo w Vancouver. W każdym razie gdzieś daleko stąd.

– Wiem – powiedziała May.

– Na lato zabiera was do Kanady.

– To prawda.

– Nigdy nie spędzałyśmy lata oddzielnie – powiedziała Tobin.

– To też prawda – przyznała May ze ściśniętym gardłem.

– Prawda jest taka, moja wspaniała przyjaciółko, że to dopiero początek. On ma swój życiorys, ty masz swój życiorys i my także mamy już własną biografię. John i ja piszemy historię naszego życia razem, ale ty i Martin spotykacie się w połowie swojej księgi. Rozumiesz, May?

– Zapominasz jednak, Tobin – May otarła łzy rękawem bluzki – że to ty jesteś moją księgą.

– Mam nadzieję – odparła Tobin. May objęła ją i w tej samej chwili weszła ciocia Enid.

Chociaż ciocia wydawała się odświeżona po drzemce, wciąż miała na lewym policzku odcisk poduszki. Idąc za bezgłośną zachętą przyjaciółki, May wprowadziła ją do biura i zamknęła drzwi.

– O co chodzi, kochanie? – zapytała Enid.

– Mam ci coś do powiedzenia.

Enid się uśmiechnęła i położywszy palec na ustach, czekała.

– Wiesz, że Martin i ja zamierzamy się pobrać.

– Och, tak, May – powiedziała Enid, obchodząc wokół biurko. – Zaslugujesz na wiele szczęścia. To taka cudowna wiadomość.

– Dziękuję. – May objęła ciocię ramieniem.

– Oderwałam się od pracy. – Enid uwolniła się z jej uścisku i chwyciła teczkę z dokumentami.

– Jest pewna sprawa...

– Bądź narzeczoną i nie myśl o niczym innym, a twoja ciocia wszystkim się zajmie. Nigdy jeszcze Black Hall nie widziało takiego wesela! Dołożymy z Tobin wszelkich starań; przejdziemy same siebie...

– Ciociu, żadnych starań...

Starsza pani się roześmiała, jakby May powiedziała jej coś miłego. Portrety Emily i Abigail uśmiechały się także. Enid wskazała na nie, wciąż chichocząc.

– Kochanie, dajby mi one, gdybym się nie postarała! Wszak to Weselna Gospoda, a ty jesteś naszym skarbem! Dzień, w którym jako niemowlę przywieziono cię ze szpitala, pamiętam, jakby to było wczoraj. Wszystkie: twoja mama, babcia i ja, stałyśmy wokół

białego łóżeczka...

May przymknęła oczy. Pamiętała to łóżeczko: białe, wyplatane. Wykorzystała je dla Kylie. Niemal pamiętała ten moment. Trzy ożywione, kochające twarze uśmiechające się, gdy ona spoglądała na swój całkiem nowy świat. To one były jej światem.

– ... zasypaliśmy cię kwiatami pomarańczy i płatkami róż. Twoja mama odmówiła modlitwę, babcia wygłosiła wiersz, a ja łaskotałam cię w paluszki. To był nasz własny mały rytuał, który odprawiliśmy, by mieć pewność, że będziesz miała szczęśliwe życie.

May uśmiechnęła się, myśląc o swej osobliwej i cudownej rodzinie, o małych ceremoniach, które odprawiały w ważnych chwilach. Była pewna, iż pamięta te pierwsze różane płatki.

– Gdybym ci pozwoliła wyjść za mąż bez hucznego wesela, Emily i Abigail nigdy by mi tego nie wybaczyły.

– Ciociu – rzekła May, ujmując jej dłonie – postanowiliśmy zbiec.

Enid straciła oddech; chwyciła powietrze, jakby była bliska omdlenia. May pomogła jej usiąść, zachęcając, by opuściła głowę między kolana.

– Wielki Boże – westchnęła Enid. – Starzeję się. Przez chwilę wydawało mi się, że powiedziałaś, iż postanowiliście zbiec. – Patrzyła na May z nadzieją w oczach.

May skinęła głową.

– Tak powiedziałam.

– May, nie...

– Pragniemy tego.

– Czy to jego pomysł? – zapytała ciocia, jakby wtedy było to dla niej łatwiejsze do przyjęcia.

– Nie, mój.

– Ale... dlaczego?

May przysunęła bliżej swoje krzesło.

– Może zabrzmi to dziwnie, ale mamy dla siebie tak wiele miłości, że niepotrzebna nam cała reszta. Planowanie ceremonii, układanie listy gości, kosztorys...

– Ależ ja mogę to zrobić za ciebie.

– Wiem. Jesteś dla mnie bardzo dobra, ciociu. Jak zawsze. Czuję się taka szczęśliwa... jakbym zawsze miała drugą, dodatkową, wyjątkową mamę.

– Och, May – Enid ścisnęła jej rękę. – Byłaś dla mnie niczym córka.

– Zrozum, proszę... nauczyłaś mnie tak wiele. Ty, mama i babcia. Zorganizowałam z tobą setkę wesel... nawet więcej! Noszę w sobie te wspomnienia.

– Ślub Trowbridge'ów w zborze kongregacjonalistów, wesele Paula Jamesa w sali Silver Bay Club...

– ... Wesele Marthy Cullen ostatniej jesieni, przysięga małżeńska, którą w święta Bożego Narodzenia Caroline Renwiek składała w Firefly Hill, zaskakując wszystkich tak jak ja – podchwyciła May.

Jej pamięć pełna była obrazów: róż, mirtu, jedwabiu, koronek, metrów białego tiulu, matek, ojców, sióstr i braci, dziewczynek sypiących kwiaty pod nogi nowożeńców, oblubienic

i oblubieńców...

- Wszystko to noszę w sobie – powiedziała May.
- Każdy zorganizowany ślub...
- Właśnie dlatego powinniśmy urządzić taką ceremonię dla ciebie.
- Martin i ja chcemy to zrobić po swojemu. Enid wzięła głęboki oddech.
- Jesteście pewni?
- Tak.

Kiwając poważnie głową, Enid wstała, po czym przeszła przez całe pomieszczenie i stanęła między dwoma portretami wiszącymi na ścianie. Chociaż była tak niska, że głową ledwie sięgała dolnych części połączonych ram, stanęła w szeregu z Abigail Taylor i Emily Dunne.

- Zatem dajemy ci swoje błogosławieństwo.
- Dziękuję, ciociu.

Enid uniosła palce, wskazując dwie kobiety uwiecznione na płótnach. May podniosła wzrok, spoglądając w oczy swej matki i babki. Ich portrety namalował Hugh Renwick, wspomniały malarz z Firefly Hill, ofiarowując je jako prezent w podziękowanie za wesele swej córki, Clei. Dochowując rodzinnej tradycji, ostatniej zimy miała tu wesele jego wnuczka, Caroline. Mijały lata i pokolenia... Enid stała w milczeniu, wskazując na portrety...

May została dobrze wychowana. Wiedziała, na co czeka ciocia.

- Dziękuję, mamó – powiedziała do portretu matki.
- I tobie, babciu, dziękuję – rzekła do portretu babki.

Wybrany dzień był coraz bliżej i choć miała to być ucieczka, czyniono różne plany. May wybrała sobie strój z zasobów na strychu i kupiła sukienkę dla Kylie. Tuż przed wyjazdem Tobin wręczyła jej puzderko.

- Nie musisz dawać mi prezentu – powiedziała May.
- To nie prezent – zapewniła ją Tobin. – To „coś pożyczonego”.

Drżącymi palcami May rozwinęła bibułę otulającą pudełeczko. Otworzywszy je, znalazła w środku mały pierścionek. Była to dziewczęca pamiątka, jaką Tobin dostała z okazji ukończenia szkoły podstawowej. May miała kiedyś taką samą, ale już dawno ją zgubiła.

- Jest taki mały...
- Spróbuj włożyć go na mały palec – zasugerowała Tobin.

Wytarty dziewczęcy pierścionek z porysowanym oczkiem pasował na mały palec May.

– Przeszliśmy razem przez tak wiele ceremonii – powiedziała Tobin. – Nie musimy odbywać jeszcze jednej.

– Och, Tobin, dziękuję, że to rozumiesz – powiedziała May, wmawiając sobie, że zarówno Tobin, jak i Enid są wreszcie przekonane o słuszności jej pomysłu.

- Wychodzisz za Martina i bardzo się z tego cieszę. Będę przy tobie duchem.
- Zawsze jesteś ze mną, Tob – odparła May. – Zawsze byłaś.

Matka i babka zawsze mówiły May, by postępowała tak jak jej serce dyktuje. Toteż w dniu zakończenia roku szkolnego spakowała bagaże, po czym ucałowała na pożegnanie Tobin i Enid.

Martin załadował wszystko do swojego drugiego samochodu, białego džipa. O pierwszej, w samym środku pięknego czerwcowego dnia, usadowili w nim Kylie i wyruszyli na zachód.

– Biedna ciocia – powiedziała Kylie, gdy tylko wszyscy rozsiedli się wygodnie.

– Mam nadzieję, że rozumie – May niepewnie spoglądała przez ramię, jakby wciąż widziała stojącą tam ciotkę.

– Nie miała dzieci? – zapytał Martin.

– Nie – odparła May. – W pewnym sensie ja byłam jej dzieckiem. Nigdy nie wyszła za mąż i nigdy nie opuściła Black Hall. Jesteśmy sobie bardzo bliskie.

– Jesteś pewna, że nie chcesz, by z nami pojechała?

May skinęła głową.

– Cóż, rozmawialiśmy o skromnej uroczystości – powiedziała. – Miałam na myśli siebie, ciebie i Kylie.

– To bardzo skromnie – stwierdziła Kylie.

– Moja matka mawiała, że zdarza się miłość zbyt czysta na wielkie wesele i kiedy ma się taką miłość, trzeba działać szybko i prosto.

– Miłość niczym idealny strzał – roześmiał się Martin. – Szybki i prosty. To mi się podoba.

Wszyscy się śmiali, lecz May mimo woli wciąż zerkała przez tylną szybę džipa, jakby oczekując, że niska zgarbiona kobieta o siwych włosach ich dogoni.

Niebawem znaleźli się w falistym regionie Berkshires, otoczeni wzgórzami pokrytymi zielenią, kotlinami biegnącymi z południa na północ oraz jeziorami i oczkami wodnymi, w których odbijało się błękitne niebo.

Zatrzymali się w Stoneville, aby Kylie mogła zjeść ostatni „poszkolny” posiłek pierwszoklasistki. W sąsiadującym z przydrożnym barem sklepie z pamiątkami Martin kupił dużą szmacianą lalkę dla Kylie i miękki szal z czarnej wełny dla May, gdyż jak powiedział, noce w Kanadzie są chłodne i musi mieć coś oprócz niego, żeby było jej ciepło.

Wróciwszy do džipa, skręcili na północ. Jechali kilka godzin i Kylie zobaczyła Kanadę niemal w tej samej chwili, gdy pojawiły się pierwsze gwiazdy. Niebo było granatowe i wydawało się równie miękkie jak pelerynka z ciemnego kaszmiru. Otulało niskie wzgórza, pokrywało pola, stodoły i lasy. Zbliżając się do granicy, Martin zwolnił, wyjął dowód tożsamości i poprosił, by May podała mu swój paszport i paszport Kylie.

– Martin Cartier! – wykrzyknął celnik, zaglądając do samochodu. Twarz rozjaśniła mu się niczym chłopcu. Wkrótce biały džip otoczony był wiankiem ludzi. Wsuwali do wnętrza kawałki papieru prosząc Martina o autografy dla synów, braci, siostr i dalszych krewnych. Martin bez oporu spełniał ich życzenie. Mężczyźni mówili po francusku, odpowiadał im w tym samym języku.

May czuła się dumna z Martina. Sposób, w jaki rozdawał autografy – tak skromnie, z humorem... To było jej pierwsze od owego wieczoru w restauracji zetknięcie ze sławą Martina. Zaobserwowała też, że mężczyźni zerkają do wnętrza samochodu, starając się rzucić na nią okiem, więc obdarzyła ich swym najwspanialszym, najbardziej olśniewającym uśmiechem.

- O co im chodziło? – zapytała Kylie z tylnego siedzenia, gdy ruszyli w dalszą drogę.
- Hokej jest w Kanadzie bardzo popularny – wyjaśnił jej Martin. – Niektórzy z tych facetów obserwowali, jak gram, praktycznie przez całe życie.
- Dlaczego coś im pisałeś?
- To się nazywa dawaniem autografów – powiedziała jej May, odwracając się do tyłu i zobaczyła, że Kylie prawie zasypia, ściskając nową lalkę. – Prosimy o nie Martina, bo bardzo go lubią.
- Mickey i Eddie nie wierzą, że Martin jest moim przyjacielem – powiedziała Kylie. – Właśnie dlatego, że jest taki sławny.
- Oczywiście, że jestem twoim przyjacielem – Martin widział Kylie we wstecznym lusterku. – Przyślij tych chłopców do mnie. Pokażę ci, jak ich rzucić na deski.
- Naprawdę? – upewniła się Kylie z wyrazem diabelskiej radości w oczach.
- *Absolument* – obiecał. Gdy mówiąc w swym ojczystym języku, skierował się ku domowi dzieciństwa, na jego twarzy rozlał się spokój i błogie szczęście. Kiedy zaś wyciągnął rękę, by ująć dłoń narzeczonej, jego radość udzieliła się także May. Martin zmierzał do domu, zabierając ze sobą ją i Kylie.

Przyjechali wyboistym traktem w samym środku nocy. Pachniały sosny, nad górskimi szczytami jaśniała Droga Mleczna. Martin zaprowadził Kylie do pokoju gościnnego, gdzie obie z May miały spać aż do dnia ślubu. Zarówno on, jak i May walczyli z požądaniem. May była wzruszona i nieco rozbawiona jego staroświecką determinacją, by sypiać osobno aż do chwili, gdy staną się małżeństwem. Pewnie próbowałyby mu to wyperswadować, gdyby nie zmęczenie po długiej podróży.

Kylie obudziła się o świcie.

– O mój Boże! – dobiegł z parteru jej okrzyk.

May wstała z łóżka i próbowała zorientować się, gdzie jest. Spędziły noc w jednej z dwóch małych sypialni na piętrze niewielkiego wiejskiego domu. Rozsunąwszy zasłony, nie zobaczyła niczego prócz głębokiego lasu, ale kiedy włożyła szlafrok i zeszła na dół, ujrzała, iż okna otwierają się na najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek dane jej było oglądać.

Kylie stała na małej frontowej werandzie obok Martina i razem wpatrywali się w długie jezioro, które wiło się u podnóża gór. Wschodzące słońce malowało złotem każdą skalną krawędź, zaś samo jezioro, po którego powierzchni ślizgały się łabędzie, było głębokim ciemnym granatem. Sosny pochylały się nad brzegiem, do którego, by się napić, zeszło dwadzieścia jeleni. W cieniu niemal dwudziestometrowego klifu stały dwie długie zmurszałe stajnie.

– *Bonjour* – powiedział Martin, obejmując May.

– Jak pięknie – May była oszołomiona.

– Oto moje jezioro – rzekł Martin. – Tu uczyłem się jeździć na łyżwach.

– Miałeś wtedy tyle lat co ja? – zapytała Kylie.

– Byłem młodszy. To był rok, w którym nauczyłem się chodzić.

– Chcę się uczyć jazdy na łyżwach.

– Nauczysz się – przyrzekł Martin.

– Jelenie są tak blisko – powiedziała May. – I wokół nie ma żadnego innego domu... nigdzie!

– To odosobnione miejsce – przyznał Martin.

– Powinniście się pobrać tam – Kylie wskazała starą delikatną altanę z brzozowych gałęzi niemal zakrytą przed ludzkim wzrokiem przez sosny – albo tam – wyciągnęła rękę ku małemu pomostowi wchodzącemu w jezioro i niewielkiej, przywiązanej do niego łodzi – albo w domu! – zawołała, wbiegając z powrotem do środka.

– Albo na tej werandzie – rzekł Martin, delikatnie całując May.

– Albo... gdziekolwiek – odparła May, muskając jego twarz.

– Podoba ci się tutaj?

– Bardzo – May nie była dotąd w równie spokojnym i pięknym miejscu, a zachwyt Kylie tak ją uszczęśliwił, że ledwie mogła oddychać.

– To mój dom – powiedział Martin. – Zawsze nim był.

– Tu mieszkałeś ze swoją pierwszą żoną? – wyrwało się May.

– Nie – odparł, spoglądając na nią ze zdumieniem.

– Wtedy grałem w drużynie Blackhawksów i mieszkaliśmy w Chicago.

– Ale... – zaczęła May. Nękał ją milion pytań o przeszłość Martina. Jednakzew przypadku ponownych małżeństw jej matka zawsze radziła pannom młodym, by zostawiły przeszłość przeszłości i nie zadawały pytań, na które odpowiedź mogłaby je zranić.

– Nie, May. Nie mówmy dziś o innych. Tylko o nas.

– Masz absolutną rację. – Zobaczyła, jak ból marszczy brwi Martina, i z niepokojem pomyślała o Natalie; jego córce musiało się tutaj podobać. Tak jak Kylie albo jeszcze bardziej.

Martin poprowadził ją do kuchni, gdzie na starym piecu przyrządzili sobie kawę. May rozejrzała się wokół, podziwiając wielki kamienny kominek, ściany z naturalnego drewna i wspaniałe czarnobiałe fotografie zrobione przez jego matkę. Dom ten zbudował ojciec ojca Martina. Wychował w nim własne dzieci i przyjął Martina i jego matkę, gdy Serge ich opuścił, by grać w drużynie Mapie Leafs.

Wszędzie widać było hokejowe pamiątki: pierwszy kij Martina, pierwsza osłona twarzy, krążki z autografami jego idoli. I fotografie Martina na łyżwach – od trzeciego roku życia... Na oparciu sofy leżały zrobione na szydełku i ozdobione krzyżykowym haftem poduszeczki wyobrażające kije hokejowe, widok jeziora, małego królika i altanę. May wędrowała po domu jak po muzeum, jakby wszystko, co się w nim znajduje, miało dostarczyć jej wiedzy o mężczyźnie, którego pokochała.

– Kylie! – zawołał Martin, gdy już wszyscy się ubrali. Stał w drzwiach z torbą chleba, którą wyjął z lodówki.

– Na co ten chleb? – zapytała dziewczynka.

– Na śniadanie dla łabędzi.

– Mamusia i ja zawsze karmimy łabędzie w Firefly Beach – powiedziała Kylie z błyszczącymi oczami.

– Dzisiaj nakarmimy nasze. Łabędzie z jeziora Lac Vert. Damy im znać, że jesteśmy w domu. – Uniósł ją w górę i posadził sobie na ramionach. Serce May zabiło radośnie na widok błysku w oczach córki, gdy dziewczynka wzięła podany jej chleb. – A kiedy już nakarmimy łabędzie – rzekł do May, przyciągając ją bliżej – pojedę do miasteczka i może zdołam znaleźć kogoś, kto dziś wyda nam dokument stanu cywilnego.

– A wszystkie formalności? – zapytała May. – Badania krwi?

W oczach Martina pojawił się figlarny błysk. Obdarzył ją tym seksownym półuśmiechem, który po raz pierwszy zauważyła w samolocie.

– Można trochę nagiąć przepisy – rzekł – ponieważ mój dziadek był tu kiedyś burmistrzem *i... eh bien*, ponieważ raz na jakiś czas nie zaszkodzi być Martinem Cartierem.

May wybuchnęła śmiechem. Martin wydał się zakłopotany, ale nie przestawał się uśmiechać.

– Nic na to nie poradzę. Rzecz w tym, że w Kanadzie naprawdę kochamy hokej.

– Łabędzie są głodne – przypomniała mu Kylie, ciągnąc go za uszy.

Martin skinął głową i wielki gwiazdor kanadyjskiego hokeja z wyciągniętymi z wytartych dzinsów połami koszuli ruszył ścieżką ku łagodnie opadającym brzegom jeziora Lac Vert, by pokazać Kylie Taylor, gdzie należy stanąć – na tyle blisko wody, by rzucać kawałki chleba nad głowami wielkich ptaków małym łabędiątkom, ale wystarczająco daleko, by do niej nie wpaść.

Patrząc za nimi, May pożałowała, iż nie ma tu cioci Enid. Ona również powinna ich zobaczyć.

Martin zorganizował prawie wszystko. W tej części Kanady ludzie mówili głównie po francusku, a ponieważ May słabo знаła ten język, biurokratyczny aspekt „ucieczki” przekraczał zakres jej umiejętności. Tak więc gdy Martin załatwiał niezbędne urzędowe sprawy, May i Kylie zajęły się pieczeniem tortu i dekoracją altany.

Kylie bardzo poważnie potraktowała swą rolę i obowiązki. Weselnego ranka – w sobotę, po przybyciu do LaSalle – ogołociła z kwiatów niemal kilometr łąki u podnóża stoku. Do koszyczka, który miała na ramieniu, wędrowały stokrotki, jaskry, goryczki i czarnookie polne bratki. May stała w kuchennym oknie i ubijając śmietaną przyglądała się swej córce. W lekkim wietrze unosił się słodki zapach ciasta.

Później obie siedziały na pomoście, splatając wianki. Zrobiły też bukietki z fiołków i konwalii, a potem przybrały nimi brzożowe balustrady altany. Martin zniknął udając się swym dziupem na jakieś tajemnicze zakupy, ale May była z tego zadowolona: mimo iż „uciekła z ukochanym”, wierzyła, że w dniu ślubu narzeczeni nie powinni spotykać się przed ceremonią, gdyż przynosi to pecha.

– Mamusiu? – zagadnęła ją Kylie.

– Co, kochanie?

– Czy to jest prawdziwy ślub, jeśli nie odbywa się w kościele?

– Tak – uśmiechnęła się May. – Jesteś zdenerwowana? Kylie najpierw wzruszyła ramionami, jakby wcale się nie przejmowała, ale potem skinęła głową.

– Chcę, żeby ślub był prawdziwy.

- Będzie prawdziwy, Kylie.
- Lubię go, mam. Ty też, prawda?
- Ja go kocham.
- Też tak myślę. Kiedy jesteś z Martinem, uśmiechasz się częściej.
- A przedtem się nie uśmiechałam?
- Za mało – odparła cicho Kylie. – Wyszłabyś za Martina, gdyby nie ja?

Jeziro otulała mgła poranka, ale nagle przebiło się przez nią słońce, malując powierzchnię wody złotem i błękitem. May zmrużyła oczy, podnosząc ku nim rękę.

- Co masz na myśli?
- Połączyłam was – odparła Kylie ledwie słyszalnym głosem. – Chciałam mieć ojca, mam. Bardzo go chciałam i kiedy zobaczyłam Martina, zapragnęłam, aby to był on. Wybrałam Martina w czasie tamtego lotu i poprosiłam go o pomoc.

May przerwała splatanie stokrotek. W pamięci błysnęło jej wspomnienie: Kylie zatrzymująca się, by porozmawiać z Martinem, dym wypełniający samolot i Martin spieszący ku ich miejscom.

- Skąd wiedziałaś, że będziemy potrzebowały pomocy?
- zapytała May.
- Ona mi powiedziała.
- Kylie...
- Ja nie kłamię. Zapytałaś mnie, więc mówię ci prawdę. Dziewczynka-aniołek.
- Jesteś pewna, że widziałaś dziewczynkę-aniółka, Kylie?
- Być może istniało proste wyjaśnienie, w jaki sposób Kylie przeniosła rodzinną magię w inne miejsce. – Zatem nie była to fotografia?
- Jaka fotografia?
- Ta, którą Martin nosi w portfelu.

Kylie spojrzała uważnie na May i już zaczęła coś mówić, ale potem wzruszyła ramionami.

- Może – odparła.

May upuściła kwiaty na pomost i objęła córkę, która przywarła do niej jak zawsze z całej siły. May miała to samo nieodparte wrażenie, jakiego doznawała, ilekroć wtulała twarz we włosy małej i czuła jej ramiona wokół szyi.

- Nie musisz mówić mi tego, co twoim zdaniem chciałabym usłyszeć – powiedziała.
- Wiem.
- Czasami postępujesz w ten sposób z lekarzami, prawda? Jesteś sprytna; domyślasz się, jakich odpowiedzi oczekują, zanim skończą zadawanie pytań.
- Nie chcę już żadnych lekarzy.
- Wiem – rzekła May, czytając w jej oczach, które nie potrafiły jej oszukać.
- Jak mam go nazywać po waszym ślubie? – Kylie szybko zmieniła temat.
- No cóż...
- Martin? – zapytała Kylie – Czy jakoś inaczej?
- Jak... – zaczęła May, ale Kylie zeskoczyła jej z kolan, jakby nagle zawstydzona czy

zbyt zakłopotana, by dalej rozmawiać na ten temat.

– Mamusiu, znalazłam w komódce lalkę, – Kochanie, nie powinnaś szperać w cudzych rzeczach.

– Nie szperałam. Chciałam tylko zobaczyć, czy nie ma tam czegoś straszego, ale nie było. Tylko mała laleczka z żółtymi włosami. Jest stara, a przynajmniej nie jest nowa. Brakuje jej jednego bucika. Czyja to lalka?

– Córeczki Martina – powiedziała cicho May, uważnie obserwując reakcję Kylie.

Kylie usiadła tuż obok May i położywszy jej ręce na kolanach, bacznie wpatrywała się w oczy.

– Ona umarła – powiedziała Kylie.

– Tak.

Dziewczynka pokiwała głową. Wydawała się bardziej zadumana niż zaskoczona, a przy tym ani trochę nie wytrącona z równowagi.

– Byłybyśmy siostrami?

– Przyrodnimi siostrami – uściśliła May.

– Siostrami – stwierdziła zdecydowanie Kylie.

– No cóż, prawie – odparła May, nie chcąc wdawać się w techniczne szczegóły.

– Jak ty i Tobin.

– Miała na imię Natalie.

– Natalie... – powtórzyła Kylie, po czym sięgnęła po garść stokrotek. – Możemy upleść dla niej wianuszek? Jej lalka mogłaby go nosić...

May spojrzała na nią uważnie. Śmierć już parokrotnie burzyła ich spokój. Kiedy zmarła babcia May, Kylie poczuła się osierocona. Potem natknęły się na ciało Richarda Perry'ego. Jeden z badaczy sugerował, że Kylie ma jakieś dodatkowe widzenie, ale May nie wierzyła w takie rzeczy. Chciała trzymać córkę możliwie najdalej od problemu śmierci.

– Nie sądzę – odparła May.

– Dlaczego?

– Ponieważ – zaczęła May, pragnąc szybko porzucić ten temat – wiem, że Martin bardzo tęskni za Natalie, i może byłoby mu przykro, gdyby zobaczył, że bawisz się jej lalką.

– Mamusiu, proszę – nalegała Kylie. – Nie będę się nią bawić, zrobię tylko wianuszek, żeby wiedziała.

– Żeby lalka wiedziała?

– Nie lalka, lecz Natalie. Moja prawie siostra – odparła Kylie. – Chcę, żeby wiedziała, że ją kocham. Tak jak ciocia Enid wciąż kocha prababcie, jak ty kochasz Tobin.

– Cóż, dlaczego nie... – May zaczęła splatać nową kiść łądyżek, zdumiona uczuciowością córki. Wszak to prawda, pomyślała, miłość nie kończy się tylko dlatego, że ktoś umiera. Natalie i matka Martina będą dzisiaj z nami, tak jak moi rodzice i babcia. Poczula ostry ból w sercu, myśląc o cioci Enid, żywej i samotnej w Black Hall.

Zaledwie dwadzieścia minut później, gdy trzeci wianuszek ze stokrotek został ukończony i Kylie pobiegła do domu, by ustroić nim lalkę Natalie, na podjazd wjechał dżip Martina. Wskoczyły z niego Tobin i ciocia Enid.

May zostawiła kwiaty i wbiegła na wzgórze, gdzie stał Martin z ich bagażami, śmiejąc się szeroko na widok rozradowanych twarzy May, Tobin i Enid.

– Ciocia potrzebowała eskorty, więc zgłosiłam się na ochotnika – obwieściła Tobin.

– Naprawdę! – powiedziała Enid ze łzami w oczach.

– Nie chciała, żebym podróżowała samotnie.

– Przepraszam, ciociu – płakała May, obejmując leciwą krewną.

– Jesteś nieodrodną wnuczką Emily. – Enid otarła jej łzy. – Kiedyż to w ogóle udało mi się przekonać cię do czegokolwiek?

– Jak tu dotarliście?

– Martin namówił nas, żebyśmy przyleciały samolotem i przyjechał po nas do Quebec City – wyjaśniła Tobin.

– Prawdę mówiąc zamierzałam od razu wracać.

– To ja przekonałam Tobin, żeby przyjechała – powiedział Martin. – Wiem, że chciałaś „zbiec z ukochanym”, ale widziałem, że im bardziej zbliżamy się do celu podróży, tym bardziej robi ci się przykro.

– Dziękuję – rzekła May, wyciągając rękę nad ramieniem Enid, aby ująć jego dłoń. Ciocia jednak przytrzymała ją.

– Nie dotykajcie się – przestrzegła. – Wystarczająco złą wróżbą jest to, że widzicie się tego dnia przed ceremonią. Nie pogarszajcie jej fizycznym kontaktem. Żadnym. Zarówno Emily, jak i Abigail powiedziałyby to samo.

– Bardzo się cieszę, że tu jesteś – odparła May, całując ją i obróciwszy się ku Tobin, dodała: – I ty, Tobin...

– Jesteś pewna?

– Całkowicie.

– Rodzina powinna być razem – głos Martina brzmiał ciszej niż zwykle i nie słychać w nim było wesołości. Mimo napomnienia cioci, May podeszła do ukochanego.

– Ja mam swoją ciocię i najlepszą przyjaciółkę – powiedziała. – Sądzę, że ty także powinienesz kogoś zaprosić.

– A ja bym chciała, żeby była tutaj Natalie! – wykrzyknęła Kylie. – Mogłybyśmy razem nieść kwiatki i...

Martin zeszytniał. Oczy mu się zwęziły, a twarz zmieniła się tak, jakby ktoś go zaatakował.

– Przestań! – rzekł gwałtownie. Wszyscy spojrzeli nań zszokowani.

– Co się stało? – zapytała Kylie.

– Nie mów o Natalie!

– Martin... – zaczęła May.

– Odeszła bardzo dawno – rzekł Martin cicho. – Lepiej, byśmy o niej nie rozmawiali, dobrze?

– Kylie nie miała niczego złego na myśli – powiedziała miękko May. – Rozumiem twój ból, ale Kylie jest taka szczęśliwa, taka podekscytowana ślubem i weselem.

– Pewnego dnia pokażę Kylie fotografie – odparł Martin, opanowując się. – Opowiem jej

o... – przerwał, nie mogąc wypowiedzieć tego imienia – ... o Natalie.

– Ja tylko żałuję, że jej tu nie ma – tłumaczyła się Kylie drżącymi wargami.

– Wiem – powiedziała May.

Martin stał zesztywniały, z głową wciśniętą w ramiona. May zaś mimo spokoju, z jakim to powiedziała, była wytrącona z równowagi. Wprost trzęsła się z pragnienia, by zostać z nim sam na sam i powiedzieć, że nie może rozmawiać z Kylie w taki sposób. Była tylko dzieckiem z całych sił pragnącym dopasować się do życia Martina, a jego słowa i ton wręcz ją zdruzgotały.

Jednak Martin już zrozumiał swój błąd. Widziała, jak się pochyła, obejmuje Kylie i mówi, że mu przykro. Widziała też, jak Kylie się rozluźnia i uśmiecha. Potem, gdy dziewczynka pokazywała cioci i Tobin jezioro, Martin obrócił się ku May.

– Nie chciałem, aby zabrzmiało to tak gniewnie.

– Przestraszyłeś ją – odparła.

– Wiem. Widziałem jej twarz. Naprawdę mi przykro. Rzecz w tym, iż nie spodziewałem się, że wspomni o Nat i zareagowałem zbyt gwałtownie.

– Już dobrze – powiedziała, obejmując go. Drżała, pewnie z przedślubnych emocji. Wszystko działo się tak szybko. Po raz pierwszy od kilku dni miała obawy, czy nie zdecydowali się na ślub zbyt pochopnie. Nagle poczuła się bardzo zadowolona z przyjazdu Tobin.

Oczywiście było rzeczą naturalną, iż Martinowi z trudem przychodziło rozmawiać o Natalie akurat w takiej chwili: kiedy powinna być tu jako członek rodziny i świętować rozpoczęcie ich wspólnego, nowego życia. Martin był małomówny, podczas gdy ona chciała rozmawiać o wszystkim. Będą musieli popracować nad jakimś kompromisem.

– Posłuchaj, chcę do kogoś zatelefonować. – Martin powrócił do weselnych planów. – Do Raya Gardnera. Najwyższy czas, byś poznała Raya i Genny. Polubisz ją. Pora, bym przedstawił im moją rodzinę.

– Chcę cię o coś prosić. – Martin spojrzał na zegarek. Rozmawiał właśnie przez telefon z Rayem, który mieszkał z żoną i dziećmi w odległości kilku mil na północ, po drugiej stronie jeziora Lac Vert.

– Mów śmiało – odparł Ray. – Chcesz wpaść? Właśnie piję kawę.

– Nie tym razem – powiedział Martin. – Czy ty i Genny możecie być świadkami na moim ślubie?

Usłyszał, jak przyjaciel krztusi się kawą. Towarzyszył temu trzask tłuczonego kubka.

– Kim mamy być?!

– To długa historia. *Oui ou non?* Muszę znaleźć świadków.

– To nie może być długa historia. Widzieliśmy się trzy tygodnie temu; byłeś wtedy samotny i nieszczęśliwy. Moja odpowiedź brzmi: *Oui*.

– Pospieszcie się. Chcę, żebyście poznali najpiękniejszą dziewczynę na świecie.

ROZDZIAŁ 7

Ceremonia odbyła się o zmierzchu. Altanę udekorowano girlandami z wawrzynu, stokrotek i kapryfolium. Enid i Kylie zrobiły sto papierowych łódeczek ze świeczkami i puściły je na gładkie wody jeziora. Wielebny James Beaupre wyglądał bardzo godnie w czarnej sutannie; podobnie ciocia Enid i państwo Gardnerowie, gdy stanęli u jego boku. Witał ich Martin odziany w szary garnitur.

Orszak kroczący z domu otwierała Kylie. Wystrojona w jasnożółtą sukienkę niosła koszyk z polnymi jaskrami i sypała je na ścieżkę przystając co chwilę, by zobaczyć, czy idzie za nią Tobin, która w końcu została jednak pierwszą druhną.

A potem szła May.

Miała na sobie staroświecką kremową ślubną suknię w identycznym odcieniu jak perły babci, które oplatały jej szyję. Znalazła ją na strychu Weselnej Gospody, w kufrze, gdzie babcia przechowywała najpiękniejsze dawne stroje.

Suknia była bardzo skromna – sięgała aż pod szyję, u dołu zaś za kolana – ale kiedy May spojrzała na Martina, poczuła, że się rumieni. Kylie i Tobin podprowadziły ją do Martina. Państwo młodzi wzięli się za ręce i wielebny Beaupre rozpoczął ceremonię. Mówił po angielsku z twardym francuskim akcentem. Pogoda była bezwietrzna, lecz gdy niebo pociemniało, od jeziora nadciągnął lekki chłód. May instynktownie przysunęła się o pół kroku do Martina, by poczuć jego ciepło.

„Ucieczka” z ukochanym miała ważne konsekwencje i May, stojąc obok mężczyzny, który za chwilę miał zostać jej mężem, mimo woli wyliczała je w duchu. Z jednej strony taki ślub zwalniał ze sporządzania długiej listy gości i starannego formułowania zawiadomień, a także decyzji dotyczących oprawy muzycznej, charakteru przyjęcia, welonu, trenu i kaligrafowanych wizytówek. Z drugiej zaś oznaczała obecność garstki najlepszych przyjaciół, świeczki na jeziorze, gwiazdy na ciemnofioletowym niebie i sowy pohukujące w górach, Tobin nieprzerwanie pociągającą nosem, wianuszek Kylie zsuwający się jej na jedno oko (Genny Gardner delikatnie poprawiała go na głowie dziewczynki, jakby znała ją przez całe życie) oraz najprostsze słowa ślubnej przysięgi:

– Czy ty, May, bierzesz sobie Martina za małżonka, aby być z nim na dobre i na złe, w bogactwie i biedzie, w zdrowiu i w chorobie, póki śmierć was nie rozłączy?

– Tak – powiedziała May, przenosząc wzrok z ich splecionych rąk ku niebieskim oczom Martina i wpatrując się w nie długo i uporczywie na znak, że tej obietnicy, złożonej przed Bogiem, kapłanem i najbliższymi ludźmi, dochowa mu aż do śmierci.

– A czy ty, Martinie, bierzesz sobie May za małżonkę, aby być z nią na dobre i na złe, w bogactwie i biedzie, w zdrowiu i w chorobie, póki śmierć was nie rozłączy?

– Tak – odparł Martin poważnie. Jego żarliwy ton i wyraz oczu upewniły May, iż będą razem już zawsze.

Stali twarzą w twarz, słowa ich małżeńskiej przysięgi niesły się po jeziorze, a góry odbijały je echem. Czas zatrzymał się w miejscu.

– *Mes enfants...* – ksiądz pobłogosławił ich po francusku, angielsku i po łacinie, czyniąc prawą ręką znak krzyża. Nie wiadomo skąd pojawił się wiatr i muskając jezioro rozkołysał łódeczki Enid na drobnych falach. Stokrotki i fiołki wyfrunęły z koszyka Kylie, lądując na powierzchni wody.

– Ogłaszam was mężem i żoną – rzekł leciwy ksiądz, najpierw po francusku, a potem, dla dopełnienia formalności, po angielsku.

Martin ujął w dłonie twarz May i długo wpatrywał się jej w oczy. Miała wrażenie, że próbuje jej coś powiedzieć bez stów, coś zbyt głębokiego i ważnego, aby można to było wyrazić na głos. May robiła to samo. Uniósłszy dłoń, pogłaskała jego policzek, ucho, tył głowy. Jej oczy były pełne żaru. Zawsze, myślała, zawsze będę cię kochać.

– Możesz pocałować żonę – powiedział ksiądz w tej samej chwili, gdy Martin wziął May w ramiona i całował, kołyszając ją na swojej piersi.

Po ceremonii wszyscy ruszyli ku werandzie na tort i lampkę szampana. Kylie dostała lemoniadę i kiedy dorośli wzniesli toast, ona również uniosła swój kieliszek. Słuchała śmiechów i rozmów oraz muzyki płynącej ze starego gramofonu stojącego w saloniku. Państwo Gardnerowie okazali się przemili; Kylie cieszyła się słysząc, iż radują się szczęściem Martina, choć byli bardzo zaskoczeni wieścią, że zamierza się ożenić.

Genny podeszła do mamy. Zasypała ją pytaniami i nazwała odważną kobietą, skoro wstępuje w szeregi żon hokeistów. Tobin stanęła blisko, aby Genny wiedziała, że mama już ma najlepszą przyjaciółkę. Martin przedstawił Raya cioci Enid, mówiąc, iż Ray jest jego przyjacielem od dzieciństwa, i że w mroźne zimowe dni razem jeździli na łyżwach do szkoły.

– I wciąż ślizgacie się razem! – wykrzyknęła Enid, czyniąc to w ów słodki, promienny sposób, za który Kylie tak bardzo ją kochała.

– Jesteśmy szczęśliwcami – rzekł Ray.

– To prawda – zgodziła się Enid. – Podobnie jak May, która ma taką przyjaciółkę jak Tobin. Znają się od pierwszej klasy.

– Naprawdę? – zapytała z uśmiechem Genny.

– Tak, całe dni spędzałyśmy razem – podchwyciła Tobin. – Siedziałyśmy w jednej ławce, potem razem wracałyśmy ze szkoły i bawiłyśmy się, dopóki matki nie wezwały nas do domu.

– Teraz również – powiedziała Enid – wspólnie pracują, a potem razem znikają na rowerach. Prawda, Kylie?

– Prawda!

– Mają szczęście – rzekła Genny.

Ksiądz był bardzo stary, a jego czarna sutanna pachniała naftaliną. Musiał wyjechać wcześniej, ale najpierw pochylił się i zrobił znak krzyża na czole Kylie. Kiedy to uczynił, spojrzał prosto w jej oczy, jakby potrafił czytać w myślach.

– Ile masz lat? – zapytał.

– Sześć.

– Tak myślałem – pokiwał głową.

– Martin i moja mama są małżeństwem – powiedziała Kylie, choć w istocie zadawała pytanie.

– Tak, są małżeństwem.

– Mimo że to nie kościół? – zapytała, spoglądając ku altanie.

– Tak – zapewnił ją ksiądz. Mógłby się roześmiać na to pytanie; Kylie podobało się, że potraktował je poważnie. – Pomimo to.

– To dobrze – Kylie poczuła taką ulgę, że zakreśliło jej się w głowie. – Dla mnie i dla mamy.

– Znam Martina od bardzo, bardzo dawna – ciągnął ksiądz. – Przystępował do pierwszej komunii w moim kościele. Bywał w nim też z powodu... z powodu innych spraw. To dobrze również dla niego.

Kiedy ksiądz odszedł, by pożegnać się z mamą i Martinem, Kylie wymknęła się na schody i wróciła do altany. Dopiero gdy była pewna, że nie widać jej z werandy, sięgnęła do koszyczka i wyjęła spod kwiatów lalkę Natalie. Wcześniej Martin wydawał się bardzo zły i nie chciała, żeby się to powtórzyło. Umocowała wianek na głowie lalki, a potem poszła nad jezioro.

Było już zupełnie ciemno. Ryby wyskakiwały z jeziora z cichym pluskiem. Niebo nad szczytami gór lśniło od gwiazd. W dole, na sosnach i w wysokich trawach migotały świetliki. Kylie niemal bez tchu trzymała lalkę. Coś miało się zdarzyć... Coś jeszcze bardziej zdumiewającego niż ten ślub. Czowała to... Zawsze to przeczuwała.

Spoglądając na przeciwległy brzeg, ujrzała małą dziewczynkę odzianą w biel, z cienkimi jak pajęczyna skrzydłami, w świecących białych pantofelkach; aniołka, którego widziała w samolocie. Dziewczynka otworzyła ramiona. Kylie uczyniła to samo, jakby obejmowała dziecko po drugiej stronie wody. Ale to nie uścisku pragnęła ta dziewczynka.

– Lalkę? – zapytała Kylie i dziewczynka skinęła głową.

Kylie przykucnęła, by umieścić w koszyku starą szmacianą lalkę z namalowaną twarzą. Pocałowała ją na pożegnanie. Chętnie zatrzymałaby lalkę, ale wiedziała, że nie może. Jeśli ma się siostrę, nie wolno zabierać jej zabawek jak swoich.

Zniosła koszyk na brzeg i położyła go na fali. Zakołysał się z boku na bok, a potem wyprostował i pozęglował szybko, jakby niesiony przez prąd, ku dziecku po drugiej stronie jeziora. Dziewczynka-aniołek wciąż stała z otwartymi ramionami, czekając na swoją lalkę.

– Puszczasz na wodę łódeczki? – rozległ się głęboki głos Martina.

Kylie była tak zaskoczona, że niemal wpadła do wody.

– Ja... Tak, ja...

– Ksiądz Beaupre powiedział, że mogę cię tutaj znaleźć.

– Jest miły – odparła Kylie.

– Powiedział mi, że cieszysz się z naszego ślubu; że jesteś szczęśliwa, iż twoja mama i ja zostaliśmy małżeństwem.

– Bo jestem – wyszeptała Kylie. Była tak szczęśliwa, że nawet nie mogła mówić normalnym głosem.

– Nie zamartwiaj się tym, że ślub nie odbył się w kościele – Martin położył rękę na jej

ramieniu. – Moim kościołem zawsze była natura, przestrzeń. Będziemy wiosłować po jeziorze, Kylie. A kiedy zamarznie, nauczę cię jeździć na łyżwach. Chciałabyś?

– Tak – odpowiedziała, wpatrując się w niego. – Bardzo.

– Widzisz te świetliki? – zapytał.

Kylie skinęła głową i przypomniała sobie, co opowiadał jej kiedyś.

– Wyglądają jak gwiazdy.

– Przylatują z nieba – rzekł Martin. – Tak mawiała moja mama.

– Z nieba... – powtórzyła Kylie.

– Mam tam córeczkę – Martin wpatrywał się w drugi brzeg jeziora.

Jego twardy wzrok skierowany był prosto na stojącą tam drobną dziewczynkę, która zatrzepotała skrzydłami. Kylie zrozumiała, że niebawem odleci i serce zaczęło jej walić, bo bardzo chciała, żeby Martin także zobaczył Natalie; tę Natalie, która była dziś tu, nad Lac Vert, sfrunęła na ziemię razem ze świetlikami, by zobaczyć ślub swego tatusia i poznać nową siostrę.

– Natalie! – zawołała, ale Martin pomyślał, że mówi do niego.

– Tak, Natalie – odparł. – Mama ci opowiedziała?

– Natalie! – Kylie krzyknęła głośniej.

– To przeze mnie widzisz anioły – doszedł do niej głos dziewczynki. – Jest coś, co muszę ci powiedzieć.

– Co?

– To wiąże się z moim ojcem – oznajmiła Natalie. – Potrzebna mu jest twoja pomoc.

– Jak mogę mu pomóc? – zdziwiła się Kylie.

– Ludzie bywają ślepi nie tylko dlatego, iż pozbawieni są wzroku – powiedziała Natalie. – Bywają też ślepi na miłość, na prawdę...

– Tęsknię za nią – wyznał Martin ze smutkiem, jakby patrzył prosto na nią, na drżącego białego aniołka po drugiej stronie jeziora. – I właśnie dlatego straciłem przedtem panowanie.

– Ona też za tobą tęskni – oznajmiła Kylie, próbując się skoncentrować na obojgu rozmówcach jednocześnie.

– Twoja mama powiedziała mi – rzekł Martin – że chcesz wiedzieć, czy masz zwracać się do mnie po imieniu czy jakoś inaczej.

– Inaczej... – zaczęła Kylie, lecz gardło miała tak ściśnięte, że nie mogła mówić.

– Patrz i słuchaj – powiedziała Natalie. – On cię potrzebuje.

– Możesz nazywać mnie tatą, jeśli chcesz. – Martin ujął Kylie za obie ręce. – Byłbym bardzo szczęśliwy.

Tato, pomyślała Kylie. Jak pięknie, jak właściwie brzmiało w myślach to słowo. Wcześniej nie nazywała nikogo w ten sposób. Wcześniej nie miała tatusia i nigdy nie wymawiała tego słowa, jedynie w rozmowach z lalkami. Myśląc o lalkach, spojrzała na jezioro ku Natalie.

Już jej nie było.

Pozostało jedynie lśnienie bieli na wodzie, jakby cała Mleczna Droga odbijała się w jeziorze. Chmara świetlików podążała za czymś, co wracało po wodzie. Gdy dotarło na brzeg,

Kylie ujrzała pusty koszyk.

Natalie zabrała swoją lalkę. W koszyku nie było nic oprócz białego piórka, jakby zostawił je tam jeden z łabędzi żyjących na jeziorze Lac Vert.

– Tatusiu – szepnęła Kylie.

Martin uniósł ją, jakby była jego własną córką, i utulił w ramionach. Tymczasem May zaczęła ich szukać i trafiła prosto w objęcia Martina. Patrząc na tych dwoje, stojących w starej altanie, gdzie niedawno odbył się ich ślub, Kylie zrozumiała, że nareszcie ma ojca, o którym tak długo marzyła.

ROZDZIAŁ 8

Miodowy miesiąc składał się z gorących i leniwych, bezchmurnych letnich dni spędzonych nad Lac Vert. Martin mieszkał tu przez wiele lat i sąsiedzi żarliwie bronili go przed prasą. Zapewnił May, że nie wycieknie stąd ani jedno słowo o ich małżeństwie i żaden reporter nie zakłóci ich sielanki.

Zaczęła się poślubną nocą, gdy Kylie poszła spać, a Gardnerowie odwieźli Tobin i Enid na lotnisko. Pierwszy raz byli z sobą jak mąż i żona. Pierwszy raz byli z sobą w ogóle. Rozbierając się w łazience, May czuła, że palce jej drżą przy rozpinaniu sukni. Kupiła nowy peniuar z brzoskwiniowego jedwabiu, ale nagle uświadomiła sobie, że zostawiła go w sypialni, gdzie teraz czekał Martin. Włożyła więc na siebie starą białą koszulę wiszącą na drzwiach.

Idąc przez hol na piętrze, zobaczyła, że drzwi sypialni są uchylone. Na suficie tańczyły cienie. Martin leżał na starym żelaznym łóżku. Jego nagi tors i ramiona błyszcząły w blasku jednej niebieskiej świecy. Zamierzała chwycić owiniętą w bibułkę nową nocną koszulkę i wrócić szybko do łazienki, by się w nią przebrać, ale Martin złapał jej nadgarstek i przytrzymał.

– Gdzie idziesz? – zapytał.

– Muszę zmienić...

– Chodź tutaj – powiedział, zwalniając uścisk, by mogła usiąść. Przysiadła na krawędzi łóżka, a wtedy odchylił okrywające go prześcieradło i pomógł jej wsunąć się pod nie. Jego oczy lśniły. Delikatnie zaczął ją całować. – Zostań – szepnął. – Nie musisz niczego zmieniać.

– Muszę – odparła. – Chcę, abyś na zawsze zapamiętał...

– Tę noc? Zapamiętam, May. Nie musisz się o to martwić.

Dłonie Martina przesuwwały się po jej ramionach, plecach, szyi. May drżała pod jego dotykiem. Ciało miał twarde i silne; pragnęła go coraz bardziej. Zamiast odsunąć, przycisnęła się więc do niego i zrozumiała, że tej nocy nowa koszulka nie będzie używana.

– Wciąż nie mogę uwierzyć – wyszeptwała – że jesteśmy tu razem, po ślubie...

– May Cartier – rzekł, całując ją z uśmiechem – czy może zamierzasz pozostać May Taylor?

Potrząsnęła przecząco głową, czując na sobie jego ramiona.

– May Cartier – odparła. – Choć trochę potrwa, nim się przyzwyczaję. Całe życie używałam nazwiska Taylor.

– A ja chcę się przyzwyczaić do tego – powiedział, znów całując ją w szyję. – Do bycia z tobą.

Płomyk świecy, migocząc i tańcząc, wypełnił wnętrze żarem. Komu potrzeba stu świec? – pomyślała May. Jedna jest zdumiewająco piękna. Tak jak ich prosta ceremonia, pełna mocy i uroku. Teraz Martin pieścił jej ciało, ona zaś wygięła się w łuk i wychodząc mu naprzeciw głaskała jego twarz.

Na twarzy Martina malowała się czułość, lecz jego ramiona były obręczami z żelaza, a

brzuch miał twardość marmuru. Uniósłszy się na łokciu, dotknęła jego mięśni i uśmiechnęła widząc, jak mruży oczy. Z żartobliwym podziwem ścisnęła jego ramię.

– Złoty Młot – pocałowała tors Martina. – Teraz rozumiem prawdziwe znaczenie.

– May – wyszeptał, drżąc pod jej wargami i językiem.

– Jak wyrobiłeś sobie takie mięśnie? – spytała. – Przez cały rok pracujesz na powietrzu?

– Od tej chwili aż do września nie pracuję wcale – odparł ze śmiechem.

W blasku świecy May mogła też dostrzec różne blizny: na brodzie, nad oczami, po lewej stronie głowy, za prawym uchem... Wyobraziła sobie wszystkie latające krażki i kije raniące jego piękne ciało. Jednak blizny biegnące przez tors wydawały się inne i tajemnicze: dwie długie, pionowe linie biegnące środkiem i blizna w kształcie X bezpośrednio nad sercem. Przekomarzała się, ale na widok tych blizn poczuła, że robi jej się zimno.

– Co się stało? – zapytała.

– Nie pytaj, May – rzekł, zamykając oczy.

– Powiedz mi, Martin. Wyglądają...

Nie dał jej szansy na dokończenie zdania. Obrócił ją na plecy i mocno pocałował. Całe zgromadzone w nim intensywne napięcie eksplodowało. Szeptał jej imię, tulił do siebie, jakby teraz potrzebował jej bardziej niż czegokolwiek.

May objęła go mocno. Czowała go w sobie. Zwarli się oczami, przechodząc w jeden rytm. Nawet jego skóra wydawała się twarda jak kość słoniowa, ale jednocześnie stapiali się w jedno. Wpatrywała się w niego, w swego męża, z żarem i ufnością, wiedząc, że właśnie za nim tęskniła przez te wszystkie lata. Nie dlatego, że był gwiazdą hokeja czy najsilniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek dotykała, lecz dlatego, iż był Martinem, jej mężem, mężczyzną, na którego czekała przez całe życie.

Zgodnie z obietnicą Martin nauczył Kylie wiosłować i pływać w jeziorze. Dziewczynka już wcześniej pływała w basenach i w morzu, zawsze jednak bała się traw i liści kryjących muliste dna jezior. Martin przekonał ją, że najłatwiejszym sposobem jest zejście z pomostu po drewnianej drabince, tak by nie musiała dotykać przybrzeżnego mułu i od razu zanurzyła się w wodzie.

May obserwowała ich z altany. Słońce prażyło mocno, osłoniła się więc dodatkowo przeciwsłonecznym parasolem, koszulą Martina i wielkim kapeluszem. Naszkicowała już ze wszystkimi szczegółami sceny ze swego ślubu i wesela, by zachować je na zawsze. Teraz rysowała męża i córkę na pomoście, potem w starej łodzi i w wodzie, gdzie ich głowy kołysały się nad błękitną taflą.

– Dotykam nogą jakichś badyli! – krzyknęła Kylie.

– To tylko trawa – uspokajał ją Martin. – Nie skaleczy cię.

– Jest okropna, jak włosy czarownicy – Kylie wdrapała się na ramiona Martina, on zaś płynął w pozycji pionowej, unosząc ją ku górze.

– To opory psychiczne – orzekł poważnie Martin, patrząc w oczy Kylie. – Musisz sobie z nimi poradzić tak jak w hokeju. Nie dawaj im dostępu do siebie. Powiedz sobie, że to tylko trawa, a nie włosy czarownicy. Powtarzaj to nieustannie, wciąż od nowa. Chciałbym usłyszeć,

jak to mówisz.

– To tylko trawa, a nie włosy czarownicy – powtórzyła Kylie. – To tylko trawa, a nie włosy czarownicy...

May, śmiejąc się, zapisywała wszystko w swoim dzienniku, by nigdy nie zapomnieć tego dnia, gdy jej mąż odbywał z Kylie hokejowy trening w wodzie. Dziewczynka powtarzała nakazane słowa, Martin zaś powoli zanurzał ją w jeziorze.

– To tylko trawa, a nie włosy czarownicy. To... To w ł o s y czarownicy! – krzyknęła, gdy tylko palcami dotknęła wiotkich pasm, i natychmiast z powrotem wdrapała się na ramiona Martina, przyprawiając go o donośny wybuch śmiechu.

Pewnego ranka wszyscy troje postanowili popłynąć łódką na wyspę znajdującą się na jeziorze. Było słonecznie i ciepło. May zapakowała śniadanie do piknikowego kosza i usiadła na rufie, Kylie zajęła miejsce na dziobie, a Martin w środku pracował wiosłami, które w jego rękach wydawały się w ogóle nie dotykać wody. Przecinały ją bez jednego plusku, łódź zaś mknęła do przodu jak ścigacz.

Po zatoczkach pływały nury białoszyje, a wzdłuż brzegu pasły się jelenie, na ich widok umykając w sosnowy las. Minęło dwadzieścia minut, potem pół godziny, a Martin wciąż wiosłował. Kiedy słońce uniosło się wyżej, zwolnił nieco, by zdjąć koszulę. May przesuwiała palcami po wodzie i przyglądając się strużkom potu na nagim torsie męża, żalowała, że nie są sami.

Podczas gdy Kylie zajęta była śledzeniem dzikiej przyrody, Martin i May droczyli się przyciszonymi głosami. May ubrana w niebieski kostium kąpielowy zsunęła ramiączka, by opalić ramiona. Jej oczy wciąż kierowały się ku skrytym pod bujnym owłosieniem dziwnym bliznom na piersi Martina. Był tak przystojny i pociągający, że niemal o nich zapomniała.

– Czy w najdziwniejszych snach wyobrażałeś sobie miesiąc miodowy w towarzystwie sześciolatki? – zapytała May.

– Jest tym ciekawszy – Martin obdarzył ją namiętym spojrzeniem.

– A więc płyniemy na prywatną wyspę? – zmieniła temat.

– *Mon Dieu*, May. Świetnie wyglądasz w kostiumie kąpielowym.

– Prywatna wyspa... – May zamknęła oczy, wyobrażając sobie, jak rozkładają koc, zdejmują ubrania, kochają się...

– Ryby! – Kylie podskoczyła z emocji, omal nie wpadając do wody. – Ogromne, gigantyczne ryby! Patrz, mamó, patrz tatu... – urwała.

– Usiądź, kochanie – upomniała ją May.

– Jesteśmy nad jamą starego pstrąga – rzekł Martin. – To siedziba prapradziadka jeziora. A to jego wojsko.

– Armia pstrąga?

– Tak – odrzekł Martin. – Dowodzona przez największego pstrąga tęczowego, jakiego kiedykolwiek widziano. Ray i ja próbujemy go złowić przez całe życie.

– Nie udało wam się?

– Raz się udało, ale uciekł.

– Mnie by nie uciekł – oświadczyła Kylie, spoglądając w ciemną, spokojną toń jeziora.

– Pewnego dnia zabiorę cię tu na ryby. Ale trzeba wstać bardzo wcześnie. Przed świtem.

– Dobrze – odparła Kylie. Potem wypatrzyła czarnego niedźwiedzia zajądającego na brzegu jagody. Zza krzaków jeżyn wyłoniły się dwa młode. Kylie piszczała, wskazując je palcem, Martin zaś trzymał ją mocno, by miała pewność, że jest bezpieczna. May, wpatrując się w jego nagie ręce i szerokie ramiona, myślała o poprzedniej nocy.

Jej namiętność nie była wyłącznie fizyczna. Uwielbiała sposób, w jaki Martin rozmawiał z Kylie, i radość, jaką najwyraźniej sprawiała mu zabawa z małą. Kochała go za to, że stali się rodziną.

Gdy dotarli do wyspy, Martin i Kylie byli już głodni. May rozłożyła przywieziony prowiant i sama też próbowała jeść, ale była po prostu zbyt szczęśliwa. Mogła tylko leżeć, czuć słońce na twarzy i marzyć, by ich miodowy miesiąc nigdy się nie skończył.

Gdy słońce ześliznęło się za północne pasmo gór, zrobiło się chłodno, ale zarówno May, jak i Kylie tego dnia wygrzały się za wszystkie czasy. W drodze powrotnej więc Kylie zasnęła na dnie łodzi.

– Może ja trochę powiosłuję? – spytała cicho May. Martin z uśmiechem pokręcił przecząco głową.

– Sądysz, że nie potrafisz?

– Potrafisz, ale nie musisz – odparł. – Chcę się tobą opiekować, May. Czy to źle?

– Nie. – Poczowała ucisk w gardle i łzy napłynęły jej do oczu. To był długi dzień i czuła zmęczenie; nie mogła sobie poradzić z nadmiarem złożonych uczuć.

– O co chodzi? – zapytał, wyciągnawszy nogę, by dotknąć stopą jej palców.

– Tak wiele czasu minęło od chwili, gdy czułam... – Łzy pociekły May po policzkach. – Mój ojciec się mną opiekował. Był dla mnie wszystkim... dla nas obu... dla mnie i dla mamy. Gdy umarł, naprawdę nie miałam już nikogo, kto by się o mnie troszczył.

– Nawet w ojcu Kylie? – zapytał Martin cichym głosem.

– Szczególnie w ojcu Kylie – odparła. – Nie chciał żadnej z nas.

– Głupiec.

May skinęła głową i ocierając łzy, spojrzała na śpiącą córkę. Kylie, zwinięta w kłębek na stercie swetrów, oddychała spokojnie.

– Spójrz, co stracił – szepnęła May.

– Gdzie on teraz jest?

– W Bostonie. Czeki przychodzą bezpośrednio z jego firmy prawniczej. On się w ogóle nie odzywa, ani listu, ani telefonu.

– Niektórzy ojcowie nie są warci tej nazwy – rzekł Martin, patrząc na Kylie jeszcze tkliwiej.

– Mówisz o swoim ojcu? Skinął głową.

– Nie zawsze tak było. Na początku był wspaniały. Nauczył mnie łowić ryby i jeździć na łyżwach. Nauczył mnie też wiosłować właśnie na tej łodzi. Ale potem sława i pieniądze zaczęły znaczyć więcej niż my, ja i moja matka.

– W pewnym sensie to może zranić boleśniej – powiedziała May.

– Co masz na myśli? – zapytał, delikatnie rozcinając wiosłami powierzchnię wody.

– Kochać kogoś tak bardzo, a potem patrzeć, jak los go zabiera... – odparła May. Utraciwszy ojca, знаła to z doświadczenia.

– Nie został zabrany przez los – uciał Martin. – On odszedł. To był jego wybór. Nie każdy w życiu kieruje się zacynymi motywami.

– Martin... – zapytała, wpatrując się w blizny na jego torsie – czy te rany miały coś wspólnego z twoim ojcem?

– Proszę, May, nie psuj tak pięknego dnia. – Zmarszczył brwi i sięgnął po koszulę, by ją na siebie włożyć. – Ta historia nie ma nic wspólnego z tobą, Kylie, i tą łodzią. Zostaw ją w spokoju, dobrze?

Z oczu Martina zniknęło ciepło. Zaczął wiosłować mocniej, zmierzając do domu tak szybko, jak mógł.

Przez dwa poranki z rzędu budzili się z zakłopotaniem. W nocy kochali się namiętnie i choć May wciąż miała nadzieję, że Martin zacznie opowiadać, on zrywał się o świcie i szedł biegać. Dziś kazał jej jeszcze pospać, sam zaś zabrał Kylie na połów wielkiego pstrąga. Leżąc w łóżku, May słyszała, jak schodzą ze schodów. Kylie była tak podekscytowana, że paplała bez przerwy.

May próbowała doceniać rosnącą więź między mężem a jej córką, czemu jednak miała wrażenie, że Martin używa Kylie jak tarczy, by uniknąć spędzania większej ilości czasu tylko z nią? Wędkowanie z sześciolatką było znacznie łatwiejsze niż odkrycie się przed jej matką. Kylie, jeśli o nią chodzi, była roztropna: jeszcze nie nazywała Martina „tatusiem”.

Po długiej kąpieli i dwóch filiżankach kawy May odbyła spacer po domu. Od dnia ślubu nie widziała lalki Natalie, a chciała mieć pewność, że Kylie odłożyła ją tam, gdzie ją znalazła. Lalka najwyraźniej zniknęła, za to w każdym pokoju May znajdowała coś, czego nie zauważyła poprzednim razem.

Rodzinne fotografie, kolekcję skamielin, starą oprawną w skórę Biblię, haftowane poduszki na oparciu sofy, oprawione zdjęcia jeziora i gór. Dziś spostrzegła obok fotela w salonie koszyk z robótką, nie dokończonym czerwonym swetrem. Pochyliła się, żeby obejrzyć go z bliska, i tak zaskoczył ją niespodziewany gość.

– Należał do Agnes – usłyszała głos Genny Gardner, która stanęła w drzwiach, trzymając szklany słoik.

– Och, witaj! – rzekła May, prostując się.

– Przyniosłam konfiturę truskawkową, którą zrobiłam wczoraj. Zamierzałam ci opowiedzieć o wielkich zaletach truskawek znad Lac Vert, które działają jak afrodyzjak, i o tym, że wszyscy nowożeńcy powinni je jeść, ale spójrzmy prawdzie w oczy... to tylko pretekst, żeby cię odwiedzić!

– Genny uniosła ręce, jakby przyłapano ją na gorącym uczynku. – Zobaczyłam, że Martin i Kylie wędkują na jeziorze, pomyślałam więc, że będziesz w domu sama, a wprost umierałam z pragnienia, żeby przyjść na pogawędkę. Ponadto obiecałam Tobin, że wpadnę i upewnię się, czy u was wszystko w porządku.

– Cieszę się, że przyszedłaś – powiedziała May. – Dziwnie się czułam, poznając najlepszych przyjaciół Martina dopiero na naszym ślubie. Powinniśmy byli uprzedzić was choćby nieco wcześniej. Tobin twierdzi, że potrzebowałyby około sześciu miesięcy. Czy Ray przeżył szok?

Genny się roześmiała.

– Przede wszystkim był zaskoczony, ale bardzo się cieszył. A ja uważam, że to cudowne. Najbardziej romantyczny ślub, na jakim kiedykolwiek byłam...

– Naprawdę? Dziękuję – rozpromieniła się May.

– Masz ochotę na filiżankę kawy? A może tost do konfitury?

– Z przyjemnością. – Genny podażyła za May do kuchni i sięgnęła po kawę, podczas gdy May wypłukała czajnik. Potem postawiła słoik z konfiturą na stole i zaczęła otwierać szufladę, by wyjąć z niej nóż, lecz nagle się powstrzymała. Chociaż z pewnością dobrze wiedziała, gdzie co jest, chciała, aby May poczuła, iż to jej kuchnia. May doceniła ten gest uśmiechem.

– Agnes to matka Martina? – zapytała May, siadając za sosnowym stołem.

– Tak – odparła Genny. – Była wspaniałą kobietą. Ray kochał ją niemal tak samo jak własną, a to o czymś świadczy. Jaka szkoda, że umarła, nie poznawszy ciebie. Byłaby szczęśliwa, że Martin się ustatkował.

– Wydawało mi się, że zmarła już kilka lat temu?

– To prawda. Och, pomyślałaś o tym, ponieważ wciąż jest tu jej koszyczek z robótką?

– Tak – przyznała May.

Genny się uśmiechnęła. Drobną, z krótkimi jasnymi włosami i dużymi szarymi oczami, miała w sobie wiele ciepła.

– Martin nie znajduje siły, by go schować – powiedziała Genny. – Tak przynajmniej myślę. Jest twardy jak skała, to opoka narodowej ligi hokejowej, ale bardzo tęskni za matką. Kochała wszelkie robótki. Przede wszystkim jednak uczyła i trenowała Martina i Ray a, gdy byli mali. Była przy nim także po... Boże, po tym wszystkim.

– Po śmierci jego córki?

– Zwłaszcza wtedy – odparła Genny – choć w pewnym sensie to była czarna seria. Rozwód, proces i uwięzienie Serge'a... Martin omal nie stracił zmysłów. Zniknął na kilka tygodni w lesie i Ray naprawdę bał się, że już go nie zobaczy.

May miała tak wiele pytań. Chciała dowiedzieć się o wszystkim, ale od samego Martina. Teraz jednak podała kawę i słuchała opowieści Genny.

– Agnes była solidna jak głaz. Matki hokeistów, żony hokeistów... sama zobaczysz.

– Była również żoną hokeisty, prawda?

– Tak, wyszła przecież za Serge'a. Biedny Serge... popełnił tak wiele okropnych błędów, krzywdząc przy tym siebie i wszystkich wokół. Martin go nienawidzi, jak wiesz.

– Wiem.

– Nie zawsze tak było. Jako dziecko Martin go wprost ubóstwiał. Był z niego bardzo dumny. Mieć ojca, który gra tak jak Serge! Obaj go uwielbiali, i Martin, i Ray. Tylko sobie wyobraź: mieszkać na tej prowincji, czytać o nim w gazetach i słuchać rozmów kolegów na

jego temat.

– A ty pomyśl, jak Martin czekał na jego powrót do domu – powiedziała May, rozumiejąc ból, jaki musiał odczuwać Martin będąc dzieckiem.

– To też prawda... – przyznała Genny.

– Tak wielka miłość do ojca – ciągnęła May, przypominając sobie to, co wcześniej powiedziała na łódce – z pewnością sprawiła, iż znacznie boleśniej odczuł to, że ojciec go zawiódł.

– Serge sprawił zawód hokejowi – oświadczyła Genny – swojej drużynie, kibicom i Kanadzie. Lubił hazard, ale problem naprawdę zaczął się wtedy, gdy postawił przeciwko własnemu zespołowi i sprzedał mecz. Zawiódł całą ligę.

– To nie jest nawet w połowie tak złe jak sprawienie zawodu własnemu synowi.

– Och, Martin jest szczęściarzem, że ma ciebie – Genny z przekonaniem pokiwała głową.
– Cieszę się, że patrzysz na niego w taki sposób.

– W jaki sposób? – zapytała May.

– Jak na prawdziwego człowieka. Zwyczajnego mężczyznę, który kiedyś był małym chłopcem. Świat widzi w nim tylko wspaniałego obrońcę z lodowiska, Złotego Młota; seksownego zabijakę, który uwielbia walkę. Przynajmniej większość jego dziewczyn tak go widziała... – Genny przerwała gwałtownie. – Przepraszam, May.

– W porządku. – May podała Genny grzanekę i otworzyła słoik z konfiturą. – Cóż, oboje jesteśmy ludźmi z przeszłością. Wiem, że był żonaty. Jeszcze wczoraj dostał worek listów od wielbicieli i nie mogłam nie zauważyć tych wszystkich kopert zaadresowanych kobiecym charakterem pisma.

– Będziesz musiała się do tego przyzwyczaić – powiedziała Genny. – Nawet Ray dostaje ich wiele, a nigdy nie okrzyknięto go „najseksowniejszym żyjącym sportowcem”. Poza tym jest ze mną żonaty od czternastu lat.

– Sądzisz zapewne, że go usidliłam. Pobraliśmy się tak szybko...

– Byliśmy poruszeni. Znam Martina prawie tak długo, jak zna go Ray. Wychowałam się w SteAnnedes-Monts, niedaleko stąd. Już wtedy byli wspaniałymi łyżwiarzami i do dziś żartujemy, że ja byłam ich pierwszą fanką. Oni też mi kibicowali. Jeździłam na nartach, wiesz? Brałam nawet udział w olimpiadzie.

– Kolejna gwiazda sportu – May była pod wrażeniem.

– Dawne lata...

– Jesteście więc razem od... od zawsze.

– I dlatego się cieszę, że do nas dołączyłaś – powiedziała Genny. – Jestem zmęczona samotnym niepokojeniem się o Martina. I przesiadywaniem na meczach bez kogoś, z kim mogłabym porozmawiać. Poczekaj jednak, aż prasa się o tobie dowie. Nie zostawią cię w spokoju.

– Nie będą się mną zajmować – powiedziała May. – Ja jestem tylko organizatorką wesel, która się zakochała.

– W Martinie Cartierze – dodała Genny. – Poczekaj, a się przekonasz.

May się roześmiała, ale teraz chciała skorzystać z okazji, żeby porozmawiać z Genny o

Natalie.

Jednak właśnie wtedy sprzed domu dobiegły głosy. Niebawem otworzyły się drzwi i do środka wbiegła Kylie. Tuż za nią pojawił się Martin. Niósł wędki i miał zatroskaną minę.

– Mamusiu, złapałam rybę. To nie był sam wieki król pstrągów – powiedziała Kylie z pobladłą twarzą. – Ale też był dość duży.

– A gdzie jest teraz? – zaśmiała się Genny.

– Kylie chciała, żeby go wypuścić – odparł Martin.

– Więc puściliśmy go wolno.

– Przecież ryby też mają rodziny! – W głosie Kylie brzmiała emocja. – Dobrze było go złapać, ale potem należało puścić, prawda, mamo?

– Zastłaniała sobie uszy rękami – rzekł Martin. – Powiedziała, że płakał tak głośno.

– Ale przestał – Kylie patrzyła na May zalęknionymi oczami – kiedy tylko z powrotem włożyliśmy go do wody. Wszędzie miał cętki. Odpłynął prosto do swoich dzieci.

– Słyszałaś płacz ryby? – zapytała ze śmiechem Genny.

– Co za wyobraźnia!

Kylie wpatrywała się w May.

– Nie zabieraj mnie znów do tego lekarza. Nie chcę tam jechać. On mi nie wierzy, ale ja naprawdę słyszałam ten płacz. Wierzysz, że słyszałam płaczącą rybę?

– Wierzę, kochanie.

May objęła swoją wrażliwą córeczkę. Jako dziecko sama nie lubiła zabijania – nawet komarów. Kiedy ostatnim razem zabrała Kylie do psychologa, odniosła wrażenie, że jej dziecko potraktowano jak zwierzę doświadczalne. Co było prawdą?

– Cieszę się, że wypuściliśmy tę rybę na wolność – powiedziała Kylie.

– Ja też, kochanie – odparła May.

Wszystkie łęki May rozwiały się w żarze i blasku lata nad jeziorem Lac Vert. Córka państwa Gardnerów, Charlotta, zaproponowała, iż zabierze Kylie na noc do siebie, i May wyraziła zgodę. Wszyscy troje – Martin, May i Kylie – spędzili cały dzień na wędkowaniu i zabawie na wyspie, mimo że Martin i May niecierpliwie czekali na pierwszą noc we dwoje. Byli spaleni słońcem i wiosłując na północ ku domowi Gardnerów, czuli się szczęśliwi.

– Śpi? – zapytał Martin, spoglądając na Kylie, zwiniętą na kocu na dziobie łodzi.

– Jak kamień – odparła May z uśmiechem. – Wyszłała się do upadłego.

– Oto co daje dorastanie nad jeziorem. Wszystko tu jest przygodą, szczególnie gdy ma się sześć lat.

– Albo trzydzieści sześć – powiedziała May, muskając bosą stopą jego nogę.

– Bądź ostrożna, kobieto – roześmiał się Martin – bo...

– Dobrze, dobrze – odparła May, udając, że jest rozczarowana. – Opowiedz mi, jakie przygody miewa sześciolatek.

– No cóż, chyta błotne żółwie, podgląda lisią rodzinę w wykrocie pod drzewem, skrada się po śladach pantery, która okazała się psem ojca Raya, obserwuje rybę, która za każdym razem jest jeszcze większa.

– Tę, na którą polujecie z Kylie?

– Tak. Ona lubi wędkować... dopóki wyjmujemy haczyk i pozwalamy rybie odpłynąć. Ma talent do dobrych opowieści wędkarskich. I wyborną wyobraźnię, całkiem jak jej mama. Wspaniale byś się tu bawiła. Jak wyglądałaś jako sześciolatka, May? Zobaczmy...

Czując na sobie wzrok Martina, May zaczęła się rumienić. Schyliła głowę, ale on wyciągnął jedno wiosło i uniósł nim jej twarz.

– Piegi! – powiedział. – Z pewnością miałaś piegi. I warkocze, tak?

– Tak.

– Chciałbym to zobaczyć! – Przyglądał się, jak May rozdziela włosy na dwie części i zaczyna splatać pasmo po lewej stronie. Była w połowie tego dzieła, gdy przerwał jej pocałunkiem. – Kocham cię, May. Żałuję, że nie znałem cię przez całe życie, od czasu, gdy mieliśmy po sześć lat.

– Ja też – wyszeptała, myśląc o jego sekretach. Zaczęli się całować, ale właśnie wtedy Kylie poruszyła się, jęknęła i powiedziała coś przez sen. Martin cofnął się i uśmiechnął ponuro, pozwalając May zająć się córką.

– Chyba za długo się opalałaś, kochanie.

– Ojej, co się stało, co się stało? – wymruczało dziecko.

– Nic, Kylie – odpowiedziała May spokojnie, chcąc by Kylie budziła się powoli.

– Tak, coś złego!

– Kochanie...

– Natalie! – Kylie płakała, trąc oczy.

Podnosząc wzrok, May zobaczyła, że Martin zbladł, a uśmiech zniknął mu z twarzy. Wpatrywał się w Kylie.

– Kochanie, coś ci się śniło. To tylko sen...

– Co się jej stało? – zapytała Kylie przez łzy.

– Kylie – rzekł Martin. – Nie płacz. Proszę cię, nie...

– Utopiła się w tym jeziorze? – płakała Kylie, wpatrując się w Martina. – Tak?

– Nie, Kylie – w głosie Martina nagle zabrzmiało zmęczenie. Ramiona mu opadły i wydawał się przez chwilę opierać na wiosłach, patrząc na góry. Jakby czując chłód, sięgnął po koszulę, a kiedy ją wkładał, May znów spojrzała na labirynt blizn na jego torsie i zadrzała, przyciągając Kylie do siebie. – Ona nie utonąła.

– Chcę nazywać cię tatusiem – szlochała Kylie – ale nie mogę, dopóki mi nie powiesz, co się jej stało. Nie mogę, nie mogę!

May wstrzymała oddech. Przez chwilę bała się, że Martin nie powie już nic więcej i pozostawi Kylie domysłom, co stało się jego córce. Dziewczynka próbowała powstrzymać płacz, biorąc głębokie oddechy. May otoczyła ją ramionami, pragnąc, by Martin odpowiedział na to pytanie – zarówno Kylie, jak i jej.

– Martin... – Spojrzała na niego błagalnie. – Powiedz jej.

Otworzył usta, choć oczy miał pełne bólu. Patrzył na Kylie, jakby chciał znaleźć słowa, którymi mógłby jej to wyjaśnić, ale gdy przemówił, to uczucie zniknęło z jego oczu.

– Martin? – powtórzyła May z bijącym sercem.

– Nie... nie mogę rozmawiać o Natalie – rzekł. Jego oczy były chłodne, głos spokojny. –

Przepraszam. Ona nie utonęła. W porządku, Kylie?

– Nie będę nazywać cię tatusiem – Kylie łkała na kolanach May. – Kazała mi, powiedziała, że powinnam...

– Kto ci kazał? – May, bojąc się odpowiedzi, kołysała córkę na piersi.

– Ona – płakała Kylie. – Natalie.

– Natalie nic ci nie powiedziała – rzekł Martin gniewnie.

– Powiedziała!

– Skończ z tym, Kylie! – jęknął Martin. – Natalie nie żyje!

– Martin, przestań – powiedziała May, chwytając go za rękę. – Wiesz przecież, że ona widuje...

– Więc mi pomóż – zaczął Martin, a potem zdusił w sobie resztę słów.

– Naprawdę mi kazała. Nie obchodzi mnie, czy w to wierzysz czy nie, ale nie będę nazywać cię tatusiem – szlochała Kylie. – Zawsze będę cię nazywać tylko Martinem.

– Bardzo mi przykro z tego powodu – powiedział Martin. Oczy miał puste jak człowiek, który zamknął się w sobie, i nie próbował zmienić decyzji Kylie. Naciskając mocno lewe wiosło, zmienił kierunek. Promienie słońca, przebijając się przez sosny na zachodnim brzegu, świeciły teraz w oczy May. Płynęli ku ich domowi zamiast do domu Gardnerów i nikt w łodzi nie powiedział już ani słowa przez resztę drogi.

ROZDZIAŁ 9

Genny zatelefonowała pytając, co się z nimi dzieje, May powiedziała więc, że Kylie miała zły sen i Martin nie chce się zgodzić, by spędzała noc poza domem. Serce ją bolało na myśl, jak spokojny i cichy był Martin od chwili, gdy Kylie zapytała go o Natalie. Powiedziała jednak Genny, że porozmawia z nią jutro, a któregoś dnia z pewnością skorzystają z pomocy Charlotty.

Tego wieczoru milczenie Martina wydawało się głębsze niż kiedykolwiek. Niemal się nie odzywał, a kiedy May spojrzała mu w oczy, prawie go nie poznała. Twarz Martina była maską, obojętną i pozbawioną wyrazu. May usmażyła steki z pieczonymi ziemniakami, ale powiedział, że nie jest głodny. Usiadły więc do stołu same. May zmuszała się do jedzenia, żeby Kylie zjadła posiłek.

– Możemy porozmawiać? – zapytała, gdy pozmywała talerze i położyła Kylie do łóżka.

Martin siedział w saloniku z jakimś czasopismem na kolanach, patrząc prosto przed siebie. Emocja, jaką wydawał się naładowany, była tak silna, że May przeszło przez głowę, iż mógłby nią przesuwając meble.

– Nie ma o czym mówić – odparł.

– Kylie rozmawia z aniołami. Pamiętasz zdarzenie w samolocie? Kiedy wiedziała, że spadniemy?

– To wszystko dzieje się w jej wyobraźni – zaprotestował Martin. – Powiedziałaś, że widziała fotografię w moim portfelu i to podsunęło jej jakąś myśl.

May skinęła głową.

– Tak, fotografię Natalie. Sądzę, że prawdziwe wydarzenia są trampoliną dla jej marzeń, snów i fantazji. Wiesz, że prowadzę dziennik? Poświęcony jest Kylie. Zapisuję w nim wszystko, co mi opowiada.

– Wiem – powiedział. – Widziałem, jak to robisz.

– Niektóre z jej opowieści poświęcone są Natalie.

– Nawet jej nie znała.

– To nie ma znaczenia – odparła spokojnie May. – Natalie jest dla niej realną postacią. Kylie uważa ją za swoją siostrę.

– May, przestań! Ona słyszy również płacz ryby. Ma bujną wyobraźnię, to wszystko.

– Wszystko ma związek z rodziną. Zawsze. Ryby także mają rodziny. Pamiętasz, jak to powiedziała?

– Nie jestem na to gotowy – powiedział Martin. – Chcę pogrzebać przeszłość, rozumiesz? Wykopać wielki dół i wrzucić ją do środka. Wiem, że martwisz się o Kylie. Widzę, że zapisujesz wszystko w tym dzienniku. Ale proszę cię, May... pozostaw mnie z dala od tego. Mnie i Natalie. Nie rozmawiam o niej ani o przeszłości. Przeszłość to sprawa oddzielna.

May spojrzała na niego uważnie.

– Myślę, że się mylisz – powiedziała z nagłą złością. – Jest związana z teraźniejszością, a nie oddzielna.

Martin wypadł za drzwi; zaczął biec do jeziora, a potem zniknął za zakrętem. Serce May biło mocno. Musiała z kimś porozmawiać. Wiedziała, że małżeństwo jest kwestią osobistą i małżonkowie powinni sami rozwiązywać swoje problemy, mimo to nagle chwyciła telefon i zadzwoniła do Tobin.

– To ja – powiedziała, gdy Tobin podniosła słuchawkę.

– Jak przebiega miodowy miesiąc?

– Skończony przed rozpoczęciem – odparła May. – Jestem wściekła. Czuję się jak...

– Ojej, powiedz mi, co się stało.

– Martin właśnie wybiegł z pokoju. – May wzięła głęboki oddech.

– Dlaczego?

May zwierzyła się z reakcji Martina na prośbę Kylie, by opowiedział jej o Natalie.

– Powiedział mi, że chce pogrzebać przeszłość. Martin nie chce rozmawiać o swojej córce, a Kylie wciąż o niej śni.

– To bardzo do niej podobne – rzekła Tobin. – Wyobraźnia Kylie została rozbudzona, więc jej marzenia przybierają kształt.

– Rozumiesz ją tak dobrze – powiedziała May wdzięczna przyjaciółce, a oburzona na Martina. – Powinnam była wyjść za ciebie.

– My rozumiemy to od początku, ale posłuchaj, Martin też zrozumie ją niebawem. Nie spodoba ci się to, co powiem: daj mu czas. To najlepsza małżeńska porada, jaką znam. Musicie wzajemnie przyzwyczać się do siebie.

– Wpadł z domu jak wściekły, byle uciec ode mnie.

– To ty też idź pobiegać. Najlepiej w przeciwnym kierunku. Pamiętasz pierwsze tygodnie po moim ślubie z Johnem? Ile dodatkowych godzin przepracowałam w Weselnej Gospodzie?

– Myślałam, że zbieracie pieniądze na spłatę kredytu.

– To również, ale przede wszystkim potrzebowaliśmy przestrzeni, by nie walczyć ze sobą przez cały czas.

– Byliście swoimi pierwszymi prawdziwymi miłośnikami – powiedziała May, żałując, iż nie mogła powiedzieć tego o sobie i Martinie. – Żadne z was nie było przedtem związane małżeństwem, nie mieliście dzieci z innymi ludźmi. Miałaś rację mówiąc o księdze w połowie napisanej.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ja i Martin, każde z nas ma swój bagaż – odparła May.

– Mimo że nie byłam żoną Gordona...

– Macie bliźny...

– Do szaleństwa doprowadza mnie to, że Martin nie chce rozmawiać ze swoim ojcem – powiedziała May, myśląc o prawdziwych bliźnach.

– Ponieważ ty chciałabyś móc porozmawiać ze swoim.

– ... i że nie chce opowiedzieć mi o Natalie.

– Daj mu czas – powtórzyła Tobin, zniżając głos, by brzmiał dojrzałe i mądrze.

May się roześmiała.

– Cieszę się, że do mnie zadzwoniłaś – mówiła dalej Tobin. – Bałam się, że teraz bardziej

zwiążesz się z Genny Gardner. Jest miła, prawda?

– Bardzo – odparła May.

– Zostanie twoją najlepszą przyjaciółką?

– Ja już mam najlepszą przyjaciółkę – powiedziała May.

– Spróbuj porozmawiać z nim na osobności – poradziła Tobin. – Kiedy bieganie w przeciwnym kierunku zawiedzie, starajcie się biec razem. W jedną stronę albo w drugą. Wiem, że Martin cię kocha i w głębi serca chce rozmawiać.

– Skąd wiesz?

– To najlepiej strzeżony sekret Johna – rzekła Tobin. – Ale on zawsze chce, żebym wiedziała o wszystkim.

Tej nocy Martin spał na kanapie. Kiedy o świcie nie przyszedł do łóżka, May poczuła w sobie pustkę. Rozpoczęła dzień, starając się skupić na czekających ją zajęciach. Wieczorem Martin znów nie kładł się do późna; przysypiał na fotelu przed telewizorem. May zrozumiała, że mają problemy. Zadzwoiła do Genny z pytaniem, czy Charlotte mogłaby zaopiekować się Kylie, aby ona mogła spędzić trochę czasu sam na sam z Martinem.

Kiedy odprowadziwszy Kylie wróciła do domu, zastała Martina na werandzie, z rękami zaciśniętymi na oparciach starego trzciniowego fotela. Wpatrywał się w jezioro. Nie podniósł wzroku, gdy weszła, mimo że cień May padł wprost na jego twarz. Patrzyła na niego z bijącym sercem. Widziała żyły pulsujące na jego skroniach. Spojrzał na nią gniewnie, choć jeszcze nawet się nie odezwała.

Biegał. Miał na sobie szorty oraz bawełnianą koszulkę; ramiona i nogi lśniły mu od potu, a mokre włosy odgarnięte miał z czoła. Od czasu owej utarczki Martin jedynie biegał, wiosłował i okładał pięściami worek treningowy, który wisiał w szopie. Ostatniej nocy uderzał w ten worek, jakby chciał go zabić. Ten odgłos nappełnił May strachem; leżała bez snu, dopóki nie ucichł.

– Porzucasz mnie – rzekł. Te słowa, nie będące pytaniem, zatrzymały May w miejscu.

– Chyba żartujesz?

– Zachowuję się jak zwierzę, wiem – powiedział.

– Jeśli wiesz, to nie muszę ci mówić – odparła.

– Zostaw mnie w spokoju, dobrze?

Nie powiedziała ani słowa, ale spojrzała na jego twarz. Spoglądał w dal ponad jej głową. Zarys jego szczęki i wyraz oczu przez minione dwa dni stał się twardszy. W wysokich trawach za szopą grały świerszcze. Niebo nad jeziorem było purpurowe, nad górami zaś błękitno-złote. Jaskółki zanurzały się i wylaniały z cienia, chwytając owady, a ryby wyskakiwały nad powierzchnię wody łapiąc nisko latające muszki.

Wzrok May padł na dłonie Martina. Zaciśnięte na oparciach fotela, wbijały się w nie każdym palcem. Żyłki na rękach i nadgarstkach były purpurowe i napięte, a kostki dłoni sine od uderzania bokserskiego worka. Pochyliwszy się do przodu, May pocałowała kostkę wskazującego palca prawej ręki Martina, potem środkowego, a potem serdecznego.

– May – jęknął. – Przestań.

Nie przestała. Pocałowała kostkę małego palca, a potem kciuk. Następnie, przesunąwszy się koło spoconych kolan Martina, ruszyła ku jego lewej ręce. Czuła, że napięcie palców i ramion słabnie.

– Zostaw mnie samego – powtórzył.

– Nie mogę – rzekła May, bo dotarła do serdecznego palca lewej ręki; tego, na którym nosił obrączkę. Całując kostkę, musnęła złoty krążek. Wydawało jej się, że słyszy jęk Martina, a potem poczuła na swej głowie jego dłoń.

– Co robisz?

– Oboje mamy bagaż – powiedziała. – W tym tkwi problem.

– Bagaż?

– Nie lubisz tego słowa? Brzmi jak coś, co słyszy się w telewizyjnym talk show. Jak dwie wielkie walizki wypełnione przeszłością. Ty masz swoją walizkę i ja swoją.

– Swoją chciałbym zrzucić z urwiska – rzekł, patrząc w stronę jeziora.

– Rzecz w tym – powiedziała – iż nie sądzę, by przyniosło to właściwy skutek. Przeszłość cię znajdzie. Nie możesz jej przekreślić tylko dlatego, że tego chcesz.

– Więc co mam zrobić?

Purpurowe cienie pokryły góry aż po niebo. To odległe północne letnie niebo jaśniało do wieczora, czyste i promieniące cząsteczkami złotego pyłu. Na błyszczącym nieboskłonie pojawiły się gwiazdy, a nad jeziorem odezwał się jakiś ptak.

– Chcę ci pomóc – powiedziała May.

– Nikt nie może mi pomóc, gdy chodzi o to, o nią...

– wyszeptał Martin, wtulając twarz w jej włosy.

– O Natalie – powiedziała May, gdyż Martin nie wymówił jej imienia.

Odsunęła go lekko, tylko na tyle, by móc spojrzeć prosto w jego oczy. Były zaczerwienione i znękane niemal do granic paniki. Ale już nie widziała w nich gniewu.

– Przykro mi, że zareagowałem tak gwałtownie – powiedział. – To było złe, wiem. Ale nigdy przedtem nie byłem z nikim tak blisko, przynajmniej od czasu jej śmierci. Kiedy o niej myślę, kiedy słyszę jej imię, popadam w szaleństwo. W czasie sezonu hokejowego odreagowuję to na przeciwnikach. Na lodzie to łatwe.

– Ale teraz jest lato – powiedziała May – i nie ma lodu.

– To prawda, nie ma – przyznał. – Jesteś ty i Kylie.

– Tak.

– Latem zazwyczaj robię to, co robiłem dzisiaj, wczoraj i przedwczoraj. Pracuję na powietrzu, aż przychodzi czas na sen. Jestem zmęczony, May. Czy możemy... – Głos Martina brzmiał już lepiej, jakby powracał mu dawny nastrój; May wiedziała, że teraz zaproponuje jej, by weszli do środka, zjedli kolację i udali się na górę.

– Zostańmy tutaj – powiedziała.

Niebo było świetliste i ciemne jednocześnie. May czuła drżenie Martina. Przyciągnąwszy sobie drugi fotel, usiadła obok niego.

– Byliśmy rozwiedzeni, matka Natalie i ja – zaczął.

– Trisha mieszkała... mieszka... w Kalifornii, w Santa Monica. Natalie przyjechała tu,

żeby spędzić wakacje ze mną. Trisha była zadowolona. Nigdy nie utrudniała mi kontaktów z Nat. Lubiła swobodę, ale chodziło nie tylko o to. Wiedziała, że Natalie i ja nie zamierzamy obywać się bez siebie tylko dlatego, że ona ma jakieś inne plany.

May słuchała, wpatrując się w bezkresne niebo.

– To było siedem lat temu – mówił dalej. – Był gorący i duszny lipiec. Natalie miała wówczas sześć lat. Doznałem wtedy kontuzji kolana, naprawdę paskudnej, i przed jej przyjazdem tutaj przeszedłem operację w Detroit. Pewnego dnia udałem się z Natalie na rowerową przejażdżkę, co zdaniem lekarza było głupotą, i nie wiem, jak to się stało, ale kolano... po prostu przestało działać. Znalazłem się więc ponownie w szpitalu; w prowincjonalnym szpitalu na drugim końcu jeziora, w LaSalle.

– Natalie była z tobą? – zapytała May, wiedząc jak przerażona musiała być dziewczynka. Pamiętała, co przeżywała Kylie, gdy pewnego razu ona sama skaleczyła się rozbitym szkłem i trzeba było założyć jej kilka szwów.

– Nie odstępowała mnie – odparł uśmiechając się Martin.

– Kochająca córka.

– Kochająca i uparta. Przewieziono mnie do Toronto, do lepszego szpitala i najlepszego specjalisty.

– W Twigg University? – zapytała May, mając przed oczami znane budynki z czerwonej cegły.

– W pobliżu – rzekł Martin. – Jego specjalnością są hokeiści. Trisha chciała, żeby Natalie od razu wróciła do domu, ale nie zgodziliśmy się na to. Miałem tam leżeć najwyżej tydzień i Natalie czytałaby mi mi, gdybym się nudził.

Jakaś ryba wyskoczyła nad powierzchnię jeziora, a w rozchodzących się po wodzie kręgach zajaśniało światło gwiazd i dziwne złotawe lśnienie ciemniejszego nieba. May słuchała słabnącego plusku i czekała, aż Martin zacznie mówić dalej.

– Mój ojciec mieszkał wtedy w Toronto – podjął Martin. – Całkiem blisko szpitala. Nie byliśmy wówczas w zbyt dobrych stosunkach, ale jednak w lepszych niż wtedy, kiedy byłem dzieckiem. Dużo czasu mi zajęło wybaczenie ojcu choćby na tyle, by pozwolić, żeby zobaczył, jak gram, chociaż zawsze właśnie tego pragnąłem najbardziej. Był draniem dla mojej matki i u licha, to siebie z całą powagą uważałem za głowę rodziny. Ale nigdy nie przestał próbować. Wciąż przysyłał pocztówki i listy, a kiedy się dowiedział, że ma wnuczkę, był po prostu natarczywy. Kochał Natalie do szaleństwa. Odwiedzał ją przy każdej okazji.

– W Santa Monica? – zapytała May.

– Tak. I ona też go kochała. Dała mu to, czego ja nie dałem: pozwoliła mu uwierzyć, że jest niewinny. Był jej dziadziusem; facetem, który zbudował jej domek do zabawy z prawdziwym dzwonkiem i lodówką na smakołyki. Zdaniem Natalie nie mógł zrobić niczego złego.

– Połączyła was ponownie? Ciebie i ojca? – zapytała May, myśląc czym może być rodzina: miłość każe różnym pokoleniom leczyć i naprawiać rozdarcia przeszłości.

– Na krótką chwilę – w głosie Martina zabrzmiała groźba.

– Opiekował się nią, kiedy byłeś w szpitalu?

Martin skinął głową. Komar bzyknął mu nad głową, więc chwycił go jedną ręką. Znów zadźwięczał głos ptaka, ale gdy Martin uderzył dłonią w oparcie fotela, nad całym jeziorem zaległa cisza.

– Opiekował się Natalie i zabił ją.

May poczuła, że krew w niej płonie i każdy włoszek jeży się jej na skórze.

– Nie... – usłyszała własny głos.

– Jest hazardzistą – rzekł Martin. – Wiesz o tym, prawda? Wiesz, że jest w więzieniu za machinacje finansowe. Sprzeniewierzył pieniądze klubu, ukrywał dochody, by nie płacić podatków...

– Nie zabił Natalie – wyszeptała May, bo to było wręcz nie do pomyślenia, gorsze niż wszystko, co mogła sobie wyobrazić.

Martin zaczął zdejmować bawełnianą koszulkę.

Niebo zajaśniało, jakby gdzieś w głębi nocy znalazła się świeca płonąca błękitnym światłem, które spływając z gór pokryło sosny złocistą zielenią, a każdą skałę blaskiem. Tors Martina był teraz nagi, a każdy mięsień zdawał się rzeźbiony przez to osobiwe lśnienie. Pod błyszczącym owłosieniem May ujrzała niesamowity wzór krzyżujących się blizn.

– Hazardziści mają długi – powiedział Martin. – Przez jakiś czas mogą wygrywać, ale dobra passa nie trwa wiecznie. Kiedy miałem dziesięć lat, pewien facet, któremu ojciec był winien pieniądze, napisał mi to na piersi. Nożem.

May przesunęła po bliznach koniuszkami palców, po policzkach płynęły jej łzy. Martin kontynuował swą opowieść:

– Moja matka, kiedy to odkryła, powiedziała ojcu, że nigdy więcej nie będzie mnie widywał. Wyprowadził się tamtego wieczoru i dotrzymał słowa. Nie widział mnie, dopóki nie dorosłem i zacząłem grać w hokeja.

– Są bardzo głębokie – szepnęła May dotykając grubych jak powrozy blizn przecinających szeroki tors Martina.

– Mówił, że się zmienił – ciągnął Martin – że hazard to sprawa przeszłości. Obchodzi go jedynie rodzina; ja i Natalie. Jesteśmy wszystkim, co posiada. Jestem już starym człowiekiem, powiedział, dziadkiem.

May nagle poczuła, że noc robi się chłodna. Blask nieba przygasł i właściwie mogli być wszędzie – w Black Hall, na plaży – zamiast nad brzegiem górskiego jeziora. Niebo, teraz czarne jak smoła, usiane było zwykłymi gwiazdami.

– Wiedziałem – rzekł Martin. – Tego nie mogę sobie do dziś darować. Sam doświadczyłem tego, co mogła uczynić zachłanność mojego ojca. Wiedziałem, że już raz się zadłużył, cóż więc kazało mi myśleć, że tym razem będzie inaczej?

– Był komuś winien pieniądze?

– Ogromne. Prawdziwą fortunę. Dług był wystarczająco duży, by ojciec sprzedał drużynę, którą trenował. Wystarczająco wielki, by tamci go znaleźli i...

May zamrugnęła oczami, nagle rada, że blask zgasł. Nie mogła już patrzeć na blizny Martina, a gdy cofnęła palce, nie chciała ich już czuć. Drżała; z brzmienia głosu Martina wywnioskowała, że on również drży.

– Gwiazdy hokeja zarabiają dużo pieniędzy – rzekł.

– Trudno w to uwierzyć, patrząc na ten dom, ale naprawdę zarabiamy krocie. Trenerzy również. Mój ojciec był bogatym człowiekiem. Miał spory majątek, ale pustki na koncie, a tamtego dnia chodziło o pieniądze.

– Którego dnia? – zapytała May.

– Tego dnia, gdy przyszli wyegzekwować od niego dług – odparł Martin.

– Natalie była wtedy u niego?

– Miał apartament nad jeziorem Ontario. W okazałym budynku, gdzie mieszkało wielu innych sławnych ludzi. Pokazywano go uczestnikom rejsów wycieczkowych. Nat bardzo to kiedyś przeżyła. Bawiła się na tarasie i usłyszała jakiś zniekształcony przez mikrofon głos dochodzący z promu: „Oto miejsce, gdzie mieszka Serge Cartier... „ – przerwał, a potem, jakby po namyśle, dodał: – Tego dnia Natalie też była na tarasie.

May usłyszała dobiegający z jeziora gardłowy, oszalały krzyk ptaka.

– Facet trzymał ją, podnosząc w górę i w dół za balustradą – powiedział Martin.

– Nie... – wyszeptała May.

– Musiała być przerażona, prawda? Ale nie pokazała tego po sobie, nawet gdy wciągnął ją z powrotem i postawił bezpiecznie na posadzce. Pobiegła prosto do dziadka i mocno go objęła. Po tym, co przeszła, martwiła się o niego... Zrozumiała, że jest w tarapatkach.

May sądziła, że ów mężczyzna wyrzucił Natalie przez balustradę tarasu. Poczula ledwie dostrzegalną ulgę. Wcześniej wstrzymała oddech, teraz zaczęła znowu oddychać.

– Ojciec chciał ją odsunąć – opowiadał dalej Martin. – Ponoć myślał, iż ten facet jednak zrobił jej krzywdę, więc ją odepchnął... twierdzi, że wcale nie mocno. Nadal tak twierdzi. Uderzyła głową o kant stolika, ale zaraz się podniosła. Nie było nawet skaleczenia.

– Zatem... – zaczęła May, zakłopotana.

– Wróciła ze mną do domu i spędziliśmy razem ostatnie dwa tygodnie lata. Opowiedziała mi o „złym człowieku” i tarasowej balustradzie, ale ani słowem nie wspomniała, że dziadek ją odepchnął. Zatelefonowałem do ojca, oświadczyłem, że wykreślam go ze swego życia, tym razem na zawsze, i to on powiedział mi, że Natalie uderzyła się w głowę. Nie przywiązałem do tego wagi. Byłem zbyt pochłonięty nienawiścią do niego... – Martin oddychał ciężko, jakby właśnie odbył jakiś wyścig. – Natalie była osowiała, ale mówiłem sobie, że żal jej wyjeżdżać. Zawsze płakała, kiedy przychodziło się żegnać. Następnego dnia miała lecieć z powrotem do matki... – Jęk Martina przeszył ciemność i sprawił, że ptaki wzbiły się do lotu, uderzając skrzydłami o powierzchnię jeziora. – Umarła tamtej nocy. We śnie.

– Boże... – wyszeptała May.

– Zrobiono sekcję zwłok. Doznała wstrząsu mózgu, wystąpił krwotok wewnętrzny, a potem zakrzep. Mój ojciec przyjechał tej nocy, biorąc całą winę na siebie i krzycząc, że wcale nie chciał, żeby to się stało.

– Oczywiście, że nie chciał.

– To ja byłem winien. – Martin znów zaciskał dłonie na oparciach fotela. – Po pierwsze dlatego, że zaufałem temu sukinsynowi, a po drugie, że nie poszedłem z nią do lekarza.

– To nie była twoja wina.

– Bardzo długo próbowałem to sobie wmawiać. Nienawidzę ojca tak bardzo, że już prawie mogę go tym obciążyć. Czasami zapominam, że odsiaduje wyrok za wymuszenia i przestępstwa podatkowe, a nie za morderstwo.

– Obwinianie kogoś nigdy nie pomogą – powiedziała May, myśląc o tym, jak długo chciała nienawidzić i winić kierowcę ciężarówki za śmierć swoich rodziców.

– Nie pomaga – przyznał Martin – ale jest nieuniknione. Rozumiesz więc, że nie mogłem opowiedzieć Kylie tego, co chciała wiedzieć. Nie mogłem jej wyjawic, jak naraziłem własne dziecko na niebezpieczeństwo, a potem nie udzieliłem mu pomocy. Słyszac, jak wymawia imię Natalie, popadłem w obłęd.

– Wcale nie popadłeś w obłęd – powiedziała May. – Wciąż czujesz ból.

Objęli się mocno, jakby byli zrośnięci. May czuła, że serce Martina bije tuż przy jej sercu. Płakał, ale nie chciał, aby to widziała. Ramiona mu się trzęsły. Przytuliła go najtkliwiej, jak mogła.

Wzmógł się wiatr. Liście szeleściły nad ich głowami, a sosnowe konary ocierały się o zbocze góry. Na niebie pojawiło się jeszcze więcej gwiazd i teraz przepływały po nim migotliwe galaktyki.

– Kylie by się mnie bała, gdyby wiedziała, co się stało z Natalie – powiedział Martin.

– Kylie i ja zawsze mówimy sobie prawdę – odparła May. – Zawsze tak postępowaliśmy.

– Zatem powiemy jej prawdę... razem. Ale będzie przerażona. Martwię się o nią, May. Ty sądzisz, że nie, ale ja naprawdę bardzo się martwię. Widzę, jak zapisujesz ten niebieski notes.

– Dziennik.

– Zapisujesz tam jej sny. Nie chcę być powodem następnych nocnych koszmarów Kylie. Wiem, że myśli o Natalie; o tym, że Nat zmarła jakąś okropną śmiercią.

– Tak mi przykro. Dziękuję ci, że myślisz o Kylie – powiedziała May.

– Naprawdę o niej myślę. Jest moją przybraną córką. Powiedziałaś wczoraj, że wszystko jest ze sobą związane. Wszystko i wszyscy...

– Jestem przekonana, że to prawda – odparła May i wtulając się w jego objęcia złapała się na myśli o innej postaci z tej powieści, wciąż równie żywej i równie z nią związanej, jak oni wszyscy; o człowieku, o którym Martin nigdy nie rozmawiał: o jego ojcu.

ROZDZIAŁ 10

Gdy czas pobytu nad Lac Vert zbliżał się do końca, każdy dzień wydawał im się ważniejszy od poprzedniego, a lato sprawiało wrażenie krótszego niż zazwyczaj. Ostatniego dnia Martin zapytał Kylie, czy ma ochotę popłynąć rankiem na łowisko, by się przekonać, czy zdołają znaleźć króla pstrągów.

– Oczywiście – odparła, z pewnym ociąganiem wracając pamięcią do tego przykrego dnia, kiedy Martin krzyknął tak głośno. Chociaż od tamtego czasu wyprawiali się na liczne przejażdżki rowerowe, wycieczki łódką i pikniki, Kylie zwykle zabiegała o to, aby mama była obok. Dzisiaj jednak miała wielką ochotę popłynąć z Martinem, który ostatnio był tak miły jak na początku ich znajomości.

– Chodźmy więc – rzekł Martin, sięgając po wiosła, wędki, wiaderka, koszyki i haczyki. W czasie gdy pakował to wszystko do łódki, Kylie nakopała robaków w starym zagonie ziemniaczanym. Była boso i brud wbił się jej między palce.

Wypłynęli wprost na łowisko, ślizgając się po gładkiej powierzchni wody. Kylie oparła się o drewnianą burtę i wachała lato: wodę jeziora, zaschnięty muł na dnie łodzi, sosnowe igły na drzewach. Nury i łąbędzie sunęły wzdłuż brzegu.

Martin nie odzywał się ani słowem, Kylie więc również nic nie mówiła. Patrzyła na niego i zastanawiała się, co sprawia, że ludziom robią się zmarszczki wokół oczu i ust. Bezwiednie dotknęła własnej twarzy. Martin zobaczył ten jej gest, uśmiechnął się i dalej wiosłował.

Kiedy dopłynęli do łowiska, Martin założył przynętę i zarzucił wędki, a gdy zza drzew wyłoniło się słońce, wyciągnął z koszyka dwie czapeczki. Jedną włożył sobie na głowę, drugą podał Kylie.

– Włóż to – powiedział.

– Co to jest? – zapytała, trzymając czapkę w dłoni. Uszyty z granatowego filcu i ozdobiony rysunkiem sójki kaszkiet był identyczny jak kaszkiet Martina, tylko mniejszy. Filc wydawał się wytarty, a skórzany pasek z tyłu lekko skrzywiony. Trzymając go, Kylie poczuła w palcach lekki dreszcz i zrozumiała, że należał do Natalie.

– Czapeczka bejsbolowa – odpowiedział.

– Przecież ty grasz w hokeja.

– To prawda – rzekł. – Jednak w kasku hokeisty tu, na wodzie, byłoby trochę za gorąco. Latem nosimy czapki bejsbolowe.

– Ta należała do Natalie? – zapytała Kylie, podnosząc ku niemu wzrok.

– Tak – odparł Martin i mrużąc oczy jeszcze raz zarzucił swoją wędkę.

Kylie ponownie pomyślała o tamtym dniu, gdy krzyknął na nią na łódce. Potem on i mama powiedzieli jej, dlaczego to zrobił: bardzo tęskni za Natalie i czasami traci równowagę, gdy o niej myśli. Później mama opowiedziała Kylie, jak umarła Natalie: że będąc u dziadka, potknęła się i uderzyła w głowę. Martin nie wiedział, jak poważny był ten upadek i nie zawiózł Natalie do lekarza na tyle wcześnie, by ją uratowano, i z tego powodu czuł się bardzo, bardzo źle.

– Dlaczego pozwalasz mi to nosić? – zapytała. Zamiast odpowiedzieć, zmrużył oczy, mocniej zmarszczył brwi i wpatrywał się w powierzchnię jeziora, jakby rzeczywiście zobaczył króla pstrągów.

– Martin, dlaczego? – ponowiła pytanie.

– Słońce nie będzie cię razić – powiedział w końcu.

– Aha – skinąwszy głową, nałożyła czapeczkę. Jego odpowiedź brzmiała przekonująco: słońce było coraz wyżej, a mama zakazała Kylie opaść się zbyt mocno. Martin uśmiechnął się i wyciągnąwszy rękę, poprawił jej daszek.

– *Voilà* – rzekł.

– Dzięki, tatu... – Pierwszy raz od dnia, gdy na nią krzyknął, prawie nazwała go tatusiem, ale nie dokończyła tego słowa. – Dziękuję, Martin.

– Nie ma za co, Kylie.

Przywidziało jej się, czy wydawał się rozczarowany? Nieważnej oboje zajęli się wędkowaniem. Martin nie był już zły. Kylie czuła bijący od niego spokój, szczególnie gdy spoglądał na czapeczkę, którą miała teraz na głowie. Jakby patrząc na tę czapeczkę był w stanie ujrzyć Natalie.

– Ojej – powiedziała nagle Kylie.

– Co się stało? – zapytał Martin.

Na wschodnim brzegu, odziana w chłodną biel, ze skrzydłami trzepoczącymi na wietrze, stała Natalie. Kylie przesunęła się, by zarzucić wędkę z lewej strony łodzi i już nie oderwała od niej wzroku.

– Kocham mojego ojca – powiedziała Natalie drżącymi ustami.

– Wiem – wyszeptła Kylie.

– Sam jego widok przypomina mi, jak bardzo go kocham. Kylie patrzyła i słuchała, ale nie mogła rozmawiać pełnym głosem, gdyż Martin był obok, po drugiej stronie łódki. Nie odrywała oczu od Natalie.

– Dał ci moją czapeczkę.

– Chcesz ją?

Natalie schyliła głowę i zaczęła płakać. Nie powiedziała jednak ani „tak”, ani „nie”.

– Powiedz, proszę – prosiła Kylie.

– Dał mi tak wiele rzeczy – odparła Natalie. – Wszystko było znacznie łatwiejsze, gdy myślałam, że tym, co ma znaczenie, są rzeczy.

– A nie są?

Natalie pokręciła przecząco głową.

– Próbuję ci powiedzieć... nauczysz się. Łódka, zabawki, a nawet ta czapeczka, nie są szczególnie ważne w porównaniu z miłością.

Kylie się roześmiała.

– Oczywiście, że są ważne! Mogę dotknąć tych rzeczy, widzę je...

– Są rzeczy, których nie można zobaczyć oczami – powiedziała Natalie i zaczęła zniknąć.

– Pomóż tatusiowi to zrozumieć.

– Co? – zapytała Kylie, gdy Natalie zniknęła. Jak mogła powiedzieć, że czapeczka nie ma

znaczenia? Czy to nie przez nią płakała?

Kylie zastanawiała się, czy czapeczka przepłynie przez jezioro. Zdjęła ją z głowy, położyła na wodzie i pozwoliła odpłynąć. Czapka zakołysała się niczym łódeczka, a potem szybko nasiąkła wodą i zaczęła tonąć.

– Ojej, straciłaś swoją czapczkę – rzekł Martin, wyciągając rękę, by ją złapać.

– Przepraszam.

– Nie czułem, by zerwał się wiatr. – Wyjął czapkę i nałożył ją na głowę Kylie, po czym rzucił jej rozbawione spojrzenie, jakby coś podejrzewał.

– Było mi gorąco – odparła, uważnie badając wzrokiem brzeg. – Chciałam ją zmoczyć.

– Pójdziemy dziś ostatni raz popływać, kiedy wrócimy na brzeg. – Martin zaczął wiosłować w stronę domu.

Natalie stała pod sosnami. Kylie oddała się rozmyśleniu o rzeczach, których nie można zobaczyć oczami, i właśnie wtedy Natalie posłała jej buziaka. Kylie odwzajemniła się tym samym.

Wyjazd znad Lac Vert oznaczał pożegnalną kolację u Gardnerów z Genny i Rayem oraz Charlottą i Markiem. Cartierowie nie mieli ochoty wyjeżdżać, podobnie jak Gardnerowie nie chcieli się żegnać, ale chociaż Tobin i Enid dobrze radziły sobie w biurze, May uznała, że musi wracać do pracy.

Martin postanowił jechać z nimi do Toronto, gdzie Kylie miała wyznaczoną na lipiec wizytę u psychologa, i stamtąd dalej do Connecticut.

Sporo czasu zabrała im podróż wzdłuż Rzeki Świętego Wawrzyńca i postoje w małych miasteczkach. W Toronto Martin pokazał im stadion hokejowy i bejsbolowy, a potem opowiedział o hokejowej Sali Sławy, gdzie uwieczniono wszystkich wielkich hokeistów. May starała się słuchać, ale myślała tylko o małym niebieskim dzienniczku, który miała w torebce.

W końcu dotarli do leżącego w północnej części miasta, pełnego zieleni i pokrytych bluszczem gmachów kampusu Twigg University.

Gabinet doktora Bena Whitpena znajdował się na wydziale psychologii – w starym budynku z oprawnymi w ołowiane ramy oknami. Korytarze były tu mroczne i chłodne, a drzwi wykonane z ciężkiego dębu. Martin stał mrugając oczami i starając się skupić.

– Nie bój się. – Kylie trzymała go za rękę. Pomagając zapominała o przykrości, jaką jej sprawiały wizyty w tym miejscu. – Ja się bałam, gdy byłam tu pierwszy raz.

– Ja się nie boję – odparł – ale tu jest ciemno.

– Nie bardzo – upewniała go.

– Dobrze się czujesz? – zapytała May, widząc, że Martin trze oczy.

– Oczy mnie pieką – powiedział. – Trudno mi skupić wzrok. Może coś mi do nich wpadło.

– Chcesz poczekać na zewnątrz? Spotkamy się po wizycie.

– Chyba tak – przyznał. – Sprawdzę, jakie tu mają lodowisko. Spotkamy się później. Za godzinę?

– Umówmy się o drugiej – odparła May.

Czuła się nieswojo, wchodząc z jasnego letniego dnia do tego ponurego gmachu z notesem wypełnionym opisami przykrych snów córki. Po wyjściu Martina wspięła się wraz z Kylie na piętro do pracowni analizy snów i otworzyła drzwi.

Powitał je doktor Whitpen. Ubrany w dzinsy i koszulkę polo wyglądał raczej jak student niż jak lekarz. Skierował Kylie prosto do kącika z zabawkami na czas rozmowy z jej matką. Inni lekarze siedzieli w niewielkich boksach; pracowali przy komputerach lub rozmawiali przez telefon.

May weszła za doktorem Whitpenem do jego gabinetu. Obserwując Kylie przez szklane drzwi, wręczyła mu swój dziennik.

– Kolejne „anielskie” sny – mruknął, czytając poczynione przez nią zapisy. – O, ciekawy incydent w samolocie. Słyszała jakieś odgłosy i poczuła dym wcześniej niż inni. Podeszła do jakiegoś mężczyzny i poprosiła go o pomoc, gdy nadejdzie czas. Powiedziała, że kazała jej to zrobić jego córka... Jego córka?

– Jego nieżyjąca córka – wyjaśniła May.

– Ach, tak... – Doktor Whitpen uniósł brwi i czytał dalej. – Nieme anioły we śnie krążą wokół niej jak ćmy... Interesujące. Lalka Natalie... chęć wzięcia jej na ślub... Ślub? – zapytał, podnosząc wzrok.

– Mówiłam panu, że wyszłam za mąż – bąknęła May.

– Ach tak. To wspaniale. Najlepsze życzenia.

– Poślubiłam mężczyznę z samolotu.

– Tego, do którego podeszła Kylie? – doktor Whitpen wydawał się zaszokowany.

– Tak – odparła May. – Zakochaliśmy się w sobie. To nie ma nic wspólnego z wydarzeniami tamtego dnia. – Mówiąc to, czuła, że broni swego związku z Martinem.

– Niezwykła historia – skomentował doktor Whitpen.

– Wiem – przyznała. – Jesteśmy tu jednak, aby rozmawiać o Kylie. Jak już mówiłam panu przez telefon, nie jestem tak zaniepokojona jak niegdyś. Może popełniłam błąd, ciągnąc ją po lekarzach, jakby była mutantem, wybrykiem natury.

– Była pani bardzo zaniepokojona, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy – przypomniał jej.

– Wiem – powiedziała, pamiętając swoją ówczesną desperację. – Zawiozłam ją na tamto seminarium w Nowym Jorku i ktoś wspomniął o schizofrenii...

– Kylie nie jest schizofreniczką – stwierdził zdecydowanie doktor Whitpen – ale była pani wówczas poruszona jeszcze czymś innym.

– Właśnie wtedy znalazłyśmy... – May wzdrygnęła się przed dramatycznym wspomnieniem – to ciało. A właściwie wór kości. Szkielet, który trzymając się dzięki starym łachmanom, po prostu grzechotał na wietrze. Nigdy tego nie zapomnę. I wiem, że Kylie również będzie to pamiętać.

– Najpierw śniło jej się to co noc, a potem zaczęła widywać anioły – powiedział doktor Whitpen, przeglądając swoje notatki. – Wkrótce, w chwili gdy straciła prababcie, nastąpiło jej drugie spotkanie ze śmiercią.

– Jest bardzo wrażliwa i opiekuńcza – powiedziała May. – Nie może znieść widoku bólu. Gdy tego lata wędkując z moim mężem, złowiła rybę, twierdziła, że słyszy jej płacz. Czasem widząc martwe zwierzęta na poboczu drogi pyta mnie o pozostawione młode, o rodziców tego zwierzęcia.

– To właśnie martwiło ją w związku z tym wisielcem... Richardem Perrym – rzekł doktor Whitpen, przeglądając kartotekę Kylie. – Rodzina, jaką pozostawił. – Podniósł wzrok. – Śledztwo ujawniło, że był samobójcą, prawda? Odludkiem mającym kłopoty z prawem. Jego rodzice wyjechali gdzieś na zachód. Nie miał żony ani dzieci.

May skinęła głową.

– Kylie chciała wysłać do jego rodziców list kondolencyjny.

– Przypominam sobie – rzekł lekarz.

– Jest pełna współczucia – mówiła dalej May. – Ma też zdumiewającą wyobraźnię. Jestem skłonna sądzić, że to wyjaśnia resztę. Chyba przestaniemy przyjeżdżać po tej wizycie.

– Jeśli takie jest pani życzenie, będę je respektować, chociaż mam nadzieję, że zdecyduje się pani kontynuować wizyty w naszej pracowni – odparł doktor Whitpen. – Pozwoli pani, że porozmawiam z Kylie, dobrze? Zobaczmy, jak te sprawy wyglądają z jej perspektywy. Chciałbym zapytać Kylie o owe nieme anioły z jej snów.

Biorąc ze sobą niebieski dziennik, doktor Whitpen poprowadził May z powrotem do kącika zabaw. Sięgnął po talię kart. Kylie przyglądała mu się uważnie, po czym najpierw ona przetasowała karty, a potem to samo zrobił on. Następnie położył talię na stole i podzielił ją na dwie części, obracając je koszulkami do góry.

– Pierwsza? – zapytał.

– Czerwona. Sprawdził: czerwona.

– Następna?

– Czarna.

Gdy pokazał, że miała rację, Kylie klasnęła w ręce. Przerzucili w ten sposób całą talię. Pomyliła się tylko trzy razy. Potem lekarz zaczął eksperyment od początku, ale Kylie była już znudzona i wróciła do domku dla lalek.

Doktor Whitpen przykucnął z boku, przyglądając się jak Kylie organizuje rodzinę lalek, jak ustawia domowe zwierzęta i meble. May, siedząc z tyłu, zobaczyła, że Kylie unosi małą laleczkę i porusza nią tak, jakby fruwała nad domem niczym ptak.

– Kto to jest? – zapytał doktor Whitpen.

– Natalie – odparła Kylie.

– Lalka, tak?

– Nie, to jest Natalie. Moja siostra. – Kylie poruszyła rękami lalki w górę i w dół.

– Co ona robi?

– Rozmawia.

– Rękami?

– Może – odparła Kylie.

– Nie umie mówić? – spytał lekarz, a May zrozumiała, że nawiązuje do niemych aniołów.

Kylie uśmiechnęła się, jakby właśnie usłyszała dobry żart.

– W rozmowie ze mną nie potrzebuje słów – powiedziała. – Ja ją rozumiem.
– Co mówi?
– Pomóż mi – odparła Kylie nie swoim głosem.
– Jakiej pomocy potrzebuje? – zapytał doktor, pochylając się bliżej.
– Nie jestem pewna. Nie chce swojej czapeczki. A niektórzy ludzie nie widzą oczami. –
Kylie wyglądała tak, jakby miała się rozplakać. Odłożyła lalkę, dając im do zrozumienia, że zabawa skończona. Następnie podbiegła do niskiego stolika, na którym leżały arkusze papieru oraz kredki.

– Twoja mama wyszła za męża – rzekł Whitpen, idąc za nią.
– Mam teraz tatusia – Kylie rysowała szybko, mocno przyciskając kredki. – I siostrę.
– Natalie – powiedział.
– Tak! – Kylie rozpromieniła się, słysząc to imię.
– Jak ona wygląda?
– Ślicznie – odparła Kylie, wracając do rysowania. – Ma białe skrzydła i białą sukienkę.
– Tak jak inne anioły, które widzujesz? Kylie pokręciła przecząco głową.
– Żaden nie wygląda tak jak Natalie. Ona jest prawdziwa.
– A inne nie są prawdziwe? – zapytał z uśmiechem doktor Whitpen.
– Są, ale ją kocham i dlatego wszystko jest bardziej prawdziwe – powiedziała Kylie, patrząc mu w oczy. – Nie znam imion innych aniołów, a jej imię znam. Ona nazywa się Natalie Cartier. – Wróciła do pracy nad obrazkiem.

Doktor Whitpen wstał i usiadł obok May.

– Natalie Cartier? Wyszła pani za Martina Cartiera?
– Tak. – May wiedziała, że Martin jest sławny, ale nie spodziewała się, że jego nazwisko powie coś naukowcowi. – Jest pan entuzjastą hokeja?
– Niezbyt gorliwym. Znam to nazwisko z innego powodu. Jego córka zmarła śmiercią tragiczną.

– Wie pan o tym?

– W Kanadzie wszyscy o tym wiedzą – odparł. – Jej dziadek ponosi za to odpowiedzialność. Sam był wielkim hokeistą, ale związał się ze światem przestępczym. Pośrednio spowodował śmierć Natalie, a później poszedł do więzienia za „ustawianie” hokejowych rozgrywek i machinacje finansowe. To był skandal na cały kraj.

May spojrzała na Kylie, by sprawdzić, czy dziewczynka słucha tej rozmowy, ale mała rysowała zawzięcie, głośno mówiąc coś do siebie. Rysunek przedstawiał jezioro, altanę, sosny, dziewczynkę i czapczkę pływającą w wodzie.

– Martin nie rozmawia o ojcu. Ani o Natalie.

– W ogóle?

– Prawie w ogóle. To dla niego zbyt bolesne. Ale dlaczego pan pyta?

– To mogłoby wyjaśniać, dlaczego Kylie podeszła właśnie do niego. Może być jakiś związek... – w głosie doktora Whitpena brzmiało podniecenie.

– Jaki związek? – zapytała, jeżąc się, May.

– Okropna śmierć... niezdolność ojca, by stawić jej czoło...

– O czym pan mówi?! Że Martin ożenił się ze mną z powodu jasnowidzenia Kylie?! – May wstała. – On nawet nie chciał tu wejść. Ogląda teraz kampus. Wszedł z nami do tego budynku i natychmiast wyszedł; nie chce w tym uczestniczyć.

– Pani Taylor... chciałem powiedzieć: pani Cartier – rzekł doktor Whitpen. – Proszę, niech pani usiądzie. Proszę mi wybaczyć, wcale nie to miałem na myśli.

Nie chcąc wytrącić córeczki z równowagi, May usiadła ponownie. Widziała, że Kylie narysowała góry wokół jeziora, obłoki na błękitnym niebie i wielką rybę pod powierzchnią wody.

– A co? – zapytała.

– Pani mąż może nie być świadomy czegośkolwiek. I prawdopodobnie nie jest. Miałem na myśli Kylie.

– Kylie?

– Ma pewien szczególny dar.

– O tym już wiemy – serce May biło jak młotem. Chciała wyjść i już nigdy tu nie wracać. Na dole z pewnością czeka Martin. Zostawi swój niebieski dziennik doktorowi Whitpenowi, a on niech z nim robi, co chce.

– Oczywiście, ale...

– Mam tego dość – powiedziała May. – Kart, lalek, zapisywania jej snów. Kylie ma szczególny dar. Zgadzam się; zresztą cała nasza rodzina wierzy w czary. Byle tylko Kylie nie była chora, żeby nie była schizofreniczką...

– Nie, Kylie nie jest schizofreniczką, ale również nie jest taka jak inne osoby w pani rodzinie. Ma dar widzenia poprzez zasłonę.

– Zasłonę?! Jaką zasłonę? – O tym jeszcze nie było mowy.

– Między światami – odparł doktor Whitpen. – Między tym a tamtym światem...

May siedziała bez ruchu.

– Co kazało wam wybrać się wtedy do Lovecraft i sprawiło, że Kylie natknęła się na wiszącego samobójcę? – zapytał.

– Przecież musiałyście wejść w głęboki las, żeby się tam znaleźć. Ciało wisiało tam od dawna. Ono chciało, by ktoś je znalazł.

– Nie... – wyszeptała May.

– Kylie skłoniła panią, żeby tam skręcić, nieprawdaż? Wybrała szlak i powiedziała, że chce iść tamtą drogą.

May zamknęła oczy, wracając pamięcią do tamtego dnia. Było chłodno, wokół spadały jesienne liście. Kylie chwyciła jej rękę i krętą ścieżką pociągnęła przez gęste krzaki ku polanie, gdzie wisiało ciało. Richard Perry, samotnik z Kalifornii, handlujący narkotykami w Worcester... bez rodziny, która zastanawiałaby się, gdzie on jest, i niepokoiła, dlaczego nie wrócił do domu.

Doktor Whitpen mówił dalej:

– Pani córkę ciągnęło do Martina, bo Natalie miała jej coś do powiedzenia. Coś, co chciała przekazać swemu ojcu.

– Nie wierzę.

– Może to dotyczy dziadka Natalie, a może tego, jak umarła. Może to jest jakaś wiadomość lub nawet ostrzeżenie dotyczące życia... dotyczące samego Martina.

– Dotychczas byłam otwarta na pańskie teorie, ale tego już za wiele. – May wstała i skinęła na Kylie. – Chodź, kochanie – powiedziała. – Jedziemy do domu.

– Ta zasłona jest cienka, pani Cartier – rzekł lekarz. – Cienka, lecz nikt z nas nie chce za nią zaglądać. Większość ludzi przerażona odwraca wzrok. Ale nie Kylie... ona nadal będzie widywać zmarłych, bez względu na to, czy pani jej pomoże czy nie.

– Chodź, Kylie – powiedziała May i czując, że krew uderza jej do głowy, wzięła córkę za rękę. Ben Whitpen twierdzący, że ona i Martin są razem z tak niewiarygodnie naciąganego powodu, nagle wydał jej się szaleńcem. Zraniono jej godność. Sięgnęła po torebkę i skierowała się ku drzwiom. Kylie była zaskoczona, ale się nie opierała. May zobaczyła, że na podłodze obok krzesła leży jej dziennik. Po chwili wahania podniosła go i wsunęła do torebki.

W niespełna kilka chwil od ich powrotu firma znów pracowała pełną parą. Tobin narzuciła May ostre tempo, wręczając jej dokumentację sześciu nowych klientek.

– Ojej, byliście bardzo zapracowane! – zauważyła May.

– Po prostu pokazuję ci, że dajemy sobie radę bez ciebie, jeśli musimy.

– No cóż, już jestem.

– A jak obchodzi się z tobą życie małżeńskie? – zapytała Tobin.

– Wspaniale – odparła May z szerokim uśmiechem, starając się pokazać, że wszystko jest cudowne. Nie wspomniała o Natalie i ojcu Martina ani o wizycie w Toronto. Po ostatniej telefonicznej rozmowie z Tobin miała sobie za złe, że posunęła się w swych zwierzeniach za daleko. Czyż pewne sprawy małżeńskie nie powinny pozostać w sekrecie? Teraz Tobin będzie oceniać Martina przypominając sobie wszystko, co May opowiedziała jej o ich kłótni.

– Naprawdę?

– Tak. Zostajemy w Black Hill do rozpoczęcia sezonu hokejowego, a potem przenosimy się do domu Martina w Bostonie. W dzielnicy Bacon Hill.

– W Bacon Hill? Proszę, proszę... – powiedziała Tobin. – Jesteś teraz w wyższych sferach.

May zmarszczyła brwi.

– To żart, May.

– Wiem – odparła May, machnąwszy ręką. – Rzecz w tym, że jesteśmy tacy szczęśliwi. Nad jeziorem było cudownie i cieszymy się, że mamy siebie. Nie mogę się doczekać przeprowadzki do Bostonu.

– Do Bacon Hill – przypomniała jej Tobin.

May ruszyła do swego biurka, by zająć się pracą i uciec od zakłopotania, jakie nagle poczuła wobec przyjaciółki. Była skrępowana, nie wiedząc, gdzie ustanowić granicę między tym, co powiedzieć, a tym co pozostawić w sekrecie. Czy podzielić się z Tobin opinią doktora Whitpena, nie wyjawiając tajemnic rodziny Cartierów?

Później zatelefonowała pielęgniarka z gabinetu doktora Halla, by potwierdzić wyznaczony na wtorek termin wizyty Martina i przypomnieć mu, by przyniósł wynik prześwietlenia. Zaskoczona May odparła, że przekaze mężowi tę wiadomość. Tobin spojrzała

na nią uważnie, ale May nic jej nie powiedziała.

Kiedy wieczorem Martin wrócił ze swych zajęć do domu, May napomknęła mu o telefonie pielęgniarki.

– Ach, tak – rzekł. – To zwyczajne badania kontrolne. Klub chce mieć pewność, czy wciąż jestem wart pieniędzy, jakie mi płaci.

– I to wszystko? – zapytała May.

– Badanie kontrolne, *c'est tout*.

– Ale ona mówiła o prześwietleniu. Martin się roześmiał.

– Gram przecież w hokeja, prawda? – powiedział. – Prześwietlano mnie tyle razy, że świecę w ciemności. Chodź na górę, to ci pokażę.

– Widziałam... – zaczęła May, padając mu w ramiona. Pocałowali się, a potem Martin pociągnął ją na sofę.

– Powiem ci, czego naprawdę musimy się bać – powiedział, zanurzając twarz w jej włosach. – Reporterów. Myślę, że są na naszym tropie. Wieści wydostały się na zewnątrz i niebawem wyda się, że jesteśmy małżeństwem. Mamy szczęście, że ludzie znad Lac Vert uszanowali naszą prywatność. Pozwolili nam odbyć wspaniały miesiąc miodowy.

May miała dziwne uczucie, że Martin nie mówi całej prawdy, że próbuje odciągnąć jej uwagę od badań. Ale przecież nie miał powodu, żeby ją okłamywać. Był hokeistą. Urazy, kontuzje i wizyty lekarskie to rzecz powszednia...

A jednak w głębi ducha wiedziała, że jest coś, o czym Martin nie chce mówić. Chemie zadzwoniłaby do Tobin, by się zwierzyć ze swoich obaw, ale wydawało jej się, że rozmowa o tych lękach mogłaby je urzeczywistnić. Poszła więc sprawdzić, jak się miewa Kylie, i długo stała wpatrzona w śpiące dziecko.

Leżąc obok May, Martin wsłuchiwał się w jej rytmiczny, równy oddech. Od czasu wizyty w Toronto wydawała się niespokojna. Myślał, że powrót do domu ją ucieszy, ale sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zatroskanej. Dziś jednak się kochali i w końcu zasnęła w jego ramionach. Chcąc się upewnić, że śpi, przez chwilę patrzył, jak jej piersi unoszą się i opadają, potem ostrożnie wysunął się z łóżka, wszedł do łazienki i zamknął drzwi.

Włączywszy światło, obejrzał w lustrze swoją twarz. Niezliczone uderzenia kijami i krążkami pozostawiły na niej wiele blizn. Pochylając się do przodu, obmacał bok głowy. Tuż nad prawym uchem miał lekkie wklęśnięcie.

Prześwietlenie, o którym teraz przypomniwała ta głupia pielęgniarka, zrobiono mu tego lata. W poprzednim sezonie, w meczu przeciwko Chicago, krążek rozwalił mu głowę. Doznał wstrząsu mózgu i opuścił dwa następne mecze. Wbrew zaleceniom lekarza zagrał w trzecim i przez resztę sezonu nie miał żadnych kłopotów.

Jednakże potem, pewnego ranka, gdy wraz z Kylie łowił ryby, zaczęły się bóle głowy. Dotkliwe i pulsujące. Sprawiały, że widział podwójnie. Składał je na karb ostrego słońca, głodu, gdyż nie zjadł śniadania, i stresu – jakkolwiek miłego – spowodowanego świeżo zawartym małżeństwem. Wieczorem May chciała o czymś porozmawiać, o Natalie albo o jego ojcu, i Martin na nią warknął. Następnego dnia przypisał swoje złe zachowanie migrenie.

Potem pojechali do Toronto. Zamierzał towarzyszyć May i Kylie podczas wizyty, by je wspierać, ale gdy wszedł do budynku, wszystko pogrążyło się w ciemności. Przestraszył się, że zemdleje. Stojąc w holu tamtego gmachu czuł się tak, jakby miał umrzeć. Zrobił więc wtedy to, co wydawało się oczywiste: pojechał do najbliższego szpitala na szybkie badanie. Życie hokeisty przyzwyczało go do szpitalnych izb przyjęć, aparatów rentgenowskich, lekarzy i pielęgniarek. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby zwierzyć się May. Po co? Niepokoiłaby się, chciałyby pojechać z nim, przejmowałyby się bardziej, niż należało.

Dziwna rzecz, zbieg okoliczności – trafił do tej samej kliniki w której kiedyś, zostawiwszy Natalie ze swoim ojcem, leżał z powodu kontuzji kolana. *Deja vu...* myślał przez cały czas, gdy poddawano go badaniom.

Prześwietlenie wykazało mikroskopijne pęknięcie czaszki. Nic wielkiego, zrośnie się ładnie jak wszystkie inne. Odesłano go do domu z zaleceniem, by pokazał kliszę lekarzowi drużyny. Nadgorliwa pielęgniarka zaś, chcąc mu pomóc, wmieszała w to May.

Dziwne było to, pomyślał, gasząc światło, że głowa już prawie mu nie dokuczała. Zwalczył ból siłą woli. To najlepszy sposób. Narzekanie nie przynosi niczego dobrego. Martin nie lubił mówić o swoich problemach i nigdy tego nie robił. Małżeństwo tego nie zmieni...

Nie chciał obarczać May swoim bólem, przeszłym ani teraźniejszym. Od chwili gdy poznała prawdę o Natalie i ojcu, więcej o nich nie wspomniała. To dobrze. Im głębiej pogrzebią tę sprawę, tym lepiej. Wałkowanie dziejów jego rodziny nikogo nie uszczęśliwi.

Tego lata odbyło się wiele zaręczyn. May całymi dniami słuchała romantycznych opowieści, robiąc przy tym obszerne notatki. Bardzo często jej najlepsze pomysły aranżacji wesel brały się z relacji z oświadczyń i zaręczyn. Pewna klientka opowiedziała jej o lotniczej podróży do Włoch, gdzie wraz ze swym chłopakiem zaplanowała tygodniowy pobyt w Positano. Na lotnisku, gdy umieścili już bagaże na transporterze i przeszli przez bramkę z elektronicznymi czujnikami, włączył się alarm, a jej chłopak, mimo prośby strażnika, odmówił opróżnienia kieszeni. Wezwano dodatkową ochronę i dopiero gdy wyciągnięto kajdanki, młodzieniec wpadł w panikę, po czym upadł na kolana i wyjął z kieszeni małe puzderko.

Wokół zgromadzili się inni pasażerowie. Rozległy się szept: „On się jej oświadcza, prosi ją o rękę”. Potem wszyscy ucichli; chłopak wyjął z puzderka brylantowy pierścionek i poprosił, by za niego wyszła.

– Powiedziałam „tak” – kończyła swą opowieść Jean Wesley. – Nie mogłam w to uwierzyć. Byłam zaszokowana. Chciał poczekać, aż znajdziemy się we Włoszech, ale pierścionek wywołał alarm. Chcemy, żeby wesele odbyło się w Dniu Zakochanych.

Gdy May z uśmiechem robiła notatki, rozległ się dzwonek telefonu. Tobin podniosła słuchawkę i zamieniła z kimś kilka zdań przyjacielskim tonem. Skończywszy rozmowę, podeszła do okna i skinęła na May.

– Dzwonił twój mąż – powiedziała Tobin.

– Nie chciał ze mną rozmawiać?

- Właśnie tu jedzie. Zaczyna się szturm.
- Co się zaczyna?
- Prasa o was wie. Reporterzy już są w drodze.

Wozy reporterskie zachowały pełen szacunku dystans, to znaczy, że trzymały się z dala od rabat z różami i grządek ziół. Reporterzy rozpierzchli się wokół, technicy telewizyjni rozstawiali kamery, mikrofony i reflektory. Wokół rozlegały się okrzyki, na zielonych trawnikach i kamiennych ogrodzeniach rozciągano kable.

Całkiem jak na lodowisku we Fleet Center albo w hali Madison Square Garden, lub też na stadionie Mapie Leaf, pomyślał Martin. Jednakże była to łąka May i ciotki Enid, ich spokojny dom. Oświadczenie można było złożyć gdzie indziej, ale reporterskie sępy odkryły już to miejsce i wylądowały.

- To wszystko dzieje się tylko dlatego, że się pobraliśmy?
- zapytała May z lekką zmarszczką niepokoju między brwiami.
- Jeśli masz jakieś tajemnice, powiedz mi o nich teraz – odparł Martin.
- Ja znam wszystkie jej sekrety – roześmiała się Tobin.
- Chętnie je poznam!
- Nie mogę uwierzyć, że nasz ślub jest w ogóle jakąś sensacją – oświadczyła May.
- Inne kobiety mają na niego ochotę – wtrąciła Kylie.
- No cóż, nie mogą go mieć – skwitowała Tobin i gdy wszyscy zachichotali, spojrzała na May ponad głowę Kylie.

– Z pewnością nie miałyby na mnie ochoty, gdyby mnie znały – powiedział Martin do Kylie. – Tylko twoja mama jest tak zaślepiona, że tego nie widzi.

– Ślepa jak nietoperz – przyznała May i zacisnąwszy oczy, przysunęła się do Martina, aby go pocałować. Chociaż konferencja prasowa miała się rozpocząć za dziesięć minut, już teraz rozbrzysły flesze i trzaskały migawki.

- Jesteście na mnie źli, że wypaplałam? – lękliwie zapytała Kylie.

Kylie, dumna że Martin jest jej ojczymem, już wcześniej obwieściła wszystkim, że teraz nazywa się Kylie Cartier, o czym Mickey i Eddie nie mieli pojęcia, gdy w maju nazwali ją kłamczucha.

Martin pochylił się do niej z uśmiechem. Dorośli opierali się o kamienne ogrodzenie, Kylie zaś siedziała po turecku u ich stóp. Na głowie miała starą granatową czapkę bejsbolową, którą Martin podarował jej ostatniego dnia nad jeziorem. Ilekroć widział ją w tym nakryciu głowy, wciąż czuł ból, lecz nie był on już tak dotkliwy jak dawniej.

- *Mais non* – odparł. – Nie jesteście na ciebie źli. Ani trochę.
- Kto ci powiedział, że inne kobiety miały na niego ochotę? – zapytała May.
- Dzieci w autobusie. Mówiono o tym w radio, gdy wracałam ze szkoły. Starsze dziewczynki też to mówiły, a prowadząca nasz autobus pani Patterson udawała, że płacze. Mówi, że jedyna rzecz, która dodaje jej energii, to plakat Martina na ścianie jej sypialni.
- Mąż pani Patterson powinien go zerwać – sarknął Martin.
- Kazała mi obiecać, że zdobędę dla niej twój autograf – powiedziała Kylie. – Mickey, Eddie, Jeffi Austin mnie o to prosili.

– Czy ja również mogę dostać autograf? – zapytała Tobin.

Martin uśmiechnął się, potrząsając głową.

W tym czasie Pete McMahon, rzecznik prasowy drużyny Boston Bruins, skończył udzielać prasie niezbędnych informacji i nadeszła chwila dla reporterów. Rozbłysły potężne jupitery, choć niebo było tego wieczoru czyste i jasne. Martin prawym ramieniem objął May, lewą dłoń zaś położył na głowie Kylie. Z trudem przełknął ślinę; piekło go w gardle. Wielokrotnie spotykał się z mediami, lecz nigdy nie czuł się tak zdenerwowany i spięty.

– Gotowy, Martin? – zapytał Pete, podchodząc bliżej. – A ty, May?

– Chyba będę musiał cię zabić – jęknął Martin.

Pete wybuchnął śmiechem. Mięśnie Martina napięły się odruchowo – tak jak wtedy, gdy chciał rzucić przeciwnika na bandę. Pete wszakże był porządnym gościem. Wykonywał tylko swoją pracę.

Zaczęli szeptać między sobą, ustalając strategię stawiania czoła mediom. W roku Pucharu Stanleya Boston zaciekle chronił swoich hokejowych gwiazdorów. Pete powiedział Martinowi, że jedna z gazet chciała nazwać May „Poszukiwaczką złota Cartiera”, na co Martin polecił mu ostrzec wydawcę, by wyrzucił ten przydomek lub pogodził się z myślą, że będzie miał... nową twarz. Chciał także, by Pete wygłosił oświadczenie w ich imieniu, lecz rzecznik stwierdził, iż pozwalając prasie na jedno spotkanie z May i Kylie ustrzegą się nękania w przyszłości. Martin wyraził zgodę.

– Gotowe, kochanie? – zwrócił się do May.

May skinęła głową. Wydawała się zdenerwowana i poruszona. Martin dał rzecznikowi znak do rozpoczęcia. Stając przed obiektywami aparatów i kamer, Pete poprawił krawat i odgarnął włosy. Jedna z bostońskich stacji telewizyjnych miała to spotkanie transmitować na żywo. Producent zaczął odliczanie: cztery, trzy, dwa...

– Siedemnastego czerwca 2000 roku Martin Cartier poślubił May Taylor. Uczynił to w swoim domu nad jeziorem w dorzeczu Rzeki Świętego Wawrzyńca na północ od Quebecu w Kanadzie. W kameralnej ceremonii ślubnej uczestniczyła jedynie rodzina i najbliżsi przyjaciele. Małżonkowie wraz z córką pani Taylor, Kylie, witają państwa i z chęcią odpowiedzą na pytania.

– Pani Cartier, mamusiu – sprostowała Kylie.

– Wiem, kochanie – szepnęła May. W jej głosie zabrzmiał nagle strach i choć mówiła do córki, patrzyła w ścianę obiektywów niczym łania pochwycona w światła reflektorów.

– Ale on nazwał nas „Taylor”, a przecież teraz nazywamy się Cartier, prawda?

– Prawda, Kylie – zdecydowanie odpowiedział Martin. Tłum reporterów zaczął się śmiać, a Pete potrząsał głową, bąkając jakieś niezręczne przeprosiny.

– To chyba nie jest śmieszne – powiedziała Kylie, marszcząc brwi.

Kolejne pytania były szybkie i bezpardonowe:

– Martin, jak się poznaliście?

– Pani Cartier, co pani powiedziała, żeby zwrócił na panią uwagę?

– O której braliście ślub? Kto uczestniczył w ceremonii? Skoro mowa o rodzinie; czy Serge Cartier wiedział o tym ślubie? Jaka była reakcja pańskiego ojca? Czy przysłał wam

życzenia? Czy już przedstawił mu pan swoją wybrankę? Czy nie sądzi pan, że planowany ślub niekorzystnie wpłynął na pana występ w finale Pucharu Stanleya?

– Dla profesjonalnej organizatorki wesel to musiało być przedsięwzięciem stulecia! Jak się udało?

– Skąd ten pośpiech? Dlaczego w sekrecie?

– Pani Taylor, czy nie ma pani wrażenia, że to pani sprawiła, iż przegrał Puchar Stanleya?

– Wyszła na jaw pogłoska o różanych płatkach. May, czy może pani to wyjaśnić...

– Moja żona nazywa się pani Cartier – oznajmił Martin głosem tak potężnym, że paru operatorów dźwięku zakłęło pod nosem, zrywając z głów słuchawki.

– Przepraszam – rzekł reporter, przymilny typek z włosami zbyt ciemnymi i zbyt gładkimi jak na jego wiek i lekki wiatr, po czym podjął: – Pani Cartier, czy może pani wyjaśnić krążącą teraz w Bostonie opowieść, że dała pani Martinowi „różane płatki”, by miał je przy sobie w czasie play-offów?

Dziennikarz mówił to takim tonem, jakby zamiast „różanych płatków” miał na myśli „hiszpańską muchę”. Martin zastanawiał się, kto przekazał prasie tę wiadomość. Musiał to być ktoś z jego zespołu. Zadrżały mu mięśnie barku. Miał ochotę wybić zęby bezczelnemu pismakowi.

May odpowiedziała ostro:

– Kiedy się kogoś kocha, pragnie się mu pomóc tak, jak się potrafi.

– Pomóc zakochać się w pani, chce pani powiedzieć?

– Nie, nie to miałam na myśli, choć jestem szczęśliwa, że taki był rezultat – powiedziała May otwarcie, promieniejąc uśmiechem.

– A zatem naprawdę zamierzała pani...

– Moja żona już odpowiedziała – rzekł Martin przez zaciśnięte zęby, nie zważając na ostrzegawcze spojrzenia, jakie z boku posyłał mu Pete.

– ... podsunąć mu napój miłosny? – dokończył reporter.

– Mamusia jest ślubną czarodziejką – oznajmiła dumnie Kylie. – Sprawia, że ludzie zakochują się w sobie.

Migawki zaczęły trzaskać, tłum reporterów parskał i bazgrał w pośpiechu. Martin wiedział, że dostali to, czego chcieli. Szukali sposobu, żeby uderzyć w May i Kylie nieopatrnie go dostarczyła. Nie zdając sobie z tego sprawy, May promieniała. Objęła Kylie od tyłu i kołysała ją czule.

– Kończymy – oświadczył wszystkim Pete. – Dziękujemy za przybycie.

– Dziękujemy bardzo – dodała z wdziękiem May. Reporterzy ją zignorowali. Śmiejąc się między sobą, spieszyli, by zmontować swe opowieści. Martin patrzył, jak May i Kylie trzymają się za ręce w przekonaniu, że dobrze się spisały. Spisały się doskonale, ale nie rozumiały, że teraz cały świat będzie czekać, aż to małżeństwo się rozpadnie. Ludzie nie chcą, by ich sportowi ulubieńcy zakochiwali się na zawsze. Chcą, żeby żyli szybko, romansowali z gwiazdami filmowymi, upadali i spalali się.

– Udało się! – rzekła May, obejmując Martina. – Nie było tak źle!

– Byłaś cudowna – odparł, zaglądając jej w oczy.

– Kylie też – śmiała się May. – Czyż nie była zabawna?

– Bardzo – rzekł Martin.

Kylie w tanecznych podskokach pobiegła do cioci Enid, a Pete pociągnął ich w stronę domu, z dala od reporterów. Martin wiedział, jak źle May by się czuła, gdyby rozumiała, co zrobiła: otworzyła drogę sensacyjnym tytułom, które, był tego pewien, pojawią się w jutrzejszej prasie.

– Jak poszło? – zapytała Tobin.

– Była czarująca – odparł Martin. – Problem w tym, że oni tacy nie są.

– Byłoby lepiej, gdyby jej nie zranili – powiedziała Tobin, podążając wzrokiem za reporterami. – Wiem, jak przekręcają ludzkie słowa. May nie zamierzała złapać cię na męża.

– Ja to wiem.

– Nawet nie chciała się zakochać. Była tak zajęta troską o Kylie, chęcią prowadzenia spokojnego, dobrego życia. Boli mnie, gdy ktoś ją rani – w oczach Tobin błysnęły łzy. Odwróciła się do Martina, patrząc na niego zdecydowanie.

– Mnie także to boli – rzekł Martin.

Tobin skinęła głową. Ocierając oczy pogłaskała go po ramieniu i odeszła. Martin patrzył na nią przez chwilę, nim ponownie obrócił się w stronę wozów reporterskich.

Następnego ranka zamierzał pojechać do Bostonu, żeby spotkać się z lekarzem, ale teraz zmienił zdanie. Zostanie tutaj, u boku May, przez cały dzień. Jego żona będzie potrzebowała wsparcia, gdy zobaczy, co o niej napisali. Pamiętając, jak odnieśli się do śmierci jego dziecka i uwięzienia ojca, Martin Cartier wiedział, że prasowe szakale nie uszanują jego małżeństwa.

ROZDZIAŁ 11

– Hej, staruszkule! – zawołał ogolony na łyso chłopak.

– Widziałeś to?

Serge stał, czytając ukradzioną tabelę gonitw. Po niedzielnej bójce na noże o wybór programu w telewizji odłączono kabel w bloku i trudno było o gazety. Serge nie podniósł wzroku, ale wiedział, kto do niego mówi. To ten nowy chłopak, który znalazł się tu za handel narkotykami. Nic nowego. Napiął mięśnie i przybrał obojętny wyraz twarzy.

– Widziałem wszystko, czego chciałem się o tobie dowiedzieć – rzekł. – Spływaj.

– Człowieku – nalegał chłopak, który miał na imię Tino.

– To na pewno zechcesz zobaczyć.

Serge stawiał na Taliskera, rześkiego dwulatka, którego wszyscy uważali za bezwartościowego po przegranej w Burnham. Wyścigi nie były ulubioną grą Serge'a, ale tutaj chwycił się, czego mógł. Przeglądając stronę, próbował ignorować tego chłopaka wystarczająco długo, by wreszcie zyskać trochę ciszy i spokoju. W jego polu widzenia pojawił się jednak wielki nagłówek: SEKRETNY ŚLUB MARTINA CARTIERA.

– O co chodzi, do diabła? – rzekł, odkładając arkusz gonitw.

– Twój chłopak się ożenił – wyjaśnił mu Tino. – Z jakąś łąką na forsy suką, która rzuciła na niego urok. – Mówił, jakby sam był reporterem, o kobiecie, która skłoniła Martina do małżeństwa używając różanych płatków i miłosnych zaklęć, kibice zaś oskarżali ją o to, iż oderwała uwagę Martina od hokeja i sprawiła, że przegrał Puchar Stanleya.

– Wpadł więc w ręce jakiejś kolejnej Trishy – mruknął Serge i zaczął czytać artykuł.

– Baba ma dziecko. Potem będzie musiał jej płacić alimenty. Wierz mi, znam się na tym.

– Zamknij się – uciął Serge – i spadaj.

– Dlaczego rozmawiasz ze mną w ten sposób? Czyż nie przyniosłem ci dobrych wieści?

– Zapal sobie trawkę – powiedział Serge. Przez całe życie uprawiając sport, nie miał ani krzty cierpliwości dla silnych młodych ludzi, którzy niszczyli własne ciała i umysły narkotykami. Nie cierpiał ćpunów, a tu ćpali wszyscy.

– Jestem czysty – zaprotestował chłopak, a w jego głosie zabrzmiała uraza.

– Tak... od dziesięciu minut. Daj mi spokój. Zwijając gazetę, poszedł do swojej celi. Mieściła się na końcu bloku „goszczącego” rzeźników, dusicieli żon, ulicznych nożowników. Nikt nie przejmował się tym, że trzykrotnie doprowadził drużynę do zwycięstwa w Pucharze Stanleya, że podejmowali go senatorowie i premierzy. Serge sam nie przejmował się sobą. Był w ciężkim więzieniu – właśnie tu, gdzie powinien się znaleźć.

Leżąc na swoim łóżku, drżącymi rękami ponownie otworzył gazetę i spojrzał na towarzyszące tekstowi zdjęcie. Oto Martin. Boże, pomyślał Serge, mój syn, mój syn. Wyglądał staro i młodo jednocześnie. Siwiał... siwiał! Na jego twarzy rysowały się zmarszczki. Był już za stary, by narażając ciało grać w hokeja, ale ogień krzepkiej młodości wciąż płonął żywo w jego niebieskich oczach.

Martin obejmował ramieniem jakąś kobietę. Ładna, bardzo ładna. Ani trochę niepodobna

do Trishy. Mięka, podczas gdy Trisha była twarda. Wydawała się onieśmielona, jakby nie podobały jej się skierowane na nią kamery, ale Serge był przekonany, że to fałsz, element gry aktorskiej. Chociaż... wpatrując się w fotografię swej nowej synowej, May, Serge tracił tę pewność.

Później, w stołówce, niejaki Buford Dunham zajął mu przez ramię i roześmiał się, patrząc na to zdjęcie.

– Co cię tak śmieszy?

– Zastanawiam się tylko, co ona gra – rzekł Buford.

– Ona nie gra. Pozerstwo wyczuję na kilometr. – Serge, nie zważając na komentarz Buforda, uważnie studiował otwartą twarz May i jej szczęśliwe oczy.

– Powinieneś. Hokeista to gotowa ofiara dla lichwiarzy. Z jednej strony prasa całuje cię w tyłek, a z drugiej ci grożą połamaniem nóg.

Serge nie odezwał się ani słowem. Buford działał dla zorganizowanej przestępczości i wiedział, co mówi. Jego ulubionym powiedzeniem były słowa: „Zapłacisz, gdy przyjdę, zapłacisz punktualnie”.

– Uciekli przed światem. Prawdziwa miłość, jakie to piękne! – prychnął Buford.

Jednak Serge ledwie to słyszał. Wpatrywał się w dziewczynkę na fotografii. Artykuł informował, że to Kylie, córka May. *Z ust dzieci płynie prawda* – pisał reporter. – *Jej matka od pewnego czasu planowała to małżeństwo. Omotała Martina Cartiera siecią rytuałów i symboli New Age, które kazały mu się w niej zakochać.*

Kylie miała na głowie czapeczkę Natalie. Serge dotknął palcem zdjęcia. Poznałby tę starą czapkę wszędzie. Wyłudził dwie takie – jedną dla Natalie i jedną dla Martina – od swego przyjaciela, trenera drużyny bejsbolowej Johna LeGrange’a, i posłał im na otwarcie sezonu bejsbolowego. Widocznie Martin podarował tę czapeczkę Kylie.

– Ona nie udaje – powtórzył Serge – Co?

– Nie podarowałyby tej dziewczynce czapeczki Nat, gdyby jej matka była oszustką.

– Stajesz się sentymentalny? Może powinniśmy wypożyczyć kasetę z Jimmym Stewartem na dzisiejszy wieczór? Ja zrobię prażoną kukurydzę, a ty przygotujesz drinki.

Serge nie mógł oderwać oczu od tej rodzinnej fotografii. Wpatrywał się w nią tak długo, aż oczy wypełniły mu się łzami. Żałował, że zdjęcie jest zbyt ziarniste, by mógł lepiej przyjrzeć się ich twarzom. Czapeczka Natalie, pomyślał. Jaka ładna czapeczka... Pasowała na Kylie; mała dobrze w niej wyglądała.

– Ładnie wygląda – powiedział głośno Serge. – Naprawdę ładnie.

– Przestań pleść, jakbyś miał alzheimera, a najlepiej w ogóle się zaniknij.

– Sam się zamknij – mruknął Serge pod nosem, żywił bowiem nieprawdopodobny respekt dla współwzniecia. Buford zajmował się tym samym, co człowiek, który przyszedł tamtego ostatniego dnia, kiedy Serge widział swoją wnuczkę.

Tamten dzień, myślał Serge, tamten ostatni dzień... Gdyby tylko mógł do niego wrócić... Gdyby mógł przeżyć go ponownie... Wpatrywał się w prasową fotografię, aż całkiem rozpląnęła mu się przed oczami. Natalie nie żyła. Tego nie da się zmienić i Serge wiedział, że to jego wina. Teraz Martin ma nową rodzinę, której Serge nie pozna.

Sam był sobie winny.

Rozpoczęły się treningi, ale Cartierowie pozostali w Black Hall aż do oficjalnej inauguracji sezonu. Prasa była żądna sensacji, May chciała więc możliwie najdłużej trzymać się z dala od owej areny plotek. Jej telefon dzwonił teraz tak często – telefonowali nowi klienci oraz nieznajomi, życzliwi i nieżyczliwi, a także reporterzy proszący o wywiady – że zleciła automatyczne odbieranie wiadomości.

Genny przysłała jej list ze słowami otuchy wraz z wielką skrzynką jabłek znad Lac Vert i słojem jabłkowego masła. May upiekła szarlotkę i codziennie podawała bułeczki z jabłkowym masłem, a wiedza, że Genny doświadczyła niegdyś tego samego rodzaju popularności, uczyniła tę ciężką dla May próbę nieco łatwiejszą.

Dzieci w szkole zaczęły inaczej traktować Kylie. Niektóre, niegdyś w ogóle nie zwracające na nią uwagi, teraz chciały się zaprzyjaźnić. Była więc zapraszana na urodzinowe przyjęcia dzieci z trzeciej, czwartej i piątej klasy; dziewczynek i chłopców, których nawet nie знаła. Inne dzieci dokuczwały jej, mówiąc, że pomagała swojej mamie rzucać na Martina uroki, które miały sprawić, by się z nią ożenił.

Najgorsze jednak zdarzyło się pewnego złotego, ciepłego jesiennego dnia. Kylie wysiadła ze szkolnego autobusu i szlochając, wpadła prosto w ramiona mamy.

– Nie rzuciłyśmy uroków na Martina, prawda, mamusiu?

– płakała z ramionami wokół talii May, w obecności stojącej obok Tobin.

– Nie, kochanie, nie rzuciłyśmy.

– Ożeniłby się z tobą tak czy inaczej, prawda?

– Tak powiada – odparła May.

– Co to jest bękart? Co to znaczy, kiedy mówi się tak o jakiejś osobie? Kiedy chodzi o mnie?

– Nie wiem – powiedziała May, czując dreszcze. – Co ci powiedziano?

– Że jestem bękartem bez prawdziwego ojca – usta Kylie znów wykrzywiły się do płaczu, a May usłyszała, jak Tobin bierze głęboki oddech. – I że chcemy Martina tylko dla jego pieniędzy.

– Kto ci to powiedział?

– Pewien duży chłopak, Joseph Newton. Z piątej klasy. Powiedział, że jego ojciec tak mówi.

– To nieprawda, Kylie. Nie ma w tym ani słowa prawdy. May siedziała przy Kylie, aż dziewczynka przestała płakać i zeskoczywszy jej z kolan powędrowała szukać cioci Enid. Tobin przysunęła sobie krzesło bliżej May.

– Nazwał ją bękartem – powiedziała, trzęsąc się, May.

– Słyszałam – odparła cicho Tobin. – Dobrze się czujesz?

– Chroniłam ją przez cały czas – mówiła dalej May.

– Nikt nie znał naszej historii, a teraz rozpisują się o niej gazety. Wiedzą o Gordonie, wiedzą, że nie byłam mężatką...

– Powinni też wiedzieć, że jesteś najlepszą matką w okolicy – powiedziała Tobin. – Że

Kylie zawsze była dla ciebie najważniejsza, że Martin Cartier jest szczęściarzem...

– Dziękuję, Tobin. – May otarła oczy. Z trudem zdławiła łzy, chcąc zduścić wszystkie przecucia, lęki i niepokoje. Jej życie zmieniło się tak szybko. Nagle mówiono o niej wszędzie, obcy ludzie sądzili ją za przeszłość i teraźniejszość.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. – Oczy Tobin błysnęły chytrze.

– Co masz na myśli?

– No cóż, jeśli prasa tropi ciebie, to prawdopodobnie tropi też Gordona. Już widzę te zacne wnętrza prestiżowej kancelarii adwokackiej „Swopes & Bray” pełne reporterów, kamer i mikrofonów.

– To naprawdę przyjemna wizja – przyznała May, zamykając oczy. Dobrze, że Tobin obróciła wszystko w żart. Sama wciąż była tak poruszona, że nie wiedziała, co robić.

Wieczorem tuliła Kylie, czekając aż przyjdzie sen, a na niebie ukaże się księżyc. Siedząc na brzegu łóżka, usłyszała na podjeździe samochód Martina. Po rozmowie z ciotką Enid Martin wbiegł na górę przeskakując po dwa stopnie i jak burza wpadł do pokoju.

– Co się dziś wydarzyło? – zażądał odpowiedzi, stając w drzwiach.

May ułożyła Kylie na poduszce i wraz z Martinem poszła do ich sypialni.

– Ktoś nazwał ją bękartem – powiedziała. – Kylie nie zrozumiała tego słowa, ale pojęła jego znaczenie.

– Kto?

– Jakiś piątoklasista. Ojciec mu powiedział. Gdybyś tylko wiedział, co ja miałabym ochotę zrobić temu ojcu...

– Już ja się z nim rozparawie. – Martin zdecydowanie posadził ją na łóżku. – Poślę tego gnojka na deski tak, że zostawi na nich zęby. Jak on się nazywa?

– Ten chłopak to Joseph Newton, a jego ojciec ma na imię Patrick.

– Dostanie złą wiadomość – rzekł Martin, sięgając po telefon i przerzucając strony książki telefonicznej. Wystukał numer. Kiedy po drugiej stronie podniesiono słuchawkę, nie tracił czasu na uprzejmości. – Patrick Newton? Mówi Martin Cartier... Tak? Jest pan kibicem?... Pozwoli pan, że powiem, dlaczego dzwonię. Mam córkę w szkole, do której chodzi pański syn, i doszła mnie wieść, że Joseph nazwał ją bękartem... Tak, bękartem... Dzieci to dzieci, powiada pan?

– W głosie Martina słychać było coraz większy gniew.

– Słuchaj pan, panie Newton, takich słów dzieci uczą się od rodziców... Od rodziców uczą się wyrabiać sobie pozycję kosztem innych, za małych, żeby się bronić... Tak, oskarżam pana. A jeśli się dowiem, że coś takiego zdarzyło się ponownie, zrobię coś więcej... To dobrze, miło mi to słyszeć. Mam nadzieję, że nie dowiem się, iż ktoś znów dokuczał Kylie.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na May.

– Dziękuję – powiedziała.

– To rozsądny człowiek – rzekł Martin.

– Przez chwilę sądziłam, że masz zamiar go dopaść i spuścić tęgie lanie.

– On też tak myślał – odparł Martin twardo.

Po kilku tygodniach, gdy wieść o ślubie Martina Cartiera przestała być nowością, uwaga prasy i całego miasta skierowała się ku perspektywom zespołu Boston Bruins w kolejnej próbie zdobycia Pucharu Stanleya. Martin każdego wieczoru wracał do domu z obolałymi kostkami i świadomością, że ma przed sobą nie więcej niż jeden lub dwa sezony. May rozcierała mu plecy, mówiąc, że jeden sezon zupełnie mu wystarczy.

Gazety zaczęły podsycać rywalizację między Bostonem a Edmonton i między Martinem Cartierem a Nilsem Jorgensenem. W czasie pewnego popołudniowego treningu krążek trafił Martina w oko i trzeba było założyć mu sześć nowych szwów. Lekarz sugerował wizytę u okulisty i poddanie się badaniom.

Martin jednak zignorował tę sugestię. Hokej to twardy sport; należy się liczyć z kontuzjami. Nie miał już wzroku dwudziesto – czy trzydziestolatka i bał się usłyszeć diagnozę. Jeśli widzi na tyle dobrze, by jeździć na łyżwach, to wystarczy. Odsunął od siebie ten problem. Zwykle to skutkowało; gładko przeszedł przez wstrząsy mózgu, urazy siatkówek, liczne złamania. Teraz jednak czuł ból przy czytaniu, następnego ranka poprosił więc May, aby przeczytała mu opublikowany w „Globe” artykuł o jego rywalizacji z Jorgensenem.

– Chyba tak naprawdę nie darzysz go nienawiścią? – zapytała przez stół, przy którym jedli śniadanie. – Dziennikarze jak zwykle gonią za sensacją.

– Hm, nie... – odparł sącząc pomarańczowy sok. – Piszą prawdę.

– Ale dlaczego?

– Może dlatego, że obydwaj jesteśmy gwałtownymi rywalami i obydwaj nie lubimy przegrywać? – odpowiedział pytaniem Martin, mrużąc ze śmiechem piracko purpurowe oko.

– A może dlatego, że kiedyś przemodelowałem mu twarz kijem hokejowym?

– Martin... – May zadrżała.

Nie przeżyła z nim jeszcze całego sezonu i nie wyobrażała sobie, co będzie czuła, widząc, jak mecz po meczu rzuca się w wir gwałtownej walki. Przeniosła wzrok z jego rąk na twarz, licząc wszystkie blizny i zatrzymując się na spuchniętym prawym oku.

– Ja jestem rekinem, a on mięsem – powiedział Martin, rozsmarowując na grzance jabłkowe masło.

– Czy to jest osobiste?

– *Mais oui.*

– Wobec wszystkich innych hokeistów czy tylko Jorgensena?

– Głównie wobec Jorgensena.

– Naprawdę go nienawidzisz?

Martin wytarł palce w serwetkę i ujął jej dłonie.

– May – powiedział – niebawem zaczyna się sezon.

– Wiem – odparła. – Boję się i nie wiem dlaczego. Nienawiść to takie mocne słowo.

– Naprawdę go nienawidzę. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale tak jest. Nienawidzę go prawie tak samo jak ojca.

May poczuła się zmrożona jego słowami. Pomyślała o swoim ojcu, jak wyszedł nie doczekawszy się od niej ostatniego całusa ani słowa. Zastanawiała się, czy Martin również

łatwo rzuciliby, że nienawidzi Serge'a, gdyby jego ojca nie było już wśród żywych; gdyby nie miał szansy się z nim pojednać.

– Wolałabym, żeby było inaczej – May patrzyła mu w oczy. – Chcę, żebyś wygrał swoje mecze, wygrał Puchar Stanleya, żebyś wygrał wszystko. Ale chciałabym, żeby nie było to tak brutalne.

– Gra w hokeja to mój zawód – rzekł, trzymając jej dłonie.

– Sezon jeszcze się nawet nie zaczął – westchnęła. – Czy uznasz mnie za idiotkę, jeśli poproszę, abys obiecał, że będziesz na siebie uważał?

Odsuwając na bok tosty i filizanki z kawą, Martin posadził sobie May na kolanach i zaczął ją całować w jesiennym słońcu. Często przerywał swoje zajęcia, żeby ją pożałować i objąć, ale tym razem robił to czulej niż zwykle. Głaszcząc jej włosy i plecy wyszeptał na ucho:

– Nikt mnie nigdy o to nie prosił, May – powiedział. – Ani razu przez całe życie.

Kiedy sezon zaczął się naprawdę inauguracyjnym meczem z drużyną Montrealu, May stała obok Genny zdumiona przenikającym ją dreszczem. Wznosząc głośne okrzyki, oglądały mecz ze specjalnej łoży tuż obok lodowiska, tak blisko graczy, że słyszały ich oddechy, gdy przejeżdżali obok. Kylie została z ciotką Enid w domu, gdzie obie miały oglądać mecz w telewizji, kiedy więc kamerzysta zbliżył się, chcąc pokazać reakcje żon, Genny przypomniała May, żeby pomachała ręką.

Na maszcie nad lodowiskiem wciągnięto flagę Mistrzostw Konferencji Wschodniej – symbol osiągnięć minionego sezonu, May i Genny poczuły się tak dumne, że miały łzy w oczach. Próbując zwrócić na siebie uwagę męża, May zobaczyła, że Martin patrzy pod nogi.

– Dla niego to za mało. Wciąż jest wściekły, że przegrali Puchar – wyjaśniła Genny – i nie zazna spokoju, dopóki nie zobaczy wiszącej tu flagi Pucharu Stanleya.

– Ray wydaje się zadowolony – powiedziała May, widząc że mąż Geny się uśmiecha.

– Ray jest inny – odparła Genny.

May знаła podstawy: krążek, strzał, gol... W czasie play-offów ostatniego sezonu przyswoiła sobie kilka terminów, ale wciąż musiała się uczyć nowego języka. Genny tłumaczyła jej kolejne pojęcia: ławka kar, czerwona linia, hat trick...

– Hat trick?

– Trzy gole strzelone przez tego samego zawodnika w jednym meczu, co zaliczy twój mąż, jeśli nadal będzie grać w taki sposób. Ach! – Genny skrzywiła się, gdy Martin rzucił przeciwnika na bandę dokładnie przed nimi, uśmiechając się do May niczym wielki kot kładący mysz u jej stóp.

Kiedy jednak przeciwnik wbił kij w bok Martina, May jęknęła.

– A gdzie jest arbiter?

– W hokeju nazywa się ich sędziami – powiedziała z uśmiechem Genny. – Poza tym nie denerwuj się. Martin mu się zrewanżuje.

Martin rzeczywiście natarł ciałem na tego samego faceta, gdy ten uniósł kij, by uderzyć krążek. Zawodnik z Montrealu pofrunął po lodzie, ślizgając się na siedzeniu jak mały chłopak

na stawie. May uniosła pięści, krzycząc tak samo głośno jak inni bostońscy kibice.

Martin Cartier dał zdumiewający pokaz. Był szybki jak kometa, jak błyskawica. Blokował strzały, odbierał przeciwnikom krążek, wykonywał nieprawdopodobne podania, toczył niewiarygodne walki, strzelał gole i co chwilę podrywał tłum na równe nogi. May wiedziała, że poślubiła sportowca, ale aż do dzisiejszego wieczoru w istocie nie zdawała sobie sprawy, co to znaczy. Jej mąż nie był zwykłym człowiekiem. Był czarodziejem, który potrafił na łyżwach fruwać w powietrzu.

Martin strzelił gola w pierwszej minucie, potem, cztery minuty później, odesłano go za bójkę na ławkę kar, następnie strzelił karnego... wszystko w pierwszej tercji; w drugiej rozkrwawiono mu nos i powędrował na ławkę kar za chwytywanie przeciwnika za rękę, a gdy zabrakło go na lodzie, hokeiści z Montrealu szybko strzelili dwa gole. Po powrocie na lód Martin zablokował ich trzydziesty strzał akurat w chwili, gdy zegar odmierzył koniec drugiej tercji.

Gdy bostończycy zjechali z tafli, May poczuła, że drży i brak jej tchu, dłonie ma pokaleczone od wbijania paznokci, a głos ochrypli od krzyku.

W przerwie wyglądano lód. Z głośników dobiegała muzyka, a May przyglądała się, jak po tafli sunie wielka maszyna, topiąc wyżłobienia i zamrażając lodowisko na szkło. Najmłodszy kibice gwizdali i wiwatowali, próbując zwrócić na siebie uwagę zawodników. Zawodnicy zaś zgromadzili się wokół trenera Dafoe, planując, w jaki sposób złamią remis i wygrają.

– Mówi im, żeby podawali krążek do Martina – wyjaśniała jej Genny, obserwując tę scenę. – Powtarza, że bez względu na to, co robi twój mąż, mają podawać mu krążek.

– Dobrze się znasz na hokeju. Genny wybuchnęła śmiechem.

– On zawsze to mówi. W każdym meczu. Martin jest naszą gwiazdą, ale, ojej, May... dziś wieczorem przechodzi sam siebie. Z twojego powodu. Jakie to uczucie, gdy mąż popisuje się dla ciebie?

– Niezłe – odparła May, tak szczęśliwa, że nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

– Dobrze, dobrze! – zawołała Genny, tupiąc nogami.

– Jesteśmy gotowe, chłopcy! Wyjeżdżajcie na lód i wygrajcie ten mecz!

– Dalej! – równie głośno krzyknęła May. – Do dzieła, bostończycy! Do zwycięstwa!

Właśnie wtedy do łoży, gdzie siedziały May i Genny wraz z kilkoma innymi żonami i dziewczynami zawodników, podeszło kilka młodych kobiet. May poczuła ucisk w żołądku. Martin uprzedził ją, aby była przygotowana na komentarze i docinki, radząc, żeby wzruszała ramionami i nie zwracała na nie uwagi. Tak właśnie zrobiła. I oto cztery oszałamiające kobiety – blondynki podobne do tej, jaka rozmawiała z Martinem w samolocie – szturmowały łoże żon.

– Trzymaj się – mruknęła Genny. – Wchodzą.

– Przepraszam... – powiedziała najwyższa blondynka, pukając w przezroczystą ściankę.

– O co chodzi? – Genny uchyliła drzwiczki na cal i stanęła w nich jak wartownik z tak lodowatą miną, o jaką May nigdy by jej nie podejrzewała.

– Czy jest tu pani May Cartier?

– To prywatna loża – odparła Genny, stając między May a nieproszonymi gośćmi.

– Ja wiem, proszę nam wybaczyć – blondynka uśmiechała się nieśmiało, trzymając jakąś kartę. – Chciałam tylko to podać. To jest... to jest list ode mnie i moich koleżanek. Jesteśmy kibicami Bruinsów i myślałyśmy...

– Przekażę jej ten list – Genny zdecydowanie zamknęła za nią drzwi, a potem wręczyła May dużą białą kopertę.

May trzymała ją przez chwilę, zastanawiając się, co zrobić. Serce biło jej mocno. Bała się poznać treść listu.

– Chyba zaczekam z otwarciem tej koperty – powiedziała. Mecz zbliżał się do końca, nie chciała więc pozbawiać się wspaniałych emocji czytając coś, co mogłoby ją zdenerwować.

– Otwórz teraz, gdy jestem przy tobie – poddała Genny.

– Pośmiejemy się razem.

May skinęła głową. Rozerwawszy kopertę, wyjęła z niej ozdobną kartę ze złotymi dzwonami weselnymi i białą wieżą kościoła.

Najserdeczniejsze życzenia z okazji ślubu. Oby wasze wspólne lata były długie i opromienione miłością.

Pod życzeniami widniały podpisy: Mary Truscott, Doreen O'Malley, Amy Jenckes i Carolina Grannato. W dole zaś dodane starannym charakterem pisma postscriptum:

Szanowna pani Cartier, mój chłopak i ja zaręczaliśmy się w sierpniu. Czytałam, że jest pani organizatorką wesel i naprawdę bardzo bym chciała, żeby zorganizowała pani nasze. Planujemy urządzić je w kwietniu. Niebawem przyjadę do Weselnej Gospody. Moja ciocia brała u was ślub piętnaście lat temu. Jakież ten świat jest mały! Niech żyje drużyna Boston Bruins!

– Ojej... – westchnęła Genny, zaglądając May przez ramię.

– Kolejna lekcja o niezasłużonych korzyściach – uśmiechnęła się May.

– Westchnęłam, myśląc, że jesteś szczęściarą. Masz jakieś... zajęcie, swoją Weselną Gospodę... – Genny urwała.

– Masz na myśli mój zawód?

– To smutne, ale zamierzałam powiedzieć „jakieś życie”... Chyba miałam na myśli „tożsamość”. Nie wiem...

– Przecież ją masz – odparła May, zaskoczona poważnym tonem Genny.

Genny wpatrywała się w lód. Zawodnicy zaczęli już wyjeżdżać na taflę, ale wyraz jej twarzy był łagodny i pełen zadumy, jakby znajdowała się bardzo daleko od tej hali.

– Jestem wyłącznie żoną Raya Gardnera – powiedziała. – Panią Prawoskrzydłową zespołu Boston Bruins. Kocham mojego męża. Czuję się szczęśliwa. Nie skarzę się... jest wspaniale.

– A ja jestem teraz Panią Złotomłotową – odparła May. Genny pokręciła przecząco głową.

– Jesteś kimś znacznie więcej. To oczywiste. Fanki nie zatrzymały się nigdy przy żonach, by wręczyć mi miły list...

– Gdyby spróbowały twojego masła jabłkowego, z pewnością by to zrobiły. Albo twoich

konfitur truskawkowych. Albo gdyby wiedziały, jaką jesteś wspaniałą osobą.

Genny się roześmiała. Zawodnicy byli już na lodzie, napięcie tłumu wypełniało powietrze. Genny zacisnęła kciuki, wpatrzona w dwie drużyny ustawione po dwóch stronach czerwonej linii.

May przyjrzała się jej. Wspaniale było mieć kogoś, z kim można oglądać mecze hokejowe. To takie nowe i ekscytujące, a Genny chętnie wprowadzała May w arkana gry. Równocześnie jednak w głębi ducha May czuła ból, gdyż miała wrażenie, że odsuwa się od Tobin. Jej życie zmieniało się z prędkością światła i nie wiedziała, jak to wszystko ze sobą pogodzić.

– Odwiedźcie nas w tym tygodniu w Weselnej Gospodzie – powiedziała. – Chciałabym pokazać ci okolicę i ubić z tobą interes. Chodzi o twoje przetwory. Moja ciocia i Tobin ucieszają się z ponownego spotkania.

– W Weselnej Gospodzie? Z radością! – Genny błysnęła ku May promiennym uśmiechem akurat w chwili, gdy oba zespoły ruszyły do gry.

– To świetnie – odparła May, obracając się ku lodowisku.

Rozległ się sygnał, krążek padł na lód i gwizdek sędziego zasygnalizował początek trzeciej tercji meczu. Bostończycy przejęli krążek, Ray podał go do Martina i... strzał! Hat trick! Martin zdobył swoją trzecią bramkę w tym spotkaniu. May krzyknęła na cały głos, gdy Martin przejechał tuż obok i odcisnął wielkiego całusa na pleksiglasowej szybie dzielącej łożę od lodowej tafli.

Odcisk jego warg pozostał tam do końca meczu. Martin strzelał raz po raz, zdobywając czwartego i piątego gola. Tłum skandował i tupał nogami. Na świetlnej tablicy wyników zajaśniało imię Martina i stan meczu, a potem – ku wielkiemu zdumieniu May – ukazały się na niej weselne dzwony. W samym środku trzeciej tercji, sześć minut przed końcem meczu, tablica zamigotała jej imieniem: „MAY! MAY!”.

– Posłuchaj – rzekła Genny, chwytając May za rękę, gdyż tłum to podchwycił!

– May, May! – skandowali kibice.

– Och, nie! – May spłoszyła, gdy okrzyki przybrały na sile. Schyliła głowę, ale tłum nie przestawał skandować jej imienia.

– May, May Cartier! – wołali.

– Podbiłaś ich serca – powiedziała Genny.

– Nie mogę w to uwierzyć... po tym jak nazywano mnie przez ostatni miesiąc – odparła May, mając nadzieję, że Tobin ogląda teraz telewizję.

Tłum nasilił wrzawę, gdy Martin strzelił wprost niewiarygodnego, zapierającego dech w piersiach, szóstego gola.

– Uwierz w to – poradziła Genny.

Tym razem Martin, przejeżdżając obok łoży, uklonił się i May odpowiedziała ukłonem, jednocześnie wymieniając uścisk dłoni z Genny, swą przewodniczką w prawdziwym i aż nazbyt gorącym życiu żony zawodnika kanadyjskiej narodowej ligi hokeja, słynnej NHL.

May ugięła się pod ciężarem emocji. Myślała o rodzicach i o tym, co by pomyśleli widząc ją teraz. A potem przemknęła jej myśl o Serge’u, czy mógł oglądać mecz w więzieniu,

czy był dumny ze swego syna...

Spojrzała na lód i zdołała prześledzić ostatnie minuty meczu, ale jej oczy wciąż wracały do odcisku warg męża na starym porysowanym plastiku. Pragnęła, by wszystko, co teraz ma, znane i nowe, trwało zawsze.

ROZDZIAŁ 12

Dzień był chłodny i pochmurny, na wszystkich dachach i polach leżał piękny sypki śnieg. May, ubrana w stare skórzane kozaczki i puchową kurtkę, oprowadzała Genny po okolicy i gospodarstwie. Była połowa listopada, rozmawiały więc o nadchodzących świętach, tradycjach i rodzinie.

– Opowiedz mi o Serge’u – poprosiła May.

– Och, Serge... – Genny zawahała się. – Serge to skomplikowany człowiek.

– Dobrze go znałaś?

– Od dzieciństwa. Uwielbiał Martina. Natychmiast poznał się na jego zdumiewającym talencie. Trenował go od rana do wieczora, a Ray i ja często musieliśmy grać z nim. Był idolem Martina.

– Naprawdę?

– Tak. Było to wtedy, gdy Serge mieszkał w domu, dojeżdżając na mecze w Montrealu. Potem kupiła go drużyna Mapie Leafs i niebawem wszystko się zmieniło. Doszło do ataku na Martina; Serge i Agnes się rozstali. Już nigdy nie wrócił. Odwrócił się od Martina.

– Przecież to nie była wina Martina! – May pomyślała o swoim związku z ojcem Kylie. Jak to się dzieje, że zwykle dzieci najbardziej cierpią z powodu problemów swoich rodziców?

– Oczywiście, że nie, ale Martin miał wątpliwości. Zaczął więc grać w hokeja jeszcze zacieklej, wręcz ze złością, jakby sądził, że dzięki temu zdoła odzyskać ojca. Skłonił Raya do wspólnych ćwiczeń. Agnes trenowała ich na jeziorze.

– Serge musiał za nimi tęsknić...

– Nie myśl o nim z nadmiernym współczuciem. Był sławą, nim jeszcze w hokeistach ujrano gwiazdorów. Między kolejnymi sezonami prowadził naprawdę światowe życie w Los Angeles, w Las Vegas... Widywaliśmy go w kolorowych tygodnikach z modelkami w ramionach. W życiu swego syna pojawił się ponownie dopiero wtedy, gdy Martin wyjechał z domu i znalazł się w NHL...

– Dopiero wtedy, gdy wyfrunął spod skrzydeł Agnes?

– Właśnie. O, Serge nadal jest legendą nad Lac Vert. Dzieciaki uwielbiają go za to, że sam jest wielkim hokeistą i że ma takiego syna jak Martin.

– Martin nigdy o nim nie mówi. – May cofnęła się myślą do lata, do tamtych okropnych nocy nad Lac Vert, gdy Martin spał na sofie. – Tylko raz.

– Wiem – przyznała Genny. – Martin wyrzekł się go w dniu, gdy umarła Natalie.

– Zastanawiam się, czy człowiek naprawdę może się wyrzec własnego ojca – powiedziała cicho May. – Bez względu na to, jak głęboko jest przekonany, że tego chce.

Spacerowały dalej, May mimo woli patrzyła na okolicę oczami Genny i żałowała, że żona Raya nie przyjechała wcześniej – gdy zioła i krzewy były w rozkwicie, a dawno zasadzone białe róże pięły się po ścianach Gospody – by ujrzyć to miejsce w pełnej krasie.

Weszły do stodoły ozdobionej na jesień gęstymi gałęziami wawrzynu i bluszczu. Na starych przegrodach i belkach stały sękaty dynie i tykwy, pomiędzy krokwiami zaś spały

sowy schowane przed słabym dziennym światłem wpadającym przez świetliki w dachu.

Tobin, kończąc rozmowę z nową klientką, uniosła wzrok znad biurka.

– Och, ten zapach drewna sprawia, że tęsknię za Kanadą – powiedziała Genny, skinąwszy jej głową. – Na zewnątrz jest zimno, ale macie tu wspaniałe ogrzewanie.

– Najwięcej kosztuje nas utrzymanie w tym pomieszczeniu ciepła przez całą zimę – powiedziała May.

– Martin z pewnością czuje się tutaj jak w domu – odparła Genny.

– Myślę, że tak.

Zwiedzając rozległe wnętrza, Genny musnęła posrebrzany łąk starego siodła i zmatowiałe brązowe haki, obej rzała pokryte szerokimi deskami podłogi i znalazła dziurę w ścianie, przez którą wlatywały i wyfruwały sowy. Obok drabiny wiodącej na stryszek dogoniła je niosąca stertę kopert Tobin.

– Widziałam cię w telewizji, na meczu – powiedziała podchodząc do Genny, by się przywitać – ale przyjemniej widzieć cię osobiście.

– To ja się cieszę, że znów się spotykamy. – Genny nachyliła się, by ją uściskać.

– Jesteście teraz takie sławne.

– Wbrew naszej woli – roześmiała się Genny.

– Napijesz się z nami herbaty? – zapytała May. Tobin pokręciła głową, wskazując wzrokiem koperty.

– Dzięki. Mam mnóstwo pracy i nie wiem, ile czasu mi zajmie. Zobaczymy się później. Miło, że nas odwiedziłaś, Genny.

Wspinając się na strych, Genny dyskretnie stuknęła May w ramię.

– Czy z Tobin wszystko jest w porządku?

– Chyba tak – odpowiedziała May, choć wyczuła rezerwę Tobin. Zawsze były trochę o siebie zazdrosne, widząc w innych zagrożenie dla łączącej je przyjaźni, ale z drugiej strony ich przyjaźń ewoluowała z biegiem lat i obie o tym wiedziały.

– To poważna zmiana – stwierdziła Genny. – Nagle oglądać wieloletnią przyjaciółkę na ekranie telewizyjnym, w kolorowych czasopismach...

– Sama wciąż nie mogę się przyzwyczaić – wyznała May.

– Osobom z zewnątrz świat sportu wydaje się wspaniały. Gdybyż tylko wiedziały...

– Martin większość czasu spędza poza domem, a resztę poświęca na leczenie kontuzji. Właściwie nie mieliśmy okazji, żeby się poznać.

– Czasami jest się bardziej samotną w małżeństwie niż w stanie wolnym – przyznała Genny. – Kocha się kogoś, kogo prawie nigdy nie ma, a kiedy jest, to albo myśli o ostatnim meczu, albo o następnym.

– To prawda – May odetchnęła z ulgą, znajdując z Genny wspólny język. Jednocześnie poczuła się winna, że nic dopuszcza do tych spraw Tobin.

Niespiesznie wędrowały po poddaszu pełnym starych sukien zwieszających się z krokwi. Organdyny, tafty, jedwabie i satyny szeleściły cicho, gdy przechodziły obok nich. Niektóre z owych szat były już zabytkami, ale tuż za nimi znajdowały się też suknie w nowszych stylach i kolekcja strojów dla drухen. Podobnie jak w czasach Emily, magazynowano je tutaj,

wyjmując jedynie na doroczny pokaz. May chciała wszakże pokazać je Genny.

– Och, Genny, nie widziałam cię od ślubu May! – powiedziała Enid, gdy zeszły na dół. – Witaj w Weselnej Gospodzie. Co u ciebie i Raya? Jak dzieciaki?

– Doskonale, Enid – Genny odwzajemniła jej uścisk.

– Co u nas? Sezon hokejowy, jak u May...

– Zaraz zrobię herbatę, nim o trzeciej przyjdą tu klienci – wtrąciła May. – Napijesz się z nami, ciociu?

– Nie, dziewczęta, pogawędźcie sobie. Właśnie odpowiadam na listy. Brr! Siedzę prawie na grzejniku, a to dopiero listopad! Spójrzcie na mój strój... Mam nadzieję, że nie odstraszę klientów!

Ciocia Enid łatwo marzła, miała więc na sobie swój powszedni zimowy ubiór: wełniane legginsy i gruby golf pod szarą flanelową bluzą. Spoglądając na własne wytarte dzinsy i znoszone kozaczki, May musiała się uśmiechnąć: to prawdziwy cud, że narzeczeni pragnący mieć stylowy ślub chcieli w ogóle tutaj przychodzić.

– Wyglądamy dość niedbale – powiedziała, kierując się z Genny na zaplecze.

– Założę się, że ludzie to lubią. Elegancka prostota...

– Chyba łachmaniarstwo – May skubnęła wystrzępiony rękaw starej płóciennej marynarki.

– Raczej bezpretensjonalność. Nieśmiała wiejska dziewczyna piastująca wyrefinowaną tajemnicę. Martin powiedział Rtiyowi, że twój uśmiech przypomina mu uśmiech Giocondy.

Żartujesz. – May włączyła elektryczny czajnik.

– Nie – odparła Genny. – Tak cię określił, mówiąc nam o tobie po raz pierwszy.

– Gioconda jest tajemnicza – stwierdziła May. – Ja taka nie jestem.

– To ty tak myślisz. – Genny przyjrzała się jej uważnie. – W istocie nikt nie widzi się takim, jakim widzą go inni.

Zastanawiając się nad tym, May zabrała się do robienia herbaty. Z sosnowego kredensu wyjęła porcelanowy dzbanuszek ozdobiony różyczkami i dwie filiżanki z malowanymi fiołkami i błękitnymi wstążeczkami oraz talerz z biszkoptami i resztę jabłkowego masła Genny.

Przy herbacie pokazała Genny albumy ze zdjęciami słynnych uroczystości ślubnych i wesel organizowanych przez jej babcie. Były tam śluby w katedrach, kościołach, latarniach morskich, jachtklubach, apartamentach na szczytach wieżowców, różanych ogrodach, babcinych rezydencjach i w sali tanecznej nad zatoką Silver Bay.

Genny opowiedziała jej o własnym ślubie z Rayem, w kościele parafialnym nad Lac Vert.

– ... gdzie Ray był ochrzczony i gdzie przystąpił do pierwszej komunii. Bardzo nudna i konwencjonalna ceremonia.

– Żaden ślub nie jest nudny – rzekła May. – Podobnie jak nie jest nudne małżeństwo z hokeistą.

– Tego jestem pewna. Jak sobie radzisz?

– Już za nim tęsknię, a to dopiero listopad. Dobrze przynajmniej, że zbliżają się święta...

– Nie rób sobie wielkich nadziei. Boże Narodzenie przypada w samym środku sezonu.

- Wiem. Staram się o tym nie myśleć. Praca nie pozwala mi na takie rozmyślania.
- Kiedy słyszę ludzi mówiących o swojej pracy, myślę: „ja też chciałabym pracować”. Chodząc po galeriach żałuję, że nie jestem malarką, a w księgarniach zastanawiam się, jakie to uczucie: napisać książkę. Chciałabym robić coś, w czym ja jestem dobra.
- Dobrze wiesz, co to takiego – powiedziała May, wiedząc, że Tobin przygląda im się uważnie, i zastanawiając się, dlaczego nie chciała usiąść z nimi do herbaty.
- Moje konfitury?
- Mówię poważnie, Genny. Narzeczeni uwielbiają wydawać pieniądze. Sprzedajemy tutaj nasze własne zioła. Mamy też firmowe świece, mydła i wszelkie możliwe drobiazgi. Wyobrażam sobie koszyk z twoimi konfiturami i jabłkowym masłem opatrzone etykietką „Weselne śniadanie”.
- Dodałabym jeszcze informację, że owoce pochodzą znad Lac Vert, najbardziej romantycznego jeziora w Kanadzie.
- Sprzedawałyby się doskonale!
- Nie wiem... – Genny zaczynała się uśmiechać. – Brzmi to zachęcająco.
- Złoty interes! Truskawki w czerwcu, czarne borówki w lipcu... co owocuje później?
- Brzoskwinie, nektarynki, wiśnie. Jeżyny. Potem jabłka... widziałeś nasz sad. Ale teraz jest listopad i aż do następnego lata nic się w nim nie urodzi – roześmiała się Genny. – I bardzo dobrze. Zawsze spała mnie słomiany ogień: marzę o czymś gorączkowo, a potem nic nie robię.
- Nie poddawaj się – powiedziała May. – Babcia Emily zawsze mówiła odwiedzającym ją kobietom: „Nigdy nie pomniejszaj własnej wartości, nawet w żartach, bo ktoś może w to uwierzyć”
- Cóż... – Genny urwała, odsuwając od siebie problem bycia żoną Raya Gardnera.
- Czy Trisha pracowała? – zapytała nagle May. Matka radziła przyszłym drugim żonom, by nigdy nie pytały o pierwsze. Przeszłość należało zostawić w spokoju i nie kusić licha. May wszakże nie mogła oprzeć się ciekawości.
- Och, była zajęta – roześmiała się Genny – jeśli wiesz, co mam na myśli. Zajmowała się sobą. Oddawała się różnym przyjemnościom, podróżowała, odwiedzała „przyjaciół”. Ray mówi, że miała romanse. To Serge przedstawił jej Martina.
- Naprawdę?
- Trisha była raczej w stylu Serge’a niż Martina – powiedziała Genny. – Markowe ciuchy, opalone na brąz wspaniałe ciało.
- Ideał. – May spojrzała na swoje zniszczone buty.
- Nie, to nie była osoba odpowiednia dla Martina – oświadczyła Genny. – Ray i ja wiedzieliśmy to od początku. Nawet Serge zrozumiał swój błąd. Typowa dziewczyna z Los Angeles: przyjęcia, popularność, blichtr...
- Martin zapewne też to lubi – powiedziała May.
- Tak mu się tylko wydawało, przez chwilę, gdy był młodszy – odparła Genny, patrząc May prosto w oczy.
- Mam nadzieję, gdyż nie wydaje mi się, by mógł znaleźć to tutaj – rzekła May, czując

podmucha zimnego powietrza wpadający przez otwór dla sów.

– Tobie to niepotrzebne – uśmiechnęła się Genny.

– Jesteś elegancka i naturalna, pamiętasz?

May wzruszyła ramionami, odpowiadając jej uśmiechem.

– Prawda; zapomniałam!

– Nawet Serge żałował, że ich sobie przedstawił, kiedy zobaczył, jak się rzeczy mają. Powiedział mi kiedyś, że żałuje, iż Martin nie spotkał dziewczyny podobnej do mnie. Kogoś, kto kochałby go takim, jakim jest. Byłby bardzo szczęśliwy wiedząc, że Martin ma ciebie.

May słuchała w milczeniu.

– To smutne – dodała Genny po namyśle. – Wiem, że Serge zrobił kilka paskudnych rzeczy. Ale na swój sposób naprawdę kochał Martina. Szkoda, że nie widziałas, jak na niego patrzył... na lodzie... z jaką dumą...

– Chcę go poznać – powiedziała May.

– Nigdy do tego nie dojdzie. Martin nienawidzi go tak bardzo...

– Ja też myślałam, że nienawidzę mego ojca – szepnęła May – i wtedy umarł.

– Przepraszam. Przykro mi.

– Okoliczności były inne. Miałam wtedy tylko dwanaście lat. Gdyby nie zginął, pewnie ledwie bym zapamiętała, że się o coś spieraliśmy. Ale on zginął. – May przypomniała sobie słowa doktora Whitpena o zasłonie dzielącej żywych i umarłych.

– To było tak dawno.

– Czasami mam uczucie, jakby wszystko wydarzyło się wczoraj. Jakże żałuję, że rozstaliśmy się w gniewie. Przez całe życie towarzyszy mi uczucie, że czegoś nie dokończyłam. Chciałabym móc cofnąć tamten dzień.

– Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak bardzo musiałaś cierpieć. – Genny współczująco dotknęła jej ramienia.

May pokiwała głową, wędrując myślami ku Tobin, która pracowała przy swoim biurku. Tobin znała jej ojca. Pomagała May przez wszystkie lata żałoby.

Patrząc na sowy śpiące pod krokwiami, myślała o swoim ojcu, o Serge'u, o rosnącej rezerwie ze strony Tobin i o tym, co to oznacza.

W listopadzie w więzieniu zawsze robiło się zimno. Akurat wtedy, gdy we wszystkich domach uruchamiano ogrzewanie, gdy na wolności pieczono indyki i kasztany, gdy miłe rodziny oddawały się wszelkim miłym zajęciom, tutaj bojlerzy przestawały działać. Serge został więc na więziennym dziedzińcu. Ściągany wspomnieniami z czasów, gdy sam był ojcem rodziny, gimnastykował się obserwując, jak jego oddech zamienia się w biały obłok.

– Zimno tu, Serge – powiedział strażnik Jim.

– Cherlakom – odparł Serge, nie przerywając robienia pompek na asfalcie.

– To prawda. Ty całe życie grałeś w hokeja.

– I do dziś jestem w formie.

– Ile to już pompek?

– Dwieście czterdzieści jeden, dwieście czterdzieści dwa... – odliczał Serge, ćwicząc bez

przerwy.

– No cóż, nie chcę, żebyś stracił rachubę – rzekł Jim, odchodząc.

Serge'owi zrobiło się trochę przykro. Jim był niemal rówieśnikiem Martina. Był w dobrej kondycji; pewnie od czasu do czasu biegał lub ćwiczył w siłowni.

– Hej! – zawołał za nim Serge, wciąż robiąc pompki – Grałeś kiedyś?

– W co? – zapytał Jim, odwracając się lekko.

– W hokeja.

– Nie. W szkole średniej uprawiałem futbol i bejsbol. Serge lekko opuścił głowę i zaczął ćwiczyć jeszcze intensywniej, zwiększając tempo.

– Martin zawsze grał w bejsbol wiosną, gdy stopniał lód na jeziorze – mruknął.

– Co mówiłeś?

– Nic.

Jim nie mógł usłyszeć zbyt cichego głosu Serge'a, więc poszedł dalej. Serge zrobił trzysta pompek i wstał, po czym podszedł do ściany, by rozciągnąć ścięgna udowe.

Poprzedniego wieczoru Martin pokonał drużynę Detroit, a dzień wcześniej – zespół Chicago. W tym roku grał jak w transie. Gazety twierdziły, że to sezon jego życia i że przyczyniło się do tego małżeństwo Martina. Małżeństwo, pisano, nie tylko nie poskromiło Złotego Młota, ale uczyniło go silniejszym. Serge wciąż jednak obserwował oczy, kostki i kolana Martina. Kiedy człowiekowi stuknie trzydziestka, kontuzje mogą zniweczyć nawet najlepszy sezon.

– Cześć, staruszkule – rzucił na powitanie Tino, chłopak z ogoloną głową, wydmuchując kłąb dymu.

– To papieros? – zapytał Serge.

– Taaa... Chcesz jednego?

– *Merde*, nie. Nie tykam tych świństw. Jesteś pewien, że to nie trawka?

– To nie jest trawka ani żadne świństwo. Jestem czysty, wciąż ci to mówię.

– *Bień* – rzekł Serge. – Dzisiaj.

Tino się roześmiał. Serge nie zmienił surowego wyrazu twarzy, lecz kącik ust mimowolnie wygiął mu się w górę.

– Zimno tutaj – powiedział chłopak.

– Słabeuszom.

– Nie jestem słabeuszem.

– Ale będziesz. Pal dalej.

Chłopak zaciągnął się i ukrył papierosa za sobą, jakby się zawstydził.

– Ile masz lat? – zapytał Serge.

– Dwadzieścia cztery.

– Ojciec przyłapał cię kiedyś na paleniu? – Serge'a nie szokował już wiek ludzi, których tu spotykał.

Chłopak wypuścił dym nosem, parszcząc śmiechem.

– Jaki ojciec? Zniknął, zanim się urodziłem. Na razie, Serge. Nie jestem słabeuszem, tylko cholernie mi zimno. Poza tym moje dzieciaki przychodzą dziś z wizytą. Lepiej zrobię,

jeśli się umyję i przygotuję.

Serge podążył wzrokiem za młodym człowiekiem, który wszedł do środka. Więzienny dziedziniec zionął pustką, a w piersi Serge'a otworzyła się wielka czeluść samotności. Zima zawsze wprawiała go w taki nastrój. Zanim jeszcze trafił do więzienia. Kiedy padał śnieg i wiał wiatr, ludziom potrzebne były rodziny.

– Mój syn też mnie odwiedzi – rzekł Serge w stronę drzwi, za którymi zniknął chłopak. Poklepał się po kieszeni spodni, gdzie zawsze nosił wyciętą z gazety fotografię Martina, May i Kylie; rodzinne zdjęcie, które obiegiło prasę przed rozpoczęciem sezonu.

Rozległ się dzwonek obwieszczający porę wizyt. Serge zignorował go, stojąc w zimnym wietrze. Tutaj czuł się trochę bardziej żywy. Zamykając oczy, mógł widzieć jezioro; zagnieżdżone wśród gór, z lodem ciemniejszym niż na innych jeziorach Kanady. Na tym jeziorze nauczył Martina jeździć na łyżwach. Marzyli, że pewnego dnia zagrają w jednej drużynie. Wielkie marzenia... Serge obiecywał, że się ziszczą.

– Gdybym ja przyłapał mojego chłopaka na paleniu, zrobiłbym wszystko, żeby przestał – powiedział na głos. Oto co powinni robić dobrzy ojcowie: pomagać swoim dzieciom w robieniu rzeczy właściwych; takich, które są dla nich najlepsze.

– Serge! – zawołał Jim. – Nie jest ci za zimno?

– Jeździmy na łyżwach. – Serge otworzył oczy, ale wciąż miał przed nimi ciemne jezioro. – Mój syn i ja.

Wiedział, że to szaleństwo: stać na zimnie, gdy w środku jest cieplej i niebawem zaczął wydawać posiłek. Ale tutaj oddychał prawdziwym powietrzem; powietrzem, którym gdzieś oddychał Martin. Gdyby kiedyś przyjechał, musiałby przejść przez tamtą bramę... Serge spojrzał w prawo, na wschód.

Martin musiałby przejść przez te bramy.

Znów zamknął oczy. Skute ciemnym lodem jezioro zniknęło; teraz przez więzienne wrota szedł Martin. Zacisnąwszy powieki, Serge widział syna z żoną i z tą małą dziewczynką.

Zawrócił do środka. W długiej drodze do celi przystanął obok sali dla odwiedzających, słuchał brzmienia głosów kobiet i dzieci. Przyciągały go – coraz mocniej; omal tam nie wszedł.

Tino siedział przy długim stole. Pochylała się ku niemu drobna, ciemnowłosa kobieta. Jedno dziecko siedziało mu na kolanach, a drugie stało tak blisko, jak tylko to możliwe, jakby okropna rozłąka wzbudziła w nim pragnienie, żeby się wtopić w ojca.

Tino miał lśniące oczy i uśmiech, jakiego Serge nigdy wcześniej nie widział na jego twarzy. Synek Tina miał jego uśmiech, jego budowę. Z zapartym tchem Serge patrzył, jak dziecko chwyta ojca za uszy i całuje.

Wiedząc jak boli rozłąka i zdając sobie sprawę, że pragnienie bliskości znaczy nie mniej dla ojca niż dla syna, Serge odwrócił się i szybko odszedł.

May zaczęła dostawać listy od entuzjastek hokeja. Nie mogła się temu nadziwić, ale kobiety z całej Ameryki i Kanady zaciekawione były zarówno historią jej miłości, jak i tym, że przeżyła wiele lat jako niezamężna organizatorka wesel.

To daje mi nadzieję, że być może również ja kogoś spotkam – pisała pewna kobieta. Inne prosiły o miłosny urok lub pomoc w zorganizowaniu uroczystości ślubnej. May starała się odpowiadać na wszystkie listy, ale była przytłoczona zarówno pracą, jak i obowiązkami domowymi.

Pewnego mroźnego dnia między kolejnymi meczami Martin przywiózł do domu dwie pary figurowych łyżew – dla May i Kylie – i zabrał je na staw za Weselną Gospodą.

May nie jeździła na łyżwach od wielu lat. Czując się niepewnie, pozwoliła Martinowi, by objął ją w talii i ciągnął po lodzie. On zaś sunął jak wiatr, szybko i pewnie, trzymając ją mocno i szepcząc do ucha, zanim nie złapała równowagi. Potem bez tchu usiadła na jakiejś kłodzie i przyglądała się, jak Martin jeździ z Kylie. Piszcząc z radości, Kylie chciała ślizgać się przez cały wieczór i tak właśnie zrobili – jeździli dotąd, aż na niebie pojawiły się gwiazdy, a temperatura spadła do dwudziestu stopni poniżej zera.

Pierwsza pocztówka nadeszła w stosie świątecznych życzeń. Siedząc przy biurku, May spoglądała za okno w stronę stawu i żałowała, że Martina nie ma w domu. Chętnie pojeździłaby z nim znów na łyżwach.

– Do ciebie – rzekła Tobin, kładąc kartę na biurku May.

– Co to jest? – zapytała May.

– Zagadka – odparła Tobin. – Nie powinnam była czytać, ale mimowolnie zerknęłam.

May z bijącym sercem obejrzała widokówkę. Fotografia przedstawiała jezioro latem, a treść była krótka: *Dbaj o niego*. Karta była zaadresowana do niej, lecz nie podpisana. Stemplem pocztowym opatrzone ją w Estonii w stanie Nowy Jork.

– Kto mieszka w Estonii? – zapytała Tobin.

May wiedziała: Serge Cartier. Było tam więzienie; czytała o nim wystarczająco wiele. Już chciała odpowiedzieć, ale... wiedząc, co Martin myśli o swoim ojcu, May nigdy nie rozmawiała o nim z Tobin, teraz więc się zawahała.

– Nie wiem – bąknęła rumieniąc się, gdyż skłamała. Pragnienie wyrzucenia z siebie wszystkiego wręcz ją przygniatało. Tobin stała w oczekiwaniu, a wyraz jej twarzy mówił, że czuje się dotknięta. Naprawdę coraz bardziej oddalały się od siebie w ostatnich miesiącach. May otworzyła usta i zamknęła je z powrotem. Wsunęła kartę do torebki, a Tobin wróciła do swoich zajęć.

Na dnie torebki leżał niebieski notes: dziennik z opisami snów i widzeń Kylie. Od minionego lata May nie kontaktowała się z doktorem Whitpenem, nie było też żadnych wydarzeń do zanotowania. Żadnych snów o aniołach ani pytań o Natalie. Jednakże przesuając po dzienniku koniuszkami palców, May mimo woli pomyślała o tym, co doktor Whitpen mówił o zasłonie: że Kylie widzi przez nią, że być może ciągnie ją do Martina tragedia jego dziecka – i ojca. May wepchnęła notes głębiej i zamknęła torbę.

Nie pokazała Martinowi karty, ale nie mogła przestać o niej myśleć.

Pewnego grudniowego dnia, gdy zespół Boston Bruins przegrał na własnym lodowisku z Rangersami, oboje z Martinem wyjeżdżali z garażu przeznaczonego dla zawodników. Wielbiciele, rozpoznając jego czarne porsche, biegli za nim, prosząc o autografy. Martin

opuścił szybę samochodu, by podpisać podsuwane mu programy meczu. Kolekcjonerami autografów byli głównie ojcowie z synami, ale w grupie May dostrzegła też kilka pięknych kobiet. Martin rozdawał autografy w milczeniu, zachowując przy tym kamienną twarz.

Nawet gdy wyjechali, nie odezwał się ani słowem. May wiedziała już, że Martin właśnie tak postępuje po przegranej: analizuje mecz, roztrząsa własne błędy i myśli o posunięciach, które mogłyby przynieść inny wynik.

Z okazji Bożego Narodzenia Boston jarzył się białymi światełkami i May, mimo chmurnego nastroju Martina, poczuła, że poprawia jej się humor.

– To nasze pierwsze wspólne święta – powiedziała.

– Nadal nie żałujesz, że wyjechaliśmy z Black Hall? – zapytał.

– Nie. Lubię twój... nasz dom – poprawiła się. – Mogę wykonywać tu większość swoich zajęć, a dojeżdżanie dwa razy w tygodniu naprawdę mnie nie męczy.

– To dobrze. – Sięgnął po jej dłoń i położył ją sobie na kolanie. – Bałem się, że będziesz tęsknić za ciocią i Tobin.

– Martin, skoro mówimy o rodzinie... – zaczęła. Dojeżdżali do dzielnicy Boston Common, a w jej torebce płonął niebieski notes i kartka od Serge'a. – Chciałabym poznać twojego ojca.

Nie powiedział ani słowa. Czerwone światło zmieniło się na zielone, lecz Martin nie ruszał z miejsca. Dopiero gdy samochód stojący za nimi zaczął trąbić, odjechał pospiesznie.

– Nie, May – odparł, spoglądając we wsteczne lustro, żeby sprawdzić, czy tamten wciąż jedzie tuż za nim.

– To twój ojciec. Wiem, co zrobił, ale jest stary. Siedzi w więzieniu, całkiem sam... I sądzę...

– Nie znasz go.

– Chciałabym poznać – odparła May. Nie mogła się pozbyć z myśli doktora Whitpena.

Jechali krętymi brukowanymi ulicami, aż zatrzymali się przed frontem domu na Marleybone Square. Piękny budynek w starym kolonialnym stylu miał lśniące białe futryny i ciemne okiennice. May zrobiła świąteczny wieniec na frontowe drzwi i wraz z ciocią Enid uplotła girlandę z laurowych liści do zawieszenia nad piętrze. Ciocia Enid przyjechała na kilka dni i była teraz w domu z Kylie.

– Posłuchaj... – Martin potarł oczy. Był zestresowany i zmęczony grą, miał zaciśnięte szczęki i zmarszczone brwi. – Myślisz, że ludzie są dobrzy i uczciwi. Tak widzisz świat i za to cię kocham.

– Wiem, że ludzie popełniają błędy.

– Błędy przybierają różne kształty i rozmiary. To, że dzisiaj przegapiłem podanie Raya, było błędem. Ty winisz się za to, iż nie pocałowałaś swojego ojca na pożegnanie. To twoje zdanie; jatak nie sądzę. Błędy mojego ojca były całkiem innego kalibru.

– Nie wierzysz w przebaczenie?

– Zapytaj mnie o to – Martin zimno spojrzał jej w oczy, otwierając drzwi – gdy coś złego stanie się Kylie.

Wszedł do domu, zostawiwszy May za sobą.

Poczuła się niewypowiedzianie zraniona i wstrząśnięta. Idąc za Martinem, rozglądała się wokół. Ciocia Enid zajmowała jeden z gościnnych pokoi i zapewne wraz z Kylie spała teraz na górze. Dom Martina był skromny, urządzonej raczej jak wnętrze hotelowe niż eleganckie mieszkanie w najlepszej dzielnicy Bostonu. Przez wszystkie kawalerskie lata wystarczyła mu skórzana sofa i kilka szafek z trofeami hokejowymi.

Martin dał jej wolną rękę w urządzeniu mieszkania, jak dotąd jednak May była zajęta pracą w swej Gospodzie i pomaganiem Kylie, by zadomowiła się w nowej szkole. Nie zdążyła zatem dokonać żadnych zmian. Teraz poczuła, że ów męski wystrój wręcz ją odpycha. Martin był w kuchni i nalewał sobie szklankę mleka.

– Przepraszam – rzekł. – Nie powinienem był mieszać do tego Kylie. Nie to chciałem powiedzieć.

– Wiem.

– May, nie wyobrażasz sobie, co się czuje tracąc dziecko. Modlę się, żebyś się tego nigdy nie dowiedziała.

– Ja też się o to modlę.

– To jest piekło – powiedział. – Nie przesadzam.

– Wcale nie myślę, że przesadzasz.

– Widziałem jej przyjście na świat. Trzymałem ją w ramionach w sali porodowej. Jej ulubionym kolorem był róż. Lubiła piłkę nożną. Nauczyciele mówili, że dobrze rysuje i tańczy. Była śliczna... cudowna... Była moja. Miała przed sobą całe życie, May, a on ją tego życia pozbawił.

– On jest w więzieniu, Martin – powiedziała May.

– Ale nie za jej śmierć. Mam nadzieję, że zostanie tam na zawsze.

– Wcale tak nie myślisz.

– O czym ty mówisz?

– Nie chciałeś sprawić mu zawodu w minionym sezonie. Sam mi mówiłeś... czuleś, że może obserwuje cię z więzienia.

– *Mon Dieu* – Martin oparł się o zlew, kręcąc głową. – Nie musisz mieć aż tak dobrej pamięci. Przeszanę mówić ci różne rzeczy, jeśli będziesz je obracała przeciwko mnie.

May patrzyła na śnieg padający za kuchennym oknem. W śniegu zawsze znajdowała spokój, ale dziś pogoda wprawiała ją w irytację. Martin przekręcał jej słowa, a ona nie wiedziała, jak przywrócić im właściwy sens.

– Powiedziałeś – zaczęła ostrożnie – że ludzie sądzą, że się go wyrzekłeś, ale...

– Zostawmy to. Wyrzekłem się go i koniec.

– Nie wierzę.

– Posłuchaj, May – obrócił się, by stawić jej czoło. Miał w oczach napięcie i chłód. – Hokej i mój ojciec połączeni są ze sobą na zawsze. Kiedy wyjeżdżam na lód, on tam jest. Słyszę jego głos mówiący mi, co robić, jak jechać, jak strzelić bramkę. On po prostu stale jest obok mnie.

– Twój pierwszy nauczyciel.

– Wielki Serge Cartier – odparł Martin z nienawiścią. – Mój ojciec.

May patrzyła na jego rosnący gniew, czując ucisk w żołądku. Przypomniało jej się ostatnie lato. Martin miał czerwoną twarz i nabrzmiałe żyły na szyi. Stojąc w kuchennych drzwiach rozsunął ramiona i napiął mięśnie, jakby chciał zburzyć cały dom.

– Czasami wydaje mi się, że chcę wygrać Puchar Stanleya tylko po to, żeby mu zamknąć gębę! – mówił dalej. – Żebym mógł iść na emeryturę i wyrzucić go z pamięci! Wiesz, ile Pucharów wygrał? Trzy. Zrobił na tym majątek, a potem roztrwonił wszystkie pieniądze. Przegrywał je w karty, podczas gdy matka i ja musieliśmy prosić obcych o pomoc.

Głodowaliśmy i marzliśmy nad Lac Vert, a on żył tu na wysokiej stopie, jak bogacz.

– Nie przysyłał wam pieniędzy?

– Pieniądzy? – powtórzył Martin, jakby nagle zapomniał znaczenia tego słowa. – Przysyłał tyle, ile musiał. Nie wystarczało.

May słuchała i myślała, co się czuje wiedząc, że ojciec żyje jak król, gdy matka jest zmuszona walczyć o przetrwanie. Uraz, który musiał wtedy powstać, zapewne wciąż w nim tkwi, pomyślała obserwując, jak Martin przemierza kuchnię.

– Hazardzistom w istocie nie chodzi o pieniądze – mówił Martin coraz cichszym głosem, który brzmiał chrapliwie i przypominał May głos zwierzęcia. – Chodzi o życie na krawędzi; o to, żeby się do niej zbliżyć i zatrzymać, zanim się spadnie. Zrobił to ze mną... – dotknął swego torsu. – I zrobił to z Natalie. Ale nie zatrzymał jej w porę. Postawił w grze życie mojej córki!

– Och, Martin... – wyciągnęła rękę, lecz nie ośmieliła się go dotknąć. Cofnęła się do kąta, skulony przyciskał do siebie dłonie, jakby się bał, że przebije pięścią ścianę.

– Powiedział, że mu przykro – mówił dalej. – Przykro. Tylko tyle.

– Musiał mieć straszne wyrzuty sumienia – rzekła May, próbując to sobie wyobrazić.

Martin wydał z siebie tchnienie, które ostrością i brutalnością przypominało podmuch lodowatego, arktycznego wiatru.

– May, chcę go wyrzucić ze swego życia, a nie zachowywać w pamięci. Kiedy poznałem ciebie i Kylie, uznałem to za błogosławieństwo. Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś otrzymam taki dar: żonę i dziecko. Zostaw Serge'a tam, gdzie jest i gdzie nie może nas skrzywdzić.

Głos Martina drżał. Twarz wciąż miał purpurową, ale opuścił ramiona, jakby przeszła mu ochota burzyć ściany. May pomyślała, że w jego głosie brzmi lęk. Jej mąż hokeista, nieustraszony na lodzie i zawsze pierwszy do walki – trząsał się ze strachu.

– On nie może cię skrzywdzić, Martin. Nie skrzywdzi cię już nigdy.

– Ja chcę chronić ciebie, May. Ciebie i Kylie. Rozumiesz?

– Nie potrzebuję ochrony przed twoim ojcem – odparła.

– A to jest dla mnie ważne! Nie chcę, żeby nasza rodzina była kaleka! Nie chcę, żebyś ty nosił w sobie takie pęknięcia. Zastanów się, czy...

– Jezu Chryste! – wybuchnął Martin – Nie chcę wprowadzać go w nasze życie. Nie chcę, czy ci się to podoba czy nie! Uważam, że potrzebujesz ochrony. A o moją psychę nie musisz się martwić, nic jej nie dolega – spojrzał na nią gniewnie, potrząsając głową, a potem zerknął na zegarek.

– Rano muszę jechać do St. Louis. Chcę się trochę przespać. Idziesz?

May zatrzymała się u podnóża schodów, oddychając ciężko. Co Martin miał na myśli mówiąc, że musi chronić ją? Bzdura, kiepska wymówka, żeby uniknąć stawienia czoła własnym uczuciom. Skoro potrafił tak długo odwracać się od ojca, kto jej zaręczy, że pewnego dnia nie obróci się przeciwko niej? A jeśli Kylie go zawiedzie, czy zatrzaśnie jej drzwi przed nosem? Jego gniew zniszczy wszystko, co stanie mu na drodze. May czuła rosnącą wściekłość.

– On jest twoją rodziną! Tak jak ja i Kylie! – krzyknęła.

Martin odetchnął ciężko i potrząsając głową ruszył ku schodom.

– Idź, idź spać – powiedziała gorzko.

Za oknami śnieg padał na kamienne trotuary i brukowane zaułki, osiadając na dachach i wirując na dymiących kominach Beacon Hill.

Czekała, aż Martin się odwróci, ale nie zrobił tego. Słyszała, jak wszedł do pustego pokoju gościnnego.

May zatem zrobiła to, czego wiarna przysiędze sprzed przeszło dwudziestu lat miała nigdy nie robić: poszła spać w gniewie. W jej krótko trwającym małżeństwie zdarzyło się to już więcej niż jeden raz. Miała wrażenie, że za chwilę wybuchnie. Czuła, że łzy płyną jej po twarzy.

Zapragnęła porozmawiać z Tobin. Sięgnąwszy po telefon, wystukała numer przyjaciółki, ale kiedy usłyszała jej głos, odłożyła słuchawkę. Zamiast tego wystukała inny numer, kanadyjski; ten z którego nie korzystała od dawna. Ben Whitpen przywitał ją z automatycznej sekretarki. Odłożyła słuchawkę, zanim rozległ się sygnał.

Przed świtem Martin zszedł na dół, a potem wrócił do sypialni. Za kilka godzin miał ruszyć w drogę, a wciąż nie mógł zasnąć. Był wyczerpany. Chciał pogodzić się z May, ale nie potrafił. Złość trzymała go przez całą noc. Złość wymierzona najpierw w May, za to, że uparła się ingerować w coś, czego nie potrafiła zrozumieć. Niebawem jednak skierował swą wściekłość pod właściwy adres: ku ojcu. Za to, że porzucił go w dzieciństwie, a wrócił do jego życia tylko po to, by zabić jego śliczną córkę.

May tego nie rozumiała.

Kiedy powiedział, że musi ją chronić, właśnie to miał na myśli. Obiecał ją kochać, czcić i pielęgnować, co w jego słowniku oznaczało trzymanie jej z dala od ojca – bez względu na to czy ojciec był w więzieniu, czy na wolności. Była taka mała, delikatna, wrażliwa i idealistycznie nastawiona do świata. Naprawdę uważała, że istnieje analogia między dwunastoletnią dziewczynką odmawiającą tatusiowi buziaka na do widzenia, a noszącym liczne blizny weteranem ligi hokejowej, który z całego serca nienawidził swego ojca.

Gdyby Serge umarł, Martin byłby zadowolony. Poczulby ulgę, czułby się uwolniony od brzemienia. Nienawiść i poczucie winy były ciężarem trudnym do udźwignięcia, a Martin dźwigał go codziennie. Wpatrując się w sufit pokoju gościnnego pragnął, żeby May zaakceptowała tę sytuację. Nie musiała jej pochwalać, chciał jednak, żeby przestała wywierać na niego nacisk.

Myśląc o May, nabrał w końcu odwagi, żeby wejść do sypialni. Miał nadzieję, że nie

zacznie od nowa, pytając, czy zmienił zdanie. Nadchodziło Boże Narodzenie i snuła fantastyczne plany, by odwiedzić starego w więzieniu. Prędzej piekło zamarznie, zanim do tego dojdzie! Wciąż kręcąc głową, Martin podszedł do łóżka.

W świetle ulicznej latarni wpadającym przez okno zobaczył, że May leży twarzą do ściany. Ramiona miała skulone, a oddech nieco krótki. Chyba nie spała.

– May – szepnął.

– Witaj.

– Nie mogłem zasnąć.

– Ja też.

Przerwał, dotykając jej włosów. Z bijącym sercem czekał, aż zapyta, czy zmienił zdanie w sprawie swego ojca. Nie zapytała.

Obróciła się ku niemu, otwierając ramiona. Była ciepła, ciepłe było również łóżko. Wśliznął się pod kołdrę i objął ją mocno, świadom, że wkrótce musi wyjechać. Zastanawiał się, dlaczego zmarnowali na kłótnię ostatnią w tym tygodniu wspólną noc.

– Nie chcę cię opuszczać – powiedział.

– Cieszę się, że przyszedłeś.

– Pada śnieg. Może lot będzie odwołany.

– Mam nadzieję – powiedziała, całując go gorącymi ustami.

ROZDZIAŁ 13

Mecz hokejowych gwiazd wszech czasów zaplanowano na 10 lutego w Calgary, z Martinem jako prawoskrzydłowym. Kylie i May miały mu towarzyszyć w podróży na północny wschód Kanady, ale mała zachorowała na anginę, co zatrzymało je w Bostonie.

Skulona w łóżku, Kylie oglądała mecz w telewizji. Jej mama siedziała obok w fotelu i głośno wiwatowała na cześć Martina, jakby obie były na trybunie.

– Gdzie jest Ray? – zapytała Kylie. – Gdzie są inni Bruinsi?

– Martin jest jedynym członkiem tej drużyny nazywanym gwiazdą wszech czasów – wyjaśniła mama. – Ten mecz różni się od innych.

– Jesteś zła, że zachorowałam?

– Dlaczego miałabym być zła? – zapytała mama z uśmiechem.

– Bo chciałabyś tam być.

– Chcę być tutaj i opiekować się tobą.

Kylie pokiwała głową. Przy mówieniu bolało ją gardło, oszczędzała więc głos. Nie przyzwyczaiła się jeszcze do posiadania obojga rodziców, czasami zaś słyszała gniewne głosy dochodzące z holu. Martin potrafił krzyknąć tak donośnie, że cały dom się trząsnął. Mama też czasem krzyczała, ale na ogół tłumiała gniew w sobie. Ramiona splatała wtedy ciasno na piersiach, a jej usta zmieniały się w cienką kreseczkę. Kylie wyczuwała ich nastroje i bardzo się bała. Bała się, że przestaną się kochać i wezmą rozwód tak jak rodzice innych dzieci.

– Czy Martin jest zły, że nie ma nas przy nim na tym meczu? – zapytała.

– Oczywiście, że nie. Kylie, dlaczego wciąż zadajesz takie pytania?

– Ja tylko chcę, żebyście byli razem – powiedziała Kylie, czując że gardło jej płonie.

– Jesteśmy razem.

– Dlaczego niektóre rodziny się rozpadają?

– Nie wiem, kochanie – odparła mama. – Czasami, mimo że bardzo się starają, nie udaje im się bycie razem. Może pragną od życia czegoś innego, może cenią zupełnie inne rzeczy albo stwierdzają, że nie potrafią ze sobą rozmawiać.

– Nie potrafią udawać?

To pytanie musiało mamę zasmucić, bo jej oczy napęłniły się łzami i na chwilę pochyliła głowę, ale kiedy ją podniosła, miała na twarzy miły uśmiech.

– To nie jest dobry sposób – powiedziała, biorąc Kylie za rękę. – Każdy musi być prawdziwy dla samego siebie. Wiesz, co to znaczy?

– Nie wiem, powiedz mi.

– To oznacza, że twoje uczucia są tak samo ważne jak uczucia drugiej osoby. Nie musisz udawać, że nic nie znaczysz.

– Nawet po to, żeby wszystko się dobrze układało? – zapytała Kylie.

– Nawet wtedy. Możesz pójść na kompromis, ale nie musisz udawać.

– Ko... kom... kompromis?

– Śpij już, maleńka.

Kylie zamknęła oczy. Wiedziała, że Martin kiedyś się rozwiódł, że mieszkał z dala od Natalie i że nawet nie rozmawiał z własnym ojcem. A jeżeli naprawdę był zły i postanowił już nigdy nie odezwać się do mamy i do niej?

W ciemnym pokoju jaśniał tylko ekran telewizora. Za oknami padał śnieg i Kylie słyszała pług śnieżny przejeżdżający obok domu. W Bostonie było głośniejsze niż w Black Hall, ale Kylie nie miała nic przeciwko temu. Miasto sprawiało, że czuła się jak dziewczynka z bajki. Ich dom był duży i ładny, a w zeszłym tygodniu przyjechała ciężarówka z meblami, które mama zamówiła, żeby urządzić te wielkie pokoje. Martin z każdej podróży przywoził Kylie zabawki. Jedyną nieprzyjemną rzeczą były ich sprzeczki, najlepszą zaś to, że miała Martina. Nie z powodu zabawek czy pięknego domu, ale dlatego, że zawsze chciała mieć ojca. Czasami przysyłał faksem wiadomości z hotelu; było wśród nich zawsze parę słów do Kylie. Niekiedy rysował jej niedźwiedzia na łyżwach, ponieważ o Bruinsach mawiano „bostońskie misie”. Jej ulubionym rysunkiem był wizerunek niedźwiedziej rodziny, niedźwiedziej mamy, niedźwiedziego taty i niedźwiedziej córeczki z miseczką kukurydzianych płatków podpisana „Kylie”.

Chociaż wciąż nie potrafiła nazywać go „tatusiem”, Kylie czuła się tak, jakby nareszcie miała ojca. Kiedy był w domu, otulał ją kołderką i opowiadał bajki. Razem marzyli o wiosłowaniu po całym jeziorze Lac Vert i spotkaniu z królem pstrągów. Gdy poszła do szkoły, była dumna; nie dlatego, że mieszkała w domu Martina Cartiera – wielkiego hokeisty, lecz dlatego, że miała ojca.

– Ojciec, ojciec, ojciec... – powiedziała głośno.

– Co się stało, kochanie? – zapytała mama, odrywając wzrok od telewizora.

– Och, nic – mruknęła Kylie. Miała rozpaloną głowę i wiedziała, że gorączkowo śni. Poszybowała we śnie do swojej dawnej szkoły, za którą tęskniła. Tęskniła za wszystkimi, nawet za Mickeyem i Eddiem.

Dzieci w Bostonie były inne. W każdą sobotę pobierały lekcje wszystkiego: gry na instrumentach, rysunku, gimnastyki, jazdy figurowej na łyżwach, jazdy konnej, a nawet wiedzy o sztuce w Muzeum Sztuk Pięknych. Czasami mamy innych dzieci pytały jej mamę, czy Kylie chciałaby się przyłączyć do jakiejś grupy, ale Kylie nie chciała i mama jej nie zmuszała. Wiedziała bowiem, że Kylie chce się po prostu bawić, a nie „rozвивać”.

Kylie rzadko miewała gorączkę, ale gdy się to zdarzało, zapadała w rodzaj snu na jawie. Rzeczy, które nie mogły być prawdziwe, wydawały się bardzo prawdziwe. Kiedyś opowiadała o nich doktorowi Whitpenowi. Prawdziwe niczym ten stojący w pokoju kosz na bieliznę, który przypominał skulonego chochlika strzegącego brudnych koszulek, skarpetek i poszewek, jakby połknął jakiś wielki skarb. I budzik na nocnym stoliku Martina, podobny do płaskogłowej istoty z błyszczącymi czerwonymi oczami.

– Obiecuj, że nigdy mnie nie opuścisz, mamusiu – szepnęła, obejmując mamę.

– Obiecuję – odparła May, odgarniając jej włosy ze spoconego czoła.

– Dlaczego wszystko musi się zmieniać? – wychrypiała Kylie. – Dlaczego to, co dobre, nie może trwać wiecznie? Chciałabym, by dobre rzeczy trwały zawsze...

– Zawsze będę cię kochać, Kylie – powiedziała mama. – Zawsze, zawsze, zawsze...

Biała nocna koszula mamy przewieszona przez oparcie fotela na biegunach poruszyła się i Kylie przez chwilę myślała, że to Natalie. Nagle w głębi serca poczuła też przesłanie, jakby przyszło bezpośrednio od córki Martina: *Pogódź ich, pogódź ich...*

– Kogo pogodzić, mamu? – zapytała.

Pierwszego dnia, gdy Kylie poczuła się wystarczająco dobrze, by pójść do szkoły, nadeszła kolejna pocztówka. Przedstawiała miejski park w zimie i dzieci jeżdżące na łyżwach po parkowym stawie. Odwróciwszy ją na drugą stronę, May przeczytała, iż jest to zdjęcie parku w Estonii. Poniżej widniały słowa: *W tym sezonie gra lepiej niż kiedykolwiek. Zapewne dlatego, że mu kibicujesz. Ja też.*

Podobnie jak inne, ta karta również była nie podpisana. May zastanawiała się, czy Serge kupił ją w więziennej kantynie, czy ktoś mu ją dał. Ten człowiek był przestępcą, ale to jednak jej teść. Pomyślała o oszustwach, które go tam zaprowadziły i ludziach, których skrzywdził.

Minionej nocy May wyjęła niebieski notes. Opisała w nim wszystko, co zdarzyło się w czasie choroby Kylie; także jej słowa: „Pogódź ich”. Trzymając w dłoniach dziennik i wpatrując się w pocztówkę, sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Toronto.

– Miałem nadzieję, że jeszcze panią usłyszę – powiedział Ben Whitpen.

– To zaczęło się od nowa – rzekła May. – Długo myślałam, że majaki się skończyły. Jednak pewnego wieczoru...

Doktor Whitpen w milczeniu wysłuchał jej opowieści. Na końcu wspomniała o pocztówkach od Serge’a.

– Czy Kylie je widziała?

– Chyba nie.

– Czy słyszała, jak mówi pani Martinowi, że chciałaby poznać jego ojca?

– Nie. Martin wpada wtedy w złość, a ja bardzo dbam o to, żebyśmy się nie kłócili w jej obecności.

– Powiada pani, że Kylie w gorączce słyszała słowa Natalie?

– Tak – odparła May z bijącym sercem. – „Pogódź ich”, powtarzała. „Musimy ich pogodzić, mamusi”.

Lekarz milczał; w tle klikały klawisze jego komputera.

– Powiedziała pani, kogo chce pogodzić?

– Nie. To było całe przesłanie.

– Przesłanie Kylie czy przesłanie Natalie?

– Kylie powiedziała mi, że to słowa Natalie – odparła May i dodała szybko: – ale w pokoju nikogo nie było!

– Dla Kylie ktoś tam jednak był.

– Ja tam byłam.

– Pani nie widzi tego, co widzi Kylie.

– Twierdzi pan, że widziała Natalie?

– To nie jest takie proste.

– Ale właśnie to sprawia, że wydaje się szalona, choć taka nie jest. Sądzę, że po prostu to wymyśliła. Ma tkliwe serce i jest wrażliwa na ludzką krzywdę.

– Ma pani na myśli krzywdę Natalie?

– Tak.

– Sądzę, że w istocie chodzi o kogoś innego... – zaczął doktor Whitpen, po czym zmienił kierunek rozmowy. – Metafizycznym źródłem tej wizji są pocztówki. One coś wywołały, pani Cartier.

– W Kylie?

– Nie w niej. Wokół niej.

May wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy.

– Ale ja nikomu o nich nie mówiłam i nie wydaje mi się, żeby Kylie je widziała.

– Kylie wyczuwa spowodowane przez nie napięcie w atmosferze i w pani. Prawdopodobnie wyczuwa nawet siłę tęsknoty Serge’a.

– Ale dlaczego?

– Podobnie jak niegdyś szok spowodowany widokiem wisielca stał się katalizatorem ujawniającym dar Kylie, tak i teraz owe widokówki pchnęły ją do wypełnienia misji.

– O czym pan mówi? – zapytała May.

– Z tego, co pani mi opowiedziała, wynika, że chodzi o Martina i jego ojca. „Połącz ich”; tak brzmiało przesłanie, prawda?

– Tak, ale...

– Jestem przekonany, że odnosi się do Martina i jego ojca.

– To niemożliwe.

– W świecie metafizyki – rzekł doktor Whitpen – wszystko jest możliwe.

– To przerasta Kylie – oświadczyła May. – Problemy, jakie dzielą Martina i jego ojca, są zbyt głębokie, aby Kylie mogła je zrozumieć.

– Czyżby? – zapytał miękko Whitpen. – Nie byłby to pierwszy raz, gdy młody człowiek stawia sobie za cel zmianę trudnej sytuacji. Przychodzi tu na myśl Dawid, Hamlet...

– To szaleństwo – rzekła May. – Przywołuje pan postaci z Biblii i literatury, a ja mówię o mojej córeczce. Miała gorączkę, była chora...

– Wiem, że to trudne do zrozumienia, pani Cartier, ale słusznie pani postępuje. Proszę nadal wszystko zapisywać.

– Nie mam żadnego wyboru – powiedziała May.

– Gdybym tego nie robiła, sama bym oszalała.

– Mam nadzieję, że kiedy będzie pani gotowa, znów przywiezie pani Kylie na spotkanie ze mną. Myślę, że te spotkania są dla niej cenne. Dzieciom takim jak Kylie bardzo pomaga przekonanie, że są rozumiane.

May podziękowała i odłożyła słuchawkę.

Po południu, nie mówiąc Tobin ani cioci Enid, gdzie się wybiera, May pojechała odwiedzić groby swoich rodziców. Pochowano ich na otoczonym kamiennym murem i kręgiem sosen małym cmentarzu na brzegu rzeki Ibis w Black Hall.

Śnieg już stopniał i ze zbrązowiałej trawy wyłaniały się krokusy.

May weszła na kamienną ścieżkę. Była zdenerwowana, jakby szła z wizytą do ludzi, których ledwie zna. Przez kilka lat przychodziła tu z babcią. Emily opiekowała się grobami

córki i zięcia, grabiąc liście jesienią, sadząc kwiaty wiosną i opowiadając May o rodzicach. Czasami przychodziły na cmentarz wraz z Tobin. Ale potem May dorosła i pochłonięta własnym życiem przestała tu bywać.

To była jej pierwsza wizyta od wielu lat. Na nagrobkach leżały zwiędłe liście, a jedynymi roślinami były chwasty. May pochyliła głowę pod marcowym wiatrem i oparłszy dłoń na kamiennym nagrobku, poczuła w palcach zimno.

Na nagrobnej płycie widniały imiona jej rodziców wraz z datami ich narodzin i śmierci. *Samuel i Abigail Taylorowie*. Dotykając głęboko wyciętych liter, May usiłowała zrozumieć, dlaczego tu przyjechała. Wokół niej rozciągały się wzgórza oraz milczące, puste lasy. Rzeka Ibis – wąski dopływ szerokiej rzeki Connecticut – pokryta była lodem. Brunatne liście sklezione ze zbutwiałą trawą przymarzły do nagrobka. Uklękawszy, zaczęła go czyścić. Robiąc to, dotknęła głową nagrobnej płyty. Pomyślała o matce i ojcu; jej serce wypełniło się miłością. Tak dużo czasu minęło od dnia, gdy ostatni raz widziała rodziców... Dorosła, urodziła dziecko, wyszła za mąż...

Wiatr rozwiewał liście.

May pochyliła głowę i zapłakała. Pomyślała o latach, jakie im odebrano. Wydawało się to okrutne, niesprawiedliwe. Rodzice byli tu, w ziemi, zaledwie kilka mil od Weselnej Gospody, podczas gdy inni przeżywali dni, miesiące i lata, jakby mieli do nich niezbywalne prawo. Pomyślała o Martinie i jego ojcu; o tym, jak marnują swój czas w walce.

Zamknawszy oczy, próbowała przywołać obraz twarzy swojego ojca. Zapamiętała ją jako urodziwą, wesolą, z orzechowymi oczami i olśniewającym uśmiechem. Była to twarz pełna miłości. Odwracając się do niego plecami, zobaczyła na niej ból.

Co powiedział doktor Whitpen? Że dzieciom takim jak Kylie bardzo pomaga przekonanie, iż są rozumiane. May cofnęła się myślą o dwadzieścia cztery lata i wspomniała, jak się czuła, uświadomiwszy sobie, że ojciec umierał nie słysząc jej głosu.

– Kocham cię, tatusiu – wyszeptała, dotykając kamienia. – Właśnie to chcę ci powiedzieć.

Nie odpowiedział. W przeciwieństwie do Kylie May nie potrafiła porozumiewać się przez tę zasłonę, woal śmierci, o którym mówił Whitpen. Ale stała się dziwna rzecz... Była pełna wiary, że ojciec ją słyszy. Poczula dreszcz, jakby pogłaskał ją po głowie.

Poczula miłość ojca i nagle przestała wątpić, że jest przy niej. Mówił, że też ją kocha, że dawno jej wybaczył; niemal słyszała w powietrzu jego głos. Marcowy wiatr poruszał gałęziami drzew. Uklękła tam, gdzie stała, na kilka następnych minut, a potem czując się tak, jakby zdjęto z niej wielki ciężar, i wiedząc już co ma zrobić, pojechała prosto do domu.

ROZDZIAŁ 14

Pewnego wieczoru, gdy Martin był w domu, zima zamieniła się w wiosnę i wszyscy wybrali się na przechadzkę z Beacon Hill do parku. Zachodzące słońce obmyło zacne bostońskie kamienice różowym światłem, a nagie gałęzie w miejskim parku wyglądały na tle nieba jak czarny ornament. Kylie szybko pobiegła naprzód, żeby zobaczyć kaczki na parkowym stawie; May i Martin powoli szli za nią.

– To Martin Cartier! – posłyszeli. Natychmiast otoczyła ich gromada dzieci.

Martin cierpliwie rozdawał autografy, ale kiedy podeszła do niego trzydziesta któraś para, pokręcił przecząco głową i szybko poprowadził May na bok.

Spacerowali, objęci ramionami. Schowani za krzewem bzu, nie mogli zapanować nad swymi dłońmi; przystanęli, żeby się pocałować, i May poczuła, jak bardzo Martin jej pragnie. Rozłąka wzmagala ich namiętność. Martin zaczął ciągnąć May w głąb kępy krzaków, a ona śmiała się, stawiając opór.

– Chodźmy do domu – powiedział.

– Dobry pomysł – odparła.

– Chciałbym, żeby ten sezon wreszcie się skończył.

– Już dobiega końca. Jeszcze tylko play-offy.

– A potem Puchar. Wygram go dla ciebie.

– Będę zaskoczona – odparła May ze śmiechem. Pomyślała o rozmowie, jaką wcześniej odbyła z Kylie. Stałym zwyczajem wypytywała Kylie o jej sny; o to, czy od czasu choroby śniła jej się Natalie. Kylie, zamiast odpowiedzieć, zadała jej pytanie:

– Dlaczego Martin nie rozmawia ze swoim ojcem?

– Jest na niego bardzo zły – odpowiedziała spokojnie May, choć dłonie zwilgotniały jej na myśl, że Kylie sama dokonała skojarzeń, o których teoretyzował doktor Whitpen.

– Czasami złości się na ciebie.

– Wiem, kochanie, ale to coś innego. Mężowie i żony czasem gniewają się na siebie, ale potem ten gniew mija.

– A jeśli przestanie z tobą rozmawiać? A jeśli zechce, żebyśmy się wyprowadziły? – pytała Kylie z twarzą zmienioną niepokojem.

– My się kochamy, Kylie. Jestem pewna, że Martin nie przestanie z nami rozmawiać i wierzę, że zacznie znów rozmawiać ze swoim ojcem, gdy będzie na to gotowy – odpowiedziała May.

– Chciałabym, żebyśmy ich pogodziły, zanim stanie się coś strasznego.

– Strasznego? Co masz na myśli? – zapytała May, czując, jak słowa „żebyśmy ich pogodziły” dźwięczą jej w mózgu.

– Nie wiem.

Godzinę później, gdy Martin nie wrócił jeszcze z Toronto, a Kylie bawiła się na dworze, May zatelefonowała do więzienia w Estonii. Dowiedziała się, że Serge Cartier przebywa w bloku C, w celi numer 62. Powiedziano jej też, że można go odwiedzać co drugi poniedziałek,

że nie jest jej potrzebne specjalne zezwolenie i nawet nie musi go zawiadamiać, że przyjeżdża.

Teraz, spacerując po miejskim parku, czuła się zaplątana w sieć kłamstw i przemilczeń. Powinna powiedzieć Martinowi o tym, że telefonowała do Estonii, ale nie potrafiła tego zrobić. Powinna pokazać mu pocztówki. Powinna mu też powiedzieć, że przetrząsnęła szuflady z jego bielizną i znalazła kopertę pełną zdjęć. Wreszcie zobaczyła zdjęcie Trishy. Nic nie przygotowało jej na widok tak olśniewającej kobiecej urody. Trisha wyglądała na zadowoloną z siebie w obcisłej sukni bez rękawów; zarazem wytworna i czarująca. Maleńkie dziecko w nosidełku próbowało dostać się do dużych, kształtnych, na wpół widocznych piersi matki.

Zachował to zdjęcie z powodu Natalie, powiedziała sobie May, uwielbianej córki z jego oczami i ustami swojej matki. Jak mógłby wyrzucić jakiegokolwiek zdjęcie z Natalie? Jednak uwagę May przyciągała Trisha. Jej gorące spojrzenie, pełne wargi, mleczna skóra.

Były tam również inne fotografie.

Zdjęcia Trishy i Natalie, wiele zdjęć samej Natalie, Natalie z Martinem i jedno Natalie z Serge'em w kajaku. Na odwrocie znajdował się opis: „Tato i Natalie latem nad jeziorem”.

May długo wpatrywała się w tę metryczkę sporządzoną ręką Martina. Była to jedyna fotografia, którą opisał. Staranne, równe pismo mówiło o uczuciach, jakie Martin żywił do osób uwiecznionych na niej.

Kylie pobiegła na brzeg stawu, żeby nakarmić kaczki rogalikiem, który przyniosła z domu. Po chwili wróciła i teraz opowiadała Martinowi o urodzinowym przyjęciu, w którym uczestniczyła w minioną sobotę. Pochylony, słuchał jej z uwagą– To było przyjęcie łyżwiarskie – powiedziała. – Ellen Linder potrafi jeździć do tyłu.

– Naprawdę? – zapytał Martin. – A ile ma lat?

– Siedem.

– Właśnie tyle będziesz miała w dniu swych następnych urodzin, prawda? Chyba powinniśmy wynająć to samo lodowisko i zorganizować najwspanialsze przyjęcie łyżwiarskie, jakie kiedykolwiek widziano w Bostonie.

– Łyżwiarskie... – powiedziała niepewnie.

– *Bien sur* – rzekł Martin.

– Ale ja nie umiem jeździć w taki sposób – zmartwiła się Kylie. – Wszystkie koleżanki Ellen są świetnymi łyżwiarkami. Uprawiają balet na lodzie, a ja potrafię się tylko przewracać.

– Upadanie uczy, jak się podnosić – powiedział Martin. – Na stawie radzisz sobie wspaniale.

– Kiedy ty jesteś ze mną.

– Pójdę z tobą na to przyjęcie.

– Dajesz słowo?

– Jeśli tego dnia będę w Bostonie – uściślił, po czym przystanął, namyślając się przez chwilę, i mówił dalej: – Gdy miałem sześć lat, ojciec podarował mi na urodziny nową parę łyżew. Były to prawdziwe łyżwy hokejowe... moja pierwsza para... Mój Boże, wydawały mi się zupełnie inne. Kiedy wyjechałem na lód, wciąż się tylko przewracałem niczym nowo

narodzony żreback na chwiejnych nogach.

– Ale ojciec ci pomógł? – zapytała Kylie.

– Chyba tak – rzekł Martin. – Podobnie jak ja zamierzam pomóc tobie.

– Tak postępują ojcowie – wyszeptała Kylie z błyszczącymi oczami.

– Powinni tak postępować – rzekł Martin.

Kylie długo wpatrywała się w oczy Martina, a potem ujęła w dłonie jego twarz. Minę miała tak napiętą, jakby usiłowała podjąć decyzję, w jaki sposób przekazać mu złe wieści.

– Natalie ma rację – powiedziała jedynie. Serce May zaczęło bić jak szalone.

– Kylie, kochanie...

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Martin zaczął się prostować, ale Kylie chwyciła go za kołnierzyk.

– Ludziom potrzeba ojców – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. – Nawet ojcowie potrzebują ojców. Tatusiu.

– Co? – pytał Martin.

– Tatusiu – powtórzyła Kylie, zarzucając mu ręce na szyję – wszyscy tak bardzo chcą mieć ojców.

May spodziewała się, że dziecko zapyta o Serge'a, ale Kylie zamilkła. May miała więc szansę, by powiedzieć Martinowi o telefonie do więzienia i planowanych odwiedzinach u Serge'a, ale ona też się zawahała. Kylie właśnie nazwała Martina tatusiem i wszyscy troje cieszyli się w milczeniu.

Gdy tylko Kylie zaczęła nazywać Martina tatusiem, nie mogła przestać używać tego słowa. May dotychczas nie zdawała sobie sprawy, że można je stosować w tylu zdaniach, choćby takich jak to: „Wczoraj nasza pani miała na sobie niebieską sukienkę, ale Martha Cole rozlała na podłodze czerwoną farbę i kiedy pani uklękła, żeby ją zetrzeć, ubrudziła tę sukienkę i odcisnęła sobie na kolanach dwa czerwone kleksy... tatusiu!”, albo „Charlotta już dziś przysłała mi urodzinową kartę z kajakiem na jeziorze, tatusiu, i napisała, że latem zabierze mnie na nocną wyprawę kajakową, ale muszę mieć kapok. Dobrze, tatusiu?”.

Martin wydawał się rozkwitać na wylewnie wyrażanym uczuciu Kylie. Ilekroć słyszał to słowo, twarz mu wprost promieniała, a gdy dzwonił do domu, przed odłożeniem słuchawki zawsze prosił Kylie. Boston Bruins znów rozgrywali playoffy i z harmonogramu spotkań wynikało, że w dniu jej urodzin Martin prawdopodobnie będzie poza domem.

– Jest zła? – zapytał.

– Rozczarowana – odparła May.

– To niesamowite. Chcę wygrać, wiesz, że tak jest, ale chyba bardziej chcę tam być. Nie chcę opuścić jej urodzinowego przyjęcia. Czy Kylie bardzo się denerwuje?

– No cóż, trochę się boi, że narobi sobie wstydu – przyznała May. – Niektóre z tych bostońskich dzieci od dwóch lat biorą lekcje jazdy figurowej i są znacznie lepsze niż ona.

– Łyżwiarstwo figurowe! – parsknął Martin. – Balet na lodzie to niedorzeczność!

– To są dziewczynki – uśmiechnęła się May.

– Dziewczeta też mogą grać w hokeja – stwierdził Martin. – Kylie jest urodzoną hokeistką... znam się na tym. Nat też nią była, podobnie jak Genny. Popracuję z nią po

zakończeniu sezonu. Będziemy trenować, nauczę ją strzałów do bramki – mówił. – Jazda figurowa, też coś! – zakończył ze śmiechem.

May, która kiedyś widziała, jak Kylie ćwiczy przed lustrem piruety, uśmiechnęła się. Kylie nie wiedziała, że May stoi w kącie pokoju i obserwuje, jak córka tańczy „Jezioro łabędzie”. Wspiąwszy się na palce wirowała, ślizgając się po podłodze. Wiedząc, że hokej nie jest tym, o czym marzy Kylie, May z uśmiechem zadała Martinowi pytanie:

- Czy Natalie lubiła grać w hokeja?
- Była w tym piekielnie dobra – odparł Martin.
- Ale czy to lubiła?

W słuchawce zapadło długie milczenie. May czekała, aż Martin się odezwie. Niemal widziała, jak siedzi tam, myśląc o niej. Chciała, by byli teraz razem.

– Hm... – odchrząknął – Zdaje się, że wołała jazdę figurową, choć nigdy mi tego nie powiedziała.

- Więc skąd wiesz?
- Jej matka dała mi to do zrozumienia. Powiedziała, że Natalie marzy, by pewnego dnia wystąpić w rewii na lodzie. Jej idolką była Michelle Kwan.

– Trisha ci to powiedziała?

– Tak. Próbowaliśmy przez chwilę zejść się ponownie, ale nie wyszło. Zawsze mi wytykała, że nie staram się zbliżyć do Natalie; że nie wiem, co lubi, a czego nie lubi, i że w ogóle nie znam własnej córki. *Merde!*

May milczała, trawiając informację, że Martin i Trisha próbowali się kiedyś pogodzić.

- May, tylko nie myśl nic o Trishy, dobrze?
- Co miałabym myśleć?
- Że żałuję, iż nie zostaliśmy razem, że coś nas łączy. To się skończyło, zanim naprawdę się zaczęło... Wiesz o tym, prawda? Ojciec mieszkał wtedy w Kalifornii, a mnie wciąż się wydawało, że wszyscy powinniśmy być razem, że powinniśmy być rodziną.

– Myślę, że to niezły pomysł – powiedziała May.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Martin, twój ojciec przysłał mi kartkę.

– Nie – odparł Martin. – Powiedz, że żartujesz.

– Nie żartuję. I chcę go poznać.

– Jezu Chryste! – wykrzyknął. – Kiedy wreszcie przestaniesz do tego wracać? Ile razy mam ci powtarzać... on cię nigdy nie pozna, dopóki ja żyję. Na rany Chrystusa, daj temu spokój. Spal tę cholerną kartkę, May! Chcesz zburzyć nasze życie? Przysięgam, że właśnie to teraz robisz.

– Chyba jednak ty wszystko burzysz – odparła. – Powody, dla których ja chcę poznać twojego ojca, są równie ważne jak te, dla których ty tego nie chcesz...

Odłożył słuchawkę. May, drżąc, podeszła do sekretarzyka. Długo wpatrywała się w fotografię Martina i jego ojca, a potem sięgnęła po telefon, by zadzwonić do biura linii lotniczych. W uszach dzwięczały jej słowa córki.

Musimy ich pogodzić.

ROZDZIAŁ 15

W połowie kwietnia, gdy Martin wyjechał na kolejny mecz, May poprosiła ciocię Enid, by przyjechała i przez jeden dzień została z Kylie. Sama zaś poleciała do Nowego Jorku, wypożyczyła samochód i pojechała na północ, w stronę Appalachów, na którymi kiedyś wielokrotnie przelatywała odwiedzając doktora Whitpena.

Estonia była małym miasteczkiem pełnym starych, nieczynnych cegielni. Położona nad wodospadami szerokiej rzeki, niegdyś prosperowała jako ośrodek przemysłowy. Miejski park szczyił się muszlą koncertową, wykutym z granitu pomnikiem jakiegoś żołnierza i zwierciadlanym basenem, teraz suchym i pełnym gruzu. Piękne wiktoriańskie rezydencje popadły w ruinę, a domy przy głównej ulicy zamieniono na mieszkania i biura. Więzienie wieńczyło wzgórze rysujące się na północy. May zobaczyła je z odległości kilku mil. Podjeżdżając ku górze ujrzała też odwiedzających, którzy poboczem drogi mozolnie pięli się ku bramie. Postawiła samochód na parkingu i włączyła się w potok płynący do wejścia. Spirale kolczastego drutu lśniły w słońcu. Ceglane mury wydawały się grube i nieprzeniknione, a wklęsnięcia w szarych metalowych drzwiach kazały jej myśleć o wściekłości i rozgoryczeniu.

Wchodząc do poczekalni, poczuła zapach potu, stęchłego dymu tytoniowego oraz dań barowych. Gęsty tłum składał się głównie z rozmawiających i śmiejących się kobiet i dzieci. Popychana ze wszystkich stron, May miała wrażenie, że znalazła się w klasie przeznaczonej dla ubogich emigrantów na początku rejsu do jakiegoś niewiadomego kraju.

Strażnik stojący za barierką poprosił ją o nazwisko i zapytał, kogo chce odwiedzić.

– Serge’a Cartiera – odparła. – Oddział C, cela 62.

– Proszę tam poczekać – rzekł, nawet na nią nie patrząc. Siadając obok dwóch kobiet, które najwyraźniej bywały tu już przedtem, May słyszała, jak rozmawiają o sądowych sprawach swoich mężów, ich obrońcach z urzędu i szansach uniewinnienia. Rozmowa skierowała się ku przemocy; w zeszłym tygodniu z powodu kłótni o „prochy” cięciem brzytwy zabito tu jakiegoś więźnia.

Minęło dwadzieścia minut, po których inny strażnik otworzył podwójne wewnętrzne drzwi i pozwolił odwiedzającym przejść przez nie. Szary korytarz odbijał echem podekscytowane głosy i tupot kroków. May się ociągała. Bała się tego miejsca. Krew pulsowała jej szybko na myśl o mordzie, o którym rozmawiały dwie kobiety. Lęk jednak brał się głównie ze świadomości, że działa za plecami Martina. Miała ostatnią szansę, by zawrócić.

A jednak szła dalej. Przechodząc przez kolejne metalowe drzwi, znalazła się w dużej rozmównicy. Trwały tu liczne spotkania; wszędzie stali strażnicy, aby nie dopuścić do pocałunków i uścisków. Zdrętwiała May stanęła w miejscu, rozglądając się wokół. Właśnie miała poprosić strażnika o pomoc, gdy zobaczyła zmierzającego w jej stronę mężczyznę.

Wyglądał dokładnie tak jak Martin. Był starszy, szczuplejszy, lekko przygarbiony, ale miał te same niebieskie oczy Cartierów. Na jego twarzy widniało napięcie i wahanie. Podobnie jak wszyscy pozostali więźniowie nosił workowaty pomarańczowy kombinezon, ale

ten strój nie mógł ukryć tego, iż jest przystojnym, imponującym mężczyzną. Przystanął jak wryty, wpatrując się w nią, i May poczuła gwałtowny wzrost ciśnienia. Jednakże potem jego oczy się ożywiły, a twarz zajaśniała Cartierowskim uśmiechem.

- Dostała pani moje pocztówki.
- Dostałam.
- Fotografie nie oddają pani urody. Widziałem panią w gazetach.
- Pan wygląda dokładnie tak jak Martin... macie takie same oczy.
- Miło mi panią poznać. Jestem Serge Cartier.
- May Cartier.
- Moja synowa...

May usłyszała emocję w jego głosie. Odwrócił się, by znaleźć miejsce, gdzie mogliby usiąść. Wszystkie krzesła były już zajęte przez innych więźniów i ich rodziny, ale Serge podszedł do jakiegoś młodego Latynosa oraz odwiedzającej go kobiety, powiedział kilka słów i przyniósł dwa twarde plastikowe fotele.

– Bywają jednak korzyści z podeszłego wieku – wyjaśnił. – Od czasu do czasu ktoś stwierdza, że chce szanować starszych.

May skinęła głową i usiadła. Widziała wymianę uśmiechów i słów z żoną tamtego więźnia. Teraz, gdy się tu już znalazła, nie wiedziała, co powiedzieć ani czego miała nadzieję dokonać.

– Byłem zaskoczony, kiedy mi powiedziano, że mam gościa – rzekł Serge z tym samym francusko-kanadyjskim akcentem, z jakim mówił Martin.

– Nikt tu do pana nie przyjeżdża?

– Och, tylko adwokaci. Z rzadka reporterzy. Czasem jakiś hokeista. Ale nikt, kto naprawdę się liczy. Nikt z rodziny.

May skinęła głową.

– Jak się miewa mój syn? – zapytał.

– Doskonale – odparła. – Wygrywają. Wygląda na to, że playoffy będą...

Serge pokręcił przecząco głową.

– To on uczy cię myślenia, że życie i hokej to jedno i to samo?

– Nie – roześmiała się May. – Ale próbuje.

– Wspomogasz go?

– Staram się go rozumieć – odparła wolno. – Hokej zawsze był najważniejszym elementem życia Martina, a ja nawet nie oglądałam transmisji, zanim go nie poznałam.

– W gazetach pisano, że zajmujesz się organizowaniem wesel.

– Tak. – May zaśmiała się nerwowo. – To dziedzina różniąca się od sportu.

– Na dłuższą metę chyba ważniejsza, prawda? – rzekł Serge. – Co was połączyło?

May opowiedziała mu o awarii samolotu, o tym jak Kylie poprosiła Martina, żeby im pomógł, o nie dającym się zatrzeć uczuciu, które tak szybko pojawiło się między nimi. Wyznała, że zdecydowali się na ślub po zaledwie miesięcznej znajomości, nie zdążywszy się nawet dobrze poznać. Pomięła rzecz jasna widzenia Kylie, doktora Whitpena i niebieski notes.

– I jak wam się układa? – zapytał. – Jesteście szczęśliwi?

– W zasadzie tak – odparła May z rosnącym napięciem.

– Czasem się sprzecząmy...

– Wszyscy się czasem sprzecząją, *non?* Rzecz w tym, jak przebiegają sprzeczki. Może właśnie dlatego to pomieszczenie jest tak zatłoczone. Różnice zdań... Czy Martin wie, że tu jesteś?

– Nie – powiedziała May. – To jedna z owych różnic.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że to ja jestem powodem waszych kłótni.

May z trudem zdławiła łzy.

– O mnie nie warto kruszyć kopii – mówił dalej Serge.

– Martin wyrzekł się mnie na długo przedtem, nim cię poznał. Ma swoje powody.

– Znam je – szepnęła. – Opowiedział mi.

Serge spojrzał w stronę drzwi, podążył wzrokiem za małą dziewczynką, która biegła w kółko okrążając swoich rodziców.

– Obwinia mnie o śmierć Natalie.

– Wiem – odpowiedziała May, bojąc się, że serce wyskoczy jej z piersi. – Ale ty nie chciałeś jej skrzywdzić.

– Nigdy – rzekł Serge żarliwie.

Wierzyła mu. Sama wiedziała, że błąd jednej chwili może rzucić cień na wszystkie przyszłe chwile.

– Dlaczego tu przyjechałaś? – zapytał, a w oczach zalśniły mu łzy.

– Bo jesteś ojcem Martina. Bo jesteś dla niego bardzo ważny – odparła. Niebieski notes krył też głębsze powody, ale nie wyjawiała ich Serge'owi.

– Tak powiedział?

– Nie musiał.

– Nienawidzi mnie.

May wpatrywała się w jego dłoń. Gdyby obok nie było strażników, ujęłaby ją. Odchrząknęła.

– Myślałam, że nienawidzę swojego ojca – powiedziała.

– Przez kilka minut chyba naprawdę go nienawidziłam. A potem było już za późno. Nie rozumiałam, że popełniam błąd, nim nie odszedł. Nie chcę, by spotkało to Martina.

– Czego on nie dostrzega? – zapytał Serge. – Czego nie widzi, nie rozumie?

– Jeszcze nie jestem pewna. – Uderzyło ją to pytanie; przypominało coś, co Kylie powiedziała doktorowi Whitpenowi. – Martin nie chce o tym rozmawiać. Może latem, po zakończeniu sezonu...

– Martin dusi wszystko w sobie – powiedział Serge.

– Zawsze tak postępował. Gdy był dzieckiem, krążek uderzył go w głowę. Nie powiedział o tym ani mnie, ani matce. Dopiero wieczorem, gdy otulaliśmy go kołderką, zobaczyliśmy krwawienie z ucha. Później przyznał, że myślał, iż będziemy źli na Raya Gardnera, jego przyjaciela, za to, że go uderzył, albo nie pozwolimy mu grać.

– Byłeś zły na Raya? Serge pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie. Ray był dla Martina jak brat. I z tego co wiem, nadal jest. Martin doznał wtedy wstrząsu mózgu.

– Wstrząsu mózgu?! Serge westchnął głęboko.

– Pierwszego z wielu. To jest hokej. Widziałaś jego blizny, splot blizn wokół oczu. W gazetach piszą, że w każdym meczu jest na linii ognia. Kilka lat temu w starciu z Jorgensenem omal nie stracił oka. Mówi o tym?

– O Nilsie Jorgensenie? – zapytała May. – Tak... to jego wróg.

– Nienawidzą się nawzajem – rzekł Serge. – Ja wiem, jak to jest. Kiedy matka Martina rozwiodła się ze mną, odpłaciłem za to facetowi, który grał wtedy w drużynie Bostonu. Nie mogłem się doczekać, by grać w zespole Bruinsów, więc wtłukłem ich prawoskrzydłowemu. Do rozwodu doszło z mojej winy, *bien sûr*, ale wtedy nie patrzyłem na to w ten sposób.

– Dlaczego miałbyś kogoś winić?

– Bo tak! Uważałem, że to była wina Agnes, jej ojca, a nawet Martina. Winni byli wszyscy oprócz mnie. Nie umiałem sobie z tym poradzić. Tamten Bostończyk był łatwym celem... Przez resztę czasu usiłowałem dowieść swojej wartości w ruletce, przy grze w kości. Widzisz, byłem przekonany, że skoro mam szczęście, muszę być dobrym człowiekiem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wierzę w *le bon Dieu*, May. Byłem przekonany, że jeśli wygrywam w kasynie, to znaczy, że Bóg mi sprzyja. Wszak nie robiłby tego dla złego człowieka.

May się uśmiechnęła.

– Byłem złym mężem – ciągnął Serge. – I złym ojcem. Ale próbowałem to zmienić. Kiedy pojawiła się Natalie... – głos mu się załamał – obiecałem sobie, że będę najlepszym dziadkiem na świecie. Chciałem być przy Martinie, pomóc mu, żeby nie popełnił tych samych błędów, jakie ja popełniłem. Planowałem, że będę się opiekował jego córką, kochał ją...

– Kochałeś ją – rzekła May. – Wiem o tym.

– Pozwoliłem jej umrzeć. – Oczy Serge'a pełne były strasznego smutku i bólu. – Bez względu na to co czułem czy zrobiłem, w pewnej mierze pozostaje to prawdą.

– Ale nie chciałeś tego zrobić.

– *Non*. Nie chciałem.

Rozległ się dzwonek i ludzie zaczęli zbierać się do wyjścia.

– Koniec widzeń! – krzyknął strażnik. Tłum był niespokojny i napięcie rosło. Ludzie próbujący się objąć byli rozdzielani przez strażników. May chciała uścisnąć rękę Serge'a, pocałować go w policzek. Był jej teściem i mimo dzielącej ich przepaści czuła jego miłość do Martina i Natalie.

– Żałuję, że musisz już iść – powiedział, ocierając oczy.

– Ja też – odparła.

– Masz śliczną córkę, *tres jolie*. Widziałem fotografie. Jestem pewien... – umilkł.

– Czego? – zapytała, gdy strażnik gestem ręki wskazał jej wyjście.

– Jestem pewien, że przyniesie Martinowi wiele radości. Był szczęśliwy jako ojciec.

– Dziękuję, że mi to mówisz – powiedziała, patrząc mu w oczy. Pomyślała o własnym ojcu, który teraz byłby mniej więcej w tym samym wieku co Serge. Gdybyż tylko mogła

spędzić z nim choćby jedną, ostatnią minutę, powiedzieć mu o wszystkim, czego pragnęła... co by to było?

– Czy ze zmysłem równowagi u Martina wszystko jest porządku? – zapytał nagle Serge. – Oglądam go w telewizji i czasami wydaje mi się, że woli prawą stronę, jakby miał problemy z lewą.

– Moim zdaniem doskonale – odparła May, zaskoczona.

– Może potrzebne mu są okulary – powiedział Serge. – Po tych wszystkich uderzeniach w głowę...

May skinęła głową. Serce jej pękało. Strażnicy kazali jej wyjść. Miała w torebce jego pocztówki i swój niebieski notes. Nie mogła uwierzyć, że wizyta dobiegła końca.

– Przekażesz mu coś ode mnie? – zapytał Serge.

– Oczywiście.

– Powiedz mu, że go kocham.

– Powiem – obiecała May załamującym się głosem. Teś dosłownie wyjął jej te słowa z ust. Ponieważ zaś nie była w stanie wymyślić niczego lepszego, co mogłaby mu powiedzieć, pochyliła się i lekko pocałowała go w policzek. Strażnik ruszył do przodu, by przynaglić ją do wyjścia, Serge zaprotestował donośnie, ale nikt go nie słuchał.

Zniknął za jednymi drzwiami z grubej stali, a May, spoglądając przez ramię, powoli przeszła przez drugie. Zamierzała zajrzeć do swego notesu, by rzucić okiem na słowa, jakich minionego lata Kylie użyła w rozmowie z doktorem Whitpenem, ale w emocji owej chwili całkiem o tym zapomniała.

May wróciła do domu i nie mogąc się doczekać przyjazdu Martina, udała się do Black Hall, by nadrobić zaległości. Przepracowała wiele dodatkowych godzin, pomagając Tobin przygotować i wysłać obszerną korespondencję Weselnej Gospody. Ciocia Enid zajmowała się Kylie w Bostonie, obie więc mogły siedzieć aż do północy, oglądając przy tym mecze w telewizji.

– Kiedy przyszedłam wczoraj do pracy, Enid powiedziała mi, że wybrałaś się w niespodziewaną podróż – rzekła Tobin wkładając reklamowe ulotki z jednej sterty do kopert z drugiej.

– Pojechałam do Nowego Jorku – przyznała May.

– Ta podróż miała coś wspólnego z Kylie?

– Dlaczego tak myślisz? – May była zaskoczona.

– Widziałam, że ostatnio zaglądałaś do swojego dziennika, tego w którym zapisujesz jej sny. Choć podobno skończyłaś z doktorem Whitpenem.

– Skończyłam – odparła May, zerkając ku Tobin. Przeglądając notes znalazła zapis z lipca zeszłego roku.

Niektórzy ludzie nie potrafią patrzeć oczami – powiedziała wtedy Kylie Whitpenowi. Co wspólnego mogło to mieć z pytaniem, które zadał jej Serge: „Czego on nie widzi?” Prawdopodobnie nic, ale zderzenie tych słów pozostawiło w duszy May niepokój. Tak bardzo chciała podzielić się nim z Tobin. Stodoła pogrążona była w mroku z wyjątkiem kręgu światła

nad stołem i jasnego ekranu telewizora. Sowy polowały na okolicznych polach. May, zmęczona, oparła się o blat.

– Możesz mi powiedzieć, May – powiedziała Tobin.

– Wiem.

– Tak bardzo wszystko się zmieniło? Nie rozmawiamy już jak dawniej.

– Kylie wciąż miewa swoje sny – odparła May – wciąż opowiada o aniołach.

– Twoja córeczka ma bujną wyobraźnię – powiedziała ciepło Tobin.

– Doktor Whitpen uważa – zaczęła powoli May – że widzenia Kylie są ze sobą powiązane. Rzecz w tym, że niektóre odnoszą się do Martina i jego rodziny.

– Sądysz, iż nie powinnaś rozmawiać ze mną o Martinie, ale możesz – powiedziała Tobin. – Przysięgam ci, że możesz. Pewnie powinnam była więcej z tobą rozmawiać, kiedy moje małżeństwo się chwiało...

– Nasze małżeństwo się nie chwieje – szybko zapewniła May.

– Nie zamierzałam powiedzieć, że się chwieje.

– Tak to zabrzmiało...

– Chcę tylko, żebyś wiedziała, że możesz mi ufać. Mówiły pospiesznie, a ich słowa potykały się o siebie, gdy próbowały wyrzucić swoje myśli.

– Ufam ci – powiedziała w końcu May, biorąc głęboki oddech. – Wiesz, że utrwałam w niebieskim dzienniku myśli Kylie i od dawna...

– Od dawna martwisz się o nią.

– Tak – przyznała May.

– Co powiedział doktor Whitpen?

– Że Kylie chce pogodzić Martina i jego ojca.

– Jego ojciec jest w więzieniu – powiedziała z drżeniem Tobin. – John pokazał mi artykuł w „Sports Today”. Stawienie czoła tej tragedii musi być ciężkie nie tylko dla Martina; także dla ciebie i Kylie.

May umilkła. Wiedziała, że Tobin chce jej pomóc, ale nagle poczuła, iż powinna chronić sekrety Cartierów. Musiałaby opowiedzieć przyjaciółce o swoim spotkaniu z Serge'em i o czekającej ją bitwie z Martinem. Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów.

Kamera właśnie skierowała się na Martina i May zatrzymała się w pół myśli. Wpatrując się w ekran, próbowała dostrzec to, co zauważył Serge: że Martin podświadomie woli grać prawą stroną.

Kiedy kamerzysta pokazał twarz Martina w zbliżeniu, May zobaczyła w jego oczach niepohamowaną, dziką wściekłość. Z drżeniem zastanawiała się, gdzie się owa wściekłość zaczyna, a gdzie ma swój kres. Łzy napłynęły jej do oczu i zrozumiała, że nie zdoła wywlec na światło dzienne jego osobistych, prywatnych demonów. Byłaby to bowiem zdrada łączącego ich zaufania.

Usłyszała, że Tobin wydaje z siebie jęk rozczarowania. Spoglądając na nią przez biurko, zobaczyła, jak przyjaciółka pochyła głowę.

– Tobin... – powiedziała wiedząc, że zraniła ją głęboko.

– Gdy będziesz gotowa – rzekła Tobin zdławionym głosem – znajdziesz mnie tutaj.

– Wiem – odparła May i odwróciwszy się, żeby oglądać męża, poczuła rosnący w piersi strach.

Minęły cztery dni i noce od wizyty May w Estonii. Kolejnego dnia, po północy, leżąc w łóżku przy otwartych oknach, przez które wpadał lekki wiosenny wiatr, usłyszała obracający się w zamku klucz Martina. Wciągnęła więc na siebie szlafrok i zeszła na dół, żeby go przywitać. Tego wieczoru grał z Montrealem, miał za sobą kilkugodzinną podróż i wydawał się wyczerpany.

– Martin! – zawołała, wpadając mu w ramiona.

– *Je faime, je faime* – powtarzał.

Cisnąwszy na podłogę swą torbę, całował ją tak mocno, że obojgu brakło tchu. Kiedy przestali, nie chciał jej wypuścić. Wpatrywał się w nią z taką siłą, jakby tęsknił za nią bardziej, niż się spodziewał. Bruzdy na jego twarzy i wokół ust podkreślały wyraz zmęczenia. Wzięła go za rękę.

– Jesteś głodny? Zrobić ci kanapkę, a może zjesz zupy?

– Pozwól mi patrzeć na siebie.

– Dlaczego? – roześmiała się.

– Ta wyprawa trwała naprawdę długo. Wygraliśmy wszystkie mecze i żałowałem, że cię tam nie było.

May zdławiła słowa i spojrzała w bok. Mogła pojechać na wszystkie lub chociaż niektóre mecze, ale nie pozwoliła jej na to podróż do Estonii. Ten sekret ciążył jej na sercu jak kamień.

– Usiądź – powiedziała. – Chcę z tobą porozmawiać.

– Już późno – rzekł, śmiejąc się i przyciągając ją bliżej. – Dajmy spokój rozmowie... chcę cię zabrać do sypialni.

Jego uścisk był mocny i gorący. May czuła, że dłonie Martina ześlizgują się po jej plecach, a ramiona oplatają się wokół niej coraz mocniej. Sekret wręcz ją uwierał, ale postanowiła wstrzymać się z wyjawieniem go do rana.

– Czekałem na to przez te wszystkie dni – rzekł.

– Ja też – wyszeptała.

Chwycił torbę, zatrzymując się przy stoliku w holu, żeby położyć na nim klucze i kluczyki od samochodu. Wtedy zauważył stojący na krześle niewielki neseserek May. Miała go, gdy się poznali, i zawsze zabierała ze sobą w podróże, bo mieściły się w nim bilety lotnicze, przewodniki i mapy.

– Wyjeżdżasz gdzieś? – zapytał, z uśmiechem podnosząc wzrok.

– Nie – odparła.

Objął ją pożądliwie. Kamień w sercu May stał się jeszcze cięższy i bardziej gorący. Nie powiedzieć mu o czymś to jedna sprawa, ale skłamać – rzecz całkiem inna.

– Wyjeżdżałam – bąknęła.

– Naprawdę?

May skinęła głową i ujrzał w jej oczach prawdę. Czuła się winna, że zrobiła to bez jego wiedzy, ale jednocześnie pełna nadziei na pojednanie między nim a Serge'em.

– Martin... – zaczęła. Odsunął się i potrząsnął głową.

- Nie chcę wiedzieć.
- Muszę ci powiedzieć...
- Jestem zmęczony, May. Czas iść do łóżka.

May ujęła dłonie Martina i potrząsnęła nimi, zmuszając męża, by spojrział jej w oczy. Jego wzrok wędrował po całym holu, przesuwając się po obrazach na ścianie, kluczach na stoliku, paczce zaproszeń na urodzinowe przyjęcie Kylie. May drżała, nie przestając potrząsać jego rękami.

– Posłuchaj mnie!

– *Non!* – zawołał, patrząc na nią zimnym wzrokiem. – *Ecoute!* To ty mnie posłuchaj. Chcę, żebyś spaliła te pocztówki i przestała o nim myśleć. Nie mów mi nic więcej. Nie chcę wiedzieć.

Prawda była w zasięgu ręki. Przed rokiem los zetknął ich ze sobą w samolocie. Ich przeznaczeniem była miłość i musieli się siebie nauczyć. Rozziew między Martinem a jego ojcem ożywił w May jej własną przeszłość. Była przekonana o uzdrawiającej sile miłości, prawdy i przebaczenia. Musiała znaleźć słowa, musiała sprawić, że Martin zrozumie, że zobaczy... To takie łatwe, chciała mu powiedzieć, tak niewiarygodnie proste!

Zamiast tego nakazała sobie spokój i powiedziała łagodnie:

– Mam dla ciebie wiadomość od ojca.

– Nie – przerwał jej zdecydowanie.

– Chciał, żebym ci powiedziała, że cię kocha. On... Martin nie czekał, by usłyszeć resztę. Chwycił torbę i klucze i wybiegł z domu. Drzwi trzasnęły za nim tak głośno, że zabrzmiało to jak odgłos metalowych wrót więzienia.

– Właśnie tego nie widzisz! – krzyknęła za nim. – Nie potrafisz rozumieć i przebaczać!

Słyszała echo własnych słów i zastanawiała się, czy Kylie usłyszała je przez sen. Stała nieruchomo w drzwiach. Pobieglaby za nim, lecz musiała zostać z dzieckiem.

May była pewna, że Martin się zreflektuje i wróci do domu. Gdy tego nie uczynił, przez całą noc czekała na telefon. Drżąc w nocnej koszuli, siedziała w holu aż do wschodu słońca. Przygotowała śniadanie dla Kylie, wyprawiła ją do szkoły, starała się działać tak, jakby nic się nie stało. Powtarzała sobie, że Martin po prostu się rozgniewał i wróci, gdy tylko się uspokoi.

Ciocia Enid, schodząc na dół, zapytała ją, czy jest chora, a kiedy May spojrzała na swoje odbicie w lustrze, zobaczyła ciemne kręgi po oczach. Aż strach było na nią patrzeć.

Zmusiła się do pracy. Cały dzień upłynął bez jakiegokolwiek wieści. Wracając do Bostonu, była pewna, że zostanie tam wiadomość zarejestrowaną na telefonicznej sekretarce... albo że Martin będzie czekał w sypialni. Czy to, co zrobiła, było tak niewybaczalne? Czy Martin nie dostrzegwał, że zrobiła to dla niego, dla nich obojga?

A jednak nie było go w Bostonie i nie zostawił dla niej ani słowa. May przygotowała kolację dla Kylie, potem przeczytała jej bajkę i położyła do łóżka. Siedziała przy łóżku córki jeszcze długo po jej zaśnięciu, gdy niebo całkiem ściemniało i zamigotały światła wielkiego miasta. Za każdym trząśnięciem drzwiczek samochodowych zrywała się na równe

nogi; serce biło jej jak szalone.

Gdy o pierwszej w nocy zadzwonił telefon, wiedziała, że to Martin. Bała się tego, co powie. Miała tylko nadzieję, że jej złe przeczucia okażą się bezpodstawne.

– Słucham?

– To ja – rzekł.

– Gdzie jesteś?

– Jestem... – przerwał – jestem w hotelu.

– W Bostonie? – zapytała, czując ból w piersiach, jakby serce jej pękło.

– Tak.

– Wróć do domu – szepnęła.

– Nie, May.

Widziała światła za oknem. Beacon Hill opadało ku centrum z tysiącami świateł jaśniejących w domach, biurach i hotelach. Gdzieś tam był Martin... w zasięgu wzroku, tak blisko... Oczy May napelniły się łzami.

– Nie posłuchałaś mnie – mówił. – Próbowałem ci powiedzieć, co czuję do ojca, prawda? Postąpił niewybaczalnie, ale ty postanowiłaś coś wymusić.

– Wymusić?! – zapytała, czując, że chce jej się śmiać. To słowo było bardzo dalekie od tego, co próbowała zrobić. Ułatwić, może uzdrowić, załagodzić... Ale wymusić?!

– Wszystko jedno! – uciał. – Zostaję tutaj. Lepiej, jeśli pozostaniemy z dala od siebie. Nie byłabyś ze mną szczęśliwa w takiej sytuacji.

– Mylisz się – odparła. – Dopiero się docieramy, uczymy się być razem...

– Nie chciałaś zaakceptować mnie takim, jakim jestem. Musiałaś tam pojechać, żeby go zobaczyć. Nie wierzysz mi, gdy mówię, że pewne rzeczy uważam za niewybaczalne.

– Dowiaduję się tego o tobie właśnie teraz – odparła May, przełykając łzy.

– Teraz?

– Tak – powiedziała. – Nie potrafisz mi wybaczyć, że wyciągnęłam rękę do twojego ojca, więc mnie opuszczasz, zamykasz za mną drzwi, tak jak zamknąłeś je za nim.

– May...

– To prawda, czyż nie?

– Tak – rzekł. – Jutro, gdy cię nie będzie, przyjadę po swoje rzeczy. Do widzenia.

May wydała z siebie jakiś okrzyk, ale Martin już odłożył słuchawkę. Ona zaś, trzymając swoją, patrzyła w światła Bostonu i zastanawiała się, którym z owych świateł jest Martin. Zadawała sobie pytanie, dlaczego go nie posłuchała, jak mogła dopuścić, by to się stało. I uświadomiła sobie, że naprawdę coś wymusiła, że był to w istocie test. Czyż jej największą obawą i największą obawą Kylie nie było to, że skoro Martin potrafił wyrzec się własnego ojca, to potrafiłby tak samo postąpić z nimi?

Odszedł. Wyrzekł się ich, a wcześniej myślała, że więź, którą czuli od początku, ochroni ją i ich miłość. Myliła się.

ROZDZIAŁ 16

W kilku następnych meczach Martin grał jak tornado – tornado ludzkiej wściekłości. W każdym zdobywał trzy kolejne bramki i gazety nazwały go maszyną do wygrywania. Rozbijał ochronne maski, walił kijem, w szale zmiatał każdego przeciwnika na bandę. Pragnął krwi i walczył aż do krwi.

Zmienił się też jego sposób jazdy na łyżwach. Pędził, a nie ślizgał się po lodzie. Bramkarz Bruinsów opowiadał innym, że Martin wygląda wprost nieludzko, niczym mityczny cyklop, gdy z jednym okiem zamkniętym, drugim zaś rozpalonym i błyskającym, sunie ku siatce z krążkiem na końcu kija.

Ray próbował z nim rozmawiać, ale Martin odburknął tylko coś nieuprzejmie. Trenera, zaniepokojonego tym, że coraz więcej czasu spędza na ławce kar, zbył wyniośle, obrócił się i odszedł. Omal nie pobił reportera, który zagadnął go o nieobecność May na ostatnich meczach. Na zdjęciu, które później ukazało się w gazecie, wyglądał jak zabójca.

Kylie zatelefonowała do Fleet Center, by przypomnieć mu o swoich urodzinach. Dźwięk jej głosu niemal odebrał Martinowi mowę.

– Kylie, wiesz, że bardzo bym chciał przyjechać, ale kalendarz rozgrywek... – zaczął.

– Bardzo mi na tym zależy – powiedziała cicho.

– Cóż, niestety, mój zespół ma inne plany.

– Czy ty i mama się rozwodzicie?

– Kylie, najlepiej będzie, jeśli porozmawiasz z mamą – odparł Martin. – Muszę już iść. Wzywają mnie na lodowisko.

– Tęsknię za tobą, tatusiu.

Martin trzasnął słuchawką tak mocno, że rozbił telefon. Głos i słowa Kylie przypomniały mu rozmowy, jakie przed laty odbywał z Natalie. Przysporzył bólu własnej córce; co kazało mu sądzić, że nie zrani kolejnej dziewczynki?

Kwietniowe noce były łagodne i ciepłe. Martin spędzał je w hotelowych pokojach w Bostonie lub innym mieście, w którym odbywał się mecz. Zamawiał kolację do pokoju i oglądał telewizję, choć koledzy pukali do jego drzwi, namawiając na wypad do barów i klubów.

– Odpieprzcie się – warczał, gotów do bójki, jeśli nie przestaną go nękać.

– Złoty Młot jeszcze wróci – mawiali niektórzy; inni tylko wruszali ramionami.

Telefon dzwonił wielokrotnie, ale nigdy nie była to May. Co chciałby jej powiedzieć, gdyby zadzwoniła? Przeszłość zamarzała w nim jak jezioro ścięte wiecznym lodem. Wspomnienia o Natalie były wciąż żywe, nietknięte przez słowa ani czas. Tym, czego May nie chciała, nie potrafiła zrozumieć, był fakt, że nic nie sprowadzi jej z powrotem. Rozmowa z ojcem, świadomość, że stary człowiek nie zamierzał pozwolić jej umrzeć, że nigdy nie chciał jej skrzywdzić, niczego nie zmieniała, nie mogła bowiem tchnąć życia w Natalie.

Bez względu na to, jak bardzo kochał May, ani jak usilnie pragnął cofnąć czas do owego dnia, w którym go zdradziła, nie potrafił jej tego zapomnieć.

Zdrada – to słowo brzmiało ostro i było ostre; kaleczyło mu serce. Odwiedzając Serge’a May zdradziła Martina. Leżąc w hotelowym łóżku, zwinął się na boku, pragnąc, by nie bolało go tak bardzo. Miał siny policzek i rozciętą wargę, ale tych skaleczeń nawet nie czuł. Ból, który mu doskwierał, tkwił głębiej. Dochodził z miejsca, w którym jak sądził, miał serce; z miejsca, w którym żyła Natalie. Tylko May kiedykolwiek dotknęła tej rany. Ukoła ją swoją delikatnością i miłością, a teraz na powrót rozdarła szeroko.

A może to było łatwiejsze niż przyznanie... Nie rozmawiając z May, nie będzie musiał jej powiedzieć o tamtym. Przysłaniając sobie jedno oko, potem drugie, wpatrywał się w obraz na ścianie. Badał wzrok i próbował nie myśleć.

Gdy minął drugi tydzień nieobecności Martina, do Weselnej Gospody przyjechała Genny – oficjalnie po to, aby przywieźć May partię dzemu z ananasów. Zostawiły kosz na biurku i poszły na przechadzkę po różanym ogrodzie.

– Jak się miewasz? – zapytała Genny.

– Źle – odparła May. – Martwię się o córkę. Kylie ciągle płacze. Bardzo za nim tęskni.

– A ty?

May wzruszyła ramionami odwracając się, by ukryć łzy. Czuła się odrętwiała i rozbita. Nie mogła jeść. Straciła na wadze. W nocy nie mogła spać, a w dzień nie miała ochoty czegokolwiek robić. Kolejne godziny bez wieści od Martina były długie i straszne; a ona nie mogła przestać się zastanawiać, co on teraz robi.

– Porozmawiaj ze mną, May – Genny delikatnie dotknęła jej ramienia.

Czując przeszywający dreszcz, May ukryła twarz w dłoniach.

– Najpierw myślałam, że nie mówi tego poważnie; że gdy się uspokoi, wróci do domu...

– Rozumiem.

– Minęły dwa tygodnie – powiedziała May. – Przez cały ten czas nie zadzwonił do domu.

– Harmonogram play-offów... – mruknęła bezradnie Genny i umilkła.

– Wygrywają, a ja nawet nie mogę mu pogratulować.

– On nie zasługuje na twoje gratulacje – gniewnie odparła Genny. – Chętnie skreśliłabym mu ten jego gruby kark.

– Chciałabym tylko, żeby się uspokoił – powtórzyła May.

– Martin się nie uspokaja – powiedziała Genny. – To nie przestaje zdumiewać mnie i Raya. Nosi w sobie urazę, strzeże jej niczym pies, który nie chce oddać kości.

– Tym razem ja jestem ową kością – powiedziała May załamującym się głosem. Problem tkwił w tym, że Martin nie nosił urazy w sobie; dał jej upust, odszedł. May czuła pustkę w sobie i wokół siebie, jakby skutek wypadku straciła rękę. Obracała się we śnie, by objąć Martina, i stwierdzała, że go nie ma. Spoglądała na zegarek i serce łomotało jej na myśl, że Martin zaraz będzie w domu... lecz przypominała sobie, że on już tu nie mieszka.

– Ray twierdzi, że trudno z nim wytrzymać – rzekła Genny.

– Mówi o mnie?

– Nie. Podobno w ogóle nie chce z nikim rozmawiać.

– Wierz mi albo nie – powiedziała May, ocierając oczy, gdy spacerowały między

krzewami róż – lecz ja naprawdę chciałam dobrze. Chciałam oczyścić atmosferę, pomóc zasypać przepaść między Serge'em a Martinem.

Genny potrząsnęła głową.

– Wiem, jak bardzo Martin uwielbiał ojca. Pewnego dnia będzie musiał stawić temu czoło. Poczul się opuszczony i zdradzony... a potem, gdy umarła Natalie, spragniony mordu. Odczuł to wszystko bardziej, niż ty i ja możemy sobie wyobrazić. Jest pełen gniewu na Serge'a. Myślę, że ten gniew kieruje nim na lodzie i wszędzie indziej.

– Ja też tak myślę – powiedziała May, zamykając oczy, by przywołać z pamięci twarz Martina. Gdy ostatnio widziała go w telewizji, wyglądał jak niedźwiedź atakujący ofiarę; jakby coś zżerało jego miękką, ludzką stronę.

– Nie poddawaj się, May.

– Nie jestem osobą, która się poddaje.

Stali teraz w miejscu, gdzie przed rokiem Martin poprosił ją o rękę. Owionął ją świeży zapach ziemi, kawowych fusów i róż. Ta woń przywołała wspomnienia i May poczuła, że oczy pieką ją od napływających łez.

– Wiesz – powiedziała Genny, biorąc ją za rękę – kiedy opowiadał nam, jak cię poznał, był odmieniony, szczęśliwy. Mieliliśmy nadzieję, że pozwoli się kochać, że porzuci tę ciągłą walkę.

– Chciałam mu w tym pomóc – wyznała May ze ściśniętym gardłem.

– Niektórzy ludzie żyją po to, żeby toczyć jakiś bój – powiedziała Genny, ściskając dłoń May. – Potrzeba walki kieruje nimi bardziej niż miłość czy cokolwiek innego. W świecie hokeja widać to bardzo wyraźnie.

– Naprawdę bardzo się cieszę, że przyjechałaś – May objęła ją.

– Ja też – odparła Genny. – Żałuję, że nie mogę wyłącznie sobie przypisać tej zasługi. Masz wspaniałą przyjaciółkę.

May patrzyła zdumiona.

– Tobin bardzo się o ciebie martwi – dodała Genny.

– Zadzwoiła do ciebie? Genny skinęła głową.

– Tak. Nie miej jej tego za złe.

May spojrzała na drugą stronę stodoły. Tobin stała przy niewielkim stoliku i rozmawiając z nowymi klientkami, pokazywała im albumy. Tak jak May, miała trzydzieści sześć lat, była mężatką i matką. Jednak jej oczy były tak promienne, a gesty tak żywe jak u młodej dziewczyny; jak wtedy gdy siedziały z May w jednej ławce.

– Dziękuję – powiedziała May, ściskając Genny z wdzięcznością nie tylko za dżem z ananasów.

Gdy klientki ustaliły termin, May poszła do szopy. Światło przeciskające się przez deski pokryło srebrem pajęczyny. Czula ich sieci na twarzy i włosach, ale wychowana na wsi, nie bała się i bez namysłu odgarnęła je na bok. Dwa oparte o ścianę rowery miały zupełnie płaskie opony. Wszak od trzech lat nikt na nich nie jeździł...

Wyciągnawszy najpierw swój, a potem rower Tobin, napompuwała sflaczałe opony starą ręczną pompką. Już prawie nie pamiętała, kiedy ostatni raz były na przejażdżce. Podnosząc

wzrok ku stodole, zobaczyła, że Tobin spogląda na nią z okna. Oparła rowery o ścianę stodoły, po czym weszła do środka i podała Tobin kurtkę.

– Chodź – powiedziała. – Przejedźmy się.

– Muszę się uporać z tymi zamówieniami. – Tobin wskazała na stertę papierów leżących na biurku.

– Nie martwcie się – powiedziała ciocia Enid. – Wsiadajcie na rowery i zróbcie sobie przejażdżkę. Ja zostanę na posterunku.

Tobin bez słowa podążyła za May. Kierownice rowerów pokryte były kurzem i pajęczyną; May patrzyła, jak Tobin wyciera je gołymi rękami. Odpychając się nogą, z chrzęstem żwiru na podjeździe, ruszyła na przełaj przez łąkę. Młode liście poruszały się na wietrze, migwały w słońcu. May pedałowała zdecydowanie, nabierając coraz większej szybkości. Tobin w milczeniu jechała tuż za nią. Wybrały swą dawną trasę, tę, którą jeździły przez trzydzieści lat: wiejską drogę, wzdłuż ukrytej odnogi rzeki, następnie przez most i dalej do wodospadu, stamtąd zaś ku Crawford Hill.

Oczy May łzawiły od wiatru. Zastanawiała się, ile razy przemierzały tę trasę i co się w nich zmieniło, a co pozostało takie samo. Myślała o sekretach, jakie z sobą dzieliły; wiedziały o sobie rzeczy, których nikt inny nawet by się nie domyślał.

Minęły przewrócone drzewo, gdzie kiedyś w tajemnicy paliły papierosy, i opuszczoną farmę, gdzie kłuły się w palce, by zostać „siostrami krwi”. Minęły łąkę, na której May pierwszy raz się całowała i dróżkę, przy której Tobin straciła dziewictwo z Johnem. Kiedy dojechały do lodziarni, May dała znak ręką i skręciła w stronę piaszczystego parkingu. Wjeżdżając na łąkę piasku, poślizgnęła się i spadła.

– Nic ci się nie stało? – Tobin podbiegła do niej, zeskoczywszy z roweru.

– Chyba nie. – May badała otarte nadgarstki. Rozdarła sobie dzinsy i piasek wbił się jej w kolana.

– Krwawisz! – Tobin już wyciągała chusteczkę.

– Poradzę sobie – odparła May, chcąc ją wziąć.

Tobin na to nie pozwoliła. Oglądając dłonie May, przyklękła obok i metodycznie przecierała wszystkie rozcięcia i zadrapania.

– Jeszcze chwilę – mówiła uspokajająco.

– Telefonowałam do Genny – powiedziała May.

– Niepokoiłam się o ciebie – odparła pochylona Tobin. – Nie rozmawiałabyś ze mną, a sądziłam, że ktoś ci jest potrzebny.

May miała przed sobą czubek głowy przyjaciółki. Tobin miała krótkie gęste włosy, ale w blasku słońca May ujrzała kilka srebrnych pasm siwizny. Pomyślała, ile upłynęło czasu: wszak to zaledwie wczoraj miały po dwanaście lat. Poruszona upadkiem i wszystkim, co się wydarzyło, May poczuła, że coś w niej pęka. Zaczęła płakać.

– Wszystko będzie dobrze – Tobin objęła ją ramieniem.

– Nie wygląda na to – łkała May.

– Przewracałaś się już wcześniej – próbowała żartować Tobin – i przeżywałaś znacznie poważniejsze otarcia kolan niż...

– Mój mąż odszedł, Tobin – May z trudem łapała powietrze. – Pojechałam bez jego wiedzy do tego więzienia... i odszedł.

– Wróci – powiedziała Tobin. – Kocha cię. Jest porządnym człowiekiem, inaczej przecież byś się w nim nie zakochała.

– W Gordonie Rhodesie też się zakochałam – przypomniała jej May.

– Powinam powiedzieć: inaczej byś go nie poślubiła. Nie wyszłabyś za Martina.

– Gdybyś tylko wiedziała...

– Nie wiem, bo teraz rozmawiasz tylko z Genny.

– Genny zna go od dawna – próbowała wyjaśniać May.

– Zna całą historię Martina, wie wszystko o jego ojcu i pierwszej żonie, o Natalie. Nie muszę czuć się winna, rozmawiając o starych rodzinnych sekretach. Martin jest taki zamknięty.

– A skąd ja mam to wszystko wiedzieć, skoro mi się nie zwierzasz? Rozmowa z najbliższą przyjaciółką nie jest zdradą męża.

– To wszystko jest dla mnie nowe – powiedziała May.

– Poślubiłam człowieka z olbrzymim bagażem przeżyć i doświadczeń.

– Zapewniam cię – odparła Tobin – że wszyscy je mamy.

May skinęła głową, ocierając krwawiące kolano, a potem spojrzała prosto w oczy Tobin.

– Nie chcę stracić twojej przyjaźni.

– A ja twojej – Tobin odpowiedziała takim samym spojrzeniem. – Mogę ci coś powiedzieć?

– Oczywiście.

– Martin chce cię odzyskać. Bez względu na to, co się stało, nie chce odejść.

– Skąd wiesz?

– Bo byłam na waszym ślubie, May. Słyszałam, jak składał małżeńską przysięgę. Jedź tam i ściągnij go do domu. Za wszelką cenę.

Uściskały się, a potem odsunęły od siebie i spojrzały w stronę lodziarni – małego białego budynku, który stał tam... od zawsze. Wciąż należał do tej samej rodziny, która produkowała mrożne smakołyki, zanim obie przyszły na świat.

– Masz ochotę na dużą porcję? – zapytała Tobin.

– Pierwsze lody w tym roku!

– Chodźmy – Tobin pomogła przyjaciółce wstać. Utykając, lecz czując w talii przyjazne ramię, May stanęła przy okienku. Świat wydawał się teraz pełen nadziei i możliwości. Tobin zamówiła waniliowe, a ona orzechowo-czekoladowe. Pewne rzeczy się nie zmieniają. Niektóre zaś, na całe szczęście, pomyślała May, zmieniają się na pewno.

Hokejowa hala Fleet Center, pełna ochroniarzy, kibiców i fanek, zawsze ją onieśmiałała. Pomimo to dwa dni po owej lodowej uczcie May wjechała prosto na parking przed halą. Wziąwszy głęboki oddech, zamknęła samochód i przemaszerowała przez plac parkingowy. Samochód Martina stał na swoim stałym miejscu. Na ten widok zakręciło jej się w głowie, ale szła dalej.

Ochroniarz skinął jej na powitanie, czyniąc to co prawda niezbyt przyjaźnie, ale przynajmniej nie odprawił jej od drzwi. May odpowiedziała mu uśmiechem. Czy oznaczało to, że Martin nie opowiedział o ich rozstaniu?

Uderzyło ją podobieństwo tej sytuacji do wizyty w Estonii. Wpuszczono ją przez specjalne strzeżone wejście do pomieszczeń przeznaczonych dla zawodników. Idąc długim korytarzem czuła się samotna i zdenerwowana. Wcześniej powtarzała sobie, co mu powie – „Przepraszam, Martin, nie powinnam tam jechać za twoimi plecami, nie chciałam cię zranić... „ – i zastanawiała się, co będzie dalej. A jeśli nie zechce jej wybaczyć? Jeśli znalazł sobie kogoś innego? Pomyślała o Tobin zapewniającej ją, że Martin chce być z nią, że poważnie traktuje małżeńską przysięgę, i poczuła się silna. Skręciwszy za róg ujrzała Raya Gardnera z grupą kolegów schodzących z lodowiska.

– May! – zawołał.

Muzyka płynąca z głośników prawie całkiem go zagłuszała.

– Jest tutaj? – zdołała zapytać zaschniętymi ustami.

– Tam! – wskazał lodową taflę. – Jesteś pewna, że chcesz rozmawiać z nim tutaj? Przekaż mu wiadomość, że czekasz. Możecie przecież spotkać się w innym miejscu, może w sali konferencyjnej?

– Jestem pewna. Poczekam.

Ray skinął głową, cmoknął ją w policzek i wszedł do szatni, a May ponownie oparła się o ścianę. Przechodzący obok zawodnicy kiwali jej głowami na powitanie, a kilku rzuciło przyjazne „cześć”. May pomachała im ręką, próbując się uśmiechać. Z lodowiska ciągnęło chłodem i May w swej wiosennej bawełnianej sukience drżała z zimna.

Martin ostatni ukazał się w drzwiach. May obserwowała go, stojąc w cieniu. Miał olbrzymie barki, a jego twarz była gniewna i zacięta. Z półprzymkniętym lewym okiem przypominał rozwścieczonego pirata. Z bijącym sercem wyciągnęła rękę.

– Martin... – powiedziała, ale jej głos utonął w hałaśliwej muzyce.

Minał ją, znikając w szatni bez choćby jednego spojrzenia. May patrzyła z niedowierzaniem. Wszystko stało się tak szybko: pojawił się i zniknął w dwie sekundy. Stała w miejscu jak skamieniała, a potem pobiegła prosto do szatni zawodników.

– Martin! – krzyknęła.

– Przepraszam – ochroniarz chwycił ją za ramię. – Jak pani tu weszła?!

Wokół stali zawodnicy, jedni w swetrach, inni z nagimi torsami, niektórzy w bieliźnie, a kilku całkiem nago. May rozglądała się wokół, nie zwracając na nich uwagi.

– Gdzie jest Martin? – zapytała.

– Pani Cartier – rzekł ochroniarz, prowadząc ją ku drzwiom – zonom nie wolno tu wchodzić. Przekażę mu wiadomość i...

May nie czekała, aż skończy, i uwolniwszy rękę, wyszła. Koledzy Martina śmiali się nerwowo, wołając za nią, że Martin jest już pod prysznicem. W uszach jej szumiało. Pomyślała o zapewnieniach Tobin i potrząsnęła głową. Najlepsze przyjaciółki nic nie rozumieją.

Nadeszła trzecia sobota maja. May straciła nadzieję, że Martin się odezwie. Nie chciał z nią rozmawiać, to było jasne. Pojechała z Kylie do Genny i Raya. Gardnerowie mieszkali w New Hampshire, z dala od miasta, w niewielkiej trzydziestoakrowej posiadłości przypominającej teren wokół Lac Vert. Świeże powietrze pachniało tu młodym listowiem i wiosennymi kwiatami.

– Tak tu spokojnie... – May stała na werandzie z Rayem. Genny zabrała dzieci i poszła z nimi puszczać latawce za domem.

– Lubimy wieś. Genny i ja jesteśmy ludźmi z prowincji – powiedział Ray. – Zawsze nimi byliśmy.

– Tak jak Martin.

– Uważam go za swego brata – rzekł Ray – ale teraz zachowuje się jak idiota. Nie rozumiem jego postępowania. Zupełnie jakby nie był sobą.

– Myślisz tak dlatego, że mnie zostawił?

– Głównie dlatego, ale również z innych powodów. Sprawia wrażenie całkiem innego człowieka.

Wspomnienie Martina mijającego ją na korytarzu Fleet Center i jej pościgu za nim do szatni wciąż było bardzo żywe i bolesne. May aż kurczyła się na myśl o tym. Mężczyzna, którego poślubiła, którego od roku kochała, nigdy by jej tego nie zrobił.

– Nie może mi wybaczyć – powiedziała.

– Tego że pojechałaś spotkać się z jego ojcem? – parsknął Ray. – Ojciec był dla niego wszystkim. Pozwól, że opowiem ci pewną historię.

Wiosna przechodziła w lato i gdy nad wzgórzami New Hampshire zapadła noc, May słuchając rechotu żab i wpatrując się w gwiazdy czekała, aż Ray zacznie swą opowieść. Był niższy od Martina, ale szerszy w ramionach. Miał ciemne, niemal czarne włosy i oczy. May wiedziała, że jest bardzo łagodny, ale pogrążony w myślach przybierał groźny wyraz twarzy, który pogłębił się, gdy zaczął mówić.

Kiedy Ray i Martin mieli po piętnaście lat, postanowili wybrać się autostopem do odległego o ponad dziewięćset kilometrów Toronto, by zobaczyć Serge'a na lodowisku. Martin od pięciu lat nie widział ojca, a Serge był wtedy u szczytu sławy. Toronto przewodziło hokejowej lidze i Martin był przekonany, że jeśli zdołają tam dojechać, znajdą kogoś, kto zaprowadzi ich do Serge'a.

– Agnes nawet nie chciała o tym słyszeć – opowiadał Ray. – I któż by się jej dziwił? Widziałaś blizny na jego piersi? Martin nigdy o tym nie mówi, ale Genny i ja domyślamy się, skąd się wzięły.

May skinęła głową.

– Cóż, Agnes gardziła Serge'em. Martin na ogół był jej posłuszny, ale...

– Miał tylko piętnaście lat...

– ... a jego ojciec był gwiazdą NHL. Wyruszyliśmy więc w dwunastogodzinną autostopową podróż znad Lac Vert do Toronto... w połowie stycznia... podczas odwilży.

– Dwanaście godzin... – westchnęła z niedowierzaniem.

– Cóż, śnieżne zasy były jeszcze wysokie, ale świeciło słońce, więc było nam ciepło i

czuliśmy się dobrze. Zabrał nas kierowca ciężarówki jadący z Quebecu do Montrealu, z następnym przejechaliśmy większą część drogi do Ottawy, a z kilkoma kolejnymi do Toronto. Dopiero gdy tam dotarliśmy, zaczęły się trudności.

W Mapie Leaf Gardens odprawiono ich z niczym. Próbowali dostać się do środka przez wejście dla zawodników; Martin przekonywał strażnika, że jest synem Serge'a, pokazując mu swoją szkolną legitymację.

– Nie spotkaliśmy nikogo, kto by nam uwierzył. Serge miał opinię playboya z Las Vegas. Żadna z jego prasowych biografii nigdy nie wspominała, że ma syna, gdyż Serge wiedział, że Agnes by go zabiła, gdyby ściągnął uwagę prasy na Martina. Chciała, żeby jej syn wychowany został właściwie: żadnej sławy ani majątku...

May pokiwała głową, rozumiejąc teściową, choć przecież jej nie znała.

– Tak więc środowisko hokejowe w ogóle nie wiedziało o istnieniu Martina. Później dowiedzieliśmy się, że Serge kazał zwolnić dwóch ludzi za to, że nie zaprowadzili nas do niego, ale wtedy nawet nie przekroczyliśmy bramy.

– Wiem, co się wtedy czuje. Martin musiał być zdruzgotany – powiedziała May.

– Łagodnie mówiąc, prawda? Wyruszyliśmy w drogę powrotną i akurat wtedy zmieniła się pogoda. Dojechaliśmy do Belleville, zerwał się wiatr znad jeziora Ontario i zamienił w zamieć.

– W zamieć?!

– W okropną zadymkę. Padał tak gęsty śnieg, że nie widzieliśmy się nawzajem. Było bardzo zimno. Nigdy w życiu nie zmarzliśmy tak jak wtedy. Nigdy.

May zamknęła oczy, myśląc o odległościach, jakie musiał pokonać Martin, by spotkać ojca. Dojechać tak daleko i nawet go nie zobaczyć!

– Mieliśmy kurtki i boty, ale śnieg sięgał nam powyżej kolan – mówił dalej Ray. – Drogi były opustoszałe. Nikt nimi nie jeździł. Zrobiło się ciemno. Palce u rąk i nóg nam zdrętwiały, a twarze przymarzły do zamków błyskawicznych. Broczyliśmy krwią; krew zamarzała na mrozie. Myślałem, że umrzemy.

– Co zrobiliście?

– Martin nie pozwolił mi stracić nadziei – odparł Ray. – Do dziś twierdzę, że tamtej nocy zachowała nas przy życiu jego wiara.

May czuła, że Ray wpatruje się w nią, ale nie podniosła wzroku.

– Ocalił mi życie – Ray spojrział ku niewysokim wzgórzom. – Dreptaliśmy w kółko, a potem zbudowaliśmy igloo i siedzieliśmy w nim, aż zamieć się skończyła.

May zamknęła oczy, wyobrażając sobie schronienie ze śniegu i lodu. Martin wciąż żyje w takiej kryjówce, pomyślała, ale wiara go opuściła.

– Nie rzucaj go – rzekł Ray, dotykając jej ręki.

May zacisnęła powieki, próbując wziąć głęboki oddech. Przecież to on ją rzucił.

– Co ci powiedział o moim przyjeździe do hali tamtego wieczoru? Przeszedł wtedy obok mnie.

– Nic nie powiedział.

– Bronisz go. – May spojrziała mu w oczy.

– Nie, nie bronię. Powiedziałem mu, że jest durniem, i przyznał mi rację. Kiedy jeden z kumpli zaczął się naśmiewać z twojego wejścia do szatni, Martin chwycił go za gardło tak mocno, że zostawił mu ślady palców.

– Co się z nim dzieje?

– Nie wiem – odparł Ray, przyglądając się, jak Genny zwija latawiec, który ciemniejąc na tle jeszcze ciemniejszego nieba kołysał się i szybował niczym nietoperz. – Martin jest moim najbliższym przyjacielem, a nie znajduję odpowiedzi.

Genny wraz z dziećmi weszła do domu i May usłyszała, jak Kylie opowiadał swoim łyżwiarskim przyjęciu urodzinowym, które miało się odbyć następnego dnia. Niepokoiła się, bo nie jeździła zbyt dobrze, ale dzieci Gardnerów przekonywały ją, żeby się nie bała.

– Przyjedziecie? – prosiła.

– Nie mogę – odpowiedziała Charlotta. – Muszę dekorować salę na szkolną zabawę.

– A ja mam mecz bejsbola. Przykro mi, Kylie – rzekł Mark.

May otuliła Kylie swetrem i posadziła ją sobie na kolanach. Kylie głęboko ukryła rozczarowanie. Dała mu upust później, w nocy, wzywając przez sen Martina. Obudziła się spocona; z płaczem powtarzała słowa, od których wszystko się zaczęło: „Pogódźmy ich. Natalie mówi, że musimy ich pogodzić”.

– Pierwsza gwiazda – Charlotta wskazała niebo.

– Wypowiedzcie swoje życzenia – powiedziała Genny.

– Chciałbym, żeby drużyna Boston Bruins wygrała Puchar Stanleya – rzekł Mark.

– Grzeczny chłopiec – roześmiał się Ray.

– A ja chciałabym... – zaczęła Charlotta i jak każda nastolatka resztę życzenia wypowiedziała bez słów.

May mocniej przytuliła Kylie i pocałowała jej włosy. Pochyliwszy się, by zapytać, czego pragnie Kylie w przeddzień swych urodzin, usłyszała żarliwy, niemal niesłyszalny szept, którego jej córka nie kierowała do uszu któregośkolwiek z żyjących ludzi.

– Chciałabym, żeby tatuś wrócił do domu.

Każdego wieczoru w Bostonie robił to samo: wychodził z lodowiska albo hotelu, wsiadał w samochód i krążył wokół. Powtarzał sobie, że potrzebuje powietrza, przestrzeni i ruchu, ale naprawdę potrzebował jedynie May.

Przejeżdżał obok domu i gdy widział jej samochód zaparkowany przed wejściem i światła w oknach, wszystko było dobrze. Zatrzymywał wtedy auto w jakimś ocienionym miejscu i wpatrywał się w okna, dopóki światła nie zgasły. W weekendy, gdy Kylie nie musiała iść do szkoły, jeździł do Black Hall, gasił światła samochodu i przejeżdżając przez pole, upewniał się, że jest bezpieczna w Weselnej Gospodzie.

Tylko wtedy, obserwując je z ukrycia, osiągał względny spokój. Czasami widział, jak May zaciąga zasłony lub przechodzi z jednego pokoju do drugiego, i ruszał ku drzwiom, gotów wziąć ją w ramiona i powiedzieć, że popełnił największy błąd w swoim życiu, że pragnie zacząć wszystko od początku.

Jednakże jego największym grzechem była duma. Nie potrafił nawet ułożyć sobie w myśli tych słów. Uściśnięcie May było wspaniałą wizją, lecz o ile znał swoją żonę, to byłby

dopiero początek. Zechce siedzieć do świtu albo i dłużej, i wszystko drobiazgowo roztrząsać. May lubiła rozmawiać, łączyć fakty, nadawać sens tajemnicom życia. On zaś wolał zostawić je w spokoju... szczególnie teraz, gdy nękał go dodatkowy problem, trudniejszy niż wszystko, z czym kiedykolwiek się zetknął.

Ray opowiedział mu o wizycie May w hali; zszedłszy z lodu zastał ją przy drzwiach garderoby zawodników. Miała na sobie żółtą sukienkę i wydawała się zdecydowana na spotkanie z Martinem. Ray proponował jej, by przeszła do sali konferencyjnej, ale May się nie zgodziła, mówiąc, że poczeka na męża tu i teraz.

Martin musiał przejść obok niej.

Pobiegła za nim do szatni. Wchodząc pod prysznic, słyszał śmiechy i gwizdy. Kilku kumpli wpadło na kiepski pomysł, by go później wypytywać.

Martin myślał o niej. Myślał o niej również wtedy. Pragnął jej, pożywał, układał to, co jej powie: że miała rację. Wciąż miał ją przed oczami – uśmiechniętą, drobną, zdecydowaną i nieśmiało wyciągającą rękę, by go dotknąć.

Jednak May nie wiedziała... Martin nie mógł jej tego powiedzieć; nie przyznawał się sam przed sobą i z pewnością nie zwierzyłby się Rayowi ani pozostałym. May nie zdawała sobie sprawy, że jej nie widział.

Ciemność, przez którą teraz spoglądał, wydawała się równie gęsta jak zwisające z drzew pajęczyny. Przysłonił najpierw jedno oko, potem drugie. Nocne niebo było czyste, ale jego otulała mgła. Od kilku tygodni obrazy, jakie widział, szczególnie prawym okiem, robiły się coraz mniej wyraźne. Nie powiedział tego lekarzowi drużyny i bał się powiedzieć May. Kiedy przyznała się do wizyty w Estonii, znalazł doskonałą wymówkę, by w ogóle z nią nie rozmawiać: po prostu wyszedł.

Dziś wieczorem nie było jej ani w Bostonie, ani w Black Hall. Zaniepokojony, odbył długą podróż z Bostonu na wybrzeże Connecticut i z powrotem. Nigdzie nie było widać jej samochodu. W wiejskim domu ciocia Enid stawiała sobie pasjansa, siedząc samotnie przed telewizorem, a dom w Bostonie był ciemny i pusty.

Martin poczuł trwogę. Wprost palił się do rozmowy z May. To musiało się przecież skończyć, ta idiotyczna separacja. Ostatnio coraz częściej łapał się na tym, że myśli o pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył: w samolocie lecącym do Bostonu, siedzącą obok Kylie. Widział, jak pochyła się nad Kylie, obdarzając go podejrzliwym spojrzeniem, jakby w jakiś niezwykle sposób widziała, że jest zły, że będzie musiała chronić przed nim swoje dziecko.

Jaki mężczyzna tak po prostu opuszcza rodzinę?

Takim mężczyzną był on sam... Uczynił to dwukrotnie. Przeczucia May okazały się słuszne. Ona umiała kochać; Martin umiał się wściekać. Zaparkował samochód na Beacon Hill i ruszył do ich pustego domu, ponownie sprawdzając swój wzrok. Jeśli nie było jej ani tutaj, ani w Weselnej Gospodzie, to gdzie się podziała? Jutro są urodziny Kylie. Czyżby odwołały łyżwiarski bal i pojechały świętować gdzieś daleko?

ROZDZIAŁ 17

Lodowisko rozbrzmiewało śmiechem i muzyką. Wiele dzieci, które uczestniczyły w piątkowych lekcjach jazdy, miało tu własne szafki i sprzęt. Tej majowej niedzieli, w dniu swoich urodzin, Kylie stała za bandą patrząc na dziewczęta, które wystrojone w śliczne krótkie spódniczki ślizgały się obok na eleganckich białych łyżwach, w towarzystwie błyskających czarnymi łyżwami chłopców w elastycznych spodniach.

Kylie marzyła o tym, by zapaść się pod ziemię.

Martin zniknął z ich życia. Już z nimi nie mieszka i nie przyjedzie na jej urodziny. Był „w podróży”... prawdopodobnie grał w hokeja. Tak powiedziały jej mama i Genny, chcąc, by myślała, że byłby tutaj, gdyby tylko mógł.

– Witaj, Kylie! Wejź na lód – zawołał kierownik lodowiska.

– Najlepsze życzenia, Kylie! – zawtórował mu asystent. Kylie skinęła głową, machając im ręką. Mama odeszła na bok, żeby porozmawiać z wodzirejem. Kylie czuła ucisk w żołądku. Gdy tylko wyjdzie na lód, przewróci się tak, jak upadła na urodzinowej zabawie Ellen.

– Nie będzie Martina Cartiera? – dopytywał się Jirnmmy Vance, podjeżdżając na łyżwach i z fantazją zatrzymując się tuż przed nią.

Kylie potrząsnęła przecząco głową. Wszyscy pytali ją o Martina: w szkole koledzy dawali jej cukierki, gumę do żucia i kartki z pokemonami w nadziei, że zaprosi ich na urodziny, by mogli poznać Martina i pojeździć z nim na łyżwach.

– Miał być – powiedział Jimmy.

– Ma jakiś mecz...

– Przedwczoraj wygrali – rzekł na to Jimmy – ale wczoraj była przerwa, a dziś grają dopiero późnym wieczorem. Więc mógłby tu być, gdyby chciał.

– Ona tylko tak mówiła, żebyśmy tu przyszli – dodała Ellen, wirując w piruecie. – To jest dzień mojego popisu i miałam być w Cheston Hill na turnieju Srebrnej Gwiazdy, ale przyszłam, bo myślałam, że spotkam pana Cartiera.

– Nawet nie włożyła łyżew – rzekł Jimmy, spoglądając przez barierę na tenisówki Kylie.

– Mama przyniesie mi łyżwy – wyjaśniła Kylie. – Musi mi pomóc je założyć.

Serce biło jej mocno i żałowała, że nie ma wysokiej gorączki, by móc porozmawiać z Natalie. Gdybyż tylko to przyjęcie już się skończyło, gdybyż nie musiała jeździć przed nimi wszystkimi na łyżwach... Będą się śmiać z tego, że nie potrafi się podnieść po upadku, i z tego, że nie ma tutaj Martina.

Kylie zamknęła oczy. Życzenia czasem się spełniają... była tego pewna. Marzyła o ojcu i w ich życiu pojawił się Martin. Ale teraz go nie było, a ona zastanawiała się, co złego uczyniła, że odszedł.

Mama wydawała się smutna. Schudła, bo straciła apetyt i nie spała, tylko całymi nocami czytała książki. Kylie wszystko widziała. Którejś nocy wygramoliła się z łóżka i na palcach przeszła przez korytarz, a potem stanęła pod drzwiami sypialni mamy i przez szparę zajrzała

do środka.

Nagle Jimmy i Ellen ze zdziwienia stracili oddech, a oczy im zognomniały.

– O rany! To on!

Pozostali koledzy i ich rodzice przestali się ślizgać i zaczęli podjeżdżać bliżej, początkowo powoli, a potem coraz szybciej, do miejsca, gdzie stała Kylie. Kylie zaś, spoglądając przez ramię, zobaczyła podchodzącego Martina z jakąś paczką pod pachą.

– Dzień dobry, jestem Tally Vance, matka Jimmy’ego – jakaś pani w czerwonej spódniczce wyciągała ku niemu rękę. – Mój syn jest pana wielbicielem, tak jak my wszyscy! Dziękuję za tyle...

– Miło mi panią poznać – rzekł Martin, ściskając jej dłoń, ale zaraz się odwrócił. – Proszę mi wybaczyć, muszę przywitać się z córką.

Serce Kylie zabiło z radości. Martin przykucnął przed nią i patrzył prosto w jej oczy.

– Przyjechałeś – wyszeptła.

– Nie mógłbym opuścić twoich urodzin – odparł.

– Myślałam, że już nas nie kochasz.

Martin pokręcił przecząco głową. Miał w oczach okropny smutek, jakby właśnie powiedziała najgorszą rzecz na świecie.

– Bardzo mi przykro, że tak myślałaś.

Wręczył jej prezent, pudełko otulone w błyszczący różowy papier, ale potem podniósł wzrok, twarz mu się rozjaśniła, a Kylie wiedziała, że patrzy na jej mamę i usłyszała, jak wymawia jej imię.

– May... – powiedział.

Przeciskając się przez tłum, May niosła łyżwy, swoje i Kylie. Ostatni raz jeździły na nich na stawie za stodołą, pewnego mroźnego dnia z Martinem. May chciała wyjść z córką na lód i zapewnić jej możliwie najmiłą zabawę.

– May...

Na dźwięk swego imienia podniosła głowę. Rodzice i dzieci zgromadzili się wokół ławki, na której siedziała Kylie. Kierując ku nim wzrok, zobaczyła wpatzonego w nią Martina.

– Martin... – powiedziała, upuszczając łyżwę. Martin podbiegł i pochylił się, by ją podnieść. Był tak blisko, poczuła jego dłoń na wierzchu swego buta. Serce biło jej szybko, jakby biegła w jakimś wyścigu. Kiedy się wyprostował, niemal musnął jej twarz swoją i poczuła jego oddech na policzku.

– May – powiedział. – Popełniłem błąd.

Patrzyła mu w oczy drżąc z pragnienia, by go objąć; nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa, choć chciała powiedzieć: ja też...

– Wyszedłem, bo nie mogłem tego zrozumieć – rzekł, biorąc ją za rękę. – Musiałem sobie wszystko poukładać.

Spojrzała mu w oczy. Były takie niebieskie. Otaczało je więcej bruzd niż miesiąc temu. Martin postarzał się w czasie rozłąki i May była pewna, że jej także przybyło lat.

– Było ci lepiej beze mnie? – zapytała.

– Było mi okropnie. Uśmiechnęła się.

– Przyniosłem ci coś – rzekł, sięgając do kieszeni. Otaczające ich dzieci podskakiwały i wydawały radosne okrzyki, dorośli szeptali, a Kylie siedziała samotnie na ławce. May chciała podejść do córki, ale Martin trzymał jej dłoń i po chwili wręczył jej niewielki przedmiot owinięty w bibułkę.

Drżącymi rękami odwinęła pakunek. Był to mały skórzany worek, który wręczyła Martinowi w minionym sezonie, kiedy się poznali, aby pomóc mu wygrać play-offy. Rozwiązawszy rzemyczek, zajrzała do środka. Zobaczyła różane płatki i drobne kosteczki. Gardło ścisnęło jej się na wspomnienie, ile nadziei włożyła wtedy w ten worek.

Martin objął ją ramieniem.

– Wybacz mi, May – wyszeptał z ustami przy jej uchu.

– Och, Martin...

Wiedząc, że Kylie ich obserwuje, chciała być ostrożna, chciała mieć pewność. Były chwile, gdy chętnie cofnęłaby to, co mówiła w związku z jego ojcem, odrzuciłaby wszystkie zasady, byle tylko mieć Martina z powrotem. Były też inne; takie, gdy pragnęła zobaczyć go tylko po to, aby rzucić mu w twarz słowo „żegnaj” – za to, do czego doprowadził ją i Kylie.

– Robisz to tak dobrze. Proszę, wybacz mi – powtórzył.

– Wybaczam.

– Należymy do siebie.

– Nigdy nie przestałam w to wątpić – powiedziała wyraźnie. W jej duszy rozbrzmiewały echem słowa z niebieskiego dziennika: pogódź ich, pogódź ich...

Kylie przyglądała się rodzicom. Mama najpierw wydawała się oszołomiona, milcząca i sztywna. Oczy lśniły jej łzami, ale Martin nie przestawał mówić, pieszcząc jej dłoń i głaszcząc po włosach, aż w końcu pofrunęła z otwartymi ramionami, by go pocałować i objąć. Kiedy zaś to się stało, Kylie znów mogła odetchnąć.

Jimmy i Ellen chcieli, żeby otworzyła paczkę, którą przyniósł Martin, a pani Tally Vance zaczęła jej pomagać rozwiązywać wstążkę, lecz Kylie mocno trzymała prezent, pochylając nad pudełkiem całe ciało, aby wszystkich trzymać z dala od niego.

– *Cava*, Kylie? – zapytał Martin, podchodząc do niej z mamą.

– Tatusiu... – Kylie zarzuciła mu ręce na szyję. Martin unióśł ją do góry. Mamusia była tuż obok i teraz stali razem, w małej rodzinnej grupie. Kylie czuła wielką radość. Wreszcie wszystko było jak należy.

– Najlepsze życzenia z okazji urodzin, Kylie – powiedział.

– Dziękuję.

– A co z prezentem? – zapytał, bardzo poważnie wskazując niebieskimi oczami przyniesione pudełko. – Nie zamierzasz go otworzyć?

– Czekałam na ciebie.

Kylie położyła sobie pudełko na kolanach. Było duże, niemal kwadratowe i owinięte w różowy papier. Kiedy pociągnęła za wstążkę, serce zaczęło jej bić coraz szybciej.

– Łyżwy – powiedział Jimmy, zaglądając jej przez ramię. – Dał jej hokejowe łyżwy.

Kylie zadrżała. Poczwała jednocześnie dreszcz i lęk. Pudełko wydawało się sklezione, gdy

próbowała je otworzyć. Wyobraziła sobie te hokejowe łyżwy jako miniaturową parę tych, w których zwykle jeździł Martin: brązowych i... no cóż, brzydkich z takimi ostrzami... nie dbała o to, zresztą i tak będą jej się podobać...

Ale to, co zobaczyła, wprost odebrało jej mowę.

– Spódniczka! – wykrzyknęła radośnie. – Taka jak w rewii na lodzie!

– Dla najpiękniejszej dziewczyny w Bostonie – rzekł Martin.

Spódniczka była srebrzystobiała niczym anielskie skrzydła, z diamentowymi iskierkami na licznych warstwach tiulu.

Kylie opłotła ramionami szyję Martina, on zaś przytrzymał spódniczkę, pomagając jej wejść w ów strój.

Teraz Kylie wprost nie mogła się doczekać, żeby wyjść na lód. Mama zdjęła swoje tenisówki i pomogła Kylie zrobić to samo, a Martin przykucnął przed Kylie i wsunął jej na nogi buty z łyżwami.

Dotychczas Kylie nigdy nie dostrzegła, jakie są piękne: z białej skórki, ze srebrzystymi ostrzami, ząbkowane na samym przodzie, by móc zahaczyć o lód. Pasowały do spódniczki wręcz idealnie. Gdy Martin je sznurował, czyniąc to wystarczająco mocno, ale niezbyt ciasno, Kylie patrzyła na czubek jego głowy. W ciemnych włosach Martina lśniły też siwe. Coś kazało jej pochylić się, pocałować go i szepnąć:

– Dziękuję, tatusiu.

– Cieszę się, że jesteś zadowolona.

Martin sięgnął do swojej torby, wyciągnął z niej własne hokejowe łyżwy, włożył je i zasnurował tak szybko, że Kylie ledwie zdążyła to dostrzec.

– Będziesz się ślizgać? – zapytała.

– Na twoim przyjęciu? Oczywiście, ale tylko z tobą i mamą. Jesteś gotowa?

Kylie z bijącym sercem skinęła głową. Na lodowisku było pusto. Wszyscy odsunęli się na bok, by obserwować jak jeździ Martin... albo jak przewraca się Kylie.

– Patrz prosto przed siebie – powiedział cicho Martin, gdy Kylie zachwiały się nogi.

Mama odjechała na bok, starając się wyczuć lód. Kylie patrzyła na nią, żałując, że drugą dłonią nie wzięła jej za rękę.

– Mama jeździ – stwierdziła widząc, jak May ostrożnie sunie przez lodowisko.

– Ty także – oświadczył Martin.

Kylie potknęła się, gdy tylko weszli na lód, ale Martin chwycił ją i podniósł do góry, pomagając wstać. Kilkoro dzieci się roześmiało, nad ich głosami górował śmiech Ellen.

– Nie potrafię – wyszeptała ze łzami w oczach.

– Jestem pewien, że potrafisz – odparł Martin. – Pamiętasz staw? Lodowisko jest bardzo podobne, prawda? Tylko ty, ja i twoja mama.

– Świetnie ci idzie – powiedziała mama, pojawiając się obok.

– Nie! – westchnęła Kylie, próbując się zatrzymać. Martin jej na to nie pozwolił.

– Początkujący łyżwiarze są jako nowo narodzone źrebięta – rzekł i obejmując Kylie ramieniem, wziął ją za rękę.

– Już mi to mówiłeś – przypomniała mu Kylie.

– Właśnie to powiedział mi mój ojciec, gdy pierwszy raz wyjechałem na lód – odparł, znacząco spoglądając na May.

– Twój ojciec... – Kylie myślała o swoich snach i o przesłaniu, jakie wciąż przekazywała jej Natalie. Znów się potknęła. – Nie potrafię – powtórzyła, czując, że oczy zachodzą jej łzami.

– Rzecz w tym, że te źrebięta – mówił dalej Martin, trzymając ją mocno i prowadząc po lodzie tak gładko, że ledwie zauważyła, iż przejechali obok mamy, minęli panią Vance, Jimmy’ego, Ellen i wszystkich innych – szybko się uczą. Gdy tylko poczują grunt pod nogami, zaczynają biec i nie mogą przestać. To tak jak z chodzeniem, Kylie. Najpierw poruszaj stopami, nogi podążą za nimi.

Dławiąc łzy, Kylie skupiła się na nogach. Najpierw jedna, potem druga... Prawa... lewa... Martin pochylił się i nagle zdała sobie sprawę, że już jej nie unosi. Podtrzymał ją, tak, ale jej nogi poruszały się same, tam i z powrotem, krótkimi krokami...

– Nie szoruj nogami – powiedział. – Ślizgaj się. Właśnie tak... długimi ruchami. Patrz przed siebie, nie na stopy.

– Wspaniale – powiedziała mama. – Jestem z ciebie dumna!

Kylie próbowała się uśmiechać, ale musiała koncentrować się na tym, żeby nie upaść. Czy mamusia była naprawdę tak szczęśliwa, jak się wydawała? Tak jak dawna mama, roześmiana i promienna?

– Tatusiu, ja jeżdżę.

– Rzeczywiście jeździsz.

– Ja jeżdżę! – radośnie powtórzyła Kylie.

– To prawdziwy balet na lodzie.

Dopiero teraz, po raz pierwszy, Kylie usłyszała muzykę. Czyżby rozbrzmiewała przez cały czas? Była taka piękna, melodyjna... Kylie niemal widziała baletnice z rewii opowiadające tańcem wzruszające historie. Widziała bajkowe zamki i pałace, królewiczów i królowny, a także złe wróżki. Wszystkie postacie tańczyły wokół, lecz Kylie, mama i Martin byli jedynymi realnymi ludźmi na lodowisku.

Martin zdjął ramię z jej talii i Kylie jęknęła ze strachu. A jednak sunęła dalej. Trzymał ją za rękę i nie upadła. Była źrebięciem, które stwierdziło, że ma nogi, i zapragnęło biec. Martin zawrócił ją i ujął za drugą rękę.

– Popatrz mi w oczy, dobrze? Właśnie tak! Wspaniale! Damy twoim kolegom małe przedstawienie, chcesz?

– Nie upadnę, jeśli wciąż będę patrzeć na ciebie? – zapytała, nawet nie mrugnawszy okiem.

– Nie upadniesz – obiecał.

– Jedziesz do tyłu.

– Pewnego dnia też będziesz tak jeździć.

– Chciałabym. Podoba mi się to – powiedziała rozkoszując się tą chwilą i wyobrażając sobie, że tańczy na łyżwach, jeżdżąc w przód i w tył, ubrana w migotliwą spódniczkę, przed publicznością pałacu lodowej rewii.

- Mnie też się to podoba.
- Dobrze to robię?
- Lepiej niż Michelle Kwan.

Okrażyli całe lodowisko. Martin jechał tyłem i obracał ją w powolnych kręgach w rytm muzyki, a wszyscy wokół przyglądali się, jak ojciec i córka tańczą razem na lodzie.

Kylie czuła się tak szczęśliwa, iż prawie zapomniała, że rodzice się rozstali, że Martina od dawna nie było w domu, że co noc płakała, dopóki nie zmorzył jej sen. Prawie zapomniała o snach, o Natalie błagającej o pomoc i o tym, że nie wiedziała, jak spełnić jej życzenie.

Martin dał znak komuś z obsługi lodowiska, by pozwolono innym dzieciom wejść na taflę. Kylie była taka dumna! Mama przyłączyła się do nich, biorąc Kylie za rękę, a Martin wziął ją za drugą. Dzieci i niektórzy rodzice otoczyli ich kręgiem, by móc potem powiedzieć, że jeździli na łyżwach z Martinem Cartierem, ale Kylie wiedziała jedno: Martin jest ich – jej, mamy i Natalie. Stanowią rodzinę, której Martin jest ojcem, i znów są razem.

ROZDZIAŁ 18

Godzinę przed rozpoczęciem pierwszego meczu finałów Pucharu Stanleya – potencjalnego rewanżu na drużynie Edmonton – Martin Cartier siedział w szatni, owijając kostki. Wiedział, że May i Kylie są już na miejscach. Z głośników dobiegała muzyka. Zespół się rozgrzewał. Martin czuł obecność Jorgensena na stadionie.

Był podekscytowany, jakby do niego należała ta chwila. Odzyskał May. Był gotów zetrzeć Jorgensena na proch, wygrać ten mecz, całą kolejkę spotkań i zdobyć Puchar Stanleya i właśnie myślał, że dla niej tego wszystkiego dokona, gdy nagle obraz przed jego oczami osnuła czerń.

W jednej chwili światła jaśniały, wokół kręcili się koledzy, obok z jedną stopą na ławce stał trener Dafoe, w drugiej zaś – wszystko zniknęło w ciemności. Martin słyszał głosy, ale niczego nie widział.

– Jeśli chodzi o ciebie, Martin – mówił trener Dafoe – wszyscy gramy na ciebie, podajemy ci krążek, a ty tylko na niego czekaj i rób to, co potrafisz najlepiej. W zeszłym roku nas pociągnąłeś, Martin. Potrafisz zrobić to jeszcze raz. Co się zaś tyczy obrony...

– Nie martw się o obronę, trenerze – rzekł Ray. – Martin i ja się tym zajmujemy.

– Tak – potwierdził Martin, a słowo „tak” okazało się włącznikiem w jego mózgu. Światła rozbłysły ponownie. Znow widział. Wszyscy byli na swoich miejscach; Dafoe, Ray, asystent trenera, pozostali zawodnicy, robiąc to, co robili przed chwilą. – Obrona nie będzie problemem.

– Jesteś teraz żonaty – kontynuował trener. – Muszę przyznać, że w zeszłym roku wiadomość mną wstrząsnęła. Myślałem, że przegraliśmy z powodu dekoncentracji Martina. Ale co ja właściwie wiem? Kim jestem, by mówić, co jest dobre, a co złe?

– Zapewniam cię, że to jest dobre – odparł Martin.

– No cóż, ten sezon możesz zaliczyć do udanych.

– Najlepszy dowód. – Martin zaśmiał się nerwowo. Był wstrząśnięty ciemnością, która na niego spadła, ale wygodniej było o niej zapomnieć, skoro widzenie wróciło.

– No dobrze – rzekł Dafoe. – W końcu jesteśmy w finałach, prawda?

– Cieszę się, że to zauważyłeś.

– Nie widziałem May na ostatnich meczach.

– Dzisiaj tu jest – odparł krótko Ray. – Tuż przy lodowisku, z Genny i dziećmi.

Zamknawszy oczy, Martin cofnął się myślą do swego pierwszego roku w Bostonie. Tuż po śmierci Natalie grał znacznie poniżej swoich możliwości i oczekiwań kolegów. Baterie nie dają światła, jeśli przewody są skorodowane, a Martin był wypalony tą tragedią. Spotkanie z May wszystko zmieniło... nawet podczas rozstania miał energię do gry.

– Wygramy – powiedział trener, ściskając mu dłoń.

– Dajcie mi Jorgensena! – ryknął Martin. – Podprowadźcie mi go, tylko o to was proszę!

– Na srebrnej tacy – roześmiał się Pete Bourque. Martin opuścił głowę. Nagle widział wszystko podwójnie.

Obraz rozwarstwił się, jakby każdy przedmiot w zasięgu jego wzroku miał cień. Trener obwiedziony cieniem, Ray obwiedzony cieniem... Potrząsnął głową i cienie zniknęły. Wszystko wyglądało normalnie.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Ray.

– Doskonale. – Martin miał nadzieję, że Ray powie coś o migającym świetle; cokolwiek, byle powstrzymać zagrożenie osaczające jego mózg i oczy. Z zachowania Raya wynioskował jednak, że światło w szatni paliło się równomiernie.

– Co ci jest? – Ray przyjrzał mu się uważnie.

Martin obrzucił go spojrzeniem. Jak na Kanadyjczyka Ray był bardzo śniady. Miał ciemną cerę, ciemne włosy oraz gęste i groźne brwi, a kiedy się na czymś skupiał, wyglądał, jakby planował, gdzie wbić nóż. Ilekroć wszakże Martin patrzył na jego twarz, widział chłopca, z którym dorastał, z którym jeździł na łyżwach.

– Myślałeś kiedyś o podgoleniu brwi? – zapytał. – Wyglądasz naprawdę groźnie.

– Na lodowisku działa to na moją korzyść.

– Tam nikt nie patrzy na twoją twarz, przyjacielu.

– Nie, bo wszyscy są zbyt zajęci przewidywaniem moich fantastycznych posunięć. Muszę pracować podwójnie ciężko, żebyś ty dobrze wyszedł.

– Oszczędź sobie tego nudziarstwa – roześmiał się Martin, klepiąc Raya w ramię. – O siebie sam się troszczę.

– No cóż, zobaczymy – odparł Ray. – Zapytam May.

– Dała mi to dla ciebie...

Martin wręczył Rayowi skórzany worek różanych płatków i patrząc, jak przyjaciel wsuwa go sobie za pas, to samo zrobił ze swoim. Mijali ich inni zawodnicy i Martin bez słowa wręczał im identyczne talizmany. May zrobiła je dla wszystkich Bruinsów grających tego wieczoru. Musiał przy tym znów potrząsnąć głową, gdyż Ray przysunął się jeszcze bliżej.

– Masz migrenę?

– Nie – rzekł Martin. – Zwykły ból głowy. A teraz daj mi spokój i wygrajmy ten Puchar.

D'accord?

– *D'accord* – rzekł Ray. Rytualnie stuknęli się ramionami.

– Co to jest? – spytał przechodzący obok trener na widok worka w dłoni Raya.

– Maskotka na szczęście – odparł Ray.

– Jeden z talizmanów twojej żony? – Dafoe spojrzał na Martina.

– Tak – przyznał Martin, napinając mięśnie. Przez hokejowy kostium widać było każdy mięsień. Jeśli Dafoe chce go sprowokować, niech wie, co ryzykuje.

– Różane płatki... – rzekł Dafoe drwiąco. – To o nich rozpisują się gazety. Różane płatki z Weselnej Gospody. To one są w tym woreczku?

– May je zebrała – powiedział Martin.

– Dla całego zespołu – dodał Ray. – Solidarność, trenerze.

– Więc gdzie jest mój? – zażądał Dafoe. Martinowi huczało w głowie, ale się uśmiechnął i sięgając do swej przepastnej torby, wyjął kolejny talizman.

- Nie sądziłem, że też będziesz chciał go mieć.
- Solidarność – rzekł zdecydowanie trener i wkładając miszki do kieszeni na piersi, odszedł.

W atmosferze powszechnego podniecenia drużyna Boston Bruins rozpoczęła finały Pucharu Stanleya meczem przeciwko Edmonton Oilers gotowa odegrać się za ubiegłoroczną porażkę. May i Genny siedziały z dziećmi w łożu dla rodzin zawodników, śledząc każdy ruch, jakby były trenerami, a nie żonami hokeistów.

Po bezbramkowej pierwszej tercji May ledwie mogła wysiedzieć na swoim miejscu. Mając już za sobą straszny czas rozstania, bardziej niż kiedykolwiek czuła się związana z Martinem i rozumiała rozgoryczenie męża, ilekroć Jorgensen blokował któryś z jego strzałów.

– Stara rywalizacja nie zginęła i miewa się dobrze – rzekła Genny, widząc obsceniczny gest, jakim Jorgensen skwitował straconą przez Martina okazję do strzału.

– Nienawidzą się – powiedziała May. – Spójrz na ich oczy! – Mina Martina, gdy atakował bramkę Oilersów, mogła przerazić.

– To prawda – przyznała Genny, uśmiechając się, gdyż Martin przejechał właśnie obok nich.

– Strzelaj, strzelaj! – zawołała May.

Tłum domagał się bramki i Martin sprawił mu przyjemność doskonałym strzałem, ale Jorgensen błyskawicznie go zablokował. Kibice gwizdali, Martin zaklął.

– Jak sądzisz, czy z Martinem wszystko jest w porządku? – zapytała May.

– Jest zdenerwowany – odparła Genny. – Ray także. Nieważne, ile razy rozgrywali ważne mecze. Zawsze będą mówić, że czują się świetnie i są gotowi do gry, ale za każdym razem się denerwują.

– Zastanawiam się, czy nie ma grypy – powiedziała May, widząc, że Martin wierzchem rękawicy ściera z twarzy pot.

– To tylko trema przed pierwszym meczem w serii – stwierdziła Genny.

May skinęła głową, próbując się uspokoić. Martin odzyskał krążek i gdy posłał go w stronę bramki, sędziowie odwołali go do bandy. Krążek trafił w prawy policzek Jorgensena, który przewrócił się na lód, znacząc go krwią. Po chwili podniósł się i pomknął przez lodowisko ku Martinowi. Zbili się w kulę. Widać było tylko uderzające pięści i błyskające łyżwy.

May zerwała się z miejsca. Walczyli tuż przed łożem dla rodzin, słyszała więc pomruki i ciosy, widziała wykrzywioną wściekłością twarz Martina i czuła bijącą z niego siłę. W końcu sędziowie ich rozdzielili. Martin był równie zakrwawiony jak Jorgensen; miał ranę nad lewym okiem, uszczerbiony przedni ząb, rozciętą dolną wargę i brodę.

– Martin! – krzyknęła May.

Genny objęła ją ramieniem, próbując ją pocieszyć i teraz razem patrzyły, jak obaj mężczyźni wyprowadzani są z lodowiska i oglądani przez lekarzy swoich drużyn. Kibice zerwali się z ławek, gwizdząc i rzucając na lód fistaszki i prażoną kukurydzę.

– Oko za oko! – krzyczeli.

– O co im chodzi? – zapytała May.

– Cztery lata temu Jorgensen omal nie wybił oka Martinowi – wyjaśniła jej Genny. – Mówią więc, że jego dzisiejszy atak był usprawiedliwiony.

– Martin nie zrobiłby tego celowo – obruszyła się May, przypominając sobie, że Ray opowiedział jej kiedyś tę historię.

– Nie. Oczywiście, że by tego nie zrobił. Poza tym Jorgensen ma się dobrze... widzisz. To była zwykła walka, do której po prostu musiało dojść – powiedziała łagodząco Genny. – Teraz Martin już ją ma za sobą i będzie mógł grać.

May zacisnęła pięści. Czowała tę przemoc we własnym ciele, jakby sama odebrała ciosy. Martin ze zwieszoną głową siedział zawiedziony na ławce kar, lekarz próbował unieść ku górze jego brodę. May wpatrywała się w męża, lecz on na nią nie patrzył.

Drużyna Edmonton Oilers strzeliła w tym czasie dwie bramki i wygrała pierwszy mecz wynikiem 2:0.

Oilersi wygrali też drugi mecz i trzeci, a potem rozgrywki przeniosły się do Edmonton. Martin odmówił dyskusji o bójce z Jorgensenem; dyskusja ta byłaby zresztą bezprzedmiotowa, ponieważ miało nastąpić znacznie więcej takich bójek – z Jorgensenem i z innymi. Martin dawał do zrozumienia, że to jego sprawa i nie chce wciągać w nią May.

Przed rozpoczęciem czwartego meczu May zastała Martina leżącego na hotelowym łóżku z poduszką na oczach. Usiadła obok i wzięła go za rękę. Starła się pamiętać o danej mu obietnicy, że będzie cierpliwa, ale okazało się to trudnym wyzwaniem.

– Zostaw mnie samego, May – powiedział, odsuwając jej dłoń.

– Co się stało? – zapytała.

– Nic.

– Kylie dzwoniła. Życzy ci powodzenia. Martin mruknął coś pod nosem.

Patrzyła na niego uważnie. Spod poduszki widać było tylko brodę i szyję – szwy na wardze i brodzie oraz siniak na szyi. Ciało Martina było napięte i twarde jak deska, ale gdy ostatniej nocy próbowała go pieścić, odsunął się na bok. Sprawiał wrażenie, jakby dręczyła go nieustanna migrena; chciwie pochłaniał aspirynę niczym cukierki, a kiedyś około północy zrobił sobie okład z lodu na oczy.

– Martin?

Nie odpowiedział od razu. Po chwili odsunął poduszkę z twarzy i usiadł prosto.

– Nie jestem pewien, czy powinnaś tu być.

– Dlaczego?

– Ponieważ to dla ciebie zbyt ciężkie. Nie lubisz oglądać mnie w walce. Boisz się, że odniosę kontuzję i stanie mi się krzywda; wiesz, że chcę dopaść Jorgensena i zdemolować mu gębę.

– Dziwne, ale prawdziwe – przyznała May.

– To jest hokej, May. Właśnie dlatego nie chciałem, żebyś była na zeszłorocznych meczach. Finały różnią się od spotkań rozgrywanych przez cały sezon. Bardzo się różnią...

– Sądzisz, że nie będę mogła tego znieść? – zapytała. – No cóż, zniosę.

- Nie wygląda na to – mruknął w odpowiedzi.
- Niepokoi mnie sposób, w jaki mrużysz oczy. Czy boli cię głowa?
- Dlaczego wszyscy pytają, czy boli mnie głowa? – wybuchnął. – Ty, Ray, trener... Daj mi spokój, May.

Pomyślała o rozmowie z Serge'em. Martwił się urazami głowy Martina i pytał, dlaczego tak wyraźnie znosi go na prawą stronę. W kartce z zeszłego tygodnia dziwił się, dlaczego Martin nie używa bekhendowego strzału, którym zwykle ogrywał bramkarzy przeciwnika.

- A zatem nie boli cię głowa? – zapytała spokojnie.
- Nie – westchnął głośno. – Nie boli mnie głowa.
- Dobrze.

– To tylko napięcie – pochylił głowę, by mogła wymasować mu kark. Ugniatała mięśnie, czując napięcie jego karku i ramion. – Musimy wygrać, May. Ja muszę wygrać. Nigdy niczego tak bardzo nie pragnąłem. A jesteśmy do tyłu. Przegraliśmy trzy mecze.

- Już wychodziliście z takiego wyniku, prawda? – powiedziała.

Wzruszył ramionami.

- Prawda, ale to było coś innego niż...

– Ale co? – zapytała May. – Kiedyś było łatwiej? Wciąż patrzył w podłogę, wbijając wzrok w beżowy hotelowy dywan. Ale słuchał. Pochylenie głowy Martina mówiło, że nie uciekał od brzmienia jej głosu. To już jakiś postęp, pomyślała. Nie oddalają się od siebie.

– Czasem człowiek musi wpaść na ścianę, zanim znajdzie drzwi – sentencjonalnie powiedziała May.

- Drzwi?

- Jakies wyjście – wyjaśniła. – Drogę do...

- ... zwycięstwa – dokończył Martin, przyciągając ją do siebie.

Takiego czy innego, pomyślała May obejmując męża i wspominając kartkę, która nadeszła tego ranka: *Stawia czoło demonom, które tkwią w nim, i pragnie wygrać. Z Jorgenesenem, z przeszłością, ze swymi lękami, z pragnieniem ucieczki. Ojciec znał Martina o wiele lepiej, niż ten mógł sobie wyobrazić.*

- Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? – zapytała.

- Doskonale. Masz jeszcze dwadzieścia pięć pytań?

- Nie, tylko jedno – odparła, zarzucając mu ramiona na szyję. – Kochasz mnie?

– *Bien sûr* – rzekł i uśmiechając się boleśnie, przyciągnął May do siebie, po czym odgarnął jej włosy i pocałował w usta – ale nie pytaj mnie ponownie.

Tego wieczoru Boston pokonał Edmonton, wygrywając 3:0 trzema bramkami Martina Cartiera. Następnego dnia wynik był identyczny i Martin również strzelił trzy kolejne bramki. Kibice wpadli w ekstazę, a kwestią, która pojawiała się na wszystkich ustach, było pytanie, co wstąpiło w Cartiera. Przypominał wypuszczonego z klatki tygrysa, przejmował każdy krążek, który znalazł się na jego drodze i wykorzystywał do strzału każdą sytuację. Kiedy zaś Boston wygrał trzeci mecz kończąc serię wynikiem 3:3, jego zawodnicy opuszczali Edmonton w prawdziwej glorii.

Następny mecz miał rozstrzygać o wszystkim. Gazety pełne były opowieści o wielkim Serge'u Cartierze – niebawem się okaże, czy syn prześcignął ojca. Pojawiły się wzmianki o hazardowym nałogu Serge'a, a także o temperamencie Martina i o tym, jak miłość go zmieniła. Pisano też o wielkich pieniądzach, jakie Boston zapłacił za hokejową gwiazdę. Wysokość tej kwoty zrównoważyć miał Puchar Stanleya.

Opinia o Nielsie Jorgensenie jako o jednym z najlepszych hokeistów w dziejach została utrwalona. Martin Cartier był już w księdze rekordów dzięki największej ilości punktów zdobytych na prawym skrzydle, największej ilości asyst na prawym skrzydle i zdobyciu niemal wszelkich możliwych trofeów hokejowych. Ale spośród tych dwóch rywali tylko jeden zdobył Puchar Stanleya.

Dziś wieczorem Martin zamierzał to zmienić. Czując napięcie mięśni, myślał o wszystkich postaciach ze swego życia, które warte były tego zwycięstwa: o May i Kylie, o zmarłej matce i Natalie, a także o kolegach z zespołu i o Rayu, swym najlepszym przyjaciolem.

W głębi ducha – w miejscu, którego nie lubił odwiedzać ani nie akceptował – ukrywał jeszcze jedną osobę, dla której chciał wygrać: swego ojca. Żona dotknęła tego miejsca w jego sercu i teraz było szeroko otwarte.

Nie będąc w stanie wyjawić May swoich myśli, wyobrażał sobie twarz tego człowieka, szczupłą i młodą, nietkniętą śladami życia, zwycięstwa i występku. Serge miał niegdyś łagodne, miłe oblicze i Martin właśnie takie wywołał z pamięci: ojciec wołał ku niemu, by jechał szybciej, zachował wyczucie pozycji przeciwnika i celował krążkiem w siatkę tak, jakby wypuszczał strzałę.

– Dziś wieczorem wygram – szepnął do niego Martin. – Zdobędę Puchar Stanleya.

Serge Cartier nie mógł odpowiedzieć, nie miało to wszakże znaczenia. Martin zamknął oczy i posłyszał jego głos – nie ów suchy, bezwzględny głos hazardzisty, jakim stał się jego ojciec, ale pełen nadziei, miłości i pewnej szczególnej sielskiej niewinności. Martin kochał niegdyś jego brzmienie. Teraz tamten ojcowski głos dawał mu siłę.

– Zrobisz to, synu, potrafisz – powiedział. Był to głos Kanady, gór, czarnego lodu, jeziora Lac Vert. Przemawiały do Martina wraz z Serge'em i wiedział, że dziś zwycięży.

– Postawiłeś jakąś forszę na ten mecz?

– Trzy pierwsze Cartier załatwił odmownie.

– Mam nadzieję, że postawiłeś na Edmonton, bo dzisiaj wykończą bostończyków.

– Serge, człowieku... dwa lata z rzędu... Martin ma ostatnią szansę.

– Zostawcie starego w spokoju – rzekł Tino. – Pozwólcie mu obejrzeć mecz.

Serge siedział odwrócony do wszystkich tyłem. Telewizor był włączony i działał... tylko to go interesowało. Wpatrywał się w ekran bez zmruczenia oka. Harmider, zgiełk, trzaskanie drzwiami, to wszystko nie miało znaczenia. Tylko mecz, tylko kamera pracująca w hali.

W łoży żon widać małą Genevieve LeMay; dalej Genny Gardner z dziećmi, Charlottą i Markiem, jak one wyrosły... Serge utkwiał wzrok w dwóch następnych osobach: May i Kylie Cartier. Poczul tkliwość i opiekuńczość; żałował, że nie może ich ukryć przed oczami współwzięniów.

– Niezła babka! – wykrzyknął Buford.

- Zamknij się – rzekł kwaśno Serge.
- Naprawdę niezła. Rwałeś kiedyś takie?
- To twoja wnuczka?
- Coś ty, Serge nie ma żadnej wnuczki!
- Śliczna dziewczynka.

Nawet najgorsza gadanina nie mogła oderwać Serge'a od ekranu. Teraz nie miał nic do powiedzenia. Ani w obronie samego siebie, ani w obronie Martina, ani tym bardziej po to, by wtajemniczyć kogoś w historię Natalie. To nie ich sprawa.

Żadne słowa nie miały teraz znaczenia, z wyjątkiem tych, które Serge powtarzał w duchu. Graj, synu. Rozluźnij się. Oddychaj. Celuj.

Na wielkim telebimie rozbłyskiwały sceny ze sportowej kariery Martina. Oto siedmioletni Martin i Ray Gardner po wygraniu pierwszych hokejowych mistrzostw młodzików. Serge u boku Martina pomaga mu unieść w górę ogromny puchar, zbyt ciężki dla drobnych jeszcze ramion chłopca.

Graj, synu, pomyślał Serge. Widocznie powiedział to głośno, bo część współwięźniów się roześmiała.

– Graj, synu, graj, synu – skandowali, naśladując go. Nie dbał o to. Spoglądał ponad ich głowami, utkwivszy wzrok w ekranie. Zaciśnął usta, by słowa tętniące mu w głowie nie wydostały się na zewnątrz... Graj synu, potrafisz, już go masz, Puchar jest twój...

A potem: Dziękuję ci, May.

Krażek został rzucony, rozległ się gwizdek. Siódmy mecz był w toku. Gęsty tłum w bostońskim Fleet Center wznosił donośne okrzyki i tupał nogami. Policjanci otoczyli lodowisko i stojąc plecami do lodowej tafli bacznie obserwowali trybuny. Wykrzykiwano śmiertelne pogroźki zarówno pod adresem Martina Cartiera, jak i Nilsa Jorgensena, toteż władze nie chciały ryzykować.

W drugiej minucie pierwszej tercji Martin zaliczył asystę przy bramce strzelonej przez Raya Gardniera. Potem Ray się odwzajemnił i następną bramkę strzelił Martin. Kiedy krążek przeleciał obok Jorgensena, Martin uniósł ramiona nad głowę, a tłum omal nie oszalał.

May i Kylie zerwały się z miejsc i machały ku niemu. Przejeżdżając obok uśmiechnął się i zastukał w dzielącą ich ochronną szybę. Kylie rzuciła się do przodu, próbując przesunąć dłoń po jego palcach, ale Martin już odjechał, już włączył się do walki.

Otoczająca go wciąż grupa Oilersów doprowadziła go do furii i po chwili został ukarany dwiema minutami na ławce kar za walenie kijem na prawo i lewo. Korzystając z tej sytuacji, Edmonton strzelił szybkiego gola Bostonowi. Pod koniec pierwszej tercji drużyna Boston Bruins prowadziła z wynikiem 2: 1.

Serce tłukło się Martinowi w piersi niczym uwięziony w klatce ptak. Słyszał ryk tłumu, narastały w nim wspomnienia. W zeszłym roku o tej porze zespół Boston Bruins zmierzał ku zwycięstwu. Martin miał wszelkie szanse, strzelał wtedy po mistrzowsku, a w końcu zawiódł. Obecność May i Kylie zmieniła wszystko. Przejeżdżając obok łóż rodziny, słyszał ich głosy unoszące się ponad innymi na stadionie.

– Dalej, Martin!

– Dalej, tatusiu, dalej!

Na początku drugiej tercji wykorzystał kolejną szansę, strzelił i zdobył gola. Właśnie wtedy jakiś cień znów przysłonił mu pole widzenia: każdy zawodnik miał tuż za sobą cieniściego „dublera”.

– *Merde!* – mruknął Martin, pochylając głowę i osłaniając oczy. Jego wahanie dało hokeistom Edmonton okazję, by ich środkowy napastnik przejął krążek i złożył się do strzału. Ray próbował przeszkodzić, uderzając go kijem, ale przeciwnik zdobył gola, a Ray powędrował na ławkę kar.

Przez stadion przeszedł gwizd i Martin go usłyszał. Wyobrażał sobie, że wszyscy pytają, na co czeka Cartier z pochyloną głową. Dafoe nie tracąc czasu przywołał go do siebie.

– Co się stało? – zapytał, gdy Martin podjechał do bandy.

– Nic. Zwykle oszołomienie.

– Jakie oszołomienie? – dopytywał się trener, przywołując lekarza. – Tutaj, doktorze.

Głośnik dudnił, obwieszczając fakt, że Edmonton Oilers remisują wynikiem 3:3. Tłum huczał, rzucając na lód, co się dało. Policja otoczyła łożę zawodników. Martin mrugał powiekami, starając się przetrzeć oczy. Lekarz świecił mu w nie specjalną lampką, ale Martin nie mógł wysiedzieć spokojnie.

– Puść mnie z powrotem na lód, trenerze – zażądał.

– Nie, jeśli masz zawroty głowy.

– Nie truj! Już mi przeszło. Cały rok mówiłeś: „czekaj do finałów”. Jesteśmy w finale i to jest nasz ostami mecz. Puść mnie!

Trzecia tercja była w toku i czas naglił. Martin dwoił się i troił, ale Nils Jorgensen blokował każdy strzał. Cienie zniknęły, nie mógł więc obwiniać oczu. Miał naprzeciw siebie zawziętego bramkarza i wrażenie, że walczą na śmierć i życie. Obydwaj nosili blizny po zadanych sobie ciosach – blizny na ciele i duszy.

Napięcie rosło. Zegar tykał; ilekroć zawodnicy Edmonton mieli krążek, Martina przenikał lodowaty dreszcz. W końcu przejął go Ray i popędził z nim naprzód, odpierając zaciekle ataki Oilersów.

Czasu było coraz mniej. Kibice Edmonton skandowali: „KLĄTWA CARTIERA, KLĄTWA CARTIERA... „ Mecz zbliżał się do końca i Martin jeszcze raz pomyślał o minionym roku. Na czym polega różnica? pytał sam siebie. Czy w tym roku mam coś, co może mi pomóc? Jestem starszy i bardziej zmęczony. Ale w tym roku mam May. Przechodzimy przez to razem. Jesteśmy razem. May mnie kocha. Czuł obrączkę pod rękawicą i mieszek z różanymi płatkami za pasem.

May i Kylie zerwały się z miejsc, dopingując go ze wszystkich sił. Martin podjechał bliżej i zobaczył w ich oczach miłość. Wzruszenie podstępnie złapało go za gardło i nagle przestał słyszeć wrzask tłumu. Czas upływał nieubłaganie, ale dla Martina naraz stanął w miejscu.

Ray podał mu krążek i zaczął się napór.

Tłum wstał i krzyczał coraz głośniej. Hala trzęsła się od okrzyków, ale Martin ledwie je

słyszał. Myślał o najbliższych:

matce, ojcu, żonie i dwóch małych dziewczynkach. Myśli były tak proste, a jednak pełne żaru. Przepłynęła przez niego fala energii, nabierając prędkości ruszył z prawego skrzydła. Chór okrzyków otoczył lodowisko, wznosząc się w długim crescendo: DALEJ, DALEJ, DAAAALEJ!

Zaczęło się w chwili, gdy ruszył ku bramce. Chmura ciemności zasnuła mu oczy. Zgiął łokieć i stracił krążek. Ktoś go przejął; przeciwnik, którego nie widział...

Nie widział! Rozległ się gwizdek. Wynikiem 4:3 zwyciężyła Klątwa Cartiera, a Puchar Stanleya znów zdobyła drużyna Edmonton Oilers.

Serge wyjął kolejną kartę pocztową i zaadresował ją do synowej. *Zagrał najlepiej, jak potrafił. Zrobił, co mógł* – napisał. – *Ty również. Nie pozwól, by się załamał.* Wiedział, jak okropny zawód przeżywa Martin.

May odpisała na jego ostatnią kartkę. Przesłała fotografie: swoją, Kylie i Martina. Niestety nie zawiadomiła go, czy rozmawiała z Martinem o ich spotkaniu, ale pogodził się z tym rozczarowaniem. Gdyby Martin chciał przyjechać, wiedział, gdzie go znaleźć.

– Cześć, Serge – przez więzienny dziedziniec zmierzał ku niemu Tino. Był słoneczny dzień i Tino mrużył oczy.

– Witaj, Tino – odparł Serge.

– Twój chłopak przegrał mecz.

– Osiągnął więcej, niż stracił – powiedział Serge. – Doprowadził swoją drużynę do finałów Pucharu Stanleya.

– Taaa... Niewiele wiem o hokeju, ale widziałem, jak gra.

– Wiesz, co to jest Liga Mistrzów?

– Wiem.

– A Mistrzostwa Świata?

– W futbolu? Wiem.

– No cóż, Puchar Stanleya to najważniejsza impreza w hokeju. To szczyt wielkiej góry. Martin doprowadził swój zespół do finału.

– Tak? To świetnie.

– Przekazałem mu to w genach – rzekł z dumą Serge. – Miłość do hokeja. Mam tylko nadzieję, że po tej porażce nie będzie dla siebie zbyt surowy.

Chłopak skinął głową. Wydawał się zadowolony, że przydybał starego w dobrym nastrój u; w kieszeni koszuli miał paczkę papierosów, ale po nią nie sięgnął.

– Masz dzieci – mówił dalej Serge. – Widuję je w pokoju odwiedzin.

– Może pewnego dnia Ricky będzie wspaniałym bejsbolistą – powiedział Tino. – Sam jestem w tym dobry. Twój Martin odziedziczył po tobie miłość do hokeja, a mó; Ricky po mnie ma we krwi bejsbol.

Serge myślał o Martinie. Przypomniawszy sobie nie kończące się treningi, mroźne wieczory na jeziorze, kiedy Agnes czekała z kolacją, a księżyc unosił się nad górami i oświetlał lód ostrym, białym światłem. Martin i Ray strzelali krążkami w Serge'a stojącego w bramce z

sosnowych gałęzi, on zaś uczył ich, jak celować. Potem wyrwał go stamtąd korzystny kontrakt i treningi z Martinem się skończyły.

– Przekażę mu wszystko, co umiem – mówił młody człowiek. – Moje szybkie podanie, rzut... – wyliczał, rzucając wyimaginowaną piłkę prosto w strażnika.

Serge poczuł, że zaczyna go ogarniać fala żalu. Wspomnił czasy, gdy był młodym ojcem, a potem opuścił żonę i syna. Upoił go splendor powodzenia, podróże, hotele, kobiety, dreszcz kolejnych zwycięskich sezonów. Myślał o okresach passy, szybkich romansach, dobrych kartach i złych kartach; o całym burzliwym życiu wiodącym do owej chwili na słonecznym dziedzińcu więzienia. Powinien być tam, przekonywać Martina, że rozegrał dobre serie, że zdobędzie Puchar Stanleya w przyszłym roku.

Słowa młodego skazańca marzącego o tym, by być lepszym ojcem i zapewnić synowi lepszą przyszłość, sprawiły, że Serge poczuł do siebie niechęć. Odsunął się, nie chcąc słuchać dłużej.

– Przestań! – rzucił krótko.

– Walę w tego faceta... – Tino odciągnął ramię, przyciskając do piersi niewidzialną piłkę bejsbolową – i... Ech! Przekażę wszystko Ricky’emu.

– Niczego nie przekażesz, skoro jesteś tutaj – powiedział brutalnie Serge, mając przed oczami synka Tina.

– No co ty! – młody człowiek wydał się dotknięty.

– Oszukujesz sam siebie.

– Potrafię grać.

– Jesteś w więzieniu – odparł Serge.

Chłopak szyderczo potrząsnął głową i chciał odejść, ale Serge chwycił go za ramię.

– Prochy, kradzieże samochodów... oto, czego nauczysz swojego syna.

– Zamknij się!

– Może masz w genach bejsbol, ale twoje czyny mówią coś innego. Inaczej nie byłbyś tu zamknięty z mordercami i złodziejami. Ze mną.

– Taaa... Z tobą.

– Jestem tak samo zły jak wszyscy pozostali. – Błękitne niebo nad głową było tak rozległe... Ale Serge, podnosząc wzrok, widział tylko kwadrat tego błękitu ujęty w ramę więziennych murów i drut kolczasty. – Przecież siedzę tutaj, prawda?

– Nie dożywotnio...

– Twój syn może stracić ojca na zawsze – rzekł Serge. – I kto będzie mu rzucał piłkę?

– Zamknij się – powtórzył Tino, zbierając się do odejścia.

Serge spojrzał na niego ponuro. Przed wszystkim nie powinien był wdawać się w tę rozmowę. Gadanie nigdy nie przynosiło niczego dobrego. Odzierało go z dumy i ciskało mu ją w twarz. Zrobiłby lepiej w milczeniu trawiąc ból Martina. Słowa wydobyły na światło dzienne bolesne prawdy, a z dobrych wspomnień uczyniły żart. Serge myślał o ojcach i synach; o ich sekretach, burzliwych jak niezgłębione oceany.

– Godność, chłopcze! – zawołał. – Oto co musisz mu przekazać. Zapomnij o bejsbolu. Godność i godne życie. Wyjdź stąd, do cholery!

Ale Tino już odszedł.

ROZDZIAŁ 19

Jadąc na północ, nad Lac Vert, May rozpoznawała kolejne punkty orientacyjne: znaki drogowe, opuszczoną stację benzynową Texaco, mały wiszący most, leżące w oddali wzgórze. Zrobili kilka postojów w tych samych miejscach co w zeszłym roku, zaopatrując się w soki i jedzenie na drogę. Na granicy kanadyjskiej strażnik witający Martina tym razem przywitał też serdecznie May i Kylie.

May dotknęła ręki męża. Po przegranym siódmym meczu zamknął się w sobie i jeszcze się nie otrząsnął. Za kierownicą wydawał się rozkojarzony. Przy wjeździe na autostradę przejechał czerwone światło. Gdy przed maskę samochodu wybiegła wiewiórka, uderzył ją, nawet nie hamując, jakby jej wcale nie widział.

– Jesteś zmęczony? – zapytała May. – Chcesz, żebym siadła za kierownicą?

– Czuję się świetnie.

– Ta wiewiórka...

– Wyrosła spod ziemi. – Martin spojrział we wsteczne lusterko, żeby się upewnić, iż Kylie śpi i niczego nie widziała. – Kiedy ją zobaczyłem, było już za późno.

– Wcale jej nie widziałeś – rzekła May.

Nie odpowiedział. Cofnął tylko rękę, by obie dłonie trzymać na kierownicy i utkwiał wzrok w drodze.

W zeszłym roku wszystko było dla niej całkiem nowe. Nie wiedziała, czego oczekiwać ani co się wydarzy. Teraz wyobrażała sobie niewielki dom na górskim stoku, lśniące jezioro i gwiazdzone noce. Na brzegu będą czekać Gardnerowie... Tym razem miała poczucie powrotu do domu. A jednak zamiast podniecenia czuła narastający niepokój.

Kilka pierwszych dni spędzili na spaniu, zabawie i jedzeniu. Prawdziwe wakacje. Martin pływał z Kylie kajakiem po jeziorze, a May układała się na werandzie, czytając lub pisząc listy. W ciągu dnia pływali, wieczorami siadali na leżakach, snując opowieści o gwiazdach.

Trzeciej nocy Kylie lunatycznie weszła do ich pokoju. Kochali się i nagle podniósłszy wzrok, ujrzeli Kylie stojącą obok łóżka. Martin naciągał na siebie prześcieradło, May przytuliła córkę.

– Kochanie, co się stało? – zapytała.

– W gwiazdach – odpowiedziała Kylie, wskazując okno.

– Co tam widzisz? – zapytała May.

– Ślepcę – odparła Kylie ze wzrokiem skierowanym ku gwiazdom. – Mężczyznę, który nie widzi.

– Ocknęła się? – wyszeptał Martin.

– Chyba nie.

– Mam mu powiedzieć... – Twarz Kylie była jak maska.

– Co masz powiedzieć? – zapytała May.

– Gdzie ma patrzeć – odparła Kylie, a potem odwróciła się i poszła z powrotem do swojego pokoju. Bezszelestnie wysunawszy się z łóżka, May podążyła za córką, by się

upewnić, że nic jej nie grozi. Gdy dziewczynka zasnęła, May wróciła pośpiesznie, by odnotować ów incydent w niebieskim zeszytce.

– O co jej chodziło? – spytał Martin.

– Nie jestem pewna – odparła May, starając się zapamiętać każdy szczegół.

– Wciąż prowadzisz swój dziennik?

– Tak – powiedziała, odkładając pióro.

– Czemu to służy?

May spojrzała na niego. Pomyślała o teorii doktora Whitpena sugerującego, że sny Kylie mają związek z historią Martina, ale zatrzymała to dla siebie.

– Dziennik pomaga lekarzom zrozumieć, co się dzieje z Kylie – odparła.

– Co to za historia z tym Ślepcem? – zapytał Martin.

– Nie ma takiego gwiazdozbioru.

– Wiem – powiedziała May, spoglądając ku gwiazdom.

Rano zatelefonowała Charlotte pytając, czy Kylie może spędzić u państwa Gardnerów następną noc. May po namyśle wyraziła zgodę. I ona, i Martin chcieli spędzić trochę czasu sami. Rozmawiali o czasie rozstania, o przegranej walce Martina w Pucharze i o nadziejach, jakie mogło przynieść to lato.

– Co robisz? Dlaczego już wstajesz? – zapytał Martin, gdy następnego ranka stwierdził, że May już nie śpi. Próbowali wynagrodzić sobie to, przez co przeszli wiosną: minione popołudnie i poprzednia noc wypełnione były pieścizotami, pływaniem i zdumiewającą tkliwością. Teraz wyciągnął rękę w poprzek łóżka, by złapać ją za nogę, gdy ruszyła w stronę okna, by rozsunąć zasłony.

– Już wpół do dziesiątej – powiedziała. – Wiesz, kiedy ostatnio spałam tak długo? To było...

Jednakże Martin miał mocny uścisk i w jednej chwili przyciągnął May z powrotem na łóżko, sam zaś szybko znalazł się na niej.

– Wpół do dziesiątej? No to co? Mamy okazję być sami i nie wstaniesz aż do południa.

– Ale za oknem jest tak pięknie – powiedziała, wskazując słoneczny blask przedzierający się przez szparę w zasłonach.

– Powinniśmy...

– Nic nie powinniśmy – rzekł, odgarniając jej włosy i całując namiętne.

– Nie mogę spać do południa – wyszeptała, czując że dłonie Martina przesuwają się z jej ramion w dół.

– A kto mówił o spaniu? – zapytał Martin, całując jej szyję.

Kochali się, potem Martin przyniósł jej kawę do łóżka, następnie May rozsunęła zasłony, a Martin znów je zaciągnął. Kiedy wracał do łóżka, zauważyła, że mruży i osłania oczy.

– Co się stało?

– Nie jestem jeszcze gotów na blask słońca – rzekł, rzucając się ku niej. – Wracamy pod kołdrę, madame.

May chciała pytać dalej, ale zatraciła się w namiętności. Martin był ogromnie namiętny. Miał silne, mocne ciało i łagodne, delikatne dłonie. May dała się ponieść doznaniom, jakich

nigdy sobie nie wyobrażała. Całował ją mocno, potem szeptał do ucha: „Dobrze? Lubisz właśnie tak?”, a ona była zaszokowana, słysząc te słowa. Zapomniała się tak całkowicie, że już nie wiedziała, gdzie kończy się ona, a zaczyna Martin; czuła, iż jej głos, myśli i uczucia zlewają się z jego zmysłami.

– To niemożliwe – wyszeptała. – Niewiarygodne...

– Powiedz.

– Moje ciało, głos...

Za oknem było coraz jaśniej, blask wędrującego słońca przebijał się przez zaciągnięte story. May podbiegła do okna i opuściła żaluzje, żeby w sypialni zrobiło się ciemniej.

– Myślałem, że zapragnęłaś słońca – przekomarzał się Martin.

– Nie chcę widzieć ani słyszeć – powiedziała, drżąc z podniecenia. – Pragnę tylko czuć ciebie.

– Jesteś szalona.

– Tylko z tobą – przyznała, kładąc się obok męża. Podczas rozstania wiele przemyślała i teraz był jej bliższy niż kiedykolwiek. Całując usta Martina, przysłoniła sobie oczy jego dłonią. Czuła na policzku jego oddech, a wokół ciała mocne ramiona. Wszystkie doznania... dotyk palców Martina na jej skórze i ucisk jego warg na ustach... wszystko było rozkosznie wzmocnione.

May była oszołomiona i zawstydzona dreszczem miłości. Wcześniej nie wierzyła, że taka intymność jest w ogóle możliwa. Kochali się w ciemności, w milczeniu, ale wiedziała, że oddałaby wzrok i słuch za dotyk, za szansę przeżycia takiego poziomu ufności i ryzyka we własnym łóżku z własnym mężem.

Z biegiem czasu Martin i May zajęli się zwykłymi sprawami i przestali być atrakcją. Reporterzy nie prosili już Martina o wywiady i wspomnienie tamtych strasznych ostatnich kilku sekund meczu zaczęło blednąć. Ray wpadał na pogawędki, siadali na werandzie i popijając piwo wciąż na nowo analizowali mecz.

Mieszkając w Bostonie, May wypracowała wraz z Tobin system opierający się na telefonie i faksie, który tego lata udoskonalili. Uzgodniły, że Tobin zajmie się obsługą wszystkich nowych klientów od czerwca do końca września, a May znad Lac Vert będzie nadzorować rozwój przygotowań do wcześniej umówionych wesel.

Pewnego dnia, gdy Martin i Ray poszli na ryby, May zaprosiła Genny i Charlotte. Podczas gdy dziewczynki bawiły się przed domem, mamy rozmawiały na werandzie.

– Jak Ray radzi sobie z przegraną? – zapytała May.

– Z każdym dniem trochę lepiej, ale nazwisko Cartier przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny wprawiało go w rozdrażnienie.

– Obwinia Martina o tę przegraną?

– Wszyscy go obwiniają – powiedziała Genny. – Zgubił krążek, zamiast strzelić bramkę.

May zmarszczyła brwi. Miała nadzieję, że przyjaciółka nie zniży się do tego, by oskarżać jej męża.

– W sporcie zawsze potrzebny jest kozioł ofiarny – mówiła dalej Genny. – Jestem pewna,

że już to zauważyłaś. Ray bywał nim wielokrotnie, podobnie zresztą jak wszyscy inni. Każdy popełnia błędy, ale ten...

– Był ogromny – May pamiętała te straszne ostatnie sekundy.

– Martin po prostu zatrzymał się na środku lodowiska. Ray twierdzi, że gdyby nie był na niego taki wściekły, toby się martwił.

– Dlaczego?

– Sprawiało to wrażenie, jakby uległ nagłemu paraliżowi. Ni stąd, ni zowąd zdrętwiał.

– Też tak pomyślałam – May wciąż miała przed oczami Martina, który sunie po lodzie, a potem nagle się zatrzymuje ze zgiętym, gotowym do strzału ramieniem, krążek zaś powoli toczy się w stronę bramki drużyny Edmonton. – Kiedy pojechałam do więzienia w Estonii, ojciec Martina wspomniał o czymś. Powiedział, że Martin wyraźnie skłania się w prawą stronę.

– Jeżdżą raz tak, raz siak – roześmiała się Genny. – Zależnie od tego, co ich boli. Zawsze mają jakieś kontuzje.

– Zatem nie powinnam się martwić.

– Nie. Chyba że pewnego ranka nie będzie mógł się ruszyć. To jedyny wystarczający powód, który mógłby oderwać Martina od lodu.

Proponując Genny herbatę, May poszła do kuchni. Genny zatrzymała się w saloniku, by obejrzeć kilka starych fotografii. Rzuciła też okiem na kolekcję haftowanych przez matkę Martina poduszek ułożonych na sofie.

– Agnes zawsze była czymś zajęta – powiedziała. – Robiła na drutach, szydełkowała, haftowała. Pokazywała mi, jak to się robi.

– Zrobiłaś coś?

– Zaczęłam. – Genny wędrowała wzrokiem po ścianach, obramowaniu kominka i półkach z książkami. – Hmm, to zabawne...

– Co?

– Kiedyś wisiał tu obrazek wykonany haftem krzyżykowym. Granatowa przędza na cienkim muślinie. Przedstawiał dwa zwierzątka. Podobał mi się tak bardzo, że sama próbowałam zrobić coś takiego. Agnes wyhaftowała go, gdy urodził się Martin.

– Ciekawe, gdzie on jest.

– Też się zastanawiam – Genny przyglądała się wszystkim ścianom, jakby obrazek miał się nagle pojawić ponownie. – Zawsze tu wisiał.

Martin pożyczył od Raya furgonetkę jego wuja i pojechał do miejscowej szkółki ogrodniczej, by kupić wszystkie dostępne krzewy różane. Chciał, żeby May miała tu taki sam ogród różany jak w Black Hall. Tutaj sezon kwitnienia rozpoczął się miesiąc później niż w Connecticut, toteż większość krzewów, które wybrał, była pełna pąków.

Kylie pojechała na zakupy razem z nim i gdy Martin ładował sześćdziesiąt krzewów na platformę furgonetki, bawiła się z leżącym w cieniu starym bassetem.

– Ostrożnie, ten pies gryzie! – zawołał właściciel szkółki, Jean-Pierre Heckler.

Martin odłożył krzew, który właśnie niósł i poszedł odsunąć Kylie.

– Nie ugryzie mnie – powiedziała dziewczynka.

– No cóż, mnie ugryzł – ostrzegł ją Jean-Pierre, pokazując własną stopę. – Wczoraj wieczorem tak paskudnie zepsuł powietrze, że wykopałem go za drzwi i wtedy chwycił mnie za nogę.

– Po co ci pies, który gryzie? – zapytał Martin, patrząc na leciwego basseta. Zwierzak był przywiązany do ogrodzenia i leżał w płytkiej dziurze, którą sobie wykopał. Miał pysk pełen bruzd i posiwiął wokół oczu sierść, a kiedy dyszał, język zwisał mu aż do ziemi.

– Należał do ojca Anny – wyjaśnił Jean-Pierre. Martin chodził do szkoły z żoną tego człowieka, Anną Dupree, i mglście przypominał sobie, że jej ojciec miał niewielką farmę na południowy zachód od jeziora.

– Zatem pan Dupree zmarł? – zapytał Martin.

– Tak, zeszedł zimy. Sprzedaliśmy farmę, ale nowi właściciele nie chcieli starego, wrednego psa. Teraz psuje mi interesy, bo ujada na wszystkich klientów.

– Biedne psisko – powiedziała Kylie, wywijając się Martinowi. On sam, spoglądając w psie oczy o obwisłych powiekach, nie wierzył, by stary basset mógł kogokolwiek ugryźć, ale wolał nie ryzykować.

– Ile płacę? – zapytał, sięgając po portfel.

– Masz u mnie dziesięcioprocentowy rabat – odparł Jean-Pierre. – Przyniosłeś zaszczyt okręgowi Lac Vert. Anna jest z ciebie bardzo dumna. Obyś w przyszłym roku odniósł jeszcze większe zwycięstwo! Na pewno wygrasz Puchar Stanleya.

– W przyszłym roku – rzekł Martin i pozwoliwszy Kylie odejść na chwilę, zaczął odliczać pieniądze.

Dziewczynka wyciągnęła rękę do psa, a on polizał jej dłoń. Chwytnąjąc ramię, Jean-Pierre odciągnął zwierzę na bok.

– Tylko tego brakuje, żeby ugryzł twoją córkę – powiedział do Martina.

– On mnie nie ugryzie – sprzeciwiła się Kylie.

– Jest stary. Za stary. Wkrótce przyjeżdża tu weterynarz, jeśli rozumiesz, co mam na myśli – rzekł Jean-Pierre, a Martin poczuł, że krew mu lodowacieje.

– Chcesz powiedzieć, że zamierzasz go uśpić? – zapytała Kylie.

– Ma artretyzm, zepsute zęby i złe usposobienie – odparł Jean-Pierre. – Tak będzie lepiej.

– Czy możemy go adoptować?

– To nie jest pies dla ciebie, wierz mi – powiedział Jean-Pierre. – Chcesz mieć miłe domowe zwierzątko? Mogę ci dać kotka. Nasza kocica właśnie ma młode...

Martin widział, jak Kylie cał po calu posuwa się ku staremu psu. Nawet z miejsca, gdzie stał, czuł smrodliwy oddech basseta. Gdy Kylie wysunęła rękę, pies wyciągnął szyję, żeby mogła pogłaskać go po głowie. Kiedy zaś pod jej dotykiem przeciągnął się jak szczęśliwy szczeniaczek, Martin usłyszał własny głos:

– Jak on się wabi?

– Piorun.

– Witaj, Piorun – powiedziała Kylie.

– Te kocięta...

– Ona chce Pioruna. – Martin obserwował, jak stare psisko lasi się do dziewczynki, która śmieje się radośnie i targa go za długie uszy.

– Jest bardzo kłopotliwy – rzekł Jean-Pierre cicho, żeby Kylie nie słyszała. – Nie kontroluje się... sika po domu. Kiedy każemy mu sypiać na dworze, wyje przez całą noc. To jest „pies jednego właściciela”. Odkąd jego pan zmarł, warczy na wszystkich. Wierz mi, Martin, najlepiej byłoby go uspić.

Martin cofnął się myślą do przeszłości. Pewnego dnia Genny zabrała swoje dzieci i Natalie do schroniska dla psów, mieszczącego się przy Mountain Road. Gardnerowie adoptowali wówczas małego owczarka. Natalie wybrała porzuconego jamnika i oświadczyła kierownicze schroniska, że wróci po niego z tatusiem jeszcze przed weekendem.

Błagała Martina, by pozwolił jej wziąć tego psa. Mogliby razem nauczyć go różnych sztuczek, jamnik zaś, po jej powrocie do Kalifornii, dotrzymywałby Martinowi towarzystwa. Martin się nie zgodził. Sezon hokejowy trwa długo i w czasie wyjazdów Martina pies byłby sam. Jego sytuacja różniła się od sytuacji Gardnerów, w których domu było wiele osób mogących codziennie bawić się z psem.

Natalie była zdruzgotana. Kilkakrotnie wymykała się na rowerze do schroniska. Nazwała psa imieniem Archie i przez całe lato nie przestawała prosić Martina, żeby się namyślił. Pewnego dnia odebrał telefon od kobiety, która prowadziła schronisko. Najwyraźniej nie będąc entuzjastką hokeja, rozmawiała z nim jadowitym tonem. Kazała Martinowi zabrać dziecko.

– Drogi są niebezpieczne – mówiła. – Pańska córka nie powinna kręcić się tu na rowerze.

– Natychmiast po nią przyjadę – rzekł.

– Niech pan jej nie pozwala wracać – ostrzegła. – Ten pies był u nas przez całe lato, a jutro zostanie uspiiony. Już go tu nie zastanie.

Gdy pojawił się w schronisku, Natalie zaczęła szlochać obejmując Archiego za szyję. Rozerwał jej uścisk, odepchnął psa i właśnie wtedy został ugryziony. Wsiadł do samochodu z zapłakaną córką, czując na sobie zimne spojrzenie tamtej kobiety.

Pamiętając rozżalenie i złość Natalie, Martin obserwował teraz Kylie. Widział, jak całuje basseta w ucho i jak ogromnieją psie oczy o obwisłych powiekach. Piorun polizał Kylie po twarzy odsłaniając szaroróżowe dziąsła bez dolnych zębów.

– Chcesz tego psa, Kylie? – zapytał. – Czy jedno z kociąt?

Kylie potrząsnęła głową.

– Chcę Pioruna.

– Okay. – Martin zwrócił się do męża Anny: – Czy mógłbym wziąć tego psa? Jak rozumiem, nie zamierzacie go trzymać.

– To prawda, ale... szczerze mówiąc, byłaby to zniewaga z naszej strony, gdybyśmy dali ci takiego parszywego zdechlaka.

– On nie jest parszywy! – oświadczyła dziewczynka, a Martin mógłby przysiąc, że słyszy głos Natalie.

– Chętnie ci za niego zapłacę – zaproponował.

– Nie trzeba – Jean-Pierre potrząsnął głową i pomógł Martinowi załadować krzewy róż na

platformę furgonetki. Kylie wdrapała się z Piorunem do kabiny.

– Dlaczego wabi się Piorun? – zapytała.

– Miał brata, którego nazwano Grzmotem – rzekł Jean-Pierre. – Chyba dla żartu, gdyż oba lubiły tylko jeść i spać! Te wielkie senne oczy, krótkie łapki... Całymi dniami wylegiwały się na werandzie. Ptaki podkładały im jedzenie i siadały na łbach.

– Co się stało z Grzmotem?

– Gdy mój teść nie wrócił ze szpitala, stary Grzmot przestał jeść i pić. Marniał, aż w końcu zdechł. Piorun i Grzmot... Nieodrodni bracia.

– Tęsknisz za bratem – szeptała Kylie do starego psa. – I za swoim panem. Dlatego jesteś smutny.

– Bujną wyobraźnię ma ta mała – rzekł Jean-Pierre.

– Ona ma wielkie serce. – Martin, opanowując się, usiadł za kierownicą i tyłem wyjechał na drogę. Kiedy następnym razem zechce kupić róże, pojedzie do Green Gardens na północ od jeziora. Annę Dupree była ongiś miłą dziewczyną; Martin nie wyobrażał sobie, iż poślubiła kogoś, kto potrafił kopnąć psa. Nic dziwnego, że stary basset go ugryzł.

A inny pies ugryzł kiedyś Martina.

W ciągu jednego dnia May dostała nowy ogród różany i starego psa. Pijąc kawę przed domem, by stamtąd oglądać wschód słońca, a następnie spacerując między rzędami świeżo zasadzonych różanych krzewów, rozmyślała o życiu: jakież było nieprzewidywalne! Każdy dzień przynosił coś nowego...

– Chodź – powiedziała do towarzyszącego jej basseta. Piorun brnął przez świeżo przekopaną ziemię, węsząc nosem w bruzdach i pod warstwą liści, dysząc i posapując wokół stóp May.

Słońce wyzierało zza chmur, rozpościerając diamentowy blask na skałach i zielonej powierzchni wody. Po drugiej stronie jeziora, niewidziane przez Pioruna, pasły się jelenie. May spacerowała powoli, nie chcąc ich spłoszyć. W zaroślach przemykały zające; złapała się na rozmyślanie o zaginionym obrazku. Ciekawa była, jakie zwierzęta wyhaftowała na nim Agnes.

Usiadła w altanie i rozejrzała się dookoła. Pies przystanął na brzegu, jakby zastanawiając się, czy nie popływać. Martin sądził, że May nie zechce leciwego zwierzęcia z chorym pęcherzem, cuchnącym oddechem, łupieżem, wypadającymi zębami i na specjalnej diecie. Jednakże May widziała tylko miłość Kylie do psa i troskę Martina. Wzruszało ją to ogromnie. Potem Martin opowiedział jej o Natalie i Archiem – o tym, jak stracił szansę, by pozwolić córce na posiadanie psa. Piorun był miłym starym stworzeniem uchronionym przez Martina od weterynaryjnej śmierci, ale tym co budziło w May niewysłowione wzruszenie, był fakt, iż jej mąż i dziecko stali się drużyną.

– Chodź, staruszkule – powiedziała łagodnie. – Chodź tu, Piorun.

Piorun obejrzał się na nią omdlewającym wzrokiem przekrwionych oczu. Zapadał się w miękki muł. Z zagrzebanymi łapami patrzył bezradnie na matkę swojej pani.

– Potrafisz, staruszkule – powiedziała May, odstawiając filiżankę.

Pies zaszczekał ponuro, a potem przełknął potężny haust wody z jeziora. Potrząsnął uszami i obwisłymi policzkami, opryskując May z odległości trzech metrów. May zrzuciła z nóg tenisówki zastanawiając się, jak zdoła wyciągnąć z mułu trzydziestokilogramowego basseta słynącego z tego, że gryzie. Rozglądając się wokół, rzuciła okiem na różany ogród.

Słońce, jeszcze na wpół ukryte za sosnami na stoku, muskało krzewy. Tysiące nowych pąków – szkarłatnych, purpurowych, herbacianych, różowych, brzoskwiniowych i perłowych pięło się ku światłu. Gotowe wybuchnąć kwieciami, zdawały się płomykami liżącymi niebo. Martin zaczął je sadzić, gdy tylko dotarł do domu, a skończył dopiero po zmroku.

Zapach ziemi, kawy, mokrego psa... May czuła się tak szczęśliwa, że nie mogła zapanować nad tym uczuciem. Każdą gałązkę, każde źdźbło trawy zdobiły krople rosy. May zaczęła podciągać nogawki dzinsów, ale potem postanowiła je zdjąć. Zrzuciwszy też bluzkę, w samej bieliźnie stanęła na schodkach altany, w której poślubiła Martina.

Schodząc do jeziora, poczuła pod palcami chłodny muł. Gdy podeszła, Piorun pomachał ogonem. Oplótszy ręce wokół jego ciała w kształcie torpedy, May pomogła mu wyjść z błotnej pułapki. Kiedy jednak zaczęła się odwracać, by postawić psa na trawie, on zaczął skomleć i nosem wskazywać wodę.

– Chcesz popływać? – zapytała.

Piorun nie odpowiedział, ale zaczął przebierać przednimi łapami. May pozwoliła mu ześlizgnąć się do jeziora. Ruszył naprzód ze zrećnością morskiej wydry, kajaka lub szczenięcia. May podążyła za nim.

Odplynęła od brzegu, kierując się prosto ku plamie diamentowego blasku. Górskie jezioro było gładkie, chłodne, przejrzyste i czyste niczym jutrzienka. Piorun pozostał bliżej ładu i przebierając łapami, pływał tam i z powrotem wzdłuż brzegu. Kiedy May odwróciła się, aby spojrzeć na dom i różany ogród, zobaczyła schodzącego ścieżką Martina.

Pomachała mu, ale nie odpowiedział. Podeszedł do sterty jej ubrań, podniósł je i przycisnął do piersi. Rozejrzał się wokół, kręcąc głową z boku na bok, jakby próbował dostrzec, dokąd poszła. Na widok Martina Piorun ruszył ku niemu swym kaczym krokiem przez płytką wodę i Martin wyciągnął go na brzeg. Wyraźnie spięty, nie przestawał badać wzrokiem jeziora.

– May! – zawołał.

– Tutaj jestem! – odpowiedziała głośno.

Skinął głową i zobaczyła, że odetchnął z ulgą. Był bosy, teraz zdjął też szorty i przez głowę ściągnął koszulę, po czym położył wszystkie swoje rzeczy na schodach altany. Stojąc w kąpielówkach, wyglądał jak marmurowy posąg. Słońce połyskiwało na jego skórze, ukazując każdą bliznę i każdy mięsień. Zszedł na brzeg i przez kilka sekund stał w bezruchu.

Zanurzył się. May zadrżała z podniecenia widząc, iż płynie w jej stronę. Otworzyła ramiona, by go objąć, on zaś chwycił ją tak gwałtownie, że zaparło jej dech w piersiach.

– Nie widziałem cię – powiedział, wtulając twarz w jej szyję. – Znalazłem twoje rzeczy i zobaczyłem psa, ale nie widziałem ciebie.

– Nie chciałam cię niepokoić – powiedziała, poruszona mocą jego głosu. – Piorun ugrzązł w mule. Pomogłam mu wyjść, a przy okazji postanowiłam popływać.

Martin skinął głową, a ona poczuła ten ruch. Pozwolił jej się odsunąć i cofnął się, brodząc

w wodzie. Pływali razem, twarzą w twarz, w słonecznym blasku. Próbowwała czytać mu z oczu. Było w nich zakłopotanie, ulga i... coś jeszcze.

– Nie widziałeś mnie? – zapytała.

– Nie.

– Byłam tutaj. – Pływali zaledwie kilka metrów od brzegu, z pewnością łatwo było ją stamtąd dostrzec.

– Słońce świeciło mi w oczy – powiedział.

Skinęła głową, doznając czegoś, co przypominało ulgę; jakby się uwolniła. Ale od czego? Pływali w blasku, który kazał jej zmrzyć oczy i oderwać wzrok od słońca. Martin otarł się o gołą nogę May. Wpłynęła w jego ramiona. Całując się, zanurkowali pod powierzchnię, a gdy się wynurzyli, usłyszeli szczekanie psa. Piorun wydał z siebie długi, radosny skowyt.

– Ciesz się, że żyje – szepnął Martin do ucha May.

Gdy się całowali, słońce przeszło za wysoką sosnę, na chwilę pograżając w cieniu całe jezioro. May zadrżała i przytuliła męża, aż ów cień minął i słońce zajaśniało ponownie.

Piorun zaszczekał, witając powrót jasności. Martin i May przestali się całować i rozejrzeli dokoła. Pies wdrapał się na stopnie altany, a potem okrążył ją jeszcze raz i dopiero wtedy przeciągnął się i usadowił, by odbyć drzemkę na stercie czystych ubrań.

– Oj, będzie miał kłopoty! – zaśmiała się May.

– Dlaczego?

May spojrzała w oczy męża. Uśmiechał się w kierunku, z którego doszło szczekanie psa, patrząc prosto w altanę. Nagle, mimo słonecznego ciepła, poczuła chłód i pomyślała o tamtych ostatnich sekundach ostatniego meczu.

Martin nie widział.

ROZDZIAŁ 20

Na werandzie wychodzącej na jezioro i góry stały dwa leciwe białe fotele. Ich spłowiałe ze starości obicia niegdyś były granatowe. May ustawiła między nimi niski stolik, na nim zaś rogaliki, masło, kiść winogron, dzbanek soku i kawę. Po umyciu się pod prysznicem Martin usiadł obok niej do śniadania.

Gdy zjedli, May spojrzała ku wodzie. Jakaś czapla łowiła ryby na mokradłach, stąpając żółtymi tyczkowatymi nogami przez wysokie trawy. Samotny łoś z połyskującymi w słońcu rogami stanął między liśćmi wodnych lili. Kiedy May wskazała go ręką, a Martin się nie poruszył, serce w niej zamarło.

– Martwię się o twoje oczy – powiedziała.

– Dlaczego?

– Bo nie widzisz różnych rzeczy.

– Na przykład jakich?

– Nie widziałeś Pioruna układającego się na stercie naszych ubrań. Ani tego łośia.

– Widzę go.

– Jesteś pewien?

– May – odparł, ujmując jej rękę – nie jestem już tak młody jak kiedyś. Wiesz przecież, że dostałem kilka razy w głowę. Nadchodzi dzień, kiedy chyba będą mi potrzebne okulary. To jest, wierz mi, wyrok na hokeistę, a ja nie chcę mu się poddać.

– Rozmawiałeś z lekarzem drużyny?

Skinął twierdząco głową.

– Myślisz, że pozwolono by mi grać z jakąkolwiek dolegliwością? Gdy tylko mam jakieś objawy, posyłają mnie na prześwietlenie. Potrzeba mi jedynie letniego wypoczynku. Tu jest tak pięknie. Jesteśmy sami. Cieszymy się tym, dobrze?

– Dobrze – bez przekonania powiedziała May, próbując zjeść rogalik. Nie była głodna, pokruszyła go więc i rzuciła na ziemię. Z drzew zerwała się chmara wróbli, łapczywie dziobiąc okruchy.

Przyniosła ze sobą niebieski dziennik, żeby przejrzeć notatki z tego lata i napisać list do doktora Whitpena. Zatroskana o Martina, znalazła ujście dla swego niepokoju wypełniając dwie strony relacją z ostatnich tygodni.

– Co to jest? – zapytał Martin, zaglądając jej przez ramię.

– List do doktora Whitpena.

– Wygląda na to, że masz mu wiele do powiedzenia.

– Nie mogę zaprzeczyć, że utrzymywanie kontaktu z doktorem Whitpenem zawsze było dla mnie ważne. Chyba podtrzymuje mnie na duchu myśl, że jest ktoś, fachowiec, kto czuwa nad Kylie.

Martin spojrzał na nią uważnie, jakby właśnie coś zrozumiał. Wychylił się z fotela i sięgnął po jej dłoń.

– Musiało ci być bardzo ciężko... Sama w obliczu takich problemów...

– Cóż, miałam Tobin i ciocię Enid.

– Nienawidzę ojca Kylie za to, że ją porzucił – rzekł Martin. – Czy Kylie kiedykolwiek o nim rozmawia?

May pokręciła przecząco głową.

– Nie. Czasami jej się śnił; opowiadała, że przyjechał, aby zabrać ją na przejażdżkę albo lody... A potem poszliśmy na tę wycieczkę do rezerwatu i wszystko się zmieniło.

– Jak?

– Śnili jej się tylko zmarli.

– I wtedy zaczęłaś jeździć z nią do Whitpena?

– Tak. Sny o duchach wydały mi się bardziej niezwykłe niż sny o Gordonie zabierającym ją na lody, chociaż nie jestem pewna dlaczego. Gordon poświęcający Kylie choć odrobinę czasu jest znacznie bardziej złudny.

– Myślisz, że zechce kiedyś się z nim spotkać? – zapytał Martin.

– Tak – odparła May. – Prawdopodobnie. Kiedy będzie starsza.

Martin zdecydowanie potrząsnął głową.

– Będziemy musieli porozmawiać z nią o tym. Przeprowadzimy się do innego kraju, jeśli okaże się to konieczne.

– Ja widzę to inaczej, Martin – powiedziała spokojnie May. – Jeśli pewnego dnia Kylie zechce nawiązać z nim kontakt, będę ją wspierać. Bez względu na to, co czuję do Gordona, chcę, żeby Kylie poznała swego ojca.

– A ja chcę wychowywać Kylie jak własną córkę – rzekł Martin. – Pomóż mi być dla niej dobrym ojcem.

– Zatrósz się o siebie – odparła May.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Daj jej dobry przykład. – May spojrzała na niebieski dziennik. – Wożę ją do doktora Whitpena, gdyż sądzę, że może jej pomóc. I chciałabym, abyś ty również skonsultował się z lekarzem, bo martwię się o twoje oczy.

Martin skinął głową, ale zdjął rękę z dłoni May. Poprzez złotą mgiełkę kwiatowego pyłku w porannym słońcu spoglądał na drugi brzeg jeziora – wprost na czapłę i łosia, których, o czym May wiedziała, nie widział.

Tej nocy, gdy rodzice już się położyli, Kylie ocknęła się ze snu. Księżyc był bliski pełni i rozsnawał srebrzystą sieć na sosnowych drzewach, górskich ścieżkach i na samym jeziorze. Coś ścisnęło ją w piersi; wrażenie gwiazdkowych poranków połączone z tym co czuła, gdy nadchodziła burza. Z Piorunem drepczącym tuż za nią na paluszkach zeszła na dół.

Po cichu weszła do jadalni. Była tam obok kominka duża garderoba, głęboka i mroczna. Kylie odkryła ją minionego lata, kiedy pierwszy raz przyjechali nad Lac Vert. Prowadzące do niej drzwi wmontowano w boazerię. Jeśli się nie wiedziało, że tam są, łatwo było je przeoczyć. Sięgnąwszy do małej mosiężnej klamki, Kylie weszła do środka. Pachniało tu kurzem i pleśnią. Serce biło jej jak młotem. Uniosła rękę, szukając po omacku długiego sznura, który prowadził do włącznika. Piorun czekał na zewnątrz, bojąc się wejść do środka.

Kylie zapaliła światło. W owej sekretnej garderobie czuła się inaczej niż w jakimkolwiek innym miejscu tego domu. Ukryte w niej były rodzinne tajemnice i jeśli nad Lac Vert istniały jakieś zjawy czy anioły, to mieszkaly właśnie tutaj. Mrużąc oczy w świetle niczym nie osłoniętej żarówki, Kylie była pewna, że widzi błysk przejrzystych białych skrzydeł.

– Natalie...? – wyszeptała, ale usłyszała tylko wężenie Pioruna, który oddychał ciężko i mozolnie, jakby całej tej sprawy było dla niego za wiele. Kylie rozejrzała się wokół. W każdym kącie wisały pajęczyny unoszące się łagodnie w powietrzu.

Przyszła jej na myśl Richard Perry. Przez cały czas miała go przed oczami... wiszące na gałęzi martwe ciało kołyszące się na wietrze. Jego guzowate kości były całkiem białe, a strzępy ubrania, skóry i mięśni brunatno-szare. Podniósłszy wtedy wzrok, zobaczyła mężczyznę proszącego, by go odcięto. Jego wargi się poruszały, a oczy pełne były oszalałej rozpacz.

Przyjechała policja. Odpowiadając na pytania, Kylie nie odrywała wzroku od ciała Richarda Perry'ego. Funkcjonariusze skończyli robienie zdjęć. Widziała, jak policyjny lekarz podchodzi do drzewa, decyduje o wyborze najlepszego postępowania, przystawia drabinę i wdrapuje się na konar, a potem, posługując się olbrzymimi nożycami, odcina gruby sznur i ludzie na dole chwytają spadające ciało.

– Dziękuję – usłyszała cichy szloch mężczyzny. – Dziękuję za uwolnienie.

Kylie przyszła tutaj, aby czegoś poszukać. Słyszała, jak mama pyta Martina o stary obrazek. Wiedziała, gdzie jest. Latem zeszłego roku, gdy pewnego deszczowego dnia badała wnętrze domu, znalazła stertę różnych ukrytych tu rzeczy. Srebrny kubeczek, dziecinny wózek, stertę książeczek dla dzieci i haftowany obrazek.

Wdrapując się na regały niczym na szczeble drabiny Kylie dotarła do najwyższej półki. Właśnie tu, wepchnięty głęboko, tkwił obrazek. Namacała go, chwyciła i pociągnęła ku sobie, a potem, trzymając ramkę pod pachą, zeskoczyła na dół.

Szkoło pokrywała gruba warstwa kurzu. Kylie starła go, by obejrzeć obrazek. Tłem był biały muślin, który żółkł niczym staroświeckie ślubne suknie w Weselnej Gospodzie. Mocno naciągnięta na ramę tkanina zahaftowana była drobnymi krzyżykami ze ślicznej niebieskiej nici. Krzyżyki układały się w obrazek przedstawiający dwa małe zwierzątka: owieczkę i lamparciątko śpiące razem.

Wokół biegł napis. W zeszłym roku Kylie dopiero zaczynała naukę liter, teraz odczytanie słów było już znacznie łatwiejsze: *Wilk spocznie obok jagnięcia, lampart położy się z koźlątkiem, a poprowadzi ich dziecię.*

Kylie nie wiedziała, co to znaczy, i przeczytała ów napis ponownie. Na szkle pozostał jeszcze kurz, przetarła je więc dokładniej. Pod warstwą kurzu kryła się jakaś inna substancja migocząca niczym drobiny miki. Kylie miała ją na palcach, które mieniły się teraz barwami tęczy.

Serce biło jej mocno, jakby coś miało się zdarzyć... jakby miała się pojawić Natalie. Kylie czuła jej obecność w tym wnętrzu i była dziwnie przekonana, że ów połyskujący pył stanowi dowód jej istnienia.

– Natalie – poprosiła – pozwól mi się zobaczyć. Piorun skamlał pod drzwiami, domagając

się, by wreszcie wyszła.

– Wiem, że tu jesteś – mówiła dalej Kylie. Spoglądając na obrazek, wciąż na nowo odczytywała napis. To Natalie chciała, by go znalazła; była o tym przekonana. Spała twardo, lecz coś kazało jej zejść na dół i szukać tego starego obrazka. – Czy to ty jesteś tym małym dzieckiem? – zapytała głośno.

– Ty nim jesteś – rozległa się odpowiedź. – Pogódź ich. Kylie obróciła się dokoła. Nikogo nie było.

Szelest nad głową kazał jej podnieść wzrok. Zobaczyła gromadę nietoperzy zamieszkałych wśród krokwi i obserwujących ją ze swych dziwnych pozycji. Kylie zadrżała ze strachu, a Piorun zaczął ujadać. Nagle usłyszała kroki na schodach.

– Kylie? – rozległ się głos mamy.

– Natalie jest tutaj. Wiem, że tu jest! – zawołała Kylie.

– Znowu majaczy – odezwał się Martin. – To lunatyczny sen.

– Natalie – wyszeptała Kylie, pozwalając, by mama wzięła ją na ręce.

Jednakże nieuchwytna obecność już zniknęła. Piorun przestał skomleć i z wielkim spokojem wpatrywał się w otwarte okno. Sierść błyszczała mu bardziej niż kiedykolwiek, a oczy lśniły promiennie.

Mama zaniósła ją aż do okna. Stały przy nim razem, oddychając świeżym powietrzem i Kylie poczuła, że podniecenie ją opuszcza, jakby ostatnie chwile były snem. Wokół jeziora majestatycznie wznosiły się wzgórza. Księżycowa poświata tańczyła między drzewami, padała na srebrną skałę i obmywała łagodne pagórki.

– Jesteś bezpieczna – wyszeptała mama. – Już nie śpisz. Jestem przy tobie.

– Ocaliłam go, prawda? – płakała Kylie. – Tego człowieka, który wisiał na drzewie. Zrobiłam to, o co prosił...

– Tak, kochanie – odparła mama, spoglądając na nią płochliwie. Kylie wiedziała, że mama pójdzie teraz na górę, zapisze coś w swojej niebieskiej księdze, a rano prawdopodobnie zadzwoni do doktora Whitpena, i ta myśl pograżyła ją w takim smutku, że zaczęła płakać jeszcze żałośniej.

– Co tam masz? – zapytał Martin sięgając po ramię, którą trzymała pod pachą. Kiedy przesunął dłonią po szkle, koniuszki jego palców pokryły się iskierkami. Migotały niczym diamentowe okruchy lub księżycowy pył i nagle Kylie uświadomiła sobie, że to anielskie łzy.

– Haftowany obrazek – powiedziała mama.

– Moja matka zrobiła go, kiedy przyszedłem na świat. Pozbyłem się tego obrazka...

– Dlaczego? – zapytała Kylie.

– Bo przypominał mi Natalie – odparł Martin. – „A poprowadzi ich dziecię... „. Robiła to. Kierowała nami.

– I wciąż nami kieruje – Kylie wiedziała, że musi, musi sprawić, by Martin zrozumiał, iż czasu jest coraz mniej. Powinien zobaczyć się z ojcem. Natalie wciągnęła ją do tej garderoby, by przekazać swe przesłanie: ten obrazek i lśniące iskierki. Ale przesłanie było skierowane do Kylie: *To ty jesteś tym dzieckiem, pogódź ich.*

– Coś się wydarzy – szepnęła Kylie.

– Chodźmy spać – powiedziała mama. – Jest już bardzo późno.

– Dobry pomysł. – Martin marszcząc brwi patrzył na obrazek.

Kylie nie odpowiedziała, tylko długo i uparcie wpatrywała się w niebieskie oczy Martina. Przesunawszy koniuszkami palców po jego ustach, pocałowała go w czoło, a potem, cofając się, zobaczyła, że zostawiła mu na wargach srebrzysty pył – łzy Natalie.

Serge nie mógł spać. Jacyś idioci próbowali pozabijać się wzajemnie na korytarzu, wrzeszcząc przy tym, jakby rozrywali się na strzepy. Nasunął sobie poduszkę na głowę, ale straszny hałas przenikał nawet przez nią. Usiadł więc na łóżku i spojrzał na zegarek: druga nad ranem.

Rezygnując ze snu, siedział na krawędzi pryczy z głową wspartą na rękach. Czuł suchość w ustach, a serce waliło mu jak młotem, zupełnie jakby miał kaca, choć przecież od kilku lat nie pił alkoholu. Nałogi skończyły się dla niego w dniu, w którym umarła Natalie. Piekły go oczy. Ktoś palił tuż obok, ale nie był to papieros. Mury więzienia cuchnęły prochami, moczem, samotnością i śmiercią. Ściany celi Serge'a czuć było żądzą zysku, winą, egoizmem i życiem bez słowa od syna. Krzyk dochodzący z korytarza był coraz głośniejszy; Serge uświadomił sobie, że to nie jest zwykła więzienna bijatyka.

– Ciszej tam! – krzyknął ile sił w płucach.

– Zamknij się – odpowiedział czyjś głos.

– Pomocy! – zawołał Serge. – Straż, pomocy!

– Stul pysk, bo sam oberwiesz! Trzymaj się z daleka!

– Na pomoc! – krzyczał Serge. – Jezu Chryste, na pomoc!

Czas mijał; zegarek na przegubie wskazywał upływ kolejnych minut. Serge nie widząc okna poczuł, że przez jego celę przepływa prąd świeżego powietrza. Dreszcz przebiegł mu po plecach i zjeżył włosy. To tchnienie przypominało arktyczne powietrze, jakby prosto z Kanady; pachniało sosnami znad Lac Vert.

Może ktoś umarł. Jako dziecko Serge był religijny i teraz, zastanawiając się, czy ktoś nie zginął w bójce na korytarzu, przeżegnał się znakiem krzyża. Ktoś nadbiegł, za nim następni. Słyszał głosy strażników i nawoływania o pomoc.

Przyniesiono nosze, które po kilku chwilach zostały gdzieś zabrane.

Siedząc na pryczy Serge próbował zrozumieć, co się dzieje. Ciała osłonięto prześcieradłami, nie mógłby więc powiedzieć, czy są żywe czy martwe. Zdołał jednak zobaczyć czaszkę ogolonego mężczyzny.

– Tino – powiedział, a potem krzyknął głośnie: – Tino!

Strażnicy bez słowa przeszli obok.

– Hej, wy! – zawołał – Czy z Tinem wszystko w porządku? Czy nic mu się nie stało?

Żaden nie odpowiedział.

Serge pomyślał o dzieciach Tina i coś kazało mu upaść na kolana. Od dawna się nie modlił, ale pamiętał słowa: *Ojczy nasz...*

Odmówiwszy modlitwę, sięgnął pod łóżko. Wyciągnął pudełko z papierem oraz długopisami i położył przed sobą jeden arkusz. Pusta przestrzeń kartki zniechęcała, jakby nie

istniały słowa zdolne wyrazić to, co chciał powiedzieć.

Zapach sosny był silniejszy niż odór więzienia i Serge złapał się na tym, iż myśli o pewnym małym chłopcu, zielonym jeziorze, starych wzgórzach i krętych ścieżkach. Myślał też o ciemnym lodzie i hokejowych kijach. Myślał o Martinie.

Porażka w siódmym meczu play-offów była ostateczna. Martin pozwolił zdjąć sobie krążek z kija. Z drugiej strony... czym naprawdę jest zwycięstwo? Serge trzykrotnie zdobywał Puchar Stanleya, stawiał go na stole i zasypiał z Pucharem stojącym obok łóżka. Ale jakie to, do diabła, miało teraz znaczenie?

Oto co miało znaczenie: leżąca w pudełku fotografia Natalie, fotografia Martina oraz niewyraźnie, wycięte z gazety zdjęcie May i Kylie. Serge rozłożył je przed sobą na zmiętym łóżku. Wciąż klęcząc myślał o Tinie i jego dzieciach. Odchrząknawszy, jakby próbował mówić zamiast pisać, formułował słowa.

Kochany Martinie...

Chociaż te słowa pojawiły się na leżącej przed nim kartce papieru, Serge przysięgłby, że nie pamięta, jak sięgnął po długopis.

ROZDZIAŁ 21

Martin zgodził się dać pokaz i poprowadzić wraz z Rayem dwudniowe warsztaty hokejowe w Toronto. Udali się z tam z całymi rodzinami, rezerwując wcześniej sąsiadujące z sobą apartamenty w ogromnym i eleganckim King Edward Hotel.

– Jak sądzisz, co miała na myśli, mówiąc, że „coś się wydarzy”? – zapytała May, spoglądając na Martina, który pakował ich bagaże.

– Śniło jej się. Myślę, że psychologzy z Twigg University także potwierdzą, że Kylie jest zdrowa.

– Chciałam mieć to już za sobą – powiedziała May, upewniając się, że ma w torbie swój dziennik. – Posłałam tylko list do doktora Whitpena i nie zamierzałam odbywać u niego żadnej wizyty tego lata.

Spoglądała przez okno na jezioro. Martin zobaczył, że jej oczy pełne są łez.

– Co się stało? – zapytał.

– Tak mi przykro... Nie mogę tego znieść. Słyszę ból Kylie i nie mam pewności, czy robię wszystko co mogę, by jej pomóc. Jest tak spięta. Naprawdę wierzy, że stanie się coś strasznego.

– Ale nic się nie stanie. Jesteśmy razem. Jest piękny letni dzień. Wybieramy się z przyjaciółmi do Toronto. Mamy za sobą surową zimą, a teraz jesteśmy nad jeziorem.

– Wrócimy tu za dwa dni – powiedziała May, jakby chciała się w tym upewnić. Martin przyciągnął ją do siebie.

Pachniał mydłem i wodą po goleniu. Zamknęła oczy, czując, że serce bije jej mocno.

Gdy umieścili już w samochodzie wszystkie bagaże, May z niepokojem pomyślała o Martinie. A jeśli straci wzrok prowadząc samochód? Usiadła za kierownicą, każąc mu trzymać śmierzącego Pioruna w drodze do przechowalni psów. Martin roześmiał się, lecz usłuchał. Zaledwie trzy godziny później bez trudu dotarli do położonego w centrum Toronto okazałego hotelu, w którym wszyscy – od wystrojonego w liberię odźwiernego do dyrektora – witali Martina jak dobrego znajomego. May i Kylie wręczono bukiet kwiatów.

– Dobry, stary Eddy... – rzekł Martin, spoglądając na wspaniale sklepiony sufit nad recepcją.

– Eddy? – zapytała Kylie.

– Wszyscy Kanadyjczycy właśnie tak nazywają King Edward Hotel – rzekł Martin. – Każdy kto się tu zatrzymuje, znajduje wygodny dom.

May ociągała się chwilę, słuchając, jak odźwierny opowiada Kylie jakąś kanadyjską legendę. Kiedy Martin zapytał, czy ma ochotę towarzyszyć mu wraz z Kylie na stadionie, pokręciła przecząco głową.

– Chcę pójść z Kylie prosto do doktora Whitpena. Przyjmie nas, mimo że nie mamy rezerwacji.

– Mam iść z wami?

– Nie, ale dziękuję, że to proponujesz – odparła May, przypominając sobie, że ostatnim

razem nie chciał nawet wejść na górę. Poza tym miał dziś przecież ważne zajęcia.

Co roku, odkąd został zawodowym hokeistą, Martin prowadził warsztaty dla wszystkich dzieci, które chciały w nich uczestniczyć. Pieniądze nie miały znaczenia. Sam pokrywał koszt wynajęcia lodowiska, poświęcał swój czas i sponsorował wyposażenie. Pokochał hokej jako chłopiec i był przekonany, że należy pomagać dzieciom mającym mniej szczęścia. Chciał przekazać tę miłość innym.

W zeszłym roku, w wirze spraw związanych z nagłym ślubem z May, pierwszy raz od siedemnastu lat odwołał hokejową szkółkę. Prawdopodobnie mógł pogodzić ze sobą wszystko – ślub, miesiąc miodowy, przeprowadzkę rodziny i hokejowe warsztaty – ale jakoś nie zdołał tego uczynić.

Do ich domu przyszło wiele listów od rozczarowanych chłopców; uczestników poprzednich warsztatów i tych, którzy mieli wziąć w nich udział po raz pierwszy i stracili okazję, by jeździć na łyżwach razem z wielkim Martinem Cartierem.

Teraz, widząc jak Martin sprawdza ekwipunek, May poczuła, że ogarnia ją wielka tkliwość. Przyjechał, by uczyć cudze dzieci, które ściągnęły ze wszystkich stron Kanady, aby spędzić z nim kilka godzin. Był dobrym człowiekiem, który pragnął pomagać innym.

Jakaś rodzina podeszła do niego, prosząc o autograf. Udzielił go chętnie, zostawił też miejsce dla Kylie, by i ona złożyła swój podpis. Kylie chichotała z uciechy.

Życie Kylie całkiem się odmieniło, ale cały jego splendor bladł wobec faktu, że teraz miała ojca, który ją kochał i chciał z nią spędzać czas. Obejmując i całując Martina, gdy przygotowywał się do wyjścia, zamknęła oczy i próbowała zignorować strach, który przyprawiał ją o ucisk żołądka.

Gdy po trwającej około czterdziestu minut podróży taksówką Kylie ujrzała znajome bramy Twigg University, skurczyła się w samochodowym fotelu. May zapłaciła taksówkarzowi i ujawszy Kylie za rękę poprowadziła ją do wnętrza budynku. Weszły do mrocznego holu, a potem wspięły się na piętro. Nim dotarły do gabinetu doktora Whitpena, serce May biło z całej siły.

– Sekretarka przekazała mi wiadomość, że pani telefonowała – powiedział, witając je w drzwiach. Czupryna spadała mu na oczy. Miał na sobie spodnie w kolorze khaki i niebieską koszulę, a lekkie sportowe obuwie nosił dziś bez skarpetek. Nie uśmiechał się, lecz sprawiał wrażenie podekscytowanego.

– Kylie, zechciej pobawić się w pokoju obok, dobrze? – May wskazała córce pokój z zabawkami.

– Chcę zostać z tobą.

– Proszę cię, kochanie – powiedziała May, spoglądając jej prosto w oczy. – Zaraz tam przyjdę. Pozwól mi tylko porozmawiać przez chwilę z panem doktorem.

Kylie wzruszyła ramionami i zrobiła to, o co prosiła ją mama.

– Czy coś się stało? – zapytał cicho doktor Whitpen.

– Czy od czasu, gdy napisała pani do mnie, wydarzyło się coś nowego?

– Tak – odpowiedziała May, wyjmując z torebki swoje zapiski.

Opuszczając na nos trzymane dotąd na czubku głowy okulary, doktor Whitpen sięgnął po

dziennik May, położył go na swoim biurku i zaczął czytać.

– Kylie twierdzi, że w starej garderobie obok kominka ukrywa się Natalie – powiedziała May. – Natalie wszędzie zostawia ślady i dowody, że płacze.

– Dlaczego płacze? – zapytał doktor, przerzucając kolejne strony.

– Ponieważ nie potrafi sprawić, by zrozumiał ją ojciec, albo też dlatego, że Kylie również tego nie umie. Wydaje się, że wszyscy oprócz Martina wiemy, co powinno się stać. Martin winien spotkać się z ojcem. Ja odwiedziłam Serge'a w więzieniu.

Doktor Whitpen oderwał wzrok od dziennika.

– Co powiedział? Rozmawiał o Natalie?

– Jest przepełniony żalem – odparła May. – Przytłacza go poczucie winy. Pragnie możliwie najszybciej naprawić swoje stosunki z Martinem.

– To się zgadza i odpowiada usilnym naleganiom Kylie – rzekł doktor, kiwając głową, po czym przeczytał wszystkie zapiski, zwracając uwagę na pewne fragmenty.

– Ale ja nie rozmawiałam o tym z Kylie – dodała May.

– Nie jestem pewien, czy to ma znaczenie.

– Nie?

– Jej wizje nie rodzą się z pani słów. Ona po prostu...

– zawahał się, sięgając po notes, magnetofon i dziennik – je widzi.

– Zatem niczego jej nie sugeruję?

– Z moich dotychczasowych obserwacji, wynika, że nie – powiedział – ale teraz chodźmy z nią porozmawiać.

Kylie spostrzegła, że mama i doktor Whitpen wchodzi do pokoju, lecz obróciła się do lalek. Wpatrywały się w nią – małe istoty, które podczas poprzednich wizyt w tym gabinecie wydawały się takie żywe... Opowiadały sobie żarty i historyjki, śmiały się z jej wielkich rąk, gdy sięgała do małych okienek ich domku. Teraz jednak były tylko lalkami.

– Witaj, Kylie – powiedział doktor.

– Dzień dobry – odparła nieśmiało.

– Mama mówi, że spędzasz lato nad Lac Vert. Kylie skinęła głową.

– Mam psa.

– Wabi się Piorun – rzekł, zaglądając do niebieskiego dziennika.

– I umiem już czytać – dodała Kylie, przypominając sobie haftowany obrazek. Ogarnął ją strach, ale gdy zajrzała do domku dla lalek, małe istoty wciąż były tylko lalkami.

– Opowiedz mi o garderobie koło kominka w salonie – poprosił, przykucnąwszy obok.

– Była tam Natalie – wyszeptała Kylie.

– Natalie płakała, a ty widziałaś jej łzy.

– Przykleiły mi się do palców.

– Dlaczego płakała?

– Bo coś się wydarzy – Kylie od samego rana czuła dziwny niepokój, kręciło się jej w głowie.

– Co ma się wydarzyć? – zapytał.

Kylie wzruszyła ramionami. Nie podobało jej się to nowe uczucie. Czegoś jej brakowało.

Nie powiedziała o tym mamie i nie chciała powiedzieć doktorowi.

– A może ktoś inny wie, co się wydarzy? – zapytał.

– Czy możesz mi powiedzieć, kto? Kylie zaprzeczyła.

– Pobawmy się kartami – rzekła.

Doktor Whitpen skinął głową. Miał zabawne włosy, które opadały mu na oczy i czasami nie wiedziała, co myśli. Jeśli widziała czyjeś oczy, jeśli naprawdę mogła w nie patrzeć, zazwyczaj potrafiła czytać w myślach tej osoby. Ale teraz doktor Whitpen zasłaniał oczy. Kylie przełożyła wręczoną jej talię kart. Doktor je potasował i zaczęli się bawić.

– Czarna – powiedziała.

Uniósł pierwszą kartę i na twarzy odmalowało mu się zdumienie.

– Nie, czerwona.

– Następna będzie czarna – rzekła.

– Nie, również ta jest czerwona.

– Teraz będzie czerwona. Jednak ta była czarna.

Żle. Żle. Żle. Kylie nie pomyliła się tylko raz. Znowu zajrzała to małego domku: w środku były tylko lalki. Za oknem śpiewały ptaki. Nie czuła już w sobie żadnej magii...

Kiedy Martin pojawił się w hali Air Canada, dzieciaki zaczęły piszczeć z emocji. Choć już wcześniej grał tu z Bruinsami, hokejowe warsztaty odbywały się tutaj po raz pierwszy. Poprzednio zbierali się w starym Mapie Leaf Gardens, miejscu świętym dla każdego hokeisty – weterana czy młodzika.

Rozglądając się po wnętrzu nowoczesnego obiektu, myślał o historii i tradycji, zastanawiając się, co sądziłby o tym budynku jego ojciec. Słyszac gromkie powitania, uśmiechnął się i pomachał ręką.

Wokół tłoczyli się głównie chłopcy liczący od ośmiu do piętnastu lat, chociaż od samego początku Martin zawsze zapewniał, że dziewczęta są również mile widziane. Wszak miał córkę i sam długo był trenowany przez matkę.

Rozejrzawszy się po wnętrzu szatni dla hokeistów, Martin stwierdził, że Raya jeszcze nie ma, i poczuł ulgę. Ręce mu się trzęsły, gdy sznurował buty. Nie stał na lodzie od ostatniego meczu Pucharu Stanleya. To, co podejrzewała May, było prawdą: wzrok pogorszył mu się z początkiem lata.

Nad Lac Vert w istocie nie miało to większego znaczenia. Wokół było pięknie, a on sam działał niespiesznie i leniwie. Sadząc róże i przenosząc kamienie widział dobrze. Mógł udawać, że wszystko jest w porządku. Jednak tutaj, na lodzie, gdzie każdy ruch wymagał precyzji, a każdy cień coś oznaczał, Martin poczuł strach.

– Tak więc w tym roku zorganizowałeś warsztaty – rzekł Ray, wchodząc do szatni i ściskając mu dłoń.

– Zeszłego lata byłem trochę zajęty, żeniłem się.

– Trudno uwierzyć...

– W to, że któraś mnie zechciała, czy w to, że się ustatkowałem?

– W jedno i drugie, przyjacielu – roześmiał się Ray.

– Dajże spokój.

– Myślałem, że w tym roku zrezygnujesz z innego powodu – rzekł Ray. – Pięć sekund, tykający zegar...

– Dość – przerwał mu Martin, zamykając oczy. Nie miało znaczenia to, że Ray tylko się droczył, że już dawno przedyskutowali porażkę odniesioną w ostatnim meczu. Martin nie chciał o nim słyszeć.

Gdy obaj wyszli na lód, tłum oszalał. Martin zawsze nalegał, by były to wyłącznie warsztaty: żadnych dziennikarzy, kamer ani klubowych kibiców. Na trybunach siedzieli tylko rodzice, dziadkowie i przyjaciele uczestników. Zapalono wszystkie światła. Martin zmrugał oczy, w polu jego widzenia narastała ciemność.

Gdy w tę i z powrotem jeździł po lodzie, wokół uniosła się mgła. Raz widział wyraźnie, to znów jak przez obłok. Wciąż mrugał, jakby do oczu wpadł mu pył lub piasek, którego próbował się pozbyć. Dzieciaki wiwatowały, a on wiedział, że porusza się na oślep.

– Uważaj – rzucił Ray, gdy Martin niemal potknął się o jego kij.

Małych łyżwiarzy ustawiono w pięciu szeregach, po dziesięciu chłopców w każdym: niebieskim, czerwonym, zielonym, żółtym i pomarańczowym. Martin zwrócił się do nich, dziękując za przybycie. Gdy mówił, panowała kompletna cisza. Jego głos niósł się echem rozległej lodowej hali, odbijając się od wysokich stropów.

– Wiem, dlaczego tu jesteście – powiedział, a choć mówił cicho, głos zadudnił mu w uszach. – Bez względu na to, czy pochodzicie z zachodniej czy wschodniej Kanady, czy mieszkacie w Saskatchewan czy w Toronto, przybyliście tutaj, ponieważ marzycie. W lipcu, gdy jest gorąco i wszyscy wasi przyjaciele rozkoszują się pływaniem w jeziorze, wy marzycie o zimie, kiedy jezioro zamrznie, a wy włożycie łyżwy i wyjedziecie na lód. W nocy zamiast spać, marzycie, by obudzić się jak najwcześniej i znaleźć się na lodzie przed wszystkimi innymi, gdy jest gładki i nie porysowany. Jeśli mieszkacie w Nowej Szkocji lub na wyspie Vancouver, spoglądacie ku słonym wodom Atlantyku lub Pacyfiku, marząc, by zamrzł, a przybrzeżne skały stały się bramkami. Jeśli mieszkacie tutaj, w centrum Toronto, marzycie o kluczach do tej nowoczesnej hali, a jeszcze lepiej do starej Mapie Leaf Gardens. W marzeniach gracie lepiej niż wszyscy, którzy grali tu przedtem: Wayne Gretsky, Mario Lemieux a nawet sam Ray Gardner!

Chłopcy wiwatowali i śmiali się, a Martin tłumiał wzruszenie. Dzieciaki były zelektryzowane tym, że będą grać z nim i Rayem.

Spoglądając na morze dziecięcych głów, widział sam siebie w ich wieku. Pamiętał swoje sny o prawdziwym hokeju, o grze z zawodowcem – o tym, że uczy go własny ojciec, idol, Serge Cartier.

– A zatem do dzieła! – rzekł głębokim, niskim głosem. – Niech spełnią się nasze sny! Grajmy!

Chłopcy podjeżdżali kolejnymi szeregami i uderzali krążek, instruowani przez Martina i Raya. Martin mówił im o dyscyplinie i koncentracji. Poprawiał chwyt hokejowego kija i korygował postawę. Wyjaśniał taktykę ataku, przejmowania krążka i obrony i odpowiadał na dociekliwe, inteligentne pytania.

Potem chłopcy oczyścili lód przed pokazem praktycznych ćwiczeń w wykonaniu Martina i Raya. Martin z bijącym sercem wjechał na lód, czekając na pierwszy strzał przyjaciela. Obaj robili to przez dziesięciolecia, począwszy od przejrzystego, grudniowego lodu na jeziorze Lac Vert.

Strzał! Krążek uderzył w jego kij niczym kula armatnia i Martin odbił go z całej siły. Obydwaj ślizgali się tam i z powrotem, wymieniając przejścia, uderzając w siatkę, odbijając krążek i pędząc za nim po lodzie. Dzieciaki śmiały się i krzyczały. Martin tak dobrze znał styl Raya, że prawie nie musiał patrzeć. Wyciągał kij, a krążek tam był. Obracał się dokoła, a Ray go znajdował.

On ma oczy z tyłu głowy...

Tak mawiał ojciec, zachwycając się niezwykłym obwodowym widzeniem Martina i jego niewiarygodną zdolnością wyprzedzania i blokowania przeciwnika.

Jeździ na ślepo, powiedział kiedyś ojciec, wyrażając Martinowi najwyższe uznanie. Wszystkie jego zmysły były tak wyczulone, tak doskonale ukształtowane, że wyczuwał przeciwnika i strzelał gola nie patrząc na bramkę.

– Ćwiczcie nieustannie – Martin usłyszał własny głos, strzelając łatwego gola po perfekcyjnym podaniu Raya.

– Znajdźcie sobie jakiegoś kumpla i wykorzystujcie każdą okazję do ćwiczeń.

– Hej, kumplu – krzyknął przez ramię Ray, szukając wzrokiem syna.

– Każdą okazję – powtórzył Martin, a jego głos znów wypełnił halę, gdy wszyscy umilkli, by go wysłuchać. – Inni mogą jeździć szybciej albo strzelać lepiej, lecz jeśli się skupicie, jeśli poświęcicie na to dwie godziny dziennie, jeśli nauczycie się koncentrować, hokej stanie się waszą drugą naturą. W najgorszym razie... zdobędziecie naprawdę dobrego przyjaciela – po tych słowach Martin zrobił przerwę, wiedząc, że Ray obserwuje go z boku. – Jeśli wykorzystacie wszystkie szanse, jeśli zachowacie poczucie swego miejsca w świecie i na lodzie, w relacji z krążkiem, z waszym przyjacielem i z wszystkimi innymi, wtedy pewnego dnia może osiągniecie zręczność potrzebną, by grać na ślepo.

– By grać jak?! – rozległo się czyjeś pytanie.

– Jak człowiek, który ma oczy z tyłu głowy – odpowiedział Martin wpatrzony w ciemną mgłę zasłaniającą młode twarze.

Stadion SkyDome był pełen ludzi, a mecz bejsbolowy wręcz ekscytujący: Toronto Blue Jeans pokonali Chicago Cubs wynikiem 4:2. Stamtąd Cartierowie skierowali się do Hockey Hall of Fame. Owa świątynia hokeja upamiętniająca największych mistrzów sportu znajdowała się w centrum Toronto, u zbiegu ulic Yonge i Front, gdzie rozsiadł się majestatyczny secesyjny budynek, niegdyś mieszczący bank.

Inni zwiedzający otoczyli Martina prosząc go o autografy, niektórzy robili sobie z nim zdjęcia. Chociaż spełniał ich prośby, ramiona wciąż miał tak sztywne, a nastrój tak mroczny, że większość szybko się wycofała.

– Dobrze się czujesz? – zapytała May.

– Niech zawracają mi głowę, kiedy jestem sam – odparł – ale nie wtedy, gdy jestem z

tobą i Kylie.

– A mnie się to podoba – powiedziała Kylie.

Zwiedzili „sekcję strzelców”, gdzie goście mogli się zmierzyć z największymi hokeistami wszech czasów. Martin wydawał się osobliwie cichy, oprowadzając May i Kylie po wystawie i pokazując im fotografie, pamiątki i sprzęt: stare stroje, kije i łyżwy najslawniejszych zawodników. Osobna ekspozycja ukazywała sposób robienia masek. Kiedy podeszli do ściany poświęconej honorowym członkom Narodowej Ligi Hokejowej, zatrzymali się przed nią patrząc na pamiątkowe szklane płyty.

– Jesteś tutaj? – zapytała Kylie, podnosząc wzrok.

– Nie – odparł Martin.

– Jeszcze nie – powiedziała May, wsuwając mu rękę pod ramię.

– Znajdę się tu dopiero trzy lata po przejściu na emeryturę, jeśli w ogóle... – rzekł Martin.

– A jeszcze długo nie zamierzam się na nią udać.

– Czy jest tutaj twój ojciec? – zapytała nagle Kylie.

– Tak – odparł Martin, zbierając się do wyjścia.

– Gdzie?

Nawet nie patrząc w tamtą stronę, Martin wskazał płytę znajdującą się w samym środku.

– Serge Cartier – przeczytała Kylie.

– Mówiono kiedyś o wyrzuceniu go stąd – spojrzenie Martina biegło wzdłuż sali. – Powinni byli to uczynić.

– Byłeś tu kiedyś z ojcem?

– Kilka razy – odparł Martin. – Przywieźliśmy tu kiedyś Natalie, gdy była jeszcze całkiem mała. Staliśmy właśnie w tym miejscu. – Wpatrywał się w podłogę, jakby widział ślady jej małych stóp.

– Wszyscy razem? – pytała dalej Kylie.

– Tak.

– Dziwna rzecz z tym Pucharem Stanleya – obwieściła dziewczynka. – Lord Stanley, generalny gubernator Kanady, który ufundował go w roku 1893, nigdy nie widział żadnego pucharowego meczu.

– Skąd to wiesz? – zapytała ze śmiechem May.

– Przyśniło mi się to, kiedy Martin grał w finałach. Ktoś powiedział mi to we śnie.

– Kto? – zapytała May, lecz Kylie tylko pokręciła głową. May pytała więc dalej, idąc tropem tej historii: – Czy lord Stanley nie lubił hokeja?

– Nie – rzekł Martin, jakby znał już odpowiedź.

– Jego synowie lubili ten sport – powiedziała Kylie. – Stworzył więc Puchar Stanleya, bo kochał swoich synów.

– To prawda – potwierdził Martin, przyglądając się Kylie. – Kto ci opowiedział tę historię, Kylie? Niewielu ludzi ją zna.

– Niektórzy znają – odparła.

– Tak...

– Wiesz, komu podobała się najbardziej. Twój ojciec opowiedział jej tę historię właśnie

tutaj, gdy staliście w tym miejscu...

– Natalie... – Martin wpatrywał się w Kylie, jakby właśnie zobaczył ducha.

Na ostatnią wycieczkę przed powrotem nad Lac Vert Ray, ku zaskoczeniu wszystkich, wypożyczył mikrobus.

– Jedziemy nad Niagarę – oświadczył, gdy Cartierowie wrócili do hotelu. – Weźcie ze sobą aparaty fotograficzne i kamery, mikrobus rusza za dziesięć minut.

Droga zabrała im półtorej godziny i okazała się raczej pielgrzymką niż podróżą, a to przez liczne postoje: w rezerwacie motyli, gdyż Charlotte uwielbiała te owady; w słynnych sadach, aby Genny mogła zbadać kolejne zasoby owoców do swoich dżemów, a także w pewnej renomowanej winnicy, by Ray mógł kupić kilka butelek oraz w muzeum morskim, ponieważ Kylie chciała zobaczyć ryby i morskie zwierzęta.

Gdy tylko dotarli do wodospadów, Martin pociągnął May i Kylie do wind. Gdyby się spóźnili, windy zostałyby zamknięte i straciliby okazję odbycia niezwyklej wycieczki za wodospad. Słońce świeciło złotem, ześlizgując się w purpurowe obłoki nad horyzontem, i kładło miękkie złociste światło na skały, budynki i kipiącą wodę.

Martin zgromadził swą rodzinę przy wejściu do windy. Zjeżdżając w dół na głębokość czterdziestu pięciu metrów, Kylie śmiała się w głos. Obie, Kylie i May, nie mogły pojąć, że winda wjeżdża w ziemię. Martin cieszył się mogąc pokazać im coś nowego, gdyż czuł ich ekscytację. Chciał zapomnieć o bólu oczu i o szoku, którego doznał słysząc Kylie niemal dosłownie powtarzającą rozmowę, jaką wiele lat temu odbył z ojcem i Natalie.

– Gotowe? – zapytał, gdy wysiedli pod ziemią.

May i Kylie skinęły głowami, wkładając na siebie żółte nieprzemakalne płaszcze wręczone im przez obsługę. Martin ubrał się w taki sam i razem weszli na platformę widokową, zamkniętą ścianą wody. Martinowi zaparło dech.

– Jesteśmy we wnętrzu wielkiego wodospadu Niagara!

– stwierdziła May.

– W samym środku wielkiej fali! – zawołała Kylie. Wokół ryczał żywioł. Mokra mgła wsiąkała w ich twarze i włosy. Martin mrugał powiekami, próbując przetrzeć oczy. Tłum się przeredził, gdyż większość ludzi już wyszła.

– Co się stało? – zapytała May.

– Wiem, że to nie jest wina Kylie, ale jej opowiadanie o lordzie Stanleyu, tej historii, którą ojciec opowiedział Natalie i mnie... Boże, zupełnie jakby Kylie wtedy przy tym była...

May, słuchając Martina, skinęła głową.

– Musiałem opowiedzieć jej kiedyś tę historię... – Prawdopodobnie.

– ... ale wcale tego nie pamiętam – rzekł, a potem podniósł wzrok. – Czy wciąż jest zdenerwowana *wizytą* na uniwersytecie?

– Jest zawstydzona, bo pomyliła wiele kart. Z pięćdziesięciu odgadła tylko jedną.

– Co to oznacza?

– Wydaje się, że straciła swój dar – odparła May.

– Nie jestem pewien – powiedział, patrząc w przestrzeń.

– Sposób, w jaki rozmawiała o moim ojcu, jakby tam wówczas była...

– Kiedyś śniła o tym, że pomoże ci znaleźć do niego powrotną drogę.

– To byłby koszmar, a nie sen – rzekł.

– Dla niej to było ważne. Dla mnie również.

– Wiem – powiedział.

– Jestem rzeką! Jestem rzeką! – wyśpiewywała Kylie.

– Bądź ostrożna, kochanie. Nie podchodź zbyt blisko – ostrzegła ją May, odsuwając się od Martina.

Słyszał ich głosy po lewej stronie. Cofnął się, osuszając twarz. Zmrużył powieki, ale w tej podziemnej komorze wszystko wokół było czarne. Opierając się o kamień poczuł skondensowaną wilgoć.

– Tu jest ślisko – zawołała Kylie.

– Chwyć mnie za rękę – powiedziała May.

– Mamusiu! – krzyknęła Kylie z przerażeniem. Martin rzucił się w stronę, z której dobiegały ich głosy, ale jego ręce znalazły pustkę. Ryk wody stawał się coraz donośniejszy, jakby wszedł prosto w wodospad. Bębniło i dudniło mu w uszach tak głośno, że nie słyszał ani May, ani Kylie. Mokry pył pokrył mu twarz, a im bardziej przecierał oczy, tym gorzej widział.

Uderzył w jakąś krawędź, odbił się od ściany, wołając je po imieniu. W samym środku pola widzenia miał czarną dziurę. Gdziekolwiek spoglądał, widział tylko tę czarną dziurę; jej zewnętrzne krawędzie były zamglone i mroczne. Czuł się tak, jakby ta straszna dziura pochłonęła May i Kylie. W piersi narastał mu szloch, wypełniając go, jakby za chwilę miał eksplodować, oszalały z trwogi, że znalazł się w pułapce i nie zdoła ocalić jedynych dwóch osób, które kocha.

Był sam na całym świecie; na świecie, który legł w gruzach. I wtedy poczuł, że May bierze go za rękę.

– Wszystko w porządku, jesteśmy tutaj – mówiła. – Już dobrze.

Czuł jej oddech na swojej skórze, jej policzek na swoim policzku, i jej ramię wokół swego pasa. Próbował opanować przerażenie, ale wiedział, że May własnym ciałem czuje przenikającą go trwogę.

– Myślałem, że cię straciłem – wyszeptał.

– Nigdy mnie nie stracisz.

ROZDZIAŁ 22

Podróż powrotna nad Lac Vert wydawała się nie mieć końca. Martin nie chciał rozmawiać o tym, co się stało, i jechali w kompletnej ciszy.

Dotarłszy do domu stwierdzili, że skrzynka pocztowa pełna jest listów. Odebrali Pioruna z psiej przechowalni, ale on chciał natychmiast wracać, gdyż zakochał się we francuskiej pudliczce z sąsiedniego boksu. Skowyczał z całego serca przez pierwszą noc po ich powrocie. Nim nadszedł świt, wykopał dziurę pod drzwiami werandy i zniknął.

Sąsiad jadący do pracy zobaczył go na szosie i przywiózł z powrotem. Kylie była uradowana, a May znalazła długi sznur do suszenia bielizny i przywiązała go do werandy. Siedzieli teraz z Martinem na stopniach obserwując, jak pies jęczy w miłosnej udreće i próbuje zerwać się z uwięzi.

– Oszalał dla swojej damy. – Martin ścisnął ramię May. – Wiem, co czuje.

– Nie flirtuj ze mną, dopóki nie powiesz, co się stało.

– Teraz? Dajże spokój, Kylie bawi się w altanie. Jesteśmy sami. Chodźmy na górę, dobrze? Masz ochotę?

– Porozmawiaj ze mną! Wiem, że nie widziałeś.

– Oczy mnie rozbolały, *c'est vrai*. Już jest lepiej. To przez tę podróż. I mgłę. Byłem spięty, bolała mnie głowa. Wiem, nie mam już tak dobrego wzroku jak dawniej. Może potrzebne mi okulary? Starzeję się. Jestem nestorem drużyny, zapytaj chłopaków. I nie martw się, to nic poważnego.

– Przestraszyłeś się. Wiem, że się bałeś.

– Nie przypominaj mi. – Spojrzał na nią surowo. – Woda naląła mi się do oczu. To wszystko, – To cię dręczy, Martin.

– Dajże spokój, chodźmy na górę. Kylie nie zauważy. Jest pochłonięta zabawą.

– Obiecuj mi, proszę, że pójdziesz do lekarza.

– Potrzebuję tylko ciebie – rzekł całując jej szyję i dotykając piersi. – Pójście z tobą do łóżka jest najlepszą kuracją. Chodźmy...

Dzień był mglisty, lecz pogodny. Światło lata migotało na tafli jeziora barwiąc wodę ciemną zielenią. Nad brzegiem bzycały muchy, a jakiś okoń wynurzył się, by je złapać. Na powierzchni rozeszły się koncentryczne kręgi, jedno po drugich, a po chwili woda znów się wygładziła. Kylie zajęta była rozmową z lalkami.

– Pójdziemy na górę, dobrze? – szeptał Martin do ucha May.

Wzięła głęboki oddech i pozostała nieporuszona. Gdy zrozumiał, że nie zdoła jej roznamiętnić, odszedł naburmuszony.

Jednakże rozmawiać nie chciał.

Nazajutrz Piorun umknął ponownie. Pozostawił przegryziony sznur i ślady wiodące ku szosie. May wsiadła do samochodu i wyruszyła na poszukiwanie leciwego basseta. Rozglądając się po łąkach i wzgórzach w drodze do schroniska, zauważyła, jak bardzo jest

spięta. Jej napięcie wzięło się stąd, iż nie chciała, by Martin prowadził. Dlatego tak pospiesznie wzięła samochód, zanim on to zrobi.

– Znalazłaś go? – zapytał, gdy wróciła.

– Nie. W psim hotelu go nie ma. Sprawdziłam.

– Gdzie jest Piorun? – spytała Kylie.

– Wybrał się na wycieczkę – odparła May, próbując ją uspokoić.

Tego dnia w korespondencji znalazła się pocztówka zaadresowana do Pioruna. Kylie wysłała ją z King Edward Hotel i opatrzyła podpisem „Eddy”. May pokazała Martinowi tę pocztówkę. Ledwie się uśmiechnął.

W poczcie była też niebieska koperta zaadresowana do Martina. Przysunął ją sobie do oczu, uważnie przyjrzał się pismu, a potem bez otwierania wrzucił do kosza na śmieci. May właśnie chciała ją wyciągnąć, gdy zadzwonił telefon.

Najbliższy sąsiad, Vincent Dufour, widział policyjny radiowóz zabierający psa, który wyglądał jak Piorun. Może wzięto go do schroniska dla bezdomnych psów.

– Przecież w tak małej miejscowości jak Lac Vert wiadomo, czyj jest każdy pies! – wybuchnął Martin.

– Piorun jest nowy – powiedziała. – Z pewnością odwieźliby go tutaj, gdyby wiedzieli, że należy do nas.

– Więc teraz jest w schronisku?

– Tak sądzi Vincent.

– Daj mi telefon – rzekł Martin, wyrywając jej słuchawkę.

Widok Martina, usiłującego znaleźć właściwy numer w książce telefonicznej, był bolesny. Przerzucając kartki rozdarł jedną, a potem wodząc nosem po spisie tak się zdenerwował, że zaklął pod nosem – Pozwól... – zaczęła May, ale Martin już wystukał informację. Uzyskawszy numer, musiał wybrać go dwukrotnie, zanim zdołał się połączyć. Wziąwszy głęboki oddech wyjaśnił osobie po drugiej stronie linii, że zaginął mu pies i ma powody przypuszczać, iż jego basset został zabrany do schroniska. – Jak się nazywam? Martin Cartier.

May ujrzała, jak oczy zwężają mu się z gniewu.

– Jest tam – powiedział, rzucając słuchawkę – ale ta baba nie pozwoli mi go zabrać.

– O czym ty mówisz?! – zdziwiła się May.

– Twierdzi, że Piorun ją ugryzł, gdy umieszczała go w boksie, toteż jutro go uśpi.

– Nie!

– Powiedziała, że pies nie ma obroży ani numerka, nie ma więc dowodu, że został zaszczepiony przeciwko wściekliznie.

– Ugryzł ją? Przecież Piorun nawet nie ma zębów! – powiedziała May, patrząc przez okno na Kylie. – I nie ma wścieklizny.

– Wiem. Nie powiedziała tego wszystkiego, dopóki nie usłyszała, jak się nazywam.

– Myślałam, że twoje nazwisko otwiera w Kanadzie wszystkie drzwi.

– Nie jej. Ona pamięta sprawę z Natalie i od tamtej chwili ma o mnie złe zdanie. Uważa mnie za egocentrycznego gwiazdora, który nie potrafił znaleźć czasu dla własnej córki.

– Przecież to nieprawda – powiedziała May.

– Nie było cię tutaj – odparł Martin. – Ona ma rację. To straszne babsko i nie ma prawa trzymać Pioruna, ale nie bez powodu uwzięła się właśnie na mnie.

– Przecież widzę, jak odnosisz się do Kylie i jakim uczuciem wciąż darzysz Natalie.

Zaskrzypiały szeroko otwierane drzwi werandy i usłyszeli odgłos stóp Kylie na podłodze w kuchni. Dziecko ze smutkiem podniosło wzrok ku dorosłym, ale Martin odezwał się pierwszy:

– Stary Piorun musi się dobrze bawić – powiedział, spoglądając za okno. – Pewnie szuka tej ślicznej małej pudliczki.

– Myślisz, że jest bezpieczny? – upewniała się Kylie.

– Nasz Piorun? – Martin parsknął śmiechem. – Oczywiście! To basset z krwi i kości. Ja obawiam się raczej o dzikie zwierzęta, które staną mu na drodze. Prawdopodobnie ruszył w góry, by wykurzyć borsuka z jego legowiska. Albo poluje na lisa, chcąc zdobyć lisi ogon w prezencie dla Fifi.

– Kim jest Fifi? – zachichotała Kylie.

– Jego dziewczyną – odparł z powagą Martin. – Francuską pudliczką.

Kylie roześmiała się serdecznie i stanęła obok niego, próbując wypatrzeć Pioruna biegnącego górską ścieżką na drugą stronę jeziora.

Po zmierzchu, gdy tylko May zabrała Kylie na górę, żeby przeczytać jej bajkę na dobranoc, Martin wybiegł z domu. Miał kluczyki i od razu skierował się w miejsce, gdzie parkowali samochód. Chociaż znał na pamięć każdy centymetr tej drogi, potknął się na jakiejś bruździe. Szedł prosto, wiedząc, że nie trafi na żadną dziurę ani wykrot, lecz kiedy dotarł do samochodu, postanowił nie siadać za kierownicą.

Dzisiejszego wieczoru nie mógł prowadzić samochodu.

Wczoraj widział lepiej, ale wczoraj Piorun był w domu i przywiązany do werandy przez sześć godzin wył z tęsknoty za Fili. Na tym zasadał się problem z oczami Martina. Nie mógł na nich polegać. Jednego dnia funkcjonowały doskonale, następnego znacznie gorzej. Kłopotliwe było to, że nie mógł ani przewidzieć, ani kontrolować owych kryzysów.

Schronisko dla bezdomnych psów mieściło się za miejskim parkiem maszynowym – składowiskiem starych ciężarówek i maszyn rolniczych oraz przypominającym bunkier betonowym budynkiem – w odległości około sześciu mil na północ od jeziora. W przeszłości Martin wielokrotnie jeździł tędy do Raya. Wieczór był ciepły, a wietrzyk lekki. Najpierw szedł, ale niebawem zaczął biec.

Miał mocne nogi i biegło mu się wspaniale. Ramiona zaczęły poruszać się w regularnym rytmie. Myślał o zespołowych treningach rozpoczynających się jesienią, a także o powrocie do Bostonu i owego reżimu, który trzymał go w formie przez wszystkie lata zawodowego uprawiania sportu.

– *Merde* – mruknął, potykając się na jakiejś dziurze. Pozostałość po zimie... Prowincjonalni drogowcy byli leniwi i niekiedy mijały trzy lub cztery lata, zanim naprawiono szkody poczynione przez którąś z zimowych burz. Martin pamiętał taką zimę. Miał dwanaście

lat, gdy zamieć zasypała ich na trzy tygodnie. Byli wtedy z matką w nie lada tarapatach, nie mając świeżej żywności i ogrzewania, przeżyli dzięki kominkowi, konserwowej fasoli i pieczonym ziemniakom, podczas gdy ojciec używał życia w Stanach.

– Nie myśl o tym – powiedział głośno, biegnąc lekko wzdłuż drogi. Kontrola umysłu: jedna z najcenniejszych umiejętności sportowca. Martin dobrze opanował sztukę niemyślenia o pewnych sprawach: o niebieskiej kopercie, która nadeszła w dzisiejszej poczcie; o tym, iż Piorun skazany jest na egzekucję i że on sam ledwie widzi, dokąd zmierza.

Jego stopy uderzały o pobocze. Co chwila widział błyski, zapewne blask gwiazd przebijający się przez drzewa. Gwiazdy są takie piękne... A jeśli już nigdy ich nie zobaczy? Jeśli już nie ujrzy ciemnej nocy mrugającej gwiazdami? Kontrola umysłu. Nie myśl o tym, nakazał sobie.

Schronisko było tuż za zakrętem. Usłyszał psy. Ich szczekanie wypełniało letnią noc. Głos Pioruna unosił się nad pozostałymi. Był oszalały, namiętny i pełen tęsknoty. Przebiegłszy przez piaszczysty parking, Martin zwolnił zbliżając się do solidnego ceglanego budynku. Wypróbował każdą z dwóch par stalowych drzwi, ale obie były zamknięte.

Zanim tu dotarł, nie wiedział, co zamierza zrobić. Podniósł jakiś kamień i skierował się prosto do frontowego wejścia. Drzwi, choć zrobione ze stali, miały w środku zadrutowane okno. Zamachnął się, cisnął w nie kamień z taką siłą, że rozbił szkło. Trzema kolejnymi uderzeniami poradził sobie z drutem, po czym sięgnął ręką do środka i odsunął rygiel.

Gdy wszedł, krew szumiała mu w uszach. Został włamywaczem, popełnił przestępstwo, za które można było go aresztować. Spocony, ledwie oddychając, stał w biurze schroniska i próbował rozważyć swoje położenie.

Właśnie tutaj, myślał, tu stała Natalie, tu jest biurko tej starej baby; oto miejsce, gdzie powiedziałem Natalie, że nie może mieć psa. Wabił się Archie...

Psy czekały, wyczuwając zapach człowieka. Skowyt Pioruna zmienił się w błaganie, które przypominało kwilenie szczenięcia.

– Już idę – powiedział na głos.

Zderzył się z biurkiem i jakimś krzesłem, po czym trafił na kolejne zamknięte drzwi. Nie były stalowe i nie zamierzał tracić czasu na szukanie klucza, którego mogło tu nie być, uderzył więc ramieniem w drewno. Usłyszał trzask. Kolejnym ruchem wybił drzwi z zawiasów.

Jesteś taki sam jak ojciec. Przestępca, człowiek, który bierze to, na co ma ochotę. Jeździsz na łyżwach jak ojciec, grasz w hokeja jak ojciec i bierzesz to, co chcesz, jak ojciec...

– Nie jestem taki jak on – powiedział do psów. Stał w długim pomieszczeniu z rzędem boksów. Zaskoczyło go, że mimo takiego hałasu tylko trzy boksy są zajęte. Piorun merdający ogonem, nędznie wyglądający owczarek i myśliwski mieszaniec. Bez wahania otworzył wszystkie trzy boksy.

Dwa obce psy przebiegły obok niego, ciesząc się wolnością. Piorun zaskowyczał z wdzięczności, skacząc tak wysoko, jak pozwalały mu krótkie łapy. Martin pochylił się, by starszy mógł polizać jego twarz. Myślał, jak niewiele trzeba, by uszczęśliwić psa; jak łatwo sprawić przyjemność małej dziewczynce. Kylie będzie zachwycona, gdy go zobaczy.

Natalie byłaby z niego dumna. Gdyby tu była, powiedziałaaby, że postąpił właściwie, biegnąc niemal na ślepo znad jeziora, by ocalić psa Kylie. Powinien był wtedy pozwolić jej zabrać Archiego. Wiedział to od dawna, ale teraz, w tym miejscu, czuł to szczególnie dotkliwie.

Piorun podreptał ku drzwiom, prowadząc go na zewnątrz. Martin sięgnął do kieszeni i wyciągnął długi sznur, którego nie omieszkał zabrać. Nie chciał, by Piorun znów pobiegł na poszukiwanie Fifi i ponownie wpadł w ręce policji. Pies wznosił nos ku górze, oddychając świeżym nocnym powietrzem.

Martin zrobił to samo, trzymając drugi koniec długiej smyczy. Czuł się wolny. Sięgnąwszy do kieszeni, wyjął portfel, a z niego czek. Wypisał na nim kwotę pięciuset dolarów i zostawił na biurku kierowniczkę schroniska. Na czeku widniało jego nazwisko i Martin wiedział, że jutro czeka go wizyta policji, a przynajmniej telefon z komisariatu, ale się tym nie przejmował. Uwolnienie psów, sprowadzenie Pioruna do domu i sprawienie przyjemności Kylie były tego warte.

Gdy jednak wyszedł na zewnątrz, coś się stało. Noc pociemniała. Albo osnuła się mgłą. Nic nie widział. Piorun ciągnął smycz, ale Martin nie wiedział, w którą stronę iść. Był sam w ciemności, bezradny.

Martina nie było, ale przynajmniej nie wziął samochodu. May usiadła na sofie, zastanawiając się, gdzie poszedł. Starła się zająć papierkową robotą; Tobin przysłała faktury z ostatniego miesiąca, próbowała więc uporać się z nimi. Jednakże im usilniej się koncentrowała, tym bardziej jej myśli odbiegały od dokumentów.

Podchodząc do okna, by po raz setny wyrzucić w ciemność, kątem oka ujrzała niebieską kopertę. Leżała w śmieciach między starymi latawcami i gazetami. May wiedziała, że powinna o niej zapomnieć. Ale nie mogła. Może gdyby jej mąż był teraz w domu, tu, gdzie powinien być; może gdyby się śmiertelnie o niego nie bała, nie byłaby tak poruszona jakąś głupią niebieską kopertą.

Nie tylko wyciągnęła ją z kosza, ale i otworzyła. Wyjąwszy list napisany na arkuszu niebieskiej papeterii, rozłożyła go na parapecie okna i zaczęła czytać:

Drogi Martinie!

Zasłużyłeś na to, by wygrać, synu. Nie twierdzą, że wygrywanie jest najważniejsze, ale obaj jesteśmy zawodnikami i obaj wiemy, że gra ńę dla zwycięstwa. Znów doszedłeś do finałów. Już to jest wspaniale. Zawsze jest przyszły rok, jeśli ma się za sobą zespół. Bruinsi powinni bardziej cenić to, co mają, a ja znam wiele innych drużyn, które wciąż gotowe są bić się o Ciebie.

Minęło dużo czasu, Martinie. Dla Ciebie w oczekiwaniu na Puchar Stanley a; dla mnie upływ czasu znaczą inne sprawy. Minęło wiele dni od chwili, gdy się widzieliśmy i rozmawialiśmy ze sobą. Czytuję o Tobie. Oglądam Cię w telewizji i wiem o Twoim małżeństwie. Także z tego powodu składam Ci gratulacje. To właściwa osoba. Wytrzymała, gdy prasa chciała rzucić się na nią, jestem więc przekonany, że ma charakter. Ma też

córeczkę. I Ty dzięki niej znów masz córkę. Uśmiechnąłem się, gdy to zrozumiałem. Czy ona sprawia, że myślisz o Natalie? Widziałem jej zdjęcia w gazetach i wydaje mi się, że ma takie same iskierki w oczach.

Tęsknię za Natalie. Wiem, uważasz, że ci ją zabrałem. Może sądzisz, że jej nie kochałem. Wierz mi, to nieprawda. Boże, kochałem ją. Prawie tak bardzo jak kochałem Ciebie.

Byłem złym ojcem. Złym dziadkiem. Ludzie popełniają błędy, Martinie. Nie poświęcałem dość czasu Tobie i Twojej matce. Nie troszczyłem się o Ciebie tak jak powinienem. Ani o nią. Żadne z was na to nie zasłużyło. Czy pozwolisz, abym powiedział Ci to osobiście?

Chcę Cię zobaczyć. May prawdopodobnie już Ci to mówiła. Kiedy mnie tu odwiedziła, prosiłem, aby przekazała Ci wiadomość. Jestem przekonany, że dotrzymała słowa. Nienawidzisz mnie za to, co zrobiłem, ale może zechcesz wysłuchać tego, co mam do powiedzenia?

Dziś w nocy umarł tu pewien młody człowiek. Był bardzo młody. Miał tyle lat, co Ty, kiedy zaczęłaś grać w drużynie Vancouver. Ktoś ugodził go nożem w jakiejś idiotycznej bójce. Początkowo wiedziałem tylko, że został ranny. Jednak teraz strażnik powiedział mi, że umarł. W tak młodym wieku był już ojcem. Na swój sposób troszczyłem się o niego. Chciałem, żeby dla swoich dzieci był lepszym ojcem niż ja dla Ciebie.

*Cokolwiek postanowisz, będę z tym żył. Ale mam nadzieję, że zdecydujesz się przyjechać.
Kocham Cię. Tata*

Skończywszy lekturę, May uświadomiła sobie, że dłonie ma zaciśnięte w pięści, a policzki rozpalone i mokre od łez. Wciąż na nowo przebiegała oczami słowa Serge'a. Martin powinien przeczytać ten list. Zastanawiała się, czy zgodzi się rozważyć wizytę u ojca, czy w ogóle zechce przeczytać jego słowa.

– Mamusiu!

Na dźwięk głosu Kylie pospiesznie wsunęła list do koperty i włożywszy go do szuflady biurka, weszła na schody.

– O co chodzi, kochanie?

– Czy Piorun już wrócił?

– Jeszcze nie.

– A gdzie jest?

– Chyba na spacerze – odparła May. – Nie możesz zasnąć?

– Staram się, ale... – przerwała, gdyż zadzwonił telefon.

May nie powiedziała ani słowa, nie powiedziała Kylie, że zaraz wróci. Zbiegła do holu i zanim podniosła słuchawkę, wiedziała, że usłyszy w niej głos Martina.

– May, to ja. Jestem w schronisku. Mam Pioruna.

– Cały czas o tobie myślę – odparła. – Niepokoiłam się.

– Jesteś mi potrzebna...

Słyszając to, poczuła bolesny skurcz serca.

– Nie widzę – mówił dalej. – Nie widzę, gdzie jestem.

– Jadę po ciebie – odparła. – Będę tam za chwilę. Zawołała do Kylie, by włożyła buciki i

sweter, i wybiegła w ciepłą gwiazdzistą noc, by przywieźć do domu swego męża i psa.

Krótką podróż wydawała się trwać w nieskończoność. Kylie, zupełnie już rozbudzona, skupiła się wyłącznie na tym, że Martin ocalił Pioruna. Gdy podjechały pod schronisko, otworzyła drzwiczki, by basset mógł wskoczyć do samochodu. May trzęsły się ręce, gdy podszedłszy do Martina wzięła go w ramiona.

– Jesteśmy – powiedziała.

– Nic nie widzę – rzekł głosem oszalałym z przerażenia.

ROZDZIAŁ 23

W osadach otaczających Lac Vert nie było okulisty, ale May znalazła optyka w śródmieściu LaSalle. Jazda krętymi wiejskimi drogami pod splecionymi konarami sosen i dębów zabrała im około pół godziny. Wcześniej przyjechała Genny i o nic nie pytając zabrała do siebie Kylie, Pioruna zaś, dla jego bezpieczeństwa, zamknięto w kuchni. Policjanci złożyli im wizytę, by zapytać o włamanie, przepraszająco napominając.

- Z moimi oczami jest dziś dużo lepiej – rzekł Martin.
- Naprawdę?
- Nie jedźmy tam.
- Jesteśmy już w drodze.
- Dzień jest zbyt piękny, by spędzać go w mieście. Popłyńmy na wyspę.
- Martin, proszę...
- Do LaSalle pozostało dziesięć kilometrów – odczytał przydrożną tablicę.

May poczuła ulgę, choć zdawała sobie sprawę, że Martin prawdopodobnie zna na pamięć wszystkie znaki na tej drodze. Chciała wierzyć, że chwilową utratę widzenia spowodował jakiś ból migrenowy lub drobna infekcja, i że wszystko wróciło do normy.

- Powie, że potrzebne mi okulary – rzekł Martin.
- To nic strasznego.
- Jak mam grać w hokeja w okularach?
- Możesz nosić szkła kontaktowe.

– Na szczęście nigdy nie były mi potrzebne – powiedział. – Zawsze współczułem chłopakom, którzy musieli je płukać i zakładać... Na lodzie trudno poradzić sobie jednocześnie z rękawicami, ochraniaczami, maską na twarzy, a do tego jeszcze szkła kontaktowe! Wiesz, jaka jest różnica między dobrym hokeistą a wspaniałym hokeistą?

- Jaka?
- Wspaniali hokeiści mają wspaniały wzrok.
- Jesteś wspaniałym hokeistą.
- Który może potrzebować szkieł.
- Może wcale nie będą ci potrzebne – odparła May.
- Mam nadzieję.

LaSalle było małym miasteczkiem zbudowanym na szczycie wzgórza, z którego spoglądało na Lac Vert i Rzekę Świętej Anny oraz liczne mniejsze wzgórza i doliny. Przy głównej ulicy stały dwa kościoły katolickie; jeden z cegły, drugi zaś z białych desek. Postęp ominął LaSalle, jego wiktoriańskie domy, stare kino i długi szereg jednopiętrowych biur.

Maurice Pilote, optyk, zajmował gabinet na pierwszym piętrze, położony nad lokalem Pierre'a Pilote'a, doradcy podatkowego. Gdy May i Martin weszli do środka, zastali tam optyka, jego recepcjonistkę i jakiegoś starszego pacjenta. Rozmowa, w której byli pogrążeni, urwała się w jednej chwili, gdy rozpoznali Martina.

- *Mon Dieu!* – wykrzyknął optyk – Martin Cartier! To zaszczyt gościć pana tutaj!

– Nie byliśmy umówieni – zaczęła May.

– Chodzi o panią?

– O mnie – odparł Martin.

– Proszę, proszę do gabinetu!

May i Martin weszli razem do niewielkiego pomieszczenia. Martin wyjaśnił sytuację: że jego widzenie ginie i wraca, że ostatniej nocy, w ciemności i mgle, chwilowo stracił je w ogóle. Optyk słuchał, robił notatki, a potem skierował Martina do ciemni i posadził go przodem do tablic testujących ostrość wzroku.

– Zawsze miałem doskonały wzrok – rzekł Martin.

– To by wyjaśniało celność pańskich strzałów – powiedział optyk. – Cóż, proszę się nie denerwować. Zrobię panu doskonałe okulary. Mój Boże, mieć przed sobą Martina Cartiera! Jest pan gotowy? Proszę odczytać pierwszy rząd liter.

Martin bezbłędnie odczytał duże litery z pierwszego rzędu: ENYIZX, potem z drugiego: HLBTDA, a na końcu z trzeciego: QFRM C.

May poczuła taką ulgę, że miała ochotę śmiać się w głos. Wszystko jest w porządku. Wyjdą stąd i nim nadejdzie południe, popłyną na wyspę.

– Bardzo dobrze. Teraz przysłonię panu prawe oko. Proszę odczytać pierwszy szereg.

Czekając aż Martin zacznie czytać, sama przeczytała bezgłośnie litery z pierwszej linijki: ENYIZX. W gabinecie panowała cisza, słychać było jedynie tykanie ściennego zegara.

– Pierwszy szereg, proszę – powtórzył głośniejszym głosem optyk, sądząc, że Martin nie usłyszał polecenia.

– Sprawdźmy drugie oko – rzekł Martin, nie przeczytawszy ani jednej litery.

– Byłoby najlepiej, gdyby powiedział mi pan, co widzi teraz lewym okiem, nie denerwując się ilością widzianych liter...

– Drugie oko – rzekł Martin ostro.

– Proszę bardzo – Maurice Pilote przysłonił Martinowi lewe oko.

– ENYIZX – czytał Martin. – HLBTDA. QFRMC.

– Doskonale – powiedział optyk. – Wróćmy teraz do lewego oka.

Z przysłoniętym prawym okiem Martin wpatrywał się w tablicę. May obserwowała, jak się koncentruje, jakby przygotowywał się do strzału na bramkę Jorgensena. Mrużył oczy i pochylony do przodu marszczył brwi.

– Nic.

– Tylko górny szereg.

– Powiedziałem: nic.

Optyk zerknął na tablicę, po czym upewnił się, że oko Martina przysłonięte jest właściwie. Następnie odsunął zasłonę i polecił Martinowi czytać obojgiem oczu. Potem znowu tylko prawym, potem zaś jedynie lewym. Odpowiedź Martina zabrzmiała tak samo:

– Nic.

Martin Pilote przybladł i sposepniał.

– Czy odniósł pan jakąś kontuzję oka? – zapytał. Martin zaśmiał się słabo.

– Jestem hokeistą.

– Mam na myśli szczególnie przykrą kontuzję.
– Jedną – rzekł Martin. – Trzy lata temu.
– Kiedy przechodził pan ostatnie badanie wzroku?
– W zeszłym roku. W ramach badań kontrolnych.
– Czy to badanie było podobne do dzisiejszego czy bardziej szczegółowe?
– Ogólne.
– Chciałbym, aby udał się pan do specjalisty.
– Przecież dobrze czytam obojgiem oczu.
– Pańskie prawe oko jest w dobrym lub prawie dobrym stanie – rzekł optyk. – I pracuje za obydwa.
– Ależ ja doskonale widzę obojgiem oczu – powtórzył Martin. – Słyszał pan...
Optyk pokręcił przecząco głową.
– Na lewe oko jest pan praktycznie ślepy.
Ślepiec... ktoś już użył tego słowa. W gabinecie optyka nagle powiało chłodem, a kiedy May spojrzała na Martina, zobaczyła, że zamienił się w kamień.

Najpierw należało przeprowadzić rozeznanie i znaleźć dobrego lekarza. Maurice Pilote polecił im okulistę w Montrealu, lecz okazało się, że jest na urlopie. Martin nie chciał o tym rozmawiać, nie chciał nawet o tym myśleć. Pozbawiona pomocy May wertowała książkę telefoniczną. Skąd jednak miała wiedzieć, kto jest godny zaufania?

– Będę ćwiczył wzrok – powtarzał Martin. – W ten sposób go wzmocnię.
– Martin, czy nie możemy zadzwonić do lekarza twojej drużyny i poprosić go o skierowanie?

– Oko to taki sam narząd jak inne, prawda? Można je naprawić po urazie. Ćwiczę stawy z rehabilitantem; znajdę kogoś i do tych cholernych oczu!

May wpatrywała się w rzędy nazwisk, aż wzrok zaczął jej się mącić. Patrzyła na tę sprawę z innej perspektywy niż Martin. Zamierzała jak najprędzej wyprawić go do specjalisty, a on bredził o jakichś ćwiczeniach.

– Zapytam Genny – zdecydowała. – Jeśli sama nikogo nie zna, będzie przynajmniej wiedziała, kogo spytać.

– Wykluczone! – uciął ostro Martin. – Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział o moich kłopotach ze wzrokiem. Zaraz by się to rozniosło.

– Ależ, Martin, Genny jest naszą przyjaciółką! Nikomu nie powie. Musimy powiadomić ją i Raya...

– Nie! – krzyknął tak głośno, że umilkła przestraszona. Martin potrząsnął głową, próbując się opanować. Podszedł do sofy i usiadł obok May. Świadom, że uraził ją ostrym tonem, objął ją delikatnie i szepnął do ucha:

– Przepraszam cię, May. Nie chciałem krzyczeć, ale nie chcę, by ktokolwiek się dowiedział. Nawet Ray i Genny.

– Oni nikomu nie powiedzą – powtórzyła May. – Możemy im ufać.

– Wiem, ale tymczasem zachowajmy to w tajemnicy. Do czasu wizyty u specjalisty będę

robić ćwiczenia. Wzmocnię siłę lewego oka.

Przysłoniwszy sobie prawe oko, spoglądał lewym, przesuając je od podłogi do sufitu. Patrzył z ukosa, mrużył oczy, próbował wciąż od nowa, jakby mógł zmusić je do pracy samą siłą woli.

– Potrafię to zrobić – oświadczył. – Wiem, że potrafię. Nim zacznie się sezon, będę w doskonałej formie.

May spuściła wzrok.

– Wiesz, że będę – powtórzył, obejmując ją i głaszcząc po włosach, jakby to ona była chora i potrzebowała ukojenia. Lub też jakby sądził, że przestanie go kochać, jeśli nie będzie hokeistą.

– Nim zacznie się sezon... – May pomyślała o ćwiczeniach i treningach zaplanowanych na sierpień i wrzesień oraz o pierwszym meczu mającym odbyć się pierwszego października.

– Do tego czasu nie mów nikomu, dobrze? – poprosił.

– Ktoś będzie musiał zająć się Kylie, gdy pojedę z tobą do lekarza.

– Nie chcę, by Genny i Ray dowiedzieli się o tym – powtórzył Wpatrzona w książkę telefoniczną May zastanawiała się, jak rozstrzygnąć kwestię wyboru właściwego lekarza z listy nazwisk, gdy odpowiedź przysłała sama.

– Zdaje się, że kogoś mam – powiedziała, sięgając po słuchawkę.

– Kogo?

– Pewną okulistkę w Bostonie. Jest bardzo znana, nawet sławna, choć musi już być dość leciwa. Zastanawiam się tylko, czy wciąż praktykuje... To doktor Theodora Collins.

– Skąd ją znasz?

– Była jedną z klientek mojej mamy – odparła May.

Gabinet doktor Collins mieścił się na szczycie Beacon Hill, skąd rozciągał się widok na park i całą Zatokę Bostońską. Kylie została w domu z Tobin i ciocią Enid. Dzień był gorący, a słońce sprawiło, że wszystkie kolonialne budynki z cegły wydawały się suche i czerwone.

Martin siedział w poczekalni, mokry od potu. Mimo włączonego klimatyzatora czuł krople spływające między łopatkami. Rano, podczas golenia, skaleczył się w czterech miejscach. W środku lata w Bostonie czuł się źle. Nie chciał tracić ani jednego dnia wakacji nad Lac Vert. Niebawem zacznie się sezon i minie kolejny rok, nim tam wróci.

– Spóźnia się – powiedział.

– Byliśmy umówieni na drugą. Minęło dopiero pięć minut...

Martin sięgnął po „Boston Magazine”. Czytanie sprawiało mu trudność, ale gdy tylko otworzył czasopismo, ujrzał swoje zdjęcie. W stroju klubowym, z ręką na ramieniu Raya, uśmiechał się do obiektywu. Oczyma duszy ujrzał Puchar Stanleya i pomyślał o tym, jak pozbawił swoją drużynę tego trofeum. Miał nadzieję, że dostanie jeszcze jedną szansę, by grać w kolejnym sezonie i wreszcie wygrać Puchar Stanleya.

– Wasze zdjęcie. – May zajrzała mu przez ramię. Martin skinął głową. Patrzył na fotografię, próbując się na niej skupić, ale czuł, że ucisk żołądka staje się coraz silniejszy. Co ta lekarka, ta nieznajoma, której nigdy nie spotkał, może mu powiedzieć? Jeśli pojawi się przed upływem kwadransa, wszystko będzie dobrze... Jeśli się uśmiechnie, to znaczy, że będę

zdrowy...

Rozglądając się wokół, próbował ogarnąć wzrokiem poczekalnię. Widział skórzane fotele, jasny dywan, niski stolik z kolorowymi czasopismami. Niebieski wazon pełen był żółtych kwiatów. Na wszystkich ścianach wisiały duże czarno-białe fotografie latarni morskich. To wnętrze, sprawiające wrażenie domowego, było bardziej przyjazne niż gabinet optyka w LaSalle. Czy usłyszy tu coś, czego sam nie wiedział? Przyjechał do pani doktor Collins, bo May zasugerowała wizytę właśnie u niej, ale czy nie znalazł się na puszczonej w ruch karuzeli, która będzie przesuwać go od jednego specjalisty do następnego?

W otwartych drzwiach poczekalni pojawiła się starsza kobieta. Wszelka nadzieja, iż może to być sekretarka znanej okulistki, szybko rozwiały się w chwili, gdy ujrzał jej biały fartuch i sposób, w jaki władczo przemierzyła wnętrze. Uśmiechnęła się. Martin wciąż czuł skurcz żołądka.

– May, to naprawdę ty? – zapytała kobieta.

– Pani doktor Collins?

– Tak. Och, moja mała, jesteś już dorosła! Ileż to lat minęło... – Lekarka uścisnęła May. Obejmowały się długo, dając Martinowi szansę wyobrażenia sobie, ile czasu zajmie przedstawienie go, samo badanie i uprzejme pożegnanie.

– Jak się miewa pani mąż? – zapytała May, gdy przestały wymieniać uściski. – Doskonale pamiętam państwa ślub. Odbywał się w Old North Church...

– William zmarł – odparła lekarka ze spokojem. – W zeszłym roku. Przeżyliśmy razem trzydzieści wspaniałych lat... Bardzo mi go brakuje.

– Przykro mi – powiedziała May. – Pamiętam, jak na panią patrzył. Miałam zaledwie siedem lat, ale państwa ślubu nie zapomniałam.

Już wcześniej powiedziała Martinowi, że choć jej babcia i matka aranżowały tak wiele wesel w Nowej Anglii, od Greenwich w stanie Connecticut do Bar Harbor w stanie Maine, niektóre wyróżniały się spośród innych.

Lekarka przeniosła wzrok na Martina i uścisnęła mu rękę. Poczuł siłę płynącą ku niemu z jej dłoni. Zmrużył oczy, by lepiej przyjrzeć się znanej okulistce.

– A to zapewne Martin – powiedziała.

– Tak, Martin Cartier.

– Bardzo się cieszę z naszego spotkania. William był zagorzałym entuzjastą hokeja. Wielokrotnie oglądaliśmy twoje mecze, a teraz dowiaduję się, że jesteś mężem May.

– Miło mi panią poznać, doktor Collins.

– Mów mi Teddy – odparła. – Ty także, May. Twoja mama tak mnie nazywała. Babcia twardo obstawała przy Theodorze, ale ona zawsze taka była: nienaganna i oficjalna. Nie bądźmy tak ceremonialni, dobrze?

– Dobrze, bardzo nam miło – rzekła May.

Martin przyglądał się okulistce. Musiała mieć około sześćdziesięciu pięciu lat. Gładko zaczesane, całkiem siwe włosy nosiła upięte z tyłu głowy. Sznurek pereł oplatał jej szyję, a uszy zdobiły perłowe kolczyki. Jej żywe niebieskie oczy były mądre i młodzieńcze zarazem. Dziwnie przypominała mu matkę. Powinien był właściwie optować za kimś młodszym,

nowoczesnym i przebojowym.

– Wejdźmy do gabinetu – powiedziała.

Za białymi drzwiami otworzył się przed nimi zupełnie inny świat. Wszędzie stały jakieś instrumenty i aparaty. Jedno z biurkó zajmował duży mikroskop, drugie zaś komputer. Martin poczuł się tak, jakby wszedł do tajemnego sanktuarium jakiegoś wybitnego naukowca, a nie delikatnej leciwej damy, która chciała, by nazywali ją „Teddy”.

– To mój gabinet badawczy – wyjaśniła. – Większość swoich prac piszę tutaj, na miejscu, chcę więc mieć pod ręką niezbędny sprzęt.

– Prowadzisz badania? – zapytała May.

– Tak. Wykładam na Harvardzie i muszę wiedzieć więcej niż moi studenci. Współpracuję z bostońskim szpitalem okulistycznym i większość pacjentów przyjmuję właśnie tutaj. Zważywszy na twoją szczególną pozycję, Martin, myślę jednak, że początkowo będziemy się tu spotykać raczej prywatnie.

– Jestem pewien, że to nic poważnego – odparł Martin.

Lekarka nie odpowiedziała, tylko gestem wskazała im miejsca. May i Martin usiedli obok siebie, Teddy naprzeciwko. Przeprowadziła szczegółowy wywiad pytając o wszystko: od chorób przebytych w dzieciństwie po zerwane ściegna. Szczególną uwagę poświęciła alergiom i wcześniejszym kuracjom, a także zabiegom usunięcia migdałków i nastawiania kostek.

– Czy odniosłeś jakieś obrażenia głowy?

– Wielokrotnie.

– Pamiętasz je?

– Wszystkie, co do jednego.

– Możesz je wymienić? – zapytała z uśmiechem, sięgając po kolejny arkusz papieru.

Wstrząsy mózgu, pęknięcia czaszki, złamania kości policzkowych, urazy oczodołów, oderwanie siatkówki, przemieszczenie szczęki, rany tłuczone czoła, brody i policzków. Martin pokazał okulistce blizny; oglądała je z podziwem. Z każdą wiązała się jakaś historia, wspomnienie różnych przeciwników w różnych miastach. Jednakże w okolicach oczu wypisana była przede wszystkim opowieść o Nilsie Jorgensenie.

– Co cię do mnie sprowadza? – zapytała Teddy, wysłuchawszy relacji.

– No cóż, mój wzrok stał się nieco zamazany – odparł.

– Zamazany?

– Tak. Nie zawsze. Czasami jest doskonały. Niekiedy jednak widzę jak... – szukał odpowiedniego słowa, jakby użycie niewłaściwego określenia mogło pogorszyć jego stan – ... jak przez mgłę albo jakąś zasłonę.

– Obojgiem oczu?

– Gorzej jest z lewym – powiedział, nie patrząc na May.

– Kiedy to się zaczęło?

– Jakiś czas temu – odparł, nadal unikając wzroku żony.

– Ja dawno? Miesiąc, dwa miesiące temu?

– Rok... – przyznał. – To zaczęło się przed rokiem.

Pierwszy raz zauważył ten problem tuż przed zeszłorocznymi play-offami, podczas meczu z Rangersami, kilka tygodni przed dniem, w którym poznał May. Wydawało mu się to nieważnym drobiazgiem, szczególnie w porównaniu z wypadkiem sprzed trzech lat, gdy Nils Jorgensen wpadł na niego z taką siłą, że Martinowi świat pociemniał w oczach.

Kiedyś doznał też stłuczenia oczodołu i odklejenia siatkówki. Stracił wtedy pół sezonu, ale chirurdzy naprawili szkodę i następnej jesieni wszystko było w porządku. Początkowo modlił się przed badaniami wzroku, ale gdy tylko się okazało, że jest on doskonały jak dawniej, Martin stopniowo się odprężył.

Tak więc aż do ubiegłego roku oczy miał w świetnej formie. Pewnego dnia wszakże zaczął widzieć przez mgłę. To stało się nagle. Bez żadnego wyraźnego powodu. Początkowo myślał, że coś mu wpadło do oka. Roztargniony, oberwał kijem po głowie. Lefebre zdobył punkt dla Nowego Jorku, a Martin dostał nauczkę: grać twardo bez względu na to, czy widzi się ostro czy nie.

To nie było poważne wyzwanie. Martin już dawno odkrył, że na lodzie potrafi przystosować się do wielu rzeczy. Uprawiał ten sport mimo odejścia ojca, a także mimo własnego rozvodu, śmierci matki i Natalie. Codziennie padał na lód z bólem kostek i kolan; z bólem, o którym lekarze mówili, że sparaliżował już kilku innych. Zamglone widzenie w jednym oku nie było niczym poważnym, wpływało tylko na jego szybkość, lecz nauczył się ją kompensować.

Teraz jednak, słysząc jak sam mówi, iż trwa to od roku, poczuł skurecz żołądka. Dlaczego tak długo ignorował oczywisty problem? Co będzie, jeśli okaże się, że wtedy można było się z nim uporać, a teraz nie? Teddy robiła notatki bez słowa komentarza czy osądu. Nie chciał patrzeć na May, nie chciał ujrzeć przerażenia w jej oczach, ale wyciągnął rękę, by dotknąć jej kolana, a kiedy spojrzał na jej twarz, zobaczył, że uśmiecha się z zachętą.

Teddy przystąpiła do badania jego wzroku, powtarzając procedurę, przez którą przeszedł u kanadyjskiego optyka. Widzenie obuoczne dobre, prawe oko sprawne, lewe oko niesprawne.

– Teraz podejdź ze mną tutaj – poleciła. – Obejrzę sobie twoje oczy.

– Mogę robić ćwiczenia – rzekł Martin, przemierzając gabinet. – Wszystkie, jakie zalecisz. Wiem, że powinienem rozpocząć je wcześniej i powiedzieć coś podczas ostatnich badań. Chyba sądziłem, że jeśli lekarz coś zauważy, to znaczy, że mam jakiś problem, a jeśli nie, to znaczy że jestem zdrowy. Zawsze miałem dobre wyniki...

Teddy z uśmiechem wskazała mu miejsce po drugiej stronie stolika.

Usiedli naprzeciw siebie, między nimi zaś świeciła lampa biomikroskopu. Teddy poinstruowała go, by pochylił się do przodu, opierając twarz w przyrządzie przypominającym maskę. Wyjaśniła, że skieruje wiązkę światła na gałkę oka i do jej wnętrza, uzyskując wielokrotnie powiększony obraz.

– Widzisz, czego mi brak? – zapytał po chwili.

– Cierpliwości – roześmiała się.

– To nie jest moja najmocniejsza strona.

– Nie liczyłam na nią. Pamiętaj, że widziałam, jak grasz.

– Prawda...

Martin próbował siedzieć spokojnie, ale czuł lęk. Miał ochotę zerwać się z krzesła, chwycić May i wybiec na ulicę. Nigdy nie był dobry w spokojnym siedzeniu w jednym miejscu: w fotelu lotniczym, na leżaku czy na ławce kar. Bolały go mięśnie, a mózg nakazywał bieg.

Teddy powiedziała, by oddychał głęboko, więc to zrobił. Strach osłabł.

– Masz wewnętrzne zbliznowacenia – stwierdziła.

– Naprawdę?

– Tak. Widzę miejsca rozwarstwienia siatkówki w lewym oku. To ślad urazu, o którym mówiłeś?

– Madame, urazy to dla mnie chleb powszedni – rzekł Martin.

– Tak przypuszczam – odparła.

Następnie wyjaśniła, że wpuści mu do oczu krople, aby rozszerzyć źrenice. Nawet nie drgnął. Za pomocą tonometru Teddy zmierzyła mu ciśnienie wewnątrzgałkowe, by wykluczyć jaskrę, w końcu zaś specjalistycznym aparatem wykonała serię zdjęć.

Po chwili wyprostowała się i uśmiechnęła na znak, że badanie zostało zakończone. Robiła teraz notatki. Martin spojrział przez ramię na May, siedzącą po drugiej stronie gabinetu. Krople i to dziwne światło w oczach chwilowo zmały mu wzrok jeszcze bardziej, teraz więc widział jedynie ciemny kształt obok okna.

– Co znalazłaś, Teddy? – usłyszał pytanie May.

– Cóż, jest tam ślad naderwania siatkówki, o którym opowiadał Martin.

– Zatem to jest przyczyna? – zapytał Martin z pewną ulgą. – Oberwałem w oko blisko cztery lata temu... Nils Jorgensen zrewanżował mi się za jakiś cios, którym go pokonałem. Grałem wtedy w drużynie Vancouver i tam poddano mnie chirurgii laserowej. Lekarz powiedział, że zrobił „miejscowe złącze”. Wszystko było dobrze. Właściwie... nie miałem żadnych problemów. Odpłaciłem się Jorgensenowi, a potem on znów mi się zrewanżował.

– To jakiś diabelski krąg – zauważyła Teddy.

– To hokej – odparł Martin, wzruszając ramionami.

Teddy pokiwała głową. Z rękami złożonymi na piersiach przypomniała mu matkę. W takiej samej pozycji stała zwykle w kuchni domu nad Lac Vert, słuchając jednej z jego licznych naciąganych wymówek, dlaczego zamiast odrabiać lekcje, grał z Rayem w hokeja.

– Stąd więc ów problem? – upewniła się May.

– Jeszcze nie jestem pewna – odparła Teddy. – Chciałabym zrobić więcej badań, ale nie mam tu niezbędnej aparatury. Czy możecie przyjść do mojego gabinetu w szpitalu?

– Oczywiście – rzekł Martin. – Mam tylko nadzieję, że nie dowie się o tym ani prezes, ani menadżer naszej drużyny. Mam kontrakt na ten sezon i nie chcę, żeby dowiedzieli się o moich problemach ze wzrokiem. Już i tak wystarczająco utrudniają mi życie z powodu kostek. Nie chcę dostarczać im kolejnych argumentów.

– Nie dowiedzą się tego ani ode mnie, ani od mojego personelu – powiedziała Teddy. – Nie mogę jednak prosić o dyskrecję wszystkich pracowników szpitala. Coś wam powiem: przyjdźcie po godzinach przyjąć. Jutro wieczorem. Może po dziewiątej?

– Dziękujemy – powiedziała May z wdzięcznością.

– *Merci bien* – dodał od siebie Martin.

Chciał, by krople rozpuściły mu się wreszcie w oczach, pamiętał bowiem o wiszących wokół fotografiach. Jeszcze raz pomyślał o matce. Wspaniale fotografowała.

– Kto robił te zdjęcia? – zapytał.

– Mój mąż – odpowiedziała Teddy.

– Był fotografikiem?

– To było jego hobby. Lubiliśmy podróżować, szczególnie na wyspy. Oboje uwielbialiśmy je. Wszędzie znajdowaliśmy latarnie morskie i William je fotografował.

– Dlaczego akurat latarnie?

– Bo są piękne na swój własny sposób i dlatego, że William chciał oddać cześć mojej pracy z niewidomymi.

Niewidomy. To słowo nappełniło Martina lękiem, ale Teddy mówiła dalej, opowiadając o zbudowanej z cegieł latarni na cyplu Gay Head, o pasiastej w Cape Hatteras, kamiennej na Block Island, a także o czarnej kolumnie na Guli Island.

– Fotografia była jego pasją – zakończyła.

– Moja matka także fotografowała – rzekł Martin.

– Być może odziedziczyłeś jej talent – rzekła Teddy. Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, wrodziłem się w ojca. Gram w hokeja.

– Może byłbyś zaskoczony, co odkryłbyś w sobie, gdybyś sięgnął po aparat fotograficzny – powiedziała Teddy.

Coś ścisnęło Martina za gardło. Wzrok zamglony kroplami i chorobą prawdopodobnie uniemożliwiłby mu robienie jakichkolwiek zdjęć. Chciał odpowiedzieć, lecz tylko potrząsnął przecząco głową.

– A zatem do jutra w moim gabinecie.

– Dziękuję, że przyjmujecie nas w taki sposób – powiedziała May.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić – odparła Teddy. – Martin to symbol Bostonu. William nie postąpiłby inaczej.

– Moja matka też byłaby ci bardzo wdzięczna – powiedziała May, obejmując Martina. – Żałuję, że nie mogła poznać mego męża.

– Mam wrażenie, że wie o nim wszystko – rzekła Teddy.

ROZDZIAŁ 24

Lekki wiatr wiejący przez dziedziniec przyniósł więźniom odrobinę ulgi od żaru lata. Wyglądając za kraty, Serge ujrzał chłopca z bejsbolową rękawicą. Nie był to dzień odwiedzin, lecz gdyby nawet był, nie było już tu osoby, do której chłopiec przyjechał w odwiedziny. Serge uświadomił sobie, że to Ricky, syn Tina.

– Co on tu robi? – zapytał Jima, strażnika.

– Przykra sprawa – odparł Jim. – Przychodzi tu, kiedy tylko może.

– Przecież jego ojciec nie żyje.

– Powiedz mu to.

– Nie wierzy? Jim pokręcił głową.

– Pochowali go, wszystko odbyło się jak należy, ale dzieciak nie chce pogodzić się z prawdą.

– Co on porabia? – zapytał Serge, wciąż patrząc za kraty. Chłopiec miał około ośmiu lat, był drobny, nosił niebieską koszulkę i czapkę drużyny Yankees. Na jednej ręce miał bejsbolową rękawicę, w którą uderzał piłką niczym miotacz czekający na uderzenie, by zająć swoją postawę.

– Stoi i rzuca piłką o mur, dopóki nie każe mu wracać do domu.

– A co z jego matką?

– Ma własne kłopoty.

– Czego chce ten dzieciak?

– Kto to może wiedzieć? – zapytał Jim, obserwując chłopca. – Może czeka na swoją kolej, żeby znaleźć się w środku. Jaki ojciec, taki syn.

– Jak możesz tak mówić? To okropne.

– Nie ja prowadzę statystyki – odparł Jim odchodząc, gdyż jego uwagę przyciągnęła jakaś utarczka po drugiej stronie dziedzińca i poszedł zobaczyć, co się tam dzieje.

Serge wpatrywał się w chłopca. Po co zawracał sobie głowę pytaniami? Przecież wiedział, co robi Ricky: czeka na ojca, żeby zagrał z nim w bejsbol. Rozsądek nie odgrywał tu żadnej roli. Nawet gdy Agnes w końcu go wyrzuciła i Serge na długo opuścił dom, zawsze planował wielki powrót, by połączyć się z synem.

Ciągle jednak coś stawało na przeszkodzie: następny mecz, następne przyjęcie, następna konna gonitwa, następna kobieta. Jego dzieciak nie zasłużył na porzucenie. Martin nie przestawał czekać i żywić nadziei. Spoglądając przez okno lub patrząc na jezioro, pragnął, by Serge wreszcie się pojawił. Serge wiedział; nikt nie musiał mu tego mówić.

– Hej, chłopcze! – zawołał.

Chłopiec stał po drugiej stronie wąskiej uliczki i udawał, że nie słyszy. Wciąż ciskał piłką w rękawicę, wpatrując się w nią z pełną i żarliwą koncentracją.

– Chłopcze! – ponownie zawołał Serge. – Ricky!

Na dźwięk swego imienia chłopak nastawił uszu, ale nadal nie spojrzął w stronę, z której dobiegał głos. Piłeczka coraz mocniej uderzała w skórzaną rękawicę.

– Grzeczny chłopiec – rzekł Serge. – Nigdy nie rozmawiaj z nieznajomymi, szczególnie z gliniarzami.

Teraz mały odwrócił głowę, aby w ogóle nie widzieć Serge'a. Uderzenia piłeczki były jeszcze mocniejsze.

– Tęsknisz za tatą – rzekł Serge. – Mnie również go brakuje.

Chłopiec kolejny raz rzucił piłeczką, ale chybił; podskoczyła na chodniku i uderzyła o drzewo. Ricky ruszył za nią pędem, klucząc jak wytrawny gracz. Podniósłszy piłkę, wrócił na to samo miejsce i ponownie zaczął ćwiczyć rzuty i chwyt.

– Twój tata był dobrym człowiekiem – powiedział Serge.

Chłopiec mruknął coś pod nosem i choć Serge nie dałby za to głowy, wydawało mu się, że chłopiec go poprawia, mówiąc: „jest...”

– Opowiadał, że dobrze grasz – ciągnął Serge. – To prawda?

Ricky nie odpowiedział, tylko spiął się i rzucił piłkę najwyżej jak mógł. Wystrzeliła z jego ręki wprost do nieba, a potem, wydając przy tym charakterystyczny odgłos, wpadła w nadstawioną rękawicę.

– Wspaniale – rzekł Serge.

Ricky wrócił do indywidualnego treningu w odbieraniu piłki. Był piękny letni dzień. Serge myślał o Lac Vert, zastanawiając się, gdzie w tej okolicy może być jakieś przyjemne jezioro albo staw. Latem chłopcy powinni spędzać czas na pływaniu i zabawach z kolegami, a nie na wyczekiwaniu pod więzienną bramą na nieżyjącego ojca.

Serge patrzył na chłopca i myślał o Tinie. Podobieństwo było uderzające: mocna budowa, wystające kości policzkowe, czarne oczy, ostrzyżone na jeża włosy. Ile lat miał Tino, gdy bardziej zainteresował się tym, co niesie ulica, niż trenowaniem rzutów?

– Mój syn dużo grał – powiedział Serge. Dziecko wydawało się nie słyszeć.

– Grał bez przerwy; ćwiczył i trenował, od rana do wieczora. Teraz jest zawodowym sportowcem.

Mimo woli Ricky rozejrzał się wokół. Wypadł z rytmu i piłka potoczyła się w dal. Tym razem gdy ją dogonił, przysunął się o krok bliżej krat.

– Tak... Jednym z najlepszych – mówił dalej Serge. – W przyszłym roku zdobędzie Puchar Stanleya, gra w drużynie Boston Bruins.

Ricky rzucił mu uważniejsze spojrzenie, jakby starając się zorientować, czy Serge kłamie czy nie. Prawdopodobnie wcześniej słyszał od swego ojca wiele kłamstw. Serge stał się specjalistą w dostarczaniu półprawd i nieprawd, wmawiając sobie, że nie ma to znaczenia, że to, co robi, nikogo nie powinno obchodzić, ale był kłamcą i zasługiwał na podejrzliwe spojrzenie chłopca.

– Mój syn to Martin Cartier, Złoty Młot.

Ricky uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „Może tak, może nie”, a potem zaczął znowu rzucać piłką o ścianę, chwytając ją w jednym podskoku.

– Nigdy nie przestał trenować – kontynuował Serge. – Nie odrywał oczu od piłki, i ty też tego nie rób. Patrz na nią bez przerwy, Ricky, żeby ojciec był z ciebie dumny.

Strażnik uporał się z bójką, wrócił, stanął przy bramie i klaszcząc w dłonie przestraszył

Ricky'ego. Chłopiec chwycił piłkę i spojrzał na niego z mieszaniną lęku i przekory w oczach.

– Wracaj do domu – rzekł Jim. – Nie zmuszaj mnie, żebym wezwał ludzi, którzy odstawią cię z powrotem.

– Czekam na tatę.

– Wiesz, że to nieprawda – prychnął strażnik. – Wiesz, że twój ojciec umarł. Przykro mi z tego powodu, ale nie możesz tu sterczeć.

– Czekam na tatę. Jim potrząsnął głową.

– Jeszcze chwila i wezwę policję.

Oczy chłopca rozszerzyły się ze strachu. To go przekonało: wzmianka o policji. Ośmiolatek, a już bał się prawa. Serge'owi zrobiło się przykro za Tina: zostawił jedynego syna. Gdybyż ojcowie potrafili cofnąć swoje życie, odebraliby wszystkie nauczki i wrócili z nimi do czasów, gdy ich synowie byli małymi dziećmi, gdy był jeszcze czas, by wszystko naprawić.

Nachmurzony Ricky zaczął się cofać.

– Nie przestawaj trenować, chłopcze! – krzyknął za nim Serge. – Ani na chwilę.

– To i tak niczego nie zmieni – mruknął pod nosem strażnik.

Ricky pochylił głowę, jakby to usłyszał, ale nic nie powiedział. Po prostu cofał się krok po kroku, wrzucając piłeczkę w rękawicę.

– Jesteś kibicem Yankeesów? Kto jest twoim ulubionym graczem? – zawołał Serge.

Ricky otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale potem obrócił się pokazując nazwisko wypisane na plecach koszulki: MARTINEZ. Serge był z niego dumny, że się nie odezwał.

– Tino Martinez – rzekł Serge. – Porządny gość.

Ricky zdecydowanie kiwnął głową. Po chwili zaczął iść szybciej, a potem biec.

– Nie wracaj – rzekł Jim.

– Trenuj wytrwale! – zawołał Serge. – I nie rozmawiaj z nieznajomymi!

Zastanawiał się, czy poczta już przyszła. Sprawdzał to każdego dnia. Napisanie listu do Martina pozwoliło mu o czymś śnić, marzyć i mieć na coś nadzieję. Miał powód, by się budzić, a kosztowało go to jedynie znaczek i kopertę. Pora sprawdzić, czy ma jakąś korespondencję. Zaczął iść przez dziedziniec, a potem biec.

Cartierowie postanowili zamieszkać w Black Hall zamiast w miejskim domu, gdyż atmosfera wsi była nieco spokojniejsza, a powietrze świeższe i bardziej podobne do tego znad Lac Vert. Poza tym w Black Hall łatwiej było o opiekę nad Kylie.

– Czegokolwiek byś potrzebowała, daj znać – powiedziała Tobin. – On musi być zdrowy. Taki sportowiec jak Martin...

– Wiem – odparła May załamującym się głosem. Nie chciała płakać w obecności Martina. Wciąż mieli nadzieję. Teddy nie powiedziała im jeszcze wszystkiego. – To takie niesprawiedliwe – załkała. – On się boi. Nie mogę na to patrzeć.

– Ma ciebie – rzekła Tobin. – Przejdziecie przez to razem.

Odbyli długą podróż do Bostonu i tym razem Martin nawet nie próbował siadać za

kierownicą. Jego wzrok dramatycznie się pogorszył od początku lata.

Poprzedniej nocy żadne z nich nie spało. May leżała bez snu, wpatrując się w sufit i widząc, że Martin także nie śpi i patrzy w ścianę. Obserwowała gwiazdy pojawiające się na zachodnim niebie. Gdy rano zapał kogut sąsiada, ona jeszcze nie spała. Myślała o liście Serge'a. Przywiozła go znad jeziora w nadziei, że Martin go przeczyta. Myślenie o czymkolwiek innym zbyt ją zatrważało.

Dzisiejszy dzień wydawał się bezkresny. Ani ona, ani Martin nie byli głodni; zmierzając na umówione spotkanie z Teddy, jechali autostradą na północny wschód.

– Dobrze się czujesz? – zapytała, skręcając na wschód. Z dala widać było wieżowce centrum Bostonu. May poczuła skurcz żołądka, zastanawiając się, co ich czeka.

– Świetnie. A ty?

– Doskonale – odpowiedziała, wiedząc, że oboje kłamią. To dziwne: wozić Martina. May uzyskała prawo jazdy jako szesnastolatka i od tego czasu prowadziła samochód, dobrze czując się na drodze. Jednak od kiedy byli razem, za kierownicą zawsze siedział Martin.

By zagłuszyć ciszę, włączyła radio. Znalazła jakąś stację nadającą dobrą muzykę i wysłuchali kilku piosenek. Odprężona, poczuła otuchę; może się okaże, iż wszystko jest w porządku. Martin także musiał to poczuć, bo położył dłoń na jej udzie.

– Dzięki, że mnie wiesziesz... – powiedział.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić – odparła.

– Nie myślę jedynie o samochodzie – rzekł. – Dziękuję, że jesteś tu ze mną, May.

– Miło mi to słyszeć – powiedziała, wspominając słowa Tobin o sile i wytrwałości. Spojrzała na męża i zobaczyła, że przysłania sobie najpierw jedno oko, a potem drugie, sprawdzając w ten sposób widzenie, jakby w czasie podróży problem miał się sam rozwiązać.

Postępując zgodnie z wcześniejszymi instrukcjami Teddy wjechali prosto na kryty parking szpitala i przez napowietrzny korytarz weszli do głównego budynku. Z oszklonego pomostu widać było ciemne wody zatoki ożywionej ruchem promów i tankowców, docierały stłumione dźwięki muzyki ze spacerowych statków i jachtów. Na zewnątrz ludzie rozkoszowali się przyjemnościami letniego wieczoru, podczas gdy oni wkraczali do medycznego świata klimatyzacji, dezynfekcji i napięcia.

W przeciwieństwie do jej prywatnego gabinetu, gabinet Teddy Collins w Bostońskim Szpitalu Okulistycznym był bardzo nowoczesny, wszystko lśniło w nim bielą i chromem. Od razu poprosiła, by weszli, aby zminimalizować prawdopodobieństwo, że zostaną przez kogoś rozpoznani.

Gdy May ruszyła za Martinem do pokoju badań, Teddy zatrzymała ją u drzwi.

– Chciałabym zbadać Martina sama – powiedziała.

– Oczywiście. – May poczuła się dotknięta. Nie chciała traktować tego osobiście, ale nagle zrobiło jej się słabo.

– Wejść tam, Martin – poleciła Teddy. – Usiądź na krześle przy stoliku. Chcę pokazać coś May.

Martin skinął głową i wszedł do wskazanego wnętrza. Teddy wprowadziła May na zaplecze pracowni i powiedziała, że może tu zaczekać. Położyła przed nią biały oprawny w

skórę album.

– Moje ślubne zdjęcia – powiedziała. – Pomyślałam, że chętnie je obejrzysz. Znajdziesz tu wiele fotografii twoich i twojej mamy.

– Dziękuję – odparła May, patrząc na bogato tłoczoną skórę oraz ozdobnie splecione inicjały „T & W” Potem uważnie zmierzyła Teddy wzrokiem. Czyżby pomylili się w wyborze lekarza Martina? Przychodzą do niej w takiej chwili, oboje niemal sparaliżowani ze strachu, a ona pokazuje swoje ślubne fotografie? Jednakże na widok pooranej zmarszczkami i współczującej twarzy Teddy oraz jej skupienia oczy May napęłniły się łzami.

– Tak bardzo go kocham – powiedziała.

– Wiem.

May pochyliła głowę, ocierając łzy.

– Rozumiem cię – rzekła Teddy. – Martina czekają teraz trudne chwile.

– Zatem już wiesz...

– Podejrzewam, ale nie jestem pewna stopnia zaawansowania. Będziemy to wiedzieć, gdy zakończę badania.

– Bardzo się boję o Martina – przyznała May. – Proszę cię, Teddy, pomóż mu. Proszę...

– Zrobię, co będę mogła. – Teddy uściśliła ją i wyszła, zostawiając May samą w wielkim narożnym gabinecie. Z okien widać było leżące po drugiej stronie zatoki bostońskie lotnisko Logan, gdzie wzbijały się i lądowały samoloty. Ściany gabinetu zdobiły pięknie sfotografowane przez Williama latarnie morskie z całego świata.

Jednak May nie patrzyła ani na lotnisko, ani na morskie latarnie. Skupiła się na albumie. Wypełniały go fotografie Teddy i Williama, Emily i Lorenza Dunne oraz cioci Enid i samej May, ale przede wszystkim Samuela i Abigail Taylorów. Wpatrując się w fotografie swego ojca, May nie mogła oderwać od niego oczu.

Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała. Wysoki, silny, z ciemnymi falującymi włosami i orzechowymi oczami. Nosił szary garnitur i niebieski krawat. Mrużąc oczy, May była przekonana, że widzi jego wzór: maleńkie mewy. Podarowała mu ten krawat na Dzień Ojca. Uśmiechając się do obiektywu, jedną rękę opierał na ramieniu May.

Łzy napłynęły jej do oczu. Miała wtedy sześć albo siedem lat, była więc w wieku Kylie. Na każdym zdjęciu znajdowała się nie dalej niż dwa kroki od ojca. Uwielbiała go, a on jej uczucie odwzajemniał.

Miłość znaczy tak wiele. Rodzina i starzy przyjaciele są pomocni nawet wtedy, gdy już ich nie ma. May zamknęła oczy, odsuwając od siebie fotografie. Wywołała w pamięci twarze rodziców. Ojciec wciąż uśmiechał się do niej. Odzyskała go w dniu wizyty u Serge’a.

Dziękowała Bogu za Martina, za to, że chciał być ojcem dla Kylie. Łzy spływały jej po policzkach. Pragnęła, aby Martin też odzyskał swego ojca. Aby bez względu na to, co ujawni badanie, czuł jego siłę i miłość i mógł się na nich oprzeć.

Martin nigdy nie lubił wizyt u lekarzy. Gdy był dzieckiem, matka musiała go przekupywać, by zgodził się pójść do pediatry, kiedy zaś dorósł, ograniczał się do rutynowych badań kontrolnych prowadzonych przez lekarza sportowego i doraźnego leczenia po urazach i kontuzjach odnoszonych podczas meczów i treningów.

Siedząc więc teraz w wysoce specjalistycznym gabinecie czuł znaczny niepokój. Żałował, że May nie pozwolono wejść tu wraz z nim. Okulistyczne instrumenty wyglądały jak narzędzia tortur.

– Jak się czujesz, Martin? – zapytała Teddy.

– Świetnie – skłamał.

– To dobrze. Zrobię dziś kilka badań trochę bardziej skomplikowanych niż wczorajsze, chciałabym więc, żebyś postarał się odprężyć.

– Jestem rozluźniony – powiedział, choć mięśnie karku i ramion miał napięte jak struny.

– To dobrze, mój drogi. – Mimo matczynego sposobu bycia postępowanie Teddy było całkowicie profesjonalne. Skontrolowała narzędzia, zrobiła notatki. – Zrobię angiogram, który zbada wszelkie zmiany siatkówki, ale żeby uzyskać możliwie najlepszy obraz, muszę wstrzyknąć kontrast. Nie jesteś alergikiem, prawda?

– Nie – odparł Martin. Mając za sobą mielogram, czyli badanie rdzenia kręgowego, jakiemu poddano go po poważnej utarczce z kilkoma zawodnikami New Jersey Devils, w którą wdał się pięć lat temu, wiedział już, co oznacza wstrzykiwanie kontrastu. Sama myśl o tym sprawiła, że poczuł się okropnie, co Teddy od razu zauważyła.

– To nie jest przyjemne – powiedziała. – Niektórzy czują mdłości.

– Pamiętam.

– To badanie da mi jednak pełen obraz sytuacji...

– Zrób je – przerwał jej Martin. – Rób co trzeba. Zniosę wszystko, byle się z tym uporać. Wykonaj wszystkie badania, postaw diagnozę i przepisz lekarstwa. Będę je zażywać, bylebym tylko mógł w przyszłym miesiącu rozpocząć treningi. Poddam się wszystkim zaleceniom: ćwiczeniom, zabiegom chirurgicznym, zrobię wszystko...

– Martin... – zaczęła.

Martin nie lubił prosić ani błagać, chciał mieć jasność sytuacji, powinna to zrozumieć. Była entuzjastką hokeja i prawdopodobnie leczyła już innych hokeistów.

– Muszę szybko poczuć się lepiej – powiedział. – To może być mój ostatni rok.

– Twój ostatni rok?

– Ostatni rok gry w hokeja – teraz, gdy zaczął mówić, miał wrażenie, że słowa biegną coraz szybciej. – Jestem już za stary na hokeistę. Stawy mi wysiadają; tak się dzieje, gdy ktoś gra równie długo jak ja. Nie mówiłem tego May, lecz zamierzałem iść na emeryturę już w tym roku.

– Masz na myśli odejście po najbliższym sezonie? – Teddy zmarszczyła brwi.

Martin pokręcił przecząco głową.

– Miałem na myśli miniony sezon.

– Ale nie...

– Nie mogłem. Muszę zdobyć Puchar Stanleya.

– Jesteś wspaniałym hokeistą, Martin. Z Pucharem czy bez. Zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy. Może się mylił;

prawdopodobnie nic nie rozumiała.

– On jest wszystkim – powiedział. – Właśnie dlatego gram przez całe życie. Mój ojciec

zdobywał ten puchar trzy razy. Tak, trzy razy. Przez ostatnie dwa lata, odkąd jestem z May, byłem tak blisko. Tak blisko zwycięstwa...

– Widziałam cię w telewizji.

– Gdybym wygrał siódmy mecz, już byłbym na emeryturze – mówił dalej z bijącym sercem. – Taki był mój plan, lecz stało się inaczej. Jeszcze jeden rok, pani doktor. To wszystko, czego potrzebuję. Jestem przekonany, że tym razem wygram. Jeszcze jeden rok.

Teddy stała przed Martinem z opuszczonymi rękami. Oczy miał tak zamglone, że ledwie ją widział.

– Robi się coraz gorzej zamiast lepiej – przyznał, pozwalając płynąć słowom. – Gdy budzę się rano, prawie nie widzę.

– Wiem.

– Doprowadź mnie do porządku – powiedział. – Daj mi jeszcze jedną szansę na zwycięstwo...

– Martin – powiedziała łagodnie. – Nie wiemy, co dziś znajdziemy. Obiecuję, że zrobię wszystko co w mojej mocy. To cudowne, że jesteś pacjentem tak chętnym do współpracy z lekarzem. Nie masz pojęcia, jakie to ważne.

– Zrobię wszystko – zapewnił.

Gdy nie odpowiedziała, zamilkł. Czuł, że twarz mu płonie, a struny głosowe bołą go tak, jakby krzyczał. Zamknął oczy i zebrał się w sobie, podobnie jak to czynił w najtrudniejszych meczach. Teddy zrobi wszystko co w jej mocy. Poczuł jej rękę na ramieniu i podniósł wzrok, nie mrugając oczami ani się nie uśmiechając.

– Jestem gotowy – rzekł. Rozpoczęły się badania.

Poprzez kreatoskop na rogówki padły koncentryczne kręgi światła, tworząc topograficzną mapę wszelkich defektów strukturalnych. Następnie Teddy posłużyła się pachymetrem, by dokonać pomiaru grubości rogówki i możliwych obrzęków.

Martin zmusił się, by siedzieć spokojnie, bez ruchu choćby jednego mięśnia. Skupił się, jakby pędził do bramki. Powiedział sobie, że właśnie to badanie jest najważniejszym meczem, jaki kiedykolwiek rozgrywał, że jeśli upora się z tym dzisiaj, wytrwa również do finałowego meczu o Puchar Stanleya i otrzyma kolejną szansę. Czuł mdłości, a oczy piekły go i bołały.

Kolejne badanie, gonioskopia, pozwoliło zmierzyć kąt przedniej komory oka, oftalmoskop zaś – obejrzeć nerw wzrokowy, siatkówkę, naczyniówkę i część ciała rzęskowego – miejsce umocowania więzadełek soczewki i komórek, które regulują wilgotność oka.

– Oko funkcjonuje niczym aparat fotograficzny lub kamera – mówiła Teddy – ale w istocie widzimy mózgiem.

Wyjaśniła, że światło pada przez rogówkę, źrenicę i soczewkę na siatkówkę, która działa jak błona filmowa; powstaje na niej pomniejszony, odwrócony obraz oglądanego obiektu. Pręciki i czopki siatkówki, uczulone na ilość i barwę światła, przekształcają je w impulsy elektryczne przenoszone przez nerw wzrokowy do mózgu. Na ich podstawie mózg tworzy obrazy.

– Prawym okiem widzę doskonale – rzekł Martin, mocno trzymając poręcz fotela. –

Wiem, że lewe jest słabsze, ale mogę przecież patrzeć prawym...

Teddy kazała mu oddychać głęboko, gdy będzie wstrzykiwać kontrast. Poczul fale mdłości. Wyobraził sobie szydzącego Jorgensena i to pozwoliło mu spokojnie znieść dokonywaną specjalnym aparatem rejestrację zmian siatkówki. Błyski światła oszołomiły go niczym flesze fotoreporterów czekających przed szatnią, gdy najmniej się ich spodziewał.

Te eksplozje światła obudziły dawne wspomnienia: oto on sam w wieku czterech lub pięciu lat idzie z ojcem długim korytarzem. Właśnie skończył się jakiś mecz, drużyna ojca wygrała. Martin pamiętał głębokie poczucie dumy, świadomość, że jego ojciec jest najlepszym hokeistą Kanady. Niosąc jego łyżwy czuł, że nic ich nie rozdzieli. Matka zaskoczyła ich wtedy, robiąc zdjęcie.

Wciąż miał tę fotografię. Po latach, gdy Serge wygrał swój pierwszy Puchar Stanleya, odnalazł ją w szufladzie biurka.

Wówczas, zniechęcony już do ojca, czuł złość połączoną z dumą.

Siedząc teraz w gabinecie Teddy, myślał o siódmym meczu, o tym, jak bardzo pragnął, by ojciec zobaczył jego triumf. Myślał też o wizycie May u Serge'a oraz o otrzymanym liście, którego nie otworzył. Odetchnął głęboko, by pozbyć się tych myśli.

Na monitorze komputera pojawiły się jakieś obrazy, zaskrzeczała drukarka. Martin poczuł, że musi skorzystać z toalety. Teddy wskazała mu drogę przez hol. Zapytała, czy będzie potrzebował pomocy, żeby wrócić do gabinetu. Odparł, że nie, powiedziała więc, że chce go zobaczyć za kilka minut. On zaś łaknął informacji, by natychmiast opracować jakiś plan działania. By zająć się oczami.

Czekając na Martina, May oglądała stare fotografie Teddy. Jej ślub odbył się pewnego czerwcowego ranka w Old North Church, a ponieważ ani w jej rodzinie, ani w rodzinie Williama nie było małych dzieci, May odegrała rolę dziewczynki sypiącej kwiaty.

– Twoja rodzina była dla mnie bardzo dobra – powiedziała Teddy, wchodząc do gabinetu-poczekalni.

May poczuła skurcz żołądka. Dlaczego Teddy nie mówi o Martinie? Gdyby miała dobre wiadomości, czyż nie przekazałaby ich od razu?

– Masz na myśli to, jak moja mama i babcia urządziły twoje wesele? – zapytała powoli.

– Tak, myślę o nich. Myślę o was wszystkich. Tego dnia byliście jednymi z naszych najmiłszych gości.

– Dziękuję. Nieczęsto uczestniczyliśmy w organizowanych przez nas uroczystościach. Wasze wesele było jednym z tych niewielu, jakie pamiętam.

– Może właśnie dlatego tak się cieszę, że przyszlście z tym do mnie. Abym mogła ci podziękować, starając się pomóc Martinowi – powiedziała Teddy bez uśmiechu. W jej głosie brzmiała ostra nuta, jakby chciała ostrzec May, że trzeba działać bez zwłoki.

Z piersi May wyrwało się stłumione westchnienie, ale zaschło jej w gardle, zapytała więc oczami. Teddy siadła za biurkiem i układając stertę papierów oraz komputerowych wydruków podniosła wzrok ku Martinowi, który stanął w drzwiach.

Martin przemierzył gabinet i usiadł obok żony. Ściskając jej dłoń, wsłuchiwał się we

własny oddech tak ciężki, jakby właśnie wspiął się na wysokie wzgórze. Umysł pulsował mu od szczegółowych, trudnych pytań. Teddy włożyła okulary, gotowa rozpocząć rozmowę.

– Zamierzam rozmawiać z wami otwarcie – powiedziała.

– Sytuacja jest skomplikowana. Skomplikowana, pomyślał Martin, chwytając się tego jednego słowa. Nie była straszna, ani nawet zła. Tylko skomplikowana. Teddy uniosła jedno ze zdjęć zrobionych podczas testów. Widniała na nim wielka czerwona plama z ciemnymi kropkami i przebiegającymi przez nią przerywanymi liniami.

– Twoje lewe oko – stwierdziła – wykazuje znaczne uszkodzenia. Kiedy dochodzi do uszkodzenia drażącego, przez siatkówkę przesącza się nieco szklistej cieczy, odklejając ją od czegoś, co nazywa się nabłonkiem pigmentowym. Chociaż widzę tu ślady stosowania krioterapii, owego laserowego zabiegu, o którym wspominałeś, stwierdzam też, że w bliźnie ponownie powstał otwór.

– A zatem mam następne rozwarstwienie siatkówki?

– zapytał Martin, obliczając jednocześnie, ile czasu zabierze mu uporanie się z tą sprawą: jeden dzień na zabieg chirurgiczny, tydzień noszenia opatrunku, za dwa miesiące będzie mógł grać. Poczł ulgę.

– Czy to poważne? – zapytała May.

– Kłopotliwe, ale niezbyt przykre – zapewnił Martin, ściskając jej dłoń.

Jednak Teddy się nie uśmiechała.

– Plamka, bo tak nazywa się centralna część siatkówki, jest odwarstwiona już od pewnego czasu. Prawdopodobnie w tym samym czasie musiałeś przechodzić jakąś infekcję. W twoim lewym oku nie ma widzenia.

Martin pozwolił wybrzmieć tym słowom. Usłyszał, jak May wydaje z siebie krótki okrzyk; jej dłoń osłabła, niemal wyslizgnęła się z jego ręki. Martin odchrząknął, próbując powstrzymać serce, które chciało wyskoczyć mu z piersi.

– Wiem – rzekł. – Już optyk w LaSalle nam to powiedział. Na szczęście mogę patrzeć prawym okiem. Widzę obydwoma naraz. Nie tylko samym lewym.

– Martin – przerwała mu Teddy – twoje prawe oko również jest zaatakowane.

– Ale w prawe oko nigdy nie byłem uderzony.

– Nigdy?

– W każdym razie nie poważnie. Obyło się bez zabiegu chirurgicznego.

– Zaaplikowano ci kiedyś dużą dawkę kortyzonu do prawego oka?

– Do obojga oczu. Tak, kortyzon... – odparł Martin – pamiętam te zastrzyki. Nie były przyjemne.

– Brał kortyzon z powodu zapalenia stawów kolan i kostek – wtrąciła May – oraz w związku ze stanem bioder i barków...

Martin słuchał głosu żony żalując, że nie widzi jej wyraźniej. Próbował przełknąć ślinę, ale miał zbyt sucho w ustach.

– W twoim prawym oku widzę... – zaczęła Teddy.

– Tym dobrym?

– Tak, w twoim „dobrym” oku. Widzę w nim sytuację znaną jako oftalmia współczulna.

– Współczulna... – powtórzyła May i Martin zrozumiał, że chwyciła się tego słowa, które zabrzmiało miło i łagodnie.

– To rzadki stan zapalny oka, który czasami powstaje po drażącym urazie drugiej gałki ocznej. Symptomy oftalmii obejmują światłowstręt, trudność koncentracji wzroku oraz znaczny obrzęk w oku przeciwnym niż to, które doznało uszkodzenia.

– Ale to było dawno – powiedział Martin. – Jorgensen uderzył mnie podczas meczu w Vancouver. Cztery lata temu...

– Schorzenie może się ujawnić w ciągu tygodnia lub dwóch, albo pozostawać w uśpieniu przez kilka lat.

– Jak? – zapytała May, ściskając dłoń Martina. – To brzmi nieprawdopodobnie.

– Uraz drażący wywołuje równoległy proces immunologiczny, który szkodliwie oddziałuje na ten sam typ tkanki w drugim oku.

– Ale kortyzon pomaga? – zapytał Martin. – Dlatego chciałaś wiedzieć, czy mi go aplikowano?

– Kortykosterydy czasami działają. Ale długotrwałe ich używanie może powstrzymać organizm od wytwarzania własnych hormonów tej grupy i w pewnych przypadkach spowodować opór.

– A wtedy? – zapytał Martin.

Czuł, że Teddy bacznie mu się przyglądaj słyszał dochodzące ze strony May ciche łkanie. Brzmiało tak boleśnie i słysząc w nim było taki lęk, że Martin chciał wziąć ją w ramiona i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ale nie mógł się ruszyć, nie był w stanie oderwać spój rżenia od Teddy.

– Czy tracę wzrok? – zapytał.

– Tak.

ROZDZIAŁ 25

Diagnoza pozostawiała pewną nadzieję. Teddy wstrzyknęła Martinowi kortyzon, znieczulając przed zastrzykiem okolicę oka, a następnie przepisała krótkie leczenie dużymi dawkami prednizonu. Po tygodniu oceni stan zapalny i zdecyduje, co dalej.

Najprawdopodobniej czekał go zabieg chirurgiczny, polegający na wszyciu do twardówki oka materiału silikonowego. Innym rozwiązaniem byłoby wstrzyknięcie do gałki ocznej substancji gazowej: mikroskopijny pęcherzyk pełniłby taką samą rolę jak silikonowa „plomba”, a po spełnieniu owej funkcji zostałyby usunięty.

May i Martin słuchali tych wyjaśnień kompletnie odrętwiali. Dłoń Martina była lodowato zimna, a spojrzenie wydawało się nieobecne, jakby w ogóle nie było go w tym pomieszczeniu. May doszła do wniosku, że powinna wszystko zapisać, sięgnęła więc do torebki po notes.

– Wskaźnik udanych zabiegów ponownego przyklejenia siatkówki jest całkiem wysoki – powiedziała Teddy. – Jeśli zaś chodzi o plamkę, będziemy musieli sprawdzić...

– Plamkę? Jaką plamkę? – zapytała tępo May. Zaraz, była już o tym mowa... Gdyby notowała wszystko od początku, toby rozumiała, nie każąc Teddy się powtarzać.

– To najbardziej wrażliwa, centralna część siatkówki – odpowiedziała Teddy, najwyraźniej nie mając nic przeciwko temu, by wytłumaczyć wszystko ponownie. – Jeśli odwarstwienie siatkówki trwa zbyt długo, rokowania dobrego widzenia centralnego nie są pewne.

– A co jest pewne? – wpadł jej w słowo Martin. – Co skutkuje?

– Dla skomplikowanych przypadków jak twój mamy złożone wielotorowe procedury, takie jak witrektomia, czyli usunięcie ciała szklistego. Muszę przestudiować wyniki badań i zastanowić się trochę dłużej, zanim uzyskam pewność. Zobaczmy, jak zareagujesz na prednizon, a kiedy wrócisz tu za tydzień...

– Za tydzień?! – wybuchnął Martin. – Nie mam tygodnia! Wkrótce zaczynają się treningi i do tego czasu muszę już być formie!

– Martin, wiem, że to dla ciebie szok, ale postaraj się zrozumieć, że staram się uratować twój wzrok w takim stopniu, w jakim to możliwe. Nie mówię o przywróceniu ci pełnego widzenia, ale o tym, by zahamować pogarszanie i ...

– Dajesz mi do zrozumienia, że nie będę grać w hokeja? Nigdy?

– Tak – odparła Teddy. Z rękami złożonymi na biurku spoglądała otwarcie i współczująco. To słowo przeniknęło May dreszczem. Poczwała, że dłoń Martina zsunęła się z jej ręki.

– Chodźmy, May – rzekł, unosząc się z krzesła.

– Martin... – May próbowała go uspokoić. – Posłuchaj, co mówi Teddy.

– Usłyszałem już wszystko, co chciałem usłyszeć. Chodźmy!

– Terapia musi być rozpoczęta natychmiast – powiedziała spokojnie Teddy, jakby Martin wciąż siedział, a nie szykował się do skoku. – Nie powinniśmy tracić czasu.

– No właśnie! – parsknął Martin. – Dlatego stąd wychodzę! – Chwyił marynarke, upuścił ją i podniósł ponownie. Zmierzając do drzwi, skierował się w złą stronę i uderzył w biblioteczkę. Obrócił się. – May?

– Usiądź, Martin – błagała. – Proszę cię, rozmawiamy o twoich oczach!

– Są w wystarczająco dobrym stanie! Widziałem litery u optyka w LaSalle, prawda? Idziesz?

– Posłuchaj mnie, Martin – powiedziała ostro May z oczami pełnymi łez. – Od początku postępuję tak, jak sobie życzysz. Obowiązuje nas twój rozkład jazdy, nie mój. Dłużej nie możemy udawać. Nie pozwolę ci na to. Za bardzo cię Kocham.

– Spotkamy się przy samochodzie – odparł zimno, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

May ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała. Teddy podeszła do niej, pogłaskała ją po plecach.

– Reakcja Martina jest zupełnie normalna – stwierdziła.

– Spodziewałam się jej. Akceptacja takich wieści przychodzi z wielkim trudem.

– Hokej jest całym jego życiem – płakała May.

– Na to nie mam żadnego leku – odparła Teddy.

– Zrobię wszystko co w mojej mocy, by ocalić tyle jego wzroku, ile się da.

– Naprawdę już nigdy nie zagra w hokeja?

– Naprawdę.

– Jesteś pewna?

Teddy milczała wystarczająco długo, by May otarła oczy i podniosła wzrok. Starsza pani była bardzo piękna. Miała w oczach ciepło i pogodę ducha, a w wyrazie jej twarzy nie było tragizmu.

– Nie pozwoliłabym sobie użyć słowa „nigdy” w odniesieniu do Martina Cartiera – stwierdziła. – Jako jego lekarz powiem więc, że jestem temu przeciwna; że byłoby to szkodliwe dla jego oczu i że szczerze mówiąc, nie wierzę, aby był w stanie zobaczyć lód. Ale widziałas, jak zareagował, i znasz go lepiej niż ja. Jest w nim coś niezwykłego.

– To prawda.

– William też był taki – mówiła dalej Teddy. – Był wynalazcą, podróżowaliśmy więc po świecie w poszukiwaniu pomysłów. Wszędzie znajdował coś, czym się pasjonował. Tę latarnię na Isle de Re... – wskazała jedną z fotografii – i tamtą na Korfu. Światło popołudnia w Bretanii... Aż pewnego dnia kardiolog powiedział Williamowi, że trudy podróży skłaniają go do zalecenia, by pozostał w domu.

– Czy William posłuchał jego rady? Teddy pokręciła przecząco głową.

– Nie, nie posłuchał. Z gabinetu lekarskiego przyszedł prosto do domu i zarezerwował nam miej sca na transatlantycki rejs statkiem „Queen Elizabeth” i dwutygodniowy pobyt na Morzu Śródziemnym.

– Próbowalas go powstrzymać?

– Próbowalam – odparła Teddy – ale nie na długo.

– Dlaczego?

– Bo kochałam Williama takiego, jakim był. Kochałam w nim nawet tę nieustępliwość i

upór. – Lekarka z nikłym uśmiechem pochyliła głowę. – Przynajmniej tak sobie teraz mówię. Wówczas jednak... no cóż, to nie było łatwe.

– Popłynęłaś z nim w ten rejs?

– Tak.

May wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że kiedy dotrze do samochodu, Martin nadal będzie rozwścieczony diagnozą. Zechce pójść do innego lekarza; do kogoś, kto powie mu to, co chce usłyszeć.

– Martin marzy o zdobyciu Pucharu Stanleya – powiedziała – bardziej niż o czymkolwiek innym. Mówi, że pragnie go dla siebie, ale ja sądzę...

Teddy czekała.

– Myślę, że pragnie go dla ojca – dokończyła po chwili May, czując, jak słowa wyrywają jej się z gardła. – Martin chce wygrać ten Puchar dla Serge'a.

– Będzie potrzebować twego wsparcia. Pracowałam już ze sportowcami. Przeraza ich utrata siły, jaka wydaje im się połączona z utratą wzroku. Zwątpi w siebie całkowicie, bądź więc cierpliwa, jeśli tylko potrafisz. Ale pamiętaj: nie ma czasu do stracenia. Leczenie trzeba zacząć natychmiast.

– Wiem – powiedziała May, ocierając oczy.

– Czeka cię trudne zadanie – stwierdziła Teddy – ale wiem, że mu sprostasz.

– Miło spędziliście ten czas?

– Słucham?

– Na pokładzie „Queen Elizabeth”, na rejsie z Williamem...

– Zmarł podczas tej podróży, kochanie – powiedziała cicho Teddy. – Trzeciej nocy.

Martin wybiegł z gabinetu bez kluczyków, gdy więc May wyszła, stał oparty o samochód. Wieczór był gorący i parny, a kryty parking śmierdział benzyną i spalinami. Z południowowschodniej autostrady dochodziły odgłosy klaksonów. Stadion Fleet Center oddalony był zaledwie o kilka przecznic i Martin wyobrażał sobie zespół przygotowujący się do sezonu.

– Przykro mi, że trwało to tak długo – powiedziała May.

– Nie przejmuj się – rzekł, czekając, by otworzyła drzwiczki samochodu. Starannie unikali zarówno wzajemnych spojrzeń, jak i dotknięć. Gdy tylko usiadła za kierownicą, ze zdenerwowania upuściła kluczyk na podłogę. Podniosła go szybko i włożyła do stacyjki, ale nie mogła przekręcić. Martin wyciągnął rękę i uruchomił silnik.

– Jestem zdenerwowana – przyznała.

– Nie denerwuj się – powiedział. – O tej porze nie będzie zbyt dużego ruchu.

Odchylił oparcie swego fotela, sięgnął po leżącą z tyłu bejsbolową czapkę i włożył ją sobie na głowę. Z wyjątkiem występu drużyny Blue Jays w Toronto nie widzieli w tym roku zbyt wielu rozgrywek. Zwykle oglądał ich więcej.

– Wiesz, co najbardziej lubię latem? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała, skręcając w Storrow Drive.

– Bejsbol i wędkowanie. Zdaje się, że nie zazналиśmy w tym roku zbyt wiele tych przyjemności.

– Kilka razy wypływałeś z Kylie na ryby – przypomniała mu ostrożnie, starając się panować nad głosem, żeby powstrzymać się od krzyku. – Pojechaliśmy też z Gardnerami na mecz.

– To za mało. Powinniśmy wstawać codziennie rano i wypływać na jezioro, żeby Kylie miała okazję złowić króla pstrągów. Zarzucić na niego wędkę tylko po to, żeby się z nim przywitać i puścić wolno.

– Będzie miała jeszcze wiele okazji – powiedziała May. – Teraz myślę o tobie.

– Mną się nie przejmuj – rzekł Martin. – Ja mam się doskonale.

– Słyszałeś, co powiedziała Teddy – odparła. – Nie jest doskonale.

Gdy jechali wzdłuż rzeki, Martin otworzył okno. Czując wiatr, który chłodził mu twarz, zastanawiał się, czy akademickie osady wioślarskie rozpoczęły już treningi. Jedną z największych przyjemności ostatniego sezonu było dlań oglądanie przygotowań załóg Harvardu i Uniwersytetu Bostońskiego na leniwej rzece w połyskliwych białych łodziach wiosłowych ślizgających się po wodzie.

– Sezon hokejowy zaczyna się...

– Nic mnie nie obchodzi sezon hokejowy! – krzyknęła May.

– Ale mnie obchodzi – odparł Martin.

– Posłuchaj! Ty mnie obchodzisz! Kocham cię! Masz szansę zrobić coś natychmiast, żeby ocalić wzrok. Twój wzrok, Martin. Nie opowiadaj, że wyjedziesz na łód, żeby zrobić sobie krzywdę, gdy ktoś na ciebie wpadnie...

– Nikt na mnie nie wpadnie – oznajmił.

– Ty nie widzisz! Wiem, że chcesz grać, ale nie widzisz, Martin.

– Jedno oko pracuje za obydwa – uparcie twierdził Martin, trzymając się słów Maurice'a Pilote'a.

– Nie słyszałeś? – krzyknęła May. – Teddy powiedziała, że stracisz wzrok w drugim oku! Oślepniesz!

Martin zacisnął zęby. Nie chciał słyszeć tego słowa. Ślepiec... Gdyby go nie słyszał, działałby jak dawniej.

– Zamilcz!

– Martin...

– Chciałaś mnie zmusić do wizyty u ojca, a teraz zmuszasz mnie do akceptacji nieprawdy.

– Nawet mnie nie słuchasz! – powiedziała. – Spotkanie z ojcem byłoby dla ciebie najlepsze, ale nie o tym teraz mówimy. Teddy twierdzi...

– Nie będę inwalidą z białą laską spędzającym w ciemności resztę swego życia – oświadczył. – Myślisz, że mi się to podoba? Myślisz, że mógłbym w ogóle żyć w ten sposób? Jestem hokeistą i nie zamierzam być pieprzonym ślepcem! – uderzając pięścią w deskę rozdzielczą, wyrwał z zawiasów pokrywkę schowka na rękawiczki. Wykrzyczał to tak

donośnie, że własny głos dzwonił mu w uszach.

May płacząc zjechała na przeciwległy pas ruchu. Rozległy się klaksony. Serce Martina biło jak młotem. Miał ochotę wyskoczyć z samochodu. Przypuszczał, że jechali z prędkością stu kilometrów na godzinę i zastanawiał się, czy uderzenie głową w nawierzchnię byłoby znacznie gorsze niż cios wymierzony kijem hokejowym.

– Zjedź z drogi – powiedział.

– Ani myślę. Zawiozę cię do domu.

– Utrata wzroku byłaby gorsza niż pójście do więzienia – powiedział. – Nie jestem kaleką.

– Wiem! – krzyknęła.

Ściskając kierownicę, pozwoliła łzom płynąć po twarzy. Spoglądając spod oka, zobaczył te łzy w jaskrawym blasku lamp oświetlających autostradę. Wyciągnąwszy rękę, dotknął jej policzka.

– May...

– Nie chcę, żebyś stracił wzrok – załkała.

– Zjedź z drogi – powiedział ze ściśniętym gardłem.

– Proszę, chcę cię objąć. Proszę cię, May. Przepraszam, że krzyczałem. Nie chciałem cię zranić.

– Wracamy do domu, nad jezioro – oznajmił Martin następnego ranka. Tulili się przez całą noc, nie rozłączając się ani na chwilę. May straciła rachubę, ile razy się kochali, zapadali w sen i kochali się znowu. Jakby bali się ciemności, jakby przepelniał ich strach, że odpłyną w nicość.

– Teddy jest najlepsza – odparła. – Nie możemy wyjechać. Chce cię widzieć za tydzień, po kuracji prednizonem.

– Będę zażywać ten lek – powiedział. – I wrócę za tydzień, ale potrzebuję jeziora.

– Obiecujesz? – zapytała.

– Taaaa...

Nie wiedziała, czy mu wierzyć czy nie. Uciekał wzrokiem, jakby kłamał.

– Mam być cierpliwa – powiedziała – i przekonać cię do natychmiastowego leczenia. Jak zrobić to jednocześnie?

– Jest lato – rzekł. – Czas wędkowania i pływania. Jedziemy do domu.

– Dobrze – zgodziła się May. – Na tydzień.

Jezioro i góry przywitały ich jak rodzina i May zrozumiała, że dobrze zrobili przyjeżdżając nad Lac Vert. Woda była spokojna i tajemnicza; patrzyła w nią godzinami, zastanawiając się, co niesie przyszłość. Słońce wschodziło i zachodziło za górami, a popołudnia przesycone były cudownym, nieco zamglonym światłem; migoczącą drobinami wilgoci i kwiatowego pyłku złocistą poświatą, która kazała May wierzyć, że wszystko będzie dobrze, że cuda się zdarzają i że miłość ma moc uzdrawiania.

Wszyscy troje, ona, Martin i Kylie, codziennie pływali; May chętnie wyobrażała sobie, że wody Lac Vert leczą oczy Martina. Znalazła Biblię należącą niegdyś do teściowej i odszukała

opowieść o Jezusie uzdrawiającym ociemniałego. Ponownie powiesiła w salonie wyhaftowany przez Agnes obrazek. Gdy Martin i Kylie bawili się w wodzie, ona siedziała wpatrzona w światło lata i marzyła, aby ów czas trwał wiecznie.

Nocą Martin ją tulił. Zawarli cichy pakt, udając, że nic się nie dzieje. Mieli tydzień, by się przekonać, jaki skutek przyniósł kortyzon. Potem wrócą do Teddy i omówią dalsze działania. Kiedy Martin mówił o NHL, o dokonywanych transferach zawodników, o tym, kto wraca, a kto ją opuszcza, o szansach Boston Bruins na kolejny mistrzowski sezon, słuchała go cierpliwie. Kiedy zaś leżąc na plecach rysował w powietrzu kolejne zagrania, opowiadając historie swych najlepszych bramek, śmiała się i próbowała zobaczyć je oczyma wyobraźni.

Genny i Ray zaprosili ich na grilla, ale Martin się wymówił. Genny zaczynała chyba coś podejrzewać – niemal nie widywali się tego lata – ale May stwierdziła, że woli taką drogę: odmowa była najlepszym sposobem na utrzymanie wszystkiego w tajemnicy, aby lęki pozostały niewypowiedziane, a świat o niczym się nie dowiedział. Jediną osobą, która wiedziała, była Tobin daleko w Black Hall.

Kiedy Kylie przybiegła, by powiedzieć, że Martin chce ją zabrać na ryby, aby mogła złowić wielkiego króla pstrągów, który mieszkał w jamie nie opodal wyspy, May poczuła lodowaty dreszcz. Martin nie widział dalej niż na odległość dziesięciu metrów, nie mogła więc pozwolić, by Kylie wypłynęła z nim sama na środek jeziora.

– Ja też popłynę – powiedziała.

Zapakowały piknikowy kosz i wyruszyły, nim słońce wzniosło się nad szczyty gór. May uwielbiała tę porę dnia. Jezioro było wtedy szafirowo-błękitne, a powietrze tak przejrzyste, że widziała krążące wysoko orły. Kylie siedziała na dziobie, wypatrując ryb przepływających pod łodzią. Martin i May siedzieli na wprost siebie; ona na rufie, on wiosłował, zajmując środkowe miejsce.

Czuła się taka spokojna i bezpieczna, gdy nagle zrozumiała, że Martin nie widzi drogi. Pokonuje ją wiedziony instynktem. To było jego jezioro, zna więc tutaj na pamięć każdy kamień i każdy zakręt. Wiosłował wstecz nawet się nie odwracając, wpatrzony w oczy May.

Złapała się na tym, że zastanawia się, czy ją widzi czy nie. Kiedy się uśmiechnęła, jego twarz nawet nie drgnęła.

– Pływające gałęzie! – krzyknęła Kylie. – Skręć trochę w lewo.

Martin wydawał się ledwie słyszeć, ale mocniej nacisnął lewe wiosło i ominęli splecione korzenie starej sosny. Nieco dalej zobaczyli rodzinę jeleni płynącą na wyspę. May usłyszała śmiech Kylie opisującej to Martinowi.

– Rodzice i dwa jelonki – mówiła.

– Ty jesteś moim jelonkiem – odpowiedział.

– Ja i Natalie.

– To prawda – zgodził się. – Ty i Natalie. Dopłynawszy do „pstragowej jamy” Martin pomógł Kylie zarzucić wędkę. Dziewczynka cieszyła się na myśl, że złapią największego starego pstrąga. Martin skinął na May. Nigdy nie była entuzjastką wędkarstwa, ale pozwoliła, by stanął za nią i uczył, jak zarzucić wędkę.

– Potrzebna ci muszka imitująca to, co jedzą ryby – rzekł.

- A co jedzą ryby? – zapytała.
- Czarne muszki, prawda? – upewniała się Kylie.
- Prawda, Kylie – potwierdził. – Król pstrągów czeka.

Kylie skinęła głową, pochylając ją lekko. May obserwowała córkę, zastanawiając się, czy Kylie nasłuchuje ryb, czy w ogóle coś słyszy. Niebieski notes leżał nieużywany od owego wieczoru, gdy skończyły się sny i głosy. Kylie nie miała już nowych wizji, a teraz stała się dziwna rzecz: May zatęskniła za nimi.

Dryfowali po jeziorze. Gdy słońce uniosło się wyżej, głębiej nasunęli na oczy przeciwsłoneczne kapelusze. May przestała się niepokoić, że cokolwiek się wydarzy. Narzuciła sobie myśl, że ten letni dzień będzie trwał zawsze. Zjedli lunch, światło stało się mgliste, a złotawe powietrze skąpało rodzinę Cartierów w magii i nadziei.

Kylie złapała dwa małe pstrągi, a Martin trzy. Wypuścili je do wody. Gdy później wiosłował w stronę domu, May poczuła się tak, jakby wracali do normalności. Wiosłowanie, prowadzenie samochodu, jazda na łyżwach... mógł to robić.

– Mamy jakiś gład po prawej stronie! – zawołała Kylie, a kilka minut później krzyknęła: – Ojej, spójrz na tego nura nurkującego po rybę!

Może Lac Vert ma jakąś uzdrawiającą moc. Może w tym błogosławionym złocistym świetle zdarzy się cud i Martin znowu będzie widział. Będą powtarzać te wędkarskie wyprawy w następnych latach. Zimą będą jeździć tu na łyżwach, zastanawiając się, czy wielki król pstrągów śpi w mule pod lodową pokrywą.

Jednakże kiedy wrócili do domu, wrażenie spokoju i ukojenia zniknęło. Dzwonił telefon. May pobiegła go odebrać.

- Słucham?
- Cześć, May. Mówi Jacques Dafoe.

– Witaj, trenerze – odparła. Przez chwilę myślała, że dowiedział się o wizycie Martina u doktor Collins, ale jego głos brzmiał zbyt beztrusko. Pogawędzili więc chwilę o lecie, dzieciach i szybko zbliżającym się sezonie hokejowym. Martin stanął obok, czekając aż odda mu słuchawkę. Czowała jego napięcie i aż rozbolał ją żołądek. – Oddaję ci Martina – powiedziała.

- Witaj, trenerze – rzekł Martin. – *Cava?*

W czasie ich rozmowy rozpakowała piknikowy kosz. Umyła termos i plastikowe pojemniki, a potem włożyła do lodówki nie zjedzone brzoskwinie i winogrona. Martin więcej słuchał, niż mówił i May czuła, jak gwałtownie bije jej serce. Odłożywszy słuchawkę, oparł głowę o ścianę i długo się nie odzywał.

- Martin, co się stało? – zapytała, bojąc się tego, co jej powie.

– Trener chciał, żebym usłyszał to od niego – odezwał się w końcu. – Zwołuje zebranie drużyny. Mamy się spotkać w przyszły wtorek, żeby poznać naszego nowego bramkarza.

– Nowego bramkarza? – May zmarszczyła brwi, myśląc o koledze Martina, Brunonie, który przez ostatnich siedem lat był bramkarzem Bruinsów.

– Władze klubu dały za niego Brunona i dwóch innych zawodników. Mamy teraz w drużynie dwukrotnego zdobywcę Pucharu Stanleya. Nowym bramkarzem jest Nils Jorgensen.

– Żartujesz?!

– Nie. Nie żartuję. Nie żartuję!!! – głos Martina wzniósł się do morderczego ryku. Uderzył pięścią w ścianę, trafiając w złącze boazerii. Piorun wyskoczył ze swego posłania pod kuchennym stołem i zaczął ujadać. Kylie stanęła w wejściu i otworzywszy usta, przyciskała ręce do znajdujących się za nią drzwi.

May zrobiła krok do przodu, by go objąć, by jakoś dać mu do zrozumienia, że jest z nim, ale przebiegł obok niej. Zobaczyła, jak na oślepie zbiega ścieżką wiodącą do jeziora. Jego plecy stały się niewyraźną plamą, a chwilę później zniknął za zboczem góry.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Kylie wpatruje się w haftowany obrazek wiszący obok okna. May również przyjrzała się zwierzątkom śpiącym spokojnie obok siebie. *Wilk spocznie obok jagnięcia, lampart położy się z koźlątkiem, a poprowadzi ich dziecię.*

Kylie podniosła wzrok ku May.

– Ja jestem tym dzieckiem – oświadczyła. – Natalie mi powiedziała. Ja miałam go gdzieś poprowadzić, ale się spóźniłam.

– Nie, nie spóźniłaś się – odparła May.

ROZDZIAŁ 26

Zarząd Klubu Boston Bruins dokonał transakcji dziesięciolecia; w skład drużyny wszedł Nils Jorgensen. Z Nilsem „Sztyletem” i Martinem „Złotym Młotem” z pewnością wygrają tegoroczny Puchar Stanleya. *Możemy się spodziewać iskrzenia* – przewidywali komentatorzy sportowi. – *Ostra rywalizacja Jorgensen – Cartier ma długą historię i z pewnością nie wygaśnie tylko dlatego, że będą występować w tych samych barwach.*

Przygotowując się do wyjazdu do Bostonu, May wiedziała, że ma kilka niezłatwionych spraw. Martin chciał odwołać wizytę u Teddy, ale nic na świecie nie zmusiłoby go do opuszczenia spotkania drużyny. Myślał tylko o bramkach.

Pakując bagaże, May wyjęła z szuflady biurka list, który niegdyś wyjęła z kosza. Rozprostowała go i zaniósła Martinowi.

– Wyrzuciłeś ten list.

– Wiem.

– Otworzyłam go – powiedziała.

Potrząsnął głową, twarz mu się zaczerwieniła. Widziała jego zwięzione oczy i poczuła strach, że znów od niej odejdzie, ale chwyciła go za rękę i uspokoiła.

– Nie powinnaś była tego robić – rzekł, próbując się odsunąć.

– Wiedziałam, że ci się to nie spodoba. Uważam, że nie masz racji. Powinieneś go przeczytać.

– Mam ważniejsze powody do zmartwień.

– Wiem, że tak myślisz, ale się mylisz.

– Mój najgorszy wróg ma być teraz moim kolegą klubowym! – wybuchł.

– Martin, przeczytaj list swego ojca.

– Zapomnę, że go otworzyłaś, dobrze? – rzekł. – Po prostu dajmy temu spokój.

– Już raz mnie opuściłeś – odparła, wciąż ściskając jego rękę. – Złamało mi to serce. Naprawdę, Martin. Przez całe lato nie mówiłam o sprawie, którą uważam za ważną dla nas wszystkich. Musisz przeczytać jego list. Proszę...

– Wyrzuć go, May – powiedział groźnie.

– Nie wyrzucę.

Wzruszył ramionami i wrócił do pakowania bagaży.

Następnego dnia wszedł do Fleet Center, mijając po drodze grupę dziennikarzy i fotoreporterów. Wokół błyskały flesze, zewsząd rozlegały się pytania. Zignorował je. Szedł o krok przed innymi. May została na zewnątrz; początkowo chciała mu towarzyszyć, ale wyglądałoby to podejrzanie. Szedł wolno i ostrożnie, bacząc, by nie zaplątać się w kable ekipy telewizyjnej.

– Martin, czy rywalizacja się już skończyła?

– Uściśnięcie sobie dłonie i pogodzicie się?

– Wybaczysz i zapomnisz?

– Martin, przyłożysz dziś Nilsowi?

Ignorując dziennikarzy, Martin zniknął w szatni. Panował w niej półmrok, ale słyszał głosy. Znane przekomarzenia kolegów, żarty o minionym sezonie i wzajemne przechwałki o „winie, kobietach i śpiewie” podczas wakacji. Martin usłyszał śmiech Raya i skierował się w stronę, skąd dochodził jego głos.

Czuł suchość w ustach. Nie widział, gdzie idzie, i bał się, że zostanie to zauważone. Ciemny woal pokrywał wszystko na jego drodze. Widział grupki mężczyzn stojących wokół, ale nie mógł rozpoznać twarzy. Wszystko co znajdowało się w tym pomieszczeniu, utrwalone było w jego pamięci: szafki, automaty z napojami, ławki. Przechodząc koło jednej z nich, wpadł na kogoś, kto przeciął mu drogę.

– Co jest, do cholery! – odezwał się czyjś głos.

– Przepraszam – rzekł Martin.

Przeprosiny nie zostały przyjęte. Poczł czyjeś ramię na piersi i palce zaciskające się na gardle; ktoś pchnął go na szafki. Szczęknął metal, klubowi koledzy jęknęli. Martin zamachnął się instynktownie, wymierzając cios. Posłyszał brzęk, coś się stłukło. Przewalali się po podłodze i choć Martin nie widział twarzy przeciwnika, czuł od niego wystarczającą nienawiść, by wiedzieć, że bije się ze swym nowym kolegą klubowym, Nilsem Jorgensenem.

– Przestańcie! – krzyknął trener.

– Martin... – odciągał go Ray.

– Zabierzcie go.

Jedna połowa drużyny odciągała Jorgensena, druga Martina, który czuł, że policzek, rozcięty i krwawiący, już zaczyna mu puchnąć. Ktoś podawał Jorgensenowi ręcznik, asystent trenera poszedł po kostki lodu. Martin usiadł na jednej ławce, Jorgensen – na przeciwnej. Trener Dafoe stanął między nimi, reszta kolegów zaś ustawiła się wokół.

– I co, chłopcy, wyrzuciliście już z siebie wszystko?

– Napadł na mnie! – poskarżył się Jorgensen.

– Serdeczne bostońskie powitanie – rzekł Martin. – Nie kapujesz?

– Nie ma to jak przyjacielska potyczka na początku sezonu – Ray próbował załagodzić sytuację.

– Powinienem wyrzucić was obydwu – powiedział trener – ale jestem dziś w zbyt dobrym nastroju. Chłopcy, rozejrzyjcie się wokół, weźcie głęboki oddech i zapiszcie tę chwilę w pamięci.

Martin poczuł w dłoni lodowy kompres i przyłożył go do policzka. Wbił wzrok w rozległą, dźwięcząca echem przestrzeń. Zobaczył cienie. Czuł przypływ adrenaliny i skutki walki. Wiedział, o czym powie trener. Miał już za sobą setki takich odpraw, ale ta naładowana była większą mocą niż wszystkie poprzednie.

– Ten sezon należy do nas – oświadczył Dafoe. – To będzie sezon naszej chwały. Ruszamy po Puchar Stanleya.

– I zdobędziemy go – stwierdził Jorgensen. – Wierzcie mi, jestem tego pewien.

Martin czuł rosnące w nim napięcie. Prawie gotów był przeskoczyć przez trenera, by zdusić to zadufanie w głosie bramkarza. Paru kolegów zagwizdało, kilku się roześmiało.

Martin usłyszał chichot Raya i niemal zobaczył, jak jego przyjaciel kręci głową w ten swój nadmiernie skromny sposób.

– Jak zobaczyliśmy dzisiaj – mówił dalej Dafoe – naszym największym wyzwaniem nie będą zawodnicy drużyny Edmonton Oilers, lecz my sami.

– On nim będzie – oświadczył Jorgensen. – Nie ja.

– Hokej jest sportem rywali, a wasza rywalizacja należy do najzaciętszych w historii. Będą o niej pisać jeszcze długo po waszej śmierci. Sztylet kontra Złoty Młot. Jesteście ze sobą związani silniej niż małżeństwo.

– Romeo i Julia! – roześmiał się Jack Delaney. Zmrużywszy oczy, Martin dostrzegł zamazaną sylwetkę Jorgensena. Poczłł smak nienawiści. Jorgensen zrujnował mu wzrok, pozbawił szans na dwa Puchary Stanleya. Słowa trenera mówiącego, że będą związani na zawsze, przyprawiły go o mdłości.

– Teraz jednak oczekuję – ciągnął Dafoe – że zostawicie przeszłość za sobą. Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie. Idźcie na jakieś pole i walczcie do pierwszej krwi albo wyjdźcie na lód i przez cały dzień strzelajcie sobie bramki lub wybierzcie się z żonami na wspólną kolację i dobrze się bawcie... tak, do diabła, weźcie je do Ritza. Na mój koszt!

– Nie, do diabła – mruknął Martin.

– Pierwszy raz się zgadzam – rzekł Jorgensen. – Prędzej diabeł zmieni się w anioła, niż my pójdziemy na wspólną kolację.

– Randka w ciemno! – parsknął szyderczo Martin.

– Dosyć! – krzyknął trener. – Powiedziałem, czego się po was spodziewam. Po was obydwu! Nils, witaj w naszym klubie. Kiedy składam swoim zawodnikom jakąś propozycję, oczekuję, że zostanie ona przyjęta. Ty, Martin, wiesz o tym lepiej. Zachowujesz się jak głupi dzieciak, choć nie jesteś głupi i z pewnością nie jesteś dzieckiem. Czy muszę ci mówić, że to może być twoja ostatnia szansa na zdobycie Pucharu?

– Nie musisz – mruknął Martin.

– Starzejesz się – zachichotał Jorgensen.

– No, no! – rzucił ostrzegawczo Ray.

– Wspólna kolacja u Ritza... – rzekł z namysłem trener. – Podoba mi się ten pomysł. Okay, chłopcy; rezerwuję czteroosobowy stolik w restauracji Ritza na sobotni wieczór. Żeby uniknąć nieporozumień, dokonam rezerwacji na swoje nazwisko, ale mnie tam nie będzie.

– Chyba żartujesz – powiedział Martin.

– Nie żartuję.

– Ależ, trenerze... – zaczął Jorgensen.

– Ani słowa – twardo uciał Dafoe. – Miły stolik przy oknie, abyście mogli spoglądać na Public Garden i zacieśniać więzy przy butelce dobrego bordeaux. Może po kolacji wybierzecie się na przejażdżkę łódką po parkowym stawie.

– Mowy nie ma – oświadczył Martin.

– Będziecie przyjaciółmi – rzekł trener. – Nawet jeśli jeszcze tego nie wiecie. Wątpię, czy sami zdołacie się zaprzyjaźnić, więc biorę w tym pewien udział. Mam też wielkie zaufanie do May i Britty. One mają rozum, który wy wzajemnie powybijaliście sobie z głów.

Martin wstał. Wiedział, że May czeka na niego w samochodzie przy wyjściu dla zawodników. Miał wilgotne ręce i skurcz żołądka.

– Uściśnijcie sobie dłonie – powiedział trener. – Treningi zaczniemy tydzień wcześniej, by wszyscy przyzwyczaili się do siebie.

Martin poczuł dziwną siłę. Wzbierała w jego ciele tysiącem emocji i wiedział, że jeśli natychmiast nie wyjdzie z szatni, spowoduje tu prawdziwe spustoszenie. Skierował się ku wyjściu.

– Powiedziałem: uściśnąć sobie dłonie! – krzyknął Dafoe.

Martin przyspieszył kroku. Trafił w koniec ławki, a potem w czyjaś torbę ze sprzętem. Potknął się i upadł na jedno kolano. Czuł, że wszyscy obserwują go w milczeniu, gdy próbował odzyskać oparcie.

– Macie jakiś problem? – zapytał, tocząc wzrokiem po szatni. – Na co się tak gapiacie?

– Martin, człowieku – rzekł jeden z nowicjuszy. – Dobrze się czujesz?

– Żadnego taktu – rzekł drwiąco Jorgensen.

Martin podniósł wzrok i zobaczył Szweda stojącego nad nim z wyciągniętą ręką. Odtrącił ją w jednej chwili.

– Cartier! – warknął groźnie trener.

Zignorował go. Z dzwoniącym w uszach własnym nazwiskiem, odprowadzany milczeniem kolegów wyszedł z szatni. Chciał biec, ale bał się, że upadnie. Zmusił się, by iść powoli wzdłuż prostej linii wiodącej przez korytarz, który znał tak dobrze. Na zewnątrz w samochodzie gotowym do drogi czekała May. Martin usłyszał za sobą głos Raya, ale się nie zatrzymał.

– Co to było? – spytał później Ray, zadzwoniwszy wieczorem do Martina.

– Nie wiem – odparł Martin. Nie miał ochoty na rozmowę. Nie rozmawiałby w ogóle, ale May wcisnęła mu do ręki słuchawkę, zanim zdołał powiedzieć, że nie ma go dla nikogo.

– Co się z tobą dzieje?

– Nic. Dlaczego pytasz?

– Potykałeś się o wszystko, jakbyś był pijany... A nie piłeś, prawda?

– Znasz mnie przecież, nie pokazuję się po alkoholu.

– Zazwyczaj nie wypinasz się też na trenera i kolegów.

– Przepraszam – odparł Martin.

– Posłuchaj, dla mnie też ta transakcja to szok. Nie będzie łatwo przyzwyczaić się do Jorgensena.

– Arogancki palant!

– Taaa... prawdziwa primadonna. Przechwala się sławą, fortuną i opowiastkami o dwukrotnym zdobyciu Pucharu Stanleya.

– W meczach z nami – przypomniał mu Martin.

– Tak, z nami – przyznał Ray. – Ale w jednej sprawie trener ma rację: musimy zostawić to za sobą. Jorgensen jest najlepszym bramkarzem NHL i teraz jest nasz. Spójrz na to w ten sposób.

– To bardzo trudne.

– Może tak, ale to najlepszy punkt widzenia – rzekł Ray, a po krótkiej przerwie zapytał: – Jesteś pewien, że nic ci nie dolega?

– *Bien sûr* – odparł Martin. – Czuję się doskonale.

Szukając wsparcia, May zwróciła się do Tobin. Telefonowały do siebie pięć razy dziennie, wynagradzając sobie to, że May zaniedbywała pracę i nie widywały się w firmie.

– Bardzo się niepokoję – mówiła May. – Martin całkiem się izoluje, nie chce z nikim rozmawiać. Tak jakby myślał, iż może po prostu przespać swój problem. Wstydzi się i właśnie to jest najgorsze. Nie zrobił nic złego; tymczasem się ukrywa, nie potrafi spojrzeć w twarz przyjaciółom.

– Dokładnie tak samo było z Johnem, gdy stracił pracę – powiedziała Tobin.

– Czasami obwiniam za to hokej – westchnęła May – jego brutalność. Ci ludzie traktują kontuzje jako rzecz oczywistą. Myślę o Serge’u i Agnes, zastanawiając się jak mogli mu na to pozwolić. Przecież Serge wiedział, jaki to niebezpieczny sport. On wiedział, Tobin.

– Tak jak John i Michael w samochodzie wyścigowym – odparła Tobin. – Wierz mi, truchleję na myśl, co się może stać. Ale ojcowie i synowie... właśnie to ich łączy. Tak się porozumiewają. Czasami myślę, że tylko tak potrafią sobie powiedzieć, że się kochają. Wspólnie ponosząc ryzyko.

– Może. – May przypomniała sobie twarz Serge’a, tak poznaną bliznami po uderzeniach krążków i kijów jak ciało Martina.

– Znowu telefonował wasz trener – powiedziała May kilka dni później, wchodząc na górę i zastając Martina w łóżku w samym środku dnia. Tak jak wcześniej opowiadała Tobin: tkwił pod kołdrą w nadziei, że kolejne dni jakoś przemina.

– Daj mi spokój – powiedział. – Jestem zmęczony.

– Śpisz już czternaście godzin – odparła May, siadając na łóżku. Przy nodze Martina spał Piorun; musiała go odsunąć. – Nie możesz być zmęczony.

Martin przewrócił się na drugi bok.

– Trener przypomina, że w sobotę wieczorem jemy kolację z Nilsem i Britta Jorgensenami. Mamy spotkać się z nimi w restauracji Ritza o ósmej. Powinam chyba zapytać ciocię Enid, czy zostanie z Kylie.

– Znasz moją odpowiedź – rzekł Martin.

– Trener mówi, że to polecenie.

– Powiedz mu, żeby się odpieprzył.

May spojrzała na zegarek. Zbliżało się południe. Na trzecią Martin miał wyznaczoną wizytę u Teddy. Odwołał dwa ostatnie terminy, a minęło już piętnaście dni od chwili, gdy zaczął brać kortyzon.

– Telefonowała Teddy – powiedziała May. – Musi cię zobaczyć.

– Bo co?

– Bo sytuacja się pogorszy.

– Naprawdę sądzisz, że może być gorzej?

– Zrób to dla mnie, jeśli nie dla siebie. Pamiętasz, że przyrzekłeś? – Położyła dłoń na

plecach Martina i zaczęła nią zataczać powolne kręgi.

– Nie chcę tam iść.

– Wiem – powiedziała, przechylając się przez jego plecy, by pocałować go w policzek. – Ale zrób to dla mnie i Kylie. Zrób to dla naszej rodziny.

W samym środku popołudnia weszli do bostońskiego szpitala okulistycznego. Martin trzymał May pod rękę, ona zaś wiodła go ostrożnie korytarzem.

– Witaj, Martin! – zawołał strażnik, a wtedy wielu lekarzy i pacjentów ujrzało znanego hokeistę. Jakiś chłopiec poprosił o autograf i Martin złożył go w milczeniu.

Teddy, zadowolona ze spotkania, powitała ich przyjaźnie, nie karcąc Martina za zwłokę. May była jej bardzo wdzięczna. Martin z trudem nad sobą panował i wszystko mogło doprowadzić go do wybuchu albo skłonić do gwałtownego odwrotu ku bezpiecznemu schronieniu łóżka.

Badanie przebiegło szybko. Po jego zakończeniu Teddy poprosiła May do wewnętrznego gabinetu, gdzie siedział już Martin. Lekarka w swym białym kitlu wyglądała bardzo oficjalnie. Jej twarz wyrażała współczucie i May poczuła, jak pęka jej serce.

– Kortyzon nie działa – oznajmiła Teddy. – W każdym razie nie tak, jak mieliśmy nadzieję.

– Nie... – wyszeptła May.

Martin patrzył prosto przed siebie. Był taki przystojny, jego oczy lśniły życiem i May nagle przypomniała sobie, jak się w nim zakochała; ogarnęło ją wspomnienie tego pierwszego dnia, gdy wyniósł Kylie z zadymionego samolotu.

– Powikłane odwarstwienia i duże uszkodzenia siatkówki niekiedy wymagają różnych metod leczenia – wyjaśniła Teddy. – Najlepszą jest witrektomia czyli... – przeszła do opisu zabiegu polegającego na usunięciu ciała szklanego i odprowadzeniu krwi z prawego, dobrego oka, zanim nastąpi dalsze uszkodzenie nerwu wzrokowego; zabiegu będącego próbą ocalenia tego widzenia, jakie jeszcze zostało. May słuchała, czując, że szumi jej w głowie.

– Moje lewe oko... – rzekł Martin.

– Dla twojego lewego oka nic już nie można zrobić – cicho powiedziała Teddy.

– Czy prawym będę widział lepiej po tej operacji?

– Nie.

Oczy May napełniły się łzami. Chwilowo sama niczego nie widziała, słyszała więc tylko, jak Teddy łagodnie podsuwa jej pudełko z chusteczkami higienicznymi. Martin siedział całkowicie spokojny. Otarłszy łzy, spojrzała na niego. Miał wyprostowane plecy i twarz pełną odwagi, a gdy obrócił się do May, w jego oczach nie było ani śladu strachu.

– Przykro mi – rzekł.

– Martin... – szepnęła drżącym głosem.

– Chciałabym, aby ta operacja odbyła się jak najszybciej – powiedziała Teddy.

– Dobrze – zgodził się Martin.

– W najbliższy wtorek. Z samego rana.

– Doskonale.

May sięgnęła po torebkę oraz żakiet słuchając, jak Teddy informuje Martina, gdzie ma się stawić oraz żeby przed operacją nic nie jadł ani nie pił. Jej głos tchnął spokojem i ufnością. May rozejrzała się wokół.

Ze ścian jaśniały latarnie morskie sfotografowane niegdyś przez Williama. May przypomniała sobie, że gdy ujrzała je po raz pierwszy, ich światła wydały się jej pełne nadziei i wiary. Teraz wiedziała, że Martin wkracza w ciemność i modliła się o siłę, która pomoże mu przejść przez wszystko, co ma się wydarzyć. Zamknęła oczy, wyobrażając sobie snop światła omiatający horyzont i wskazujący im drogę.

ROZDZIAŁ 27

Przedtem chciał tylko spać. Teraz ani na chwilę nie chciał zamknąć oczu. Tuląc May, wpatrywał się w jej piękną twarz, linie ciała i wyraz oczu. Czy będzie w stanie czuć jej miłość, jeśli nie zdoła jej zobaczyć?

Boston był morzem światła. Wpatrywał się w nie, wspominając jezioro. Wyobrażał sobie góry ostro rysujące się na tle nieba. Widział lekką księżycową poświatę rozciągającą się nad polami i budynkami oraz nad samym Lac Vert. Pomyślał, że księżyc nad Lac Vert jest piękniejszy niż gdzie indziej.

– O czym myślisz? – zapytała May, podchodząc, by stanąć obok niego.

– Nie chcę tego stracić – odparł. Nadzy stali teraz naprzeciwko siebie. Ujrzał płynną światłość na jej gładkiej skórze i ująwszy w dłonie ukochaną twarz, pocałował ją namiętnie.

– Chodźmy do łóżka – rzekła, biorąc go za rękę.

– Nie chcę tego zapomnieć – powiedział. – Chcę to wszystko zapamiętać.

– Zapamiętać...?

– Chcę zapamiętać, jak to wygląda – powiedział ze ściśniętym gardłem. – Jak naprawdę wygląda świat.

Czuł w sobie ogień. Podeszedł do biurka, na którym położył portfel i zaczął go przetrząsać, szukając fotografii Natalie, Kylie i May.

Wpatrując się w zdjęcia, nie mógł odróżnić rysów. Twarze zaczynały już blednąć... nie mógł sobie przypomnieć kształtu twarzy swojej córki, dokładnego koloru jej włosów i oczu, które nigdy nie przestawały się uśmiechać.

– Nie widzę jej – zawołał przerażony.

– Martin... – May próbowała go przytulić, ale ją odsunął.

Wpatrywał się w fotografię córki, ale jej rysy zamazywały mu się przed oczami. Przysunąwszy zdjęcie do twarzy, nie mógł skupić na nim wzroku. Dreszcz trwogi przeszył jego ciało i Martin zrozumiał, że nie ma od tego ucieczki. Czuł się tak, jakby upadał na lód, nie mogąc się podnieść. Jakby zamknięto go w trumnie.

– Już nie zobaczę jej twarzy – powiedział z drżeniem.

– Wiem – odparła May łamiącym się głosem. Martin nie poznawał już własnego dziecka. Nawet nie próbowała go pocieszyć. Nie umiała i Martin był jej wdzięczny, że nie próbuje.

W piątek, dzień przed spotkaniem, które mieli odbyć w restauracji hotelu RitzCarlton, Martin zatelefonował do Jorgensena.

– Czego, do diabła, chcesz? – zapytał twardo Jorgensen.

– Pogadać – odparł Martin, czując suchość w ustach.

– Nie możesz poczekać do jutra?

– Daj spokój z tą kolacją – rzekł Martin. – Spotkajmy się we Fleet Center.

– Gdzie? – z niedowierzaniem zapytał Jorgensen.

– To siedziba twojego nowego klubu, o czym ci przypominam na wypadek, gdybyś zapomniał.

Dojazd do Bostonu wydawał się trwać wiecznie. May była przeciwna temu spotkaniu, ale go zawiozła. Słuchali radia, kusiło ją więc, by wyperswadować mu powzięty zamiar, on zaś nie musiał bronić swoich racji. Kiedy dotarli do Fleet Center, pocałował ją na do widzenia i sięgnął do bagażnika po kij i łyżwy.

– Czy wolno mi powiedzieć, żebyś był ostrożny? – zapytała.

– Nie dzisiaj – uśmiechnął się.

– A jednak powiem.

– Zrobię, co będę mógł – obiecał.

Chociaż ani on, ani Jorgensen nikogo nie informowali o spotkaniu, dziwnym trafem wielu pozostałych zawodników postanowiło się na nim pokazać. Teraz tłoczyli się w szatni, witając Martina, gdy wszedł się przebrać. Przyszedł też Ray. Martin poczuł jego dezaprobatę, zanim jeszcze przyjaciel otworzył usta.

– Nic nie mów – uprzedził go Martin.

– Narwaniec z ciebie – rzekł Ray. – Jeśli wydaje ci się, że cokolwiek musisz udowodnić, daj temu spokój. On jest teraz twoim klubowym kolegą.

– Może.

– W tej sprawie nie ma żadnego „może”. Robi tu więcej niż ktokolwiek inny i kibice go kochają, więc pogódź się z tym i ruszaj do domu. Jutro wieczorem jecie uroczystą kolację.

– Nie będzie żadnej uroczystej kolacji – Martin pierwszy raz w tym roku ubrał się w swój klubowy strój i teraz kończył sznurowanie łyżew. Czuł pośpiech, jak zwykle przed meczem, i wcale nie miało znaczenia, że nie widział, gdzie idzie. Na lodzie był królem, potrafił jeździć na ślepo. Czyż nie powtarzał mu tego ojciec?

Jednakże wstając z ławki, uderzył prosto w ramię Ray a.

– Znów się tak zachowujesz – powiedział Ray.

– Jak?

– Jakbyś był pijany.

– Taaa... Wypiłem trochę po drodze. Ray milczał zaszokowany.

– Martin, on na ciebie czeka! – zawołał Jack.

– *Bien* – Martin przeszedł przez szatnię jak automat. Plastikowa wykładzina wydawała się solidna i nie do zderzenia pod ostrzami jego łyżew. Wchodząc na lód, poczuł ożywienie i przyплыw sił. Przeniknął go znajomy chłód. Znów czuł się niepokonany. Pofrunął wzdłuż bandy, nie widząc niczego na swej drodze. Wiedział jednak, że on i Jorgensen są tu sami i że dziś nikogo między nimi nie będzie.

– Jesteś gotowy? – zawołał przejeżdżając obok bramki.

– Żeby cię zabić! – wrzasnął w odpowiedzi Jorgensen.

– Spróbuj! – krzyknął Martin.

Miał przed oczami plamę czerni i żółci i zadrżał widząc odwiecznego wroga w barwach swojego klubu. Umówili się na to prywatne starcie, pojedynek dwóch sportowców. Trener Dafoe nakazał im odbycie takiego spotkania... na polu, na lodzie, albo przy restauracyjnym stoliku. No cóż, lodowisko było jedynym miejscem na świecie, na którym Martin gotów był spotkać się z Jorgensenem – lodowisko, nie stolik w pieprzonej restauracji.

– Zwiedzasz halę? – krzyknął Jorgensen.

– Nie, ja tylko daję ci szansę wycofania się – odpowiedział bramkarzowi Martin. Czuł, że serce bije mu równo i pewnie. Lód był jego domem; uwielbiał jeździć na łyżwach, a kij dobrze leżący w dłoni dawał mu poczucie pewności siebie. Na nikogo nie wpadnie i nie chybi żadnego strzału. Byli tylko oni dwaj, jeden na jednego; Martin wiedział, że zdoła tego dokonać.

– Hej, Martin! – zawołał Ray i Martin podążył za jego głosem.

– O co chodzi?

– Włóż maskę.

– A kim ty jesteś, moją matką?!

– Nie, od matkowania masz May. Siedzi na górnej trybunie. Ale maskę włóż tak czy inaczej...

– May jest tutaj?

– Obserwuje cię z miejsc dla dzieciaków.

Martin nie uśmiechnął się, ale chyba podobała mu się myśl, iż May ogląda go dzisiaj. Czuł się tak, jakby znalazł się na granicy; może po raz ostatni miał jeździć na tym lodzie... ona powinna widzieć ten moment. Ray podszedł do bandy, aby podać mu maskę ochraniającą twarz i po chwili namysłu Martin ją założył.

Ray uruchomił zegar. Martin Cartier i Nils Jorgensen mieli dziesięć minut, by pokazać, który z nich jest lepszy. Jeśli Martin strzeli gola, będzie zwycięzcą. Jeśli Jorgensen nie wpuści krążka do siatki, triumfotorem będzie on.

Zwykle zagrożony utratą krążka, dziś był panem sytuacji. Oddał serię strzałów zza niebieskiej linii, próbując każdym z nich przygwoździć Jorgensena. Jednakże Jorgensen się nie poddał. Pierwsza minuta nie przyniosła rozstrzygnięcia. Martin zataczał kolejne kręgi i jeszcze dwukrotnie trafił krążkiem prosto w bramkarza.

Z trybuny usłyszał wołanie May.

Usztywnił kręgosłup i ostro zawirował na czerwonej linii. Z bijącym sercem przypomniał sobie dni, jakie spędził na lodzie z ojcem, ćwicząc strzały już po zapadnięciu zmroku. Także teraz, w oślepiającym błysku lśniącego bostońskiego lodowiska, cienie czerni blokowały mu wzrok. Zacisnął pięści, bliski zjechania z lodu.

– Potrafisz! – krzyknęła May.

– No, pokonaj mnie! – parsknął Jorgensen.

Martin pomyślał o ojcu. Wciąż słyszał te same słowa niosące się po rozległym górskim jeziorze: *No, pokonaj mnie!* Ojciec nauczył go wszystkiego, co wiedział o rywalizacji. Hokej był brutalnym, krwawym sportem i mógł uczynić zaciekłych wrogów z najlepszych przyjaciół, także z ojca i syna, jeśli należeli do przeciwnych drużyn.

– Pokonaj mnie! – krzyknął znowu Jorgensen i tym razem Martin pomyślał o ich najcięższej walce, o kiju Jorgensena w swoim oku, o rozbitej kości oczodołu. Poczuł, jak wzbiera w nim jęk i z ust wyrzywa się ryk. Ruszył do przodu niczym startujący odrzutowiec, osiągając prędkość, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczył. Z oślepiającą siłą wyrzucił ramię w przód. Oddając kolejny strzał do celu, którego nie widział, poczuł, że tym razem trafił.

– Gol! – krzyknął Ray Gardner, gdy krążek przemknął obok rękawicy Jorgensena. Nad okrzykami niewielkiej grupy przybyłych górował głos May.

Roześmiany Martin uniósł w powietrze ręce, zwycięsko wymachując kijem. Słyszał zgrzyt łyżew kolegów, którzy podjeżdżali, by mu pogratulować. Nagle znalazł się w środku grupy, przerażony, że nic nie widzi. Zebrani wokół koledzy ściskali mu dłoń i poklepywali po ramieniu.

Skulił się z lękiem. Ray zamknął go w niedźwiedzim uścisku, po czym zniknął. Pozostali jeździli zygzakiem, próbując wymienić z nim zwycięskie uderzenia pięści. Nagle wrzawa umilkła i zrozumiał, że Jorgensen na coś czeka.

– Okay, ja wyciągam rękę, a ty wciąż nie chcesz jej uścisnąć? Wygrałeś! To chciałeś usłyszeć?

Martin słyszał głos Jorgensena, ale go nie widział.

– Martin... – teraz doszedł go głos Raya.

Kierując się w stronę, z której usłyszał głos Jorgensena, Martin obrócił się wokół, ale bramkarz odjechał i okrążał go ze złością, przeklinał złe wychowanie Martina.

– Jorgensen – rzekł Martin, wyciągając rękę.

– Tak? – bramkarz zatrzymał się w miejscu.

Okay, teraz go miał. Padające z szatni światło obrysowało aureolą sylwetkę Szweda. Wysunięta dłoń Martina drżała. Bramkarz odwrócił się ze śmiechem, zmuszając Martina do większego wysiłku, by mógł uścisnąć jego rękę. Chcąc mieć to już za sobą i wyjść, Martin zwiększył prędkość.

Najechał prosto na Marka Esposito, który, pochyliwszy się, wiązał sznurowadło. Zwalili się na siebie i gdy Martin podniósł wzrok, nie widział już niczego. Lodowisko było czarne, jakby noc zamknęła się nad jeziorem, jakby nie było księżycy ani gwiazd, które oświetliłyby mu drogę. Mark zdołał się podnieść, ale Martin pozostał na lodzie.

– Martin? – To był głos Raya.

– Pomóż mi – Martin usłyszał własny głos.

Jakaś ręka wysunęła się z ciemności. Martin ujął ją i poczuł, że podciąga go w górę. Nieoczekiwanie łyżwy wydały mu się nieprzyjemne i pomyślał, że znów traci równowagę.

– Spokojnie, Cartier – dobiegł go głos Jorgensena i Martin poczuł, że ramię bramkarza obejmuje go w pasie. – W porządku?

– Już dobrze, Martin – rzekł Ray, stając tak blisko, że Martin poczuł na policzku jego oddech. – Dobrze się czujesz?

– Nie – Martin słyszał swój własny szept w bezdennej i pustej ciemności lodowiska, które było jego domem.

– Od dawna o tym wiesz? – spytała Genny dzień przed operacją. Gardnerowie przyjechali do Black Hall i teraz, o zachodzie słońca, spacerowały z May po różnym ogrodzie.

– Prawie całe lato... – przyznała May.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Genny wydawała się urażona.

May zastanowiła się nad tym. Lekki wiatr był już chłodny. Wsunęła ręce do kieszeni marynarki. Zbliżała się jesień. Tego ranka dostrzegły z Kylie pierwsze czerwone liście. Kylie

niebawem pójdzie do szkoły, a Martin będzie wracał do zdrowia po operacji.

– Mogłabym powiedzieć, że Martin mi zabronił, ale nie był to rzeczywisty powód.

– Co więc nim było?

– Odsuwałam od siebie tę sprawę; że Martin ślepnie. Gdybym ci powiedziała, ty powiedziałabyś Rayowi i musielibyśmy stanąć wobec tego problemu. Chcieliśmy, żeby to lato... mimo wszystkich wydarzeń i wizyt u lekarzy... żeby trwało trochę dłużej.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała Genny. – Bardzo lubię Martina. Znamy się od dzieciństwa. Nie mogę uwierzyć, że nie będzie widział.

– Wiem.

– To sportowiec z krwi i kości. Bardzo wszechstronny. Może uprawiać każdy sport. Nie ma drugiego takiego jak on. Kiedy byliśmy dziećmi, jego ojciec trenował nas i powtarzał, że mamy szczęście, znając Martina, bo jest on najlepszym hokeistą, jakiego kiedykolwiek widział.

– Serge tak powiedział? W obecności Martina?

– Nie jestem pewna – odparła Genny – ale z pewnością powiedział to mnie, Rayowi i innym. Dlaczego o to pytasz?

– Bo nie jestem pewna, czy Martin to wie – z bólem serca rzekła May.

– Czy oni w ogóle utrzymują ze sobą jakiś kontakt?

– Serge napisał list. Martin był wściekły, że go otworzyłam.

– Z pewnością.

Na fioletowym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, a wokół różanego ogrodu zatańczyły ostatnie letnie świetliki. May zerwała piękną białą różę, by dodać ją do tej, którą przywiozła z nad Lac Vert, gdy opuścili je przed dwoma tygodniami. Włożyła kwiat do kieszeni i pomyślała o jutrze.

– Dlaczego wciąż mi się wydaje, że gdyby wybaczył ojcu, mógłby otworzyć oczy i widzieć? – zapytała May przyjaciółkę.

– Bo masz moc uzdrawiania – odparła Genny przez łzy. – Wiesz, że w życiu wszystko się ze sobą splata. Tak wiele zrobiłaś, abyście się stali jednością...

May spojrzała ku gwiazdom, ku mistycznym konstelacjom rozdzielonych kochanków.

– Właśnie tak widzę małżeństwo: że dwoje ludzi spotyka się i tworzy jedność – powiedziała. – To Martin uczynił dla mnie.

– Pomyśl tylko, jak bardzo wierzysz w miłość. Uczyniłaś ją zadaniem i dziełem swego życia.

– Wiem.

– Pomogłaś Martinowi bardziej, niż myślisz... Pozwól, byśmy my pomogli tobie, May. Po to ma się przyjaciół.

– Zawsze to wiedziałam. – May objęła przyjaciółkę i wydała z siebie szloch. Dłużej nie mogła go w sobie tłumić. – Nie chciałam dopuścić do siebie myśli, że będziemy potrzebować pomocy. Och, Genny, dlaczego lato nie może trwać dłużej? Dlaczego nie może trwać wiecznie? Dlaczego Martin musi przez to przechodzić?

W szpitalu May pozostała z Martinem tak długo, jak długo jej pozwolono, nim wzięto go na operację. Trzymali się za ręce, czekając do ostatniej chwili. Okryty był białym prześcieradłem, a jego ręce i ramiona wyglądały tak silnie i potężnie, że cała sytuacja wydawała się jakimś niedorzecznym żartem.

Pojawili się dwaj sanitariusze, aby zabrać Martina do sali operacyjnej. Obaj byli kibicami Bruinsów i obiecali, że zapewnią mu doskonałą opiekę. May podziękowała, ale Martin poprosił, aby poczekał jeszcze chwilę. Z należnym szacunkiem wycofali się na minutę, dając państwu Cartier odrobinę prywatności.

– Czuję się tak, jakbym miał stanąć przed plutonem egzekucyjnym – zażartował Martin. – Czuję suchość w ustach i nie mogę mówić.

– Teddy jest najlepszą specjalistką. Wszystko będzie dobrze – zapewniała May, starając się w to wierzyć.

– Bez względu na to co się stanie – powiedział Martin, wpatrując się w jej oczy z intensywnością, która przyprawiła May o drżenie – kochałem i kocham każdą minutę spędzoną z tobą.

– Ja także uwielbiam chwile, gdy jesteśmy razem – powiedziała zmieszana jego wyznaniem.

– Każdą minutę... – Odgarnął jej czarne włosy, jakby chciał centymetr po centymetrze obejrzeć twarz ukochanej, by zachować to wspomnienie na zawsze.

– Będzie ich jeszcze wiele – szepnęła, ale gdy zamknął oczy, zrozumiała, że jej nie wierzy. – Na pewno.

– Wiem – rzekł bezbarwnym głosem. Po chwili otworzył oczy i wtedy zobaczyła ten znajomy błysk. Na jego twarz powoli wpłynął uśmiech. – Jednak wygrałem, prawda?

Musiała wydawać się oszołomiona, gdyż jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Pokonałem Jorgensena.

– A ja tam byłam – powiedziała, próbując odpowiedzieć mu uśmiechem.

Serge dowiedział się o chorobie syna z gazety. Uraz głowy i oka, pisano, doprowadził do rozwarstwienia siatkówki i postępującej oftalmii – a w efekcie do operacji, jaką przeżył we wtorek.

– Jezu Chryste... – rzekł niedosłyszalnie. Przeczytał też o doktor Theodorze Collins, wybitnej specjalistce z Harvardu i Bostońskiego Szpitala Okulistycznego, która wykorzystując najnowocześniejsze techniki mikrochirurgii, przeprowadziła zabieg.

– *Rezultaty witrektomii bywają różne* – cytowano jej słowa. – *Każdy przypadek jest inny i nie można generalizować.*

Gazeta twierdziła dalej, że mimo postępów w tej dziedzinie powodzenie zabiegu wydaje się mało prawdopodobne, a jakiś chirurg z Nowego Jorku, jeden z byłych studentów pani doktor Collins, powiedział reporterom, że wielu lekarzy uważałoby przypadek Martina Cartiera za beznadziejny, lecz Teddy Collins jest nowatorką na tym polu, a poza tym zalicza się do kibiców drużyny Boston Bruins.

Artykuł kończył się kilkoma oświadczeniami trenera i klubowych kolegów Martina:

– Modlimy się za niego – powiedział Dafoe – i chcemy, żeby jak najszybciej do nas

wrócił.

– Nigdy nie będzie drugiego Martina Cartiera – dodał jakiś młody skrzydłowy.

– Bez komentarza – rzekł Ray Gardner.

– Był wspaniałym przeciwnikiem i bardzo pragnąłem zostać jego klubowym kolegą – oświadczył Nils Jorgensen.

Serge zmiął gazetę i cisnął nią o ścianę celi. Przez długi czas siedział na prycy z głową wspartą na rękach. Kiedy rozległ się dzwonek wzywający go na zewnątrz, spojrzął w pusty korytarz ze strachem w sercu.

Na dziedzińcu powietrze było rześkie i świeże. Pachniało jabłkami, których wyraźny aromat przywędrował na wzgórze z sadów położonych w dolinie. Serge podszedł do muru. Był zbyt gruby i wysoki, by dało się go pokonać, ale mimo to pragnął uciec i zobaczyć Martina. Jego syn cierpiał, a Serge nie mógł mu pomóc. Do wyjścia z więzienia pozostały mu co najmniej trzy lata.

Posłyszał uderzenia piłki. To Ricky, syn Tina, ćwiczył pod więziennym murem. Miał na sobie czapkę Yankeesów i granatową koszulkę, a twarz umorusaną błotem. Serge obserwował chwyt chłopca i sposób, w jaki zginał ramię. Ricky podniósł wzrok i uśmiechnął się na widok Serge'a.

– Nie powinieś ze mną rozmawiać – rzekł burkliwie Serge.

– Wiem – odparł chłopiec. Jego brudna buzia promieniała.

– Musisz bardziej wyciągać ramię, kiedy rzucasz.

– Jak?

– Tak jak robią miotacze. Popatrz – powiedział Serge, demonstrując właściwy ruch.

Chłopiec dołożył starań.

– Jeszcze raz – polecił Serge. – Bardziej zdecydowanie. Ricky spróbował ponownie.

– Już lepiej – oznajmił Serge.

Zachęcony dzieciak pofrunął za piłką i przyniósł ją z powrotem. Zaczął ćwiczyć, złoścąc się, gdy nie widział poprawy.

– Wyglądasz jak zawodnik pierwszej ligi – powiedział Serge. – Jak Tino Martinez.

Chłopiec uśmiechnął się szeroko, a Serge myślami cofnął się w przeszłość. Widział teraz Martina, który promieniał słysząc od niego, że będzie drugim Bobbym Orrem, Maurice'em Richardem i Dougiem Harveyem. Myśląc o synu, Serge poczuł ucisk w sercu.

Ricky nie przestawał ćwiczyć, z każdą próbą poprawiając umiejętność rzutu. Serge zaś wygłaszał uwagi i sugestie, podtrzymując jego zapał. Nie wiedział dlaczego, ale trenując syna Tina był bliski takiego skupienia, jakie osiągał w modlitwie, gdy prosił o ocalenie wzroku Martina, o to, by jego syn dostał szansę, aby znów grać.

– Nieźle – rzekł przez więzienne kraty. – Naprawdę nieźle, synu.

ROZDZIAŁ 28

Kiedy zdjęto bandażę, Martin stwierdził, że widzi gorzej niż przedtem. Teddy uprzedziła ich o takiej ewentualności, ale rzeczywistość okazała się wstrząsająca. Martin tłumił swe doznania, nie chcąc lub nie będąc w stanie podzielić się nimi z May. Ona zaś niewiarygodnie tęskniła za ich bliskością.

Do Bostonu wrócili we wrześniu, aby Kylie mogła pójść do szkoły. Martin spędzał czas w mroku, patrząc przed siebie. Ilekroć May sugerowała wyjście na spacer, mówił, aby poszła sama. Kiedy w szkole Kylie odbywał się konkurs ortograficzny, powiedział, że jest zbyt zmęczony, by jej kibicować. Towarzystwa stale dotrzymywał mu Piorun, który większość czasu spędzał u stóp Martina.

Rozpoczęty jesienią sezon był pierwszym od czternastu lat, w którym Martin nie grał ani w żadnym zespole NHL, ani w jakimkolwiek innym. Nie słuchał też transmisji i nie oglądał rozgrywek w telewizji. May zaproponowała, że będzie mu czytać artykuły prasowe, ale nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że hokej jest częścią jego przeszłości i powinna wiedzieć o tym wystarczająco dobrze, by go tam zostawić.

Gardnerowie chcieli go odwiedzić, ale odparł, że nie ma na to ochoty. May spotykała się z Genny na lunchu lub kawie, lecz zawsze poza domem. Martin nie życzył sobie, by ktokolwiek go odwiedzał, i chociaż zabronił May wszelkich rozmów o szczegółach jego rekonwalescencji, w jednym wypadku sprzeciwiła się tym życzeniom.

– Nie ma żadnej poprawy – powiedziała, gdy pewnego dnia na początku listopada do Bostonu przyjechała Tobin i razem udały się na rowerową przejażdżkę wzdłuż rzeki. Brązowe liście szeleściły na drodze, a uniwersyteckie osady kajakowe sunęły po ciemnych wodach w swych białych łodziach.

– Żadnej?

– Nie widzi nas i nie chce z nami rozmawiać... nawet ze mną. Czuję, że chciałby, żebym wyjechała. – Gdy zaczęła mówić, powoli wyszła na jaw cała prawda. – Nie chce ze mną sypiać. Spędza noce w jednym pokoju, a ja w drugim. Mówi mi, że bolą go oczy, ale ja wiem, że powód jest inny: on po prostu mnie nie chce.

– Z pewnością jest w szoku – powiedziała Tobin.

– Ja też.

– Nie pozwól mu w nim pozostać.

– Próbuj ę – powiedziała May. – Ale Martin ma niewiarygodnie silną wolę. Gdy czegoś chce, sprawia, że tak się dzieje.

– Ty także, May – odparła Tobin. – Znam cię, pamiętasz?

Od bardzo dawna były dla siebie najbliższymi przyjaciółkami i May wiedziała, że Tobin mówi prawdę. Jechały obok siebie, trzymając się ze ręce. Wzmógł się wiatr; musiały ciasniej otulić się kurtkami.

– Co mam robić? – pytała May.

– Spraw, by coś się wydarzyło.

Pewnej grudniowej nocy, gdy śnieg otulił Beacon Hill, do okna Kylie zapukały anioły, prosząc, by wpuściła je do środka. Kylie przetarła oczy, sądząc, że śpi. Duże płatki śniegu nadlatywały przez Louisburg Square... czy też było to coś innego?

Wyskoczywszy z łóżka, przetarła szybę i ujrzała anioły nadlatujące ze śniegiem. Przyciskając dłonie do okna poczuła chłód wnikający w jej ciało przez koniuszki palców. Duchy poruszały się coraz szybciej i mówiły coś do niej przelatując obok.

– Co mówicie? – wołała gorączkowo, chcąc je zatrzymać.

I wtedy zobaczyła Natalie.

Kylie zaniemówiła, opierając czoło o chłodne szkło. Dziewczynka unosiła się w powietrzu tuż przed ich domem, na wprost okna. Kylie nie widziała jej od dawna, ale poznałaby ją wszędzie. Natalie skinęła głową, uśmiechnęła się, gestem namawiając Kylie, by poszła za nią.

Całkowicie oprzytomniała Kylie patrzyła, jak anioły znikają. W jednej chwili były tutaj, a w następnej zniknęły. Czyżby jej się śniły? Wypatrując ich uważnie, zauważyła na szybie migotliwe iskierki. Nie był to lód ani śnieg, lecz coś innego. Pomyślała o błyszczącym pyłe w garderobie nad Lac Vert, o łzach Natalie...

Skąd przyfrunęły anioły? Kylie spoglądała na płaskie dachy, ceglane budynki i białe wieże Bostonu, podążając wzrokiem ku starym kościołowi w północnej części miasta, zobaczyła nad nim duży biały obłok. Może to kolejna śniegowa chmura, a może tamteży właśnie anioły opuszczają Boston: lecą na północ, do krainy gór i jezior. Do domu nad Lac Vert.

– Mamusiu! – krzyknęła Kylie, biegnąc do holu.

May wpatrywała się w niebieski dziennik. Przez wiele miesięcy pozostawał nietknięty. Teraz zaś właśnie skończyła zapisywać ostatnią wizję Kylie. Przeglądając kolejne strony, przypomniała sobie, jak bardzo zaniepokoiła się na początku.

– Anioły lecą nad Lac Vert! – opowiadała podekscytowana Kylie. – Chcą, żebyśmy udali się ich śladem. Coś się tam wydarzy.

– Co, kochanie? – zapytała May.

– Nie wiem – odpowiedziała jej córeczka – ale myślę, że to może pomóc Martinowi.

Dotarło to do niej dopiero po pewnej chwili. Wspomniała słowa Tobin wypowiedziane na rowerowej przejażdżce w listopadzie: „Spraw, żeby coś się wydarzyło”.

Z okazji Bożego Narodzenia Boston przystroił się w białe lampki. Drużyna Boston Bruins miała trudny rok, próbując odzyskać siły po stracie Martina Cartiera. Ray Gardner, wyczerpany sezonem, postanowił spędzić z rodziną święta nad Lac Vert. Cartierowie zazwyczaj pozostawali w Bostonie aż do wiosny, ale Kylie zmusiła May do myślenia.

– Martin – powiedziała – chcę, żebyśmy wyjechali stąd na święta.

– Gdzie?

– Nad Lac Vert.

W pokoju zapanowała kamienna cisza.

– Słyszałeś? – zapytała May.

– Odpowiedź brzmi: nie.

– Ależ Martin...

– Nie! – krzyknął.

Siedział w swoim fotelu przy oknie, robiąc to co zwykle – czyli nic. Wpatrując się w mrok burczał na każdego, kto przechodził obok, i uderzał w meble, pokonując drogę do łazienki.

Teddy radziła, aby zatrudnili fizykoterapeutę, lecz Martin nie wyraził na to zgody. „Żadnej białej laski ani czarnych okularów” – brzmiała jego dewiza i trzymał się jej z uporem.

– Jak mnie kochasz? – zapytała May w wigilię Bożego Narodzenia.

Nie odpowiedział. Leżał spokojnie, gdyż pies zrobił sobie legowisko w pościeli obok niego. Piorun najwyraźniej poczuł mokry śnieg oraz zapach rzeki i chyba śniło mu się jakieś wspaniałe polowanie, gdyż ujadął przez sen, wydając z siebie donośny, przeciągły i żaloszny skowyt. Budząc się, przenosił wzrok od Martina do May.

– Powiedz – nalegała. – Powiedz mi, jak bardzo mnie kochasz?

– May, przestań.

Światło słońca przesączało się przez okno sypialni. Błysnęło w lustrze, zapłonęło na klonowej komodzie i załało łóżko. Słoneczny promień, padając na brylantowy pierścienek May, rozszczepił się na milion tęczy, tańczących teraz na suficie. Pies wpatrywał się w iskry, jakby były dzikim ptactwem i jakby rozważał, czy na nie zapolować.

Martin poklepał psi grzbiet dużymi mocnymi dłońmi, ale nie zmrużył oczu, gdy słoneczny blask padł mu na twarz. May zdała sobie sprawę, że rozmowa będzie bolesna.

– Nie przestanę – powiedziała, zdejmując rękę Martina z grzbietu Pioruna i ujmując ją we własną dłoń. Pies podbiegł do okna, a wyraz twarzy Martina pokazał, że poczuł się zdradzony przez przyjaciela. – Odpowiedz mi.

– O co ci chodzi? – zapytał. – Nie pamiętam, o co pytałaś.

Już mnie nie słuchasz, chciało jej się krzyczeć. Nie obchodzimy cię, zrezygnowałeś z nas, zrezygnowałeś z siebie, poddajesz się. Jednakże zamiast tego wzięła głęboki oddech i powtórzyła pytanie:

– Jak bardzo mnie kochasz?

– Wiesz, że cię Kocham – odparł. – Kocham cię wystarczająco.

– Wystarczająco mocno, by dotrzymać przysięgi?

– Przysięgi?

– ... w dostatku i w ubóstwie – mówiła – w zdrowiu i w chorobie.

– May... – Gniew wzbierał w nim jak para w gejzerze. – To ja jestem niewidomy. Zgadzasz się? Ja jestem wrakiem, nie ty. Skoro chcę uczynić cię wolną, to bądź wdzięczna, że nie będziesz musiała tracić czasu, aby się mną opiekować. Jestem dla ciebie ciężarem; znieawidzisz mnie, jeśli już nie czujesz do mnie nienawiści. Odejdź, May.

Tego zimowego dnia słońce świeciło wyjątkowo jasno, na drzewach nie było już żadnych liści, które mogłyby zatrzymać jego promienie. Światło wypełniało wszystkie zakamarki

pokoju, wszystkie bruzdy i blizny na twarzy Martina. May spojrzała w lustro i zobaczyła, że jej także przybyło lat: dostrzegła siatkę płytkich białych zmarszczek wokół twarzy i ust. Przypomniała sobie, jak często śmiała się w słońcu z Martinem. Dał jej życie, jakiego nigdy przedtem nie знаła, o jakim nie marzyła w najśmielszych snach.

Na biurku Martina pysznił się lśniący srebrny puchar. Zdobył w życiu wiele nagród, pucharów i medali, ale ten pochodził z jego dzieciństwa; był pierwszym hokejowym trofeum zdobytym w pierwszym sezonie, gdy grał jako prawoskrzydłowy w prowincjonalnej kanadyjskiej drużynie młodzików. Słońce odbiło się od pucharu padając prosto na twarz Martina.

– Chcę, żebyśmy spędzili Boże Narodzenie nad Lac Vert. Kylie tego potrzebuje i my też. Ale muszę wiedzieć. Jak bardzo mnie kochasz?

Bagaze były już spakowane, lecz Martin o tym nie wiedział. Nie widział ich. Pytania May nie były bezzasadne. Czekala.

– Powiedz – nalegała z drżącymi dłońmi.

Wydał z siebie westchnienie tak gwałtowne, że pies wybiegł z pokoju.

– Powiem – odparł. – Odpowiem. Jesteś pewna, że chcesz to usłyszeć?

– Całkowicie.

– Nie zdołasz tego znieść – mówił. – Pozbawię cię sił, May. Pozbawię cię życia. Nie potrafię chodzić o własnych siłach, nie potrafię samodzielnie jeść, nie potrafię bez przeszkód dojść do łazienki, żeby się wysikać.

– Wcale mnie to nie martwi! Nie przywiązuję do tego żadnego znaczenia!

– Musisz! Nie zakochałaś się w kalece!

– Nie. Zakochałam się w tobie.

May objęła Martina i usiadła mu na kolanach. Dotyk mocnych ramion, jaki poczuła na plecach, był tak nieoczekiwany... tak dawny... że jęknęła wtulona w jego szyję.

– Nie jestem tym samym człowiekiem.

– Jesteś, Martin, jesteś.

Potrząsnął przecząco głową, a ona poczuła jego smutek i wstyd.

– Kiedy tu siedzę i nie widzę, zaczynam myśleć, że nie istnieję – rzekł. – Czuję, jak mnie obejmujesz, i mam ochotę ci powiedzieć, że jestem tylko duchem. Cieniem... Obejmujesz powietrze.

– Obejmuję cię – powiedziała May, całując jego szyję, czoło i usta. – Jesteś tutaj. Jesteś prawdziwy i żywy. Jesteś tym samym Martinem Cartierem, jakim byłeś zawsze. I zabierzesz mnie nad Lac Vert. Natychmiast.

– Nie – odparł, ale założyłaby się, że wcale tak nie myślał. Chciał wyjechać. Słyszała nadzieję w jego głosie.

– Tak. Niech się stanie...

Wyjechali.

Nad Lac Vert dotarli tak późno, że Kylie już w samochodzie zdołała zapaść w sen. May bała się głębokiego śniegu. Ale jej obawy wkrótce miały się rozwiać. Genny wierzyła w siłę jej perswazji, toteż Ray odświeżył drogę i oczyścił podjazd.

Obudziwszy Kylie, May powiedziała jej, by sama weszła do domu. Dawniej Martin zaniósłby ją śpiącą aż do łóżka. May zatęskniła za tamtymi czasy. Kiedy jednak poczuła, że Martin bierze ją pod rękę i pozwala prowadzić się ośnieżoną ścieżką, upomniała samą siebie, że powinna się cieszyć.

W domu było ciepło i przytulnie. Genny powiesiła na drzwiach świąteczny stroik i ustawiła niewielką choinkę. Jako dobra przyjaciółka, nie udekorowała jej, zostawiając tę przyjemność Kylie. W środku czekał też na Cartierów koszyk świeżo upieczonych maślanych bułeczek i słoik imbirowej konfitury na świąteczne śniadanie.

Przez kilka ostatnich dni padał śnieg, pokrywając wszystko grubą pierzynką bieli. May żałowała, iż nie ma księżycy, by mogła zobaczyć góry i jezioro. Udało jej się dostrzec na granatowym niebie tylko jedną gwiazdę, która migotała nad północnymi wzgórzami.

Kylie wycęzała wzrok, wypatrując czegoś na jeziorze.

– Czy one tu są? – dopytywała się.

– Kto? – zapytał Martin.

Nie odpowiedziała. Wciąż szukając aniołów, za którymi przybyła tu z Bostonu, zesłała ze ścieżki w głęboki śnieg, aby pobiec ku jezioru. May musiała ją podnieść i zanieść do domu.

– Nie przyszły – płakała Kylie. – Myliłam się.

– Poczekaj do rana – radziła May. – Jestem taka szczęśliwa, że przyjechaliśmy nad jezioro. To był wspaniały pomysł.

– Naprawdę?

– Naprawdę – May pocałowała córeczkę na dobranoc, otulając ją ciepłą kołdrą.

Była wyczerpana długą podróżą. Bardzo chciała posiedzieć i ponapawać się zapachem choinki, którą zostawiła Genny, ale oczy same jej się zamykały. Martin i Piorun zostali na dole w saloniku.

– Kto nie przyszedł? – zapytał Martin słysząc, że weszła.

– O kim mówiła Kylie?

– O swoim śnie z zeszłego tygodnia – odparła May.

– O duchach.

– Nad Lac Vert jest ich zbyt wiele – rzekł z goryczą. – Nie powinniśmy tutaj przyjeżdżać.

– Może jutro poczujesz się inaczej.

Mruknął coś w odpowiedzi. Może wciąż próbował zniechęcić do siebie May, a może był zmęczony podróżą. Całując męża w usta, May postanowiła wierzyć w to ostatnie.

– Chodźmy spać, dobrze? – poprosiła. Nie odpowiedział, a May nie nalegała.

Nie wiedział, ile czasu minęło. Czyżby zapadł w sen? Jeśli tak, to co go obudziło? Zegar matki tykał po drugiej stronie pokoju. Łokciem opierał się o mały sosnowy stolik, prezent od mieszkającej niegdyś w Albercie babci ojca. Czy coś stało się May lub Kylie?

Sen Kylie o duchach... Dziwnie utkwilo mu to w głowie i nagle uświadomił sobie, że śniła mu się przeszłość. Inne Boże Narodzenie, przed laty, w tym samym domu. Szczęk drutów, na których matka robiła jakiś sweter, dziecko, które trzymał w ramionach...

– Natalie – powiedział głośno.

Coś się poruszyło. Zaszleściła czyjaś suknia, a może pies otarł się o stolik. Martin z drżeniem pochylił się do przodu. Nasłuchiwał intensywnie, ale słyszał jedynie bicie własnego serca. A może to ogon Pioruna uderzał o podłogę?

– Czy ktoś tu jest? – zapytał.

Piorun wydał z siebie cichy skowyt. Brzmiał w nim strach i kiedy zrobił to ponownie, Martin miał już pewność, że w pokoju jest ktoś jeszcze.

– Kto tu jest? – zapytał po raz drugi.

– Spójrz na mnie – dobiegł go głos.

Śnił. Potrząsnął głową, znowu myśląc o duchach. Od lat nie słyszał tego głosu. Dar widywania zmarłych, jaki miała Kylie, widocznie mu się udzielił, wyteżył więc słuch. Lekkość, słodycz i radość. Wiedział, że to jej głos; głos, który nie milkł przez wszystkie te lata, jakby wcale nie umarła.

– Ja śnię – powiedział, pragnąc się nie budzić.

– Nie śniesz – szepnęła Natalie.

– To musi być sen. To nie może być prawda.

– Ale jest. Spójrz na mnie.

– Jestem niewidomy.

– Tatusiu – powiedziała.

– Nie widzę cię – rzekł. – Nawet we śnie. Właśnie wtedy poczuł jej palce na twarzy. Za życia dotykała go setki razy. Chwytała go za nos albo za uszy, ciągnęła za brodę, pocierała małymi dłońmi szorstki zarost. Poznałby ten dotyk na końcu świata.

– Otwórz oczy – nalegała.

Uczynił, o co prosiła, i zobaczył. Stała przed nim; odziana w biel, wpatrywała się w jego oczy.

– Kochanie, moje słoneczko... – powiedział, czując napływające łzy.

Jej strój przypominał dziewczęcą sukienkę do pierwszej komunii. Miała też skrzydła, które połyskiwały przy każdym ruchu. Twarz promieniała jej tak, jakby nie mogła uwierzyć, że znów są razem. Wyciągnęła do niego ramiona.

– Jakże ja żyłem bez ciebie? – Pochylił się ku niej. Cofnęła się.

– Jak ja bez ciebie – odparła.

– Tak bardzo za tobą tęsknię – powiedział łamiącym się głosem.

– Myślę, że za bardzo.

– To niemożliwe. Jesteś moim pięknym dzieckiem. Moje życie zmieniło się na zawsze w dniu, kiedy cię straciłem.

– Tatusiu, ono zmienia się codziennie. Tym właśnie jest życie: milionem zmian, które następują jedna po drugiej.

Piorun zaskowyczał, przysuwając się do Natalie. Martin zerknął na psa i przeniósł wzrok na córkę. Odwzajemniła jego spojrzenie, jakby wiedziała, o czym pomyślał.

– Archie – rzekła.

– Powinienem był pozwolić, żebyś miała psa – przyznał z oczami mokrymi od łez. – Tak niewiele pragnęłaś. Myślę o tym codziennie.

– Ale zgodziłeś się na Pioruna – odparła Natalie. – Czy wiesz, że pozwalając Kylie zatrzymać tego psa, zrobiłeś tak, jakbyś dał mi Archiego? Dałeś nam drugą szansę.

– Nie rozumiem.

– Myślę, że rozumiesz – wyszeptała aż nazbyt roztropnie jak na dziewczynkę, którą była.

– Tak bardzo cię kochałem – zapłakał.

– Nie mów „kochałem”, tatusiu. Miłość nie umiera.

– Nie sądziłem, że cię znów zobaczę.

– Musiałam ci pokazać, że miłość trwa wiecznie. Wyciągnęła rękę. Martin chciał ją ująć, ale wtedy Natalie cofnęła się lekko i powiedziała coś, co zmroziło mu serce.

– Jeśli dotknę twej dłoni, nigdy nie będę mogła wrócić. To będzie moja ostatnia noc na ziemi.

– Nie, Natalie... – zaczął, ale nie mógł się powstrzymać. Wziął córkę za rękę, tak jak robił to za jej życia. Nie wierzył, że może odejść, bez względu na to, co mówiła. – Powiedz mi, co mam robić. Zrobię wszystko, Natalie. Wszystko.

– Weź nasze łyżwy i rękawice, tatusiu, dobrze? – poprosiła.

W jej głosie usłyszał własny głos i głos swego ojca... to, co od pokoleń mówią rodzicom wszystkie dzieci znad Lac Vert. Poszedł więc do szopy po swoje stare łyżwy hokejowe i nowe, białe figurowe łyżwy Kylie. Wziął też rękawice i kurtkę.

Wyszli w chłodną noc. Piorun pędził za nimi. Natalie skierowała się ku zaśnieżonej ścieżce wiodącej prosto do jeziora. Zatrzymali się tylko na chwilę, przy altanie, żeby zasznurować buty. Część tafla była czysta, jakby Ray wcześniej ją odśnieżył. Idąc śladem Natalie, Martin wjechał na lód. Chwycili się za ręce i frunęli po jeziorze.

Noc była bardzo ciemna, tylko jedna gwiazda jaśniała na aksamitnym niebie. Był niewidomy czy widział? Trzymając rękę córki zapomniał o strachu. Skierowali się na północ w stronę „jamy pstrągów”, gdzie tak wiele czasu spędził z Kylie latem tego i ubiegłego roku. Zaboląła go myśl, jak niemile się do niej ostatnio odnosił.

– Przysłałam ją do ciebie. – Natalie czytała w jego myślach. – Wiedziałam, że potrzebna ci córeczka, byś mógł kochać. Tą córką jest Kylie; widziała mnie i słyszała, i to ona pomogła mi znów cię odnaleźć. Widzisz, tatusiu, ta noc jest równie ważna dla mnie, jak i dla ciebie.

– Jak to, Natalie?

– Muszę znaleźć sposób, by powiedzieć: „żegnaj”.

– Ciii... – wyszeptał Martin.

Minęli wyspę, objechali ją dookoła i dotarli do miejsca, które Martin zapamiętał jako Zieloną Zatokę. Właśnie tu uczył się wraz z Rayem grać w hokeja. Pamiętał, że ojciec ustawiał bramkę z sosnowych gałęzi, każąc Martinowi, Rayowi i Genny strzelać do niej mocno, precyzyjnie i celnie.

Nagle, jakby wzrok nie tylko mu wrócił, lecz stał się wyjątkowo ostry, ujrzał wszystkich w grze. Ponury zimowy dzień przed trzydziestoma laty, gasnące światło zmierzchu, ojciec wykrzykujący polecenia i słowa zachęty... I ten wyraz ojcowskich oczu! Martin wpatrywał się w nie z niedowierzaniem: promieniały miłością i uwielbieniem dla jedyne go syna.

– Porzucił nas rok później – rzekł.

– To boli – przyznała Natalie.

– Nienawidzę go za to, co ci zrobił.

Na dźwięk słowa „nienawidzę” obraz zniknął, a on sam wrócił do rzeczywistości, do ciemnej nocy Bożego Narodzenia trzydzieści lat później.

– On także cierpi – odparła Natalie. – Nigdy w życiu nie zrobiłby tego celowo. Za nic na świecie.

– Wybacz mi – szepnął Martin. – Wybacz, że cię z nim zostawiłem, że nie byłem w stanie cię ochronić. Proszę, wybacz mi, Nat.

– Nie zrobiłeś nic złego. Nie muszę ci niczego wybaczać.

– Nie mogę w to uwierzyć.

Powoli ruszyli w stronę domu. Martin poczuł strach narastający mu w piersi. Niebawem miała zniknąć. Sen się skończy, Natalie odejdzie, a on znów będzie niewidomy. Zrównali się z Piorunem czekającym na lodzie.

– Nie odchódź – wyszeptał. – Nie zostawiaj mnie ponownie.

Nie odpowiedziała, ale mocniej uściśnęła jego dłoń. Pamiętał, że gdy była malutka, woził ją w nosidełku przez jezioro do Raya, żeby się nią pochwalić.

– Czas na mnie... – powiedziała.

– Nie mów tak.

– Muszę się przekonać, co wiesz – oświadczyła. – To jest powód, dla którego wróciłam pomiędzy żywych.

– Co ja wiem? – zapytał zmieszany.

– Jesteś moim ojcem – powiedziała poważnie – ale dowiedziałam się pewnych rzeczy, o których większość ludzi, nawet dorosłych, nie wie, aż staje się...

– ... aż staje się za późno – dokończył Martin, domyślając się ostatnich słów.

– To prawda. – Głos Natalie przesycił powietrze słodyczą tak przejmującą, że łzy napłynęły mu do oczu.

Martin zadrżał, czując, że gorycz nagromadzona w sercu nagle znalazła sobie ujście i jakby przerywając tamę wypływała z niego niczym rzeka.

– Widziałeś, prawda, tatusiu? – spytała Natalie.

– Tam, przy starej bramce?

– Widziałem swego ojca – odparł łamiącym się głosem.

– Zobaczyłem siebie i swoich przyjaciół, gdy byliśmy młodzi...

– Rzecz nie w tym, kogo – czule przerwała mu Natalie – lecz co zobaczyłeś.

– Miłość – rzekł Martin, wciąż mając w pamięci tamten wyraz w oczach ojca. Zatrzymał to słowo w pamięci wypełnionej tysiącem obrazów: ramionami matki, oczami ojca, uściskiem May, ciepłem Kylie.

– Nie wszystkie więzienia są jednakowe. – Natalie powiedziała to z taką powagą, że Martin zerknął na nią, by się upewnić, iż słowa te padły z jej ust. Wielki sopel oderwał się z dachu szopy, a pękający lód rozdzwonił się tak donośnie, że Piorun zaskowyczał. – Więzienia są różne – powtórzyła Natalie, jakby to zdanie było bardzo ważne. Płakała, ale na twarzy miała wyraz miłości i szczęścia. Kiedy pocałowała Martina, zobaczył jej łzy na swojej skórze

i przypomniał sobie tamtą letnią noc, gdy Kylie zostawiła mu lśniąca łzę na policzkach.

– Moje ukochane dziecko...

– Jedź do ojca – powiedziała Natalie.

Martin czuł, że kiwa głową, zgadzając się na coś, czego nie pojmował. Natalie rzuciła mu się w ramiona, a on objął ją z całej siły. Serce waliło mu jak młotem. Nie chciał, by odeszła, lecz tylko w ten sposób mogła stać się wolna.

– Będę kochać cię wiecznie, tatusiu – powiedziała.

– Podziękuj Kylie.

– Nat...

– Za wszystko. Za wszystko!

– Natalie... – wyszeptał.

Ale już jej nie było. Lodowe dzwony wciąż dźwięczały, a na niebie pojawiła się pierwsza zorza świątecznego poranka. Najpierw ciemnoszare, stawało się srebrzyste. Tuż nad wzgórzami wisiała gwiazda. Piorun skowyczał, aż ochrypl. Nadal widząc wyraźnie, Martin zmierzał z powrotem do domu. Śnił, iż Natalie czeka tam na niego, lecz salonik był pusty. Rozejrzał się i wtedy jego wzrok padł na stary haftowany obrazek, który matka zrobiła, zanim przyszedł na świat.

Zrobiła go dla Martina, wtedy jeszcze mając przy sobie męża. Martin wpatrywał się w zwierzątko uśpione przy żłóbku i w wyhaftowane słowa: „Wilk spocznie obok jagnięcia, lampart położy się z kozłatką, a poprowadzi ich dziecię”.

Kiedyś tym dziecięciem był Martin, później Natalie, a teraz Kylie. Przez cały czas próbowała wskazywać mu drogę. Oczy Martina napełniły się łzami, gdy po raz ostatni rozglądał się po znajomym wnętrzu. Podszedł do okna, by spojrzeć na jezioro.

Wschodzące słońce rozpało światło dnia i w tej samej chwili wzrok Martina znowu zgasł, ale on już był gotowy. Po omacku odnalazł drogę ku schodom; poręcz poprowadziła go w górę, choć znał na pamięć każdy stopień. May poruszyła się, gdy położył się obok niej. Miał zimne ręce i stopy po nocnej wyprawie na jezioro, ale jej ciało było takie ciepłe...

– Kocham cię – wyszeptał do swej śpiącej żony.

– Ja też cię kocham – odpowiedziała mu szeptem.

– Coś się wydarzyło – powiedział. – Tak jak powiedziała Kylie.

– Co? – May próbowała się ocknąć.

Jednak Martin nie był jeszcze gotowy, by jej o tym opowiedzieć. Czuł bicie serca, przypominając sobie przejażdżkę po jeziorze z Natalie. Teraz miał przed sobą inną podróż i chciał, by rodzina odbyła ją wraz z nim. Ale najpierw chciał odpocząć i zapomnieć.

Razem pograżyli się więc we śnie i spali, dopóki Kylie ich nie obudziła, wołając na cały głos:

– Wesołych świąt!

ROZDZIAŁ 29

W więzieniu w Estonii kolejne Boże Narodzenie minęło bez słowa od Martina. Serge właściwie stracił już nadzieję, że otrzyma od niego jakąś wiadomość. Z rękami pod głową leżał na pryczy i wpatrywał się w betonowe mury. Lektura przestała stanowić dlań rozrywkę. Od kilku tygodni nie uprawiał swoich ćwiczeń. Jaki był sens utrzymywania ciała w zdrowiu i sprawności? Zaczął życzyć sobie jedynie śmierci.

Wychodząc na dziedziniec, trzymał się z dala od zachodniej bramy. Ricky też już prawie nie przychodził. Budziło to w Serge'u mieszane uczucia: niepokoił się, gdy nie widział chłopca, i doznawał zawodu, gdy go widział. Strażnicy prawdopodobnie mieli rację. Jakie perspektywy miał ten malec? Dziedzictwem pozostawionym mu przez ojca były narkotyki i przemoc.

Czasami Serge przypominał sobie rozmowy z Tinem i dumę z syna, którą promieniał ten młody człowiek. Była tak wyraźnie podobna do jego własnej. Ileż to lat minęło... właściwie niemal cała młodość Martina... na jego, Serge'a, obietnicach, że kiedy przyjedzie w przyszłym tygodniu albo w przyszłym miesiącu, to na pewno zabierze go do Detroit lub Los Angeles albo do innego miasta, gdzie odbywać się miał ważny mecz.

Pokazywał zdjęcia Martina klubowym kolegom i opowiadał, jakiego ma wspaniałego syna. Miał też zawsze przy sobie pukiel jego włosów; dziecięcy loczek, który stał się jego talizmanem w kasynach. Poklepywał kieszeń przed rzuceniem kości i gotów był przysiąc, że ów talizman przynosił mu szczęście.

Ale nie stworzył mu rodziny.

Tamtego dnia, gdy przyszli do jego mieszkania i skrzywdzili Natalie, Serge dotknął swego szczęśliwego talizmanu... jakby loczek znaczył więcej niż żyjące dziecko. Myśląc o Natalie, Serge pochylił głowę. Święta Bożego Narodzenia zawsze były najgorsze. Wtedy dopadała go rozpacz i skrucha; wtedy ściagały go nie załatwione sprawy i nie wypowiedziane słowa.

Sam odsunął od siebie syna. Gdziekolwiek był Martin i cokolwiek znosił. Serge pozbawił się sposobności, by mu pomóc. Mógł kochać Martina z daleka, ale Martin zatrzasnął przed nim drzwi.

Teraz, stojąc na więziennym dziedzińcu, odruchowo spojrzął w stronę bramy. Chłopiec tam był. W zbyt cienkiej bejsbolowej kurtce, wyrzucał piłkę w powietrze i chwycił ją ponownie, zerkając ukradkiem, czy Serge to widzi.

Serge zmrużył oczy; słońce świeciło na sterty brudnego śniegu. Obserwował formę chłopca: była znacznie lepsza, jakby wiele czasu poświęcił na ćwiczenie tego rzutu. By mu się lepiej przyjrzeć, podszedł o krok bliżej. Chłopiec udawał, że tego nie widzi, ale następny rzut wykonał trochę mocniej.

Mali chłopcy nie powinni wałęsać się wokół więzień, pomyślał z goryczą Serge. W pobliżu złych ludzi zdarzają się złe rzeczy... wystarczy pomyśleć o Natalie.

– Gdzie jest twoja mama? – zapytał Serge. Ricky nie odpowiedział, dalej rzucając piłkę.

– Dziś jest zimno. Powinieneś być w domu. Chłopiec wzruszył ramionami. Serge zauważył, że mały ma brudną twarz i znoszone, brudne adidasy. Biegał w nich po błocie, deszczu i śniegu od lata. Miał tę samą starą rękawicę i zniszczoną piłkę. Z pewnością nikt go dziś nie czesał.

Serge martwił się o niego; sprawy miały się źle. Oto co spotkało ostatnie dziecko pozostawione pod jego opieką. Myśląc o Natalie, znów poczuł napięcie.

– Idź do domu! – zawołał.

Ricky, zaszokowany tonem jego głosu, przestał ćwiczyć.

– Znajdź sobie lepsze miejsce. Potrzebny ci jest nauczyciel czy trener, a nie banda kryminalistów. Słyszysz?

Usta Ricka zacisnęły się, a oczy otworzyły szeroko.

– Jestem zabójcą, chłopcze. I nie ja mam ci mówić, jak rzucać piłką, a twojego ojca tutaj nie ma. Umarł, rozumiesz? Znajdź sobie trenera. Musisz chodzić do szkoły, Ricky. Idź do szkoły. Natychmiast.

Chłopiec zaczął się cofać z oczami pełnymi łez. Potknął się w swych brudnych, znoszonych adidasach i wypuścił piłkę. Potoczyła się aż do bramy. Przykucnął, by ją podnieść, i niemal dotknął buta Serge'a. Jego przestraszone oczy napotkały spojrzenie więźnia.

– Idź – rzekł Serge. Chłopiec chwycił piłkę i odbiegł.

Z zachodniej ściany bloku cel zwisał długi rząd lodowych sopli. Nagły powiew wiatru zdmuchnął je wszystkie. Roztrzaskiwały się o trotuar, wydając dźwięk podobny do kościelnych dzwonów.

Przyglądając się chłopcu zbiegającemu ze wzgórza, Serge chwycił się krat i słuchał tych dźwięków. Przypomniały mu dom, stary kościół nad Lac Vert i mistyczne dzwony rozbrzmiewające w Boże Narodzenie. Wygrywały kolędy i pieśni religijne. Serge słuchał ich z żoną i synem, siedząc w kościelnej ławce i świętując narodziny Dzieciątka.

Powinien był godniej uczcić dzieci swego życia, pomyślał. Wypłoszył stąd Ricky'ego i był zadowolony. Miał nadzieję, że chłopiec nie wróci.

Coś się w Martinie przełamało, coś się w nim pojawiło. May nie wiedziała co, ale cieszyła się z całego serca. W świąteczny poranek wsunął się do jej łóżka. Po miesiącach rezerwy pragnął ją obejmować, szeptać, kochać – ciałem i duchem.

Obejmował ją czule. Szeptem wyznawał, że się mylił, że bardzo ją kocha, że Kylie miała rację: coś się wydarzyło.

– Co się wydarzyło, Martin? – pytała, również szepcząc. – Powiedz.

– Jesteśmy tu razem – odparł i na tym poprzestał.

I właśnie to działo się przez następne dni: nagle byli razem. Żadne święta nie uczyniłyby jej szczęśliwszą. Martin prosił ją o pomoc w kąpielach, w ubieraniu się. Pozwolił nawet, żeby zasnurowała mu buty. Kiedy potknął się o krzesło, poprosił, by pomogła mu w opanowaniu drogi. Przy śniadaniu zapytał, gdzie stoją na stole różne rzeczy. May prowadziła jego dłoń.

– Tu jest twoja filiżanka, tutaj talerz, a tam koszyk z bułeczkami.

– Masło – dodała Kylie, ostrożnie podsuwając maselniczkę. – A obok leży nóż.

Udekorowali choinkę. Genny poszła na stryżek i przyniosła stamtąd stare kartonowe pudełka pełne ozdób należących niegdyś do Agnes. Siedząc z tyłu, Martin słuchał, jak Kylie opisuje mu kolejne przedmioty.

– Czerwona piłeczka z błyszczącym bałwankiem, złoty renifer, cztery białe gwiazdki...

– Z papieru?

– Tak.

– Zrobiłem je w drugiej klasie.

Kylie powiesiła je na honorowym miejscu. Znalazła również ozdoby w kształcie hokejowych łyżew, krążka i kija, a także sześć kryształowych aniołków. Jednak najsilniej przyciągnął jej uwagę mały srebrny dzwoneczek.

Zrobiony ze specjalnej masy papierowej miał ostre krawędzie i boczne ścianki. Kylie obejrzała go uważnie ze wszystkich stron. Zobaczyła, że ktoś ozdobił go zieloną girlandą z inicjałem „NC”. Kiedy uniosła go nad głową, wydał z siebie wyraźne brzęknięcie.

– Dzwoneczek Natalie – rozpoznał Martin.

– Tak myślałam – odparła Kylie. – Namalowała na nim swoje inicjały.

– Przysłała mi ten dzwoneczek, gdy miała pięć lat – powiedział. – Tęskniłem za nią przez całe święta.

– Gdzie wtedy była?

– Ze swoją mamą, daleko ode mnie – Martin uśmiechnął się lekko.

– Widziałeś ją, prawda? – zapytała Kylie. – Była tutaj.

– Tak, była – rzekł Martin.

May wstrzymała oddech. Oczy Martina lśniły, błękitniejsze niż zwykle, jakby widział wszystko nie tylko w tym pokoju, ale i poza nim. Kylie z trudem zdołała usiedzieć w bezruchu.

– Co mówiła? – zapytała.

– Powiedziała, że miałaś rację; że...

– Wierzysz mi? – przerwała mu, nie mogąc się powstrzymać. – Wierzysz, że naprawdę ją widziałam, że wcale tego nie wymyśliłam?

– Tak, wierzę – zapewnił ją Martin.

Wzrok May padł na niebieski dziennik. Mogła to zapisać, umieścić na jego stronach również doświadczenia i przeżycia Martina, ale zamiast tego patrzyła na niego i Kylie; na ojca, który pragnął mieć córkę i na córkę, która pragnęła mieć ojca.

– Co się stało, mamusiu? – zapytała z niepokojem Kylie, spoglądając na twarz May.

– Przepraszam – powiedziała May, ocierając oczy. – Ja także chciałabym ją zobaczyć. Chciałabym zobaczyć Natalie.

– Żałuję, że jej nie widziałeś – rzekł Martin, wyciągając rękę i czekając, aż ją ujmie.

Kylie potrząsnęła starym dzwoneczkiem, śmiejąc się z zabawnego klekotu, jaki z siebie wydawał. Serce dzwonek zrobione było ze spinacza, a sam dzwonek uformowany z kilku warstw sklejonnych i pomalowanych gazet. Gdy przestała poruszać papierową ozdobą, przez okno wpłynęły dźwięki innego dzwonu.

Bicie dzwonów niesło się wyraźnie nad górami i jeziorem. Ich dźwięk odbijał się echem wśród wzgórz, przenikał przez nagie gałęzie jaworów, klonów i dębów, poprzez konary wysokich, ciemnych sosen. Dzwoniły nad lodem, potęgowane przez głębokie przeręble i łagodzone płytkimi zatokami.

– Słuchajcie! – zawołała Kylie.

– Co to jest? – spytała May.

– Dzwony Świętej Anny – rzekł Martin.

– Wygrywają kolędę – stwierdziła May, wsłuchując się w czyste tony. Jednak myliła się; to nie była kolęda, lecz kościelna pieśń, którą Martin rozpoznał, zanim ona zdołała to uczynić.

– „Zdumiewająca łaska” – powiedział.

– Jak słodko brzmi – szepnęła May. Pamiętała te słowa; śpiewano je na pogrzebie jej ojca. Nigdy ich nie zapomniała.

Zgubiłem się, ale zostałem odnaleziony, byłem ślepy, a teraz widzę...

Słuchali jeszcze kilka minut, aż dzwony umilkły i słychać było już tylko trzaskanie lodowych sopli na drzewach. Znad zamrożonego jeziora nadleciał podmuch wiatru i zawirował w kominie. Piorun rzucił się ku kominkowi i teraz stał przed nim, merdając ogonem. May zadrżała w oczekiwaniu tego, co miało nadejść.

Czegokolwiek się spodziewała, nie nadeszło to z zewnątrz. Martin wstał z krzesła. May i Kylie obserwowały go uważnie, zastanawiając się, co teraz zrobi.

– Czy w tym pudełku jest gwiazda? – zapytał.

– Tak – Kylie sięgnęła do kartonu z ozdobami. Wyjęła powyginaną tekturową gwiazdę, pokrytą folią i pomalowaną błyszczącą czerwienią i złotem. Gdy uniosła ją w górę, na palce posypały jej się iskierki.

– Chodź – rzekł Martin, pochylając się i otwierając ramiona.

Kylie wiedziała, co zrobić. Objęła go jedną ręką za szyję, drugą trzymając gwiazdę. Martin uniół ją w górę i skierował się w stronę choinki. May poprowadziła go bliżej, by mógł dotknąć gałęzi i zorientować się, gdzie stoi. Kylie dokładnie oglądała gwiazdę, szukając jakiegoś znaku.

– Natalie ją zrobiła? – zapytała.

– Nie. Tę gwiazdkę zrobiłem ja – odparł Martin. – Robiłem ją z moim ojcem, bardzo dawno temu. Byłem wtedy w twoim wieku.

– Pomagał ci? – zapytała Kylie.

– Tak.

Uniół ją jeszcze wyżej i pochylił się do przodu, aby mogła powiesić tę ozdobę na najwyższej gałęzi. Kylie czuła się bezpieczna. Martin stał pewnie dając jej tyle czasu, ile potrzebowała.

– Już – powiedziała krótko, umieściwszy gwiazdę na czubku choinki.

Martin postawił ją na podłodze.

– Jak wygląda? – zapytał.

– Wspaniale – powiedziała May.

– Ojciec mi pomógł – powtórzył Martin.

– Stworzyliście arcydzieło – powiedziała May. – Jest piękna.

– Chciałbym się z nim spotkać.

Serce May zabiło mocniej. Martin wziął ją za obie ręce.

– W drodze powrotnej do domu... – mówił dalej. – Chyba nie odbijemy zbyt daleko, jadąc nowojorską trasą szybkiego ruchu. Dotarlibyśmy nią do Estonii, a potem płatną autostradą Connecticut wrócimy do domu.

– Uważam, że to dobry plan – odparła spokojnie.

– Ja też tak myślę – rzekł Martin, jakby miał mapę samochodową przed oczami. – To najlepsza droga.

ROZDZIAŁ 30

Zamykając dom nad jeziorem, May wróciła na chwilę do środka, gdyż Martin zapomniał swojej torby. Torba stała tuż obok drzwi, ale May przeszła przez wszystkie pokoje, aby się upewnić, że zostawiła włączone na niskim poziomie ogrzewanie, by w ten sposób uchronić rury przed zamarznięciem. W gruncie rzeczy jednak potrzebowała owej minuty dla siebie. Chciała przygotować się do opuszczenia tego miejsca.

Przez kilka chwil wpatrywała się w okrytą śniegiem ścieżkę do altany. Przed oczami miała tamten słoneczny dzień, towarzyszącą im Kylie, z przyjaciółmi i krewnymi. Próbowali pobrać się potajemnie, ale jak mogli to zrobić, skoro ci ludzie tak bardzo ich kochali?

W latach samotności spędzanych jedynie z Kylie, kiedy May była przekonana, że miłość ją ominęła, nie przestawała wierzyć, iż jest ona udziałem innych ludzi. Widziała, jak jej matka, babcia i ciocia organizują wesela zakochanym. Wspierając Tobin, obserwowała jej powiększającą się rodzinę, ale w głębi serca, bez względu na to co mówiła jej najserdeczniejsza przyjaciółka, May nie spodziewała się takich rzeczy dla siebie.

Potem spotkała Martina, a słowa małżeńskiej przysięgi stały się najważniejszym przyrzeczeniem, jakie kiedykolwiek złożyła. Wypowiadała je z całą odpowiedzialnością już wtedy, a teraz, gdy znaczyły więcej, traktowała je jeszcze poważniej. Była potrzebna Martinowi, a jeszcze bardziej ona potrzebowała jego.

Sięgnąwszy do obszernej kieszeni wełnianej marynarki, wyjęła niebieski dziennik. Niekiedy czuła pokusę, aby wysłać go Benowi Whitpenowi i pozwolić włączyć mu te zapiski do jego dokumentacji badawczej – nie musiałyby wtedy ich już nigdy oglądać. Wiedziała jednak, że niebieski dziennik zawiera ich historię. Nawet gdyby Kylie nie miała już żadnej wizji, nie opowiedziała już żadnego snu, każda strona dziennika wiodłaby ją do tej chwili.

Otworzyła go, przeczytała kilka słów i poczuła, że jej serce pełne jest uczucia do męża i ich dwu córek, że otworzyło się szeroko na miłość i niezwykłą tajemnicę. Kylie miała dar „widzenia przez zasłonę” i słuchała zmarłych, a im pokazała, jak się nie lękać. May z wdzięcznością pomyślała o Richardzie Perrym, z miłością zaś o Natalie Cartier...

Sięgnęła po torbę Martina stojącą przy drzwiach. Właśnie tak postępują małżonkowie, pomyślała: kochają się w zdrowiu i w chorobie, w dostatku i w biedzie, na dobre i na złe... Kochają dzieci swych małżonków i starają się czcić teściów, nawet gdy wydaje się to niemożliwe.

Z pewnością również, myślała dalej, noszą swoje bagaże. Zarzuciwszy więc sobie męzowską torbę na ramię, May zamknęła drzwi domu nad jeziorem i zaniósła torbę do samochodu. Grudniowe słońce było słabe i blade, ale wiedziała, że kiedy przyjadą tu następnym razem, jego letni blask powróci pełen złota, kwiatnych pyłków i nadziei.

Ruszyli w drogę.

Gdzieś między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem – Serge stracił rachubę czasu – leżał na łóżku, słuchając radiowej transmisji meczu hokejowego. Boston grał z New Jersey, przegrywając 2:4.

– Potrzeba wam Martina – rzekł głośno. Hokeiści New Jersey Devils grali doskonale. Natomiast zawodnicy Boston Bruins oddawali chybione strzały i dopuszczali przeciwników pod własną bramkę. Świadomość, iż bostoński klub z trudem walczy bez jego syna, dawała Serge'owi pewną drobną, złośliwą satysfakcję.

– Masz gości, Cartier – oznajmił strażnik, zatrzymując się przy drzwiach jego celi.

– Bardzo śmieszne. Odpieprz się, dobrze?

– Jak sobie życzysz – rzekł strażnik, odchodząc. – Ale będziesz żałował. Sympatyczny gość...

Serge poczuł zimny dreszcz. Kto to mógł być? Uznawszy, iż łatwiej będzie pójść i zobaczyć, niż czekać i się zastanawiać, wstał z pryczy i długim korytarzem podążył za strażnikiem.

Czuł skurcz żołądka, jakby zjadł coś niestrawnego. Dłonie mu się spociły, a szczęki zacisnęły ciasno. Serge Cartier już od dawna nie był tak zdenerwowany. Nie wiedział, co go czeka i nieznane wydawało mu się okropne.

Może to ktoś, komu winien był pieniądze.

A może to jakiś stary kumpel, jeden z tych nielicznych, którzy nie wymazali go z pamięci.

Może syn Tina.

A może...

Serge nawet nie pozwalał sobie na taką myśl.

Martin siedział w sali odwiedzin z May po jednej stronie i Kylie po drugiej. Słyszał trzaskające drzwi i szurające stopy, czuł zapach jedzenia, dymu i potu. Coś w tym miejscu przypominało mu niektóre szatnie hokeistów, obszerne betonowe jaskinie rozbrzmiewające echem przemocy i agresji.

– Kylie, dobrze się czujesz? – zapytał.

– Świetnie.

– Zastanawiam się, gdzie on jest – powiedziała May. Martin skinął głową. Może powinni byli zawiadomić ojca, że przyjeżdżają. A może w ogóle nie powinni przyjeżdżać. Serce biło mu jak oszałałe. To prawdopodobnie największy błąd, jaki popełnił w ostatnich latach. Nad Lac Vert wizyta u ojca wydawała się doskonałym pomysłem, ale teraz myślał o niej jako o sentymentalnej głupocie.

Jednakże obiecał to Natalie. Ani przez chwilę nie wątpił, że się spotkali. Nie dopuszczał myśli, że to był sen. Widział swoją córkę. Odzyskał wzrok w sensie, w jakim Teddy Collins, najślawniejsza okulistka w Bostonie, nie mogła mu go przywrócić. Natalie pokazała mu rzeczy najgłębsze; sekret życia, za jakim tak długo tęsknił.

Kiedy więc otworzyły się drzwi i do sali wszedł Serge, Martin poczuł jego obecność, choć nie mógł go zobaczyć.

– Tato... – rzekł wstając.

– Martin...

Dzieliło ich kilkadziesiąt centymetrów. Inni więźniowie siedzieli w pobliżu, rozmawiając

z żonami i bawiąc się z dziećmi. Martin słyszał ich głosy, ale słowa nikły w tle. Znacznie głośniejszy, niemal jak uderzenia bębna, był oddech ojca.

– Cieszę się, że cię widzę – rzekł Martin.

– Synu – odparł ojciec i chwycił go w objęcia. Jakiś strażnik ruszył do przodu, by ich rozdzielić, ale Serge nie chciał odejść. Martin czuł dłońmi silne barki ojca i przypomniał sobie, jak będąc dzieckiem jeździł na nich „na barana”.

– Tato, wiem, że poznałeś May...

– Witaj, kochana.

– Cieszę się, że znów się spotykamy, Serge.

– Mamusia lubi dostawać twoje kartki – powiedziała Kylie.

– Cóż, to dobrze – odparł Serge. – Bardzo mnie to cieszy.

Rozmawiali przez chwilę o Bożym Narodzeniu nad jeziorem, o świątecznych przysmakach, o życiu więziennym, o ruchu ulicznym w śródmieściu Estonii i o szkole Kylie. Ojciec Martina zapytał ją, czy lubi sport, a Kylie odpowiedziała, że lubi jazdę figurową, pływanie i wędkarstwo.

– Wędkowanie nad Lac Vert... – zamyślił się Serge.

– Czy jest tam jeszcze ten stary wielki pstrąg?

– To pradziadek wszystkich pstrągów. Pstrągowy król – odparła Kylie.

– Teraz to już chyba jest prawnuczek pradziadka – rzekł Serge. – Boże, pamiętam jak ukrywał się pod tym płaskim kamieniem, wychylając stary nos, abym mógł zobaczyć, że się ze mnie śmieje...

– ... mówiąc: „nie złapiesz mnie!” – dokończyła Kylie.

– Święta prawda – przyznał Serge. – Nikt go nie złapie.

– Mam psa – pochwaliła się Kylie.

– Tak? Jakiej rasy?

– Basseta. Wabi się Piorun. Jego brat umarł.

– Czy przypadkiem nie wabił się Grzmot? – zapytał Seree, wprawiając Kylie w zdumienie i przypominając Martinowi, jakim zabawnym był niegdyś dziadkiem i jak bardzo Natalie go kochała.

– Tak! – wykrzyknęła Kylie. – Skąd wiesz?

– Intuicja – rzekł Serge i Martin niemal zobaczył, jak kiwa głową.

– Ojej – szepnęła Kylie.

– Tak... Martin również ją ma. Właśnie intuicja czyni z niego wspaniałego hokeistę.

– Tato – przerwał mu Martin, chcąc skierować rozmowę na każdy, byle nie ten, temat.

– Miał ją już jako mały chłopiec – mówił dalej Serge, puszczać to napomnienie mimo uszu. – Był świetny w każdej dyscyplinie, jaką uprawiał. Wiedziałem, że dojdzie na szczyt. Naprawdę kochał sport.

Martin znów otworzył usta, by zmienić temat, ale ojciec wcale na to nie zważał. Rozmowa skierowała się ku pewnemu chłopcu, synowi człowieka, który zmarł w więzieniu.

– Ten mały kocha bejsbol, tak jak ty go niegdyś kochałeś – powiedział Serge. – Całym sercem.

- Dlaczego tutaj przychodzi – zapytał Martin – skoro jego ojciec umarł?
- Bo tutaj czuje jego bliskość – szepnęła mu do ucha Kylie i Martina przeniknął dreszcz.
- To on każe mi myśleć o tobie. – Głos Serge’a był niski i gardłowy.

Martin poczuł, że ojciec bierze go za rękę. Zwalczył w sobie pragnienie cofnięcia jej i możliwie najszybszej ucieczki.

- Cóż, chyba lubi sport – rzekł Martin.
- Myślę, że to coś więcej – odparł Serge. – On walczy z sercem.

Zapadło milczenie. Po kilku chwilach May powiedziała, iż weźmie Kylie na spacer. Podziękowała Serge’owi za karty, które jej przysyłał, i za to spotkanie. Martin usłyszał, jak ojciec całuje May w policzek, a potem poczuł na ramieniu jej dłoń.

- Poczekam na zewnątrz – szepnęła.
- Dobra dziewczyna – rzekł Serge, kiedy wyszła.

– Najlepsza na świecie – zgodził się Martin. Wydawało się jednak, że po wyjściu May i Kylie nie ma już o czym mówić. Wrócili więc do lekkiej pogawędki: o dzisiejszym chłodzie i prognozie na jutro oraz o hokeju. Martin spał się, gdy ojciec wspomniał, że tuż przed ich wizytą słuchał radiowej transmisji meczu, i naprawdę się zdziwił słysząc, jaki był wynik. Rozczarowała go wieść, że drużyna Boston Bruins już po półtorej tercji przegrywała 2:4.

– Ciebie im trzeba, synu – rzekł Serge, a potem, jakby uświadamiając sobie, co powiedział, wziął głęboki oddech. – Przepraszam, Martin.

- Tak... cóż... – zaczął Martin, pochylając głowę.
- Martin, zasługujesz... Martin przerwał mu:

– Mam wspaniałą lekarkę. Robi wszystko, co w jej mocy. To nie jest łatwe, ale bliskość May bardzo mi pomaga. Czasem bywam dla niej prawdziwym draniem.

- Cartierowie są w tym dobrzy – rzekł Serge.
- Mów za siebie – odparł Martin niemal bezwiednie podnosząc głos.
- Masz rację – przyznał Serge. – Nie mam żadnego prawa, aby...

– Nigdy bym jej nie opuścił – oświadczył Martin. – Ani Kylie. Nigdy. Nie zapomniałbym o nich, żyjąc własnym życiem, jeżdżąc gdzie mi się podoba, i wydając od ręki zarobione pieniądze...

- ... w Las Vegas – dodał Serge – w Los Angeles, Nowym Jorku i Chicago...
- ... podczas gdy one mieszkałyby same nad jeziorem, cierpiąc głód i chłód.
- Nie, ty byś tego nie zrobił.

– I nie naraziłbym córeczki na niebezpieczeństwo – mówił dalej Martin, czując, jak serce mu się ściska. Rosła w nim agresja i choć nie widział ojca, miał ochotę położyć go na łopatkę.

– Nie pozwoliłbym jej skrzywdzić.

– Zrobiłem to – wyszeptał Serge. – Wiem, że to zrobiłem. Boże, Martin... żałuję, bardzo żałuję. Chciałbym oddać moje życie za jej życie. Rozumiesz to? Myślisz, że żartuję?

Martin pochylił głowę. Drżał tak bardzo, że pomyślał, iż rozpadnie się na kawałki. A potem przypomniał sobie twarz Natalie i jej głos mówiący mu, że Serge sam siebie nienawidzi bardziej niż on, i że ta nienawiść znaczy więcej niż więzienie.

- Martin – błagał Serge. – Odpowiedz.

– Wiem, że nie żartujesz – powiedział Martin, ocierając oczy.

– Sam pozabawiłbym się życia – mówił dalej Serge – gdyby ona mogła żyć. W myślach robię to tysiąc razy. I nie sądzę, by to się kiedykolwiek skończyło.

– Przestań – powiedział Martin.

– Nie mogę.

Martin wziął głęboki oddech i, choć nic nie widział, szeroko otworzył oczy.

– Ja ci wybaczam, tato – rzekł, a Serge zaszlochał. Płakał, a Martin słuchał, czując jak serce bije mu w piersi i łzy spływają po policzkach. Przywołując scenę z przeszłości, widział twarz swojej córki, czuł łód pod łyżwami, gdy frunęli po jeziorze. Ujrzał też oczy ojca tak wyraźnie, jakby miał doskonały wzrok, i przypomniał sobie dziecięcą radość z czasu spędzanego z człowiekiem, którego tak bardzo kochał. – Wybacz też sobie, tato – mówił dalej. Serge wytarł nos, a kilku więźniów roześmiało się głośno. – Natalie by tego chciała – dodał Martin.

– Zawsze to wiedziałem – rzekł po chwili Serge. – Była aniołem, jednym takim dzieckiem na milion. Ale świadomość, że mnie nienawidzisz, cóż... bardzo to utrudniała. Nie chodzi o to, abym cię obwinił choć przez minutę...

– Nie ma już we mnie nienawiści do ciebie – powiedział Martin.

– Dziękuję ci, synu.

– May to sprawiła. Jestem szczęśliwy, tato.

– Wiem o tym.

– Kiedy stąd wyjdiesz?

– Za trzy lata – odparł Serge. – Teraz, gdy wiem, co czujesz, będzie mi łatwiej.

Siedzieli w ciszy jeszcze kilka minut, słuchając, jak wokół rozmawiają inni. Były tu dzieci odwiedzające ojców, ojcowie odwiedzający synów, żony rozmawiające z mężami i siostry, które przyszły, aby odwiedzić braci. Martin pozwalał, by te rozmowy przepływały nad nim, wiedząc, że znajduje się w miejscu, w którym powinien się znaleźć. Kiedy strażnik obwieścił, że czas widzeń dobiegł końca, poczuł skurcz w sercu.

– Cieszę się, że przyjechałeś – powiedział Serge.

– Przyjadę znowu – obiecał Martin.

– Czy mogę zrobić cokolwiek? – pytał Serge. – Oddałbym ci swoje oczy, gdybym mógł.

– Dzięki – rzekł Martin, próbując się uśmiechnąć.

– Całkiem poważnie mówiłem to, co powiedziałem Kylie. Byłeś wspaniały, Martin.

Wspaniały.

– Nie byłem wspaniały – rzekł Martin. – Nigdy nie wygrałem Pucharu Stanleya.

– Myślisz, że to ma znaczenie? – szepnął Serge. Martin pokiwał głową.

– Tak – przyznał. – Myślę, że tak.

– To nic nie znaczy. Ani trochę. Jeśli ktokolwiek zasłużył, by go wygrać, to właśnie ty. Jesteś lepszy niż którykolwiek z dzisiejszych graczy, a ten puchar to tylko kawał metalu. Nic innego – rzekł Serge.

– Dwa lata z rzędu... – mówił Martin. – Byłem tak blisko... siódmy mecz... ostatnie skundy... Zawiodłem swój zespół.

– Nigdy go nie zawiodłeś. Nie mów tak.

– Zrobiłem to.

– Pomyśl tylko – rzekł Serge – Bez ciebie nawet nie doszli do play-offów. Jorgensen nie może zatrzymać krążka. Klątwa Cartiera działa w obie strony.

Obydwoj śmiali się przez łzy, ale już po chwili Martin potrząsnął głową.

– Nie życzę mu przegranej.

– Chcesz czy nie, on jednak przegrywa.

– Zadzwoń do niego dziś wieczorem – rzekł Martin. – Powiem mu, żeby wziął się w garść i zaczął bronić jak należy. Boston Bruins powinni wygrać Puchar Stanleya. W tym roku. Rayowi to się należy.

– Ray Gardner... – Serge pokiwał głową. – Pociągnąłeś go ze sobą aż do NHL.

– Byliśmy z ciebie tacy dumni... – Martin otarł łzy płynące mu z oczu. – A kiedy wygrałeś Puchar Stanleya, sprawiłeś, że zaczęliśmy wierzyć, iż my także możemy go zdobyć.

– Źle ulokowana duma – oświadczył Serge. – To wszystko, co mogę powiedzieć.

– Nie, tato – oświadczył Martin. – Ja patrzę na to inaczej.

Ojciec zrobił krok do przodu, niemal miażdżąc go w potężnym uścisku. Strażnicy chyba zrozumieli, że powinni się trzymać z tyłu, i tak uczynili. Tors Serge'a wznosił się i opadał. Martin mógłby przysiąc, że czuje w jego włosach zapach sosen i jeziora.

– Uważaj na siebie – rzekł.

– Ty także. I dbaj o rodzinę.

– Obiecuję. – Martin skierował się do wyjścia, ale nagle przystanął i zapytał: – Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Prawdę mówiąc, możesz – rzekł Serge.

EPILOG

Pod koniec maja bostończycy z napięciem i nieufnością obserwowali, jak ich zespół, z trudem pokonawszy New Jersey w siódmym meczu serii, dotarł do play-offów, później zaś – podobnie jak w zeszłorocznych finałach – po raz siódmy staje przeciwko drużynie Edmonton.

Zawodnicy Boston Bruins, podekscytowani i gotowi do walki o Puchar Stanleya, jeszcze raz wyjechali na taflę wypełnionego po brzegi Fleet Center. Tłum zerwał się z miejsc i żądał krwi.

Martin został w szatni.

Większość sezonu spędził z dala od zespołu, nawet po świąteczno-noworocznym telefonie do Nilsa Jorgensena. Wymienili wtedy niezobowiązujące uprzejmości, ale ku swemu zaskoczeniu Martin zaczął odbierać telefony od Szweda dającego upust swemu rozczarowaniu zespołem, trenerem i brakiem wsparcia obrony.

– Dafoe może sprawiać wrażenie surowego i nieprzyjaznego, ale taki jest po prostu jego styl. Nie daj mu się zastraszyć, ale nie bój się słuchać. On wie, co mówi – radził Martin.

– Zespół uważa mnie za wroga – skarżył się Jorgensen.

– Byłeś nim – roześmiał się Martin. – Przez lata!

– Paskudna sprawa – odparł Szwed. – Czekam już na to, kiedy zmienię klub.

Martin zaczął dzwonić do swych dawnych przyjaciół. Wszyscy zawodnicy, co do jednego, cieszyli się z wieści od niego. Niezobowiązująco pytali go o zdrowie. Odpowiadał im tylko, że ma świetną lekarkę, czeka na postępy kuracji i nie traci nadziei, iż pewnego dnia znów będzie widział.

Słuchał też narzekań kolegów na Jorgensena: jakież to z niego zarozumiałe idiota; jak niełojalni się czują, grając z dotychczasowym wrogiem. Martin śmiał się z nich wszystkich, mówiąc, że nie zrozumieli słuszności tego posunięcia, i przekonując ich, by wykorzystali najlepszego bramkarza do pokonania trudności w lidze.

Potem przy pomocy May i Kylie zrobił dwa prezenty. Jeden przeznaczony był dla całego zespołu Boston Bruins, drugi zaś dla samego Jorgensena. Dostarczonym przez Raya podarunkiem dla zespołu był transparent z napisem „TYLKO BÓG BRONI LEPIEJ NIŻ NILS JORGENSEN”. Bramkarzowi zaś Ray wręczył od Martina kij hokejowy z namalowanym przez Kylie znakiem „zakaz wjazdu dla krążka”.

Teraz, pierwszy raz w tym sezonie znalazłszy się w szatni, Martin dowiedział się, że transparent został zawieszony nad wejściem na lodowisko i że od kiedy Jorgensen zaczął używać podarowanego mu kija, obronił pięciokrotnie więcej strzałów, niż ich przepuścił.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Ray.

– W porządku – rzekł Martin.

– Siódmy mecz.

– Graliśmy już tutaj.

– Bez ciebie jest inaczej.

– Jestem tu, czyż nie?

Trener zwołał wszystkich zawodników, by udzielić im ostatnich wskazówek. Mówił swoim charakterystycznym ostrym tonem, używając mocnych słów. Martin miał w pamięci sposób, w jaki Dafoe mruży oczy i gryzie żółty ołówek. Zespół stał wokół niego, słuchając w nerwowym napięciu.

– Możecie wygrać i ja to wiem – mówił trener. – Jesteście utalentowani i macie wolę walki. Mówiłem to zeszłego lata i powtarzam teraz: to jest nasz sezon.

Przypominając sobie tamtą chwilę Martin odchrząknął, czując znajomy przyływ smutku i żalu, dziwny wstyd biorący się stąd, że nie widzi i nie może grać.

– Mamy wszystko co trzeba – mówił dalej trener.

Martin pochylił głowę, by nikt nie widział, że czerwienieje. Nie mieli jego. Przeszli tę całą drogę bez niego i jak się okazało, wcale za nim nie tęsknili.

– Mamy Raya Gardnera, mamy Jacka Delaneya, mamy... – Dafoe kolejno wymieniał zawodników. – Mamy Nilsa Jorgensena, bramkarza, który zastopował nasze dwie ostatnie próby zdobycia Pucharu...

– Tylko Bóg broni lepiej niż Jorgensen – rzekł Ray i wszyscy się roześmiali.

– Przede wszystkim zaś mamy serce i duszę naszego zespołu, Martina Cartiera. Jest z nami dzisiaj, tak jak w zeszłym roku i dwa lata temu...

Martin podniósł głowę. Twarz mu płonęła, z oczu płynęły łzy, ale się tym nie przejmował.

– Dzięki, trenerze.

Czuł, że koledzy klepią go po plecach i czochrają mu włosy. Trwało to jednak krótko, gdyż trener chrząknął.

– Coś jest nie tak, Cartier?

– Słucham?

– Jesteś w prywatnym ubraniu.

– Tak, zaraz wychodzę, usiądę z żoną i córką...

– Bzdury. Przebieraj się.

– Ależ, trenerze...

– Natychmiast, Cartier. Wygramy i masz być z nami.

– Z nami – jak echo powtórzył Jorgensen.

– Zawsze – rzekł Martin i czując, że ktoś wciska mu strój, zdjął koszulę. Po chwili był gotów do wyjścia na lód.

May ochrypla od krzyku. Siedziała w łoży wraz z Kylie, Genny, Charlottą i Markiem. Obok Tobin i Teddy jako ich goście. Był z nimi także Ricky Carera, chłopiec z Estonii.

Serge poprosił, by Martin i May pomogli mu ocalić Ricky'ego przed losem, jaki wróżył mu strażnik Jim i inni, by zajęli się samotnym, pozbawionym ojca chłopcem. Dziś wieczorem przywieźli go do Bostonu i zabrali na mecz.

– Ten jest bramkarzem – Kylie udzielała Ricky'emu wyjaśnień – a tamten przednim.

– Środkowym – poprawił ją Mark.

– A kim jest twój tata? – zapytał Ricky.

– Prawoskrzydłowym – odparł dumnie Mark.

– Mój tata grał w bejsbol – powiedział Ricky.

– Ricky też gra w Lidze Młodzieżowej – wyjaśniła Kylie. – Mój tata i dziadek mu pomogli.

– Lubię to – rzekł Ricky.

– Teraz ważny jest hokej – przypomniał mu Mark. – Oglądajmy mecz.

Przez trzy tercje utrzymywał się remis zero do zera i teraz mieli przed sobą dogrywkę. May obserwowała, jak Jorgensen blokuje każdy strzał, rzuca się do każdego krążka i używa swego ciała niczym żywej tarczy. Jak wszyscy wokół, wstrzymała oddech ze strachu, zastanawiając się, jak długo bramkarz zdoła wytrzymać taki napór.

– Martin czuwa tam nad wszystkim – powiedziała Genny, uśmiechając się w stronę ławki.

– Tak – przyznała May z uśmiechem, choć czuła bolesny skurcz, gdy widziała, że mąż kibicuje zespołowi zza bandy i cicho rozmawia z zawodnikami. Nie mogła się powstrzymać od przypomnienia sobie minionego roku, gdy jeździł tak nieustraszenie, górując na lodzie nad wszystkimi.

– Myślałam, że będzie siedział tutaj z nami – powiedziała Tobin.

– Martin chyba też tak sądził – odparła May.

– To mocny, silny człowiek – stwierdziła Teddy.

May skinęła głową. Była poruszona, widząc, jak na początku meczu Martin wjechał wraz z zespołem. W swojej dawnej bluzie z numerem 10 i profesjonalnych hokejowych łyżwach wydawał się szczęśliwym człowiekiem na właściwym miejscu. Ale to wszystko było niczym w porównaniu z reakcją kibiców. Na widok Martina przez trybuny przebiegł szmer, który następnie zamienił się w ryk.

– Cartier! Martin! Złoty Młot! – wołano.

Okrzyki wypełniły halę. Martin pomachał kibicom kijem. Później jednak ich uwaga skupiła się na taflach, gdy prezentowano skład zespołów i śpiewano hymn narodowy.

May cofnęła się myślami w przeszłość. W pierwszym roku zrobiła dla Martina, a w drugim dla całego zespołu talizmany:

różane płatki, sówie piórka i drobniutkie kosteczki ze swej Weselnej Gospody. Bez względu na to jak zabobonne i niedorzeczne wydałyby się innym, ona w nie wierzyła.

Sama doświadczyła cudów. Niebieski dziennik był nimi zapisany. Jej córka rozmawiała z duchami, a mąż jeździł po jeziorze z aniołem. Przebaczył też swemu ojcu i ona przy tym była. Obdarowywanie talizmanami zawodowej drużyny hokejowej było doprawdy niczym.

May spodziewała się dziecka.

Miało urodzić się we wrześniu, akurat w czasie, gdy lato zmierza ku jesieni. Gdyby nie to, że Kylie musiała iść do szkoły, May chętnie urodziłaby je w Kanadzie. Nad jeziorem, gdzie wychowywał się Martin i gdzie poczęli syna.

Ich dziecko było chłopcem. Już teraz kochała go nad życie. Chcąc wykorzystać wszystko, co ma jej do zaoferowania współczesna medycyna, May poddała się badaniom, które określiły stan zdrowia i wielkość płodu oraz pozwoliły poznać jego płeć.

– Chłopiec – rzekł Martin.
– Duży chłopiec – powiedziała May.
– Naprawdę myślisz, że począł się nad jeziorem?
– Ja to wiem – odparła. – Ostatniego dnia, już po twoim spotkaniu z Natalie.
– Powiedziała mi, że już nie wróci... – zaczął.
– ... ale zostaliśmy obdarzeni chłopczykiem, by go kochać – dokończyła May. – Czy możemy dać mu na imię Nat?

Martin skinął głową i objął ją mocno, wiedząc, że nosi jego syna.

– Naprzód, Ray! – krzyczała Genny.
– Boston! Boston! – wołała May, patrząc na Martina. Zegar tykał. Ray dostał krążek i podał go. Genny krzyczała z całych sił, wspierana przez wszystkich siedzących w łoży. Martin zerwał się z ławki, także krzycząc do utraty tchu. Tłum oszalał, domagając się gola.

Bostończycy stracili krążek, gdyż przejęli go zawodnicy drużyny Edmonton. Jorgensen zablokował strzał, ale przeciwnicy nadal pozostawali w posiadaniu krążka. Wtedy nie wiadomo skąd zza niebieskiej linii wręcz przyfrunął Ray Gardner i przechwycił krążek spod kija Oilersów, podając go Delaneyowi.

– Podaj do Raya! – wołał Martin.
– Boston! Boston! – krzyczała Kylie.
– Boston! – dołączył do niej Ricky z oczami jaśniejącymi radością.
– Ray! Ray! – dopingowała Genny.
– Martin! Martin! – jeszcze głośniej wołała May, trzymając się za brzuch.

Delaney podał krążek do Raya i zaczął się wyścig. Bostończyk rzucił się między obrońców Edmonton, a May, obserwując tę akcję z „rodzinnej” łoży, przysięgłaby, że Oilersi rozstapili się przed jego impetem. Miał otwartą drogę. Tłum zawył.

Ray Gardner cofnął zgięte ramię i jednym prostym strzałem umieścił krążek w siatce. Zespół Boston Bruins wygrał Puchar Stanleya wynikiem 1:0.

– Ray! – krzyknęła Genny i cały tłum przyłączył się do niej.
– Och, Genny! – powiedziała May, obejmując przyjaciółkę. Ścisnęły się i podobnie jak inni szalały z radości. Spiker ogłaszał rozstrzygnięcie, z głośników rozlegała się muzyka, policjanci otoczyli lodowisko, by powstrzymać kibiców od przechodzenia przez bandę. Kylie podskakiwała na swoim miejscu tak wysoko, że omal nie spadła, a Ricky robił to co ona. May patrzyła, jak wszyscy zawodnicy drużyny bostońskiej chwycili Raya w objęcia. Byli na środku lodowiska, niosąc Raya i Nilsa na ramionach, i wtedy zdarzyła się rzecz zdumiewająca.

Dwaj triumfatorzy zsunęli się na lód i cały zespół skręcił jak jeden mąż. Razem ruszyli ku ławce, a tłum na trybunach wcześniej niż May zrozumiał, co się dzieje. Zewsząd rozległo się skandowanie:

– Martin! Martin! Martin!...

Ściskając Martinowi dłoń i niemal miażdżąc go w zbiorowym uścisku, zawodnicy unieśli go na ramionach.

Dafoe śmiał się, podjeżdżając do Martina wraz ze swoim zespołem. Bostońscy kibice

triumfowali i promieniejąc z radości, wymykali się spod kontroli i przeskakiwali przez bandę.

– Martin, Martin – wyśpiewywała Kylie, a May skandowała wraz z innymi. Obie, matka i córka, trzymając się za ręce skakały z radości. Tak samo Tobin, Teddy, Genny, Charlotte i Mark...

Fleet Center ogarnął szal radości. Porządkowi próbowali oczyścić lód, by przygotować miejsce na pucharową ceremonię. May czuła przenikający ją niezwykle dreszcz. Ogarnęło ją niesamowite uczucie; jakby chciała płakać, a jednocześnie nie mogła przestać się śmiać.

– Chyba nie powinniśmy skakać po krzesłach – powiedział Ricky, skacząc jeszcze wyżej.

– To wyjątkowa okazja – roześmiała się Kylie. Klubowi koledzy zanieśli Martina prosto do łoża, w której czekały May i Kylie. Tutaj Martin zeskoczył, by wziąć May w ramiona. Ray czule objął Genny. Całując męża, May odchyliła się do tyłu. Tłum szalał, wiwatując na cześć zwycięzców.

– Wygrali – powiedział Martin.

– Wygrałeś – odparła May.

Roześmiał się, wyciągając coś w jej stronę. May pochyliła się, by zobaczyć to lepiej: Martin trzymał w dłoni mały skórzany worek, który zrobiła dla niego dwa lata temu.

– Wziąłeś go ze sobą...

– Z twojej szuflady – przyznał. – Przyniósł mi moje największe szczęście. Przyniósł mi ciebie.

– Och, Martin...

– Ciebie i Kylie.

– I Nata – wyszeptwała.

Na lodowisku pojawił się Puchar Stanleya, wniesiony przez mężczyzn w czarnych marynarkach. Trofeum było równie wysokie jak Kylie i w światłach stadionu jaśniało niczym drogocenny skarb. Zawodnicy zwycięskiej drużyny wołali do Martina, aby wyjechał wraz z nimi na tradycyjną paradę wokół lodowiska. Martin pochylił się ku Kylie.

– Masz łyżwy? – zapytał.

– Nie – powiedziała, obejmując go jedną ręką za szyję.

– Więc cię poniosę – rzekł i posadził ją sobie na ramionach.

May z trudem tłumiała łzy, patrząc, jak Martin jedzie z Kylie. Był niewidomy, ale nie miało to żadnego znaczenia. Łyżwy odnajdywały właściwą drogę, jakby mógł podążać nią przez sen. Ray i trener Dafoe podali mu Puchar Stanleya, Martin zaś uniósł go wysoko nad głowę. Tłum wprost eksplodował wiwatami. May krzyczała głośniejszym głosem niż wszyscy.

Jadąc wokół lodowiska Martin mrużył szaroniebieskie oczy, sprawiając wrażenie, iż patrzy prosto na twarz May. Trzymał w ramionach Puchar Stanleya jak człowiek, który rozkoszuje się tym, iż ziszcilo się jego marzenie. W oślepiających światłach widać było bruzdy na jego twarzy, blizny wokół oczu i na brodzie.

– Czy może pan powiedzieć kilka słów? – zapytał jakiś reporter, gdy Martin podjechał bliżej.

– Tak – rzekł Martin do mikrofonu. – To dla ciebie, May.

– Słyszałaś? – zapytała Tobin, obracając się ku May.

– Tak – odparła May, ocierając łzy.

Jej mąż, z Kylie na ramionach, trzymał wysoko Puchar. Słuchając tysięcy okrzyków May miała nadzieję, że Serge ogląda telewizję. Mikrofon musiał być blisko ust Kylie, gdyż nagle usłyszała jej głos niosący się po stadionie:

– Lord Stanley ufundował ten puchar, bo jego synowie bardzo lubili grać w hokeja.

– Naprawdę? – zapytał spiker.

– Naprawdę – odpowiedziała rezolutnie.

– Skąd o tym wiesz?

– Od mojej siostry.

May nadstawiała uszu, starając się zrozumieć następne słowa, ale głos Kylie utonął w okrzykach wiwatujących kibiców. Wiedziała wszystko, co pragnęła wiedzieć. To była chwila na niebieski dziennik, lecz nie sięgnęła po niego. Niektóre prawdy są zbyt czyste, aby je zapisywać, nawet wtedy gdy zostają wypowiedziane na cały głos.